





DZIEJE 1863 ROKU

Dzieje 1863 roku

~~925/1~~
9(438)

PRZEZ

AUTORA „HISTORYI DWÓCH LAT“

TOM CZWARTY



Z KSIĘGOZBIORU
STEFANA HEMPA

KRAKÓW

NAKŁAD I DRUK W. L. ANCZYCA I SP.
1905

478

STEFAN HEMPA

8610 IV



MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Warszawie

943.8.071

»Wiem dobrze, że w Polsce jest takie pragnienie wolności ojczyzny, że uczucie kraju przebacza wszystko tym, którzy się o jego wyswobodzenie pokuszają. Ale jeżeli zamiast ocucenia ojczyzny, jeszcze głębiej ją zakopali, jeżeli podcięli korzeń, z którego wyrasta przyszłość narodu, jeżeli dla zadośćuczynienia uprzedzeniu pychy albo fanatyzmowi teorii, ludzie niesumienni w przepaść całą społeczność wtracają, czy im to ma być darowane?»

(Paweł Popiel. Kilka słów z powodu odezw y ks. A. Sapiehy).

4277

ROZDZIAŁ XIII.

Zabór Kasy Głównej Królestwa.

Intrygi wojskowe przeciw Wielopolskiemu. Okólnik Kellera i tegoż usunięcie. Nominacya hr. Ostrowskiego na Dyrektora Komisji spraw wewnętrznych. Fedor Fedorowicz Berg, jego przeszłość i jego zachowanie się w Warszawie. W. Ks. Konstanty i walka przeciw niemu Samobytników. Ostrożności wojenne w Warszawie. Obawa o Pragę. Rozporządzenia Wittgensteina. Rząd Czerwcowy. Charakterystyka Kobyłańskiego i Malinowskiego. Powieszenie Michała Bobrowskiego. Trybunały rewolucyjne. Chaos w organizacyi. Rozkaz Naczelnika miasta. Malinowski się usuwa. Komitet ocalenia publicznego i jego spór z Rądem narodowym. Karol Majewski i Aleksander Waszkowski. Narada Białych. Projekt zaboru Kasy Głównej Królestwa. Obawa władz rosyjskich. Zabór Kasy i wrażenie tego faktu. Upadek Rządu Czerwcowego. Realizacya kuponów. Sąd wojenny. Powieszenie Abichta i ks. Konarskiego. Arcybiskup i projekt listu pasterskiego. Procesya w Boże Ciało. Nawróccie dwu Rosyanek. Odezwa arcybiskupa do Krzywickiego. Rozkaz Cesarski. Arcybiskup назнача на wikaryusza ks. Rzewuskiego. Wyjazd ks. Felińskiego do Petersburga. Przybycie do Gieczyny. Rozmowa z Platonowem. List do Cesarza. Wygnanie do Jarosławia. Uwagi.

W Warszawie, słuchającej z dreszczem niepokoju krwawych wieści z głębi kraju, ze zgrozą dowiadującej się o strasznych wypadkach na Litwie i Rusi, panował pozorny spokój, ale pod tym spokojem zewnętrznym

rozgrywały się niemniej zacięte walki, niemniej ponure dramaty. Na tronie namiestnikowskim na Zamku zawsze jeszcze zasiadała para wielkksiążęca, zawsze jeszcze pierwszym ministrem i pierwszym doradcą Korony był Polak Wielopolski. Ale tragiczne wypadki, których sceną była cała nieomal dawna Polska, od Warty po Dźwinę, od Wiśły pod Dniepr, rzucać poczęły cień i głuchą rozterkę wewnętrzną na miodowe miesiące sztucznie sklejonego małżeństwa między magnatem polskim a wielkim kniazem rosyjskim. Na usposobienie tego ostatniego nie mogło pozostać bez wpływu drażniące warczenie po kątach różnych generałów i dygnitarzy wojskowych rosyjskich, którzy przywykli do odgrywania pierwszej roli w Polsce, do rozporządzania się w niej samowładnie. widzieli się zaćmieni przez olbrzymią postać szlachcica polskiego, który traktował ich z góry, kazał wyczekiwać godzinami całemi w przedpokoju u siebie i odsuwał usilnie od wszelkiego wpływu na zarząd wewnętrzny kraju. Nie mogąc jeszcze otwarcie z nim walczyć, tem skuteczniej kopali pod nim dołki w skrytości, stawiali mu tysiące drobnych przeszkód i szykan, z tą wprawą w intrygach, z tą bizantyjską przebiegłością, jaką zawsze w rządzonych wytwarza władza despotyczna i zamknięta w sobie. „Oto, do czego doprowadziła autonomia w Królestwie! (wołali oni, niestety! nie bez pewnej słuszności), oto skutki niefortunnej próby! Autonomia nikogo w Polsce nie zyskała dla władzy rosyjskiej, owszem ułatwiła tylko działalność partyi rewolucyjnej przez wydalenie urzędników rosyjskich i tych z pomiędzy Polaków, którzy byli wierni rządowi. Administracya cywilna, ograniczając zakres działania władzy wojskowej, sparaliżowała tę ostatnią, nie dozwoliła jej użyć środków właściwych dla powstrzymania wybuchu i stłumienia następnie tego wybuchu w zarodku. Zapewniając, że sama sobie da radę ze spiskiem, przeszkodziła ona koncentracji wojska we właściwym czasie i naraziła na „nową Bartolomejadę“ w noc styczniową. Przeważny wpływ Wielopolskiego uczynił rolę W. Księcia nie nie znaczącą, pozbawił

go uroku, jaki winien mieć w armii wódz naczelny. Rząd polski został zaskoczony przez wypadki, których przewidyć nie umiał, choć go ostrzegano; i zamiast oddać władzę w ręce wojskowe, któreby szybko ze spiskiem się załatwiły, przeciwnie starał się wszelkimi siłami czujność ich uspić“.

We wszystkich tych zdaniach, wypowiedzianych z rozmaitymi wariantami, szeptanych po cichu, ale tak, by doszły do W. Księcia z jednej, a do Petersburga z drugiej strony, były tylko pozory prawdy. Generałowie, w ten sposób dąsający się, byli w ogromnej większości Niemcami; począwszy od Ramsaya, Szweda ociężałego i tępego umysłowo, samowładnymi satrapami po miastach i miasteczkach widzimy różnych Bremsenów, Radenów, Schwarzwów, Krüdenerów, Wittgensteinów, Brünnerów, Stolzenwaldów, którzy poza ohydny karyerowiczowstwem osobistem, nie mieli w sobie ani krzty patryotyzmu rosyjskiego, ale zato olbrzymi zasób nienawiści teutońskiej do wszystkiego, co polskie i słowiańskie. Ich krzyżackie dusze jakże się cieszyć musiały, gdy rękami słowiańskiej Rosyi toczyli obficie najlepszą krew lechicką, gdy na pół dzikie żołdactwo wyracało na ich rozkaz wszystko do góry nogami w Polsce! Dopóki na czele rządu w Warszawie stał Wielopolski, dopóty oni nie będą mogli zdeptać doszczętnie tej Polski, która przez tyle wieków stanowiła zaporę ich niemieckim dążnościom, dopóty nie uczynią z niej pola gotowego do przyjęcia zbójeckiej kultury niemieckiej. Trzeba więc dążyć wszystkimi siłami do obalenia Margrabiego, tego spizowego posagu szlacheckiej Polski, trzeba intrygować i kłamać, i wszystkie winy na niego zwałać. Kłamali więc, że administracya polska została zaskoczona przez wypadki, że nie umiała im zapobiedz, choć wiedzieli doskonale, że proskrypcya styczniowa nie udała się tylko dlatego, że właściwe władze wojskowe wykonały ją ospale, niechętnie i z widoczną złą wolą, że po wybuchu powstania, wbrew radom Wielopolskiego, też władze zarządziły niczem niesprawiedliwioną koncentrację wojska, zostawiając kraj

cały w ręku powstania i pozwalając mu przez dwa przeszło tygodnie organizować się swobodnie; że następnie samą walkę z powstaniem prowadziły leniwie, nieumiejętnie i zdradliwie. Czyż winą było Margrabiego i rządu polskiego, że różni dowódcy rosyjscy, kacykowie, rozsiani po miastach i miasteczkach Królestwa, wyrusшали na wyprawy przeciw powstańcom jedynie dlatego, by kraść, rabować, rozbijać, swe puste kieszenie napełniać dobytkiem polskim, a potykać się tylko dla formy, w raportach donosić, że powstańców rozbili doszczętnie, sami straciwszy tylko jednego klasycznego kozaka, by w jakiś czas na zdziwienie władz warszawskich, wyruszać znowu na tych samych „doszczętnie rozbitych“ powstańców? Cóż Wielopolski, co rząd warszawski mógł zrobić, mając takie narzędzie wykonawcze?

Jakkolwiek W. Ks. Konstanty był zanadto rozumnym człowiekiem, zanadto dobrze znał swoich podwładnych, by nie miał wiedzieć, co należy trzymać o tych wszystkich oskarżeniach niemieckich „Raubritterów“, jednakże wobec najnieszcześniejszego rozwoju wypadków, dusza jego napojona goryczą, mimowoli musiała szukać kozła ofiarnego, a któż mógł być tym kozłem ofiarnym, jak nie Wielopolski? Wszak jego to rady spowodowały proskrypcję styczniową, której następstwem był wybuch powstania, on więc jest winien wszystkiemu, on, który swą dumą, opryskliwością, mściwem usposobieniem nie potrafił sobie zjednać w kraju ani jednego przyjaciela, owszem wywołał przeciw sobie nienawiść bezprzykładną. Wszystkie te przyczyny spowodowały w stosunku W. Księcia do Wielopolskiego pewną oziębłość, która właśnie teraz, gdy na Żmudzi padało pod ciosami Ganeckiego powstanie litewskie, gdy ruch ukraiński konał pod cepami i kosami sołowijówskich hajdamaków, doprowadziła do pierwszej kolizji, szczęśliwie, co prawda, i zwycięzko przez Margrabiego zażegnanej, ale na przyszłość bardzo złą wróżbą będącej.

Powodem tego pierwszego starcia między W. Księciem a Wielopolskim, był Keller, dyrektor Komisji spraw

wewnętrznych. Ten ociężały, szpetny, rudy Niemiec, uchodzący przedtem za doskonałego administratora, zrzęcznie popierany i wychwalany przez żonę swoją, Egeryą polskiego Numy Pompiliusza-Wielopolskiego, okazał się popolitym łapownikiem, umysłem małym, ulegającym wpływom zewnętrznym i w głębi duszy żywiącym tradycyjne namiętności i nienawiść do Polski, swych rosyjskich poprzedników, rezydujących od lat trzydziestu w dawnym pałacu Mostowskich. Nie potrafił on swej, najważniejszej w rządzie dykasteryi, nadać sprężystości należytej; nie oczyścił personelu administracyjnego od złych, zepsutych i sprzedajnych osobistości, których tyle namnożyły deprawujące rządy Paskiewicza, i wogóle okazał się niedołężnym, nie dbającym o dobro kraju, a tylko o kieszeń własną. Ulica, z tą przenikliwością, właściwą dzieciom i masom, od razu odgadła jego i jego żony słabe strony i po mieście obiegał wiersz o nowym ministrze Kellerze: „który bierze“ i o jego żonie, która odwrotnie postępuje, wiersz cyniczny, ale niemniej przeto prawdziwy i w swej zjadliwości bardzo dowcipny.

Ale jego nieudolność i poziome instynkta zwyczajnego karyerowicza, pragnącego się zbożać na wysokim swym stanowisku, byłyby jeszcze najmniejszym złem, gdyby nie kryła się w tej brzydkiej, czerwonej, piegowatej postaci perfidya Storożenków i Muchanowów, którzy zarządzali przed nim sprawami wewnętrznymi kraju. Wielopolski, zawiódłszy się na nim, myślał już oddawna o jego usunięciu, i proponował na to stanowisko swego syna Zygmunta. W. Książę zrazu dobrze to przyjął, ale następnie począł wynajdywać liczne trudności i przeszkody, uważał, że kraj by to źle widział, że już po nominacji p. Zygmunta na prezydenta Warszawy oskarżano Margrabiego o nepotyzm, a teraz, gdyby powierzono jego synowi najważniejsze w Królestwie ministerium, oskarżenie to musiałoby z konieczności przybrać większe rozmiary, rzecz odkładał na później. Nie ulega wątpliwości, że syn Margrabiego byłby lepszym od Kellera ministrem, bo choć

nie odznaczał się on dobrą głową, to jednakże szedłby ręka w rękę z ojcem i wykonywał wszystko, coby on mu zalecił. Dość, że propozycja Wielopolskiego nie została przyjętą i Keller zajmował po dawnemu ministerium. O zamiarach Margrabiego wiedział on zapewne doskonale, bo już 1 kwietnia wyprawił żonę do Paryża (z którego więcej wrócić nie miała, zrzekając się na zawsze odegrania w Polsce roli politycznej), mimo to, wobec odkładania przez W. Księcia sprawy nowej nominacji, stan dotychczasowy rzeczy byłby się jeszcze może długo przeciągał, gdyby sam Keller krokiem nieobmyślanym a zdradzieckim upadku swego nie przyspieszył. W miesiącu kwietniu wydał on, jak ze wszystkiego sądzić należy, poza plecami Wielopolskiego, a swego zwierzchnika bezpośredniego, a jedynie za wiedzą W. Księcia, którego zresztą łatwo mógł pod tym względem obalamucić, dwa cyrkularze do gubernatorów cywilnych. W pierwszym z nich polecał im, ażeby zaprzestali kłamliwych, jak utrzymywał, doniesień o rozbojach i rabunkach żołnierzy rosyjskich, a natomiast żeby się starali zbierać szczegółowe wiadomości o miejscach pobytu i działalności powstańców, i żeby wiadomości te komunikowali naczelnikom garnizonów rosyjskich. Wyrażał przytem zdziwienie, że raporta gubernatorów o owych rozbojach rosyjskich najprzód pojawiają się w krakowskim *Czasie*, a potem dopiero przybywają one do Komisji spraw wewnętrznych.

Niebawem po tym okólniku otrzymali gubernatorzy od Kellera drugi, datowany d. 27 kwietnia, i nakazujący im, ażeby wobec „dokonanego już w większej części, jak się wyraził, stłumienia zbrojnego ruchu“, starali się o „wykorzenienie nieporządku i przywrócenie, gdzie tego zachodzi potrzeba, normalnego biegu spraw krajowych“. W tym celu nadawał on gubernatorom władzę usuwania wszystkich urzędników nie tylko w administracji krajowej, ale nawet w sądownictwie, skarbowości i wydziale oświecenia, którzy „brali udział w nieporządkach, takowe popierali, o czynionych przygotowaniach do onychże, pomimo

wiedzy, władzy wyższej nie donosili, do składek na cele wzbronione, do przysięg na posłuszeństwo sprawcom bezrządu namawiali lub zbieranie jednych tolerowali“. Gubernatorzy, mocą tego cyrkularza, podwładnym sobie urzędnikom mieli natychmiast dawać dymisyę, zależnych zaś od innych ministrów obowiązani byli zawieszać w ich czynnościach, zastępców ich mianować, i o tem wszystkim uwiadamiać właściwe ministerya, czyli Komisye rządowe¹⁾.

Okólnik ten, wydany bez wiedzy Naczelnika rządu cywilnego, już tem samem dotkliwie obrażał go musiał, zwłaszcza, że pochodził od człowieka, który okazał się ze wszech względów nieodpowiednim i o którego usunięciu Margrabia myślał, ale oprócz tego rozporządzenie takie było w najwyższym stopniu anarchicznem. Nadawanie gubernatorom władzy dyskrecyjnej nad urzędnikami, nawet należącymi do innych dykasteryi rządowych, ubliżało wszystkim ministrom, czyniło pana Kellera i gubernatorów istotnymi naczelnikami rządu. Pomyśl taki mógł się zrodzić tylko w głowie tępej i przesiąkniętej tatarskimi ideami dawnych dyrektorów Komisji spraw wewnętrznych. Na szczęście gubernatorami w owe czasy byli Polacy, a nawet większość ich (hr. Ostrowski, radomski; Dziewanowski, płocki; Korytkowski, augustowski), zajęła ten wysoki urząd z poręki Margrabiego i od razu zauważyli cały nierozum okólnika Kellerańskiego i zawiadomili o nim Naczelnika rządu cywilnego.

Jak spodziewać się należało, Wielopolski oburzył się nadzwyczajnie i tym razem zupełnie słusznie. Zażądał na-

¹⁾ Okólnik ten czytać można w całości w Nrze 115 *Dziennika powszechnego* z r. 1863. Rząd narodowy (Czerwcowy) w odpowiedzi na ten okólnik, dekretem z d. 8 czerwca 1863 r. wszystkich urzędników, „przez rząd najezdniczy od obowiązku usuniętych“, wziął pod opiekę, co, szczerze mówiąc, nie wielką było dla nich pociechą; ogłosił wszystkie miejsca „przez dymisyę za tak zwane przestępstwa polityczne opróżnione“, za nietykalne i przyjmowania nominacji na takowe zabronił, grożąc tym, którzyby posady te zajęli, wyjęciem z pod opieki prawa.

tychmiastowej dymisji Kellera i postawił kwestyę na ostrzu noża, że albo Keller będzie zaraz wydany, albo on, Margrabia, z rządu ustąpi. Oczywista rzecz, że wobec tego W. Książę wolał poświęcić Kellera jak Margrabiego, w którego potężny rozum jeszcze niezupełnie stracono wiarę i zawsze żywiono nadzieję, że znajdzie może jaki punkt wyjścia z obecnego rozpaczliwego położenia. Keller więc dostał dymisy d. 29 kwietnia, t. j. w dwa dni po rozesłaniu swego okólnika, i to w sposób dość szorstki, gdyż ogłaszając o tem w urzędowym *Dzienniku powszechnym*, dodano, że „hr. Keller otrzymał inne przeznaczenie“, nie objaśniając wcale, jakie to jest owe „inne przeznaczenie“. Na jego miejsce Wielopolski, zrzekając się już myśli osadzenia swego syna, myśli niechętnie przez W. Księcia przyjętej, zaproponował hr. Aleksandra Ostrowskiego, dotychczasowego gubernatora radomskiego i propozycya ta została zaakceptowaną. Nominacya nowego Dyrektora spraw wewnętrznych nastąpiła w Carskiem Siole d. 12 maja, t. j. na dzień przed terminem oznaczonym przez amnestyę cesarską. W trzy dni potem nowy minister objął swoje odpowiedzialne nadzwyczajnie, i w ówczesnych okolicznościach niezwykle trudne stanowisko.

Nominacya Ostrowskiego miała bardzo doniosłe znaczenie polityczne, była wskazówką, że rząd petersburski wierzy jeszcze w możliwość zgodnego załatwienia krwawego konfliktu polsko-rosyjskiego. Podpisana przez Cesarza na dzień przed ostatecznym terminem, oznaczonym przez amnestyę do zaprzestania zbrojnego oporu, świadczyła wyraźnie, że w razie, gdyby amnestya była przyjęta, rząd nie cofnie się z drogi ustępstw dla Polski. Jednocześnie tej nominacji z wysyłką Murawiewa Wieszatela na Litwę, mówiła, że rząd rozróżnia aspiracye polskie w Królestwie i na Litwie, że jeżeli pierwsze uznaje za usprawiedliwione i do pewnego stopnia słuszne, to drugie uważa za zbrodniczy stan i za zdradę państwa. Nominacya Ostrowskiego tem większej nabierała wagi, że od lat trzydziestu pierwszy to był Polak, który objął tę ministerystwo spraw wewnętrz-

nych, a dla Wielopolskiego niezaprzeczony tryumf, że dzięki swej energii, niewzruszonej i dumnej postawie, wśród szalonej burzy, miotającej krajem, zdołał zrobić tak potężny wyłom w dotychczasowych tradycjach rządu rosyjskiego. Zdawałoby się że fakt tak ważny, od upadku powstania listopadowego jedyny, winien wyrzucić na kraj silne wrażenie, i w każdym obywatelu, szczerze kraj miłującym, wzbudzić to przekonanie, że Margrabia jest dobrym Polakiem i czynami dowodzi swej troski o dobro ojczyzny. Tymczasem nominacya ta przebrzmiała bez echa; umysły zanadto były porwane wichrem, unoszącym się nad Polską, zanadto zwrócone w inną stronę, zanadto przejęte straszliwym obrazem walki, toczącej się w tej chwili na całej przestrzeni kraju, zanadto wreszcie wpatrzone w akcyę dyplomatyczną Zachodu, by miały zastanawiać się nad faktem, od lat trzydziestu niewidzianym, że Dyrektorstwo Komisji spraw wewnętrznych, objął po Storożenkach, Muchanowach, Kellerach, Polak i ziemianin.

Inna rzecz, czy Ostrowski odpowiednim był na to stanowisko w czasach tak ciężkich i tak trudnych, wymagających wielkiego rozumu, wielkiej energii i wielkiego poświęcenia. Z zawodu rolnik, szlachcic zamożny bardzo, ale nie magnat, dziedzic znacznych dóbr Maluszyńskich w Piotrkowskiem, był człowiekiem dobrym, głęboko uczciwym, gorącym patriotą polskim, ale głową średniej miary. Zatraciwszy przez wychowanie, przez rozmyślanie nad dolą swej ojczyzny wiele wad szlacheckich, zachował jedną, bodaj czy nie najgorszą, miękkość charakteru. Ta miękkość czyniła zeń zapewne bardzo miłego w domowym i towarzyskiem pożyciu człowieka, ale zgoła nieodpowiedniego na stanowisku ministra dykasteryi bardzo ważnej, a teraz jeszcze ważniejszej z powodu chaotycznego zamętu, w jakim kraj się znajdował. Ostrowski, przechylając się już ku starości (liczył bowiem 52 lata) miał umysł trzeźwy, spokojny, równy, ale mierny. Daleki kuzyn margrabiego, ulegał przewadze jego potężnej inteligencji i to stanowiło jego zaletę. Jeżeli w ówczesnych okolicznościach nie był

zdolny do inicjatywy, jeżeli można było z góry przewidzieć, że nie zdoła obronić niezależności swej dykasteryi od nacisku władz wojskowych, od wdzierania się w jej atrybucje różnych drobnych satrapów prowincjonalnych, jeżeli nie potrafi utrzymać policyi krajowej w swym ręku, to przynajmniej pewną było rzeczą, że administrację polską zachowa, że będzie jej bronił wszelkimi siłami i że zdradzieckich zamachów na dobro kraju czynić nie będzie. A i to w ówczesnych okolicznościach było bardzo wiele.

Z tem wszystkiem Wielopolski, otrzymawszy to zwycięstwo, ostatnie niestety! w swej karierze statysty polskiego, doskonale to widział, czuł i rozumiał, że jest ono prawdziwem Pirrusowem zwycięstwem, i że wszystko, tak rzeczy, jak i ludzie na to się składają, by go obalić, co mniejsza, ale zarazem z nim obalić tak ciężko uzyskaną autonomię polską. Jakkolwiek nie przywiązywał żadnej wagi do toczącej się akcji dyplomatycznej i głośno się z tem odzywał, że nie doprowadzi ona do niczego, jednakże nie ukrywał tego przed sobą, że interwencja mocarstw zachodnich rozdrażnia rząd rosyjski, budzi w masach tatarskie instynkta zemsty nad tymi, którzy byli głównym jej powodem. Gremialne podawanie się do dymisji radców stanu było najcięższym dlań ciosem. „Odcieśli mi ręce i nogi, mówił do jednego ze swych krewnych, odetną i głowę, bo i głowie dadzą wkońcu radę“. Ale poza temi słowami, świadczącymi o głębokiej, melancholijnej rozpacz tego potężnego ducha, zamykał się w sobie, milczał posepnie i gryzł się ciężko. Już w kwietniu wpadł w zwątpienie i czterokrotnie żądał uwolnienia, a za każdym razem z Zamku i z Petersburga otrzymywał odpowiedź odmowną. Nie chciano mu nawet dać tygodniowego urlopu, o który prosił ze względu na stan swego zdrowia. Cesarz oświadczał, że nie chce pozbyć się jego usług i zapewniał, że nie ma zamiaru znosić autonomii polskiej. Z tem wszystkim Wielopolski widział, że rzeczy wchodzą na coraz gorszą drogę. Nie uszło jego uwagi i ujść nie mogło, że

partya wojskowa w Królestwie, że stronnictwo Samobytników w Rosyi dąży do usunięcia W. Ks. Konstantego, który był jedyną ostoją samorządu polskiego. Pobyt Adlerberga w Warszawie był uderzającym objawem tych dążeń, a teraz zjawiał się w stolicy polskiej człowiek, którego przybycie tutaj i stanowisko, jakie zajął, było bardzo złym, bardzo groźnym znakiem. Mówimy tu o Teodorze Fedorowiczu Bergu.

Przybył on do Warszawy d. 17 kwietnia w charakterze pomocnika W. Księcia i zarazem wodza naczelnego (głównie dowodzącego) wojska w Królestwie, po usunięciu Ramsayu. Ustąpienie tego ostatniego z wielu względów stało się koniecznem. Dla najmniej uprzedzonego człowieka było widocznem, że ten Szwed namiętnie intrygujący przeciw W. Księciu, był wcieleniem nieudolności. Pomimo odgrazań, dał się powstaniu w nocy styczniowej napaść z nienacka, a przez swe rozkazy niewczesnej koncentracji, pozwolił mu urósć w siłę, a teraz umiał tylko dopominać się o posiłki, choć dowodził stutysięczną armią, zaopatrzoną we wszystko, opartą o cztery fortece, dzierżącą w swym ręku wszystkie punkta strategiczne i mimo to nie mogącą pokonać nędznego, kilkanaście zaledwie tysięcy, źle lub wcale nieuzbrojonej ruchawki, liczącego powstania. Obok tego do upadku jego przyczynił się zapewne i sam W. Książę, który, niepodobna, żeby nie wiedział o złośliwych, oskarżających go o zdradę państwa i dynastyi, listach Ramsaya, przesyłanych do Petersburga. Bądź co bądź dla tych, czy innych powodów, których nie znamy, Ramsay został usunięty reskryptem cesarskim z d. 30 marca, otrzymawszy w nagrodę „za sławne swoje usługi“ (słowa reskryptu) oznaki brylantowe orderu św. Aleksandra Newskiego i pozwolenie udania się za granicę¹⁾.

¹⁾ N. Berg, Zapiski III, 158, opowiada, że Ramsay miał kilka starć z Wielopolskim, i że wskutek tego nagle prosił o uwolnienie, mówiąc, że w razie przeciwnym może złamać przysięgę i odmówić posłuszeństwa W. Księciu. O starciach z Wielopolskim, Lisicki

Gdy w Petersburgu zdecydowano się na usunięcie Ramsaya, poczęto szukać na wszystkie strony człowieka, któryby go mógł zastąpić, i który w razie, gdyby ostatecznie przyszło do tego, że pobyt W. Ks. Konstantego w Warszawie okazał się niemożliwym, mógł zasiąść na stołcu namiestnikowskim w Królestwie. W licznym tłumie różnych jenerałów, zapelniających stolicę Caratu, trudno było znaleźć człowieka, któryby z charakterem silnym, zdecydowanym, nie cofającym się przed niczem, łączył przyzwoite formy człowieka ucywilizowanego. Dziki, okrutny, z zaplamioną przeszłością, z mongolską twarzą i mongolskiem obejściem Murawiew, nie był możliwy w Warszawie. Obok tego nie każdy zdecydowałby się na zajęcie stanowiska, na którem trzeba było gnębić naród nieszczęśliwy i krwią jego mazać sobie ręce, i w tem leżała główna trudność wyboru. Około tego wyboru miały stoczyć ze sobą zażartą walkę dwa stronnictwa, dobijające się teraz władzy w Petersburgu. Stronnictwo reform, stronnictwo Zapadników, pragnące szybkiego stłumienia powstania, ale chcące utrzymać w Polsce autonomię, wysuwało na stanowisko wodza naczelnego w Warszawie hr. Sumarokowa, który służył niegdyś w Warszawie, był zwolennikiem reform, a co najważniejsza, był dobrze dla nas usposobiony. Była chwila, że zdawało się, iż kandydat ten weźmie górę. Komendant Warszawy, książę Bebutow, otrzymał nawet list od Sumarokowa, który prosił, by dla niego przygotowano mieszkanie w Warszawie. Wieść o tem wywarła jak najgorsze wrażenie na całą tę klikę jenerałów, którzy ostrzyli sobie zęby, którzy gotowali się do wywrócenia w Polsce wszystkiego do góry nogami. Najpotworniejsze plotki rozpuszczono o Sumarokowie¹⁾, oskarżano

nie nie wspomina, rzecz więc wydaje się wątpliwą; prośba zaś o uwolnienie była zwyczajną formą, zawsze zachowywaną, ilekroć jaki dygnitarz miał być usunięty.

¹⁾ P. P. Karcow w swych «Wspominaniach o grafie Fedorze Fedorowiczu Bergu» (Ruskaja Starina z r. 1883 p. 312), opowiada o tych plotkach, że między innemi «w Warszawie obiegała wieść,

go o sprzyjanie „panam, księdzom i szlachcie“ i użyto wszelkich środków, wszelkich intryg, by obalić tę kandydaturę. Rzecz prosta, że dążność ta znalazła gorące poparcie w stronnictwie nam wrogiem Samobytników, którzy z ponurą zaciętością dążyli do powstrzymania reform i do oddania Polski na pastwę rabusiom jenerałom i zrobienia z niej pola dla eksperymentów nihilizmu. Na razie partya ta, przeszkadzając wszelkimi siłami kandydaturze Sumarokowa, szukała na wszystkie strony jenerała, któryby pod formą przyzwoitą zabrał się do zdeptania Polski, a co najważniejsza, był podatnem narzędziem w ręku Samobytników. Wybór, powtarzamy, przedstawiał mnóstwo trudności.

Był wtedy w Petersburgu jenerał zapomniany zupełnie, uważany powszechnie za człowieka, który swą karierę służbową zakończył, zajmujący niby dygnitarskie, a jednak nie nie znaczące stanowisko prezesa Akademii Mikołajskiej, a który gorąco pragnął odegrać jeszcze jakąś rolę. Jenerałem tym był Fiedor Fiedorowicz Berg. Był to już starzec siedemdziesięcioletni (ur. 1793 r.) z przeszłością bardzo podejrzaną, bardzo awanturniczą, pełną przygód najdziwniejszych, najdziwniejszych misyi i czynów. Zawiedły, suchy, z twarzą pomarszczoną, pergaminową, z rudą peruką na lysej jak kolano głowie, z krótko podstrzyżonemi wąsami, wyczernionemi zawsze starannie i z fantazyą do góry zakręconemi, umalowany jak zalotnica, opięty w ciasny gorset, objawiał niezwykłą w tak późnych latach żywość i prawie młodzieńczą ruchliwość. W wieku, w którym inni ludzie, zwłaszcza po życiu tak czynnem i pełnem przygód, jakie miał Berg, okazują chęć spoczynku i ciszy, on przeciwnie pragnął ciągle szerokiej

jakoby Sumarokow mówił w Petersburgu, że dla położenia końca powstaniu i dla uspokojenia kraju, należy przedewszystkiem znieść cytadelę i zburzyć pomnik na Saskim placu, postawiony na chwałę «poległym za wierność swojemu Monarsze». Karcow tej plotce, nie mającej za grosz sensu, wierzy zupełnie, bo dodaje od siebie taką uwagę: «i mówiono to wtedy, gdy Polacy nocami napadali na śpiące kompanie, a w dzień z poza węgla mordowali Rosyan».

areny działania. Był jenerałem adjutantem, jenerałem broni, członkiem Rady stanu, osiągnął więc jedne z najwyższych stanowisk w państwie, i mógł w tak późnym wieku spocząć na laurach, ciężko zaiste zdobytych. W duszy jednak tego potomka inflanckich rycerzy mieczowych¹⁾ żarzyła się nieukojona, niezem nienasycona żądza zaszczytów, władzy, majątku, nieprzeparta ambicja karyerowicza w wielkim stylu. W gruncie rzeczy był to typ szpetny i wstrętny Niemca, wykarmionego bizantyńskimi ideami oryentalnie despotycznego Caratu, ale mimo to dla badacza usposobień i nieprawości ludzkich, typ bardzo interesujący. Był on bowiem bijącym w oczy dowodem, jak dalece charakterzy ludzkie psują się i paczą pod rządem despotycznym. Syn ubogiego szlachetki inflanckiego, bez majątku, bez protekcji, potrafił jednak w długim swem życiu, dobić się naj-

¹⁾ Za takiego mają go pisarze rosyjscy, ale zdaje się, że jest to nieco wątpliwem. W r. 1866, niewiadomo dlaczego, Berg począł poszukiwać swych przodków i przyczepił się do jakiegoś Berka, kasztelana inflanckiego w XVII wieku. Oto, co o tem pisze *Julian Bartoszewicz* w swym rękopiśmiennym pamiętniku pod d. 18 marca 1869 r.: «... przed laty trzema, czterema, przychodził do mnie znajomy urzędnik, Polak, z biura namiestnika z zapytaniem, czy nie mam czasem *Zaluskiego Epistolae historico-familiares*. Miałem je. Wtedy wskazał na tom listów tych i stronnicę i prosił o wypis. Nie było go z tydzień, może więcej. Wraca i powiada, że w całym biurze nicma nikogo tak mądrego, któryby ten wypisany ustęp mógł wytłumaczyć na polskie. Prosił więc o przetłumaczenie. I dowiedziałem się z tej okoliczności, że to p. Berg robi takie u mnie poszukiwania. W ustępie owym była rzecz o sejmie za Jana III i o kasztelanie inflanckim, który na nim głos podniósł w jakiejś malej sprawie. Ustęp był 15-to wierszowy, o kasztelanie trzy wiersze. Otóż ten kasztelan nazywał się Berk (Władysław Franciszek). Pan Berg miał go za swego przodka i poszukiwania robił, wyrabiał sobie widać swoje drzewo genealogiczne. Berg wyszedł tedy na Polaka».

Jeżeli więc teraz szukał swych przodków i chwytal się owego kasztelana Berka, to świadczy, że historia jego pochodzenia od kawalerów mieczowych jest jedną z tych bajek, które zawsze w miarę potrzeby o sobie rozpuszczał. Adjutant Berga von Wahl zapewnia (*Russ. Starina* z r. 1879 p. 704), że rodzina Bergów miała pochodzić z Westfalii i w XVI wieku przeniosła się do Inflant.

wyższych godności w państwie. Zawdzięczał to przede wszystkim swej naturze naginającej się do wszystkiego, nawskróś egoistycznej, przed niczem nie cofającej się, bezprzykładnemu szczęściu i rzadkiemu talentowi korzystania z przyjaznych okoliczności. Kampania 1831 roku była jedną z takich okoliczności, z której ten umysł przebiegły, obrachowujący każdy krok, umiał dla siebie wyciągnąć wielkie korzyści. Zdarzyło się, że w chwili, gdy Paskiewicz podstąpił pod Warszawę, wysłano d. 17 sierpnia ze strony polskiej rekonesans, złożony z dwu niekompletnych batalionów pieszych, dwu szwadronów jazdy i tyluż działek po szosie kaliskiej, pod wodzą Francuza, pułkownika Gallois. Berg, znajdujący się przy przednich strażach rosyjskich, od razu zrozumiał, że zaatakowawszy tę garść przeważnemi siłami jazdy, w okolicy płaskiej i bezleśnej, zdoła ją znieść i zyska sobie sławę roztropnego, energicznego i umiającego się oryentować jenerała. Jakoż na czele trzech pułków jazdy, kilku setek kozaków i czterech dział konnych, opadł dokoła dwa słabe bataliony polskie pod wsią Broniszami i pomimo walecznego oporu, rozbił i zabrał do niewoli. To małe, bez większego znaczenia zwycięstwo umiał wyzyskać szeroko. Działal on zawsze na pewno i tam tylko okazywał animusz wojenny, gdzie widział, że tryumf jest nieodzowny. W dniu 6 września, gdy nędzny okop wolski, zorany kulami przemożnej działobitni rosyjskiej, oskoczony z boków i czoła przez szturmujące kolumny nieprzyjacielskie, w ostatnim, heroicznym wysiłku konwulsyjnie się opierał, Berg, pewny, że doprowadziwszy do szanca świeże posiłki, dobieje do reszty garstkę walecznych i zyska sobie sławę zdobywcy głównej reduty polskiej, porwał dwa pułki piesze i obszedłszy okop od tyłu, gdzie obrońców prawie nie było, jednym wyteżonym skokiem przesadził wały i w łatwym tryumfie szturm dokończył. W zdradzieckich, a przynajmniej filisterskiem zniechęceniem nacechowanych pertraktacjach o poddanie Warszawy, dyszącemu resztą swych sił bojowych, Paskiewiczowi, Berg główną i bardzo wybitną odegrał rolę, pełną

podstępów i wykrętów, kłamstw i oszukaństw, tak zresztą brzydką i w zasadniczej swej osnowie niemoralną, że nie każdy by się jej podjął. By jednak te czyny, rozbicie dwu batalionów polskich pod Broniszami, taranowe doskoczenie do szanca wolskiego i podstępnie uzyskane poddanie się Warszawy, nie zginęły w blasku rosnącego niepomierne słońca Paskiewiczowskiego, Berg wyszukał sobie zdolnego, ale sprzedajnego, o nikczemnej duszy pisarza Niemca, Fryderyka Smitta, który w trzytomowej historii powstania polskiego, historii przepelnionej żmijowato-krzyżackim jadem nienawiści do nas, nie omieszczał wysoko podnieść bohaterskich działań Berga i przekazać je nie tyle pamięci potomnych, ile uwadze sfer rządzących w Petersburgu, o co oczywiście głównie chodziło...¹⁾ W r. 1861 jakby dla naocznego okazania zapomnianych już nieco zasług swoich, może w głębi duszy rojąc zamiary ponownego odegrania roli w „buntującej się” Polsce, Berg niemieckie dzieło Smitta kazał przetłumaczyć na język rosyjski, by już nie tylko rząd, ale cała społeczność rosyjska wiedziała, jakiego znakomitego męża ma pośród siebie.

Te zasługi wojenne jednak, nie byłyby zrobiły Berga głośnym, a nadewszystko potrzebnym dla rządu, gdyby

¹⁾ Berg miał jedną rzadką zaletę, że pamiętał i wdzięczny był ludziom, którzy mu kiedykolwiek jaką przysługę wyrządzili. Zostawszy namiestnikiem w Królestwie, wezwał do Warszawy syna Smitta, młodzieńca liczącego około 20 lat, dał mu posadę w Komitecie Urzędującym, mieszkanie w Zamku, a nawet postarał się o majorat dla niego. Bronisławowi Dąbrowskiemu, który w 1846 r. ocalił Berga w Poznaniu od śmierci, postarał się o zwrot skonfiskowanych dóbr kuflewskich. Wiemy jeszcze o jednym takiej wdzięczności fakcie. W r. 1831 Berg znalazł się na Pradze pod Warszawą, wysłany tutaj przez policję polską, zdolał schronić się do jakiegoś domu, którego gospodarz, zdjęty litością, ukrył szpiega i dopomógł mu później do wydostania się z miasta. Zostawszy namiestnikiem, Berg odszukał owego zbawcę swego, jeszcze żyjącego, przyjmował go w Zamku. Okazywał mu wiele względów i za jego wstawiennictwem niejednego uwolnił od śmierci lub Sybiru.

nie talent szpiegowski, doprowadzony do zdumiewającej perfekcji, do poświęceń nadzwyczajnych, godnych zaiste lepszej sprawy. Już przed powstaniem polskim zyskał sobie na tem polu sławę niepospolitą. Jeszcze w czasie wojny 1812 roku, będąc jako junkier w oddziale rosyjskim Lewiza, umiejętnie i podstępnie, przebrany za chłopą łotyskiego, zbadał pozycję Prusaków pod Dalenkirchen i dał możność łatwego, a jak w tej wojnie prawie jedynego, stąd nad miarę rozgłośnego zwycięstwa. Po wyruszeniu armii rosyjskiej 1813 r. do Niemiec, rozpoczął się dla Berga szereg tajnych misji i szpiegowskich przedsięwzięć. Jako Niemca, mówiącego doskonale swym językiem, dodano go do partyzanckiego oddziału pułkownika Bendorfa, który zajmując Rotenburg wysłał Berga na wyspę Helgoland, by wyjednać u władz angielskich przysłanie 10 tysięcy sztuk broni dla Hamburga. Wyprawę tę, arcy-niebezpieczną, odbył w osobliwszy sposób, na łodzi rybackiej, zaszyty w worek, jak towar. W czasie tej podróży cierpiał w worku na straszliwą morską chorobę, ale swoje zrobił; dokonywał i innych podobnych wypraw, zyskiwał sobie imię, zaszczyty, order. Odtąd prawie wyłącznie poświęca się rzemiosłu szpiegowskiemu i z żelazną wolą, niezachwianą wytrwałością je pełni. W r. 1815 szpieguje Polaków na Litwie, przebrany za chłopą, brodzi bez butów po lasach i bagnach i tak dalece brakuje mu zmysłu moralnego, poczucia tego, co jest godziwe lub nie, że w późnej starości chwali się z tych czynów, uważa je za zasługę¹⁾. W kilka lat potem wysłano go do Włoch, by śledził spiski Karbonarów i tutaj zakochał się w hrabinie Annoni, i ten młodzieniec, który dotąd nie wiedział, co to

¹⁾ N. Berg, Zapiski III, 145, opowiada pod tym względem anegdotę następującą: „Berg, jadąc pewnego razu z Petersburga do Warszawy w jednym wagonie z jeneralem Pawłem Petrowiczem Kurcewem (naczelnikiem dywizji, stojącej wtedy w gub. Radomskiej), pokazał mu ręką na pewną miejscowość w pobliżu Wilna i rzekł: „Był czas, gdym chodził tu boso”. Szczegół ten historyograf rosyjski miał od samego Kurcewa.



jest miłość, bo z nadzwyczajną wstrzemięźliwością, z zimnem obrachowaniem unikał dotąd kobiet, czemu, jak sam później się chwalił, zawdzięczał długie życie i starość pozabawioną dolegliwości, tak dalece zapomniał o wszystkim, że nie wrócił do Rosyi w oznaczonym terminie i z rozkazu Cesarza otrzymał dymisyę. Ale był on podobny do kota, który zrzucony z wysokości, choćby najznaczniejszej, zawsze na łapy pada. Odzyskał niebawem łaski i jako członek poselstwa wyjechał do Konstantynopola i tutaj dawne swoje szpiegowskie rzemiosło rozpoczął. Polecono mu mianowicie zdjąć mapę Turcyi. Puścił się więc pod najrozmaitszemi przebraniami, to kupca, to żebraka, to derwisza w głąb kraju, włóczył się z kąta w kąt, znosił tysiące niewygód i przykrości, tak, że z kretesem ołysiał, ale mapę zdjął. Mówiono wprawdzie, że mapę tę kupił, czy też wykradł z ambasady angielskiej i za swoją udał. W r. 1846, roku rewolucyi, otworzyło się obszerne pole dla talentów Berga. Wysłany do Niemiec, zagrożony wykryciem, zawrócił do Rosyi i znalazł się, przebrany jak zwykle, w Poznaniu, gdzie oczywiście nie tracił czasu, ale po dawnemu szpiegował. Poznany jednak przez Bronisława Dąbrowskiego, syna generała, posłuchał dobrej rady i co prędzej wyniósł się cały i zdrowy.

Taką była karyera Berga. Został generałem adjutantem, zajmował jakiś czas stanowisko gubernatora jeneralnego w Finlandyi, gdzie otrzymał tytuł hrabiowski, a teraz, dzięki pierwszemu zwycięstwu Samobytników, niestety! i nie ostatniemu, wydobyto go z zapomnienia i posłano do Warszawy. Znając jego charakter, jego nienasyconą żądzę władzy, nie możemy wątpić, że mnóstwem dróg krętych, w których wynajdywaniu był mistrzem, sam się przyczynił wiele do tego swego wyniesienia. Są ślady, że raporta, a raczej oskarżenia W. Księcia, które Ramsay i inni frondujący generałowie wysyłali do Petersburga, szły na ręce Berga, a on z nich z pewnością bardzo umiejętny robił użytek. Powziąwszy z góry zamiar podkopania się pod W. Księcia i obalenia go, umiał sobie zyskać Ramsaya,

który głośno wychwalał Berga i wołał o nim, że „jest to człowiek, który z całą grzecznością wielkiego pana, umie zadawać potężne ciosy“. Udzielając pod sekretem wiadomości o tem, co się dzieje w Warszawie, niższym dygnitarzom petersburskim, o których wiedział, że nieomieszkają zakomunikować ich Cesarzowi, Berg zapewne jednocześnie wskazywał na Ramsaya, jako na człowieka niemożliwego w Polsce, choćby dlatego, że stoi w otwartej wojnie z W. Księciem, na czem oczywiście tylko sprawy i interesa państwa tracą. Ze zręcznością artysty intryganta pracował cicho, skrycie nad podkopaniem tak przyjaciela, jak i nieprzyjaciela, by obu obalić i samemu ich miejsce zająć; korzystał z naiwności i tępej głowy Ramsaya, który własnymi rękami grzebał dla siebie przepaść, w którą spaść miał z wyżyn naczelnego wodza w Królestwie.

W Warszawie nie widziano już dawno Berga, od kilkunastu co najmniej lat i z ciekawością przypatrywano się temu nowemu aktorowi, występującemu na tragiczną scenę polską i mającemu pierwszorzędną na niej rolę odegrać. Ale na pergaminowej twarzy tej zaschłej mumii, ożywionej tylko dużemi, bystremi, przenikliwymi oczami o czerwonym odcieniu, nie nie można było wyczytać. Wszakże było wielu takich, którzy doskonale znali nowego pomocnika wicekróla warszawskiego i którzy wiedzieli, co o nim trzymać i czego się spodziewać należy. Wiedzieli, że nie trzeba ufać słodkiemu uśmiechowi tej pobielanej, jak grób stary, twarzy, gdyż wszystko w tym człowieku było fałszem, poczynawszy od peruki i uśmiechu, aż do imienia własnego. Jak dane mu na chrzcie w jakiejś kirsze luterskiej czysto niemieckie imiona Fryderyka Wilhelma Remberta zmienił na rosyjskie prawowierne Fiedora Fiedorowicza, tak i swoje słodkie, dobrotliwego staruszka uśmiechy mógł lada chwila wcielić w groźne wejrzenie satrapy samowładnego. Luter z wyznania, jak wszyscy Inflanccy, okazywał gorliwość nadzwyczajną w wypełnianiu obrządków urzędowej cerkwi prawosławnej. Po swem przybyciu do Warszawy stale zjawiał się na wszel-

kich nabożeństwach w cerkwi zamkowej i w soborze głównym na placu Krasieńskich, zawsze, nawet w upalne dni letnie, ubrany w szary płaszcz wojskowy starego kroju, w mnóstwie orderów tak rosyjskich jak i obcych, stawał na uboczu, ale tak, by go wszyscy widzieli, kłaniał się, gdy trzeba się było kłaniać, przykładał jak schizmatyk prawowierny, całował krzyż błahocześciwy, żegnał się nieco niewyraźnie, ale bardzo ostentacyjnie, słowem, był najprawosławniejszym między prawosławnymi. Mówił teraz zwykle po francusku, bo do charakterystyki tego dygnitarza rosyjskiego, tego zbawcy „starej matuszki Rosji“, jak go niebawem zwać będą obok Murawiewa, i to dodać należy, że nigdy nie nauczył się dobrze mówić po rosyjsku, ale o ile w początkach swej kariery głośno się odzywał, że dałby pół życia za dobrą wymowę rosyjską, to teraz, gdy stanął na szczycie, jak słusznie historyograf rosyjski uważa, nie dałby i dnia jednego¹⁾ i stale używał języka francuskiego. Zamieszkał on z początku w pałacu na ulicy Bielańskiej, obok meunicy i stamtąd codziennie rano jeździł do Zamku i już jak cień nie odstępował W. Ks. Konstantego, deptał mu nieomal po piętach. Towarzyszył mu wszędzie, na przeglądy wojska, na zabawy, do cerkwi, na przejażdżki, konno, pieszo, powozem. Zawsze wyprostowany, opięty, wymalowany i wyczerniony, okazywał młodzieńczą nieomal wytrzymałość²⁾. Chodził krokiem elastycznym, pewnym i tak szybko, że towarzyszący mu młodzi adju-

¹⁾ N. Berg, Zapiski III, 144.

²⁾ J. Jelec. Istoria lejbgwardii Grodzieńskiego gusarskiego polka I, 319, opowiada, że pewnego dnia w lipcu 1863 r. Berg znajdował się wraz z parą wielkoksiażką na jakiejś uroczystości pułkowej huzarów grodzieńskich w Łazienkach. Wieczorem oficerowie konno towarzyszyli W. Księciu i jego żonie, powracającym do Zamku, a między nimi i Berg także. Wyciągnięty klus dla 70-letniego starca musiał być bardzo męczącym, jednakże dotrzymał placu. W. Księżna, donosząc o tem Następcy tronu, W. Ks. Mikołajowi, pisała: «Błagaliśmy nieporównanego (*incomparable*) hr. Berga, który dla nas jest tak wielką podporą i pociechą, aby się nie narażał na takie zmęczenie, ale trzymał się dobrze i towarzyszył nam aż do Zamku».

tanci, ledwie nadażyć za nim mogli. Dworacy zamkowi, jeneralicya rosyjska widząc w Bergu niewątpliwego następcę na tron namiestnikowski warszawski, usiłowała go wybadać, odgadnąć, co pod tą malowaną maską starej mumii się kryje, ale nigdy nie się dowiedzieć nie mogła. Gdy się przed nim uskarżano na zły przebieg spraw, uśmiechał się, ruszał ramionami, ale milczał; niekiedy tylko do bardziej zaufanych, albo może w chwili, według jego zdania, właściwej dla wypowiedzenia opinii, mówił: „czekajcie... jak tylko W. Książę odjedzie, zaczniemy tak postępować“, i palcem robił znak wieszania, czemu zawsze towarzyszył słodki, uprzejmy uśmiech. Od czasu do czasu, temu i owemu szeptał do ucha: „widzę, że oprócz mnie, W. Księcia, a może... i Wielopolskiego, wszyscy należą do Rządu narodowego“. Wyrazy te były bardzo znaczące, zwłaszcza co do Wielopolskiego, który „może“ nie należał do spisku. Słuchano tego wszystkiego pilnie, powtarzano sobie i usilnie przypatrywano się nowemu namiestnikowi pomocnikowi. Stale bywał on teraz obecnym przy raportach, składanych codziennie W. Księciu; słuchał ich bacznie, ale nigdy, a przynajmniej bardzo rzadko się odzywał. Zapytany o zdanie lub radę, odpowiadał wymijająco, że „nie wie... nie zna dobrze położenia rzeczy... nie ma co do tego lub owego ustalonej opinii“ i t. p. Wzywany na rozmaite narady, siedział swoim zwyczajem milczący, a niekiedy nawet zasypiał i co gorsza chrapał, ale ci, którzy mu się baczniej przypatrywali, zauważyli, że od czasu do czasu otwierał swe czarne, przenikliwe oczy i obrzucał nimi niepostrzeżenie radzących. Istny lis z bajki, udający nieżywego, by nieostrożne ptactwo tem łatwiej chwycić.

Takim był człowiek, którego dano do pomocy W. Ks. Konstantemu. Berg wiedział o tem doskonale, że wcześniej czy później przestanie być pomocnikiem tylko, a zostanie panem samowładnym w Polsce¹⁾, wiedział o tem

¹⁾ P. P. Karcew w cytowanych «Wspominaniach o grafie F. F. Bergu» przytacza zdanie tego ostatniego o pomocnikach: «cho-

i W. Księżę, a choć żona jego „nieporównanego hr. Berga“ nazywała w listach „wielką podporą i pociechą“ dla swego męża, jednakże oboje z ukrywaną, tem przeto głębszą niechęcią, musieli patrzeć na tę uśmiechniętą, milczącą, snującą się wszędzie, niby cień zdradliwy, postać. Pojawienie się jej mówiło im na każdym kroku, że dni ich pobytu w Warszawie są policzone, że jeżeli okoliczności się nie zmieniają, a nadewszystko jeśli rokosz polski nie zostanie stłumiony, będą musieli opuścić to Królestwo polskie, o którego pięknym, choć małuczkim tronie tak słodko dotąd marzyli¹⁾. Odrzucenie amnestyi przez powstańców,

ciężbyś pan był w najprzykrzejszym położeniu (mówił Berg), nie żądam nigdy, by ci dano pomocnika. Mianowanie pomocnika jest jednoznaczne z rozkazem pakowania swych rzeczy«. Nominacya więc na adlatusa W. Księcia była dla Berga jasną i wiedział czego się trzymać.

¹⁾ Jakkolwiek dokumentami dowieść się nie da, że W. Ks. Konstanty (a zwłaszcza jego ambitna małżonka) pragnął utworzyć dla siebie osobny tron polski, bo takie tajne, w głębi duszy ukrywane marzenia piśmiennych dowodów nigdy nie pozostawiają, jednakże jest kilka pośrednich danych, które każą rzecz tę uważać za bardzo prawdopodobną. Pominąwszy już pogłoski, obiegające wśród jenerality warszawskiej, o których we właściwym miejscu wspomnieliśmy (patrz tom I, 337), zaznaczyć tu należy napomknienia, pomieszczone w dzienniku «zmarłego dyplomaty» (*Die polnische Revolution vom Jahre 1863. Deutsche Revue* z 1892/3 r.), który o tem, co mówiono wtedy w Warszawie i Petersburgu, był doskonale poinformowany. Jakkolwiek nie wiemy, kto był tym «dyplomata» (przypuszczamy, że był nim jeneral pruski v. Treskow, stale teraz rezydujący w Warszawie), w jego pamiętnikach spotyka się wiele fałszywych podań, jednakże znajdujemy tam także mnóstwo wiadomości z jak najlepszego źródła czerpanych, a nadewszystko bardzo bystrą i przenikliwą ocenę ludzi i wypadków. Z tego powodu nie przywiązując zbyt wielkiej wagi do sądów dyplomaty, nie możemy im jednak odmówić pewnego znaczenia. Oto co on o tem pisze (p. 341): «Mniemam, że małżonka W. Księcia wolałaby być gdziekolwiek bądź pierwszą, jak drugą w Rosyi. Nie przypisuję wcale W. Księżnie usposobienia nielojalnego, ale zdaje mi się, że dość chętnie widziałaby taki układ wypadków, ażeby z obszernych posiadłości Cesarza, a jej szwagra, jakaś część przypadła dla jej męża w postaci osobnego państwa. Dalej ambicya W. Księżnej nie sięgała. Stąd łatwo

interwencya mocarstw zachodnich rozbijała doszczętnie te marzenia. Stronnictwo Samobytników w Rosyi, coraz uparciej i gwałtowniej dobijające się władzy, zdecydowane na zdeptanie Polski, widziało jedyną ku temu przeszkodę w W. Księżu i postanowiło go bądź co bądź obalić. Wysławszy do Warszawy Berga, a do Wilna Murawiewa, upojone tymi pierwszymi tryumfami, rosnące w siłę, zaciekle w swym moskiewskim fanatyzmie pseudo-patryotycznym, rozpoczęło teraz upartą, podstępą, pełną zasadzek i zdrad wojnę z W. Księżem. Do tego celu użyto Karkowa i jego *Moskiewskich Wiadomości*. Zaczęły one systematycznie napadać na sposób rządzenia Polską, porównywały go z tym, jaki zaprowadzony został na Litwie przez Murawiewa i który wydał „tak zbawienne skutki“; domagały się usunięcia W. Ks. Konstantego, acz zawsze bardzo

zrozumieć, że gdy szło o stłumienie powstania polskiego, radziła tak postępować, ażeby utrzymanie władzy rosyjskiej w Królestwie polskim stawało się coraz wątpliwszem».

Ale oprócz tych danych, posiadamy jeszcze kilka niezaprzeczonej autentyczności faktów, rzucających jasne światło na skryte myśli tej ambitnej wielkoksiażącej pary. Autor niniejszego posiada wyciągi dosłowne z oryginalnych pamiętników doktora Feliksa Szokalskiego, głośniego w swoim czasie okulisty w Warszawie, który był często do chorych na oczy dzieci W. Księcia wzywany do Zamku, lubiany tam bardzo i dopuszczany nieraz do pewnej poufalości. Otóż opowiada on, że w kilka tygodni po przyjeździe na świat młodego Wacława, Szokalski został wezwany do Zamku i wprowadzony do gabinetu W. Księżnej. «Zastalem ją, mówi pamiętnikarz, siedzącą na sofie z dzieckiem na kolanach. Kazala mi jego piękność podziwiać, «ale co z niego będzie?» zaraz zawolala. «To już leży w rękach Opatrzności» odrzekłem, «ale zdaje mi się, że Cesarowski bratankowi przyszłość stoi otworem». Spojrzała mi bystro w oczy i rzekła z półuśmiechem: «a może to będzie król polski». «Bodaj się święcili słowa Waszej Wysokości» odrzekłem jej na to, ale czując, żeśmy oboje powiedzieli za wiele, przeszliśmy natychmiast do innego przedmiotu. Ma się rozumieć, że oprócz moich najbliższych, nikomu nie wspominałem o tej rozmowie».

W pamiętnikach Emila de Sayn-Wittgensteina, jednego z kątów polskich w tej dobie, znajdujemy list jego do rodziców z d. 24 czerwca (II, 119), w którym pisze: «Żeby dać wam przykład energii

ostrożnie i oględnie, boć przecie ten W. Książę był członkiem rodziny cesarskiej, którą prawa i przepisy surowe broniły od wszelkich bezpośrednich i otwartych napadów gazeciarskich. Ale dziennikarze rosyjscy, podobnie jak polscy w Warszawie, pod naciskiem cenzury, nabyli umiejętności mówienia o wszystkim między wierszami, tak, że cenzor nie miał się do czego przyczepić, a czytelnik domyślny wiedział doskonale, o co idzie. Tego to podstęp użył z wielką zręcznością Katkow, niewątpliwie dziennikarz zdolny, ale przewrotny nadzwyczajnie. W całym szeregu artykułów wstępnych i korespondencji z Warszawy stale i systematycznie wykazywać usiłował, że rządy W. Ks. Konstantego są niemożliwe, są zgubą dla Rosyi i główną przyczyną, że powstanie od razu stłumione nie zostało. Punktem wyjścia dla niego, jak wogóle dla Samobytników, dążących do opanowania władzy, była nieszczęsna

W. Księżnej i jej zręcznych słów, oto przykład, który mi opowiedział na gorąco wieczorem ostatniej niedzieli. Wiedząc, że jest bardzo oburzona przeciw arcybiskupowi Felińskiemu, który, będąc pokornym wobec W. Księcia, nagle rzucił się w objęcia powstania, minister spraw wewnętrznych (Ostrowski?) próbował wobec W. Księżnej zmniejszyć winę tego świątobliwego męża. Na to W. Księżna odrzekła: «Nie chcę ani widzieć, ani słyszeć o waszym arcybiskupie. Zadał on kłam swym obowiązkom i naszemu panu, Cesarzowi. Przeniewierzył się sztandarowi. Możesz mu pan powtórzyć moje słowa. Co do jego utopii, nie mają one sensu i jestem o wiele wyżej postawiona jako W. Księżna rosyjska, niż żebym miała na głowie waszą koronę polską».

Już samo głośnie i publiczne wypieranie się tej myśli, pogardliwe jej traktowanie dowodzi, że zamiary takie żywiono, że je pieszczono w głębi duszy. Lafontaine w swej nieśmiertelnej bajce o lisie i winogronach zaznaczył ten naturalny objaw psychologiczny, że usiłujemy okazywać lekceważenie dla tego, czego osiągnąć nam się nie udało. Być W. Księżną rosyjską, zapewne jest rzeczą bardzo piękną, a nawet zaszczytną, ale o ileż piękniejszą i zaszczytniejszą rzeczą być królową polską! Małżonek W. Książąt jest wiele, ale królowa polska byłaby tylko jedna. Nie dziwimy się wcale, że Aleksandra Józefówna przekładała być pierwszą w Warszawie, jak druga w Petersburgu. Niestety! błędy i zaślepienie polskie zmarnowało tę zbawienną dla nas ambicję W. Księżnej rosyjskiej.

interwencya dyplomatyczna. Już w końcu kwietnia Katkow, zaznaczając owe mniemane obudzenie się ducha rosyjskiego, które w gruncie rzeczy było sztucznym wytworem rządowym, w jednym z artykułów wstępnych swego dziennika (Nr 83) wołał, że teraz należy Rosyi postępować ze stanowczością. „Nasza działalność, pisał, winna być skierowana nie ku temu, żeby dogodzić temu lub innemu państwu, zyskać sobie taki lub inny odcień opinii europejskiej, podburzonej na nas przez agitację sztuczną... ale ku temu, żeby bądź co bądź bunt stłumić“. Ale dla stłumienia buntu nie tyle jest potrzebnem rozbijanie band powstańczych, ile silna i lojalna administracya. A administrację tę w Królestwie Katkow uważa za zupełnie złą i wrogą Rosyi. „W Europie, powiada, to nam właśnie zarzucają, że w Warszawie, w której skoncentrowany jest zarząd całego kraju, w Warszawie, zajętej przez wojsko i będącej w stanie oblężenia, dotąd istnieje komitet rewolucyjny, i jego rozkazy, wydawane w celu podtrzymania powstania, wykonywane są lepiej i trafniej, jak rozporządzenia rządu legalnego, wydawane w celu położenia końca buntowi“. Skoro więc tak jest, skoro administracya kraju jest zła i nieudolna, to domyslać się należy, że temu jest winna władza naczelna, czyli W. Ks. Konstanty. Ale nie poprzestał na tem przebiegły dziennikarz i w tymże samym artykule wołał, że w tej chwili wszelkie ustępstwa na rzecz narodowości polskiej, będą zgubnymi tak dla Polski, jak i Rosyi. „Wojna, to wojna (pisze); stan wojenny, to stan wojenny. W obecnem położeniu rzeczy rząd ma zupełnie uzasadnione prawo ześrodkować wszystką władzę w Królestwie Polskiem w rękach ludzi, niedostępnych wpływowi patryotyzmu polskiego i groźbom rewolucyjnym“. Czytelnik w tych słowach łatwo spostrzegł, że te ustępstwa tak niby zgubne dla Polski i Rosyi, czyni W. Ks. Konstanty; że tym człowiekiem, ulegającym wpływom patryotyzmu polskiego, że, jednym słowem, główną przeszkodą do ostatecznego pokonania „buntu polskiego“, jest tylko książ wielki rosyjski, nikt inny, tylko on jeden.

Odtąd, zwłaszcza od połowy maja, nie było prawie numeru *Moskiewskich Wiadomości*, gdzieby wprost lub ubocznie nie zaczepiano rządu warszawskiego, gdzieby nie rzucano nań oskarżeń o jakąś szczególną względność dla powstania, o liberalizm, o to, że władze cywilne działają wprost na szkodę władz wojskowych. „Kraj jest ogłoszony, jako będący w stanie wojennym, pisze (Nr 96); nigdy i nigdzie w takim stanie zarząd cywilny nie korzysta z zupełnej niezawisłości, a tymczasem w Królestwie Polskim, wobec wrogiego usposobienia większej części urzędników względem wojska, zarząd cywilny zachował swą niezależność. Kraj jest w stanie wojennym, a księżom pozwalano wygłaszać w kościołach kazania o tem, że mordowanie Rosyan jest rzeczą świętą“. Twierdził, że rząd warszawski nie jest patryotyczny, że wojsko czyni co może i jeżeli powstanie trwa dalej, to znaczy, że rząd ten nie rozwinął przeciw niemu akcji na tych punktach, na których ludzie działają nie bronią, ale środkami pokojowymi i siłą moralną. „Nie zapominajmy (wołał w Nrze 121), że kwestya polska jest kwestyą narodowościową, że walka toczy się nie między narodem polskim i rządem rosyjskim, ale między patryotyzmem polskim i rosyjskim. Który z tych patryotyzmów jest silniejszy, ten bierze górę“. A że powstanie trwa ciągle, że komitety rewolucyjne istnieją, więc stąd prosty wniosek, że naczelnicy rządu warszawskiego nie mają w sobie ani krzty prawdziwego, według reguły Katkova, patryotyzmu rosyjskiego. Czytelnik, przeglądając te ustępy, z konieczności musiał się zapytać: więc kiedy tak jest, to dlaczego ten naczelnik, ten W. Książę siedzi w Warszawie i nie ustąpi miejsca komuś, co ma w sobie prawdziwy patryotyzm rosyjski?

Na ten temat rozdwojenia między władzą cywilną a wojskową, będącego w gruncie rzeczy naturalną obroną samorządu Królestwa od zamachów różnych drobnych kacyków, rozdwojenia, co prawda, istniejącego, ale nigdy w takich rozmiarach, jak o tem pisały *Moskiewskie Wiadomości*, choćby tylko dlatego, że władze cywilne miały za

sobą prawa pisane, a rzeczeni kacykowie siłę bagnetów — korespondent tego pisma z Warszawy opowiadał mnóstwo historii, jeżeli nie kłamliwych, to przynajmniej mocno przesadzonych i tendencyjnie zabarwionych¹⁾. Katkow korespondencye te drukował w całości, nie wchodząc w to, czy mają za sobą choćby cień prawdopodobieństwa, gdyż były one wyborną bronią do uderzania na autonomię

¹⁾ Korespondentem tym był niejaki Rotkirch, żandarm, którego później władze powstańcze usiłowały zamordować, jak to we właściwym miejscu opowiemy i który pod pseudonimem Teobalda, wydał w Wilnie, nie bez talentu skreślone, acz przesiąknięte nienawiścią do nas, pamiętniki w ograniczonej liczbie egzemplarzy, tak, że są one dziś rzadkością bibliograficzną. On to w swych korespondencyach systematycznie oskarżał władze cywilne Królestwa o ducha powstańczego i domagał się, by urzędników polskich zastąpić rosyjskimi, w tej nadziei zapewne, że sam zajmie jaką dobrze płatną posadę. Przytoczymy tutaj parę takich oskarżeń dla okazania ich przesady i jaskrawości. W Nrze 145 *Moskiewskich Wiadomości* donosił, że naczelnik wojenny lubelski, generał Chruszczow, na podstawie raportu t. zw. «uczastkowego» naczelnika wojennego w powiecie Zamoyskim i Hrubieszowskim, postanowił usunąć jakiegoś urzędnika «zajmującego jedną z najważniejszych posad miejskich». Żądaniu temu jednak oparł się gubernator cywilny Lubelski, Boduszyński, i odmówił zatwierdzenia na tę posadę osobistości, wyznaczonej przez Chruszczowa.

W innem miejscu Rotkirch opowiada historję następującą: «Gubernatorzy cywilni nie przestają prześladować urzędników wernych rządowi. Naczelnikiem powiatu mławskiego był p. Jakowienko, szczególnie dobrze widziany przez władze wojskowe. Nagle, bez żadnego powodu przeniesiono go do powiatu Łukowskiego. Uczyniono to dlatego, że w powiecie Łukowskim wcale nie było wojska (!!!), podczas gdy w Mławie wojsko stale konsystowało. Oczywiście p. Jakowienko nie chciał jechać na pewną śmierć i z tego powodu o mało nie stracił posady». O gubernatorze Radomskim, Piątkowskim, pisał Rotkirch takie oto niestworzone rzeczy: «Z Radomia donoszą nam, że gubernator tamtejszy, p. Piątkowski (syn jego poległ w bandzie, córka zaś jest za Jordanem, emigrantem i naczelnikiem bandy), następca p. Ostrowskiego, w ciągu kilku dni po objęciu swego stanowiska potrafił rzeczy doprowadzić do tego, że drobni urzędnicy, wierni swemu obowiązkowi, dostali dymisję, a na ich miejsce zamianowano emigrantów». (Czytaj *M. N. Katkow*, 1863 grd. I, 295). Takie to kłamstwa Rotkirch pisał, a *Moskiewskie Wiadomości* je drukowały.

polską i na jej przedstawiciela, W. Księcia. Umyślnie podnosił potęgę tajnego rządu powstańczego, by wykazać nieudolność i niedołęstwo władz autonomicznych polskich; kładł nacisk na słabość powstania zbrojnego, z którym jednak stotysięczna armia rosyjska, dowodzona przez W. Księcia, rady sobie dać nie może (Nr 123); obok tego wynosił wysoko waleczność i poświęcenie tej armii, a stąd już logiczny płynął wniosek, że jeżeli mimo tej waleczności i poświęcenia powstanie nie zostało stłumione, to tylko dlatego, że dowództwo naczelne jest złe i niedbałe. Niekiedy w formie ogólnikowej, bardzo ostrożnej, niemniej przeto „przejrzystej, dawał surowe napomnienia W. Księżu. „W sprawach społecznych (pisał w Nrze 128), ustępstwa dla jednych są zawsze niesprawiedliwością dla drugich. Zawsze czyjeś interesa padają ofiarą, a nikt nie ma prawa poświęcać cudzych interesów. Nieuczciwą jest rzeczą dobijać się popularności cudzym kosztem. Oto dlaczego ustępstwa i pobłażliwość w sprawach społecznych nie zgadzają się nietylko z liberalizmem, ale nawet z uczciwością. Pobłażajcie, jeżeli chcecie, ale na własny, nie zaś na społeczeństwa i ojczyzny rachunek“. W innem miejscu użalał się ze łzami krokodylami nad położeniem W. Księcia w Warszawie, „położeniem (mówił w Nrze 141) smutnem i uwłaczającym Rosyi, tem więcej, że korzystają z niego odstępcy i zdrajcy, przepełniający obecnie administrację Królestwa, którzy rachują na to, że Najdostojniejszy Namiestnik, jako brat Najjaśniejszego Pana, nie może uciekać się do wielu środków, koniecznych w obecnem położeniu kraju“; jasną więc rzeczą było, że dopóki W. Książę będzie w Warszawie, dopóty „odstępcy i zdrajcy“ przepełniać będą administrację Królestwa i dopóty środki „konieczne w obecnem położeniu kraju“, nie będą mogły być użyte. Dziwił się niewdzięczności Polaków dla W. Księcia, „który sam tylko powstrzymuje wybuch oburzenia, jakim przejęci są wszyscy wojskowi“; zaznaczał, że „Polacy wcale nie uznają łaskawości W. Księcia, która stara się złagodzić wszelkimi sposobami ciężar stanu wojennego

i tej dobrej woli, z jaką Książę Namiestnik broni autonomii kraju“. Porównywał stan Litwy pod Murawiewem ze stanem Królestwa pod W. Księżem. „Rewolucya na Litwie (pisał w Nrze 167) przytłumioną została przy mniejszej sile wojskowej, jak ta, która znajduje się w rękach rządu warszawskiego i, dodajmy, przy mniejszym krwi rozlewie; a wszystko to Litwa zawdzięcza temu, że generał Murawiew chciał i umiał oswobodzić ją od terroryzmu. Nie zląkł się on krzyku oszczerców; nie przestraszył się grózb, że działając zgodnie ze swym obowiązkiem względem Monarchy i ojczyzny, sprowadzi przekleństwo na swe imię i wojnę europejską na Rosyę, i nikt nie okazał takiej przysługi sprawie pokoju europejskiego jak generał Murawiew, wydobywszy Litwę ze szponów rewolucyi i pozbawiwszy bunt polski jego celu głównego. Czy i teraz, gdy tak świetne znalazła usprawiedliwienie polityka zastosowana w Wilnie, autonomia warszawska nie zostanie jej poddana? Czy administracya tamtejsza chce doczekać się chwili, gdy trzeba będzie bombardować Warszawę? Czerwoni mogą tego pragnąć, ale nie Rosya, ani też Polska“. Znaczyło to, że ty Mości Książę usuń się z Warszawy jak najprędzej, bo jesteś tam szkodliwy dla Rosyi, a nawet dla Polski.

Takich i tym podobnych oskarżeń, insynuacyi, napomnień i grózb pełno było w artykułach i korespondencyach *Moskiewskich Wiadomości*. Czytywał je W. Ks. Konstanty i doskonale pojmował, o co tu idzie; wiedział, zwłaszcza po przybyciu Berga, że kwestya ustąpienia z namiestnictwa warszawskiego jest tylko kwestyą czasu. Był on teraz mocno podrażniony, posępny, przemyśliwający nad sposobami wyjścia z tego położenia, ocalenia bądź co bądź zagrożonej sytuacji własnej, szukał rady i podpory u wielu ludzi, do których w innych okolicznościach nie byłby się nigdy udawał¹⁾. Nad pysznymi salonami Zamku, nad całą

¹⁾ F. Szokalski w swych rękopiśmiennych pamiętnikach opowiada zdarzenie następujące: „Gdy wybuchło powstanie, zostałem

rodziną i otoczeniem wielkoksiążęcym zapanowała ciężka, posępna, duszna atmosfera smutku, zniechęcenia, a nawet rozpacz¹⁾. A przytem, wobec wzburzenia w całym kraju, wobec wzrastającego powstania, pędzono życie w nieustan-

wiezany do Zamku do chorego na oczy W. Księcia. Tym razem zastałem poczekalną salę napelnioną adjutantami i jenerałstwem. Czekałem między nimi półtorej godziny, zanim mnie przypuszczono, a gdym wszedł, zastałem W. Księcia samego, chodzącego po salonie przyspieszonym krokiem i mocno zamyślonego. Nie zdawał się mnie spostrzegać, stałem też spokojnie pod oknem, gdy naraz stanął przedemną, założył ręce, zmierzył mnie swym dziwnym wzrokiem i znie-nacka zapytał: »czytałeś pan dzisiejsze gazety?» — «czytałem». — «I cóż pan na to?» — «Nieszczęście, nad którem ubolewam wielce». Tu znowu chodzić zaczął i stanąwszy znowu znie-nacka przedemną, zapytał się ochryplym głosem: «I cóżbyś uczynił, gdybyś był na mo-
jem miejscu?» Oniemiałem na zapytanie i ledwie nie odpowiedział: ogłosiłbym się królem polskim i stanąłbym na czele narodu, lecz ugryzłem się w język i odpowiedziałem spokojnie, o ile mogłem: «Musiałbym się nad tem namyśleć dobrze, zanimbym śmiało odpowie-
dzieć na zapytanie Waszej Ces. Wysokości». Popatrzył na mnie nieco łagodniej, potem wyraźnie mocno rozdrażniony, znów biegać zaczął i wyszedł nie spojrzawszy na mnie. Zostałem jeszcze z kwadrans w salonie, bo dotąd o jego chorych oczach mowy nie było, ale wi-
dząc, że nie powraca, odszedłem zdziwiony tem wszystkim co zaszło.

¹⁾ O wewnętrznem, domowem życiu pary wielkoksiążęcej w War-
szawie, posiadamy kilka interesujących szczegółów, w cytowanych
już rękopiśmiennych pamiętnikach Dra Szokalskiego. Oto, co on
o tem pisze: »W. Księżna w stroju balowym wydawała się być młodą
i ładną, w dzień jednak i w negliżu, w jakim ją często widywałem,
znać było wyraźnie, że już przeżyła Jezusowe latka. Wielce oży-
wiona, lubiła się bawić, do czego pewnie w Warszawie w innych
czasach i okolicznościach, na sposobności by jej nie zbywało. Często
bywałem wzywany do Zamku, sam bowiem W. Książę i cała rodzina
chorowała na oczy, i miałem sposobność w wewnętrznem życiu no-
wego dworu bliżej się rozpatrzyć. Wszystko tu było teraz wykwin-
tnem, czego sobie Zamek już nie przypominał od czasów Aleksan-
dra I. W. Ks. Konstanty miał w sobie wiele ujmujących. Nie było
w nim znać wcale, że się u stóp tronu urodził. Był człowiekiem do-
brze wychowanym, nie rażącym wcale swoją wyższością, grzecznym
bez przesady, przystępnym i rozmownym. Nie nosił nawet na sobie
owego przyzwyczajenia do rozkazywania, jakie się na ludziach jego
kategorji odtacza. Kształtnej postawy, średniego wzrostu, miał la-

nej trwodze, w obawie zerwania się do broni Warszawy, nową „Bartolomejadą“, jak stale nazywano straszną noc styczniową. Na dziedzińcu zamkowym stały działa odprzo-
dowane i wylotem skierowane ku obu bramom. Oba pułki

godne wzięcie; dziwna rzecz jednakże, że wyraz jego wzroku, naj-
niespodziewaniej czasem, zmieniał się do niepoznania, na jakiś dziki
i jakby drapieżny, tak, iż cię to przenikało dreszczem nieraz wśród
najswoobodniejszej rozmowy. Trwało to tylko chwile i przypominało
kota, z którym gdy się bawisz i gdy go głaszczesz, naraz pokazuje
ci swe szpony. Czegoś podobnego nie spostrzegłem dotąd u żadnego
człowieka. Książę był admirałem i jako marynarz z natury rzeczy
już więcej wykształcony od lądowego wojaka, grał ładnie na forte-
pianie, na wolonczeli i kochał szalenie swe dzieci. Nieraz przyjmo-
wał mnie niosąc dwuletniego bębna na rękę, z którym się pieścił.
Był bardzo dobrym mężem i nie wstydził się weale w mojej przy-
tomności, dawać swej żonie dowody swego uprzejmego współczucia.
Przy rodzinie książęcej był lekarzem domowym Duńczyk Horowitz,
lekarz marynarki, człowiek bardzo gładki, wykształcony, który je-
dnak zawsze bardzo zdaleka się trzymał, a gdym księciu wprost raz
powiedział, że mi wypadło uwiadomić go (Horowitza) o cierpieniach
ocznych, które mi się w rodzinie podsuwały pod rękę, przyjął to
bardzo dobrze, powiedział, że pan H. był ich przyjacielem domowym
i kazał mnie adjutantowi zaprowadzić do niego. Doktor H. przyjął
mnie bardzo uprzejmie, a gdym mu powtórzył, że go książę nazwał
przyjacielem rodziny: «Co, co? zawolał, książę zapomniał zapewne,
że panujący nie mają przyjaciół, tylko uniżone sługi». Mówiliśmy po-
francusku i to oświadczenie wydawało się mniej szorstkie w rozmo-
wie. Mój kolega Duńczyk z wysoką ogładą umiał łączyć ujmującą
szczerłość, a gdyśmy się rozgadali o naszych krajowych stosunkach,
gdyż to było wyłącznie wątkiem ówczesnej rozmowy, zapytał mnie
otwarcie, czego my rzeczywiście od Rosyi żądamy? odpowiedziałem
mu, że co najmniej powrotu do stosunku przed 1830 rokiem. «Tak,
to mieć możecie, ale o osobnem wojsku i o parlamencie ani zamarzyć
nie można, bo na to nigdy nie przystaną». Idąc do księżnej musia-
łem w ramnych godzinach przechodzić zawsze przez jej sypialny po-
kój, bogato umeblowany, z gotownią pełną złotych, przepysznie wy-
rabianych, rzeźbionych przyborów, ale ją samą znajdowałem zawsze
rozłożoną w gabinecie przyległym, pełnym szaf starych, poutwier-
nionych, z wiszącą garderobą, kufrów i mnóstwa rupieci, w pół leżącą
na kanapie, a przy niej dziecko, tak, że widząc to wszystko, ani mi
na myśl nie przychodziło, że miałem przed sobą damę, tak bliską ce-
sarskiego tronu. Przyjmowała mnie grzecznie, bez żadnych zachodów,

gwardyackie jazdy, konsystujące w Warszawie (huzary i ułani), miały surowo zalecone, by strzegły bacznie swych koszar, by każdej nocy wysyłały liczne podjazdy i patrole. Co noc jeden szwadron miał konie osiodłane i broń ostro nabita, oraz zapas sucharów, sadła i soli, tak, że każdej chwili mógł wyruszyć do boju. Kolejno co noc albo ułani,

tak, jak pierwsza lepsza szlachcianka, a że się jej w Warszawie serdecznie nudziło, zatrzymywała mnie, wywiadując się o nasz sposób życia i o miejskie plotki. To też idąc do Zamku wstępowałem na kawę, ażeby przestudować *Kuryera*. Niezmiernie ją zaciekawiała historia Zamku i musiałem jej opowiadać o dworze Jana III, o królowej Marysience, Auguste II i hr. Kozel i o dworze Stanisława Augusta, a gdym jej pokazał okno, przy którym siedział podczas rzezi praskiej i o widmie kobiety umierającej, która mu się wtedy miała ukazać, tak ją to wzruszyło, że, jak mi potem wyznała, ze strachem odtań przechodziła przez narożny gabinet, do którego to okno należało.

Raz do chorej na oczy najstarszej córki Olgi wezwano Szokalskiego. W dniu tym było uroczyste przyjęcie na Zamku, «a że wszystkie paradne salony były przez gości zajęte (opowiada pamiętnikarz), a nawet sypialnia księżnej, przyjęto mnie w kredensie, wśród rajwach służby i zdziwiłem się niezmiernie widząc nieporządek, brud i nieład, jaki tam panował między niższą służbą. Jakies dziwne zbiorowisko starych pokojówek, obdartych czarownic, lokajczyków w półkożuszkach, a wśród nich kręcąca się księżna i jej córeczka w galowych dworskich ubiorach. A więc na spodzie śmiecie, a na górze gronostaje, brylanty i złoto. Często bardzo prowadzono mnie do dzieciennego pokoju, znajdującego się zaraz za ową garderobą chaotyczną księżnej. Był to pokój obszerny, równoległy z oknami przedzielony niskim preforsztowaniem. W pierwszej połowie znajdowałem zawsze bawiącego się trzyletniego chłopczyka, który, gdy mnie ujrzał wchodzącego wyciągał automatycznie prawą rączkę i trzymając ją sztywną, miarowym krokiem szedł przez cały pokój, ażeby mi ją podać. Za forsztowaniem były łóżeczka dzieci, poobwieśzane świętościami i relikwiami, a na środku duży stół, materacem okryty, do przewijania dzieci, a wśród tego kręciło się ciągle kilka bab starych i zaniedbanych, jako posługaczki i dozoreczynie. Słowem, spojrzawszy za kulisy tego królewskiego gospodarstwa, znajdowało się zupełnie to samo, co u niejednego naszego wolińskiego panka, lśniący zbytek po wierzchu, a w gruncie brud i nieład. A przecież W. Księżna była saską księżniczką. Widocznie przez kilkanaście lat swego w Rosji pobytu, zapomniała o swym niemieckim porządku i nieład przestał ją już razić».

albo huzary wysyłali na miasto cały szwadron, który stawał częściami na placach: Zamkowym, Saskim i przed arsenalem na ulicy Długiej. Kozacy rozstawieni wzdłuż Wisły pilnie jej strzegli. Każdy pułk piechoty, skonsygnowany w koszarach, miał zawsze pod bronią parę kompanii, które na pierwsze hasło mogły w jednej chwili wyruszyć na ulicę. Wyznaczono każdej broni punkta zborne na wypadek alarmu i miasto przybrało postać wielkiego obozowiska wojennego, oczekującego z napięciem napadu nieprzyjacielskiego. Rozporządzeniami policyjnymi, ściśle wykonywaniem przepisów stanu wojennego skrupowano ogromnie swobodę ruchu każdego mieszkańca. Z nastaniem zmroku nie wolno było okazywać się na ulicach bez zapalanej latarki, a po godz. 10 wieczorem miasto pustoszało zupełnie, gdyż zabroniono surowo po tym czasie wychodzić z domów. Obostrozono paszporta, nikt nie mógł wyjechać ani przyjechać do miasta bez tych świadectw, które bacznie oglądano na rogatkach i na dworcu kolejowym, gdzie bardzo często za łada powodem, żandarmeria miejscowa dokonywała na przyjeżdżających i wyjeżdżających ścisłej rewizji. Że w takich warunkach życie w Warszawie nie było przyjemne, mówić nie potrzeba.

Około połowy maja rozeszła się po mieście pogłoska, jakoby Rząd narodowy rozkazał mieszkańcom Pragi i innych przedmieść warszawskich, przeprowadzić się do środka miasta. Jakkolwiek powstańczy Naczelnik miasta w jednym ze swoich rozkazów dziennych (z d. 10 maja) zaprzeczył tej pogłosce, uznał ją za „umyślnie szerzoną przez agentów moskiewskich“, za „fałszywą i głoszoną przez ludzi złej woli“, jednakże przy ówczesnym nastroju nerwowym władz rosyjskich, a nadewszystko samego W. Księcia, wywarła ona pewne wrażenie. Zdarzyło się, że bawił wtedy w Warszawie naczelnik wojenny wrocławski, książę Emil de Seyn-Wittgenstein Berleburg, pułkownik gwardyi i fligiel-adjutant cesarski, Niemiec próżny, lekkomyślny, kobieciarz i hulaka, który w chwili wybuchu powstania znajdował się w Wejmarze i uważał, „że trzeba Rosyi zao-

fiarować swe usługi“. Jakkolwiek sądził, że „nie będzie to wesołe“¹⁾, jednakże udał się do Warszawy i jak powiadamy, otrzymał komendę we Włocławku. We właściwym miejscu opowiemy, co ten człowiek lichy, niezdatny do niczego, tam robił i jak sobie postępował teraz, gdy w czasie owych pogłosek o Pradze znalazł się w stolicy polskiej. W. Ks. Konstanty wyraził mu swoje obawy co do niebezpieczeństwa, zagrażającego jakoby temu przedmieściu. Mówił mu, że wobec upływu terminu amnestyi należy się spodziewać zaburzeń w Warszawie, zwłaszcza jakiego nagłego napadu z zewnątrz, skombinowanego z powstaniem wewnętrznym; że nakaz Rządu powstańczego, polecający mieszkańcom opuszczenie Pragi, zdaje się świadczyć o bliskości jakiegoś zamachu na to przedmieście, co tem łatwiej może być uskutecznione, że Praga jest prawie bezbronną i w pobliżu ma obszerne lasy Wawru i Miłosny. Zaproponował więc Wittgensteinowi, aby objął tymczasowo komendę tego przedmieścia. Niemiecko-rosyjski karyerowiec nie bardzo chętnie się na to zgodził, bo był trochę tchórzem podszyty i począł się zbroidzić, jak gdyby zagrażał Pradze nie jakiś nędzny oddziałek powstańczy, ale co najmniej kilkunastotysięczny korpus wojska regularnego. Zgromadził więc w forcie prawobrzeżnym Wisły (Śliwickim) 300 ludzi piechoty, dziesięć dział i dwa moździerze, sprowadził z cytadeli kule świecące, tak, żeby w czasie ataku można było ostrzeliwać i oświecać całą przestrzeń między Wisłą i dworcem kolei petersburskiej. Prócz tego ściągnął na Pragę cały batalion piechoty, który rozrzucił kompaniami, a mianowicie: jedną umieścił na rzeczonym dworcu kolejowym, drugą na straży magazynów i dwu mostów na Wiśle (łyżwowego, idącego od ulicy Bednarskiej, i żelaznego, którego budowę właśnie kończono), po których nakazał patrolom nieustannie przebiegać. Trzecią kompanię postawił przy rogatce Moskiewskiej, a w rezerwie zatrzymał dwie pozostałe kompanie, które rozłożył

¹⁾ Czytaj jego *Souvenirs et correspondences* (Paris, 1888) Tom II.

biwakiem w środku Pragi i zaopatrzył w dwie armaty. Nie dość na tem; zastrzegł sobie, że w razie alarmu otrzyma z Warszawy do pomocy jeszcze jedną kompanię. Na Wiśle miał dwie szalupy kanonierskie, usadowione w pobliżu rogatki Moskiewskiej. Na obu tych szalupach było po jednej armacie (12-to i 24-ro funtowej, które ostrzeliwały most, prowadzący na Saską Kępę. Miał prócz tego pod swymi rozkazami parostatek, uzbrojony ośmiu armatkami, którego załoga otrzymała polecenie w razie ataku nocnego podpłynąć pod sam Zamek, by być na rozkazy W. Księżnej, którą wraz z dziećmi miała przewieść do cytadeli. „Wyobraźcie sobie (pisze do swej rodziny), nikt o tem nie pomyślał“. Na lewo od rogatki Moskiewskiej ustawił cztery kozły raketnicze, by ostrzeliwały całą przestrzeń między rogatką i dworcem kolejowym. Do posługi i podjazdów dano mu 300 kozaków, których rozstawił na forpocztach o trzy wiorsty od Pragi, a część trzymał w rezerwie obok piechoty. Kanonierki w nocy obowiązywały strzedz mostów, ażeby, jak sam powiada, „nikt nie podłożył tam prochu lub materii palnych“. Rządził się jak szara gęś i swym zbytkiem gorliwości wobec bardzo problematycznego, a jak się okazało, zgoła nieistniejącego niebezpieczeństwa, dowiódł jak był niemądry i tchórzliwy. Ni stąd, ni zowąd, pewnego wieczoru kazał zatrzymać przed mostem wszystkie berlinki i łodzie i poddać ścisłej rewizyi. W samej Pradze, bez odniesienia się do prezydenta miasta, hr. Wielopolskiego, kazał drogą przymusowej rekwizycyi zgromadzić słomę i drwa dla biwakujących żołnierzy. Mieszkańców ostrzegł przez policję, że w razie alarmu nocnego mają pozostawać w domach, zamykać okna, ale natomiast drzwi zostawiać otwarte i zagroził strzelaniem do każdego, ktoby pokazał się na ulicy.

Te rozkazy, rewizye i rekwizycye, to znaczne nagromadzenie sił zbrojnych, wynoszące około 1500 piechoty, 300 jazdy, 24 armat, te kanonierki i łodzie, świadczyły, jaką trwogą przejęty był ten nadęty głupiec, zarozumiały, lekkomyślny i tchórzliwy. Powiada on niby na swe uspra-

wiedliwienie, że dokoła Pragi, w lasach Wawru i Miłosny, zgromadziło się 6000 powstańców, którzy mieli go atakować w nocy, co oczywiście było kłamstwem, o czym sam się łatwo przekonywał, gdyż podjazdy kozackie, sięgające dziesięciowiorstowej odległości od Pragi, nigdzie ani jednego powstańca nie napotkały. Przyznaje się on, że „był bardzo niespokojny i bał się, żeby go nie przyparto do Wisły“, z taką siłą, tylu działami, fortem na swem lewem, dwoma mostami i Warszawą za sobą! Na dobitkę nosił się jakiś czas z myślą spalenia całej, podówczas jeszcze przeważnie drewnianej Pragi, ale sam uznaje, że „był to środek okrutny“, a najprędzej, ktoś mu przecie wytłomaczył, że zgoła niepotrzebny. Rezultatem jednak całego tego postępowania było to, że na mieszkańców Pragi padła trwoga, kto mógł uciekał do Warszawy i przedmieście prawie zupełnie opustoszało.

Szalone te rzędy Wittgensteina trwały blisko miesiąc, gdy nakoniec przekonano się, że rozwinięcie tak znacznych sił, tylu ostrożności i tylu gwałtów wobec urojonego niebezpieczeństwa jest po prostu tchórzostwem i śmiesznością, i nadętego półgłówka usunięto od komendy i posłano w Augustowskie. Niemniej jednak cała ta miesięczna komedia przekonywa o obawach, niepokoju i rozdrażnieniu W. Ks. Konstantego. Położenie jego ze wszech miar było opłakane, swoi i obcy na niego narzekali, a oskarżenia Samobytników miały w tem pewną słuszość, że mimo wszelkich ostrożności, mimo najsurowszych poleceń, by spisek wykryto, mimo, że policya rozpuściła po mieście całe tłumy szpiegów, Rząd narodowy istniał i codzień dawał znać o sobie.

Rząd ten jednak wyrosły z nieprawego zamachu w Zielone Świątki, ultraczerwony w swoich zasadach, nie mógł podolać chaosowi, który sam wytworzył i którego gorzkie i zatrute owoce sam teraz spożywać musiał. Wśród jego członków nie było ani zgody, ani jednolitości w dążeniach i zamiarach. Już dwaj najgłówniejsi, Kobylański i Malinowski, różnili się między sobą tak usposobieniem,

temperamentem, jak i poglądem na cele, zadania i sposób działania nowego Rządu. Pierwszy z nich niski, szczupły, zdawałoby się, z samych nerwów złożony, silny brunet, o oczach przenikliwych i bystrych, o minie Mefistofelesa, miał charakter gwałtowny, zapalny a umysł doktrynerski. Niepospolicie czytany i wykształcony książkowo, nie posiadał wyrobienia politycznego, którego w ówczesnem położeniu kraju, w życiu gabinetowem, jakie pędził, nie miał gdzie nabrać. Był wybornym znawcą i namiętnym zwolennikiem wielkiej rewolucyi francuskiej, jak wszystka zresztą młodzież ówczesna, z tej rewolucyi brał wzory i przykłady i pragnął je stosować we własnej ojczyźnie. Gotów był, sądząc po tem, co mówił, potoki krwi wylać, wszystkiego się dopuścić, jeżeli uważał, że to jest potrzebne dla zbawienia Polski, dla oswobodzenia jej od obcego najazdu i odrodzenia społecznie. Na wszystkich zebraniach Rządu mówił dużo, płynnie, ale w tych mowach przebiegała frazeologia, nieraz krwawa, zaczerpnięta ze wzorów francuskich. Tą swoją krzykliwą wymową, gwałtownością słów, zapalem, zdawał się panować nad innymi członkami Rządu i odgrywać rolę prezydującego, na co milcząc zgadzali się niejako.

Zupełny z nim kontrast, tak pod względem fizycznym jak i umysłowym, stanowił Erazm Malinowski. Wysoki, tęgi, otyły blondyn, o oczach niebieskich i łagodnych, temperamentem flegmatycznym, spokojnym i różowym, był także patryotą czerwonym, ale uważał i głośno się z tem odzywał, że nawet w trosce o dobro ojczyzny są pewne granice, których przekroczyć nie wolno. Był stanowczo przeciwny skrytobójstwom i mawiał, że morderstwami ojczyzny się nie zbawi. To też organizacya miejska, złożona, zwłaszcza w swych niższych, a stąd najliczniejszych słojach, przeważnie z zepsutych żywiołów wielkomiejskich, z rozpróżnionych rzemieślników, z niedouczonej kancelistów, z ludzi nieokreślonego zajęcia, z tych mętów społecznych, które rade chwytają się wszelkich zaburzeń, wszelkich teoryi krańcowych, widzą tylko

ich jaskrawe strony, dość krzywo patrzyła na Malinowskiego, jako na Naczelnika miasta, i czekała tylko sposobności, by się go pozbyć jak najprędzej. Sam on, ze swem łagodnem usposobieniem otyłego blondyna, ulegał namiętnemu temperamentowi Kobylańskiego i był przezeń kierowany, acz w pewnych granicach. Miał bowiem na tyle charakteru męskiego, że nie zawsze ulegał swemu koledze i tyle siły woli, że kilkakrotnie krwawych rozkazów Rządu wykonywać nie chciał i nie wykonał.

Trzeci członek tego Rządu, powstałego z chaosu i w chaosie obracającego się, Franciszek Dobrowolski, późniejszy spokojny acz pozbawiony wyższych zdolności redaktor *Dziennika poznańskiego*, był doktrynerem na wielką skalę, niedouczonego wielbicielem i naśladowcą Saint-Justów i Maratów, ideologiem i frazesowiczem. Przedstawiwszy swój program na pierwszym posiedzeniu nowego Rządu¹⁾, widział, że Kobylański nie bardzo chętnie go akceptuje, że prawi o jakiejś ustawie Stefana Bobrowskiego, którą ten młody a tak przedwcześnie zmarły rewolucjonista miał wygotować, by Rząd Narodowy oprzeć na stałych zasadach i zabezpieczyć raz na zawsze od wszelkich zamachów. Widział przytem, że Kobylański i Malinowski razem się trzymają i razem coś knują. Z całego jego programu, w dziesięciu punktach zawartego, Kobylański przyjął i wprowadził w wykonanie tylko punkt dziesiąty, mówiący o trybunałach rewolucyjnych. Dobrowolski projekt swój uzasadniał potrzebą „wprowadzenia porządku i ładu i przecięcia samowoli i stąd mogących powstać nadużyć“. W rzeczy samej szło o uregulowanie, że tak powiemy, skrytobójstw, które weszły już na porządek dzienny, a niedawne zabójstwo Miniszewskiego, bez wiedzy i woli Rządu narodowego dokonane, spowodowawszy wielkie w mieście i kraju wrażenie, wywołało silne skargi i silniejsze jeszcze oburzenie. Było w istocie coś strasznego w tem, by ludzie należący do niższych sfer społecznych, by taki Janek

¹⁾ Patrz Tom II, 501 niniejszego dzieła.

Biały (Karłowicz), człowiek bez żadnego wykształcenia, ledwie czytać i pisać umiejący, decydował o tem, czy działalność autorska Miniszewskiego była szkodliwą lub nie dla sprawy narodowej. Wszyscy to czuli i wszyscy też ludzie uczciwi oburzeni byli tem morderstwem, dokonaniem na własną rękę przez niższą organizację powstańczą. Zdaje się, że to oburzenie, te liczne głosy protestujące tajemnie i głośno przeciw „sprzątanu“ z za węgla ludzi, były głównem źródłem projektu Dobrowolskiego. Dotąd, poczynszy od Rządu narodowego, od Naczelnika miasta aż do Janka Białego, każdy był władnym wydawać wyroki śmierci, a przy tajemniczości organizacji, przynieuniekionym w spisku braku kontroli, nieraz pierwszy lepszy sztyletnik na własną rękę mógł się dopuścić zwyczajnego morderstwa dla nasycenia swej zemsty lub nienawiści, pod pozorem usunięcia człowieka niebezpiecznego dla sprawy ojczystej. Na szczęście, o ile wiemy, takie wypadki nie zdarzały się wcale, lecz nikt nie mógł zapewnić, czy wobec niskiej wartości ludzi, należących do sztyletników, w przyszłości się nie zdarzą. Nawet wyroki wydawane przez zwierzchnie władze powstańcze, nosiły na sobie nieraz cechę karygodnej lekkomyślności i nadużycia. Proste podejrzenie, denuncyacya nieczem nieuzasadniona wystarczała, by skazywano na śmierć i niesławę człowieka, może nie wiele lub zgoła niewinnego. A przytem dowódcy zbrojnych oddziałów, na mocy praw wojennych karali śmiercią mnóstwo ludzi, zwłaszcza chłopów, a ponieważ ogromna większość tych improwizowanych dowódców byli to ludzie bardzo lichego charakteru, niezdolni do dzielnej i umiejętnie prowadzonej wojny, ale za to nader pochopni do wszelkiego rodzaju nadużyć nad bezbronnymi, więc mnożyły się w kraju morderstwa, wieszania i katowania chłopów i niechłopów, starców i kobiet, dokonywane lekkomyślnie, bez serca i sumienia. Stanowi to ciężką, niezatartą plamę powstania, i wszyscy ludzie uczciwi, wszyscy szczerzy patryoci, domagali się uregulowania tej sprawy i ukrócenia gwałtów i nadużyć różnych panów Lelewelów, Oksińskich, Czachowskich, Fryczów

i mnóstwa innych, których wymienienie acz zasługuje na napiętnowanie przez historię, ale których lista, niestety! za dużyby miejsca zajęła.

Fakt, jaki się wydarzył mniej więcej w tym czasie, wykazał całą słuszność tych żądań i nagłą potrzebę zapobieżenia wspomnianym krzyczącym nadużyciom. Niejaki Michał Bobrowski, ziemianin z Kaliskiego, człowiek niezaprzeczonego patriotyzmu, gotów do wszelkich poświęceń i ofiar, ale dość ograniczony umysłowo, gaduła, wściubski, ciekawy i pragnący koniecznie odegrać jakąś rolę w powstaniu, stał się właśnie ofiarą lekkomyślności jednego z takich dowódców. Bobrowski przez kuzyna swego Stefana zapoznał się był z wybitniejszymi członkami spisku warszawskiego i wielokrotnie nalegał na nich, by mu coś dali do roboty, jaki urząd lub misję. Chcąc się go pozbyć polecono mu zrewidowanie poczt narodowych w Kaliskiem i Sandomierskiem, i uorganizowania ich tam, gdzie dotąd zaprowadzone nie zostały. Bobrowski, spełniwszy to zadanie w Kaliskiem, puścił się w początkach czerwca w Sandomierskie i zatrzymawszy się po drodze w Radomiu, zgłosił niepotrzebnie wstąpił do niejakego Aleksandrowicza, nauczyciela gimnazjum tamtejszego, a w organizacji powstańczej wojewódzkiego radomskiego. Tu niepotrzebnymi pytaniami o osoby i urzędy Bobrowski wzbudził podejrzenie w Aleksandrowiczu, który pod pozorem jakiejś nieformalności w papierach, poradził Bobrowskiemu, żeby wrócił do Warszawy i potrzebny dokument od Rządu narodowego uzyskał. Aleksandrowicz zamierzał tymczasem napisać do Warszawy i dowiedzieć się bliższych szczegółów o tym osobliwym pośle, który tak się zachowywał, jak gdyby po prostu był szpiegiem. W owym czasie kolei żelaznej jeszcze nie było, więc gdy Bobrowski zgodził się na propozycję Aleksandrowicza, zamówiono miejsce w kuryerce, kursującej stale między Radomiem i Warszawą, i ułożono się, że obaj zjedzą się na poczcie w chwili odjazdu rzeczzonej kuryerki. Jakież atoli było zdziwienie wojewódzkiego radomskiego, gdy, przybywszy na pocztę

o oznaczonej godzinie, Bobrowskiego tam nie zastał, a urzędnicy pocztowi objaśnili, że tenże wziął ekstrapocztę i pojechał do Opatowa. To wydało się Aleksandrowiczowi najoczywistszym dowodem złej wiary, a co za tem idzie, usprawiedliwieniem powziętych względem warszawskiego wysłańca podejrzeń. Nie namyślając się więc wiele, z tą gorączkowością, znamionującą zawsze czasy wielkich wstrząśnień społecznych, pchnął sztafetę do powstańczego naczelnika powiatu Opatowskiego, niejakego Sosnowskiego, ażeby się miał na ostrożności, gdyż mający doń przybyć Bobrowski, jest szpiegiem. To też, gdy ten ostatni zjawił się na wsi u Sosnowskiego i oświadczył chęć zwiedzenia najbliższego oddziału powstańczego, Sosnowski oczywiście natychmiast się na to zgodził. Właśnie niedaleko w lasach Rżeckich stała partya t. zw. żandarmeryi narodowej, uformowanej w całym kraju w tej porze z mocy dekretu nowego Rządu i będącej niejako policją ziemską powstańczą. Dowódcą owych żandarmów opatowskich był niejaki Poncet, który, gdy mu Sosnowski powiedział kogo przywiózł, nie bawiąc się długo, pomimo przekładań, wyjaśnień i tłumaczeń, kazał powiesić Bobrowskiego. Sprawa ta na- była ogromnego rozgłosu, wywołała tak powszechne oburzenie, że Rząd narodowy zmuszony był dać dymisyę Sosnowskiemu i nakazać śledztwo, które zresztą do niczego nie doprowadziło. Surowo napomniany przez Aleksandrowicza dowódca Poncet odrzekł: „O co wam idzie? ja codzień narażam życie, a wy się upominacie o jakiegoś kpa!“ Dotkniętej do żywego rodzinie Bobrowskiego Rząd narodowy dał tę satysfakcyę, że w organie swym *Niepodległości* z d. 1 września, ogłosił, iż „Bobrowski nie dopuścił się żadnego występku przeciw ojczyźnie“ i że „istotni sprawcy niewinnej jego śmierci dotychczas wysłedzeni być nie mogli“.

Takim był ten oburzający fakt, a ileż to podobnych, mniej znanych i mniej głośniejszych, było w całym kraju! Dla położenia więc końca takim krzyczącym nadużyciom, krwawym gwałtom i ponurej samowoli różnych Poncetów i nie-

Poncetów, Dobrowolski wystąpił ze swym projektem. Ale lekarstwo podobno gorszem było od samej choroby. W rządzie takim, jakim był rząd powstańczy, działający w tajemnicy, z natury swojej rewolucyjny, sądy, mające wyrokować o winach przeciw sprawie narodowej, musiały być koniecznie tajemne, rewolucyjne, skazujące oskarżonego bez jego obrony, bez jawnych rozpraw i dowodów przestępstwa, nosić na sobie charakter „vehmy“ średniowiecznej. Nie ukrócały one nadużyć, owszem nadawały wyrokom cechę bardziej ponurą i straszną. Ten sąd, kryjący się gdzieś w cieniu, niewiadomo z kogo złożony, nieznany nawet organizacyi powstańczej, robił wrażenie czegoś niewypowiedzianie groźnego i potwornego. A przytem, nie kładł on tamy nadużyciom dowódców zbrojnych oddziałów. Przy tych bowiem nie mogły funkcjonować żadne trybunały, sądy zawsze musiały być doraźne, jeżeli były jakie sądy i jeżeli wyroku nie wydawał sam t. zw. „naczelnik partii“. Gdyby więc nawet projekt Dobrowolskiego w rzeczy samej zapobiegał oburzającym wszystkie lepsze sumienia skrytobójstwom, to wprowadzenie go w czyn mogło mieć skutek tylko połowiczny i nie zapobiegało tym istnym saturnaliom szubienicznym, jakie uprawiali po całym kraju różni dowódcy.

Ale na to wszystko ani Kobylański, ani jego koledzy nie zważali wcale. Projekt trybunałów rewolucyjnych spodobał im się bardzo, uderzał ich chora, rozgorączkowana wyobraźnię swą oryginalnością, swą, że tak powiem, rewolucyjnością. Przytem, wszyscy czterej, tak Kobylański i Aweyde, jak Malinowski i Dobrowolski, byli to z fachu prawnicy, którzy radzi byli wydawać prawa nowe, kodyfikować już istniejące, mieć się za prawodawców narodu. Projekt więc zaakceptowano i Kobylański na wspólną z Aweydem, zredagował dekret, ustanawiający trybunały rewolucyjne, kazał go wydrukować w bardzo znacznej liczbie egzemplarzy i rozesłał po całym kraju. Dekret ten, datowany 2 czerwca, a zatem gotowy już był nazajutrz po pierwszym posiedzeniu nowego Rządu, ustanawiał Try-

bunał rewolucyjny w Warszawie i w każdym powiecie. Jurysdykcy takich trybunałów powiatowych rozciągała się tylko na dany powiat, w Warszawie zaś na całe miasto wraz z Pragą. Wojskowi, w czynnej służbie zostający, byli wyjęci z pod władzy trybunałów, jako podlegający specjalnym sądom wojennym. Trybunał każdy składać się miał z prezesa i dwu członków, a wyroki miały być wydawane większością głosów. Nominacya na członków tego tajnego sądu zależała od samego Rządu narodowego, a przy każdym trybunale, także z nominacyi Rządu, urządować miał prokurator. W Warszawie Rząd mianuje prokuratora z liczby dwu kandydatów, przedstawionych przez organizacyę powstańczą. „Prokurator, jak opiewa dekret, jest oskarżycielem publicznym, obowiązkiem jego będzie dopilnowanie ścisłego wykonania prawa i wyroków“; trybunały zaś rewolucyjne wyrokować miały na podstawie kodeksu kar i kodeksu postępowania, jednocześnie przez Rząd zatwierdzonych.

Jakież były te prawa?

W drugim dekrete, także pod datą 2 czerwca wydanym, prawo owe zamknięto w czterech paragrafach, w których pod przestępstwo stanu zakwalifikowano „wszystkie czyny, zmierzające do osłabienia działalności Rządu narodowego, zwiechnięcia ruchu rewolucyjnego i wogóle wszystkie czyny szkodliwe dla sprawy ojczystej“. Za te przestępstwa trybunały miały wymierzać karę śmierci, pozbawienie czci, połączone z ogłoszeniem w pismach publicznych, wreszcie wygnanie z miejsca zamieszkania, a nawet kraju na czas dłuższy lub krótszy, co zależeć będzie od ważności winy oskarżonego. W razie niemożności wykonania kary śmierci, skazany miał być wyjęty z pod opieki prawa. Co jednak najgorsza, że dekret przyjął za zasadę, iż „każdy obywatel kraju ma prawo oskarżenia drugiego przez doniesienie“, od czego wyjęci byli urzędnicy powstańczy tak wojskowi, jak i cywilni, którzy mogą być oddawani pod sąd tylko na skutek decyzji kwalifikacyjnej swej zwierzchności. Dekret wprowadził za-

strzegali, że każdemu oskarżonemu służy prawo obrony, ale nie określili, jaką miała być ta obrona i przez kogo wykonywana. Wyroki miały być ogłaszane przez pisma publiczne.

Oba te dekryty, odbite, jakieśmy rzekli, w znacznej ilości egzemplarzy i rozesłane po całym kraju, wywołały zrazu zdziwienie, a następnie jak najgorsze wrażenie, zwłaszcza za granicą. Ten sąd tajny, przyjmujący denuncyacje, wyrokujący gdzieś w skrytości bez obrony i bez dowodów, oddawał każdego obywatela kraju na łaskę i niełaskę pierwszego lepszego łotra i donosiciela. Na szczęście dekret, jak się zdaje, nie wszedł wszędzie w wykonanie. Trybunały rewolucyjne, o ile wiemy, istniały tylko w Warszawie i Płocku, nie wprowadziły one ani porządku, ani ładu w skrytobójstwach, nie przecięły wcale samowoli i nadużyć, jak tego chciał Dobrowolski. Po dawnemu na śmierć skazywał i Rząd i Naczelnik miasta i pierwszy lepszy członek organizacji; przybyło tylko jedno więcej ciał tajne, nakazujące skrytobójstwa, nie więcej, ciała złożone z takich samych po większej części ludzi, jak ci, którzy dotąd na śmierć skazywali. Do sędziów np. Trybunału rewolucyjnego w Warszawie należał szewc Marcin Pieniążek¹⁾ i efemeryczny ten plód krwawych teoryi

¹⁾ F. Dobrowolski «Dwie chwile z istnienia Rządu Narodowego». (Dziennik Poznański, Nr 180 i nast. z r. 1868) zapewnia, że «do Trybunałów tych, gdzie tylko pootwierane zostały, weszli ludzie najzaniejsi, którzy z wielką oględnością wyroki wydawali», że Kobylański po ustąpieniu z Rządu mianowany został prokuratorem przy Trybunale w Warszawie. Przed nim obowiązki te pełnił niejaki Ignacy Kosiński, prawnik z zawodu. Prezesem był Witold Moszyński, mecenas przy senacie, sędziami zaś Aleksander Pawłowski, prawnik, i wspomniany szewc Pieniążek. Ten ostatni, «człowiek zupełnie prosty i bez wykształcenia», jak go ocenia współczesny, dlatego został sędzią Trybunału, że chciano, aby swoim chłopskim rozumem stanowił przeciwagę fachowych prawników i form prawnych, które ci ostatni zawsze rądzi stosowali. Prócz tego miał on znać doskonale Warszawę i jej mieszkańców, mógł więc być pożytecznym przy decyzji w tak ważnej rzeczy, jak życie i śmierć człowieka. Pierwsze

rewolucyjnych, istniał, jak się zdaje, krótko i działalność jego niczem wybitnem się nie zaznaczyła.

posiedzenie warszawskiego Trybunału rewolucyjnego odbyło się w końcu czerwca (Berg, Zapiski III, 200) w mieszkaniu Moszyńskiego na ulicy Podwale, w domu należącym do cerkwi greckiej (dziś prawosławnej). Następne sesye bywały albo u Moszyńskiego, albo u Pawłowskiego na ulicy Miodowej w gmachu Sądu apelacyjnego (dziś biura Naczelnika powiatu), albo też w pałacu Komisji Sprawiedliwości na ulicy Długiej. Umyślnie wybierano takie miejsca, żeby nie zwrócić na siebie uwagi policyi. Czy Trybunał ten skazał kogo na śmierć, czy wszystkie późniejsze tak liczne skrytobójstwa były następstwem jego wyroków, nie wiemy. Berg (loc. cit.) zapewnia, że schwytani w końcu przez władze rosyjskie członkowie Trybunału wyparli się, żeby kogokolwiek na śmierć skazali, co zresztą jest prawdopodobnem. Sam Dobrowolski przyznaje, że Trybunały «nie okazywały takiej usługi, jakiej po nich się spodziewano». M. P. Ustimowicz (Zagowory i pokuszenia, p. 126) powiada, że prezydującym w Trybunale rewolucyjnym w Płocku był Ferdynand Tyszką, patron przy Trybunale cywilnym tamtejszym, jednym zaś z sędziów jakiś Podlewski, pełnomocnik miejscowego domu komisowego, że wydali oni 17 wyroków śmierci, ale żaden z nich wykonany nie był «z powodów niezależnych od woli Trybunału». Berg (loc. cit.) podaje jako prezesa Trybunału plockiego jakiegoś Niejałtowskiego, który miał skazać na śmierć około 80-ciu osób, przyczem opowiada, że Trybunał ten krył się w lasach Ostrolęckich, w samotnej chalupec, co wygląda na wyjątek z jakiegos strasznego średniowiecznego romansu. «Ci, którzy tam byli, twierdzili (opowiada dalej autor rosyjski), że z początku, gdy ich tam przyprowadzono, siedzieli w piwnicy dwa do trzech dni, potem wezwano ich do izby, gdzie było dwu sędziów. Wyrok szybko zapadał, albo wieszano na drzewie, albo wychłostano i wypuszczano». Jest to oczywista plotka, których tyle tworzono wtedy, zwłaszcza wśród mało rozwiniętych umysłowo pułkowników i jenerałów rosyjskich. Prokuratorem przy Trybunale podolskim był ziemianin tamtejszy Stanisław Łomżyński, mianowany 23 lipca, ale zdaje się, że obowiązków tych wcale nie pełnił, gdyż nominacya wprzód nim do niego doszła, dostała się do rąk rosyjskich. (Patrz: Katkow 1863 grod., II, 885). W Galicyi miały istnieć Trybunały w Krakowie i we Lwowie, ale o ich działalności, jeżeli była jaka, nie wiem. Autorowi niniejszego nie zdarzyło się spotkać ani jednego wyroku Trybunału rewolucyjnego. Berg zapewnia, że «niektórzy z członków organizacji powstańczej uważali Trybunały rewolucyjne za mistyfikację, za naśladownictwo dekoracyjne okropności rzeczypospolitej weneckiej». Być może, że w opinii tej jest wiele racyi.

Wszystko wreszcie w tym Rządzie, który się uważał za zdolnego do kierowania powstaniem, było efemeryczne i liche. Organizacja prowincjonalna nie wiedziała wcale o zmianach, zaszłych w Warszawie, i zdziwiona, a co gorsza, przerażona była mocno, nie odbierając przez czas dłuższy żadnych oznak życia Rządu narodowego. To milczenie, będące wynikiem chaosu, panującego w sferach powstańczych Warszawy, kazało przypuszczać i powszechnie przypuszczano na prowincyi, że Rząd ten wpadł w ręce rosyjskie i pojawienie się dekretu o Trybunałach rewolucyjnych utwierdzało to przypuszczenie, gdyż sądzono, że albo rząd rosyjski ten dekret wydał dla zohydzenia powstania, albo też, że po uwięzieniu członków Rządu narodowego, do władzy dostała się jakaś garść zacietrzewionych Czerwieńców, którzy sprawę ojczystą na manowce i do zguby doprowadzą. Jak wiemy, co do tego ostatniego przypuszczenia nie mylono się wcale, a głucho milczenie władz warszawskich powstańczych musiało jak najgorsze wywierać wrażenie na organizację krajową¹⁾. Wprawdzie Kobylański zaraz po ostatecznem objęciu steru rządowego, na wspólkę z Aweydem zredagował i wydrukował d. 30 maja krótką odezwę, w której, nie mówiąc nic o zaszłych zmianach, chciał tylko niejako udokumentować, że Rząd narodowy dalej istnieje, ale odezwa ta, zaledwie kilkanaście wierszy zawierająca, słabo i chłodno napisana, źle lub wcale nierozpowszechniona przy chaosie, panującym w Warszawie, skutku żadnego mieć nie mogła²⁾.

¹⁾ To, co *Dobrowolski* (loc. cit.) opowiada, jakoby z nowym Rządem «rozpoczął się ruch na wszystkich punktach», jakoby «na prowincyi rosły oddziały i zewsząd przychodziły wiadomości, że lud okazuje się ochoczym do walki» i t. p. było skutkiem działań poprzedniego Rządu. Jeżeli z prowincyi przychodziły po dawnemu wiadomości, to dlatego, że tam nie wiedziano nic o przewrocie, zaszłym w Warszawie, ale za to z Warszawy żadne na prowincję nie szły wiadomości.

²⁾ Odezwa ta brzmi: «Rząd narodowy. Jedyną dążnością Rządu narodowego było i jest wyjarzmienie ojczyzny, zapewnienie bytu politycznego i wolności osobistej synom tej ziemi. W tym postępując

Chaos bowiem istniał ciągle, namiętności się ścierały, robaczywe ambicje i nieprawie pragnienia nurtowały na wszystkie strony, tak, że sprawa samego powstania na drugi plan schodziła. Przedewszystkiem bruździł i macił organizację ów, na modłę francuską utworzony „Komitet ocalenia publicznego“ czy „bezpieczeństwa“ (bo i taką nazwę nosił), który wybrawszy nowy Rząd, rościł sobie prawo nadzoru nad nim i stawiał się wyżej nad niego. Zaraz też z początku zaszła okoliczność, która nadzwyczajnie oburzyła na nowy Rząd całą organizację warszawską, a Komitetowi rzeczonemu dała sposobność do wyraźnego zaznaczenia swych pretensyi zwierzchniczych.

Zbieranie podatków narodowych w Warszawie odbywało się w ten sposób, że do kontrybuenta zgłaszał się wyznaczony do tego agent, zaopatrzony w odpowiednie kwity z numerem i pieczęcią Wydziału skarbu i pieniądze odbierał. Numery tak zrealizowanych kwitów ogłaszano następnie w urzędowym organie powstańczym *Ruchu* i to ogłoszenie stanowiło jedyną kontrolę dla kontrybuenta, że jego pieniądze dostały się do rąk właściwych. Ale ponieważ *Ruch* niezbyt regularnie wychodził, więc rzeczony numer zapłaconych kwitów dość późno ukazywały się w druku, dając możność do nadużyć. Na szczęście, z początku nastrój ogólny ducha społecznego był tak wysoki, że z tego łatwego sposobu zbierania podatków nie sko-

kierunku, Rząd narodowy używał i używa wszystkich możliwych środków, głównie zaś stara się o sformowanie coraz to nowych oddziałów powstańczych, zaopatrywanie ich w żywność, odzież i broń. Z tych oddziałów, Rodacy, wykwitnie, da Bóg, w krótkim czasie armia narodowa. Rząd narodowy doznaje niezmiennej przychylności narodu i poszczycić się może przed całym światem gorącym współdziałaniem wszystkich obywateli kraju. Rodacy! chwila odrodzenia zbliża się. Podwójną siłą łączmy się w jedno ognisko. Niechaj każdy z pomocą sprawie ojczystej przychodzi, niechaj każdy bez różnicy stanu własnymi swoimi środkami stara się o broń dla siebie i sobie blizkich, tak, aby na każde wezwanie Rządu mógł się stawić z gotowością do boju. Warszawa d. 30 maja 1863 r.» (Kopia z oryginalnego druku).

rzyszał żaden rzezimieszek, których tylu bywa zawsze w wielkich i ludnych miastach. Ale teraz właśnie, w czasie owych burz wewnętrznych, szarpiących organizację miejską, i to zło się pojawiło. Niejaki Czarnecki, zwany w organizacji Erliczem czy Jerliczem, służący poprzednio w wojsku rosyjskiem w stopniu podechorążego (junkra), postanowił skorzystać z trudnej i późnej kontroli zbieranych podatków, podrobił pieczęć Wydziału skarbu, wystarał się skądś o druki kwitów i począł na własną rękę i do własnej kieszeni ściągać pieniądze. Jaką skradł tym sposobem sumę, nie wiemy, ale dzięki Jankowi Białemu naczelnikowi policji powstańczej, rzecz się wydała i Erlicz, jako złodziej, skazany na śmierć, został zwabiony do piwnicy w winiarni kupca Kijasa, na wązkim Krakowskim przedmieściu (dziś skwer Mickiewiczowski) i tam zamordowany¹⁾.

Otóż ten fakt, że znalazł się ktoś, korzystający ze słabej kontroli przy zbieraniu podatku narodowego, spowodował Naczelnika miasta Malinowskiego do wydania rozkazu dziennego, polecającego takich fałszywych poborców podatku, jeżeliby się jeszcze znaleźli po strasznym przykładzie, danym na Erliczu, wydawać w ręce rosyjskie jako oszustów. Rozkaz był obosieczny; zdarzyć się bowiem mogło, że ktoś, niechęący płacić podatku (a takich było wielu, zwłaszcza między Niemcami, zamieszkałymi w Warszawie i Żydami), najprawowitszego poborcę mógł oddać w ręce policji rosyjskiej, a potem się tłumaczyć, że uważał go za oszusta. Mówiono, nie bez słuszności, że rozkaz ten kompromituje całą organizację, że brudną bieliznę pierze się w domu i jedna parszywa owca nie stanowi jeszcze całego stada. To też rozporządzenie to wywołało

¹⁾ Zabójstwa dokonali dwaj sztyletnicy: Krasuski i Kawecki. Trupa Erlicza zakopali w tejże piwnicy, co wraz z poczęstunkiem ofiary i skrzynią, w której zwłoki schowano, kosztowało rub. 4 kop. 80. Gdy się rzecz wydała i trupa wykopano, skrzynię tę, jak opowiada *Berg* (III, 201), wyniesiono i umieszczono przed domem, gdzie stała całą noc, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

prawdziwą burzę wśród organizacji miejskiej, posypały się oskarżenia, inwektywy, pogrożki i gwałtowne domaganie się odwołania tego rozkazu. Jakoż Rząd narodowy i tym razem ustąpił; rozkaz odwołano, ale stanowisko Malinowskiego wśród organizacji, która nań nie przestała krzywo patrzeć, stało się bardzo drażliwem, tak, że zrzekł się naczelnictwa, pozostając jednak członkiem Rządu bez wydziału. Na jego miejsce organizacja warszawska przedstawiła niejakiego Władysława Kwiatkowskiego, kupca, człowieka żywiącego najsłabsze teorie i należącego, jak się zdaje, do owego Komitetu ocalenia publicznego, który usiłował stać ponad Rządem i kontrolować jego czynności.

Kto wchodził do tego Komitetu, trudno dziś dociec; zapewne wśród ciągłych zmian i ciągłej burzy, szarpiącej organizację, jedne osoby tam wchodziły, inne wychodziły i nie tam nie było pewnego, ani stałego. Wszakże zdaje się, że główną rolę odgrywały tam trzy osobistości: znany nam już Włodzimierz Lempke, mający w organizacji przezwisko Ludwika Okularnika (od okularów, które nosił), natura czysta, niekiedy bardzo szlachetna, ale głowa słaba, umysł nierozwinięty i niewykształcony, stąd ulegający łatwo szumnym frazesom i skrajnym teoryom; dalej należał tu paniczek Jan Wernicki, niecny intrygant, charakter lichy, który, nie mogąc dostać się do Rządu, intrygował teraz przeciw niemu i potrafił wślizgnąć się do Komitetu ocalenia publicznego. Trzecią wreszcie wybitniejszą osobistością w tem ciele rozkładowem, był Wojciech GlikSELLI. Syn ubogiej wdowy po urzędniku sądowym w Kielcach, nizki, nieco garbaty, o wielkiej, podługowatej głowie, wciśniętej w ramiona, jako niegdyś uczeń Szkoły sztuk pięknych, należał do wszystkich ruchów i spisków, ale nigdy, czy to przez brak ambicyi, czy może zdolności na wierzch nie wypłynął i dotąd w organizacji zajmował dość podrzędne stanowisko. Była to dusza prawa, ale jak wszystka młodzież tej doby, źle lub niedostatecznie wykształcony, zachwyciwszy to i owo z przeczytanych niesystematycznie książek, rad zapalał się do teorii skraj-

nych, do ultraczerwonej rewolucyjności. Nosił się nieco górnio, mówił mało, ale szumnemi frazesami, a odwiedzający go w jego skromnej stancyjce, na ulicy Długiej, zawsze znajdowali na stole rozwarte żywoty Plutarcha. Teraz Glikselli znalazł się w Komitecie ocalenia publicznego i razem z Lempkiem i Wernickim rej wodził w tej zbieraniu szewców, krawców i kancelistów różnych dykasteryi.

Otóż, z chwilą wejścia do Rządu nowego Naczelnika miasta, Komitet przez usta Kwiatkowskiego zażądał, aby mógł bywać stale na posiedzeniach najwyższej władzy powstańczej. Zastrzegał się, że nie będzie brał udziału w obradach, ale będzie miał prawo kładzenia *veto* na postanowieniach Rządu, które Komitet uzna za niewłaściwe lub niewczesne. Było to rzeczywiście żądanie, które mogło się zrodzić tylko w głowach niedouczonej, i w kraju, pozbawionym od lat trzydziestu życia publicznego. Komitet bowiem tym sposobem nie dźwigał żadnej odpowiedzialności za to, co się stanie, wynosił się ponad Rząd i w każdej chwili mógł jego działalność sparaliżować, a zatem był on właściwym Rządem, nie zaś ci czterej, którzy nosili tę nazwę. Była to najzupełniejsza anarchia, wyraz tego rozbicia społecznego, tego nieporządku w głowach, jaki spłodziły destrukcyjne rządy Paskiewicza. Dobrowolski na żądanie Komitetu odrzekł, że go ani znać, ani uznać nie myśli, że pierwszy raz dowiaduje się o jego istnieniu, i że ani władzy, ani odpowiedzialności z nim dzielić nie myśli. Skoro jednak tak Kobylański, jak i Malinowski przyznawali istnienie tego ciała i jego prawa stąd płynące, że ostatecznie on wybrał Rząd i zastrzegł sobie nad nim kontrolę, więc Dobrowolski widząc, że prostym oporem nic nie zrobi, zażądał konferencji z członkami Komitetu. Konferencya ta jednak do niczego nie doprowadziła. Stali oni uparcie przy swem żądaniu, a motywowali je tem, że dotychczasowy Rząd narodowy zdradzał rewolucję i powstanie, że był w związku i miał konszachty z Wielopolskim i Rosyą, że dążył do zmarnowania krwa-

wego wysiłku narodowego, że zatem oni, tj. Komitet ocalenia publicznego, musi pilnować, ażeby nadal coś podobnego się nie działo. W takim stanie rzeczy wszelkie porozumienie z tymi ludźmi było niemożliwem, niemożliwem też było przystać na to, by takie ciało anarchiczne istniało dalej. Dwie więc drogi były teraz przed Rządem, albo Komitet gwałtem i sztyletem usunąć, albo też samemu Rządowi ustąpić. Spróbowano pierwszej drogi, zażądano pomocy od organizacyi i sztyletników, ale ci wręcz odmówili, owszem oświadczyli, że bronić będą Komitetu i raczej Rząd obalać, jak pozwoli na najmniejszy uszczerbek ciała, będącego wyrazem i owocem tejże organizacyi. Nowy Naczelnik miasta Kwiatkowski stanął też po stronie Komitetu i w tem położeniu Rząd ujrzał się bezsilnym, gdyż oczywiście bez pomocy organizacyi, w tej porze rozrosłej potężnie, przez to silnej, nie zdziałać nie mógł.

Nie więc nie pozostawało, jak się usunąć i zostawić wodze powstania panom Lempkom, Wernickim, Gliksellim i całej zgrai szewczyków, których głowy gorące i zapalne, ale ciemne jak noc listopadowa, marzyły o wywróceniu wszystkiego, o rządach krwawych i terrorystycznych. W mieście, w łonie tej tysiącogłowej organizacyi miejskiej, wrzało jak w wulkanie. Rodziło się tysiące projektów, mówiono o wymordowaniu całego Rządu; na schadzkach, po kawiarniach, cukierniach, bilardach, szynkach i winiarniach głośno o tem rozprawiano, wymieniano nazwiska członków Rządu, roztrząsano publicznie ich wady i zalety, formowano zarzuty i cudowi tylko, albo szczególnemu zaślepieniu policyi przypisać to należy, że już wówczas całego Rządu narodowego nie wyłapano. W tym czasie do Warszawy przybył, znany nam z zamachu Jaroszyńskiego na W. Ks. Konstantego, Ignacy Chmieleński, warchoł w wielkim stylu, dusza ponura i anarchiczna, i pragnąc koniecznie dostać się do Rządu, zamęt ten zwiększał, mącił na wszystkie strony, domagał się krwi i rzezi i niepokój ogólny do ostatniego stopnia doprowadzał. Silnie zbudowany, niski, krępy, o twarzy okrągłej i czerwonej, o oczach

siwych, zawsze chorych i niespokojnie biegających, patrzył z podełba, mówił prędko, niezrozumiale, połykał połowę wyrazów, przytem giestykulował gwałtownie i w całej tej postaci, jak pień nabitej, widać było wielką siłę woli, niestety! połączoną z najgorszym charakterem. W tym chaotycznym zamęcie wszystkich czynników rewolucyjnych, on był jednym z głównych motorów, ale kiedy wielu z pośrodku tych zapaleńców miało na celu dobro ogólne, on miał tylko własne widoki.

Wszyscy ludzie mądrzejsi, członkowie poprzedniego Rządu, patrząc na to, co się dzieje i w obawie jeszcze większego rozstroju i ostatecznego rozbicia organizacyi, radzili Dobrowolskiemu, ażeby nie ustępował i żeby koniecznie postarał się o rozwiązanie siłą Komitetu ocalenia publicznego. Rada była dobra i zbawienna, ale, powtarzamy, wobec oporu organizacyi, niemożliwa do wykonania. Na dobitkę, wielka pieczęć Rządu narodowego, ów talizman jego władzy, nie znajdowała się w jego rękach, ale w rękach podsekretarza stanu, mianowanego przez organizację i ślepo posłusznego Komitetowi bezpieczeństwa. Wprawdzie udało się Kobylańskiemu jakimś fortelem pieczęć tę zdobyć, ale to nie poprawiło wcale sytuacji¹⁾. Dobrowolski w połowie czerwca jeszcze raz usiłował porozumieć się z członkami Komitetu, którego dotąd ani

¹⁾ Odtąd Rząd narodowy, chcąc uniknąć na przyszłość niebezpieczeństwa z powodu uchwycenia przez kogoś pieczęci, wydał d. 8 czerwca dekret, mocą którego od daty powyższej pieczęcią Rządu nar. opatrywane być miały tylko oryginały postanowień i dekretów, tudzież nominacje i rozkazy wprost od Rządu, bez pośrednictwa Wydziałów wydawane; rozporządzenia zaś i dekreta Rządu, ogłaszane drukiem, jako kopie, podcyfrowane być miały literami L. S. (*locus sigilli*). W dekrete oryginalnym napisano *locum*, co dało prasie rosyjskiej powód do szyderstw i nieuctwa prawodawców narodowych) i opatrzone w dowód autentyczności, pieczęcią drukarni Rządu nar.

O dekrete tym pisaliśmy już w tomie II, p. 493, twierdząc, że jeszcze za Rządu kwietniowego był on wydany, co jest błędem i co się niniejszem prostuje. Dekret ten wydrukowany został w Nrze 17 *Ruchu*.

razu nie dopuszczono na posiedzenia Rządu, choć ciągle przez umyślne deputacje i przez Naczelnika miasta Kwiatkowskiego o to się dopominali. Na konferencyi tej Dobrowolski próbował przedstawić tym oszołomionym głowom, małpującym rewolucjonistów francuskich, różnicę pomiędzy Francją a Polską, walczącą o niezależność polityczną, starał się im wyjaśnić, że Komitet nie jest pomocą, ale przeszkodą, że skoro Rząd narodowy dźwiga wobec kraju całą odpowiedzialność, musi więc z natury rzeczy mieć władzę nieograniczoną; że powstanie wymaga sprężystości w działaniu, skupienia władzy w jednym ręku, a nie jej rozdrobnienia; że śmiesznem i niegodziwem jest podejrzywanie o możliwość zdrady ludzi, których sami powołali do steru i t. p. Wszystko to jednak na nic się nie zdało; członkowie Komitetu uparcie trzymali się swego zdania, że w instytucyi tej widzą jedyne zbawienie kraju, ustąpić nie chcieli mniemanych praw swej zwierzchności nad Rządem stale się domagali.

Chaos więc trwał dalej, a w organizacyi prowincjonalnej, w zbrojnych oddziałach niepokój wzrastał wobec milczenia Rządu, zajętego nie kierowaniem powstania, ale walką o swe istnienie. Nie wysyłano rozkazów ani wskazówek, nie zasilano oddziałów pieniędzmi, których zresztą nie było, bo nowy Rząd w kasie zastał zaledwie kilkadziesiąt tysięcy złotych, a przy ogólnym rozstroju nowe fundusze wpływały bardzo wolno, nieregularnie i w znacznie zmniejszonej ilości. Przytem sam Rząd, czy to ulegając powszechnemu zamroczeniu umysłów, czy też dla okazania swej energii, wydał kilka dekretów, nieobmyślanych należycie i niemądrych. Jednym z nich zniósł loteryę klasyczną Królestwa, jako „instytucyę w zasadzie niemoralną i będącą jednym ze źródeł dochodu dla skarbu najezdników”. Po ukończeniu ostatniego (101-go) ciągnięcia, dekret zakazywał rozsprzedaży i nabywania biletów. Drugim dekretem Rząd narodowy wzywał wszystkich Polaków, służących w wojsku rosyjskiem, do opuszczenia jego szeregów, z terminem prekluzyjnym do 1 sierpnia 1863 r. pod

karą wywołania z kraju i „jako bannici pozbawienia cześci obywatelskiej i wszelkich praw politycznych i cywilnych¹⁾. Trzecim dekretem Rząd narodowy wstrzymywał ruch komunikacyjny i telegraficzny na kolejach: warszawsko-petersburskiej „w granicach Polski“ i Landwarowo-wierzbowskiej, jako „chwilowo szkodliwy dla sprawy wyswobodzenia ojczyzny“. Nakazywał dróżnikom i robotnikom natychmiast drogi te opuścić, mechanikom zabraniał prowadzić maszyny same i z pociągami, telegrafistom wysyłania depesz, osobom prywatnym jeździć i pakunki przysyłać, urzędnikom przyjmowania i ekspedycjonowania towarów, a to pod karą pociągnięcia do odpowiedzialności przed Trybunałem rewolucyjnym. Wreszcie czwartym dekretem zabraniał pod najsurowszą odpowiedzialnością przyjmowania posad sekwestratorów i woźnych skarbowych²⁾.

Dekrety te, dla nieobznajmionych ze stanem rzeczy w kraju, mogły się wydawać objawem siły wszechpotężnego Rządu narodowego, ale dla tych, którzy ten stan znali, takie rozporządzenia były dowodem, że w Rządzie tym zasiadają ludzie niesłuchanie lekkomyślni i po prostu szaleni. Czyż bowiem można było przypuszczać, że rząd rosyjski, choćby niewiem jak był słaby, zezwoli na taki upadek swej powagi i loteryę klasyczną zamknąć, ruch na kolei petersburskiej wstrzymać, lub sekwestratorów nie zamianuje? A skoro z góry można było przewidzieć, że dekrety te nigdy nie wejdą w wykonanie, to coż to byli za ludzie w tym Rządzie narodowym, którzy jego urok na tak sromotny szwank narażali, całe znaczenie, jeszcze

¹⁾ Między innemi, jak opowiada Wittgenstein (*Souvenirs et correspondance* II, 83), rozkaz taki otrzymał adjutant W. Księcia, Kominowski, „rodowity Rosjanin“, jak go nazywa Wittgenstein.

²⁾ Wszystkie te cztery dekrety ogłoszono w Nrze 17 *Ruchu*. Dodać tu należy, że Dobrowolski (Dwie chwile) twierdzi, że dekrety powyższe wydał nie Rząd Czerwcowy, ale następny, trzeci z kolei, w czem się stanowczo myli. Dekrety te pomyślane i wydrukowane zostały za Rządu Czerwcowego z datą 21 i 22 czerwca, a opublikowane po upadku tego ostatniego, w chwili, gdy nowy Rząd jeszcze się nie uorganizował i może nawet nie wiedział o tych dekrétach.

w tej chwili dość duże, na ostrzu noża stawiali? Jakże takie postępowanie nie miało wzbudzić podejrzeń w ludziach rozsądniejszych, że rządy powstania dostały się w ręce szaleńców i że sprawa ojczyzny stacza się po fatalnej pochyłości w przepaść głupstwa najoczywistszego? To też wszyscy ludzie, nawet powstańczo usposobieni, a takich była wtedy w kraju ogromna większość, ale nie pozbawieni rozsądku patrzyli na to, co się dzieje ze smutkiem, nieomal z rozpaczą i z poczuciem gwałtownej potrzeby usunięcia szaleńców od władzy, którą kompromitowali. Tem było to konieczniejsze, że interwencja dyplomatyczna mocarstw zachodnich zdawała się przybierać formy ostrzejsze, że wszyscy byli przekonani, albo że Rosya ustąpi, albo że wojna będzie nieuniknioną. Żądane przez mocarstwa interweniujące, zawieszenie broni, o które w pertraktacjach Rząd narodowy przypuszczałnie mógł wystąpić jako jedna ze stron, wymagało koniecznie, żeby w tym Rządzie znajdowali się nie półgłówki i szaleńcy, ale ludzie poważniejsi, a nadewszystko rozumniejsi. Te to względy, niewątpliwie pierwszorzędnej wagi, kazały pewnej grupie stronnictwa szlachecko-białego, do której to grupy w tej chwili należeli: głośny i ruchliwy w Warszawie mecenas, Wincenty Majewski, brat spiskowca Karola; Kurtz, obywatel ziemski, dziedzic Otwocka, odgrywający pewną rolę we wszystkich wypadkach dotychczasowych, słynny ze swych trafnych określeń w jednym zdaniu danej sytuacji¹⁾, człowiek z niewielką inteligencją, ale ogromnemi pretensjami; Józef Mianowski, zacny rektor Szkoły Głównej; bankier Leopold Kronenberg; Karol Ruprecht, który ze wstrętem spoglądał na to, co się dzieje, i wielu innych, których nazwisk nie chcemy wymieniać, gdyż niektórzy po dziś dzień żyją. Otóż grupa ta szukała człowieka, któryby posiadał wśród organizacyi stosunki, któryby wśród niej

¹⁾ On to wyrzekł o Wielopolskim ów frazes, często odtąd powtarzany, że „margrabia każe nam siadać do powozu, ale nie powiada, dokąd nas zawiezie“.

używał pewnego rozgłosu i potrafił opanować władzę, któryby z jednej strony uchodził za dość powstańczo usposobionego, z drugiej przedstawiał pewną gwarancję, że szaleństwu ultraczerwieńców położy koniec i rad stronnictwa Białego posłucha. Takiego człowieka, zaiste, nie łatwo było znaleźć w chaotycznym zamęcie organizacji, z której wszystkie lepsze żywioły wyszły, kładąc swe głowy na pobojuwiskach i na szubienicach, lub przedwcześnie zużyte w strasznej walce, nie przedstawiały ani energii, ani woli, ani chęci do rozpoczęcia tej walki na nowo.

Zdarzyło się, że właśnie w chwili tego poszukiwania człowieka, któryby potrafił opanować zamęt w organizacji miejskiej i sformować nowy Rząd narodowy, został wypuszczony z cytadeli po półrocznym w niej zamknięciu, Karol Majewski, wspomniany już brat mecenasa Wincen- tego. Osobistość ta, odgrywająca czynną rolę we wszystkich robotach przedpowstańczych i spiskach, używała wśród organizacji głośniejszej sławy, acz ci, co go bliżej znali, nie cenili go za chwiejność przekonań, a Czerwieńcy za to, że przechylał się raczej do Białych, że należał do Dyrekcyi szlacheckiej i że w ciągłych był z nią konszach- tach. Człowiek jeszcze młody, jasny blondyn, nieco ospo- waty, czytany i wykształcony, miał dużą przewagę nad rozstrojonymi umysłami swych współtowarzyszy przez swój spokój, chłód pozorny i logikę rozumowania. Pochodząc z Frankistów, ochrzczonych jeszcze w końcu XVIII wieku, miał koneksye i stosunki wśród tej klasy, która opano- wała sądownictwo w Królestwie i odznaczała się nie tyle może talentami, ile zręcznością postępowania. Niemniej przeto, miał on pewne wpływy wśród bogatego żydostwa warszawskiego, a obszerne znajomości z jednej strony między szlachtą, z drugiej między członkami Rządów na- rodowych i organizacji miejskiej, czyniły go jedynym człowiekiem, odpowiednim do przeprowadzenia zamysłów wyżej wymienionej grupy. Prócz tego popierał go brat, mecenas Wincenty, i Kronenberg, który go znał od dawna, uważał za człowieka pewnego i za takiego, który jego

wpływowi i radom będzie ulegał i poza plecami którego on i jego grupa właściwie rządzić będzie.

Majewski po pewnem wahaniu, zgodził się na sformowanie nowego Rządu, tem więcej, że na wieść o wy- puszczeniu z cytadeli dawnego spiskowca, poczęli się zgła- szać do niego członkowie władz powstańczych, jak Aweyde, zniechęcony chaosem, z obrzydzeniem o nim mówiący, jak nawet Lempke-Okularnik, który widząc, że z dotych- czasowym Rządem nic nie zrobi, pragnął stworzyć nowy, jak wielu innych mniej znanych i mniej głośnych. Nama- wiali go, by starał się wyrwać władzę z rąk dotychczas- wych szaleńców, obiecywali mu swoją pomoc i poparcie. Między tymi z organizacji, którzy zetknęli się teraz z Ma- jewskim, znalazł się także człowiek, który dokonał jednego z najnieprawdopodobniejszych czynów i który może naj- więcej się przyczynił do skłonienia Majewskiego i ustale- nia nowego Rządu. Człowiekiem tym był Aleksander Waszkowski.

Syn niegdyś wojskowego polskiego, a następnie urzę- dnika rządu gubernialnego, bawił przez jakiś czas na uni- wersytecie petersburskim, ale go nie skończył i należał do tego tłumu niedouczonej młodzieży, która zaczęła i prowadziła powstanie. Jak wszystką tę młodzież, tak i Waszkowskiego trawiła ambicya odegrania głównej roli w tej strasznej burzy, która szalała nad Polską, a ambi- cyę tę popierała niezwykła, niczem niezłamana energia i odwaga, posunięta do szaleństwa. Czerwony z przekonań, rewolucjonista zapalony, patriota gotowy dla ojczyzny wszystko i wszystkich poświęcić, wszystko przełamać, przedsięwziąć rzeczy najniepodobniejsze do skutecznienia, nie mógł jednak przez długi czas uzyskać sobie w orga- nizacyi miejskiej stanowiska wybitniejszego, takiego przy- najmniej, na którym mógłby zużytkować ten olbrzymi za- pas energii, jaki krył się w jego postawie średniej i krę- pej, w oczach czarnych i ognistych, okularami dla krótkości wzroku zasłoniionych, w twarzy brzydkiej, nieomal kałmuckiej, o rysach z gruba ociosanych. Liczył w tej

porze około 25 lat. Przez długi czas był zaledwie setnikiem w organizacyi powstańczej i dopiero w kwietniu 1863 r. w nagrodę za to, że w lutym t. r. zdołał wykraść z Komisji skarbu, z Wydziału pomiarów, 52 sekcyje olbrzymiej mapy Królestwa Polskiego, potrzebnej dla dowódców powstańczych, zrobiono go okręgowym Wydziału IV-go w tejże organizacyi. Wykradzenie z Komisji map obznajmiło go ze zwyczajami miejscowymi i pozwoliło z wielu urzędnikami zawiązać stosunki, a widząc nieustanny brak pieniędzy w Rządzie narodowym, powziął niesłychanie śmiałą myśl zabrania ze skarbcza głównego Komisji, znajdujących się tam milionowych funduszy. Zdaje się, że już w kwietniu zwierzył się z tym zamiarem temu i owemu z członków ówczesnego Rządu, ale uważano to za projekt tak szalony, że nawet mówić o tem nie chcieli¹⁾. Z tem wszystkiem Waszkowski nie wyrzekł się swego zamiaru nosił się ciągle z tą myślą, oglądał ją ze wszystkich stron i powoli utwierdzał się w tem przekonaniu, że rzecz nie jest tak szaloną, jak się wydawać komuś może, owszem zgoda możliwą w wykonaniu. Kasyerem głównym, pod którego zawiadywaniem pozostawał skarbiec, był niejaki Stanisław Janowski, a naczelnikiem buchalteryi, bez obecności którego Janowski nie mógł otwierać skarbcza, był Stanisław Hebda. Obaj byli dobrymi urzędnikami, żyli ze sobą w stosunkach przyjaźni, ale jak wszyscy urzędnicy tej doby, byli też gorącymi patryotami. Do nich to Waszkowski, ciągle swą myślą zajęty, zgłosił się w końcu maja, zaopatrzonego w odpowiednie upoważnienie swego Wydziałowego²⁾, z żądaniem, ażeby fundusze skarbu pozwolił

¹⁾ *Aweyde* (cytowany u *Berga* III, 219) powiada: «nie przypuszczaliśmy, żeby zdrada w sferze urzędniczej ówczesnej dochodziła do takiego stopnia. Gdybyśmy byli widzieli możność dostania pieniędzy z Kasy Głównej, to bylibyśmy urządzili całą sprawę o wiele rozumniej i zręczniejsz; zabralibyśmy wszystko, do ostatniego grosza i wcześniej użyli odpowiednich środków dla jak najprędzej wymiany listów zastawnych i wysłania ich za granicę».

²⁾ *Tomasz B.* w swych rękopiśmiennych pamiętnikach (znajdujących się w zbiorze autora niniejszego) opowiada o tem, co nastę-

zabrać na rzecz powstania. Przedstawił im, że jeżeli na to się nie zgodzą i nie dopomogą do uskutecznienia tego zamysłu, to „wszystko przepadnie, wszystkie usiłowania dotychczasowe i krew przelana, pójdzie na marne“. Obaj urzędnicy jednak, oszołomieni tym nadzwyczajnym projektem, stanowczo się temu oparli i słuchać nawet nie chcieli, ale Waszkowski zauważył, że myśl jego i obraz rozpaczliwego położenia powstania, głębokie na nich wywarła wrażenie. Nie wątpił więc, że powoli, gdy się oswoją z tym projektem, gdy go rozpatrzą ze wszystkich stron, rzecz się może da zrobić...

Otóż teraz, wśród anarchii, panującej w Rządzie i organizacyi, Waszkowski nie chciał tej imprezy przedsiębrać, gdyż, szczerze mówiąc, niewiadomo było, komu, zdobyte z takim trudem i niebezpieczeństwem pieniądze powierzyć. Ale gdy Majewski zjawił się w mieście, gdy Waszkowski się z nim zetknął, gdy o projektach objęcia władzy przez Majewskiego się dowiedział, położenie stawało się jasniejszym, a nadewszystko było już komu oddać w ręce tak znaczne fundusze. Skoro zatem Waszkowski temu ostatniemu zwierzył się ze swą myślą, ten nie tylko uznał ją za dobrą, ale oświadczył, że w takim razie gotów jest sformować nowy Rząd, gdyż przy pieniądzach będzie można coś stanowczego przedsięwziąć i sprawę powstania na właściwe pchnąć tory. Gdy więc owa grupa stronnictwa Białych zwołała walną radę, celem powzięcia ostatecznej decyzji co do zamierzonej formacyi nowego Rządu, na której to naradzie oprócz Majewskiego, znajdował się brat jego Wincenty, Kronenberg, któryś z panów Zamoyskich,

puje: «...pewnego dnia Olszański doniósł mi, że jeden z okręgowych IV-go Wydziału, niejaki Waszkowski, student uniwersytetu petersburskiego, zawiązał stosunki z Hebdą i Janowskim, kasyerami komisji przychodów i skarbu, i że gdyby ów Waszkowski miał upoważnienie od Komitetu do traktowania z nimi o zabranie skarbcza, moglibyśmy pieniądze dostać. Nie dowierzałem możliwości podobnego faktu i dlatego, nie mówiąc po co i na co, uzyskałem potrzebny na upoważnienie blankiet i wręczyłem go Olszańskiemu».

rektor Mianowski, a z Galicyi przybył Rodakowski, Majewski oświadczył, że gotów jest sformować nowy Rząd, ale pod warunkiem, że będą odpowiednie fundusze, bo z kilkudziesięciu tysiącami złotych, jakie podobno znajdują się w kasach organizacji, o żadnych poważnych działaniach myśleć nie można. Wówczas Kronenberg oznajmił, że gotów jest każdej chwili dać sto tysięcy rubli, Zamoyski w imieniu ordynata obiecywał przeszło dwa kroć, inni obecni mniejsze sumy, ale Majewski uważał, że to wszystko za mało, że bez jakichś kilkudziesięciu milionów złotych polskich on nie chce do niczego ręki przykładać. Ale skądże wziąć tych milionów, gdzie ich szukać? Wówczas Majewski oznajmił, że te miliony leżą gotowe w Kasie głównej Królestwa, i nie mówiąc nic, skąd i od kogo myśl tę powziął, dodał, że jeżeli obecni nie przeciw temu nie mają, to on gotów jest miliony te zabrać i obrócić na rzecz powstania. Projekt ten na zebranych wywarł swą nadzwyczajnością i śmiałością wielkie wrażenie. Kurtz aż zerwał się z krzesła i wołał do Majewskiego: „ty to zrobisz? ty to zrobisz? no, jeżeli zrobisz, to dokonasz cudu!“ W rezultacie, zgromadzeni, nie wierząc w głębi duszy w możliwość wykonania czegoś podobnego, głośno nie stawiali opozycji, owszem zachęcali Majewskiego do urzeczywistnienia tego zamysłu i uradzili, że jeżeli fundusz z Kasy Głównej zabrać się uda, jeżeli przez to powstanie się ożywia mocarstwa zachodnie, jak się na to zanosilo, uznają Polskę za stronę wojującą, wtedy w liczbie pięciu (Kronenberg, Kurtz, J. L., Majewski i Zamoyski) ogłaszają się za rząd jawny i losy kraju niepodzielnie w swe ręce wezmą. Tymczasem Majewski ma utworzyć Rząd z ludzi, których będzie uważał za odpowiednich, a dla uregulowania zaś osobistej jego pozycji wobec władz rosyjskich, rektor Mianowski postanowił go zapisać na studenta Szkoły Głównej, co też w rzeczy samej uczynił. Rząd tak sformowany miał intermistycznie kierować powstaniem, dopóki horyzot polityczny się nie wyjaśni, owe nadzieje, wyżej wskazane, się nie spełnią i pięciu wymienionych nie

będą mogli ogłosić się jako jawny i prawowity rząd polski. Upajające marzenia, które nigdy, niestety! ziścić się nie miały.

Waszkowski, mając teraz zapewnienie, że nowy rząd, przedstawiający gwarancje ładu i porządku, pod egidą Majewskiego się sformuje, że krok tak ryzykowny i grożący szubienicą, jakim był zamiar zabrania Kasy głównej, może istotny przynieść pożytek sprawie ojczyzny, ponowił swe usiłowania względem Janowskiego i Hebdy. Pewnego więc wieczoru wpadł do nich silnie wzburzony, z ogniem uniesienia w oczach, i wydobywszy krucyfiks, począł ich wzywać w imię „Boga polskiego“, ażeby zgodzili się i dopomogli mu do zaboru Kasy głównej. Mówił im, że „odmowa z ich strony będzie wprost zdradą sprawy niepodległości ojczystej, przez cały kraj upragnionej, zdradą narodu, wiary jego i tradycji“. Przy ówczesnym nastroju umysłów, przy wysokiem napięciu patryotyzmu u wszystkich, przy nadziejach wreszcie, jakie miano ze względu na interwencję mocarstw zachodnich, takie słowa i takie zakłęcia miały siłę olbrzymią. Któryż wreszcie Polak zawahałby się uczynić wszystko, co jest w jego mocy, gdy mu powiedzą, że od jego postanowienia zależy los i przyszłość ojczyzny? To też Janowski i Hebda, na pół już przedtem zachwiani w swem pierwotnem postanowieniu, ulegli ostatecznie namowom Waszkowskiego i zgodzili się na wszystko. Przytem on nie żądał wcale ich czynnej pomocy; prosił tylko, by mu powierzyli na kilka dni klucze od skarbcu¹⁾, i wskazali dwu lub trzech wo-

¹⁾ Tak opowiada *Berg* (loc. cit.), streszczając zeznania Waszkowskiego, złożone w Komisji śledczej, a które to zeznania historyograf rosyjski, jak zapewnia, miał w ręku. *D. G. Anuczin* zaś, w swym artykule „Ser Wiliam Uajt w warszawskiej śledstwiej komisii“ (*Russkaja Starina* z 1892 r., zeszyt lutowy) opowiada, także jakoby na podstawie zeznań Waszkowskiego, że tenże otrzymał od woźnych Bielińskiego i Tyszkowskiego odcisk klucza od skarbcu i że według tego odcisku kazał zrobić nowy, osobny klucz. Sądzimy, że opowiadanie *Berga* jest wiarogodniejsze, choćby z tego względu, że woźni

żnych, których współudział jest potrzebny i z którymi o tej sprawie możnaby pomówić, bez narażenia się na zdradę. Klucze Janowski oddał zaraz Waszkowskiemu i stanęła umowa, że obaj urzędnicy natychmiast wyjadą za granicę, że tymczasem wystarają się o legalne paszporty, że wreszcie na podróż i na pierwsze początki egzystencji na obczyźnie, otrzymają po 3.600 rubli, gdyż obaj byli ludźmi ubogimi i z pensyi tylko żyjącymi. Co do woźnych, to wskazali Waszkowskiemu trzech: Sebastjana Bielińskiego, Jana Kołtunowskiego i Matensza Tyszkowskiego, na których śmiało można polegać, których znają z ich patriotyzmu i którzy nie tylko nie zdradzą, ale we wszystkim chętnie dopomogą. Z tymi woźnymi już sam Waszkowski rzecz obgadał, zapewnił im także pomoc władz narodowych do ucieczki za granicę, oraz jednorazowe wsparcie po 4000 czy nawet 4500 rubli dla każdego.

Ale takie niezwykle i, rzecz można, wielkie zamiary, podobne są do silnych woni, które chociaż najstaranniej zamknięte, zawsze się w pewnej części ulatniają i odczuć się dokoła dają. Zanadto dużo osób wiedziało o zamysłach Waszkowskiego, by jakaś głucha, niejasna, ale w każdym razie ostrzegająca wieść nie doszła do uszów policyi i szpiegów rosyjskich. Temi to wieściami zaniepokojone władze warszawskie zaproponowały, ażeby pieniądze przewieźć do cytadeli, albo też urzędników kasowych Polaków usunąć, a natomiast dozór nad funduszami skarbowymi Rosyanom powierzyć. Ale margrabia Wielopolski, jako Naczelnik rządu cywilnego, stanowczo się temu oparł. Względy, które nim kierowały, dwojakiej były natury.

klucza od skarbcza mieć nie mogli i odcisku zrobićby nie zdołali. Anuczyn opowiada w 20 lat blisko po wypadkach, stąd często się myli. Pisząc np. o wynagrodzeniu tak obu urzędników jak i woźnych, dodaje: «Waszkowski różnicę co do wynagrodzenia rzeczonych osób tem tłumaczył, że pierwsi dwaj (t. j. Janowski i Hebda) uciekli za granicę i następnie mogli korzystać z pomocy Rządu narodowego, woźni zaś pozostali w kraju». Waszkowski tak nie mógł mówić, bo sam woźnych rzeczonych wyprawiał za granicę.

Naprzód urzędników cywilnych Rosyan nie było wówczas w Królestwie, byli tylko wojskowi, a ci mieli dobrze zasłużoną opinię, w ciągu powstania wielokrotnie stwierdzoną, że bardzo często pieniądze skarbowe polskie uważali za zdobycz, za *spolia optima*, któremi dowolnie rozporządzali, przeważnie na korzyść własnej kieszeni, następnie Wielopolski obawiał się, że urzędnicy rosyjscy, raz zajmwszy stanowiska w Polsce, nie dadzą się już później z nich wyrugować, czego poprzednie rządy trzydziestoletnie liczne przykłady dawały. Z tych powodów projektowi temu oparł się jak najmocniej i zaniepokojonego W. Księcia zapewnił, że obiegające wieści o zaborze kasy czy kas są plotkami, że on, margrabia, za lojalność i wierność swym obowiązkom urzędników polskich, zaręcza. Tym sposobem mimo woli przyczynił się sam bardzo wiele do ułatwienia zamachu, obmyślanego przez Waszkowskiego, nie przeczuwając, że skutki tego zamachu odbiją się ciężko na nim samym, na systemie, który reprezentował i na losach kraju, niestety! Nie dość na tem, sam już z własnej woli zrobił krok, który zabezpieczając Janowskiego, Hebde i woźnych od niebezpieczeństwa natychmiastowego wykrycia zaboru, dozwolił im rzecz całą przeprowadzić stosunkowo dość wolno i systematycznie. Wielopolski bowiem, bądź co bądź, zaniepokojony trochę obiegającą pogłoską i projektem rosyjskim, zażądał od Dyrektora Komisji skarbu Bagniewskiego, ażeby nakazał nagłą i niespodziewaną rewizję Kasy głównej, co też uskutecznił d. 29 maja i zastano wszystko w porządku, sumy wykazane przez kontrolę w całości, tak, że nie brakowało ani grosza nawet. Wogóle w skarbcu miało być przeszło 60 milionów zł. pol. Pogłoski więc okazały się fałszywymi, i Wielopolski otrzymawszy przytem jak najlepszą opinię o Janowskim i Hebdzie, urzędnikach od dawna służących, jako o ludziach familijnych, już niemłodych (pierwszy miał lat 60, drugi 54), odznaczających się pedantyczną nawet systematycznością, uspokoił się zupełnie. Tymczasem sprawdzenie skarbcza dało tę pewność obu kasyerom, że teraz, przez jakiś czas

przynajmniej, będą zabezpieczeni od nagłej, nowej rewizji, i że są chwilowo niepodzielnymi panami położenia i nikt w ich czynności wglądać nie będzie.

W takim stanie rzeczy Waszkowski przystąpił do zaboru pieniędzy z Kasy głównej. Obznajmiwszy się poprzednio jak najdokładniej z topografią miejscowości, w d. 6 czerwca zgłosił się ubrany w mundur urzędnika skarbu przed godziną 10 rano, t. j. przed rozpoczęciem czynności biurowych, i w towarzystwie trzech wymienionych woźnych otworzył najspokojniej drzwi do skarbcza. Na drzwiach tych pieczęci nie było, a żołnierz, stojący na straży, widząc urzędnika i woźnych, nie robił najmniejszych trudności, owszem, broń przed nimi prezentował i oczywiście do głowy mu nawet przyjść nie mogło, żeby pojawienie się tych czterech jegomościów miało w sobie coś nielegalnego. Pieniądze papierowe w paczkach, a monetę brzęczącą w workach wynosili tak Waszkowski, jak i woźni, do sieni w lewym skrzydle, zwykle pustej, gdzie czekała już doróżka, a w niej siedział „pewien człowiek” (jak się wyrażał Waszkowski w swych zeznaniach w komisji śledczej), jak się zdaje, Stanisław Olszański, urzędnik kolei warszawsko-wiedeńskiej, okręgowy powstańczy z tegoż co i Waszkowski wydziału, ten sam, któremu ten ostatni zwierzył się ze swego zuchwałego zamiaru i który mu u Wydziałowego, Tomasza B., wyrobił pewien rodzaj upoważnienia, potrzebnego do wylegitymowania się przed Janowskim i Hebdą. Ile zabrano tego dnia pieniędzy, nie wiadomo; zapewne niewiele, gdyż czasu nie było i godzina 10-ta, w której urzędnicy do biura przychodzili, się zbliżała. Olszański więc odjechał z tem, co zdołano wziąć, jak twierdzą jedni, na Grzybów, według drugich na ulicę Krochmalną, i tam u kogoś, a najprędzej we własnym mieszkaniu, tymczasem pieniądze ukrył. Tegoż dnia po południu, po ukończeniu zajęć biurowych, gdy urzędnicy już wyszli, Waszkowski takimże sposobem znowu zabrał pewną część funduszków, a Olszański je wywiózł.

Nazajutrz, d. 7 czerwca, była niedziela, więc wcho-

dzenie do skarbcza mogło zwrócić uwagę, dlatego niebezpieczną tę czynność zawieszono do d. 8 i w poniedziałek i we wtorek rano, w dalszym ciągu ją prowadzono¹⁾. Po południu jednak tego dnia musiano akcyę tę przerwać, choć zaledwie część funduszków wywieziono, gdyż zaszła okoliczność nieprzewidziana, która nie tylko zaborowi koniec

¹⁾ Szczegóły zaboru pieniędzy opieramy na relacjach Karola Majewskiego, głównie jednak na zeznaniu Waszkowskiego w komisji śledczej, cytowanem u *Berga* (Zapiski III, 191—221). Berg dodaje: «W zeznaniach Waszkowskiego historia zaboru, jak się zdaje, była opowiedziana ze wszystkimi szczegółami, ale arkusze te zostały wycięte, a na ich miejsce wszyto jakieś inne, skreślone jego ręką, ale niedbale i jakby niechętnie». Powodem tej zamiany pierwotnych zeznań, była, o ile sądzić można, okoliczność następująca:

W r. 1864 część zabranych Listów zastawnych ajencji powstańczy, a głównie Stanisław Frankowski, usilowali wymienić w Londynie i zgłosili się z tem żądaniem do jednego z bankierów, który na nieszczęście był stałym bankierem konsula rosyjskiego w Londynie, kamerjunkra *Berga*, rodzonego brata Namiestnika. Wskutek tego listy owe zatrzymano i sprawa poszła pod rozpatrzenie sądów angielskich. Adwokat, o którego Frankowski się postarał, utrzymywał, że w Polsce jest powstanie, że kraj uznaje władzę rządu powstańczego, że nie było żadnej kradzieży listów zastawnych, a tylko przeniesienie na rozkaz prawowitego rządu polskiego funduszków krajowych z jednej kasy do drugiej. Strona przeciwna twierdziła, że w Królestwie niema innego rządu tylko rosyjski, że kradzieży listów dokonała jedna osoba i to z własnej inicjatywy, nie zaś na rozkaz jakiejś nieistniejącej władzy. Wobec tego wielkie znaczenie miało zeznanie samego Waszkowskiego. Jeżeli w tem zeznaniu był ustęp, w którym mówił, że dokazał zaboru z własnej inicjatywy, to sprawa w sądach angielskich od razu przybierała charakter przestępstwa nie politycznego, ale kryminalnego. Dla otrzymania takiego zeznania przesłuchano jeszcze raz Waszkowskiego w obecności konsula angielskiego *Wiliama Wighta* w więzieniu na Pawiaku i kazano więźniowi zeznanie owe spisać, które potem przesłano w urzędowym przekładzie do sądów angielskich. O całej tej akcji rozpisuje się obszernie *Anużyn* w swym artykule «Ser *Wiliam Uajt* w warszawskiej śledstwennej komisji». Oczywiście Waszkowski zeznał tak, jak chciała komisja; ażeby zaś nie pozostał ślad dawnych jego zeznań, może niewygodnych dla rządu rosyjskiego, więc je zniszczono, a na to miejsce wszyto nowe, «niedbale i jakby niechętnie spisane», które historyograf *Berg* oglądał.

położyła, ale całą rzecz naraz przed władzami rosyjskimi wykryła. Okolicznością tą było, że intendentura wojskowa zażądała z Kasy głównej znacznej jakiejś sumy (podobno 70.000 rubli) na potrzeby wojska. Żądanie to o wiele wcześniej było przesłane do Komisji skarbu i jeśli mu zaraz nie uczyniono zadość, to dlatego, że intendentura nie wyjednała poprzednio upoważnienia od władz cywilnych Królestwa, dla kasy, do wypłaty tej sumy. Nim to upoważnienie intendentura otrzymała, upłynęło kilka dni. Zdaje się, że Janowski i Hebda o tem wszystkiem nie wiedzieli, gdyż prawdopodobnie byłiby Waszkowskiemu poradzili, rzecz samą odłożyć na później, po wypłacie intendenturze żądanej przez nią sumy. Dość, że właśnie we wtorek, d. 9 czerwca, zgłosił się koło południa do Kasy głównej urzędnik intendentury wojskowej z upoważnieniem do odbioru potrzebnej sumy. Udano się do skarbcza i zastano tam ogromny nieład, pootwierane skrzynie, porozrzucone pieniądze, widoczne na każdym kroku ślady szybkiego, gwałtownego, niespokojnego zaboru...

W samej Komisji skarbu od razu domyślano się, kto uskutecznił ów zabór. Od niedzieli do biura nie zjawił się ani Janowski ani Hebda¹⁾, a we wtorek trzech woźni znikli. Waszkowski wystarał się dla wszystkich tych biedaków o paszporta i kazał im przybyć na kolej wiedeńską o naznaczonej godzinie; jakoż Bieliński i Tyszkowski stawili się i odjechali, a Kołtunowski się spóźnił i został, co go tak przeraziło, że zaraz z kolei poszedł na ulicę Rybaki do łazienek Sitkiewicza, scyzorykiem przeciął sobie żyły w zgięciu łokcia i od upływu krwi umarł. Była to więc pierwsza, iście tragiczna ofiara niesłychanego czynu Waszkowskiego.

Tymczasem władze rosyjskie z osłupieniem i przera-

¹⁾ Hebda zabrał żonę, która o niczem nie wiedziała, i dzieci i pod pozorem, że jedzie na spacer do Skierniewic, uciekł za granicę. Osiadł w Paryżu, gdzie w nędzy prawie umarł w kwietniu 1868 r. Żona jego, Joanna, umarła w Galicyi w r. 1879 w Dąbrowie pod Tarnowem.

żeniem dowiadywały się o zaborze pieniędzy z Kasy głównej. Pierwszą wiadomość o tem otrzymał Berg, jako pomocnik wodza naczelnego (głównodowodzącego). Tegoż dnia, w którym wykryto zabór, zaraz po południu przybył do Berga intendent okręgowy warszawski, generał Chomętowski i doniósł, że urzędnik, wysłany przezeń do Kasy głównej Królestwa po pieniądze, powrócił z próżnemi rękami, gdyż okazało się, że kasa ta została okradziona, że zabrano olbrzymią, kilka milionów rubli wynoszącą sumę. Nie wątpiono ani na chwilę, że jest to „sprawka“ (prodielka) Rządu narodowego. Berg z wiadomością tą natychmiast wysłał do W. Księcia swego adjutanta, kapitana Annenkowa. Wrażenie tej wiadomości było bardzo silne, ale oczywiście nie miano najmniejszego na to dowodu, że zrobił to Rząd powstańczy, jak to Berg przypuszczał. Zarządzono natychmiast niektóre środki tak dla dowiedzenia się o wysokości sumy skradzionej, jak i dlatego, by zbadać, kto właściwie dopuścił się zaboru, ale że już było pod wieczór, nie prawie zrobić się nie dało. Nazajutrz znalazł się w Zamku wczesnym rankiem i Wielopolski, silnie przygnębiony wypadkiem, za który wielka odpowiedzialność na niego spadała, boć on zaręczał za uczciwość i wierność urzędników polskich i oparł się propozycji W. Księcia, by Kasę główną przenieść do cytadeli, lub dozór nad nią powierzyć urzędnikom Rosyanom; zjawił się tu i Bagniewski, dyrektor główny Komisji skarbu, niedawno w tej godności zatwierdzony przez Cesarza, zmieszany, przerażony, że w jego wydziale zdarzył się fakt tak niesłychany; przybył i Enoch, sekretarz Rady stanu, przybyło i wielu innych, by zastanowić się wspólnie, a nade wszystko zbadać, co o tem myśli W. Książę, dla którego, tak jak i dla Wielopolskiego i wogóle dla autonomii polskiej, nowy ten cios, bodaj czy nie był najdotkliwszym. Zauważono przytem, że W. Książę jest nadzwyczajnie podrażniony, że jego oczy rzucają owe złe, zimne, przeszywające spojrzenia, które się tak nie podobały współczesnym...

Ale jeżeli w Zamku, w sferach rządzących, fakt za-

boru Kasy głównej wywarł tak przygnębiające wrażenie, w mieście, po którym natychmiast, rzekłbyś, lotem błyskawicy, rozbiegła się wieść o tem, wrażenie było niemniej silne, acz zgoła natury odmiennej. Nikt prawie nie wątpił, że to jest „sprawka“, że użyjemy słów Berga, Rządu narodowego, i całe te masy czerwono usposobionej młodzieży i drobnego mieszczaństwa warszawskiego zacierały ręce z radości, zachwycały się nadzwyczajną śmiałością i zręcznością organizacji powstańczej, a nie z tego się cieszone, że Rząd powstańczy uzyskał znaczne fundusze, ale że zrobił takiego „psikusa“ najazdowi¹⁾. Oczywiście rzecz, wieść o zaborze Kasy doszła także do ówczesnego Rządu narodowego, do pp. Kobylańskich, Malinowskich, Dobrowolskich, do Komitetu ocalenia publicznego, do całej zresztą organizacji i równie potężne wywarła tam wrażenie, a przede wszystkim zrodziła pytanie: kto to zrobił? Jak wszędzie, tak i tutaj nie wątpiono ani na chwilę o tem, że dokonał tego ktoś z organizacji powstańczej, ale kto? i dlaczego nie uwiadamia o tem Rządu? Mimowoli musiało powstać przypuszczenie, że uczyniło to jakieś stronnictwo, które chce opanować władzę, a mając w ręku tak znaczne fundusze, łącznie nowego dokona przewrotu. I przez dziwny, jedyny zapewne w historii zbieg okoliczności, kiedy władze rosyjskie rozpuściły liczne sfory szpiegów, by się dowiedzieć, kto się dopuścił zaboru Kasy, Rząd powstańczy wprowadził w ruch całą organizację miejską, by ten sam rezultat osiągnąć. Sprawa tego zaboru zwiększyła jeszcze bardziej zamęt w rzeczonyj organizacji, od paru tygodni w niej panujący. Wszyscy na siebie spoglądali z ukosa, wszyscy się wzajem podejrzewali; Rząd

¹⁾ *Anuczyn* (loc. cit.) ze zwykłą w tej dobie pisarzom rosyjskim jaszczurczą złośliwością i przesadą, powiada: «Nazajutrz dość było przejść się kilka kroków po ulicy, by się przekonać, że cała Warszawa wiedziała już o tem, co się stało. Wszyscy byli weseli, cieszyli się, z drwiącą miną swawolnych chłopców spoglądali na nas wojskowych, którzy swym mundurem jawnie świadczyli, że należą do najazdu moskiewskiego».

podejrzewał Komitet ocalenia publicznego, że to on dokonał owego zaboru; Komitet podejrzewał o to samo Rząd, i rozstrój, wzajemna nieufność, rozgoryczenie, oskarżenia, plotki, oszczerstwa, wzrosły do najwyższych rozmiarów. Stan ten, według jednego ze współczesnych, „był przepełniony takim błotem, że samo wspomnienie o tem przez długi czas wszystkie wnętrzości w nim poruszało“. W tem położeniu, Dobrowolski, nie mogąc porozumieć się z Komitetem ocalenia publicznego, postanowił ustąpić z Rządu, czego w rzeczy samej dokonał i w czem naśladował go Kobylański i Malinowski. Dobrowolski udał się z powrotem do Rawy, gdzie objął dawne obowiązki naczelnika powiatu rawskiego; Malinowski złamany burzą, szalejącą dokoła, chory, cierpiący mocno, wyjechał za granicę, a Kobylański, choć przyrzekł Dobrowolskiemu, że pieczęci nikomu nie odda, wręczył ją Lembkemu i Rząd czerwcowy tym sposobem po trzechtygodniowym istnieniu rozpadł się zupełnie¹⁾. Powstały z anarchii, skończył na anarchię, t. j. od tego samego miecza, którym wojował²⁾. Członek Komitetu

¹⁾ *Dobrowolski* (Dwie chwile) tak określa działalność tego Rządu: «Za krótki był czas jego istnienia, aby on mógł swój programat wykonać, nie mógł go całego w życie wprowadzić, a nie dopiero już skutków od niego się doczekać. To pewna jednak, że usiłował on pełnić powstanie na inne tory, czy jednak rezultat byłby innym? W każdym jednak razie, to pewna, że tylko niesłychana energia i wysiłek zbawić nas mogły, a bezwarunkowo walka istotna, jaką ten Rząd chciał prowadzić, nie byłaby tak krwawą i kosztowną w skutkach, jak manifestacja, która licząc na pomoc zagraniczną, takie okropne ofiary wywołała. Nie wszystkie środki przez Rząd ten proponowane, mogły być wprowadzone, wiele z nich wprowadzono dopiero we wrześniu, kiedy znów nowy Rząd, zwany czerwonym lub wrześniowym, władzę objął».

²⁾ Zdaje się, że nie bez pewnego oporu ustąpiono. *Tomasz B.* w swym, cytowanym już parokrotnie pamiętniku opowiada, że ostateczne, bardzo burzliwe posiedzenie Rządu Czerwcowego odbyło się w palacu Dekerta na ulicy Długiej, że zjawił się tam Lembke-Okularnik i pokazując przez okno sali, że dom jest przez jego ludzi otoczony, pod groźbą sztyletów w razie oporu, żądał oddania władzy nowym ludziom. Dobrowolski (Dwie chwile) nie o tem nie wspomina,

ocalenia publicznego, wspomniany tu już Wojciech Glikselli, widząc, że do władzy przychodzi stronnictwo umiarkowane z Majewskim na czele, zabrał wszystkie fundusze, jakie były w kasie powstańczej, dochodzące podobno do stu tysięcy złp. i przez kilka dni nosił je przy sobie, nie śpiąc w domu w obawie, by mu ich „Targowiczanie“ (jak nazywano w kołach czerwonych stronników umiarkowania) nie odebrali. Oddał je dopiero pod naciskiem gróźb i widząc, że Czerwoni nie mają w tej chwili żadnej nadziei osiągnięcia naczelnego kierunku powstania¹⁾.

Gdy się to działo w sferach powstańczych, władze rosyjskie rozpoczęły energiczne śledztwo w sprawie zaboru Kasy głównej. Przedewszystkiem szło o ściśle oznaczenie sumy, bo mówiono o milionach, a nikt dotąd napewno nie wiedział, ile w rzeczy samej zabrano. Już zaraz nazajutrz wzięto się do tego, ale, jak się zdaje, poszukiwania dość niedbale prowadzono, gdyż podania urzędowe i nieurzędowe nie zgadzają się ze sobą co do wysokości uniesionych przez Waszkowskiego funduszy. Różnice są wprawdzie nieznaczne, ale są. Według ogłoszenia urzędowego w *Dzienniku powszechnym* (z d. 13 czerwca) oraz według wykazów, znajdujących się w archiwum b. Komisji skarbu, suma ta wynosiła rub. 4,253.242 kop. 90²⁾; według

ale może dlatego, że go już nie było w Warszawie, więc o fakcie tym nie wiedział. Miño to scena ta jest wątpliwą, zbyt bowiem przypomina fakt rozpędzenia Rządu Kwietniowego i autora rękopisu mogła pamięć zawieść.

¹⁾ Jako rys charakterystyczny siły woli i wysokiego nastroju duchowego ludzi tej epoki, niech nam będzie wolno przytoczyć fakt następujący: Glikselli, zebrawszy ów stotysięczny fundusz narodowy, nie miał własnych pieniędzy ani grosza i przez cały czas, gdy tę znaczną stosunkowo sumę nosił przy sobie, nie jadł obiadów, cierpiał głód, sprzedawał ubranie, a z funduszu narodowego nie wziął nawet złotówki. Czytanie żywotów Plutarcha nie padło więc na grunt jałowy.

²⁾ Suma ta składała się:

Z gotówki (papiery, złoto, srebro i miedź)	rub. 552.075
Z listów zastawnych Towarz. Kred. Ziem.	„ 3,027.945
Z kuponów od listów zastawnych	„ 673 222 kop. 90
Razem	rub. 4,253.242 kop. 90

zaś wykazu Anuczyna, który należał do komisji śledczej, ustanowionej w tej sprawie, mniej o 1.020 rubli. Rząd rosyjski nie od razu podał do wiadomości publicznej, ile właściwie zabrano z Kasy głównej Królestwa; z początku ograniczył się na tem, że w d. 12 czerwca, a więc w trzy dni po dokonanych zaborze, opublikował w oficjalnym swoim organie *Dzienniku powszechnym* (Nr 130, krótką wzmiankę, że „wykrytą została w Kasie głównej Królestwa kradzież znacznych funduszy, największej części w listach zastawnych“; że szczegółowa specyfikacja tychże dozwoliła „przedsięwziąć stosowne środki dla ubezpieczenia się względem listów zastawnych, co zapewne zmniejszy o wiele stratę“, i że ta specyfikacja niebawem ogłoszoną zostanie. I to wszystko. Rząd narodowy Lipcowy Majewskiego ze swej strony obwieścił w d. 15 czerwca na osobnych kartkach, że suma zabrana wynosiła wogóle 3,602.461 rubli kop. 10 (złp. 24,012,992 gr. 20), stanowiąc zaledwie jakąś trzecią część funduszu zachowanego wówczas w Kasie głównej Królestwa¹⁾, różniła się przytem ona bardzo poważnie od sumy, wykazanej przez Komisję skarbu. Odtrąciwszy kupony od listów zastawnych, których publikacja Rządu narodowego nie objęła, jako nie przedstawiających w danej chwili wartości, zawsze pozostanie różnica przeszło 30 tysięcy rubli²⁾. Zdaje się, że powodów tej różnicy, nigdy i nikt się już nie dobada.

Dodać należy, że podania *N. Berga* (Zapiski III, 565) znacznie się różnią od wykazu powyższego. Oblicza on ogólną sumę na rub. 3,599.500

ale nie dołącza do niej kuponów.

Dodawszy więc od tego kuponami

„ 673.220 kop. 90 Wypadnie suma

rub. 4,272.720 kop. 90, czyli za dużo o 19.478 rubli.

¹⁾ *D. J. Anuczyn* loc. cit. powiada, że pozostało w skarbcu 15 worków, zawierających każdy po tysiąc półlimperyalów; 4 woreczki z 400 półlimperyalami i jeden z 17 półlimperyalami. Wogóle zostało złotem 15.417 półlimperyalów i przeszło 4 miliony rubli w listach zastawnych Tow. Kred. Ziem.

²⁾ Rząd narodowy w sumie przez siebie wykazanej pomieścił tylko kupon bieżący za pierwsze półrocze 1863 r., który według

Rząd narodowy w dalszym ciągu swego ogłoszenia zaznaczał, że „fundusze kraju, dla kraju tylko, dla jego wyswobodzenia służyć powinny”; uwiadamił, że Janowski i Hebda na rozkaz Rządu powstańczego sumę powyższą

obrachunku Komisji skarbu wynosił rub. 61.203 kop. 90. Ale rachując tak, po odtrąceniu tego kuponu od ogólnej sumy kuponów, to suma zabrana według Komisji skarbu wynosiłaby rub. 3,641.223 kop. 90 kiedy ona, według Rządu nar. wynosiłaby tylko « 3,602.461 » 20 czyli różnicę stanowi rub. 38.762 kop. 70

Otóż przypuszczając, że 8 tysięcy rubli dano woźnym, pomagającym przy zaborze Kasy, pozostanie jeszcze około 30.000 rubli, które gdzieś się zapodziały. O tych 30 tysiącach posiadamy jednak niejaki wskazówki. *Tomasz B.* w tylokrotnie cytowanym pamiętniku swoim powiada, że gdy na trzeci dzień po zabranu pieniędzy, Komisja skarbu ogłosiła wysokość sumy zabranej (właściwie dopiero w tydzień, bo d. 15 czerwca), to «po obliczeniu tego, cośmy ze St. Str(ońskim?) i Olszewskim znaleźli na Krochmalnej ulicy, okazał się brak mniej więcej 30.000 (cytry dobrze nie pamiętam). Komitet (tak pamiętnikarz stale nazywa Rząd narodowy) podniósł kwestję, czy ma ogłosić, że otrzymał całą sumę, czy też rzeczywiście otrzymaną i przechylał się na stronę ogłoszenia, że w całości pieniądze otrzymał. Znając dobrze Waszkowskiego, Olszańskiego i St. Str. stanowczo przeciwko temu zaprotestowałem, domagając się ogłoszenia rzeczywiście otrzymanej sumy. Jeżeli mogłem przypuszczać jakieś nadużycie, to tylko ze strony tych osób, które pomagały Waszkowskiemu do przeniesienia pieniędzy na ulicę Krochmalną, nigdy zaś ze strony tych, co je przenosili z Krochmalnej do gmachu. szpitala Dziewięćka Jezus». W dalszym ciągu pamiętnikarz pisze, że oprócz powyższych osób przy wynoszeniu pieniędzy był obecny niejaki Czarnecki, jeometra Komisji skarbu, «który wprawdzie nie za swą usługę nie żądał, ale wkrótce potem zatrzymany gdzieś na prowincyi na drodze przez przechodzący oddział rosyjski, został przyaresztowany» i w podwójnym dniu jego powoziku znaleziono znaczną sumę; że Czarnecki twierdził, iż owe pieniądze są jego własnością, że jest to posag jego żony, «kwota jednak, znaleziona w faetonie, odpowiadała różnicy między ogłoszeniem Komisji skarbu a ogłoszeniem Komitetu, i dotąd pozostała w zlocie, co stanowczo przywłaszczenie sobie tej sumy przez Czarneckiego stwierdzało. I sam Czarnecki napisał kartkę z cytadeli, zawiadamiając o swem aresztowaniu, przyznawał, że pieniądze, znalezione przy nim, przywłaszczył sobie przy zabieraniu Kasy. Komisja śledcza nie zwróciła uwagi na to, a może nie chciała i gdy Czarnecki upierał się przy swoim, skazany został na *posiele-*

„z Kasy Głównej do kasy Rządu narodowego przelali“; że obaj ci urzędnicy „dobrze się zasłużyli krajowi i z rozkazu Rządu ze specjalną misją wysłani zostali za granicę“. W kilka dni potem ogłoszono, że „obywatele woźni“

nie po podezreniu, jak wówczas brzmiała większa część wyroków. Żona upominała się o zwrot zabranej mu sumy; nie wiem jednak, czy co uzyskala.

Że ów jeometra Czarnecki wmieszany był w całą sprawę, dowodzi fakt następujący: W archiwum Komisji skarbu znaleźliśmy akta, dotyczące sprzedaży ruchomości, pozostawionych w Warszawie przez Janowskiego i Hebdę. Ruchomości te kazano sprzedąć na pokrycie strat skarbu, pozostałych z zaboru pieniędzy w Kasie głównej. Otóż wśród tych ruchomości figuruje także powóz, należący do jeometry Czarneckiego. W akcie oskarżenia, wytoczonym w r. 1864 przez rząd rosyjski klasztorom w Królestwie, czytamy także, iż w klasztorze Misyonarzy warszawskich «znalazł schronienie niejaki Czarnecki, który miał przy sobie większą część sum, skradzionych z Kasy Królestwa Polskiego w czerwcu 1863 r. Czarnecki wyjechał z Warszawy końmi, należącymi do klasztoru i ukrywał się jakiś czas w Dawidach, będących własnością Misyonarzy». Zdaje się więc nie ulgać wątpliwości, że owe 30.000 rubli utonęły w kieszeni Czarneckiego. Karol Majewski w notatkach, dyktowanych autorowi niniejszego, powiada, że ową sumę 30 tysięcy nie rubli ale złotych, skradł Ignacy Chmieleński, ale nie w czerwcu, tylko we wrześniu, już po rozbięciu Rządu Wrześniowego i z temi pieniędzmi uciekł za granicę. Zdaje się jednak, że podanie Tomasza B. jest autentycznijszem, zwłaszcza, że różnica owa co do sumy, ogłoszonej przez władze rosyjskie, a sumy, jaką istotnie otrzymał rząd powstańczy, wyszła na wierzch zaraz w czerwcu, kiedy Chmieleński nie należał jeszcze do organizacji i pieniędzy owych w ręku nie miał. Jeżeli zaś w rzeczy samej skradł 30.000 złp., to później i zapewne z innych funduszków. W szkaradnych paszkwilach, drukowanych w *Dzienniku Warszawskim* w r. 1864 i 65 o powstaniu i osobach, w niem udział biorących, o Chmieleńskim znajdujemy bardzo wiele wiadomości, niema jednakże tego zarzutu, żeby skradł 30.000 złp., czego z pewnością by w paszkwilach tych nie ukrywano. Autor tych bezceństw powiada, że po rozbięciu Rządu Wrześniowego Traugut dał Chm. pieniądze na drogę, żeby sobie pojechał za granicę. Według innych ustnych podań, Chm. te 30.000 rub. miał wziąć jakoby na kupno broni, a gdy Rząd Trauguta domagał się od niego rachunków, Chm. miał odrzec, że «przed takimi lajdakami jak Traugut i jego koledzy, rachunków zdawać nie będzie». O ile to wszystko jest prawdą, nie wiemy.

Bieliński, Tyszkowski i Kołtunowski także „dobrze się za-
służyli krajowi, gdyż czynnym swym współudziałem wspie-
rali działania“ Janowskiego i Hebdy; że dwaj pierwsi
znajdują się poza granicami kraju, Kołtunowski zaś, „nie
mogąc dla niewiadomych przyczyn jednocześnie z nimi
wydać się, a tem samem wystawiony na niebezpieczeń-
stwo, wolał sobie raczej życie odebrać, niż oddać się
w ręce wroga“. Ogłoszenie to swoje Rząd narodowy koń-
czy taką uwagą charakterystyczną: „czyn tych obywateli
jest dowodem, że naród, którego wszystkie warstwy zdolne
są do najwyższych poświęceń, będących jedynie wpływem
miłości ojczyzny, musi być i będzie wolnym i niepodle-
głym“. Niewątpliwie czyn zaboru pieniędzy z Kasy głów-
nej był dowodem namiętnej miłości kraju i ofiarnego
poświęcenia swego losu i życia, ale czy ta miłość była
rozumną? czy przyniosła istotny pożytek tej, umiłowanej
tak gorąco, nieszczęśliwej ojczyźnie polskiej?

Z ogłoszeń powyższych władze rosyjskie przekonały
się, że zaboru dokonał Rząd powstańczy, co dotąd podej-
rzywano, ale dowodów pozytywnych na to nie miano
w ręku. Wiadomość ta znalazła potwierdzenie d. 16 czerwca;
w dniu tym bowiem margrabia Wielopolski otrzymał z za-
graniczy, z Lubeki, od buchaltera Hebdy list, w którym
tenże, donosząc o swym czynie w sprawie „ocalenia resztek
kapitałów narodowych od zbójckiej grabieży rządu mo-
skiewskiego“, tłumaczył się, że zrobił to, chcąc wynagro-
dzić swój, przeszło trzydziestoletni współudział w niepra-
wych operacjach finansowych tegoż rządu. Nie ulegało
więc już najmniejszej wątpliwości, że owe miliony „prze-
lane“ zostały do kas powstańczych. Ponieważ przeważna,
bo przeszło dwudziestomilionowa część zaboru była w li-
stach zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego,
szło więc teraz o to, ażeby zapobiedz wymianie tych listów
i tym sposobem stratę skarbu zmniejszyć do jakich czte-
rech zaledwie milionów złotych polskich, jak to zapowia-
dało zresztą ogłoszenie w *Dzienniku powszechnym*, powyżej
przez nas zacytowane. Z początku, w pierwszym gorączko-

wem śledztwie wydawało się to niemożliwem, gdyż prze-
konano się, że Hebda zabrał z sobą wykaz numerów
owych listów zastawnych i przypuszczano, że nim w dy-
rekcji Towarzystwa kredytowego i w Banku polskim wy-
szukają te numery, nim zbadane zostaną w tymże celu
akta samej Komisji skarbu, upłynie dość czasu, którego
niewątpliwie Rząd powstańczy użyje, by listy zabrane jak
najprędzej zrealizować. W interesie jego bowiem leżało,
żeby to skutecznie możliwie szybko, jeżeli zabór z takim
trudem i niebezpieczeństwem dokonany, miał mu korzyść
jakąkolwiek przynieść. Nie wiedziano, że tego Rządu
przez kilka dni nie było, że w organizacyi panował chaos
zupełny, że tam także z początku nie wiedziano, kto do-
konał zaboru i że dopiero d. 15 czerwca, t. j. w sześć dni
po zaborze, pieniądze te istotnie wpłynęły do rąk władzy
powstańczej. Wprawdzie Majewski, chcąc wynagrodzić
stracony czas, energicznie wziął się do rzeczy, ale obok
tego, że było już zapóźno, jeszcze jakaś fatalność prze-
śladowała Rząd narodowy w tej sprawie. W Banku pol-
skim przy pomocy niejakiego Ignacego Piędzickiego, urzę-
dnika tegoż Banku, udało się wprawdzie zniszczyć wy-
kazy tych numerów, ale w Dyrekcji Towarzystwa kredy-
towego ziemskiego rzecz się, niestety! zrobić nie dała.
Wysłany bowiem w tym celu przez Majewskiego do dy-
rekcji Wacław Przybylski (który po chwilowym Naczelniku
miasta Tytusie Zienkowiezu, następcy Kwiatkow-
skiego, objął ten ważny urząd), mimo kilkakrotnej bytności
w biurach Dyrekcji, nie mógł ani razu zobaczyć się z nie-
jakim Preisem, w którego wydziale te numery się znajdo-
wały; rzecz się więc przewlokła, a później, gdy na Dy-
rekcję spadła policja i żandarmerja, skutecznie się już
nie dała.

Tymczasem władze warszawskie, nim zdołały odszu-
kać specyfikację zabranych listów zastawnych, odniosły
się do Petersburga i tamtejsze ministerjum skarbu, przy
pomocy ministra spraw zagranicznych, zdołało uwiadomić

wszystkie banki i wszystkie giełdy europejskie o zaborze rzeczonych listów, z prośbą, by do czasu ogłoszenia numerów zabranych papierów, wstrzymały się od wszelkich transakcyi z listami zastawnymi polskimi, gdyż w razie, gdyby który bank nabył taki list, ani Towarzystwo kredytowe ziemskie, ani skarb polski wartości jego nie zwróci i nabywca sam sobie będzie winien, jeżeli na stratę się narazi. Prócz tego pociągnięty do śledztwa członek Komisji skarbu Janiszowski, zawiadujący Kasą główną, stary urzędnik, zdołał odszukać minutę specyfikacyi zabranych listów i tym sposobem złożył wszystkie ich numery, tak, że już d. 13 czerwca, t. j. w cztery dni po wykryciu zaboru, ogłoszono je w osobnym dodatku do *Dziennika powszechnego* i wykaz ten rozesłano po całej Europie. Przy tem ogłoszeniu zaszła drobna, ale bardzo znamienna okoliczność, okazująca wyraziście ten wysoki nastrój społeczny, ten patryotyzm ofiarny, na wszystko gotowy, jaki charakteryzuje ludzi tej epoki. Gdy przyniesiono bowiem do drukarni *Dziennika* wykazy Janiszowskiego, zecerzy porozumieli się ze sobą i wszelkimi sposobami starali się opóźnić złożenie tego wykazu. Składali go wolno, gotowe formy niby przypadkiem rozsypywali, tyle błędów w numerach umyślnie robili, że kilkakrotna, bardzo staranna korekta ledwie je mogła poprawić. Rzeczy doszły do tego, że musiano sprowadzić do drukarni żandarmów, których postawiono z nabitemi rewolwerami przy każdym z zecerów, grożąc natychmiastową śmiercią, gdyby podobne sceny się powtórzyły. Dzięki temu specyfikacya tych listów mogła być nakoniec wydrukowaną.

Tym sposobem dwudziestomilionowa suma, zawarta w listach zastawnych, stanowczo dla powstania przepadła. Czyniono z tego powodu wiele zarzutów Rządowi narodowemu, opowiadano, że znaczniejsze domy bankowe prywatne w Warszawie ofiarowały się z pośrednictwem w wymianie tych listów, że jeżeli to nie przyszło do skutku, to zawdzięczać należy tylko niedołęstwu Rządu. Być może, iż było tam trochę niedołęstwa, ale główną przyczyną

było, że pieniądze dostały się do rąk Rządu dopiero w kilka dni po zaborze, kiedy już władze rosyjskie przedsięwzięły kroki, zapobiegające wymianie listów. Bądź co bądź, ogromne te, milionowe sumy, zmieniły się w stos papierów bez wartości. Zdołano tylko zrealizować kupony bieżące, ale już znacznie później, bo dopiero we wrześniu.

Stało się to takim sposobem.

Ustawa Towarzystwa kredytowego ziemskiego obowiązuje też Towarzystwo do zapłacenia za kupon bieżący nawet w takim razie, gdy sam list zastawny zaginął, pod tym jednakże warunkiem, żeby zgłaszający się z takim kuponem wymienił swoje nazwisko i wskazał miejsce zamieszkania. Otóż Wohl, należący, jakeśmy to już w tem dziele zaznaczyli, do najwybitniejszych członków powstańczego Wydziału skarbu, opierając się na tym przepisie, zaproponował Rządowi narodowemu, ażeby ściągnąć od zabranych z Kasy głównej listów zastawnych, o ile się da, wszystkie bieżące, t. j. już płatne kupony i zażądać od Towarzystwa kredytowego ich realizacji. Pojmowano to dobrze, iż rzecz taka nie da się zrobić bez poprzedniego porozumienia się z urzędnikami tej instytucyi, ale liczone na ich patryotyzm, na ową gotowość poświęceń, jakiej niedawno dali dowody Janowski i Hębda, trzej prości woźni i owi zecerzy w *Dzienniku powszechnym*, narażający się na śmierć nawet, byle opóźnić publikacyę numerów zabranych listów. Jakoż pod tym względem nie omylono się wcale. Zebrano płatnych kuponów na 40 tysięcy rubli¹⁾, porozumiano się z urzędnikami Towarzystwa i wysłano w d. 16 września dla dokonania zamiany, znanego nam już pomocnika naczelnika policyi powstańczej, Massona, zwanego w organizacji Jankiem Czarnym. Wyplacono mu co do grosza, a gdy ten był już daleko, uwiadomiono

¹⁾ Taką samą sumę podaje *Anuczyn* loc. cit. 483. Polskie relacje ustne mówią o stu tysiącach; korespondent *Moskiewskich Wiadomości* (Kathow, 1863 god. II, 1095), o 42.000. Poszliśmy za podaniem Anuczyna z tego względu, że jako członek komisji śledczej mógł być i był zapewne dobrze poinformowany.

o wszystkim ówczesnego prezesa Dyrekcyi głównej Towarzystwa, Włodzimierza Kretkowskiego, tego samego, który w r. 1861 miał napisać słynny memoriał o potrzebie reform w Królestwie, a który to memoriał uchodził za dzieło Enocha. Kretkowski zmieszał się mocno i przedewszystkiem zapytał, kto wymienił kupony i gdzie mieszka. Odpowiedziano mu, że jakiś Morgenbesser, zarządzający kantorem bankiera Lewenberga we Włocławku i stojący w hotelu Lipskim na ulicy Bielańskiej. Kretkowski doskonale to pojmował, że tak nazwisko jak i adres są fałszywe, o czem niebawem miano się dowodnie przekonać, gdyż na telegraficzne zapytanie odpowiedziano z Włocławka, że tam wcale niema bankiera Lewenberga. Nie było więc rady, Kretkowski pojechał do Dyrektora Komisji skarbu Bagniewskiego, a ten zaraportował o tem Bergowi, który już wtedy był Namiestnikiem. Berg wezwał do siebie Kretkowskiego, udał (bo ten człowiek zawsze udawał) gniew niepohamowany i zagroził, że wszystkich urzędników każe aresztować i na Sybir wysłać, ale Kretkowski znalazł się po rycersku i oświadczył, że on tylko jest winien, że polecił kupony wymienić, bo zresztą wymagała tego ustawa. Za to rozkazem cesarskim z d. 22 września został „zupełnie uwolniony ze służby“ i tegoż dnia wywieziony do Rosyi, do Kostromy, a wypłacone Jankowi Czarnemu 40 tysięcy rubli, Berg nakazał ściągnąć ze wszystkich urzędników. Prócz tego odtąd w biurach Towarzystwa stałe przebywało trzech oficerów żandarmskich z poleceniem czuwania nad wszystkim, co się tam działo ¹⁾.

¹⁾ W opowiadaniu powyższem poszliśmy za relacją Anuczyna. W rękopiśmiennych zbiorach naszych, dotyczących wypadków 1863 r., posiadamy notatkę jednego z urzędników Towarz. kredyt. ziemskiego, różniącą się w drobnych szczegółach z Anuczynowską opowieścią. Notatka ta utrzymuje, że Morgenbesser podał się za agenta bankowego z Dreżna, że gdy zgłosił się ze swem żądaniem, ówczesny naczelnik wydziału sprawdzania, nazwiskiem Moraczewski, udał się do prezesa Kretkowskiego z zapytaniem, czy za przedstawione przez

Taki miała w Warszawie epilog sprawa zaboru fundusów z Kasy głównej Królestwa ¹⁾. Mówimy: w Warszawie, gdyż za granicą była ona powodem paru brzydkich procesów, o czem we właściwym miejscu powiemy. Powstanie z tego zaboru niewiele skorzystało, gdyż cała suma, którą osiągnięto, wyniosła zaledwie jakieś mniej więcej cztery miliony zł. pol. — ale zato kraj bardzo dużo stracił, nie pod względem fundusów, bo te w dziejach narodów drugorzędne tylko mogą mieć znaczenie, ale pod względem skutków, jakie ten zabór wywarł na jego losy. W. Ks. Konstanty był mocno podrażniony tym niesłychanym wypadkiem, tym, jednym więcej, a bodaj czy nie najdotkliwszym ciosem, które jego marzenia ciągle z rąk polskich otrzymywały. Już d. 12 czerwca, a więc w trzy dni po zaborze pieniędzy, rozkazem dziennym do wojska ustanowił oddzielny sąd wojenny, pod prezydencją generała majora Krasnokutskiego, złożony z radców stanu: Czystilina i Masłowa, oraz pułkowników: Anuczyna i osławionego Tuchołki i referenta Afanasiewa. Sądowi temu polecono aresztować owego, zgoła niewinnego członka Komisji skarbu, Janiszowskiego, starca 71 lat liczącego, urzędnika bardzo skrupulatnego, mającego w oczach najazdu i tę zasługę, że podczas powstania 1831 r. był jedynym urzędnikiem skarbowym, który ówczesnemu Rządowi narodowemu przysięgi złożyć nie chciał. Oskarżono go teraz o to, że mając klucz od skarbcza, nigdy nie był obecnym przy jego otwieraniu, choć to wchodziło w zakres jego obowiązków. Prócz Janiszowskiego, aresztowano i oddano pod

Morgenbessera kupony może być wypłaconą gotowizną. Kretkowski z uwagi, że rząd nie dopełnił wszystkich, wymaganych przez prawo formalności co do zakwestyonowania skradzionych listów zastawnych, polecił wzmiankowanemu kupony wymienić. Gdy rzecz cała doszła do Berga, kazał on oprócz zesłania Kretkowskiego, aresztować i Moraczewskiego, ale go niebawem wypuszczono.

¹⁾ W d. 12 kwietnia 1864 r. wyszedł ukaz cesarski, nakazający Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu wydanie duplikatów listów zastawnych, zabranych z Kasy głównej Królestwa.

sąd wojenny pomocnika kasyera głównego, nazwiskiem Orzeł, i dwu kasyerów: Rasińskiego i Szymborskiego. Sądowi temu nadano bardzo szerokie atrybucy; mógł wszystko czynić, co tylko uznał za potrzebne dla wyjaśnienia sprawy, aresztować, badać, więzić i wreszcie wyrokować w ostatniej instancji¹⁾.

Krwawym, ponurym rezultatem wspomnianego podrażnienia Namiestnika królewskiego było stracenie na szubienicy zaraz nieomal po zaborze Kasy głównej, trzech ludzi, ze stanowiska władz rosyjskich zapewne winnych, ale nigdy w tym stopniu, by aż na hańbiącą karę śmierci zasługiwali. Było to tem smutniejsze i tem bardziej oburzające, że dotąd prócz Zygmunta Padlewskiego, którego rozstrzelano jako b. oficera wojsk rosyjskich, nie ukarano śmiercią nawet takich dowódców powstańczych, jak Rogiński, który miał na swem sumieniu wstrętne zabójstwo Czerkasowa, jak Lewandowski i wielu innych. Ofiarą tego wielkokniaziowskiego rozdrażnienia, będącego wynikiem

¹⁾ Sąd ten, a raczej komisya egzystowała do kwietnia 1865 r. W tym czasie jej prezesem nie był już Krasnokutski, ale senator Funduklej, w którego mieszkaniu, w domu Grodzickiego na Krakowskim Przedmieściu, komisya odbywała swe posiedzenia. Na rozkaz Berga nałożono sekwestr na ruchomości pozostałe po Hebdzie i Janowskim, które w listopadzie 1863 r. sprzedano przez licytację publiczną. Ze sprzedaży po Janowskim otrzymano rub. 1.524 kop. 9; po Hebdzie rub. 889 kop. 76. Pieniądze te zabrał kapitan Wasilenko, deputowany wojskowy, a potem przesłano Komisji skarbu. Położono także areszt na rub. 2 025, zahipotekowane na domu Nr 1733 na rzecz Ignacego Piędzickiego, który, jakeśmy wspomnieli, pośrednio należał do sprawy zaboru. Szczegóły te zaczerpnęliśmy z aktów archiwum b. Komisji skarbu. Ówczesne gazety rosyjskie donosiły, że Rząd narodowy zabronił udziału w licytacji ruchomości Hebdy i Janowskiego, pod karą opublikowania takiego nabywcy za infamisa i zdrajcę kraju; że jednak mimo tego ogłoszenia, na licytację zbiegl się «cały tłum, przetarg był bardzo ożywiony i ceny podbijano». Ów tłum stanowiły najniższe warstwy żydowstwa, dodajmy od siebie. Co do zakazu, jakoby przez Rząd narodowy wydane, to nie zdarzyło nam się z nim spotkać nigdzie.

zaboru pieniędzy z Kasy głównej¹⁾, a może także niezdrowym owocem skrytych, nieustannych i namiętnych napaści *Moskiewskich Wiadomości*, padł Leon Frankowski, schwytyany jeszcze w lutym w Sandomierzu i powieszony dnia 16 czerwca w Lublinie, w Warszawie zaś Henryk Abicht i ks. Agrypin Konarski. Rozpoczęli oni w starej stolicy polskiej szereg tych krwawych „egzekucyi“, jak je zwano podówczas, które odtąd nieomal codziennie powtarzać się miały przez dwa przeszło lata i robić z wielkiego, ucywilizowanego miasta jeden ogromny i ponury plac kaźni.

Pierwszy z nich Henryk Abicht, syn profesora niegdyś uniwersytetu wileńskiego, należał do partyi rewolucyjnej międzynarodowej i w Londynie pracował w „Kołokole“ Hercena²⁾. Stąd to wysłał on owe podburzające odezwy do Księstwa Poznańskiego, które naczelnik miejscowej policyi pruskiej, Bärensprung, w licznych odbitkach rozsyłał rozmaitym osobom, w celu ich skompromitowania. Już sam fakt ten świadczy, że Abicht był lekkomyślnym zapaleńcem, jednym z tych rewolucjonistów kosmopolitycznych, którzy Polskę uważali zawsze za wyborne narzędzie do wywoływania rozruchów, mało dbając o to, co się z nią potem stanie. Abicht był Niemcem z pochodzenia, kalwinem z wyznania i nie żywił tego gorącego pra-

¹⁾ Współczesne notatki, oraz opowiadania zapewniają, że głównym powodem, iż W. Ks. Konstanty nie złagodził wyroku na Frankowskiego, Abichta i ks. Konarskiego, było zabranie pieniędzy z Kasy głównej. Potwierdza tę wiadomość depesza Rządu narod. do ks. Czartoryskiego z d. 13 czerwca. (Wydawnictwo materiałów do historyi powstania, V, 194) w słowach, że powieszenie Konarskiego i Abichta, to «zemsta za zabranie pieniędzy z Komisji skarbu».

²⁾ Abicht w Wilnie był urzędnikiem pocztowym i w r. 1857 wyszedł za granicę. Powodem tej emigracji, w czasach, kiedy nikt u nas jeszcze o spiskach nie myślał, były, według relacji *Dziennika powszechnego* (Nr 131 z r. 1863), «znaczne długi, które zrobił, prowadząc najrozpuśtniejsze życie, oraz obawa odpowiedzialności wskutek podejrzenia o skradzenie własnemu stryjowi znacznej sumy pieniędzy». Jeżeli jest to prawdą, to Abicht był lichym człowiekiem i W. Książę złe zrobił, czyniąc z niego męczennika sprawy narodowej.

gnienia niepodległości Polski, która dla jej synów była jedynym ideałem i jedynym celem życia. Korzystając z zaburzeń polskich w r. 1861 i 1862 przybył on do Warszawy w marcu 1862 r. za paszportem na imię Johna Breta, poddanego angielskiego, jeżeli nie jako emisariusz komitetu rewolucyjnego międzynarodowego, to przynajmniej jako wysłaniec Mierosławskiego i na własną rękę, poza plecami organizującego się wtedy Komitetu Centralnego, agitował po Królestwie i Litwie. Schwyty w listopadzie 1862 r. w domu zajezdnym w Garwolinie z kompromitującymi papierami, bronią, trucizną i rozmaitemi przyrządami do zamierzonego, według niektórych, rozbicia poczty, wiozącej do Garwolina znaczną sumę pieniędzy, odesłany do cytadeli warszawskiej po przeszło półrocznem więzieniu, skazany wyrokiem sądu polowego na śmierć, po potwierdzeniu, na ogromne zdziwienie wszystkich, tegoż wyroku przez W. Ks. Konstantego, został powieszony d. 12 czerwca o godzinie 6 rano na stoku cytadeli warszawskiej, wraz z księdzem Agrypiem Konarskim ¹⁾.

Jeżeli winy Abichta w żadnym razie nie zasługiwały na tak surową karę, to tem bardziej nie powinien był jej uledeć ks. Konarski. Był to ksiądz niespokojnego usposobienia, zakonnik Kapucyn, od czasu wypadków 1861 r. stale osiadły w klasztorze krakowskim i czynny biorący udział we wszelkiego rodzaju demonstracyach. Po wybuchu powstania znalazł się w obozie Langiewicza w Goszczy, gdzie zwracał na siebie uwagę częstemi okrzykami: „niech żyje dyktator!“ a w czasie starcia pod Grochówkami nietrafną, choć namiętną mową napróżno zachęcał kossy-

¹⁾ *A. Giller*, *Historya*, II, 69, powiada, że kiedy W. Książę podpisywał przedstawiony mu do zatwierdzenia wyrok, miał przytem wyrzec z uśmiechem zadowolenia: «Niechaj kalwin (Abicht) z katolikiem (Konarskim) popatrzą sobie w oczy w ostatniej chwili i stoczą na szubienicy teologiczną dysputę». Nie wydaje nam się to prawdziwem. W. Książę był zbyt dobrze wychowanym człowiekiem, by miał wygłosić koncept tak prostacki, niesmaczny i noszący na sobie wyraźną cechę współczesnych plotek ulicznych.

nierów do bohaterskiej śmierci za ojczyznę. Był to zresztą typ, bardzo pospolity w tej dobie, rewolucjonisty i ciasnogłowego zapaleńca, jakich wtedy pełno było po wszystkich klasztorach. Po upadku Langiewicza, ks. Konarski znalazł się w obozie Czachowskiego, następnie Kononowicza, i po rozpuszczeniu przez tegoż oddziału, został schwyty w d. 3 czerwca w okolicach Warki, gdzie nad Pilicą, w której usiłował się ukryć, zanurzając się w wodę aż po szyję ¹⁾. Generał rosyjski Meller-Zakomelski odesłał go do cytadeli warszawskiej, gdzie po sumarycznem śledztwie, w ciągu jednego tygodnia osądzony i na szubienicy skazany został.

Wobec pół roku trwających badań Abichta, to jedno-tygodniowe śledztwo i ten wyrok nagły dowodzi, że miano na celu widoki, nie wspólnego ze ścisłym wykonaniem prawa nie mające. Jasną było rzeczą, że przez powieszenie księdza Namiestnik chciał dokuczyć arcybiskupowi Felińskiemu; okazać, że przestał się już z nim i Kościołem polskim liczyć. Całe śledztwo nad Konarskim odbywało się tak skrycie i pośpiesznie, że arcybiskup nie o tem nie wiedział. W wigilię dopiero stracenia, wieczorem samym, zjawił się w Konsystorzu kozak z pismem urzędowem komendanta cytadeli, który żądał niezwłocznego przysłania spowiednika. Woźny, otrzymawszy to pismo, nieuprzedzony wcale o jego ważności, złożył je razem z inną korespondencją, którą, jak zwykle, miał nazajutrz o godz. 9 rano przedstawić. Tymczasem komendant, nie mogąc się doczekać żadanego spowiednika, zawiadomił W. Księcia, że konsystorz odmawia oddania ostatniej posługi skazańcowi, więc Namiestnik wysłał zaraz kozaków z pułkownikiem na czele i z rozkazem, aby koniecznie dotarli do arcybiskupa i wymogli na nim wysłanie owego spowiednika.

¹⁾ *Ks. Serafin Szulc* w swym pamiętniku (*Polska w walce*, II, 139) opowiada, że Meller-Zakomelski schwytanego ks. Konarskiego bił po twarzy, targał za brodę i przywiązane do wozu, pieszo zaprowadził do Warszawy. O ile to jest prawdą, nie wiemy, choć znając ówczesnych satrapów rosyjskich, uważamy za możliwe.

Była godzina pierwsza w nocy, gdy ks. Feliński obudzony przyjął kozaka, i dowiedziawszy się o co idzie, kazał zaraz przynieść ową korespondencję i oświadczył, że jak najspieszniej uczyni zadość żądaniu, że nie myśli kosztem duszy chrześcijańskiej urządzić manifestacji politycznych. Jakoż wysłano zaraz z sąsiedniego klasztoru Kapucynów O. Honorata. Ks. Konarskiego powieszono między 5 a 6 rano; siedł na śmierć odważnie, z wielką swobodą i zdziwionemu tem spowiednikowi powiedział: „czyż mogę lepiej umierać, mój bracie, jak za Kościół, za wiarę i kraj; wszak spełniłem tylko obowiązki moje“ i prosił O. Honorata, aby dopilnował, iżby mu po śmierci nie zdjęto habitu. Gdy mu już stryczek założono, rzekł: „Dziś jeszcze odpraw Mszę św. za grzeszną duszę moją“¹⁾.

Śmierć księdza na szubienicy, pierwszy tego rodzaju wypadek w tych czasach, wywarła nadzwyczaj silne wrażenie na miasto, na organizację powstańczą i na duchowieństwo warszawskie. Prasa tajna przyjęła ten fakt z oburzeniem. *Dziennik narodowy* w Nrze 5 pytał: za co sąd polowy skazał na śmierć ks. Konarskiego? „Oto (odpowia-

¹⁾ Ks. S. Z. Feliński, *Pamiętniki* II, 270. S. Prawdziński, «Wspomnienia o ks. Z. S. Felińskim» p. 217, a za nim Giller, *Historja* II, 179, opowiada, że gdy O. Honorat, «chcąc przedłużyć dni życia» skazańca, mówił, że kapłan, nim spełniony będzie na nim wyrok śmierci, powinien mieć zdjętą przez biskupa sakrę, to jeneral Roźnow, dowodzący egzekucją, plunął na Konarskiego i rzekł: «Oto mu już zdjęłem sakrę, a teraz na szubienicę lajdaka, buntownika». Możemy zapewnić na podstawie najwiarogodniejszych źródeł, że wszystko to jest kłamstwem, że egzekucja odbyła się tak, jak jest w tekście opisaną. Dodać tu należy, że po egzekucyi zgłosił się do ks. Prokopa, gwardyana ówczesnego i prowincyała Kapucynów, jeden z adjutantów Berga, Annenkow, i skarżył się, zapewne z rozkazu wyższego, że oficerowie, konwojujący wóz skazanego, słyszeli, że O. Honorat przemawiał do Konarskiego jak do męczennika, że po egzekucyi ukląkł na szafocie i modlił się do niego, jak do świętego. O. Prokop wytlómaczył Annenkowowi, że spowiednik nie modlił się do skazanego, ale za jego duszę; że rytuał kościelny zaleca, ażeby po egzekucyi odpowiedzieć na klęczkach *de profundis*. Na tem rzecz cała się skończyła.

dał), że przy bandach Langiewicza, Czachowskiego i Kononowicza spełniał obowiązki księdza, odbierał przysięgę, miewał mowy i nauki. Powieszony za to, że był kapłanem, że niósł pociechę religijną walczącym o ojczyznę braciom, że umacniał wiarę i naśladował Chrystusa“. Dziennik nazwał wyrok „mordem najohydniejszym, świętokradztwem, bluźnierstwem, pogwałceniem praw Boskich i ludzkich, zbrodnią przeciw społeczeństwu, cywilizacji i religii“. Duchowieństwo wrzało od silnego gniewu. Do areybiskupa zbiegali się ci i owi księża, powstańczo usposobieni i tę duszę miękką, poetyczną, wykarmioną niedolą narodu, podniecali, rozgoryczali i napawali oburzeniem. Kładli nacisk na to, że skazano księdza bez wiadomości jego władzy duchownej, powieszono bez zdjęcia święceń (których zdejmować nie można było, bo ks. Konarski nie był zbrodniarzem), że go egzekwowano w habicie, który jest przeciw sukni zakonnej. Wiemy, że skazaniec lękał się, by mu tej sukni nie zdjęto, nie uważał więc, by powieszenie w niej było pohańbieniem stanu duchownego. Wszystkie więc te zdania były bezpodstawne, a jednakże skutki tych szepatów, podburzań, słów namiętnych i nieopatrznych, miały się wkrótce okazać w sposób jak najszkodliwszy dla kraju.

Od dawna już stosunek areybiskupa do władzy świeckiej w ogólności, a do W. Ks. Konstantego w szczególności, był jak najgorszy i naprężony mocno. W duszy tego syna Ewy Felińskiej walczył nieustannie rozum z uczuciem. Rozum nakazywał mu trzymać się polityki Wielopolskiego i W. Księcia, uczucie ciągnęło go do tych, którzy w głębi lasów toczyli bój uparty dla uzyskania niepodległości Polski. W tej niekrwawej, niemniej przeto tragicznej walce, rozum brał niekiedy górę, ale częściej zwyciężało uczucie. Wskutek tego popełniał on takie niekonsekwencje, że kiedy podawał się do dymisji z Rady stanu, czem najdobitniej dawał poznać, że zrywa w sposób stanowczy z polityką kompromisów z Rosją, nieomal jednocześnie powziął myśl głośnego i publicznego potępienia pojawiających się coraz częściej skrytobójstw, a nawet

wyklęcia tych wszystkich, którzy te skrytobójstwa naka-
zują, t. j. organizacyi powstańczej i Rządu narodowego.
Ale że w naturze polskiej, wyrobionej w tym kierunku
historycznie, leży to, aby w rzeczach publicznych nie sa-
memu nie robić, ale zawsze gromadnie, więc pewnego
dnia, w maju, zwołał ks. Feliński do siebie na naradę:
ks. Wincentego Popiela, niebawem biskupa plockiego,
a z czasem arcybiskupa warszawskiego, ks. Nowodwor-
skiego, Goliana, Ignacego Domagalskiego, Welońskiego,
i wreszcie bardzo w tej porze wybitnego i czynnego pro-
wincyała Kapucynów, ks. Prokopa Leszczyńskiego. Zebra-
nym Feliński odczytał list pasterski, dość krótki, ale ja-
skrawo skreślony, wymierzony przeciw skrytobójstwom,
szarżaniu dobrej sławy obywateli, pismom podziemnym
i t. p. działaniom. Że w tem wystąpieniu arcybiskupa le-
żało trochę osobistej niechęci do tych, którzy go uważali
za „moskiewskiego służkę i intruza petersburskiego“, to nie
ulega wątpliwości. Właśnie w tym czasie ukazało się tajne
pismo, p. t. *Dzwon duchowny*, redagowane podobno przez
ks. Żulińskiego, Stodulskiego i innych, w którym „młodszy
brat w Chrystusie“ zaklinał arcybiskupa, ażeby porzucił
swe „ohydne postępowanie nietoperza Ezopa“, żeby brał
za wzór nie Radziejowskich, ale Sołtyków i Fijałkowskich,
żeby nie używał za lekarzy Łubieńskich, „intruzów na sto-
licę biskupią“ i Golianów, by uleczyć naród „z zasad i ma-
rzeń socyalistów i mesyanizmu“, ale żeby wraz z nim
kroczył, a wtedy „gwiazda jego (Felińskiego) chwały,
z nadyru wzniesie się aż do zenitu ponad horyzont wol-
nej, równej i niepodległej Polski“. Bombastyczne te słowa,
podające w wątpliwość patryotyzm ks. Felińskiego, boleć
go serdecznie musiały; to też obecny list pasterski, który
odczytał zebranym u siebie księżom, potępiający między
innymi tych, którzy w pismach tajnych szkalują dobrą
sławę obywateli, był w części skreślony w obronie własnej.

Gdy arcybiskup list ten odczytał, w zgromadzeniu
zapanowała znacząca cisza, którą pierwszy przerwał ks. Do-
magalski zapytaniem: czy arcybiskup wezwał obecnych po

to, aby im tylko pismo owe odczytać i nie pytając ich
o zdanie, ma zamiar je ogłosić, czy też w tym celu, aby
ich uwag wysłuchać? Na to ks. Feliński, trochę zmieszany,
a może podrażniony poprzedniem milczeniem, odrzekł
dość cierpko, że postępuje zawsze szczerze i otwarcie, że
jeżeli wezwał obecnych to po to, żeby się z nimi naradzić.
Więc ks. Domagalski poradził, aby „pigulkę nieco osłodzić“,
list w tonie obniżyć i mocno złagodzić; potem ks. Popiel
odezwał się, że jest tego samego zdania; ks. Golian był
za najostrzejszą redakcją listu; Nowodworski był opinii,
żeby się wogóle w takie sprawy nie wdawać; Weloński
był za złagodzeniem formy. Gdy już wszyscy księża
świeccy zdanie swe wypowiedzieli, ks. Prokop Kapucyn
zerwał się z krzesła i z teatralnym ruchem staroaktora
rzucił się do nóg arcybiskupa, wyciągnął drżące silnie
ręce i głosem podniesionym począł błagać, aby listu tego
nie ogłaszał, by go rzucił w ogień, żeby ślad nawet po
nim nie pozostał, bo gdyby się o nim dowiedziano na
mieście, to młodzież ołtarze i kościoły poburzy...

List pasterski nie został ogłoszony, ale zato ks. Fe-
liński usunął się manifestacyjnie z Rady stanu i opubli-
kował w gazetach francuskich swe pismo do Cesarza, czyli
najwyraźniej stawiał po stronie tych, którzy dokonywali
skrytobójstw, którzy szarpali dobrą sławę obywateli, pisma
tajne wydawali i jego postępowanie zwali „postępowaniem
ohydnem“ i przyrównywali je do nietoperza z bajki Ezopa.
Nie miał on w sobie ani krzty tej siły woli i tego ducha
żelaznego, o którym rzymski poeta powiada, że choćby
świat cały runął, on trwać będzie niewzruszony. Stosunek
więc arcybiskupa do władzy rosyjskiej stawiał się coraz
gorszy i na niebezpieczną dla obu stron pochyłość wcho-
dził. Gdy przy jakiejś sposobności nowy Dyrektor Komisji
spraw wewnętrznych, Ostrowski, usiłował bronić Feliń-
skiego przed W. Księżną Aleksandrą Józefówną, ta zawo-
łała, że nie chce słyszeć nawet o arcybiskupie, że zadał
on kłam swoim obowiązkom względem kraju i Cesarza,
że sztandarowi się przენiewierzył. Były to ciężkie, gorzkie

zarzuty, ale, niestety! zupełnie usprawiedliwione, wypływające z duszy do głębi zrozpaczonej, że jej najserdeczniejsze marzenia zawiódł ten, na którego może najwięcej liczone. Ta wzajemna niechęć i rozgoryczenie między W. Księciem a ks. Felińskim co chwila, przy każdej sposobności teraz wybuchała. Przypadająca w d. 14 maja uroczystość Bożego Ciała, obchodzona procesyami do ołtarzy, ustawionych na ulicach miasta, dała powód do osobliwszej rozmowy między Namiestnikiem a ks. arcybiskupem. Już na kilka dni przedtem zgłosił się doń z polecenia W. Księcia, Dyrektor Komisyi wyznań i oświecenia, Krzywicki, i prosił, ażeby arcybiskup wydał rozporządzenie do podwładnego sobie duchowieństwa, iżby z powodu stanu oblężenia procesye odbyły się tylko wewnątrz kościołów. Arcybiskup odrzekł, że nie zaprzecza rządowi prawa zabrania dla słuszych przyczyn procesyi publicznych, ale takiego rozporządzenia on, jako naczelnik Kościoła wydać nie może; że jest to rzeczą władz administracyjnych, nie zaś duchownych. Niech rząd wyda takie rozporządzenie, a duchowieństwo z konieczności do niego się zastosuje, ale niewłaściwem by było, ażeby wobec milczenia rządu, władza duchowna ograniczała wykonywanie obrządków religijnych. Krzywicki oczywiście zaniósł tę odpowiedź odmowną do Zamku, skąd niebawem nadeszło wezwanie arcybiskupa do W. Księcia. Przybywszy tam, zastał już Krzywickiego i nieznanego jeszcze sobie generała Berga, który sam się ks. Felińskiemu zaprezentował, i zabawiając gościa, nim W. Książę wezwie go do swego gabinetu, począł rozprawiać o stosunku Polaków do rządu, o ich urojeniach i marzeniach, o oblężeniu Warszawy w r. 1831 i o rokowaniach z władzami powstańczemi, jakie wtedy prowadził. Wśród tego adjutant poprosił arcybiskupa do W. Księcia, dokąd także poszli Berg i Krzywicki. Na zapytanie Namiestnika, czemu ks. Feliński odmawia wydania żadanego rozporządzenia o procesyach, arcybiskup wypowiedział to samo tłumaczenie, które dał Krzywickiemu. W. Książę przybrał postawę groźną, zapewne ze względu na obecnego Berga,

w milczeniu przysłuchującego się rozmowie, i zrobił uwagę, że w przeszłym roku procesyi wcale nie było, czemu więc teraz mają się odbywać? Ks. Feliński odrzekł, że zabronił ich ówczesny namiestnik Lüders, grożąc, że będzie strzelał kartaczami. Wówczas W. Książę ze sztucznem uniesieniem zawołał: „Czy chcesz, bym i ja strzelał kartaczami? A więc dobrze, mam dwanaście dział na dziedzińcu zamkowym, każę je wyprowadzić na ulicę i będę kartaczował tę bezbronną trzodę, którą własny jej pasterz na rzeź poprowadzi“; poczem bez pożegnania i z oznakami widocznego gniewu wyszedł. Gdy ks. Feliński sam został z Bergiem, ten rzekł: „Widzę, że ze stanowiska, na którym Wasza Ekscelencya stoisz, nie możesz wydać takiego rozporządzenia, ale zrób to dla W. Księcia“. Feliński odmówił i procesye odbyły się w porządku, bez żadnych starć i zaburzeń¹⁾. To też, zaledwie wrócił po nich ks. arcybiskup do domu, gdy przybył do niego marszałek dworu namiestnikowskiego, Nabokow, i z polecenia W. Księcia dziękował za przykładny ład, z jakim się wszystko odbyło. „W gruncie rzeczy, dodał, W. Książę nie był przeciwny procesyi i skoro dowiedział się, że sam Arcybiskup prowadzić ją będzie, całkiem już był spokojny o porządek“. Czyż więc owe surowe słowa, wypowiedziane w Zamku, owa groźba wyprowadzenia dział i strzelania z nich kartaczami do „bezbronnej trzody“, nie była prostą komedią, by Mentor-

¹⁾ Ks. Feliński w swym pamiętniku (II, 268 i 9) powiada, że rząd nie wydał żadnego rozporządzenia co do procesyi. Tymczasem co do tego myli się. W Nrze 105 *Dziennika powszechnego* z d. 9 maja 1863 r. znajdujemy oświadczenie rządowe, że «tym zwyczajnym procesyom żadnej tamy ze swej strony stawiać nie będzie», że «pokłada ufność, tak w duchowieństwie, jako i w publiczności, że odbywać się mające procesye nie wyjdą z granic czysto religijnego obrzędu i że przez nie nie zostaną nadwreżone prawa publicznego porządku». Przez ogłoszenie to więc rząd pozwalał na procesye i cała owa groźna pozornie rozmowa W. Księcia z Felińskim była sztuczną komedią, odegraną przed szpiegiem Bergiem. To, co opowiada o rozmowie W. Księcia z Felińskim *Prawdzicki* («Wspomnienie» 214), jest fałszem. Słyszał on, że dzwonią, ale nie wie, w którym kościele.

Berg doniósł do Petersburga, że jego Telemak-W. Książę zachowuje się tak, jak przystało na rosyjskiego wielkorządcę Polski?

Ale stał się przytem fakt, który całą warczącą klikę Niemców, udających patryotów rosyjskich, oburzył nadzwyczajnie. Duchowieństwo unickie, od trzydziestu blisko lat systematycznie przez rząd utrzymywane w odrębności od Kościoła katolickiego, wzięło udział w procesyi, a co większa, arcybiskup na czele tejże wstąpił do cerkwi Bazyljanów na ulicy Miodowej i tu przed wielkim ołtarzem odśpiewaną została Ewangelia w języku łacińskim i słowiańskim i solenna odbyła się benedykcya N. Sakramentu. To też ci pseudopatryoci rosyjscy, bardziej prawosławni, niż sam „świętejszy“ Synod, nie mogąc w tej chwili nic poradzić, nie omieszkali jednak donosić o tem do Petersburga, a później przy sposobności wyzyskali ten fakt w sposób najnikczemniejszy na niekorzyść arcybiskupa, unii i Polski. Wkrótce potem rozdrażnienie ich wzrósć musiało na wieść, że ks. Feliński dwie prawosławne dziewczyny nawrócił na łono Kościoła katolickiego. Wychowywały się one w t. zw. instytucie Maryańskim, i jedna z nich, Baszmakin nazwiskiem, 12 lat licząca, miała matkę katoliczkę, a druga, Szyrenglewska, czternastoletnia, miała ojca katolika, mieszkającego zresztą stale w Rosyi. Sprawa ta, dzięki korespondencyom Rotkircha (choć Niemca, ale teraz zapalonego schizmatyka) do *Moskiewskich Wiadomości* i niewczesnemu ogłoszeniu w *Kuryerze Warszawskim* (Nr 133), narobiła wrzawy, tak, że nakazano śledztwo, które powierzone generałowi Kucyńskiemu, rotmistrzowi Kirejewowi, adiutantowi W. Księcia i jakiemuś popowi prawosławnemu.

Taki był stan rzeczy i takie położenie arcybiskupa Felińskiego wobec władz rosyjskich, gdy zaszła w d. 12 czerwca katastrofa z ks. Agrypinem Konarskim. Był to, jakżeśmy już zaznaczyli, pierwszy ksiądz, którego powieszono w Królestwie, a rozstrzelanie w Wilnie ks. Iszory i Ziemackiego poprzedziło to stracenie zaledwie o kilka dni. Wrażenie w mieście i kraju było ogromne na wszystkich,

nawet najumiarkowańszych, a cóż dopiero na rozgorączkowaną, pełną egzaltacyi duszę Felińskiego. Czuł on dobrze, że w powieszeniu tych dwu ludzi, mniej winnych od wielu, których karano lżej, gra rolę zemsta za zabór Kasy głównej, oraz chęć dotkliwego dokuczenia duchowieństwu polskiemu i samemu arcybiskupowi. Feliński, zawsze dbający o poszanowanie odwiecznych praw Kościoła katolickiego, oburzony był do głębi tem, że z ks. Konarskiego nie zdjęto sakry, że go powieszono w sukni duchownej. Podniecany przytem przez całe swe otoczenie, zrobił krok niewątpliwie gwałtowny i stanowczo, nieodwołalnie zrywający z rządem. Tegoż samego dnia napisał odezwę urzędową do Krzywickiego, jako Dyrektora Komisji wyznań i oświecenia, w której w tonie surowym i bezwzględnym zaprotestował przeciw lekceważeniu i podeptaniu charakteru kapłańskiego i zagroził rzuceniem klątwy kościelnej na sprawców i spółników tego czynu. Zaznaczając, że wyrok zarzuca Konarskiemu jedynie to, że poszedł do powstania i sprawował tam obowiązki kapłańskie, spowiadając rannych i umierających, oświadczał, że „w zarzutach tych nie widzi nic takiego, coby na surową karę śmierci zasługiwać mogło“, bo to jest obowiązkiem kapłańskim; że zasada ta jest powszechnie uznaną, nawet w czasie ostatniej wojny w Ameryce północnej szanowaną; że zresztą sam rząd w początkach wypadków obecnych ogłosił w pismach publicznych, że kapłan i lekarz nie będą odpowiedzialni za niesienie rannym posługi. Prócz tego twierdził, że wykonanie wspomnianego wyroku sprzeciwia się najzupełniej prawu kościelnemu; istnieją bowiem liczne postanowienia, zastrzegające, aby duchowny, o zbrodnię przekonany, nie wprzód był tracony, aż władza kościelna wyda wyrok degradacyi i zdejmie zeń święcenia, „a to celem poszanowania stanu duchownego, a tem samem religii, będącej węgielnym kamieniem porządku społecznego“; że przekroczenie tych przepisów „pociąga za sobą klątwę większą na sprawców, oraz współników“, sprowadza żalobę kościelną na pewien obręb; że w fakcie powieszenia

ks. Konarskiego prawo kościelne wszechstronnie pogwałcone zostało. „Nie tylko bowiem akta sądu, który wyrok wydawał, nie były mi (t. j. arcybiskupowi) zakomunikowane, ale nawet o przewinieniu rzeczonoego kapłana nie zostałem uwiadomiony. Okoliczność ta tem bardziej jest rażąca, że godność kapłańska na ohydę wystawioną została, że powieszenie księdza na szubienicy jest rodzajem śmierci, który za najhaniebniejszy jest uważany“. Tę gwałtowną odezwę swoją kończył arcybiskup żądaniem wydania ciała ks. Konarskiego i w celu wyjaśnienia następstw pogwałcenia praw Kościoła, przytoczył *in extenso* średniowieczną barwą nacechowane ustawy synodów Piotrkowskich.

Powiedzieliśmy już, że niektóre z tych zarzutów były zgoła nieuzasadnionymi; że o zdejmowaniu z ks. Konarskiego święceń mowy być nie mogło, bo Kościół wymaga dokonania tego obrządku tylko wtedy, gdy skazany ksiądz jest zbrodniarzem, a takim przecież w oczach polskich O. Agrypin nie był; że ani ten ostatni, ani jego spowiednik O. Honorat, ksiądz bardzo fanatycznie usposobiony, nie widzieli pohańbienia w tem, że skazańca powieszono w habicie, owszem, ks. Konarski lękał się, by zeń habitu nie zdjęto. O tem wszystkim Feliński wiedzieć musiał i wiedział, ale tu nie szło wcale o obronę pogwałconych jakoby praw kościelnych, lecz jedynie o względy polityczne.

List arcybiskupa obmyślany i skreślony pod pierwszym wrażeniem na wiadomość o śmierci Konarskiego, już o godz. 10-ej rano odesłany został Dyrektorowi Krzywickiemu. Ks. Feliński potem pojechał do kościoła PP. Wizytek, gdzie celebrował z powodu odpustu Serca Jezusowego. Ci, co go widzieli wtedy, zapewniają, że był niezwykle blady, smutny, z wyrazem cierpienia na twarzy.

Tymczasem Krzywicki otrzymane pismo wręczył niezwłocznie W. Księciu, co uczynić musiał, gdyż arcybiskup wyraźnie zażądał, aby „uwagi jego władzom wyższym zakomunikować raczył, celem zapobieżenia przynajmniej na przyszłość podobnym faktom“. Nie chcemy twierdzić, jak

to współcześnie utrzymywano, że powinien był przed udzieleniem tego pisma W. Księciu porozumieć się wprzód osobiście z arcybiskupem i starać się go odwieść od tak szkodliwego dla kraju kroku, gdyż wątpliwem jest, czyby ks. Feliński zgodził się na cofnięcie swego pisma. Dość, że Krzywicki list zakomunikował W. Księciu, a ten drogą telegraficzną natychmiast uwiadomił o wszystkim Cesarza i tegoż jeszcze dnia przyszedł rozkaz, wzywający arcybiskupa do Petersburga, dla „zjawienia się niezwłocznie przed obliczem Monarchy dla zdania sprawy ze swego postępowania“. Rozkaz ten poniósł po południu do arcybiskupa p. Tęgoborski, znany nam już ze swej kiepskiej łaciny naczelnik kancelarii dyplomatycznej W. Księcia. Ks. Feliński liczył na to, że rzecz może da się jeszcze odrobić, kazał otaczającym go księżom wiadomość tę zachować w sekrecie i udał się do Zamku do Namiestnika. Ale widzenie się to podrażniło tylko obie strony jeszcze więcej; wyszła na stół sprawa powieszonego ks. Konarskiego, który w żadnym razie nie zasługiwał na to, że zrobiono zeń męczennika, i arcybiskup w uniesieniu nazwał tych, którzy wyrokowali w tej sprawie, „oprawcami“¹⁾. O zmianie decyzji cesarskiej nie mogło być mowy i Feliński tyle tylko wyjednał, że mu W. Książę pozwolił jeszcze jeden dzień pozostać w Warszawie dla poczynienia odpowiednich przygotowań do wyjazdu i zarządzenia interesami archidiecezyi na czas swej nieobecności. Nie wątpił on ani na chwilę i nikt inaczey nie sądził, że już nie będzie mu danem powrócić do Warszawy, że owe wezwanie do stolicy Caratu jest niczem innem, jak skazaniem na wygnanie. W gruncie rzeczy, jak to zaraz zobaczymy, mylił się pod tym względem tak on, jak i wszyscy i że od niego samego zależał powrót do swej archidiecezyi.

¹⁾ Ani W. Książę, ani jego żona, obecna, jak się zdaje, tej rozmowie, nie obrazili się tem słowem. Ta ostatnia miała potem się odezwać: „Ks. Feliński mówi najprzykrzejsze rzeczy z taką niewinnością dziecięcą (*candeur enfantine*), że niepodobna na niego się obrażać“. (Wiadomość od blizkiego krewnego ks. arcybiskupa).

Wiadomość o wyjeździe ks. Felińskiego rozbiegła się jeszcze tego dnia po Warszawie. Nikt nie wiedział o powodach rozkazu cesarskiego, bo nikomu nie był znany list arcybiskupa do Krzywickiego; stąd tworzone mnóstwo plotek, pragnąc wytłómaczyć przyczynę tego niespodziewanego rozkazu¹⁾. Arcybiskup nazajutrz rano, odprawivszy cichą mszę w katedrze Świętojańskiej, której już nigdy ujrzeć nie miał, zajął się swemi i swej archidiecezyi interesami. Przedewszystkiem wygotował dwa listy, jeden do Papieża, a drugi do Nuncjusza w Wiedniu, prosząc go o wyjednanie u rządu austriackiego opieki dla Kościoła katolickiego w Polsce, prześladowanego przez rząd rosyjski. W liście do Ojca św. twierdził, że zawsze pełnił swe obowiązki, że bronił praw i niezależności Kościoła i dawał, niekoniecznie zgodnie z prawdą, że wywożą go z Warszawy za to, że nie zwrócił się przeciw Kościołowi²⁾. Co do zarządu archidiecezyą, to ustanowił swoim następcą, czyli wikaryuszem jeneralnym oficyała, nominata biskupa pruskiego i sufragana warszawskiego, ks. Pawła Rzewuskiego, człowieka bardzo świątobliwego, ascetę w życiu i czynie, ale powstańczo usposobionego. Na wypadek jednak śmierci lub wygnania ks. Rzewuskiego, polecał objąć zarząd Kościoła ks. kanonikowi Szczygielskiemu;

¹⁾ Jedną z takich plotek, niosących na sobie cechę przedpokojową i kawiarnianą, jest ustęp pomieszczony w depeszy Rządu nar. do ks. Wl. Czartoryskiego z d. 13 czerwca (Wydawnictwo materiałów do historii powstania, V, 194): «Ks. arcybiskup Feliński (czytany tam) wezwany jest do Petersburga. Jest to może odwet za jego nieobecność na przyjęciu w dzień imienin p. Namiestnikowej; przyczyną tej nieobecności było przyjęcie na poprzednim przedstawieniu. Namiestnik podał rękę rabinowi Majzelowi, a pominął naszego ks. arcybiskupa. Mówią z tego powodu (?) o dymisy Krzywickiego. Mamy nadzieję, że ks. arcybiskup w Petersburgu nie uczyni nic, coby sprawie szkodzić mogło».

²⁾ Taką podaje wiadomość o tych dwu listach *S. Prawdziści* (Wspomnienie, 223) i na jego odpowiedzialność przytaczamy ich streszczenie, nie mogąc tego szczegółu zbadać dla braku materiałów. Sam ks. Feliński w obu swych pamiętnikach nie o tem nie mówi.

wreszcie gdyby i ten z jakich powodów został usunięty, kanonikowi Domagałskiemu. Ks. Feliński wieczorem w przeddzień wyjazdu, zawiadomił ustnie księży, u niego zebranych, o nominacyi ks. Rzewuskiego i dodał: „co on uczyni, uczyni zawsze w imieniu mojem, jego zatem słuchajcie“; że „czy w Syberyi, czy na wygnaniu będzie (ks. Feliński), arcybiskupem być nie przestanie, dopóki albo Pan nie przetnie wątku jego życia, albo z woli Bożej, z woli Ojca św. i z woli własnej, laski pasterskiej nie zmieni na kostur żebraczy“; że jeżeliby kto duchowieństwo warszawskie namawiał do takiego czynu, „którego popełnić się nie godzi bez uchybienia prawom Bożym i prawom Kościoła: odpowiadajcie każdy: *non possumus*; odpowiadajcie wszyscy: *non possumus*“; że choćby te rozkazy od najwyższej przychodziły władzy, „choćby w imieniu mojem, choćby były moje, czego nie daj Boże, choćbyście sądzili, że to moje pismo, że to mój głos, nie słuchajcie, nie wiercie“. Słowa te, wśród pożegnania, wśród czarno i ponuro malującej się przyszłości, miały w sobie niewątpliwie wiele poezyi, były objawem niezłomności, zapewne bardzo chwalebnej, gdyby nie to, że wszelka rozumna polityka, jest polityką ustępstw, nakazuje się liczyć z okolicznościami i ludźmi. Rząd o nominacyi Rzewuskiego został uwiadomiony, ale w uwiadomieniu tem nie wspomniano o jego następcach Szczygielskim i Domagałskim, co po wywiezieniu Rzewuskiego jak najgorsze spowodowało skutki, oddało bowiem archidiecezyę w ręce tak lichęj i wyszarzanej osobistości, jaką był ks. Zwoliński.

Tegoż dnia wieczorem, gdy arcybiskup pożegnał się ostatecznie z podwładnem sobie duchowieństwem, zgłosiła się jakaś nieznajoma dama i wręczyła Felińskiemu list bezimienny, w którym ostrzegano go, że w Petersburgu już postanowiono wysłać go do Jarosławia i radzono mu uciekać za granicę, obiecując ułatwienie ucieczki. Arcybiskup odrzucił tę radę i słusznie, niegodną bowiem była ona Polaka i tego wysokiego stanowiska, jakie zaj-

mował¹⁾. Skoro już z całą świadomością zerwał z rządem, to należało znieść wszystkie następstwa tego zerwania, nie zaś haniebnie szukać w ucieczce schronienia. Tegoż wieczoru wydano mu paszport urzędowy, jak gdyby chciano wyjazdowi nadać charakter dobrowolnej, nieprzymuszonej podróży, i nazajutrz, d. 14 czerwca, arcybiskup w towarzystwie swego kapelana, ks. Potockiego i służącego Antoniego, wzięwszy tyle rzeczy, ile parutygodniowy pobyt wymagał, dom cały i służbę w Warszawie zostawiwszy na zwykłej stopie, udał się na dworzec kolei warszawsko-petersburskiej. Tam już czekali na niego ks. Konstanty Łubieński, świeżo mianowany biskupem sejneńskim, hr. Władysław Zamoyski, syn p. Andrzeja, oraz Elfryda z Tyzenhauzów hr. Augustowa Zamoyska. Straży żadnej, lub jakiegoś szczególnego występu policyi wcale nie było. Żegnając się z obecnymi, arcybiskup szepnął ks. Łubieńskiemu: „Pamiętajcie, że nigdy do żadnego stronnictwa nie należałem, miejcie wy teraz o Kościół staranie“. Słowa

¹⁾ Ks. Feliński, Pamiętniki (II, 274), przypuszcza, że rada ta pochodziła od Rządu narodowego, «zostającego w stosunkach z wysoko postawionymi urzędnikami w Petersburgu, których ucho sięgało aż do rady ministrów». Przypuszczenie to jest zgola nieprawdopodobnem. Jeszcze wtedy, w połowie czerwca, w Rządzie nar. zasiadali: Kobylański, Malinowski i Dobrowolski, którzy nie mieli takich wysokich stosunków w Petersburgu i nie myśleli o nich, zajęci walką i organizacją miejską. Również wątpliwem jest, czy nawet w radzie ministrów mówiono już teraz o Jarosławiu. W Petersburgu zamierzano porozumieć się z Felińskim i sądzono, że powrót jego do Warszawy będzie możliwym. Propozycja ucieczki najprawdopodobniej pochodziła ze sfer kobiet arystokratycznych, które wielbiły Felińskiego, ubierały się w suknie koloru fioletowego, które ulica sztydersko zwała «fijolkami»; które po kobiecemu sądziły o rzeczach, nie oglądając się na nic i którym szło tylko o ocalenie czczonego księdza.

Jest jeszcze inna wersja: W książce p. t. «Konstanty J. hr. Łubieński, biskup sejneński» (Kraków, 1898) na str. 189 spotykamy wzmiankę, że Rząd nar. zaofiarował ks. Felińskiemu zbrojną odsiecz, którą on odrzucił. Jest to prawdopodobnie jakaś głucha reminiscencya owego listu bezimiennego, wręzonego wieczorem d. 13 czerwca ks. Felińskiemu przez tajemniczą damę.

te dziwnie brzmiały w ustach człowieka, któremu właśnie powierzono troskę o Kościół, a który on, pod wpływem namiętności politycznych opuszczał i nawet jego, tyle mającą znaczenia w kraju, postawionym twarzą w twarz z potężną schizmą, oddawał na burz i wiatrów wolę.

Pożegnaniu temu nikt nie przeszkadzał. Służący kupił bilet, jak wszyscy, do klasy pierwszej, ale urzędnicy kolejowi zaprowadzili arcybiskupa do osobnego wagonu z sypialnią i salonem, a gdy pociąg ruszył, ukazał się adjutant W. Ks. Konstantego, Kiriejew i oświadczył, że ma polecenie towarzyszenia Felińskiemu i czuwania nad jego potrzebami. Prócz Kiriejewa jechało także dwu podrzędnych agentów. W Wilnie, gdzie pociąg zatrzymywał się na noc, Feliński chciał szukać gościny u biskupa Krasieńskiego, ale Kiriejew, w formie zawsze bardzo grzecznej, sprzeciwił się temu stanowczo, twierdząc, że z powodu stanu oblężenia w mieście, wymagałoby to mnóstwa formalności i prosił, aby zanocował w pokojach, umyślnie dla niego przygotowanych na dworcu kolejowym. Dojeżdżając do Górczyny, Kiriejew oznajmił, że Cesarz przebywa w Carskim Siole, lecz że spodziewają się jego przybycia do Górczyny, że zatem tu arcybiskup otrzyma posłuchanie. Na stacyi oczekiwały już dwa powozy i adjutant cesarski, kniaź Meszczerski, którego Kiriejew zaprezentował Felińskiemu, za prosił go, ażeby z nim udał się do pałacu, gdzie już przygotowane jest dlań mieszkanie. Strzeżono go przytem pilnie, miano go ciągle na oku, śledzono każdy krok jego, nie pozwalano nikomu się z nim widzieć, słowem, zachowywano nadzwyczajne środki ostrożności, jak gdyby to był jakiś zbrodzień stanu, który myśli o ucieczce, może ważne tajemnice państwowe zdradzić, albo całość monarchii na szwank narazić¹⁾. Jest to zresztą zwykły sposób

¹⁾ W pokojach, w których umieszczono arcybiskupa, drzwi były otwarte do mieszkania, zajmowanego przez ks. Meszczerskiego. Na wyższym piętrze, na tychże schodach, rozgościł się kapitan żandarmski z dwoma żandarmami, w przedpokoju zaś było aż czterech służących w liberyi dworskiej, którzy towarzyszyli Felińskiemu na

postępowania rządów złych i despotycznych, które prze-
rażają ludzi, nim ich ukarzą. Ks. Feliński mniemał, że te
wszystkie ostrożności miały swe źródło w tem, iż u dworu
myślano, że w Warszawie działał on pod wpływem agita-
torów, sądzono więc, że przez odcięcie go od tych wpły-
wów upamięta się i odwagę straci. Utrzymuje on w swych
pamiętnikach, co zresztą późniejsze postępowanie z nim
potwierdza, jakoby na radzie ministrów postanowiono, że
w razie szczerzej skruchy będzie go można wrócić do War-
szawy, wzięwszy wprzód pismienne odeń zobowiązanie, że
dobrze sprawować się będzie. Ale ks. Feliński postanowił
już przedtem, i teraz w ciszy starego Gatoczyńskiego pałacu,
gdzie zdawał się kołatać duch szalonego i nieszczęśliwego
imperatora Pawła, nieustępować i na ciernie męczeńskie,
jak sobie wyobrażał, zasłużyć. Był to błąd z jego strony,
bo dopóki on i Wielopolski i W. Książę byli w Warsza-
wie, dopóty ocalenie samorządu polskiego było możliwem,
ich obecność kielznała niszczycielskie zamysły kliki nie-
miecko-moskiewskiej generałów, zmienionych w prokon-
sulów.

Po kilku dniach takiego zupełnego odosobnienia, uka-
zał się u arcybiskupa w Gatoczyźnie, Łęski, minister sekre-
tarz stanu do spraw Królestwa polskiego z doniesieniem,
że Cesarz wprzód nim się z jeńcem zobaczy, pragnie mieć
wyjaśnienia co do jego postępowania w Warszawie i że te
wyjaśnienia ks. Feliński ma złożyć Platonowowi, pomo-
cnikowi Łęskiego, a niebawem jego następcy w sekreta-

każdej wycieczce do parku, czy pieszo, czy powozem, nie pytając
się, czy to było jego życzeniem lub nie. Zaraz z początku potrafiła
się widzieć z arcybiskupem jedna z katolickich dam petersburskich
(pani Jouve), która z Petersburga dorózką przyjechała do Gatoczyzny,
ale nazajutrz przybyli tamże generał Tomasz Łubieński, już do jeńca
dopuszczony nie został. Gdy raz w jakimś interesie gospodarskim
wysłał arcybiskup służącego Antoniego do Petersburga, zrobiono
z tego straszną historię; gdy wrócił, zrewidowano go i najsurowiej
zabroniono wydalać się z pałacu. Wyglądało to tak, jak gdyby
lekano się, że arcybiskup ucieknie, albo jaką rewolucję w Rosyi
wywoła!

ryacie. Po tem oświadczeniu oficjalnem, Łęski ukląkł
i z pokorą duszy wierzącej rzekł: „a teraz wierna owieczka
prosi o błogosławieństwo swego czcigodnego pasterza“. Otrzymawszy to błogosławieństwo ostatni z polskich mini-
strów odjechał, by więcej nie wrócić. Niebawem, tego sa-
mego dnia, czy też nazajutrz, przybył zapowiedziany Pla-
tonow i oznajmił arcybiskupowi, że zapewne Cesarz zechce
się z nim widzieć osobiście, ale nim to nastąpi, pragnie
mieć wyraźną jego odpowiedź na kilka pytań, odnoszą-
cych się do działalności jego w Warszawie. Pierwszem
z tych pytań, a raczej oskarżeń, był wiekiasty kamień
obrazy między rządem a biskupami polskimi, t. j. kores-
pondencya ich z Papieżem drogą prywatną, kiedy to jest
surowo zabronione przez prawo obowiązujące. Odpowiedź
była łatwą, że jednym z dogmatów Kościoła katolickiego
jest uznawanie władzy papieskiej i nieodwołalność jej po-
stanowień, nie tylko pod względem wiary i obyczajów, ale
też i pod względem karności kościelnej. Że zaś Papież za-
strzegł sobie, iż w wielu kwestyach sam tylko decydo-
wać może, przeto biskupi muszą się odnosić do niego.
„Można katolicyzm, mówił arcybiskup, przyjąć albo odrzu-
cić, ale zmieniać go niepodobna, gdyż nauka kościelna
miejsca dla dowolności nie zostawia. Przyjąwszy go, należy
wszystkie jego dogmaty uznawać i wykonywać, a jednym
z takich dogmatów jest właśnie zwierzchność papieska“. Na to Platonow zrobił uwagę, że biskupi mają przecież
otwartą drogę urzędową do załatwiania tego rodzaju sto-
sunków ze Stolicą Apostolską. „Chętnie na tej drodze po-
przestaniemy, odparł arcybiskup, jeżeli rząd zgodzi się na
przesyłanie pism naszych Papieżowi w tym stanie, w ja-
kim je od nas odbiera, ale tak nie jest“. Tu rozwiódł się
szeroko o tej sprawie, zaznaczył, że ilekroć biskup w liście
swym umieści coś takiego, co nie zgadza się z widokami
rządu, to ministerjum list zwraca, domagając się zmian;
że jeżeli idzie o nominację nowego biskupa, a Papież
poleci któremu biskupowi zarządzenie *scrutinium*, to opisu
życia nowego kandydata, choć opis ten jest przez świad-

ków zaprzysiężony, rząd nie przepuści, jeżeli kandydata tego popiera, i koniecznych zmian stanowczo się domaga. „Przyzna zaś sam pan minister, dodał ks. Feliński, że nie godzi się biskupowi świadomie w błąd wprowadzać Głowy Kościoła“. Pan minister oczywiście tego nie przyznał, a dalszą uwagę arcybiskupa, że w takim położeniu biskupi muszą szukać drogi tajemnej, gdyż na drodze urzędowej z obowiązku swego wywiązać się nie są w stanie, zbył milczeniem i przeszedł do innej materii. Pytał tedy, co skłoniło arcybiskupa do zerwania solidarności z rządem, a niekiedy nawet do jawnej opozycji, co dawało poparcie stronnictwu rewolucyjnemu i w błąd wprowadziło opinię zagraniczną? Na to ks. Feliński odwołał się do swego sumienia i twierdził, że od początku do końca pozostał wiernym programowi, jaki usłyszał przy swej nominacji z ust własnych Monarchy, że nigdy nie paktował z rewolucją, że starał się o rozwój religii i narodowości na drodze legalnej, że sam rząd, dopóki trzymał się tego programu, wielokrotnie sam przyznawał, że postępowanie arcybiskupa jest szczere i lojalne; że nienawiść prasy podziemnej i oszczerstwa, rzucane przez nią na niego, najlepszym są dowodem, że nigdy na dwu stołkach nie siadał. Wszakże, kiedy rząd zmienił swój system, kiedy chłopów powołał do pomocy przeciw powstaniu, kiedy niewinnych karano na równi z winnymi, kiedy wreszcie księży wieszac zaczęto, „mogłemże, zawołał, rząd wspierać w tej represji, nie tylko krwawej, ale często okrutnej? musiałbym chyba obciąć poły czerwonej sutanny mojej i stanąć wobec powierzzonej mi trzody, już nie jako pasterz, ale jako oprawca. Nie ja przeto opuściłem sztandar, ręką samego Monarchy nad Polską wzniesiony, ale sam rząd stracił tę świętą chorągiew w kałużę krwi i błota“. Platonow zrobił na ten namiętny okrzyk chłodną uwagę, że skoro arcybiskup zawsze postępował drogą legalną, to czemu objaśnić tę okoliczność, że wiadomość o jego podaniu się do dymisji z Rady stanu, w kilka godzin doszła do Paryża, a list pisany do Cesarza, znalazł się w *Moni-*

torze. Ks. Feliński odrzekł, że nie jest w stanie objaśnić, jakim sposobem się to stało (choć wiemy dobrze, że list ten zawiózł do Paryża brat jego ks. Julian Feliński, udający się do wód morskich¹⁾); wreszcie zaręczył słowem kapłańskim, że ani z francuskim, ani z żadnym rządem zagranicznym konszachtów nie miał. Wkońcu Platonow zapytał, jaki ks. arcybiskup nakreśliłby sobie program postępowania, gdyby mu pozwolono wrócić do Warszawy? „Namyslać się nad tem nie mam potrzeby, odrzekł, sama bowiem natura rzeczy program ten wskazuje. Póki byłem członkiem Rady stanu, nie mogłem usunąć się całkiem z areny politycznej, ale otrzymawszy dymisję, najłatwiej mi będzie zamknąć się w sferze interesów kościelnych, ku rozwojowi religii całą mą kierując działalność“. Platonow wysłuchał tego wszystkiego, żadnych uwag nie uczynił i odjechał.

W parę dni potem przybył powtórnie i oświadczył, że o ile mógł, powtórzył swą z arcybiskupem rozmowę Cesarzowi, wszelako ten ostatni pragnie ją mieć na piśmie, własną ręką ks. Felińskiego skreśloną. Formę tego pisma, oraz języka, w jakim ono ma być zredagowane, postanowiono uznaniu arcybiskupa. Zabrał się więc do pracy, która kilka dni mu zajęła; memoryałowi nadał formę, niekoniecznie dobrze dobraną, listu i napisał go w języku francuskim. List rozpoczynał się od podziękowania Monarsze, że pozwolił przedstawić sobie położenie kraju i pogląd na nie ze stanowiska nieurzędowego. Zaznaczył, że rząd potępia to, co jest dla każdego Polaka prawem Bożem, to jest miłość Polski a nie Rosyi, zapominając, że miłość ojczyzny jest tak samo uczuciem wrodzonym, jak

¹⁾ Ks. Feliński, Pamiętnik II, 273, powiada, że dwu tylko osobom udzielił kopii tego listu, a mianowicie Krzywickiemu i hr. Ksaweremu Pusłowskiemu i sądzi, że ci dwaj dali go przeczytać jakimś trzecim osobom, a te dopuściły się tej niedyskrecyi. Wiadomość naszą o wręczeniu listu bratu ks. Julianowi, autor niniejszego ma od ks. Ignacego Domagalskiego, który podówczas był stale przy arcybiskupie i wiedział o wszystkim, co się u niego dzieje.

miłość matki; że jak wyrodne chyba dziecko nie kocha swej matki, tak wyrodny tylko obywatel nie miłuje swej ojczyzny; że nie może być zbrodnią cześć i uwielbienie dla cnót i zasług przodków, ani też pragnienie, by dawna chwała i potęga narodu powróciła; gdyż i to uczucie jest także mimowolne, z mlekiem matki, można powiedzieć, wyssane; że największą burzę przeciw Polakom wywołuje ich chęć odzyskania orężem utraconej niepodległości, za co wyrok zagłady już tylekroć był na nich ferowany, a przecież w Moskwie stoi pomnik Minina i Pożarskiego, wzniesiony przez tych samych patryotów, którzy Polaków za bunt kamienują. Wstęp ten, zgola niepotrzebny i gubiący się w frazeologii romantycznej, ks. Feliński tak kończył: „Co do mnie, Naj. Panie, mam mocną wiarę w rządy Opatrzności, która karze wprawdzie za winy państwa i narody, ale też i dźwiga je z upadku, skoro się upamiętają. Ufam też niezachwianie, że jeżeli godzina wyzwolenia Polski już wybiła, to opór W. Cesarskiej Mości przeszkodzić temu nie zdoła, jak nie przeszkadzał opór Faraona wyzwoleniu żydów z niewoli egipskiej, gdyż plagi są zawsze w ręku Boga¹⁾. Po tym wstępie dawał dopiero ks. arcybiskup żądane wyjaśnienia co do postępowania swego w Warszawie i w razie, gdyby mu tam pozwolono wrócić, nakreślał program swego postępowania taki sam, jaki przedstawił był Platonowowi¹⁾.

I gdyby się był w swym memoryale na tem jedynie ograniczył, zwłaszcza, że tego tylko od niego żądano, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że pozwolonoby mu na powrót do kraju, i może w takim razie udałoby mu się, przy wspólnem usiłowaniu W. Księcia i Margrabiego, ocalić zagrożony już mocno samorząd polski. Ale wdał on się

¹⁾ N. Berg, Zapiski III, 249, powiada, że list ten nosił napis: *Mon Credo politique*. Skąd Berg tę wiadomość zaczerpnął, nie wiemy. Ks. Feliński w obu swych pamiętnikach o takim tytule nie mówi, jest to więc bajką, jak bajką jest wiadomość, powtórzona przez Berga za Prawdzickim o tem, że ks. Feliński widział się i rozmawiał z Cesarzem w Gieczyźnie przez dwie godziny.

jak student lub kobieta w niepotrzebne rozprawy i w pustą frazeologię o miłości ojczyzny, a co najważniejsza, w uznaniu prawowitości powstania okazał najoczywistej, że sam jest nawskróś powstańczo usposobiony. Żaden rząd na świecie, a cóż dopiero rząd rosyjski w ówczesnych okolicznościach, nie mógł się zgodzić na to, ażeby człowiek z tego rodzaju przekonaniami i z takim usposobieniem, zajmował tak wybitne i tak wpływowe stanowisko, jakim było stanowisko arcybiskupa warszawskiego. To też w kilka dni po podaniu powyższego listu, Platonow przybył znowu do Gieczyzny i oznajmił, że „Cesarz niekontent był z postępowania arcybiskupa, ale więcej jeszcze niekontent jest z danego mu objaśnienia“; że „obecnie mowy już być nie może o powrocie do Warszawy“ i że ks. Feliński ma się wybierać w podróż do Jarosławia. Zaraz też potem arcybiskup wyruszył tam pod opieką ks. Meszczerskiego, by dwudziestoletniem wygnaniem odpokutować ciężko za winy nie przeciw Rosyi, ale przeciw Polsce niestety! którą tak gorąco kochał, której chciał nieba nieomal przychylić, a którą nieświadomie, z wielu innymi, popchnął w przepaść nieszczęść i najstraszliwszego ucisku. Zeszedł ze sceny dziejowej po krótkim, półtora roku niespełna trwającym, na niej pobycie, z tem przekonaniem, do samej śmierci uznawanem przez siebie za słuszne i polskie, że dobrze się ojczyźnie zasłużył. Przekonania tego historya dzielić nie może. Ks. Feliński nie wytrwał w pierwotnem swem postanowieniu popierania Margrabiego i W. Księcia, dał się unieść gorączkowym prądom, unoszącym się nad brukiem warszawskim, popełnił mnóstwo błędów, z których, bodaj czy nie najgorszym, był ów list z Gieczyńskiej samotności wysłany do Cesarza. Musiał potem do końca swego życia patrzeć, jak szalała nad nieszczęsną Polską zemsta najgorszych żywiołów rosyjskich, jak sama Rosya przez powstanie polskie, pod wpływem mongolsko-bizantyńskich dążeń partyi wywrotowej, wstrzymaną została na drodze postępu i rozwoju. Że nie odczuwał tego, że sam się wiele przyczynił do takich rezultatów,


to było może szczęściem dla jego duszy czulej, kochającej i poetycznej, ale czy było szczęściem dla Polski?...

Lecz nie potępiajmy go. Niech to będzie dlań usprawiedliwieniem, że chciał dobra dla Polski, a przecież starożytni mawiali, że w wielkich rzeczach dobre chęci wystarczają. Mylił się tylko w środkach, a któż w Polsce kiedykolwiek się nie mylił? któż wobec cierpiącej ojczyzny nie stawał na rozdrożu wyboru środków, kto nie ważył się, kogo nie porywały dawne wspomnienia i to, co nazwano nieprzedawnionymi ojczyzny prawami? Za te nieprzedawnione prawa lała się teraz w Polsce krew strumieniami, konały jej dzieci na szubienicach, w głębi lasów ojczystych, szedł na marne dobytek narodowy, cofała się jej prastara kultura. Wstąpmy więc z kolei rzeczy w te ciemne uroczyska borów ojczystych i patrzmy na ciche, bez chwały i bez pożytku konanie synów polskich.

ROZDZIAŁ XIV.

Wojna.

Dyonizy Czachowski i jego oddział. Starcie w Grabowcu. List do Uszakowa. Potyczka pod Stefankowem. Powieszenie kapitana Nikiforowa i pięciu żołnierzy. Opowiadanie Turlina. Śmierć Klewcowa i potyczka w lesie pod Jeziorkami. Rozbicie Czachowskiego pod Rzeczniewem. Dalsze dzieje jego oddziału. Kononowicz i starcie pod Rożniszewem. Porażka Ernrotha. Wyprawa Meller-Zakomelskiego: schwytanie i śmierć Kononowicza. Powstanie w Kaliskiem. Działanie Komitetu Poznańskiego. Oficerowie zagraniczni. Edmund Callier i Mielecki. Wyprawa ks. Sayn-Wittgenstein. Potyczka pod Olszową i Slesinem. Edmund Taczanowski. Alonzo Seyfried. Starcie pod Nową wsią i wyrzucenie Nelidowa za granicę pruską. Raport pruski. Wyprawa Kostandy. Starcie pod Brdowem i śmierć Younga. Ucieczka Seyfrieda. Taczanowski w Pyzdrach. Starcie pod tem miastem i pod Kolem. Marsz do Ignacewa. Plan rosyjski. Taczanowski się barykaduje. Bój pod Ignacewem. Wyprawa Leona Czechowskiego w Lubelskie. Jego marsz powolny. Miednikow występuje z Janowa. Potyczka w lesie Potockim, oraz starcie z Miednikowem pod Jedlinkami i w lesie Ciosmińskim. Czechowski przechodzi do Galicyi. Jeziorański i jego wyprawa. Starcie pod Kobylanką, Ucieczka do Galicyi. Wyprawa Zapalowicza. Wypadki w Krakowskiem. Chmieleński i jego napad na Janów. Zakończenie.

 Raporty i wiadomości o stanie wojny w Polsce, które przesyłał z Warszawy W. Książę i różni generałowie do Petersburga, zapowiadać się zdawały blizki i zupełny upadek powstania. Każdy dowódzca rosyjski, po-

wracający z wyprawy na pierwszy lepszy oddział powstań-
czy, niezmiennie donosił, że oddział ten rozbił do szczętu,
że zadał mu straszną klęskę, że wytępił „buntowników“
do cna, tłumy zabrał jeńców, a sam stracił, jak zwykle,
tylko jednego klasycznego kozaka, który nie został za-
bity, broń Boże! ale „przepadł gdzieś bez wieści“. Wpra-
wdzie, już w kilka dni po owym tryumfie, ta sama „banda“
i niemal w tem samem miejscu ukazywała się znowu, ale
to bynajmniej nie smuciło niedawnego tryumfatora, gdyż
dawało mu sposobność do nowej wyprawy, nowych zdo-
byczy i nowych wawrzynów. Wychodzący stale przy szta-
bie głównym w Warszawie *Dziennik działań wojennych*
(*Żurnal wojennych djestwij*), wszystkie te zwycięskie ra-
porty podawał w formie odpowiednio przykrojonej, opie-
wającej nieustanne tryumfy „walecznej armii“, skąd prze-
drukowywał je urzędowy organ petersburski *Russki Inwalid*
i wszystko było dobrze, władze były zadowolone, Rosya
tryumfowała i niczego obawiać się nie potrzeba było.
A chociaż wydawane przez rząd powstańczy *Wiadomości*
z pola bitwy, zgola co innego głosiły, choć zapewniały, że
te tryumfy są bajką wierutną, że zwycięstwa były bardzo
problematyczne, nikt im wierzyć nie chciał i nie mógł,
gdyż wyraźnie nieraz kłamały. Obie strony, jakby na wy-
ścigi, ukrywały prawdę. W. Książę wiedział doskonale, co
należy trzymać o tych zwycięstwach rosyjskich i o tej
„walecznej armii“ stutysięcznej, która przez kilka miesięcy
nie mogła sobie dać rady z garścią niewyćwiczonych i bez-
bronnych powstańców, jednakże nie starał się o to, by
prawdę wykryć i otworzyć sferom petersburskim oczy
na istotny stan rzeczy, gdyż w interesie jego leżało, ażeby
tam, w stolicy Caratu, miano taką a nie inną opinią o po-
wstaniu. Mimo to, od czasu do czasu zdarzały się wypadki,
zadające kłamstwo raportom, wypadki, których ukryć nie
można było, które rozgłoszone przez prasę zagraniczną,
dochodziły do Petersburga i wskazywały, że nie wszystko
tam w Polsce dobrze się dzieje, że położenie jest jeżeli

nie groźne, to przynajmniej bardzo smutne i bardzo
ponure.

Właśnie w tej porze, na wiosnę, rozegrało się kilka
takich tragedyi, które zgola w innem świetle ukazały stan
rzeczy w Królestwie, które uderzając swą niezwykajno-
ścią lub okropnością wyobraźnię ludzką, znalazły ogromny
rozgłos w prasie europejskiej, wywołały liczne opisy i ko-
mentarze i tym sposobem doszły do wiadomości sfer pe-
tersburskich, pomimo, że w Warszawie starano się jeżeli
nie zaprzeczyć ich autentyczności, bo to do pewnego sto-
pnia było niemożliwem, to przynajmniej osłabić ich zna-
czenie. Ale osiągnąć tego nie zdołano, gdyż same fakta
grozą swoją i niezwykajnością przemawiały najwymowniej,
że przebieg rzeczy w Królestwie Polskiem jest zły, bardzo
nawet zły.

Pierwszy z takich wypadków przydarzył się w Ra-
domskim za sprawą oddziału powstańczego pod komendą
Dyonizego Czachowskiego. Dowódca ten, wymknąwszy się
ze swym batalionem z oblavy rosyjskiej pod Grochowi-
skami i wykonując od dawna powzięty zamiar działania na
własną rękę, rzucił się był forsownym marszem, jakieśmy
to już wspomnieli¹⁾, w kierunku gór Świętokrzyskich.
Szedł, ocierając się boki o gorejące biwaki rosyjskie
w jak największej cichości. Zabroniono żołnierzom rozma-
wiać, fajki palić, a kawalerya wysłana przodem, spędzała
po wsiach podwody, na które wsiadłszy, szczęśliwie się
z oblavy Czengierego wydostał i zapadł w lasach Iłże-
ckich, i odtąd jako wódz samoistny wojnę prowadził. Sta-
rzec to był, 65 lat liczył, ziemianin i rolnik z powołania,
zgola nie znający się na rzemiośle wojskowem. Jeżeli po
upadku Langiewicza zdołał prawie sam jeden w Sando-
mierskiem się utrzymać, zawdzięczał to w znacznej części
wybornej znajomości terenu, na którym działał. Typowy
szlachcic polski w swych przymiotach i wadach, był za-
palonym myśliwym, istnym „wielkim łowcem przed Pa-

¹⁾ Patrz tom II, 119 niniejszego dzieła.

nem", i większą część swego życia spędził w lasach Sandomierskich, których wszystkie przesmyki znał doskonale, oryentował się w nich, nawet w nocy i w najtajniejszych ich kątach znajdował się jak w domu u siebie. Temu to przypisać należy, że potrafił uniknąć starcia z licznymi na siebie wyprawami rosyjskimi i przez parę miesięcy zdołał się utrzymać, a nawet nie stoczył żadnej większej potyczki. Dopomagał mu w tem Władysław Eminowicz, mianowany przez Czachowskiego szefem sztabu, oficer z wojska austriackiego, wyborny organizator, osobście bardzo waleczny, choć nieco lekkomyślny. Zasluga to niewątpliwą jest Czachowskiego, że umiał cenić Eminowicza, nazywał go prawą swoją ręką, gdyż sam, jakieśmy rzekli, nie znał się wcale na wojnie i co gorsza, nie był lubiany przez swych podkomendnych. Średniego wzrostu, krępy, z brodą siwiejącą i krótko przyszytą, miał usposobienie gwałtowne, krzykliwe i był z charakteru i temperamentu człowiekiem okrutnym i surowym. Skatować bez miłosierdzia, zabić człowieka, porąbać go szablą, było dla niego rzeczą niemal codzienną. Bano go się, ale nie kochano, a co większa, nie miano doń zaufania. Był to jeden z tych krwawych dowódców powstańczych, który wieszał chłopów bez litości, gnębił szlachtę, niósł wszędzie przed sobą grozę i pamięć swoją krwią zmazał¹⁾. Partya jego

¹⁾ *Żurnal wojennych dziejstw* Nr. 20, a za nim prawie wszystkie ówczesne pisma rosyjskie przytaczają raport (Nr. 415), naczelnika wojennego kieleckiego, pułkownika Czengierego z d. 19/1 kwietnia (maja) 1863 r., w którym to raporcie czytamy co następuje:

«Oddział nasz maszerując z Mniowa do Niekłania, w pobliżu wsi Krasne, ujrzał przykład zwierzęcości buntowników: ciała włościan wisiały po cztery i po dwa razem na jednym drzewie, twarzami ku sobie zwrócone; nie dość na tem, buntownicy szydząc ze swych ofiar, pozakładali im wzajemnie ręce, jak gdyby się ściskali serdecznie. Ostatnie to okrucieństwo wykonano na rozkaz i w obecności naczelnika bandy Czachowskiego, pragnącego dać oczywisty dowód swych uczuć patryotycznych. Widok ten wywarł na naszych żołnierzach bardzo silne wrażenie; wszędzie w szeregach dał się słyszeć głos oburzenia i wstrętu; pragnienie zemsty widać było na wszyst-

liczyła podobno 400 ludzi (ściślej 386) ale bardzo źle uzbrojonych (50 tylko miało karabiny, 120 strzelby myśliwskie, bez bagnatów, powiązane nieraz sznurkami). Wzmocnił go znacznie w początkach kwietnia oddział Andrzeja Łopackiego, który na czele 250 ludzi wkroczył z Galicyi do Królestwa i przeszedłszy Wisłę w okolicach Połańca, śmiałym i wytężonym pochodem przedostał się w rozległe lasy Ilżeckie. Oddział ten był znakomicie uzbrojony i zaopatrzony we wszystko; sam Łopacki, obywatel ziemski z Bocheńskiego w Galicyi, kapitan wojsk austriackich, znał się na wojnie i umiał swych żołnierzy prowadzić. Otóż Czachowski, mianowany po upadku Langiewicza, wojewodą Sandomierskim, dowiedziawszy się o pobycie Łopackiego, nakazał mu ze sobą się połączyć, a gdy jeszcze pojawił się w tych stronach świeżo uformowany oddział niejakiego Grylińskiego (450 ludzi), siły Czachowskiego wzrosły podobno do tysiąca strzelb, kos i szabel. Skoncentrowanie trzech oddziałów dokonane zostało w skutek nalegań Eminowicza, który marzył o większej i poważniejszej jakiejś akcji.

Tym razem akcja ta ograniczyła się na zaalarmowaniu Radomia. Czachowski wyruszył tam z lasów Ilżeckich i maszerując przez Krzyżanowice i Skaryszew, szedł traktem bitym, i w dzień biały ukazał się od strony południowo-wschodniej pod Radomiem. Okrzyknął miasto prawie naokoło, a załoga rosyjska kilka tysięcy ludzi i 12 dział wynosząca, nie śmiała się wychylić. Czachowski dokonawszy swej demonstracji, ruszył ku Jedlni i Zwoleniowi,

kich twarzach». *N. Berg*, *Zapiski* III, 268, dodaje od siebie, jakoby żołnierze na ten widok mieli wolać: «nu, teraz jeńców brać nie będziemy» (nu, tiepier plennych nie budiet). Jeżeli się nie mylimy, byli to chłopci ze wsi Wólka Klucka pod Kielcami, których w liczbie 11-tu powieszono z rozkazu władz narodowych za to, że w początkach ruchu zbrojnego napadali na powstańców i wydawali Rosyjanom. *I. Ożegalski*, który służył w oddziale Czachowskiego, opowiada w swych «Wspomnieniach krwawych czasów» (p. 141), że «Moskale w pogoni za nami często się kierowali jak za drogowskazami, wsielcami, których on (Czachowski) pozostawił nad drogą».

skąd znowu puścił się w Sandomierskie i d. 16 kwietnia zajął miasteczko Grabowiec. Tutaj zaszedł wypadek, który pociągnął za sobą poważne następstwa.

Załogi rosyjskie w Kielcach i Radomiu miały niejakkie, acz bardzo niedokładne i mętne wiadomości o pobycie Czachowskiego w Sandomierskiem. Dla zasięgnięcia o nim pewniejszego języka, wysyłano drobniejsze oddziały, które jednak swych poszukiwań dokonywały bardzo ospale i ostrożnie. Otóż, jeden z takich oddziałów natknął się na Czachowskiego w Grabowcu, ale dowódca powstańcy po zamianie kilku strzałów, wycofał się i ruszył w lasy Ilżeckie nie ścigany wcale. Za to kozacy i piechota rosyjska wpadłszy do opuszczonego przez Polaków Grabowca, dopuściła się tam zwykłych w tej wojnie nadużyć. Poczęła rabować mieszkańców, a opierających się poraniła lub nawet pozabijała, a między innymi proboszcza, starca siedmiesięcioletniego haniebnie pokłuto bagnietami. Fakt ten spowodował Czachowskiego, że napisał do generała Uszakowa, komenderującego w Radomiu list, w którym skarżąc się na postępowanie wojska rosyjskiego w Grabowcu, zagroził, że odtąd, każdego schwytanego jeńca nieprzyjacielskiego każe powiesić. „Oświadczam wam (pisał), że odtąd oko za oko, ząb za ząb. Każdy z waszych, który żywy się w nasze ręce dostanie, bez względu na jego stopień powieszonym przez nas zostanie“. Pod tym listem podpisał się: „twój kolega, Dyonizy Czachowski, pułkownik wojska polskiego, naczelnik sił zbrojnych woj. Sandomierskiego¹⁾, a to samozwańcze koleżeństwo miało szczególnie oburzyć i obrazić niezbyt mądrego Moskala.

Następstwem tego pisma było wysłanie przez Uszakowa kilku oddziałów, z których każdy od 200 do 300 ludzi liczył, z surowym rozkazem odszukania zuchwałego wodza „buntowników“, który śmie grozić wszechpotężnemu

¹⁾ Treść tego listu podajemy za *A. Drątkiewiczem* (Wspomnienia Czachowczyka, 114). Sam on go redagował na rozkaz Czachowskiego, mógł więc treść dokładnie zapamiętać.

satrapie radomskiemu. Komendanci tych drobnych oddziałów mieli rozkaz uderzyć na odszukanego Czachowskiego i, jeżeli się to okaże możliwem, rozbić go doszczętnie. Rozkaz był dość lekkomyślnie dany i bez znajomości położenia. Czachowski bowiem z Grabowca, przez lasy Ilżyckie puścił się forsownym marszem w Opoczyńskie i dnia 19 kwietnia rozłożył się obozem pod Niekłaniem, niedaleko miasta Końskich, w gęstym lesie, w pobliżu góry zwanej Piekło. W czasie tego marszu z pod Grabowca do Piekła, schwytano w drodze dwu Rosyan, jadących na wozie. Jeden z nich był ciężko ranionym kozakiem z przestrzeloną piersią, drugi zaś piechurem z pułku Smoleńskiego piechoty, który konwojował do Radomia rannego. Nazywał on się Antoni Turlin i rozbrojony, wzięty do niewoli, miał niebawem odegrać głośną rolę historyczną. Rannego kozaka puszczono wolno do Radomia.

Tutaj, w lesie Niekłańskim, oddział Czachowskiego wzrósł znacznie w siły przez to, że połączył się z nim znowu Gryliński, (który z pod Grabowca samowolnie poszedł był w inną stronę, i naraził się na pobicie w okolicy Staruchowic), oraz oddział Kononowicza, sformowany w lasach Kozienieckich, liczący przeszło 500 ludzi (ściślej 546), wreszcie trzy drobniejsze oddziały: Stamirowskiego, Janковского i Wiśniewskiego, tak że ogółem w obozowisku pod Piekłem liczono około 2000 zbrojnych, siła, jakiej od czasu Langiewicza powstanie w Sandomierskiem nigdy w jednym miejscu skoncentrowanej, nie miało¹⁾. Jaki był

¹⁾ Cyfra ta według *Drątkiewicza* (l. c. p. 60 i następ.) składała się z pozycji następujących:

<i>Czachowski:</i>	strzelców	170	
	kosynierów . . .	150	
	jazdy	53	
	sztab	16	razem 389
<i>Kononowicz:</i>	strzelców	240	
	kosynierów . . .	200	
	jazdy	80	
	sztab	26	razem 546

Do przeniesienia 935

powód tej koncentracji, współczesne źródła nie mówią; niektórzy twierdzą, że Czachowski dla tego to robił, by, jako wojewoda Sandomierski, dobrze poznać podwładnych sobie dowódców i uzbrojenie ich oddziałów, oraz żeby im dać instrukcje dla dalszego postępowania¹⁾. Bądź co bądź, w tej chwili, drobne oddziały rosyjskie wysłane przez Uszakowa w celu wyszukania partyi Czachowskiego, wobec tak znacznego nagromadzenia sił powstańczych, były narażone na poważne niebezpieczeństwo, co się też w rzeczy samej stało.

O jednym z takich oddziałów, będącym pod wodzą Doniec-Chmielnickiego, liczącym wszystkiego 220 ludzi z pułku Połockiego piechoty i kilku kozaków²⁾, maszerującym właśnie w kierunku obozowiska powstańczego, dowiedział się Czachowski w nocy z d. 21 na 22 kwietnia, i za radą Eminowicza postanowił uprzedzić nieprzyjaciela i napaść nań z nienacka, do czego gęste bory Niekłauskie wybornie się nadawały. W tym celu wziął ze sobą cały oddział galicyjski Łopackiego, 200 kosynierów, jazdę Stamirowskiego, tak że wyprawa ta składała się blisko z 500 ludzi, była więc w dwojnásób silniejszą od kolumny nie-

	Z przeniesienia	935
Gryliński:	strzelców	240
	kosynierów	150
	sztab i jazda . . .	60
	razem	450
Łopacki:	strzelców	160
	kosynierów	60
	jazda	30
	razem	250
	Razem	1635

Cyfra ta jednak ciągle wzrastała, tak że *Drątkiewicz* (p. 117) oblicza obozowisko pod Piekłem, wraz ze Stamirowskim, Jankowskim i Wiśniewskim na 1960 ludzi.

¹⁾ Tak twierdzi *I. K. Ożegalski* (Wspomnienia krwawych czasy z r. 1863) p. 146.

²⁾ *Drątkiewicz* l. c. 159 utrzymuje, że Doniec-Chmielnicki miał przeszło 400 piechoty i 60 kozaków. Poszliśmy za raportem urzędowym. *Berg*, Zapiski III, 267 powiada, że Rosyan było tylko 180. *Pawliszczew*, Siednicy II, 89 mówi o 1½ rot. W każdym razie oddział rosyjski mógł liczyć najwyżej 300 ludzi.

przyjacielskiej. Spotkano się z nią w lesistej miejscowości pod wsią Stefankowem, i choć kawalerya Stamirowskiego zaraz z początku heroicznie drapnęła, to jednakże po żwawem starciu, nieprzyjaciół otoczony ze wszech stron, został zupełnie pobity, tak, że garść tylko zdołała się przeдрzeć, szukając ocalenia w spiesżnej ucieczce w kierunku miasteczka Przysuchy. Okrutny Czachowski, pod pozorem, że żołnierze pułku Połockiego spalili i zrabowali na początku powstania Suchedniów i Wąchock, zabronił brać jeńców; była to więc formalna rzeź¹⁾. Mimo to wzięto do niewoli pięciu żołnierzy i kapitana Nikiforowa, który ranny w lewą rękę schronił się do młyna, gdzie go gospodyni schowała pod pierzynę, ale dostrzeżony przez jednego z oficerów polskich, został schwytany. Ze strony polskiej zginął kapitan Dobrogojski, służący w powstaniu pod pseudonimem Grzmota, niedawno zbiegły do Czachowskiego z pułku Smoleńskiego piechoty rosyjskiej, syn oficera wojsk polskich, męczonego niegdyś wraz z Łukasińskim w Zamościu. Oprócz niego, mocno żałowanego w oddziale, nikt więcej nie poległ, tylko rannych było sześciu ludzi.

Jeńców, kosynierka zaprawiona przez Czachowskiego do nadużyć, obdarła do koszuli i bijąc a wyszydając, przyprowadziła do obozowiska głównego w Piekło²⁾. Wszystkich ich, wraz z wziętym już poprzednio, wspomnianym już tutaj, żołnierzem Antonim Turlinem, oraz trzema podejrzanymi o szpiegostwo (dymisyonowanym żołnierzem z Opatowa, policyantem z Radomia i jakimś chłopem) razem osób dziesięć, kazał Czachowski, zgodnie ze swą piśmienną zapowiedzią, powiesić. Zwłaszcza na kapitana Nikiforowa był srodoze zagniewany; obdartego do koszuli,

¹⁾ Według *N. Berga* l. c. III, 268, zginęło 30 Rosyan, a 20 było ciężko rannych. Raport urzędowy mówi o 18 zabitych, a 28 ciężko rannych; 5 kozaków i jeden żandarm „przepadł bez wieści”.

²⁾ *Drątkiewicz* l. c. 159, opowiada, że przy jeńcach znaleziono przeszło 11.000 złp.; że felczer Aponasiew sam posiadał 5.000 złp. w półimperyalach, zaszytych w płaszczu, co dowodzi, jakich rabunków dopuszczał się w powstaniu żołnierz rosyjski.

idącego boso, zbrozonego od ran krwią, bił batem po łysej jak kolano głowie, nazywał szpiegiem i zdrajcą. Czy tak było w istocie, trudno dziś dociec; są dość uzasadnione podejrzenia, że Nikiforow należał do spisku wojskowego, był nawet przez jakiś czas w oddziale Kurowskiego, że jednak potem rzucił powstańców i oddawał się szpiegostwu¹⁾. Zachował się on też wobec śmierci tchórzliwie, padał na kolana i błagał o życie, podczas gdy jego podwładni umierali spokojnie, z pewnym fatalizmem, iście wschodnim²⁾.

¹⁾ Przypominamy, że *Gesket - Puzyrewskij* (Wojennyja dziejstwa w Carstwie Polskom, p. 68) wspomina o jakimś Nikiforowie, który podczas napadu Kurowskiego na Sosnowiec, miał przejść do powstańców. Tenże sam Nikiforow po klęsce Miechowskiej, objął dowództwo nad oddziałkiem Dobrskiego, którego Kurowski wysłał był poprzednio z Ojcowa do Olkusza; Dobrski dowiedziawszy się o tem, co zaszło pod Miechowem, haniebnie oddział opuścił. Wtedy zjawiał się Nikiforow. »Skoro dzień (opowiada autor »Wspomnień kapitana wojsk polskich«, p. 14), zoczyliśmy innego dowódcę, czerwono-niebiesko-białe ubranego, harującego na dzielnym koniu. Na zapytanie moje kolegów, kto to być może, odpowiedziano mi, że to Moskał rodem, Polak sercem, dzielny oficer rosyjski, który z patriotyzmu dla sprawy naszej, przeszedł w szeregi nasze. Był to smutnej pamięci Nikiforow. Prowadził nas dalej, ażeszmy w coraz gorsze matnie wchodzili, tak że głodni i spragnieni, bo każdy raz cośmy zasiedli do gotowania, pędziło nas dalej doniesienie, że Moskale o 2 wiorsty od nas, maszerowaliśmy dubeltowym marszem wyżej i głębiej po werstepach, parowach i skalach, a nocą przechodziliśmy cichaczem przez wieś obsadzone Moskalami, z największem niebezpieczeństwem życia całego oddziałku. I Nikiforow zostawił nas na opiece Boskiej, a sam pewnej nocy znikł z oczów naszych«. Autor dodaje Nikiforowi przydomek »smutnej pamięci«, zdaje się więc, że uważa go za tę samą osobistość, którą Czachowski powiesił. Ś. p. ks. Adam Sapieha w piśmiennej relacji, znajdującej się w zbiorach autora, powiada, iż jakiś Nikiforow, b. oficer rosyjski, zjawiał się w lutym czy marcu we Lwowie i zgłosił się do ówczesnego Komitetu galicyjskiego, że na rozkaz Rządu Narodowego został wysłany do jakiegoś oddziału powstańczego, do jakiego jednak, nie powiada. Zdaje się zatem, że ów Nikiforow, przechodzący do powstania pod Sosnowcem, kręcący się z oddziałem Dobrskiego około Olkusza, zjawiający się we Lwowie i wkońcu powieszony przez Czachowskiego, jest jedną i tą samą osobą.

²⁾ Jeden z wieszanych żołnierzy zawołał pod szubienicą: »Car bije, bieda bije, a teraz Polaki wieszają« i sam sobie założył stry-

Czachowski ułaskawił tylko Turlina, dlatego, że parę razy urwał się od szubienicy, był katolikiem i Polakiem. Turlin ten zbiegł potem do swoich, opowiedział co widział i czego nie widział, co odpowiednio ukoloryzowane, pomieszczone zostało w specjalnym raporcie pułkownika Czengierego i opublikowane po gazetach obiegło całą Rosyę i Europę całą, wszędzie wywierając silne i dla powstania zgoda nie-

czek na szyję. Nikiforow nie tak się zachował. *I. K. Ożegalski* (l. c. p. 162) opowiada, że gdy go doprowadzono pod drzewo, na którym wieszano, »upadł na kolana, złożywszy ręce jak do modlitwy i błagał o życie«. Klamie więc raport rosyjski, umieszczony w dodatku do Nr. 36 »Żurnalu wojennych dziejstw« i ogłoszony następnie we wszystkich gazetach rosyjskich, a spisany z opowiadania parokrotnie wspomnianego już tutaj żołnierza Antoniego Turlina. Opowiadał on tedy, że »kazano wszystkim jeńcom wypowiadać się i przygotować na śmierć«; że »kapitan Nikiforow i żołnierze rosyjscy nie chcieli spowiadać się przed księdzem«. »Potem (brzmi raport, powtarzając opowieść Turlina) wszystkich nas, rozebranych do naga, ze stryczkami na szyjach, poprowadzili przed krzyżującym tłumem i niedaleko od obozu, poranionych i zbitych zaczęli wieszać po jednym, zacząwszy od policyanta, następnie żołnierza dymisyonowanego, chłopą, wreszcie kapitana Nikiforowa, ciężko poranionego kulami w prawą rękę i nogę i zostawionego bez opatrunku«. (Relacje polskie jednoznacznie twierdzą, że Nikiforowa powieszono ostatniego). »Pastwili się nad nim najokrutniej, zapewne za jego nieuległość. Kapitan do ostatniej chwili był dumny i nieokazywał on najmniejszej nawet słabości ani wobec naczelnika, ani wobec jego bandy, odpowiadał Czachowskiemu ostro i z pogardą znosił wszelkie obelgi. Skoro go zaś powiesili, to nagle prawa ręka ze ściśniętą w kulak pięścią podniosła się i długo groziła okrutnikom, co na nich wszystkich silnie wywarło wrażenie«. O tem jakoby groźniu pięścią przez wisielca, oto co znajdujemy w relacjach polskich: »Gdy go (Nikiforowa) nareszcie powieszono ze związanymi w tył rękoma osobnym sznurem w pasie przytwierdzonymi, ręka jego lewa wymknęła się jakimś sposobem z postronka (był silny, krępo zbudowany mężczyzna); skoro więc pętla zaczęła go mocno dusić, miał robić bardzo silnie piersiami, kręcąc się, rzucając i podnosząc w górę uwolnioną z więzów rękę po trzykroć, otwierał swe oczy i podnosił się siłą wewnętrzną, podnosząc się w górę na duszącym go sznurze, a chcąc chwycić nią za konar, na którym go powieszono. Lecz gdy ten był przeszło na parę łokci nad głową jego wyżej położony, przeto go nie dosięgnął«. (Drążkie-8*

korzystne wrażenie, a w Petersburgu, w sferach urzędowych, którym nieustannie mówiono, że powstanie dogorywa, wzmocnić musiało domagania stronnictwa Samobytników, by W. Ks. Konstantego usunąć z Warszawy i wysłać tam generała, któryby żelazną ręką, na wzór Murawiewa w Wilnie, powstanie zgniótł i zapobiegł takim wypadkom i takim scenom, jakich świadkiem był głuchy las pod Piekłem.

wicz l. c. p. 167). Nie było to więc żadne zagrożenie, ale zwyczajne usiłowanie ratunku.

Antoni Turlin, ów opowiadacz raportu urzędowego, wieszany, urwał się parokrotnie i na ogólne domaganie się oddziału, oburzonego całą tą straszną sceną, został przez Czachowskiego ulaskawiony. Jak się okazało, szuur był z namowy kapelana oddziału, ks. Serafina Szulca podcięty, bo Turlin był Polakiem i katolikiem i pochodził z Olkuskiego (czytaj »Polska w walce« I, 131). Turlin skorzystał ze sposobności w czasie starcia Czachowskiego z Rosyanami pod Buczniowem i uciekł do swoich i dał temat do przesadnego a wyżej streszczonego raportu. W końcu raportu tego znajduje się wzmianka następująca: »Opowiadanie to szeregowca Turlina zupełnie znajduje potwierdzenie w zeznaniach wziętych do niewoli buntowników w starciu z bandą Czachowskiego pod wsią Rzeczniewem i miastem Grabowcem, między którymi Józef Guzowski przyznał się, że on był właśnie wykonawcą rozkazów Czachowskiego i sam wieszał nieszczęśliwych«. Biednego Guzowskiego powieszono w Kielcach d. 8 lipca, (Pamiętka dla rodzin polskich I, 57), zgola najniżej, bo rolę oprawcy nad Nikiforowem i żołnierzami spełniał według *Ołegalskiego* (l. c. 160), niejaki Wilk, chłop galicyjski, b. żołnierz austriacki, pijak korony. Guzowski zaś, podoficer kosynierów, dowiedziawszy się o ulaskawieniu Turlina, pierwszy go odciał z postronka i za to, wpadłszy w ręce Czengierego, pomimo, że zaprzeczał oskarżeniu, został powieszony. Według niektórych relacji (*Ephémérides polonaises* p. 58) oskarżył go żołnierz rosyjski. Otóż tym żołnierzem, jak zapewnia *Drużkiewicz* (l. c. 408) był Turlin. Prawdziwie więc po rosyjsku wywdzięczył się Guzowskiemu za to, że go odciał ze sznurka.

W pięć dni po egzekucji w lesie Piekło, zjawił się w tym miejscu kapitan pułku Połockiego, Kakuszkina, na czele oddziału wojska i kazał wykopać ciało Nikiforowa i sześciu powieszonych. »Ciała były nagie (jak brzmi raport Kakuszki) ze stryczkami na szyjach; Nikiforow miał ręce w tyle związane kawałkiem płótna«. Ciała te zostały przeniesione do Piotrkowa i pochowane na tamtejszym cmentarzu prawosławnym.

Domagania się te przybrać musiały tem ostrzejsze i bardziej naglące formy, że niebawem nadejść miała inna, niemniej smutna i upokarzająca dla Rosyi wiadomość o nowych tryumfach tegoż samego strasznego Czachowskiego. Po potyczce Stefankowskiej rozłączył on się z Grelińskim, Jankowskim i Kononowiczem, i z własnym tylko oddziałem forsownymi marszami przebiegał województwo Sandomierskie, słusznie przewidując, że powieszenie oficera i żołnierzy rosyjskich, zwali na niego wszystkie siły nieprzyjacielskie tegoż województwa. W tych marszach dowodził niepospolitej znajomości kraju, zmysłu kombinacyjnego, wielkiej energii i pewnej zdolności w prowadzeniu małej wojny, czyli t. zw. partyzantki. Jeżeli w boju umiał tylko rzucić się między swych tyralierów, prowadzić ich naprzód, nie troszcząc się wcale o rozlokowanie odpowiednie swych sił, o rezerwy i wogóle o cały kierunek walki, to w tych marszach i kontramarszach, jakie przez ciąg paru tygodni po wypadkach w Piekło z niezmordowaną niczem energią obmyślał i wykonywał, okazał się wyższym ponad wielu dowódców tak powstańczych, jak i rosyjskich, którzy umieli iść przed siebie i nie potrafili nigdy skorzystać w całej pełni ze znacznych jeszcze podówczas lasów w Królestwie i z mnóstwa rzeczek i strumieni, lasy te przecinających. Czachowski, nagabywany i ścigany ze wszystkich stron przez wysyłane nań kolumny rosyjskie, umiał się im zawsze zręcznie wywijać i ukazawszy się np. dziś pod Zwoleniem, jutro zapadał obozowiskiem pod Ilżą lub Ostrowcem, by niebawem swem nagłym pojawieniem się nabawić niepokoju komendanta załogi w Radoszycach lub w Końskich. Niestety! siły ludzkie mają swoje granice i te forsowne, wyteżone, nieustanne marsze po zapadłych, leśnych drożynach, wśród wiosny cieplej, ale dżdżystej, przy niedostatecznem odżywianiu, doprowadziły oddział Czachowskiego do takiego znużenia i wyczerpania, że wkońcu będzie go musiał rozpuścić, by dać ludziom choćby chwilowy (jak sądził), wypoczynek. Nim to jednak nastąpi, da on znać jeszcze o sobie tak głośno, że echo

jego tryumfów rozlegnie się nie tylko w Warszawie, ale nawet w Petersburgu.

W pierwszych dniach maja znajdował się on ze swym oddziałem w miasteczku Ożarowie, gdzie otrzymał wiadomość, że z różnych stron maszerują ku niemu ruchem dośrodkowym kolumny nieprzyjacielskie, by dopadłszy go jednocześnie, zdusić w serdecznym uścisku. W rzeczy samej z rozkazu Uszakowa wysłano cztery oddziały, a mianowicie: ze Słupi nowej, z Sandomierza, Opatowa i Zawichosta, w ogólnej sile przeszło półtora tysiąca ludzi, dla ostatecznego zgniecenia tego okrutnego i zuchwałego starca, który tyle niepokoju sprawiał komendantom rosyjskim. Jedną z tych kolumn dowodził major Klewcow, świeżo przybyły z Petersburga, który, według relacji polskich, umyślnie udał się do Królestwa, ażeby wziąć udział w wojnie i obiecywał samemu Cesarzowi, że sformuje osobny korpusik ochotniczy, na czele którego gnębić będzie powstańców bez litości i bez wytchnienia. O ile to jest prawdą, nie wiemy; to pewna, że kolumna jego sformowaną została z żołnierzy różnych pułków, nosiła nazwę oddziału ruchomego (*licuczij otriad*) i składała się z dwu kompanii piechoty, szwadronu dragonów i 50 kozaków, ogółem przeszło pięćset bagnatów i szabel. Czachowski zaś w tej chwili miał pod sobą przeszło 800 ludzi¹⁾; przewaga ta jednak liczebna niewiele znaczyła wobec regularnych, wyćwiczonych i o wiele lepiej uzbrojonych, a nade wszystko wypoczętych i nakarmionych żołnierzy Klewcowa. Ten ostatni poprzednio pobił oddział Grelińskiego i pewny był, że taki sam los zgotuje Czachowskiemu, zwłaszcza przy pomocy trzech innych kolumn, dążących

¹⁾ Według A. Drążkiewicza l. c. 216, siłę tę składało:

4 kompanie strzelców (karabiny i dubeltówki) ludzi	500
3 kompanie kosynierów	280
1 szwadron jazdy	60
Sztab	24

Razem ludzi 864

do siebie szeroką obławą dla zduszenia oddziału powstańczego.

W chwili, gdy Czachowski maszerował z Ożarowa na Gliniany, korpusik Klewcowa znajdował się we wsi Borya, tak, że dowódca polski, posuwając się coraz dalej na południe, wpadał między trzy nieprzyjacielskie kolumny, mianowicie: Klewcową z Boryi, Niepienina, idącego z Zawichosta i Gesłowskiego z Sandomierza. Nic nie pozostało, jak uderzyć na najbliższego Klewcowa w Boryi, rozbić go lub obejść i tym sposobem wydobyć się ze śmiertelnej obławy. Jakoż tak zrobił i za radą Eminowicza przeprowadzając się na lewy brzeg Kamienny, zaczępiwszy częścią swych sił Klewcową w Boryi, z resztą oddziału obszedł go i od razu wysunął się z zamierzonego przez nieprzyjaciela otoczenia. Teraz mogła mu tylko zagrażać kolumna, idąca ze Słupi nowej, pod wodzą podpułkownika Nasiekina, bodaj czy nie najsilniejsza, bo złożona z trzech kompanii pułku Smoleńskiego piechoty, dragonów i kozaków, ale tę, forsownym marszem, wylotem ku północy, łatwo już było ominąć.

Czachowski, wymknąwszy się obławie szczęśliwie i połączwszy się w Bałtowie z Jankowskim, który nadciągnął tu z północy z puszczy Kozienieckiej, zatrzymał się na noc w lesistej miejscowości, zwanej Jeziorka, pewny, że Klewcow, maszerując do Ostrowca, tędy będzie przechodził i że łącznie nań będzie można wśród gęstego boru uczynić zasadzkę. Jakoż zaciętrzewiony dowódca rosyjski, choć w Boryi przez kilka godzin z rzędu trzymał się tylko obronnie, lubo miał do czynienia z częścią zaledwie sił powstańczych, nagle nabrał animuszu, i dowiedziawszy się nazajutrz rano d. 5 maja, że Czachowski zagłębił się w lasy w kierunku Ostrowca, przekonany, że potrzebuje go tylko dobić, puścił się za nim w pogoń i wpadł w przygotowaną pod Jeziorkami przez powstańców zasadzkę. Kompania strzelców polskich pod wodzą Rudowskiego zaatakowała śmiało nieprzyjaciela, szukającego osłony za sagami drzewa. W pierwszym tem starciu Klewcow, idący

na czele swoich, trafiony dwoma kulami w piersi, padł na miejscu, co oczywiście wywołać musiało pewne zamieszanie w szeregach jego podkomendnych, a gdy do ataku Rudowskiego przyłączyła się z drugiej strony kosynierka, ze strasznym brzękiem kos i okrzykiem „niech żyje Polska!“ uderzająca na wroga, ten zachwiał się i rzucił do ucieczki¹⁾. Ścigano go zawzięcie. Cofał on się gęstym lasem w kierunku Ostrowca, tracąc mnóstwo ludzi. Dragoni rosyjscy zeszli z koni i trzymając je za cugle postępowali razem z piechotą i koło godziny 3 po południu, kolumna Klewcowa, mocno przetrzebiona i zmęczona, przybyła do Ostrowca. Powstańcy zdobyli przeszło sto karabinów, wzięli do niewoli czterech dragonów i tabór nieprzyjacielski²⁾.

¹⁾ W zbiorach naszych posiadamy rękopiśmienną relację niejakiego Chądzyńskiego, który później był dowódcą powstańczym w Lubelskiem. Otóż o starciu pod Jeziorkami opowiada on, że kosynierzy zrazu nie chcieli iść do ataku, ale »zdarzyło się, że kawaleria powstańcza, myszując po lesie, natrafiła na furgony rosyjskie i takowe zabrała. Przyprowadzono je do kosynierów i okazało się, że napelnione są kilkuset sztukami kajdan. To wywołało taką wściekłość w kosynierach, że rzucili się na Moskali i straszną wśród nich rzeź zrobili. Zabitych obdzierali do naga i siekali na sztuki«.

²⁾ Czachowski, jak zwykle, okrutnie obszedł się z jeńcami i kazał ich rozstrzelać. Oto jak o tem opowiada świadek naoczny *A. Drążkiewicz* l. c. 223: »Pewien powstaniec oskarżył jednego z dragonów przed Czachowskim, że był takim naszym zawziętym wrogiem, że choć sam już był rannym, to jeszcze do naszych strzelał«. Oskarżenie to »tak rozgniewało naczelnika, iż siedząc na koniu porwał za rewolwer, krzyknąwszy strasznym głosem: wypchnąć go naprzód! A gdy to uczyniono i ten się naprzód potoczył, spuścił swój rewolwer i pałnął w łeb dragonowi, aż mózg wyskoczył mu z głowy«. »Czachowski, uniesiony, krzyknął powtórnie, wskazując na pozostałych trzech młodych i silnie zbudowanych, a po moskiewsku wciąż litości i darowania im życia błagających i przysięgających, że się z nami połączą, wiecznie Matce Polsce, jak się wysławiali, służyć będą. »Tych trzech rozstrzelać! Przywiązać ich twarz tam do drzew! i wskazać las na tyle frontu. Trzech z dubeltówkami niech tam idą i ich rozstrzelają!« Gdy powyższą komendę usłyszał, obróciłem się do frontu i słyszałem za sobą wciąż powtarzane błagania o życie jeńców, które przerwały dopiero strzały. Spojrzałem w tył, ujrzałem ciała ich (t. j. jeńców) zwisłe na przytrzymujących ich sznurach«.

Dalsze losy oddziału Czachowskiego nie przedstawiają szerszego interesu historycznego, dość będzie, gdy powiemy, że po rozbiciu Klewcowa, dowódca polski, wiedząc o maszerujących na niego Nasiekinie i Gesłowskim, zawrócił, przeszedł znowu rzekę Kamienną i w Bałtowie spotkał się z oddziałem Jankowskiego, i zaraz potem ruszył dalej ku północy i we wsi Jaworowie przyłączył do siebie rozbitków partyi Grelińskiego. Z Jaworowa posunął się na zachód ku Rzecznowu, mając na piętach swoich obie kolumny nieprzyjacielskie, Nasiekina i Gesłowskiego, którzy go nakoniec d. 6 maja doścignęli w rzecznej wiosce. Tu po mocnej, obustronnej strzelaninie, Jankowski, idący w awangardzie, zwyczajem często praktykowanym w tej wojnie, odłączył się od walczącego oddziału Czachowskiego i rzucił się w lasy Czerwonej Woli; partya zaś Czachowskiego poszła w rozsypkę. Wszyscy z oddziału Grelińskiego rozpierzchli się, również jak i batalion galicyjski, tak że zostali tylko »Puławiacy«, t. j. studenci z politechniki puławskiej, młodzież miejska i t. p.¹⁾. Z tą garstką, wynoszącą około 300 ludzi, Czachowski rozpoczął znowu swoje marsze i kontrmarsze między Wisłą, Zwoleńiem, Iłżą, Radomiem, Końskimi i Kielcami. W nieustan-

»Wiadomości z pola bitwy« Nr 12, twierdzą, że nieprzyjacieli oprócz Klewcowa stracił 3 oficerów i 90 żołnierzy; że w zabranych taborze, zgodnie z cytowaną relacją *Chądzyńskiego*, znaleziono kilkanaście sztuk kajdan. *Drążkiewicz* nie o kajdanach nie mówi, wspomina tylko, że na powózkach znaleziono 900 naboju karabinowych.

¹⁾ Tak opowiada *N. Berg*, III, 270. We wspomnianej już relacji *Chądzyńskiego*, który się znajdował w starciu pod Rzecznowem, spotykamy wiadomość, że Czachowski, wobec przeważnej siły nieprzyjacielskiej, postanowił oddział rozpuścić. »Jechał więc (opowiada *Chądzyński*) przed frontem oddziału na brudno-kasztanowatym koniu z białą grzywą i do każdego kapitana mówił: »Panie kapitanie, weź swą kompanię i idź do dyabła, gdzie cię oczy poniosą«. Cały oddział w ten sposób zniknął z przed oczów nieprzyjaciela«. *Drążkiewicz* (Wspomnienia 236—254) nie wie o tem rozdzieleniu partyi, ale może dla tego, że zostawiony w aryergardzie, bił się prawie do wieczora ze swą kompanią i dopiero w kilka dni potem połączył się z Czachowskim we wsi Wielgie pod Radomiem.

nym ruchu, w przesmykaniu się najniebezpieczniejszymi drogami po dość znacznych jeszcze wówczas lasach w Radomskim, Kieleckim i Opatowskim, dał on i jego oddział dowody wielkiej energii, wytrzymałości i poświęcenia. Wśród głodu i chłodu, bo choć wiosna tego roku była bardzo piękna, ale nocami chwytały dość silne przymrozki, odbywanie nieustannych i wytężonych marszów, bez spoczynku i wygod, sprowadzić musiało konieczne znużenie i wyczerpanie żołnierza. W tych marszach stoczył kilka utarczek, jak d. 29 maja pod Radzanowem niedaleko Białobrzegów, d. 6 czerwca pod wsią Bukownem w okolicach Przytyka ze znaczną kolumną, wysłaną z Radomia pod komendą pułkownika Bułatowicza; d. 8 czerwca pod Rusinowem niedaleko Przysuchy, d. 9 czerwca pod Rudą Przysuską, d. 10 czerwca pod Bobrzą w pobliżu Kiele. Wreszcie uparcie ścigany przez Ernrotha z Radomia i Czenigierego z Kiele, pobity pod Ratajami, rozpuścił swój oddział w lasach wąchockich. Żołnierze jego tak byli zmęczeni i wyczerpani, że o dalszych marszach i bojach myśleć nie można było, wódz zaś ich po rozpuszczeniu swej partyi udał się do Krakowa¹⁾, gdzie niebawem otrzymał w rozkazie dziennym Wydziału wojny uroczyste podziękowanie „w imieniu Ojczyzny i narodu“ za to, że „z pomiędzy wielu bohatersko pasujących się z wrogiem“, on i jego oddział potrafił się „wyróżnić długim przeciągiem nieustannych obrotów i ilością stoczonych potyczek, nieu-

¹⁾ Czachowski, rozpuszczając swój oddział, zapewniał, że wróci, ale że musi odpocząć, że jest stary i zmęczony. Tyłokrotnie cytowany przez nas *A. Drątkiewicz*, opowiada w swych „Wspomnieniach“ (295), że gdy raz w Hucie Przysuskiej kąpał się w tamtejszym stawie, przyszedł Czachowski i „gdy nademną do skakania w staw rozebrany stanął, nie dowierzając własnym oczom, aż wybiegłem na wierzch i sprawdziłem z bliska ślady pokąsania od nędzy, jaka w jego baranim kożusku zagnieżdżwszy się, ogryzała tego silnie zbudowanego starca“. Trzeba było w rzeczy samej nieclada hartu, zapалу i miłości tej nieszczęśliwej Polski, by znieść to wszystko. *Chądzyński* potwierdza tę wiadomość, mówiąc, że gdy Czachowski żegnał się ze swym oddziałem, to pokazał piersi czarne jak smoła i wyschnięte jak szczapa.

straszonem męstwem i wytrwałością“. To też pomimo klęski ostatniej, Wydział oświadcza mu, że się dobrze zasłużył Ojczyźnie¹⁾. W cztery miesiące potem, Czachowski na czele nowego oddziału późną już jesienią wkroczył do Królestwa, by pod Wierchowiskami położyć swą siwą głowę za Ojczyznę.

Śmierć znanego w Petersburgu Klewcowy i pobicie jego kolumny, w połączeniu z wieścią o straceniu Nikiforowa, z natury rzeczy musiała wywołać w sferach wojskowych i rządowych silne oburzenie. Ale takie upokarzające dla armii i uroku państwa rosyjskiego wiadomości, nie tylko z Sandomierskiego nadchodziły; nadbiegają one teraz i z innych części Królestwa i zwiększając grozę położenia, były wodą na młyn Samobytników. Niebawem po porażkach rosyjskich pod Stefankowem i w lasach Bałtowskich, nadbiegła wieść niemniej przykra dla sławy oręża rosyjskiego z okolic samego Radomia, gdzie był sztab dywizji, gdzie mieszkał burczymucha, głośny krzykała, ale zato słabej głowy, generał Uszakow.

W puszczy Kozienieckiej, prawie tuż pod bokiem Uszakowa, uwijał się na czele blisko sześciuset ludzi, znany nam już ze swego udziału w starciu pod Stefankowem, Władysław Kononowicz, noszący tytuł naczelnika powiatu Czerskiego. Był to jeden z tych dowódców, bardzo licznych niestety! w ostatnim powstaniu, który posiadał oddział nie na to, żeby się bić, ale żeby tylko istnieć i kraj objadać. Niegdyś oficer rosyjski, podpułkownik dymisyonowany, „Kaukazczyk“, jak nazywano u nas tych, którzy przeszli ciężką szkołę wojenną na Kaukazie, posiadał pewne wyrobienie wojskowe. Mianowany przez władze powstańcze, podobno wbrew własnej woli i chęci, naczelnikiem Czerskim, skorzystał umiejętnie z konfiguracyi terenu i rzadko ukazywał się w swoim powiecie, a natomiast stale przeby-

¹⁾ Czytaj „Rozkaz dzienny Wydziału Wojny Rządu Narodowego“ do wojsk narodowych z d. 3 lipca 1863 r. w książce „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego“ p. 10.

wał w kącie utworzonym przez Pilicę i Wisłę, a należącym już do województwa Sandomierskiego. Rozciągały się tu znaczne jeszcze lasy, blisko na 20 kilometrów kwadratowych, stanowiące niegdyś rozległą puszcę Kozieniecką, dające mu wyborne i ukryte schronienie. Zwłaszcza w lasach wsi Rożniszewa, leżących w samych widłach Pilicy i Wisły, wyszukał sobie tajemnicze i prawie nieprzystępne obozowisko, na kępie, otoczonej dokoła przepaścistymi trzęsawiskami, dość obszernej i posiadającej grunt suchy, lasem porosły. Jedyne do niej przystępy stanowiła wązka, wężykowata ścieżka, zawsze wodą pokryta, niewielu nawet tamtejszym mieszkańcom znana. Tutaj Kononowicz stale przesiadywał, tu się w razie niebezpieczeństwa chronił, wychylając się rzadko, po to tylko, aby napaść na rządowe magazyny solne w Magnuszewie, Ryczywole i sprzedawać je, w tymże celu wysuwając się niekiedy za Pilicę do Warki lub Nowego Miasta. Wzywany kilkakrotnie przez Czachowskiego, jako wojewodę Sandomierskiego, aby z nim się połączył dla wspólnego działania, raz tylko wziął udział w potyczce pod Stefankowem, i zawsze się tłumaczył, że jako należący do województwa Mazowieckiego, nie może i nie powinien zadość czynić żądaniom i rozkazom nie swojego zwierzchnika. Nie pierwszy raz on tak postąpił. Już przedtem, gdy Drewnowski bił się pod Ulowem, Kononowicz choć stał w pobliżu, pomocy mu nie dał, rozbitkom, chroniącym się do niego, pokarmu nawet odmówił. Teraz, gdy Czachowski po Rzeczniońskiej porażce, wymykając się ścigającym go uparcie oddziałom nieprzyjacielskim, zaszedł aż w te strony i zażądał, ażeby Kononowicz z nim się połączył, ten odrzekł: „że jeżeli partya Czachowskiego czuje się osłabioną i znużoną odbytemi bitwami i marszami, oraz zagrożoną przewagą postępującego za nią nieprzyjaciela, to niech stanie w puszczy tej (Kozienieckiej) obozem, a on, Kononowicz, mając obecnie przeszło tysiąc ludzi pod bronią, weźmie ją pod swoją opiekę i obstawi tak swemi widetami i czatami, że pod ich osłoną, będzie mógł dłuższy czas odpocząć i zorgani-

zować się. O połączeniu zaś dla wspólnego działania mowy być nie może“. Odpowiedź ta tak rozniewała sangwiniźnego starca, że wyruszył w szyku bojowym przeciw „temu łotrowi“, jak nazwał w krewkiem uniesieniu Kononowicza; ale ten nie czekając usunął się w głąb puszczy ku Kozienicom, i Czachowski zagrożony pościgiem rosyjskim, musiał odłożyć zemstę na później i jak najprędzej się stąd wynosić.

W tej porze, w pierwszych dniach czerwca, Kononowicz w rzeczy samej miał pod swoją komendą około tysiąca ludzi. Właściwie w oddziale swoim liczył on blisko 600 bagnietów, kos i szabel, ale połączył się z nim teraz Jankowski, który szukając schronienia przed naciskiem nieprzyjaciela, przeszedł tu z za Wisły. W oddziale Kononowicza, który był człowiekiem słabego charakteru, działy się różne nadużycia, oficerowie byli źle dobrani, tak że aż skargi szły na nich do Warszawy, żołnierze niekarni i rozpuszczeni¹⁾. Mimo to stoczyli oni parę dość szczęśliwych utarczek, ale to ciągle przebywanie w okolicach Radomia, te kilkakrotnie powtarzające się sprzedaże soli po miasteczkach okolicznych, zniecierpliwiły nakoniec Uszakowa i postanowił on zrobić walną wyprawę na Kononowicza. W tym celu w d. 13 maja wysłał cztery kompanie piechoty (jedną saperów i trzy pułku liniowego Mohilewskiego), pół szwadronu dragonów i odpowiednią ilość kozaków, pod wodzą pułkownika sztabu jeneralnego, znanego nam już Ernrotha, także „Kaukazczyka“ i podobno dawnego znajomego Kononowicza, tego samego Ernrotha, który z czasem miał zostać ministrem wojny w oswobodzonej Bułgarii. Dowódca rosyjski dowiedział się od soł-

¹⁾ »Rząd Narodowy (pisze A. Giller w przypisku do pamiętników ks. Szulca — Polska w walce I, 133), mając sobie doniesieniem o podobnych nadużyciach, wysłał obywatela Stanisława Jarmunda, w charakterze komisarza nadzwyczajnego, na śledztwo do obozu, lecz Kononowicz winnych oficerów oddalił, a później znowu przyjął. Zanim zaś nowe śledztwo zarządzić zdołano, już tymczasem Kononowicz rozbili Moskale i rozstrzelali w Warce, d. 4 czerwca 1863 r.«

tysa z Jedlni, siwowłosego starca, o obozowisku powstańców na kępie w lesie Rożniszewskim, a co większa sołtys ten za 1000 złp. zobowiązał się doprowadzić Rosyan do owej kępy¹⁾. Ale Kononowicz, uprzedzony o wyprawie Ernrotha, a może i o zdradzie sołtysa, wyruszył z owej kępy i skierował się ku Rożniszewu, widocznie w zamiarze przeprawy się za Pilicę i uniknięcia tym sposobem, jak to już nieraz czynił, starcia z nieprzyjacielem. Ten jednak, zniszczywszy pozostawione przez powstańców na kępie szałas, puścił się w pogoń za Kononowiczem i dopadł go w chwili, gdy ten zabierał się do przeprawy przez Pilicę. Oczywiście wobec nieprzyjaciela depeczęcego po piętach, przeprawa się nie udała, zwłaszcza, że jedna kompania piechoty rosyjskiej zdołała zabiedz powstańcom od strony Pilicy i część ich zabrać do niewoli. Kononowicz po krótkiej strzelaninie cofnął się z powrotem w kierunku Cychrowskiej Woli.

Ernroth, zadowolony z łatwego zwycięstwa, ścigał jakiś czas ustępujących powstrącnów, wreszcie zatrzymał się na polanie leśnej i nie rozstawiwszy pikiet, począł liczyć jeńców, których spodziewał się w tryumfie poprowadzić do Radomia. Nagle, las zabrzmiął donośnym okrzykiem Polaków, którzy ze wszech stron rzucili się na nie spodziewających się niczego Rosyan. Całą kolumną Ernrotha od razu owładnęła zupełna panika i wszystko rzuciło się do ucieczki, tak że ledwie przy pomocy kozaków, którzy uciekających rąbali pałaszami, zdołał Ernroth powstrzymać ten popłoch i jaki taki ład w szeregach zaprowadzić, ale o dalszej walce z Kononowiczem nie było co myśleć i wyprawa bez tryumfu i bez chwały, owszem ze wstydem, wróciła do Radomia²⁾.

¹⁾ Czachowski w parę tygodni potem, znalazłszy się w tych stronach, sołtysa owego powiesić kazał. (Czytaj *Drątkiewicza* l. c. 334).

²⁾ Szczegóły te podaje *N. Berg* III, 271, a miał je od samego Ernrotha, który dziwił się, że go wtedy powstańcy nie wzięli do niewoli. W polskich relacjach starcie to przedstawione jest dość mętnie i nazwane jest »bitwą pod Magnuszewem«, która jakoby odbyła się

Wiadomość o tak haniebnym rozsypaniu znacznej, bo około 900 ludzi liczącej kolumny rosyjskiej, wobec takiejże siły powstańczej, mimo, że w raportach urzędowych głoszono o „dwukrotnej porażce band Kononowicza“, musiała wywołać oburzenie i chęć koniecznego zniesienia do cna zuchwałego wodza powstańczego. Z Warszawy wyszły odpowiednie rozkazy; wysłano stamtąd d. 30 maja trzy kolumny, z których dwie składały się z pięciu kompanii pułku Litewskiego gwardyi, tyłuż kompanii grenadierów Kijowskich, dwu szwadronów huzarów Grodzieńskich, dwu setek kozaków i czterech dział artylerii konnej gwardyackiej, czyli około 2000 bagnatów i szabel, pod ogólnem dowództwem jenerała-majora Meller Zakomelskiego. Obie te kolumny, każda z nich pojedynczo wzięta, silniejsza od połączonych oddziałów Kononowicza i Jankowskiego, miały maszerować ku Warce, jedna przez Grójec, druga przez Górę Kalwaryę na Mniszew, przejść tam Pilicę i zagrozić tym sposobem powstańcom możliwość przerzucenia się przez tę rzekę. Trzecią kolumnę stanowiły trzy kompanie pułku Wołyńskiego gwardyi z 50 kozakami, która miała maszerować szosą do Białobrzeg, tam zwrócić się na lewo i strzedz wszystkich przepraw przez Pilicę. Takie siły zagrażały Kononowiczowi od północy.

Od południa wyruszył z Radomia ten sam pułkownik

nie d. 14 ale d. 4 maja. Prawdopodobnie wzięto datę starego stylu i do tego błędnie. Raport Ernrotha, wydrukowany w »Żurnale wojennych dziejstw«, a z niego we wszystkich ówczesnych gazetach, jest jeszcze баламутniejszy i pelen przechwałek. Powiada on, że »powstańcy ponieśli dwukrotną porażkę«, że »strata buntowników w obu tych potyczkach była bardzo, jak się zdaje, znaczna«, że »spotykano ich rannych we wszystkich wsiach sąsiednich«, że »w Warce znaleziono 28 rannych«, że do niewoli wzięto dwu, że ze strony rosyjskiej zabito 14, a raniono 19, że Ernroth przez dzień 15 do 17 maja zbadał lasy między Warką a wsiami Stronieć, Boże i Białogóry i »band nigdzie nie spotykał«. Samo wyliczenie swych strat (14 zabitych) i to wówczas, gdy zawsze ginał jeden kozak, a jeden żołnierz »przepadał bez wieści«, świadczy o ciężkiej i wstydlivej porażce Ernrotha.

Ernroth, który przed paru tygodniami z takim wstydem zakończył swą wyprawę przeciw Kononowiczowi. Miał on pod swoją komendą sześć kompanii pułku Mohilewskiego piechoty, dwa szwadrony dragonów Jekaterynosławskich i dwa działa. Kolumna ta, wynosząca przeszło tysiąc ludzi obojej broni, miała utworzyć ostatni bok żywego wielokąta, który ścieśniając się coraz bardziej, winien był swym dośrodkowym ruchem zdusić Kononowicza i jego oddział w widłach Pilicy i Wisły. Dowódca polski wiedział o zbliżającej się burzy i jak zwykle starał się ukryć w lasach Rożniszewskich, ale tu wytropiony d. 1 czerwca przez setkę kozaków, po krótkiej z nimi strzelaninie, cofnął się w głąb tychże lasów z dręczącym pytaniem: co robić? O stawieniu czoła przemagającym siłom, nie mogło być mowy, a że teraz zakradać się począł między dowódców powstańczych zgubny zwyczaj rozpuszczania w razie niebezpieczeństwa oddziałów, zwyczaj, który niebawem za przykładem Czachowskiego, Oksińskiego i innych wszedł w powszechną praktykę, więc Kononowicz postanowił także chwycić się tego rozpaczliwego środka i oddział rozpuścić. Otóż mimowoli powstaje pytanie, czy istotnie nie było już nic innego do zrobienia? Pomijając już to, że na wojnie, tak samo jak w życiu, nigdy nie należy tracić nadziei, gdyż zawsze zdarzyć się może taka szczęśliwa okoliczność, która z najrozpaczliwszego położenia wybawić potrafi, pozostawała jeszcze próba przebicia się przez maszerujące kolumny nieprzyjacielskie albo siłą, albo przez obejście skrzydłowe ktorejkolwiek z nich. Że było to możliwe, dowodzi ten fakt, że Jankowski nie zgodził się na rozpuszczenie oddziału, ale korzystając z leśnego terenu tej okolicy, rzucił się forsownym marszem na południe, przemknął się obok Ernrotha i dopadłszy puszczy Ilżeckiej, wyszedł z rejonu oblavy rosyjskiej, i połączył się, jakśmy to wyżej powiedzieli, z Czachowskim w Bałtowie nad rzeką Kamienną w Sandomierskiem. Skoro więc Jankowski potrafił się wysunąć cało i szczęśliwie z śmiertelnego uścisku nieprzyjaciela, to dla czegożby nie miało się

to udać Kononowiczowi? Przypuszczając nawet, że było to możliwem dla jakichś czterystu ludzi Jankowskiego, a o wiele trudniejszym dla połączonych obu oddziałów, dosiegających tysiąca, to pozostawała jeszcze jedna droga ratunku, to jest przerzucenie się na prawy brzeg Wisły, gdzie w tej chwili nie groziło żadne poważniejsze niebezpieczeństwo. Bądź co bądź, czy tak czy owak, obowiązkiem Kononowicza było wszystko zrobić, co było w mocy ludzkiej, by oddział ocalić. Niestety! był on zniechęcony, dowództwo przyjął niechętnie i podobno pod zagrożeniem śmiercią, z tym z góry powziętym zamiarem, aby jak najprędzej pozbyć się niebezpiecznego zaszczytu, i dlatego chwycił się najłatwiejszego środka tj. rozpuszczenia oddziału. Tego samego d. 1 czerwca, w którym strzelał się z kozakami, wieczorem kazał broń zakopać w lesie, żołnierzom polecił się ratować jak który może, a sam przebrawszy się w suknie cywilne, z trzema adjutantami: Komornickim, Sadowskim i Łabęckim, siadł na wózek i puścił się samotrzeć ku Jedlni. Zmęczony podróżą po wertepach leśnych, zatrzymał się z Sadowskim i Łabęckim we wsi Zawadach, we dworze, dla odpoczynku; Komornicki zaś ukrył się w boru u jakiegoś żyda. O świcie, śpiących we dworze zbudzono z wiadomością, że „Moskale idą!“ Kononowicz i jego dwaj adjutanci wyskoczyli przerażeni z łóżek i tak, jak spali, w białiznie, skoczyli na bryczkę i popędzili do lasu. Ale tu na nieszczęście natknęli się na dragonów kolumny Ernrotha, którzy poprowadzeni przez jakiegoś zdrajcę gajowego, zdołali już zarębać nieszczęśliwego Komornickiego, a Kononowicza z adjutantami żywcem schwytali. Odstawiono ich do Meller-Zakomelskiego, gdzie starzy żołnierze pułku litewskiego gwardyi, niegdyś służący na Kaukazie, poznali w osobie Kononowicza swego dawnego i bardzo lubianego komendanta. Widząc, co go czeka, poczęli się nad nim użalać, niektórzy pytali: „Czy nie trzeba wam czego *Wasze błagorodic?*“ „Przedewszystkiem nakryjcie mię *rebiata szynclami*, lub czemkolwiek, bo mi zimno“. Zadość uczyniono tej prośbie i całe gromadki

żołnierzy stały smutno przy bryczce. Jeńców przewieziono do Warki i tu Meller-Zakomelski złożył sąd wojenny, który wszystkich trzech skazał na rozstrzelanie. Nazajutrz, d. 4 czerwca, w sam dzień Bożego Ciała, wyrok ten został wykonany. Wskutek zdrady ludu miejscowego, Rosyanie zdołali wykryć miejsce, w którym broń powstańcy zakopali, i tym sposobem zabrano sto strzelb i karabinów, 300 kos, oraz całą korespondencję Kononowicza¹⁾, przez co wiele osób w okolicy zostało skompromitowanych. Z rozpuszczonego oddziału, wyprawa Meller-Zakomelskiego i Ernrotha zdołała zaledwie schwycić 30 ludzi i kilkadziesiąt koni, co dowodzi, że powstańcy, dzięki ogromnym lasom umieli się ukrywać, a może nieprzyjaciół szukać nie potrafił. Między jeńcami znalazł się kapelan oddziału, ks. Agrypin Konarski, którego śmierć tragiczną na szubienicy, wyżej już opowiedzieliśmy.

Jakkolwiek rozproszenie oddziału Kononowicza i rozstrzelanie tegoż w Warce, do pewnego stopnia wynagradzało pierwotną sromotną ucieczkę kolumny Ernrotha z pod Rożniszewa, wszelako nie mogło zatrzeć zupełnie jej rozgłosu, zwłaszcza, że prasa zagraniczna, nieprzyjazna Rosyi, rozdmuchiwała ten fakt do niezwykłych rozmiarów. Jużcie niesłychaną i hańbiącą było rzeczą, ażeby żołnierz regularny, wypoczęty, dobrze uzbrojony, pierzchnął przed powstańcami, wcale odeń, albo przynajmniej nie o wiele silniejszymi. Lecz nie był to pierwszy fakt tego rodzaju. Już poprzednio z Kujaw o takich lub podobnych wypadkach gazety donosiły, a szerokiego, europejskiego rozgłosu nabyło wyparcie przez powstańców za granicę pruską kolumny rosyjskiej, dowodzonej przez majora Nelidowa.

Na Kujawach, powstanie po rozbiciu Mieleckiego pod Bieniszewem²⁾, i przerzuceniu go za granicę pruską, zapanowała zupełna prawie cisza. Naczelnik wojenny kaliski, generał Brunner polecił podwładnym sobie komendantom

¹⁾ Żurnal wojennych dziejstw Nr 24.

²⁾ Patrz Tom II, 253.

wysyłać na wszystkie strony liczne podjazdy kawaleryjskie, które miały rozkaz przebiegania kraju, wywiadywania się o nowo formujących się oddziałach powstańczych i nawet rozbijania ich, jeżeliby to okazało się możliwem. Ale takie oddziały nie tworzyły się wcale; nie było już żywołów potemu i gdyby nie Zabór pruski, powstanie w Kujawach z klęską Bieniszewską byłoby się jeżeli nie zakończyło, bo w tej chwili było to niemożliwem, to przynajmniej nie odegrałoby takiej wybitnej roli, jaka w rzeczy samej na jego dolę przypadła. W Poznaniu, Komitet Działyńskiego wyteęzał wszystkie siły, by rzuceniem na Kujawy doraźnej pomocy w formie dobrze uzbrojonego oddziału, wojnę gasnącą na nowo tam ożywić. Nie łatwą to było rzeczą wobec czujności nadzwyczajnej władz pruskich. W Poznaniu wzmocniono strażę na odwachach, w fortach pozaciągano działa na wałach, a załozde rozdano ostre ładunki. Mówiliśmy już we właściwem miejscu o obsadzeniu całego kordonu granicznego przez wojsko w potrójnej linii. Naczelnik komendant czterech korpusów (poznański, śląski, pomorski i królewiecki), generał Werder, założył główną swą kwaterę w Poznaniu, a przy nim znajdował się pełnomocnik rosyjski, pułkownik Reuter. Wydano zakaz wywożenia broni i amunicji do Królestwa, a policja i żandarmerya miała baczne oko na wszystko, aresztowała za najmniejszym podejrzeniem, dokonywała rewizji po domach, jednym słowem, Księstwo było w stanie oblężenia faktycznego lubo nieopublikowanego i rząd pruski okazywał na każdym kroku pomoc i sympatię dla Rosyi.

Mimo to w tej części kraju polskiego ożywienie było wielkie, chęć niesienia pomocy braciom, walczącym za kordonem, gorąca, nieosłabiona wcale niefortunna, poza plecami komitetu poznańskiego wykonaną, wyprawą Garczyńskiego, zakończoną tak nieszczęśliwie klęską Bieniszewską i Mieczownicką. Ochotników nie brakowało i można było z nich wcale tęgi utworzyć korpusik, ale niedostawało oficerów, którzyby ich poprowadzić mogli, broni

i pieniędzy. Zaczny Jan hr. Działyński pożyczył na hipotekę dóbr swoich, milion złp., Raczynski dał 500.000, ze składek wpłynęło około stu tysięcy, i za tę półtoramilionową sumę, zbyt małą wobec wielkości przedsięwzięcia, zaczęto zakupywać broń w Królewcu, Berlinie, Wrocławiu, gdzie wreszcie można było, i zabrano się do organizowania zbrojnej pomocy powstaniu. Co do dowódców, powtarzamy, tych brak był wielki. Na razie miano Mieleckiego, który po rozbiciu pod Bieniszewem, schronił się do Księstwa i siedział nieczynny we wsi Leśniewie, ale choć był to człowiek wielkiej uczciwości i wielkiego patriotyzmu, przecież wiadano, że na sztuce wojskowej się nie zna. W braku jednak innych, zdutniejszych ludzi, zwróccono się do niego z propozycją objęcia dowództwa nad oddziałem uformowanym i uzbrojonym w Księstwie. Mielecki jednak wahał się długo, naradzał, wreszcie przyjął ofiarowane mu dowództwo, ale pod dwoma warunkami: że mu Komitet dostawi zdolnego oficera na szefa sztabu, że mu w przeciągu ośmiu dni oddział sformuje. Było to zadanie niełatwe; mimo to przyrzeczono mu za dziesięć dni usztyftować oddział i liczono na to, że przez ten czas przybędą z Francji zamówieni oficerowie i że między nimi znajdzie się taki, który szefostwo sztabu będzie mógł objąć.

Oficerów tych w rzeczy samej spodziewano się lada chwila. Wysyłką ich na żądanie Komitetu poznańskiego i, jak się zdaje, kosztem ofiarnego Jana Działyńskiego, zajmował się ks. Władysław Czartoryski w Paryżu ¹⁾, oraz

¹⁾ »Książę Władysław, o ile można, będzie panu dalej wysyłać ludzi«, pisze niejaki Plichta do hr. Działyńskiego z Paryża d. 16 kwietnia 1863 r. (Anklage-Schrift des Oberstaatsanwalts bei dem königlichen Kammergerichte, gegen die Betheiligten bei dem Unternehmen, welches darauf absieht, zur Wiederherstellung einer polnischen Staats in den Grenzen desselben vor dem Jahre 1772, einen Theil des Preussischen Staats vom Ganzen loszureisen — wegen Hochverraths, Nr. p. 2). Pismo to przytacza wyjątki z innych listów w tej sprawie, zwłaszcza pani Zamoyskiej do Działyńskiego. Policja pruska schwyciła całą tę korespondencję w czasie rewizji u Działyńskiego.

siostra Działyńskiego, zamężna za generałem Władysławem Zamoyskim. Wysłali oni między innymi podpułkownika, wicehrabiego de Noë, o którym jednak donosiła pani Zamoyska, że „ma słabą głowę“; podpułkownika (*sergeants-majors*) Leona Younga de Blankenheim; niejakiego Emila Faucheux i Rocheblave'a ¹⁾. Miano przysłać więcej, zwłaszcza podoficerów, i pani Zamoyska starała się o to, zgodziła się nawet na ich żądanie płacenia im dziennie po 8 do 10 franków, a na pewnoś złożyła u bankiera 5600 franków. W ogólności miało przybyć pięćdziesięciu Francuzów do Poznania, ale, jak się zdaje, nie wiele oni byli warci i nie wszyscy wzięli udział w wojnie, a z tych, którzy puścili się na plac boju, jeden Young de Blankenheim zyskał imię historyczne i godnie reprezentował waleczność i bitność francuską.

Nim jednak oficerowie ci przybyli, nim sformowano dla nich odpowiednie korpusiki, drobne oddziały, nie czekając na nie, przekradały się do Królestwa, gnane żądzą niesienia pomocy powstaniu. Między innymi przedostał się do Królestwa pod Gorazdowem, na czele trzydziestu ludzi, Edmund Callier, oficer dzielny i znający wojnę. Pochodził on z rodziny hugonockiej francuskiej, wygnanej z ojczyzny za Ludwika XIV, osiadłej w Polsce i tu, przez ciąg paru wieków zupełnie spolonizowanej i bardzo patrioty-

¹⁾ O Rocheblavie donosił w kwietniu Komitetowi Wielkopolskiemu jeden z jego członków (Wolniewicz), że się gdzieś ukrył, że obiega wieść, jakoby uciekł z 700 talarami, które mu dano na potrzeby mającego się pod jego dowództwem formować oddziału. (Anklage-Schrift p. 36). Czy to prawda, nie wiemy, to tylko pewna, że o Francuzie tym w powstaniu slychać nie było. W ogólności, powtarzamy, większość przybyłych Francuzów zakrawała na kondotyerów i awanturników. Podpułkownik de Noë był już starcem i jak zapewnia *A. Guttry* (Pamiętniki II, 139), przybył on do Polski raczej dla opiekowania się Youngiem de Blankenheim, niż dla wojowania z Rosyanami. Czterej znowu podoficerowie, oprócz Faucheux'go, który był czynny, „mieli (jak tenże pamiętnikarz twierdzi) przesadzone pretensye do naczelných komend, a w rzeczy samej mieli więcej ochoty do kieliszka jak do boju«.

cznej. Służył on w wojsku pruskim, potem w legii zagranicznej w Algierze, brał czynny udział w kampanii krymskiej. Porzuciwszy wreszcie wojsko, powrócił do kraju i poświęcił się nauczaniu języków po zakładach żeńskich. Na tem stanowisku zastało go powstanie, i jakieśmy powieździeli, nie czekając na powoli organizujące się wyprawy, z garstką ludzi przeszedł granicę pod Gorazdowem. W ciągu kilku dni oddziałek ten wzrósł do liczby 85 ochotników, a niebawem Callier otrzymał wezwanie od Mielęckiego, jako naczelnika sił zbrojnych województwa Mazowieckiego i Kaliskiego, ażeby się z nim połączył.

Mielęcki także nie czekał na mający się dlań usztyfować oddział w Ks. Poznańskim, ani na przyobiecane mu szefa sztabu, ale na czele kilkunastu jeźdźców przekroczył granicę¹⁾. Połączenie się z Callierem nastąpiło w lasach Kazimierskich, gdzie Mielęcki obozował w pobliżu jeziora Gosławskiego. Powoli oddział wzrastał w siły przez napływ ochotników, tak że w ostatnich dniach marca liczył około 500 ludzi²⁾. Callier objął komendę nad całą piechotą. Druga ta kampania Mielęckiego nie długo jednak trwała. Władze rosyjskie miały niektóre wiadomości, acz bardzo niedokładne, o pobycie jakiejś party w lasach Kazimierskich. Naczelnik wojenny kaliski, pod którego zarząd wchodziła część Kujaw pod nazwą „oddziału drogi żelaznej Warszawsko-Bydgoskiej“, obejmującego powiaty Włocławski i Gostyniński, znany nam już ze swego tchó-

¹⁾ *A. Guttry*, który przez jakiś czas miał być takim szefem sztabu u Mielęckiego, utrzymuje (Pamiętniki II, 137), że ten ostatni wszedł do Królestwa na czele 28 ludzi. *E. Callier*, „Trzy ustępy z powstania“ p. 6, twierdzi, że Mielęckiego oddział „z kilkunastu tylko składał się jeźdźców“. Ponieważ Callier na własne oczy oglądał partyę Mielęckiego, więc poszliśmy za jego podaniem.

²⁾ Siła ta, według *E. Calliera* (l. c. p. 8) składała się:

z 2 kompanii strzelców . .	209
1 kompanii kosynierów .	144
jazdy	100
oficerowie i sztab	42
Razem	495

rzostwa i okrucieństwa, niemiecki *Raubritter*, generał Brunner, zdecydował się więc na wysłanie kolumny wojskowej, któraby przetrząsnęła okolice Gorazdowa i Pyzdr, i wkońcu taką zajęła pozycję między Chodczem, Skulskiem i Kołem, ażeby mieć pod swym nadzorem kordon pograniczny. W celu wykonania tego planu postanowiono, ażeby z Koni wystąpiła kolumna, złożona z trzech kompanii piechoty (dwie kompanie pułku Szliselburskiego i jedna Ołonieckiego), szwadronu huzarów i 15 kozaków, licząca ogółem około 600 bagnietów i szabel. Dowództwo nad tą wyprawą powierzył Brunner fligieladjutantowi cesarskiemu, księciu Emilowi Sayn-Wittgenstein-Berleburgowi, który niedawno przybył do Włocławka. Wspomnieliśmy już gdzieindziej, że był to człowiek lichy, hulaka i kobieciarz, o głowie słabej i ograniczonej, a pełnej, jak u wszystkich ludzi próżnych i pustych, zarozumiałości o sobie¹⁾. Szedł on wzdłuż granicy ku Pyzdom i oczywiście w tych stroinach nie znalazł nigdzie powstańców, gdyż ci, jak wiadomo, ścigali już do Mielęckiego w lasach Kazimierskich. W Pyzdrach jednak otrzymał o tem stanowisku po-

¹⁾ O jego niskim stanie umysłu i plotkarskiej łatwowierności, świadczy fakt następujący: Gdy wyruszył na swą wyprawę i przybył d. 19 marca do Pyzdr, nie miał nic pilniejszego, jak wysłać kompanię piechoty i szwadron huzarów do klasztoru niegdyś Cystersów, a potem Kapucynów w Łądzie, „który, jak powiadają (sam pisze w swych *„Souvenirs et correspondences“* II, 40), ma trzy piętra pod ziemią i jest prawdziwym labiryntem. Zaleciłm oficerowi, który tą wyprawą dowodził, żeby tam nie wchodził bez latarni w obawie wybuchu; żeby nie zostawiał nigdy mniej jak trzech ludzi razem; żeby kredą lub węglem znaczył drogę zbadaną w podziemiach; żeby badał mury, posadzki, drzwi; żeby postawił straż przy studni, żeby jej mnichy nie zatruli; żeby ojców zamknął w jednej izbie i żeby mu ich przyprowadził wszystkich, zostawiając w klasztorze zaledwie kilku braciszków, w razie, jeżeli znajdzie większe pieniądze lub broń ukrytą. Jest pewność, że Łąd jest głównym arsenałem powstania i że od lat 30 chowają tam broń i amunicję, pochodzącą jeszcze z doby powstania 1830 r., ale trudno ją znaleźć“. Oczywiście wszystko to okazało się bajką, ale cóż powiedzieć o człowieku, który takim bredniom wierzył.

wstańców pierwsze wiadomości, i, jak sam powiada w swym raporcie urzędowym, zamierzał „zgodnie z rozkazem Brunnera operować od strony Słupcy wzdłuż granicy“, gdy otrzymał wiadomość od pułkownika Helfreicha, konsystującego w Koninie, że powstańcy w wielkiej sile zamierzają atakować to miasto. Ruszył więc ku Koninowi, a gdy się przekonał, że zapowiadany atak jest zwyczajną plotką, pomaszerował do Kazimierza. Tu dowiedział się od chłopów, że Mielęcki obozuje w pobliżu Kleczewa i że liczy od 5 do 6 tysięcy ludzi. To zaniepokoiło nieco bohaterskiego wodza rosyjskiego; puścił się wprawdzie ku Kleczewowi, ale szedł z widoczną obawą, nadzwyczaj ostrożnie; tymczasem ostrożność ta była zupełnie zbyteczną, bo naprzód sam Wittgenstein, pomijając już wyższość uzbrojenia i wyćwiczenia, był silniejszy od Mielęckiego (ten miał 500, a Wittgenstein przeszło 600 ludzi), a następnie niefortunny komendant rosyjski wiedział o tem, że z Włocławka wyruszyła mu na pomoc nowa kolumna pod wodzą majora Nelidowa, złożona z dwu kompanii piechoty i 50 kozaków i idąc przez Sompolno do Slesina, miała tu stanąć d. 22 marca, t. j. nazajutrz. Wittgenstein w raporcie swoim powiada, że po drodze ku Kleczewowi „żołnierze ciągle znajdowali kule stożkowe, naboje rewolwerowe i t. p.“, że „schwytano powstańca na wózku z pałaszem pod słomą i ten poprowadził Rosyan do obozu, który opuszczono nagle“, że wreszcie w Kleczewie stracił ślad powstańców i zawrócił do Kazimierza, gdzie zanocewał bardzo znużony ¹⁾.

¹⁾ W książce *T. Żychlińskiego: Wspomnienia z r. 1863*, p. III, niejaki Józef Szmyt, który był w oddziale Mielęckiego, opowiada, że Mielęcki, dowiedziawszy się o marszu Wittgensteina, „aby w błąd wprowadzić wroga, rozkazał rozpaść ogniska obozowe na szerszej przestrzeni; powierzył nad nimi straż kilkunastu kosynierom, którzy coraz świeższych polan dokładali do ognik, a potem po spaleniu zapasu, cofnęli się za oddziałem, który tymczasem cichaczem na całą noc wyruszył w stronę przeciwną, nie opuszczając wszakże rozległych lasów Kazimierskich, na których krańcu stanął“.

Tymczasem Mielęcki, ostrzeżony o wyprawie rosyjskiej, w rzeczy samej z lasów pod Kazimierzem wyruszył w kierunku Kleczewa, ale nie dochodząc do tego miasta zawrócił na prawo i idąc ciągle lasami, rozbił obóz w boru w pobliżu wsi Pątnowa, niedaleko jeziora Gosławskiego, tak że oddalony był od nocującego w Kazimierzu Wittgensteina, o cztery niespełna kilometry. Nie przypuszczał zapewne, że ten ostatni z Kleczewa wróci do Kazimierza, gdy się jednak późno w nocy z d. 21 na 22 marca dowiedział o tem, zerwał się około godz. 3 rano i puścił się w pochód wylotem ku Kazimierzowi, zamierzając prawdopodobnie albo napaść z nienacka na Wittgensteina ¹⁾, albo też, co jest prawdopodobniejszem, obejść go i dwu rosyjskim kolumnom, ścigającym go (Nelidowa i Wittgensteina), wymknąć się zupełnie. Zaszła atoli okoliczność, która plan ten zniweczyła.

U Wittgensteina bowiem, odpoczywającego ciężko w Kazimierzu, zjawił się koło godz. 2 w nocy, jakiś młody zbieg z obozu polskiego, uwiadomił gdzie się ten obóz znajduje i ofiarował się doń wojsko rosyjskie doprowadzić. Wittgenstein zapewne w przypuszczeniu, że uda mu się niespodzianie napaść na powstańców, zbudził swoich i o godz. 3 rano pod przewodnictwem zdrajcy, wyruszył, zachowując możliwe ostrożności, najsurowiej zakazując wszelkich rozmów i palenia tytoniu w szeregach. Tym sposobem obie kolumny, rosyjska i polska, maszerując naprzeciw siebie, musiały się z konieczności spotkać ze sobą.

Jakoż, koło godz. 4 rano, wśród nocy ciemnej, w chwili, gdy wkroczone na wąską groblę, mostkami poprzecinaną, 200 kroków długości, a 10 szerokości mającą, z obu stron, szeroko teraz na wiosnę rozlanym strumieniem, odgraniczoną, spotkanie to nastąpiło. Miejscowość była z natury dość obronna. Przed i za groblą roztaczał się las, a obok wznosił się obszerny tartak i zabudowania,

¹⁾ Tak utrzymuje *Żychliński* l. c. 100.

zwane Olszową¹⁾. Oddział polski przeszedł już groblę i wkraczał swą szpicą w przeciwległy las, a raczej szeregi krzaków olszowych, gdy natknął się na nieprzyjaciela i przywitany nieporządną palbą, w popłochu cofać się począł za groblę. Za ustępującymi powstańcami cała piechota rosyjska rzuciła się bezładnie naprzód, zajęła tartak i zabudowania koło niego. Świt się już robił i dzielny Callier zdołał wstrzymać uciekających powstańców, obsadził strzelcami krawędź lasu i rozpoczął się obustronny gęsty ogień. Los potyczki zależał oczywiście od wyrzucenia nieprzyjaciela z tartaku, wyparcia go z powrotem za groblę i niepuszczania go przez nią. Jakoż udało się to Callierowi; kompanie rosyjskie opuściły tartak, przeszły za groblę, i tam, rozrzucone w tyraliery, utrzymywały ogień, trwający cztery godziny z rzędu²⁾. Wreszcie, Wittgenstein,

¹⁾ Różne nazwy nadają tej potyczce. *Callier* l. c. 10 nazywa ją nieco przesadnie »bitwa pod Tartakiem«; *Żychliński* l. c. 33 i 114, raz »pod Olszową«, to znów »Olszakiem«. Właściwie tartak nosił nazwę »Olszowy« i dlatego spotkaniu temu takie dajemy miano.

²⁾ Z relacji, jakie posiadamy o tej potyczce, trudno dziś dociec, czy Wittgenstein dobrowolnie opuścił zabudowania tartaku i groblę, czy też zmuszony do tego przez powstańców. W swym raporcie urzędowym opowiada on, że »utrzymanie tej pozycji było niemożliwe i zdolawszy z wielkim trudem zgromadzić pluton 3-ej kompanii Szliselburskiej, poleciłem kapitanowi Strandmannowi ustawić ją za nami na skraju lasu, któryśmy przeszli, dla osłonięcia naszego odwrotu przez groblę. Rozkaz ten wykonano, cofnąłem się więc pędem i rozrzuciłem wzdłuż jeziora (?) silny łańcuch tyralierów, który bardzo żywym ogniem powstrzymał nieprzyjaciela od pościgu«. Z tego wynika, że cofnął się dobrowolnie. *Callier* w swych »Trzech ustępach« p. 10, powiada: »Pojąłem od razu, że od zachowania tartaku zależy wypadek bitwy, a widząc około siebie kilkunastu strzelców, wyteżyłem ostatnie prawie siły i udało mi się wyprzeć Moskwę i zająć tę silną pozycję«. Wygląda to tak, jakby nieprzyjaciel przed jego atakiem się cofnął. Przyznać jednak trzeba, że relacja Wittgensteina jest tym razem prawdopodobniejszą. Cytowany już przez nas *Szmyt* (*Żychliński*, Wspomnienia 112) opowiada: »Kompania jedna picchoty moskiewskiej przebyła za nami mostek i usadowiła się w tartaku, dając raz po raz ognia, ale prażona gęstym ogniem strzelców naszych, w gęstym szyku most napowrót przebyła. Nasi, ustawicini

przekonany, że ma do czynienia z oddziałem »nadzwyczajnie (*extremement*) licznym i strzelającym z godną uwielbienia (*admirable*) trafnością«, wycofał się powoli, choć już w czasie walki posłał kozaka do Konina, prosząc o pomoc i armaty. Powstańcy ze swej strony, gdy Callier został ranny, gdy Mielecki także ciężko postrzelony w krzyż¹⁾,

przez Calliera w półkolu, prażyli ich bezustannie i tak w tartaku, jak na samym moście już dużo padło Moskali. Zginąć tam miał na moście moskiewski książę Gagarin, który prowadził tę kompanię«.

¹⁾ Mielecki ranny został w krzyż, gdy wyjechawszy konno na linię bojową, chciał się przekonać, czy błota po prawej stronie tartaku są istotnie do nieprzebycia, ugrzązł przytem z koniem w bagnie i wtedy kula go trafiła. Przewieziono go do Mikoszyń, potem przez jezioro Gosławskie do Wasosza, a nakoniec do Mamlecha w Ks. Poznańskim. Tu po kilku tygodniach, kiedy poczynano mu już być lepiej, pomimo przestróg lekarza, zalecającego mu spokój, znudzony beczynościami, dosiadł konia i po tej przejażdżce położył się do łóżka i więcej już nie wstał. Umarł d. 9 lipca 1863 r., pochowany w Łabiszynie.

Callier otrzymał trzy rany. Pierwszą, gdy Mielecki chciał wyprzeć nieprzyjaciela z lasu poza groblę i gdy wyraził się, że »choć sam szarżę przypuści, to nikt za nim nic pójdzic«, Callier rzucił się więc naprzód, ale za nim pobiegło tylko trzech kosynierów, cofnął się zatem i otrzymał wtedy pierwszy postrzał w udo. (Wittgenstein o tym pseudo-ataku opowiada, że »raz tylko około 50 ludzi rzuciło się naprzód, ale w jednej chwili połowa z nich padła to do wody, to na groblę, a reszta cofnęła się w nieładzie«. Świadczy to o jego prawdomówności. Z czterech ludzi zrobił 50 i 25 zabił od razu. Bodaj to bujna fantazja niemieckiego kondotyera!). Drugą ranę otrzymał Callier w chwili, gdy cofano się z pod tartaku; kula lewe ramię mu przestrzeliła. Trzecią zaś dostał w lesie, szykując strzelców do odwrotu; pocisk przeszył mu policzek i lewą strzałką szczękę. Zawieziono go do Pątnowa i umieszczono w mieszkaniu rządcy. Tu zaszła scena, którą sam tak opowiada (l. c. p. 15): »Nad wieczorem dnia tego samego czułem, że ktoś za ramię mnie chwyta; przebudzony otworzyłem oczy i spostrzegłem żołdactwem moskiewskiem przepelnioną izdebkę, w której spoczywałem. »Ktoś ty?« zapytał mnie groźnie żołdak najbliższy łóżka stojący. »Powstaniec« odpowiedziałem... »...Wtem rozstąpiły się nagle szeregi żołdactwa; wśród nich ukazał się oficer rosyjski i przystąpił do mnie. »Nazwisko pańskie Callier?« rzekł do mnie płynną francuzczyzną i głosem raczej miłym niż szorstkim. »Tak panie!« odpowiedziałem, nie zastanowiwszy się nawet

wyniesiony był z placu boju, gdy wreszcie zabrakło ładunków (bijącym się pod tartakiem strzelcom, młody chłopiec dostarczał prochu w polach czamarki), cofnięto się także z powrotem w kierunku Mikoszyzna. W tej czterogodzinnej palbie obie strony znaczne straty poniosły i potyczkę tę uważać należy za bardzo krwawą¹⁾. Najwięk-

nad tem, że ów oficer obcy zna nazwisko moje. »Pan służyłeś w armii francuskiej, byłeś pod Sewastopolem, w Afryce i bez wątpienia inne jeszcze odbyłeś kampanie?« »Tak panie«. »Dzielnie strzelacie!... do katar!... mnóstwo liczymy rannych i poległych«. »Pełniliśmy tylko swój obowiązek«. »Jesteś dzielnym żołnierzem!« rzekł do mnie podając mi dłoń swoją i zostawiając rozkaz, aby felcerzy rosyjscy rany moje jak najstaranniej opatrzyli. »Rozkaz jego wypełniono sumienie, później mówiono mi, że tym oficerem był książę Wittgenstein«. Ten ostatni w swych pamiętnikach (p. 50) wspomina o tem w tych słowach: »Zwiedzając dwory po drodze, znalazłem wśród mnóstwa rannych (po większej części ludzi ze sfer wyższych i pochodzących z Prus), dwu Francuzów, Lejars'a i Calliera, ubranych w mundury żuawskie. Ten ostatni służył w Afryce i Włoszech i wiele przyczynił się do organizacyi bandy Mieleckiego. Callier był umierający, ranny trzema kulami; Lejars miał nogę strzaskaną, co mu nie przeszkadzało z najlepszym w świecie humorem, chwalił waleczność naszych wojsk i trafność ich strzelców«. »Podalem mu (Callierowi) rękę, ofiarując swe usługi, co tak go wzruszyło, że chciał ją ucałować i lzy miał w oczach«.

¹⁾ Wittgenstein w swym raporcie powiada, że zabito mu w tej potyczce 6 żołnierzy, raniono dwu oficerów (majora Maliewskiego i porucznika Hanko), oraz 36 żołnierzy, po większej części ciężko. Prócz tego miał 8 kozaków i jednego oficera ranionych w chwili, gdy wyladowywać kazał wóz z prochem, zabrany powstańcom. Jedna z beczulek zapaliła się i wybuchła. Utrzymuje on dalej, że powstańcy stracili około 300 ludzi. Ta ogromna różnica w stratach jest dowodem, że relacya Wittgensteina jest kłamliwą i dziwić się tylko należy, że miał przynajmniej tyle sumienia, iż nie napisał o stracie jednego kozaka, który »przepadł bez wieści«. W raporcie swym powiada: »Mielśmy sprawę nie z bandą, ale z wojskiem dobrze wyćwiczonym, złożonym nieomal wyłącznie ze starych żołnierzy pruskich, uzbrojonych w karabiny szwajcarskie lub niemieckie. Rzadko widziałem walkę tak zaciętą, tak długo trwającą i ogień tak żywy; można powiedzieć, że padał deszcz kul. Gdyby nie drzewa i wzgórza, które nas zasłaniały, sądzę, że cały mój mały oddziałek byłby tam wyginał« (l. c. p. 46). W innem miejscu zaznacza: »Chcąc dać

szym jednak ciosem dla powstańców była rana Calliera i Mieleckiego. Dowództwo nad uszczuplonym i zmęczo-

pojęcie o celności ich strzałów, powiem, że w chwili, gdy stałem konno na grobli, starając się przywrócić porządek, i widać było z daleka mój kaszkiet biały, w trzy minuty major Maliewski, mój ordynans kozak i trębacz, padli ranni dookoła mnie; ten ostatni miał trąbkę przedziurawioną, a koń ordynansa zabity. Widziałem jak jeden z tyralierów wystawił przez żart swą czapkę i ta w jednej chwili została przeszzyta dwoma kulami« (l. c. 49). Skoro więc tak było, to straty rosyjskie musiały być o wiele znaczniejsze. Oczywiście i relacye polskie pełne są przesady i nie można z nich żadnych pewniejszych powziąć danych. W samym Mikoszyźnie we dworze znalazło się 16 ciężko rannych powstańców. Jeżeli wszakże Wittgenstein nie ośmielił się zawiadomić swej zwierzchności, że mu tylko jeden kozak przepadł bez wieści, jeżeli mówi, że »miał sprawę nie z bandą, ale z wojskiem«, jeżeli cuda opowiada o celności strzałów powstańczych, to tylko dla tego, by samego siebie przedstawić za bohatera, za legendowego Herkulesa, leb ucinającego hydrę polskiej, za wielkiego wodza i stratega. Już zaraz po tej potyczce wysłał do Warszawy bombastyczny telegram, który takie wrażenie w nieświadomych rzeczy sferach warszawskich wywarł, że go wydrukowano w osobnym nadzwyczajnym dodatku do *Dziennika powszechnego* (do Nru 68), rozesłano i rozrzucono po mieście, jak gdyby szło nie o pokonanie jednego z licznych i drobnych oddziałków powstańczych, ale o wielkie zwycięstwo, o stłumienie jednorazowe powstania polskiego. Późniejszy raport Wittgensteina, wysłany d. 24 marca z Konińa do Warszawy, do szefa sztabu Minkwitsza, jest rzadkim okazem próżności i kłamstwa. Wittgenstein w tym raporcie pozostawił pomnik swej lekkomyślności, nierozumowi, tchórzliwości i co najważniejsza, wstrętnego karyerowiczostwa. Usiłuje on przekonać swe władze, że potyczka pod Olszową zadała stanowczy cios powstaniu. »Wielkie przygnębienie oswłodeło żywiołem rewolucyjnym tutaj — pisze — że ci, którzy wczoraj podnosili głowę, licząc na mą porażkę, dziś spuścili nos na kwintę; że »upór, z jakim powstańcy bronili swej pozycyi«, świadczy, iż »od powodzenia tej walki zależało powolenie całej kampanii«. Boże! można zawołać z poetą, gdzie to już bohaterstwo się nie mieści! Ten nadęty głupiec i tchórz, który mając, jak sam przyznaje, 600 wyćwiczonych i dobrze uzbrojonych żołnierzy, cofa się przed 500 powstańcami, z których połowa nie wzięła udziału w walce (kosynierzy i jazda), został za potyczkę pod Olszową, mianowany depeszą telegraficzną, przez Cesarza, (któżby temu uwierzył!) generałem!!!...

nym oddziałem objął komendant jazdy Miśkiewicz. Zawrócono więc i przez Mikorzyn, gdzie rannych pozostawiono, ruszono ku Slesinowi, nie zapewne nie wiedząc o tem, że tam od Włocławka zbliżał się Nelidow ze swemi dwoma kompaniami piechoty. Z drugiej strony Wittgenstein, odpocząwszy sobie przez trzy godziny w Koninie, gdzie połączył się z Hilfreichem, ciągle w obawie przed Mielęckim, wysłał naprzód pod Olszową podjazd z 25 objeszczyków, dla przekonania się, czy są tam jeszcze powstańcy, oraz czy armaty będzie można przez groblę przeprowadzić. Gdy podjazd wrócił i doniósł, że nikogo już tam niema, Wittgenstein koło godz. 3 po południu ruszył tamże, przeszedł groblę i dotarł do Mikorzyna. „Las, któryśmy przechodzili (opowiada w swym raporcie), nosił ślady krwawych strat powstańców i szybkości ich odwrotu. Wszędzie konie zabite lub ranne, trupy ludzkie, furaż, żywność, pakunki, plamy krwi, które się ciągnęły aż do Slesina. Przy grobli wisiał stary chłop na drzewie, z tablicą na piersi: „tak bywa szpiegom“. Wszystkie wsie dookoła, aż do samego Slesina, pełne są zabitych i ranionych; wszędzie spotykałem konie osiodłane, wozy zakrwawione i porzucone“. Dalszy marsz kolumny Wittgensteina do Slesina był już zgoła niepotrzebny, gdyż resztki oddziału Mielęckiego zostały rozbite pod tem miasteczkiem przez Nelidowa. Ten bowiem stanął w Slesinie koło godz. 10 rano, i tutaj od mieszkańców dowiedział się, że całe rano w kierunku Pątnowa słychać było gęste strzały. Zaniepokojony tem mocno, nie wiedząc, gdzie się znajduje Wittgenstein, postanowił zatrzymać się w Slesinie i tutaj, około godz. 11 rano ujrzał wysuwający się z lasów Kazimierowskich oddział powstańczy „w szykownym porządku“ (strojnom poriadkie), jak pisał w raporcie urzędowym. Miśkiewicz zapewne nie spodziewał się spotkania z nowym nieprzyjacielem i chciał ruchem skrzydłowym ku wsi Lubomyślowi uniknąć starcia, zwłaszcza, że zupełnie pozbawiony był amunicji; wszakże oddział zaatakowany śmiało, po krótkim i słabym oporze, został rozбитo, ścigany za-

wzięcie aż do wsi Genowefy, nie bez nowych, ciężkich strat. Nazajutrz Wittgenstein połączył się z Nelidowem w Slesinie, ale bić się już z kim nie mieli, gdyż oddział Mielęckiego rozproszył się zupełnie i istnieć przestał.

Krótką, bo zaledwie parutygodniową i nieszczęśliwą kampanią Mielęckiego, nie powstrzymała jednak patryotów Księstwa Poznańskiego od przygotowywania nowych wypraw do Królestwa. Organizowano tam mianowicie dwa oddziały, które jednocześnie miały wkroczyć pod dowództwem przybyłego z Francji Younga de Blankenheim i Edmunda Taczanowskiego. Na obu z nich wielkie pokładano nadzieje. Taczanowski, należący z pochodzenia do starej, od wieków osiadłej szlachty wielkopolskiej, w tej porze był w pełni lat męskich (liczył ich 41), i miał za sobą dość znaczne doświadczenie bojowe. Służył pierwotnie w wojsku pruskiem, w artylerji, potem bił się z tymiż Prusakami w r. 1848, z Austryakami na Węgrzech i we Włoszech w r. 1849, bronił Rzymu republikańskiego przeciw Francuzom, jednym słowem, był dość pospolitym w tej dobie typem Polaka, mieszkającego się do wszystkich spraw, szukającego guza po świecie. Wszakże liczne boje, w których brał udział, tę przyniosły korzyść, że znał się na wojskowości, chociaż wogóle słabą, acz gorącą miał głowę. Powróciwszy do kraju, osiadł na roli i z chwilą wybuchu powstania, należał do jego przeciwników, wszakże wskutek nalegań przyjaciół, a głównie Niegolewskiego, który widział w Taczanowskim bodaj czy nie jedyną głowę wojskową, zdecydował się na objęcie naczelnego dowództwa nad oddziałami, mającymi wkroczyć z Zaboru pruskiego do Królestwa. Komitet poznański ze swej strony dość niechętnie oddawał komendę Taczanowskiemu. Wiedziano, że jest osobiście odważny, że zna wojnę, ale nie ufano jego zdolnościom organizatorskim i sprężystości charakteru, lecz, że czas naglił, wyboru innego nie było, więc ustąpiono naciskowi Władysława Niegolewskiego i zamianowano Taczanowskiego dowódcą oddziału pleśzewskiego. Sztyftował on się powoli, a wymagania miał

wielkie; chciał, by partya ta uzbrojoną była należycie i zaopatrzoną we wszystko, tak, że gdy korpusik przeznaczony dla Younga de Blankenheim był gotów do wymarszu, wymarsz ten wstrzymać musiano, gdyż Taczanowski z organizacją swego jeszcze nie skończył, i co chwila nowe żądania zanosił do Komitetu poznańskiego. I tak np. gdy dla oddziału Younga, zawsze ofiarny i gotowy do poświęceń Jan Działyński, zakupił za granicą za grube pieniądze 400 sztucerów, i wysłano je już na miejsce przeznaczenia, musiano furmanki w drodze zatrzymać, rozpakowywać, by z broni tej 140 sztuk oddać Taczanowskiemu, który się ich nagląco domagał.

Bądź co bądź, ludzie przeznaczeni do obu oddziałów, tj. Younga i Taczanowskiego, pojedynczemi partyami po kilkunastu i kilkudziesięciu, przeszli granicę między d. 15 a 18 kwietnia. Korpusik Younga zbierał się w lasach Kazimierowskich, w tych samych, w których przebywał i walczył Mielecki. Liczył on po ostatecznem uorganizowaniu około 500 ludzi, a między nimi tylko 240 strzelców, uzbrojonych w karabiny. To też Young skarżył się na „nędzne uzbrojenie“, pisał do Działyńskiego, że „ma 500 ludzi, z których 250 nie ma się nawet czem bronić“¹⁾, i wogóle był mocno zniechęcony wobec tego, czego się spodziewał, co mu może obiecywano w Paryżu, a co w rzeczy samej zastał. Oddział jego podlegał naczelnej komendzie niejakiego Alonzo Seyfrieda, członka owej „straży chorągwianej“, która z Mierosławskim biła się pod Krzywosądem i Nową wsią. Później był adjutantem przy Padlewskim, po rozbiciu którego i wzięciu do niewoli, przeniósł się na Kujawy i tu formował nowy oddział. Gdy korpusik Mieleckiego uległ klęsce pod Slesinem, a sam wódz raniony wywieziony został do Ks. Poznańskiego, Rząd narodowy, nie mając na razie powierzyć komu komendy naczelnej województwa Mazowieckiego, powierzył ją Seyfriedowi. Był to zakapturzony Mierosławczyk i za-

¹⁾ Anklage-Schrift Nr 1, 34.

wiązał spisek, do którego należał Drewnowski, i według niektórych także Kononowicz, ażeby Mierosławskiego ogłosić dyktatorem. O tem jednak znacznie później dowiedziano się w Warszawie; w tej chwili oczywiście nie miano żadnych podejrzeń, skoro Seyfrieda mianowano wojewodą mazowieckim. Siły, któremi rozporządzał on w tej porze, składały się oprócz partyi Younga de Blankenheim, z dwu jeszcze oddziałów, a mianowicie: Oborskiego i Solnickiego. Prócz tego, sam Seyfried miał, jako swą eskortę, kilkunastu jeźdźców, tak że ogólna siła tych czterech korpusików mogła wynosić około tysiąca ludzi¹⁾.

Oborski, niegdyś pułkownik wojska rosyjskiego, uformował swój oddział w początkach kwietnia w lasach Ruzskowa, między Sompolnem a Slesinem i z pojawieniem się Younga, chętnie oddawał się pod jego komendę dla dobrej sprawy ogólnej. Za to Seyfried krzywo patrzył na Francuza, zwłaszcza, że wiedział, iż Rząd Narodowy mu sprzyja, że stronnictwo umiarkowane Komitetu Kwietniowego, naciskane z Paryża, aby przysłanym cudzoziemcom dać sposobność odznaczenia się, zamierzało naczelną komendę w województwie mazowieckiem odebrać Seyfriedowi, a oddać Youngowi²⁾. W Rządzie, choć nie wiedziano

¹⁾ W zbiorach autora znajduje się rękopiśmienna relacya: »O oddziałach Younga, Seyfrieda, Oborskiego i Włodka«, spisana przez T. T. »szeregowca strzelców celnych z pod komendy Oborskiego«. Otóż ów »strzelec celny« oblicza w początkach kwietnia oddział Oborskiego na 200 ludzi, z tych połowa tylko w broń palną zaopatrzona; oddział Younga na 300, w czem się myli, bo sam Young przyznaje się do 500; Solnickiego 200, Seyfrieda na kilkanaście koni. Nasz więc rachunek nie myli się zbyt znacznie, oznaczając ogólną siłę tych czterech oddziałów na 1000 ludzi.

²⁾ N. Berg l. c. III, 119, powiada, że generał rosyjski Kostanda, który rozbił pod Brdowem Younga, znalazł na jego ciele pismo Rządu Narodowego, tej mniej więcej treści: »Taczanowski posiada w Pyzdrach 1000 strzelców i 500 koni, pan masz, jak mówią, także około 1000 sztucerów. Działając razem, stanowić będziecie znaczną siłę. Kraj w waszem ręku. Werbujcie chłopów w jak największej ilości, a my broni dostawimy. Z niepokojem dowiedzieliśmy się o wy-

jeszcze, a przynajmniej nie miano ścisłych danych o spisku Seyfrieda na rzecz Mierosławskiego, istniał już pewien ferment przeciw nowemu wojewodzie. Ten bowiem w raportach swoich, które zresztą rzadko przysyłał, odzywał się zawsze bez należytego poszanowania Rządu, i pomijając jego tytuł, dawał do mniemania, że nie uznaje jego władzy. Wywołało to pewne oburzenie i Seyfried doskonale to rozumiał, że wcześniej czy później naczelnictwo mu odbiorą i oddadzą je Youngowi. Intrygował więc przeciw niemu, nawet żołnierzy podmawiał, żeby go opuścili; głośno się odzywał, że „po tych gościach zagranicznych niczego dobrego spodziewać się nie można“, że „nie nie umięją i nie rozumieją, a tymczasem nosa zadzierają i chcą wszystkim rządzić“. Oborski nie mieszał się do tych intryg, ale zbrzydły mu one i czekał tylko sposobności, ażeby się z tych stron wymknąć i osobno na własną rękę działać.

Taki był stan rzeczy w obozowiskach powstańczych, zgromadzonych w lasach Kazimierowskich, gdy zaszły wypadki, których rozgłos obiegł całą Europę, narobił po dziennikach ogromnej wrzawy, zwrócił na siebie powszechną uwagę od Lizbony do Petersburga, i wszędzie wywołał nadzwyczajne zdziwienie. Około d. 25 kwietnia do obozowisk powstańczych przyszła wiadomość, że kolumna rosyjska, złożona z dwu kompanii piechoty (pułku Ołonieckiego) i stu przeszło jeźdźców (40 kozaków i 76 obyszczyków), ogółem przeszło 500 ludzi, pod komendą znanego nam już majora Nelidowa, który niedawno, przed

daleniu się Waszem z lasów Kazimierowskich. Według naszego zdania, nie należało dopóty ich opuszczać, dopóki oddział nie uorganizuje się zupełnie. Ale Wy, będąc na miejscu, lepiej wiecie, co robić trzeba. Wielkie na Was pokładamy nadzieje. W tych dniach otrzymacie nominację na Naczelnika wojennego Województwa Mazowieckiego. Prosimy Was uwiadomiacie nas o wszystkim, jak można najczęściej. Kostanda ten list cytował z pamiętnika, a chcąc podnieść znaczenie swego zwycięstwa, zapewne kłamał o onych tysiącach sztucerów u Younga i Taczanowskiego.

miesiącem, pobił pod Slesinem i rozproszył oddział Mieleckiego, wystąpiła z Włocławka i maszeruje w kierunku Skulska, a zatem ma już wiadomości i o Youngu i o Solnickim i Oborskim. Wszystkie trzy oddziały powstańcze, po odbyciu kilku bezcelowych marszów, wróciły właśnie wtedy do lasów Kazimierowskich, gdzie d. 26 kwietnia o świcie przyszła szczegółowa wiadomość o rzeczonyj wyprawie rosyjskiej. Wskutek tego wyruszono zaraz wśród ulewnego deszczu, jeden oddział od drugiego w półmilo-nych odstępach, wylotem na północny zachód, w kierunku Krzywosądza i około południa spotkano się z nieprzyjacielem, ukrytym za sagami drzew, pod Nową wsią. Rozpoczął z nim Young strzelaninę, gdy nadchodząca kolumna Oborskiego i Solnickiego, liczebną przewagą swoją zmusiła Nelidowa do cofnięcia się do Nowej wsi i obsadzenia jej silnie¹⁾. Ale widząc, że go powstańcy ze wszęch stron otaczają, wieś opuścił i cofał się, nie przestając bronić się uparcie przeciw coraz mocniej i śmielej naciskającym powstańcom. Gdy nakoniec Rosyanom zabrakło naboju, gdy wreszcie przyparci zostali do granicy pruskiej, Nelidow, nie wiele myśląc, przeszedł przez nią i znalazł opiekę pod osłoną bagnetów pruskich. Powstańcy dotarli za cofającym się nieprzyjacielem do samego kordonu, tu dali kilka salw karabinowych na wiwat i nie mając już co robić, wrócili na noc do Słomkowa. Straty w tym kilkugodzinnym boju były z obu stron dość dotkliwe, między innymi zginął jeden z dowódców, Solnicki, ale była to rzecz mniejszego znaczenia wobec faktu, że kolumna rosyjska, wojska dobrze uzbrojonego i wyćwiczonego, zmuszona była schronić się przed powstańcami za słupy graniczne. Był to wstyd, zwłaszcza, że rzecz ukryć się nie dała; mnóstwo ludzi od strony Księstwa Poznańskiego, słysząc huk strzałów, zbiegło się nad granicę

¹⁾ Już w pierwszym tem starciu koło sągów, Young uderzony został kulą w piersi, na szczęście nieszkodliwie, gdyż pocisk trafił w słownik francusko-polski, który miał pod ubraniem.

i przypatrywało walce, i widziało, jak oddział rosyjski, śmiertelnie znużony, pokryty błotem i kurzem, cały czarny od dymu i prochu, przechodził granicę. Dzienniki oczywiście w lot pochwyciły tę wiadomość, telegrafy rozniosły ją po całej Europie, i wszędzie wywoływały zdziwienie, a przy ogólnej teraz niechęci do Rosyi, szyderstwa i żarty gryzące.

Wprawdzie tak ze strony rosyjskiej jak i pruskiej usiłowano osłabić doniosłość tego faktu, który w istocie nie mógł mieć, materyalnie rzeczy biorąc, żadnego poważniejszego znaczenia. Ukazał się bowiem zaraz potem raport majora pruskiego Schmidta, dowodzącego szwadronem pułku pomorskiego ułanów, zajmujących placówki pograniczne. Schmidt dowodził, że wojsko rosyjskie pod Nelidowem zachowało się w walce z powstańcami jak należy. Raport ten dzienniki rosyjskie i niemieckie, tuczące się gadzinowym funduszem, starały się jak najszerzej rozpowszechnić. Major pruski więc zapewniał, że Nelidow potykał się z niepomiarnie przewyższającymi siłami, że kolumna powstańcza składała się z pięciu „regularnych, dobrze umundurowanych i uzbrojonych batalionów, po 600 ludzi w każdym, oraz z doskonale umontowanej jazdy, ogółem cztery do pięciu tysięcy ludzi, a w tej liczbie pułk ułanów 500 do 600 szabel zawierający“; że powstańcy otoczyli Rosyan z trzech stron, że ci utracili wielu poległych i wziętych do niewoli, że zabrakło naboju, gdyż przy wymarszu z Włocławka każdy żołnierz miał tylko 40 do 50 ładunków, że Rosjanie stracili 10 poległych, 23 zaś rannych ze sobą przywieźli; że powstańcami dowodził Seyfried, którego brat służył w tymże pułku Ołonieckim; że oficerowie rosyjscy jednogłośnie utrzymują, że wszelkie ruchy piechoty i jazdy powstańczej wykonywane były z precyzją i szykiem“. Wszystkie te kłamstwa, bo oddziały Seyfrieda nie przenosiły tysiąca ludzi, zaledwie w połowie uzbrojonej w karabiny ruchawki, przewyższył raport samego Wittgensteina, który mianowany w maju satrapą włocławskim nie omieszkiał osłonić fałszywemi do-

niesieniami porażki swego podwładnego. Twierdził tedy pustogłowy hulaka niemiecki, że Nelidow miał zaledwie 320 ludzi ¹⁾, że powstańcy atakowali go sześciu kolumnami, liczącemi przeszło 3.600 żołnierzy, że Nelidow „bił się jak wściekły“ przez cztery godziny, i dopiero po wystrzeleniu ostatniego naboju, przerznął się i cofnął do Prus, prowadząc ze sobą nie tylko wszystkich rannych, ale i ośmiu jeńców, których nie puścił. Niezgoda raportu Wittgensteina z raportem pruskim Schmidta najwymowniej świadczy, że obaj prześcigali się w kłamstwie.

Władze pruskie wyparty oddział rosyjski przyjęły bardzo gościnnie, nie rozbroiły go wcale, jak tego wymagają prawa międzynarodowe; oficerów pomieściły po kwaterach, a osłaniając przed przypuszczalnym pościgiem powstańców, wszystkie sąsiednie garnizony pograniczne trzymały całą noc pod bronią, wysyłając na wsze strony silne patrole. Wreszcie nazajutrz pod eskortą 25 piechurów i 6 ułanów odstawiły do najbliższej stacji kolei i odesłały do Włocławka.

Taki miała przebieg cała ta sprawa, która pomimo fałszywych raportów tak pruskich jak i rosyjskich, narobiła wiele wrzawy w całej Europie, a w Petersburgu dała nową broń do rąk nieprzyjaciół W. Ks. Konstantego i autonomii polskiej. Dla zatarcia tego ujemnego wrażenia, jakie zrobiło wyparcie za granicę kolumny Nelidowa i dla ostatecznego zgniecenia zbyt zuchwałych powstańców kujawskich, przygotowano niezwłocznie w Warszawie walną na nich wyprawę. Ponieważ nieudolność Brunnera, kacyka kaliskiego i Wittgensteina, była widoczną, dowództwo nad tą wyprawą oddano generałowi porucznikowi Konstandzie, oficerowi niewątpliwie zdolniejszemu i doświadczeńszemu. Dano mu w tym celu znaczne pełnomocnictwa

¹⁾ W raporcie Schmidta powiedziane jest, że Nelidow miał dwie kompanie piechoty, z których jedna liczyła, już po przejściu granicy 204, a druga 174 ludzi, razem 380, oprócz 116 jazdy. Kłamstwo więc Wittgensteina jest widoczne.

i siły. Wyruszył on z Warszawy koleją żelazną do Kutna, wiodąc ze sobą trzy kompanie strzeleckie, dwa działa artylerii konnej gwardyackiej, 120 saperów i 40 kozaków, ogółem przeszło sześćset ludzi, a prócz tego pozwolono mu zwiększać po drodze swe siły garnizonami miejscowymi, bez odwoływania się o to do Brunnera. Jednem słowem miał prawo rozporządzać wszystkiem samowładnie w powiatach: kaliskim i włocławskim.

Oddziały Younga, Oborskiego i Włodka, pod naczelną komendą Seyfrieda, po zwycięstwie nad Nelidowem, zawróciły w kierunku Izbicy, w której się zatrzymały. Jakkolwiek wieść o tryumfie nad Rosyanami szeroko się rozszła i tłumy ochotników zbiegały się do korpusiku powstańczego, tak że on niemal z każdą chwilą wzrastał w siłę, jednakże wewnętrzne rozterki i niezadowolenie z Seyfrieda nurtowało i osłabiało spójność oddziału. Powszechny był głos, że kolumnę Nelidowa można było całą wziąć do niewoli, gdyby Seyfried ze swoim oddziałem był dość wcześniej nadszedł; oburzano się na niego, że jeździł teraz kareta, otoczony swą „strażą chorągwaną“; szyszono, że nie chce „narażać swych drogocennych członków na fatygę“, co w rzeczy samej dla wodza ruchawki powstańczej było w najwyższym stopniu niewłaściwem. Siły insurgentów, obozujących teraz w lesie między Izbicą a Brdowem wynosić miały około 2000 ludzi, którzy zostali podzieleni na trzy kolumny, pod wodzą Younga, Oborskiego i Seyfrieda, tak rozłożone, że mogły się w razie ataku wspierać wzajemnie.

Takie było położenie, gdy d. 28 kwietnia nadeszła wiadomość o wyprawie Kostandy. Seyfried tegoż dnia zwołał naradę wojenną, wieczorem zaś przybył do oddziału Younga, życzył mu dobrej nocy i wyraził nadzieję, że na-
zajutrz spełni on swoją powinność. Co na owej radzie wojennej uchwalono, ze źródeł, jakie posiadamy, wymiarkować trudno. Według jednych, przypuszczając, że Kostanda nie zna dobrze ani pozycyi, ani rzeczywistych sił powstańczych, postanowiono nań uczynić zasadzkę w lesie, na

trakoie z Brdowa do Balinka. Oddział Younga, który pierwszy stał od strony maszerującego nieprzyjaciela, rozłożony w lesie nad drogą, miał przepuścić kolumnę rosyjską nie zaczepiając jej wcale. Następnie Oborski, także ukryty w boru, miał ją zaatakować z obu stron gościńca, jazda Włodka, znajdująca się na końcu, przy której był Seyfried, zaskoczyć od czoła, a wtedy Young, zamykając od tyłu ten pierścień, zdusić Kostandę w serdecznym uścisku. Plan, jeżeli w istocie taki powzięto na owej naradzie d. 28 kwietnia¹⁾, był dość zręcznie pomyślany, ale na wojnie, jak i w życiu, częstokroć najlepiej pomyślane plany rozbijają się zwykle o nieprzewidziane wypadki, o nieudolność lub złą wolę.

W tym razie przedewszystkiem mylono się co do tego, że Kostanda nie miał dokładnych wiadomości o sile i położeniu powstańców. Jeżeli wierzyć własnym jego opowiadaniom²⁾, to z chwilą, gdy wysiadł ze swą kolumną z wagonów kolei żelaznej w Kutnie i puścił się w kierunku Kłodawy, zauważył między mieszkańcami wsi i miasteczek, przez które przechodził, jakiś popłoch. Burmistrz i wójci gmin błagali generała rosyjskiego, aby z nimi nie rozmawiał, bo ich za to powieszą. Wszystko to, zdaje się, zaniepokoiło nieco Kostandę; mając pod sobą około 600 ludzi i dwie armaty, uważał się za zbyt słabego dla pokonania powstańców. Dlatego też, przyszedłszy do Kłodawy, wziął z tamtejszego garnizonu trzy kompanie pułku Ładoskiego piechoty, 40 huzarów Maryampolskich i 30 kozaków, tak, że podwoił swój korpusik i liczył przeszło tysiąc bagnietów i szabel. W Kłodawie przytem dowiedział się bliższych szczegółów o miejscu, w którym obozowały oddziały powstańcze, a prócz tego, d. 29 kwietnia, o samym świcie, zbliżając się do lasów Ossowskich,

¹⁾ Opowiada o nim cytowany już pamiętnik T. T., „celnego strzelca z oddziału Oborskiego“. Drukowana w *Dzienniku Poznańskim* z r. 1875, relacya pt. „Z roku 1863, skreślił A.“ (Orłowski) nic o tem nie wie.

²⁾ Cytowanym u N. Berga l. c. III, 117.

otrzymał nowe wiadomości od zdrajcy kolonisty Niemca, że powstańców jest około trzech tysięcy i że chłopci okoliczni dostarczali im żywności. Niemiec przytem oświadczył, że pragnie się na Polakach pomścić, bo mu porwali siostrę czy kochankę¹⁾.

Wobec tego, że powstańcy podzieleni byli na trzy kolumny, Kostanda tak samo postąpił. Jedną część (1-a kompania strzelecka, sapery, 40 kawalerzystów) oddał pod komendę pułkownika Reinthala; drugą (dwie kompanie strzeleckie, 20 jeźdźców i dwa działa) dowodził pułkownik Hagemeister. Przy tej kolumnie znajdował się Kostanda. Trzecią (dwie kompanie Ładoskiego pułku i 15 kozaków) oddano majorowi Dymmanowi²⁾. Zdaje się, o ile wyrozumieć można z dość mętnych relacji, Kostanda, chciał, zmieniawszy front i zachodząc prawem ramieniem naprzód, jednocześnie uderzyć od czoła na wszystkie trzy oddziały powstańcze. Ponieważ był to dzień urodzin Cesarza Aleksandra I, więc Kostanda przypomniał o tem wojsku i dodał, że „w taki dzień zwyciężyć trzeba koniecznie“, na co żołnierze odpowiedzieli głośnie „hura!“ i biegiem ruszyli naprzód.

¹⁾ Tak opowiada *Berg* III, 121. We wspomnianym pamiętniku „Z r. 1863“ Orłowskiego, znajdujemy co do szpiegostwa taką relację: „Niejeden z żyjących dziś jeszcze towarzyszy oddziału Younga de Blankenheim, zwłaszcza koledzy drugiej kompanii strzelców, przypomniał sobie owego draba niby handlarza, który, włócząc się po obozie, sprzedawał nici, igły, papier itp. potrzebne przedmioty. Kiedy przybył do naszej kompanii i rozkładał swoje drobnostki na ziemi, trwożliwym wzrokiem spoglądał dokoła, jakby dla zorientowania się. Od tego czasu, ile razy przypomniał sobie bitwę pod Brdowem, obok towarzyszy moich stawał mi zawsze i ów handlarz w pamięci, a przypuszczenie, iż to był szpieg i to jeden z arcw-szpiegów, potwierdza najlepiej sam atak Moskali, którzy siły swoje tak rozstawili, że prawie jednocześnie na wszystkich punktach zostaliśmy zaatakowani“.

²⁾ Podział ten korpusiku Kostandy powtarzamy za *Bergiem*. Brakuje w nim jednak jednej kompanii Ładoskiej, którą wódz rosyjski zabral z Kłodawy. Przypuszczać należy, że w kolumnie Dymmana znajdowało się nie dwie, ale trzy kompanie piechoty.

O zasadzce więc nie mogło być mowy i zresztą nie udało się ona wcale. Gdy około godz. 6 rano kozacy, postępujący w awangardzie rosyjskiej, weszli w las, stojąca po obu stronach drogi partya Younga nie wytrzymała i dała do nich ognia. Wskutek tego Kostanda powstrzymał marsz swych kolumn, rozwinął się przed lasem, wysunął swe dwa działa i rozpoczął ogień kartaczowy, posuwając się wolno i ostrożnie całą linią ku lasowi, który niebawem zajął. Gorąca, obustronna strzelanina trwała czas jakiś, a Young przedłużał ją w tej nadziei, że nadbiegnie mu na pomoc najprzód Oborski, a potem Seyfried. Nadciągnął wprawdzie Oborski, ale już nie wiele mógł zdziałać, gdyż oddział Younga cofał się w wyraźnej rozsypce. Young dla powstrzymania nacisku nieprzyjaciela, porwał kosynierów, chcąc ich poprowadzić do ataku, ale ugodzony w piersi padł na pobojuwisku¹⁾, a oddział jego i Oborskiego rzucił się do ucieczki, gnany zawzięcie na przestrzeni kilku wiorst przez kozaków, huzarów i objeszczyków pod wodzą porucznika od ułanów Bacha. Seyfried na samym początku walki uciekł ze swym sztabem i „strażą chorągwiąną“, pomocy walczącym nie dał i o mało sam nie dostał się do niewoli, wpadłszy z koniem w bagno. Konia zostawił w błocie i piechotą heroicznie zmykał.

¹⁾ O śmierci Younga powiadają, że rana jego nie była śmiertelna, że mógłby się był z niej wyleczyć, gdyby nie to, że zwycięski nieprzyjaciel, napotkawszy rannego na pobojuwisku, dobil go haniebnie aż 34-ma pchnięciami bagnatów. Barbarzyńcy odcięli mu przytem palec z kosztownym pierścieniem. Zwłoki jego odszukane, przez parę dni ukrywane w stodole, zostały nakoniec pochowane d. 5 maja w Brdowie. (Czytaj „Pamiętka dla rodzin pol.“ dodatek, 85). *Berg* III, 123, opowiada, że zwłoki Younga poznano po liście Rządu Nar. wyżej przytoczonym i po czapce z galonami. Jakiś lekarz oddziału, rodem z Kalisza, miał prosić Kostandy ze łzami w oczach i całując go po rękach, ażeby mu czapkę Younga darował na pamiątkę, co dowodzi jak dalece był kochany przez podwładnych. Prócz tego na ciele Younga miano znaleźć jego korespondencję z rodzicami, którzy odradzali mu podróż po Polski, nazywając to szaleństwem. *Berg* zapewnia także, że Young miał na sobie krzyż polski *Virtuti militari*.

Straty w tej nieporządnie, bezładnie i zaledwie cząstką sił powstańczych prowadzonej walce, były ze strony polskiej bardzo znaczne. Oprócz ukochanego przez podwładnych wodza Younga, zginął Karol Libelt, syn zasłużonego pisarza, zginęło wielu innych, tak że połowa ziemianstwa w Księstwie Poznańskim pokryła się żałobą. O wysokości strat powstańczych trudno dać dokładne wyobrażenie¹⁾, ale ważniejszym było to, że jeden z największych wysiłków Zaboru pruskiego tak marnie przepadł w ciągu kilku godzin. Wrażenie też tej klęski było nadzwyczaj silne, oburzenie na Seyfrieda powszechne, a oburzenie to istniało nie tylko wśród mnóstwa rodzin, których synowie, bracia lub mężowie zaslali ciałami swemi pobojuwisko pod Brdowem, ale nawet wśród jego podkomendnych. Gdy na koniec w kilka dni potem zaszła bitwa Taczanowskiego pod Ignacewem, a Seyfried, mając mu iść na pomoc, jak zwykle, spóźnił się i nie poszedł, miarka się przebrała. Do Warszawy, do ówczesnego Rządu Narodowego doszła wiadomość o spisku między Seyfriedem, Drewnowskim i Kononowiczem, mającym na celu, jakżeśmy to wspomnieli, ogłoszenie Mierosławskiego dyktatorem, a nawet podobno wpadł w ręce Rządu rozkaz jednego z agentów Mierosławszczyzny, Bauerfeinda, polecający Seyfriedowi, aby najpóźniej d. 10 maja połączył się z Drewnowskim i razem z nim pomaszerował w góry Świętokrzyskie, by tam nową dyktaturę przeprowadzić. Ze wszystkich stron napływały skargi na zachowanie się zdrajczego wojewody mazowieckiego wobec Younga. Mówiono, że gdy ten bił się pod Brdowem, otaczający Seyfrieda nalegali nań, by biegł ciężko szamocącym się z wrogiem towarzyszom na pomoc, na co miał odrzec: „nie pójdę, niech tam Czartoryszczyków dobrze przetrzepią!“ Żołnie-

¹⁾ Kostanda w swym raporcie urzędowym („Żurnal wojennych dziejstw” Nr 20) ocenia te straty przesadnie na 400 ludzi, zato „Wiadomości z pola bitwy” (Nr 11) na 68 zabitych i 50 raniomych. Relacje rękopiśmienne („strzelca celnego”) na 200 poległych.

rzom domagającym się tego samego groził surową karą nie pozwolił im opuszczać szeregów: wysłanemu Wyssogocie Zakrzewskiemu z rozkazem Taczanowskiego, by tak Young jak Seyfried z nim się połączył, mówił: „nie mogę ryzykować mego oddziału, muszę się zachować, aby podtrzymać powstanie, aż do interwencji“. Nie usłuchał też rozkazu Taczanowskiego i zamiast ruszyć do Pyzdr, gdzie ten obozował, poszedł w zupełnie inną stronę¹⁾.

Wobec tego wszystkiego Rząd narodowy na wniosek swego członka Siwińskiego, postanowił Seyfrieda aresztować, oddać pod sąd i rozstrzelać. W tym celu wysłano do obozu komisarza nadzwyczajnego, Stanisława Jarmunda, tego samego, który później jeździł do obozu Kononowicza, żeby Seyfrieda uwolnił od obowiązków naczelnika województwa mazowieckiego i mianował na ten urząd pułkownika Oborskiego; żeby następnie przeprowadził jak najściślejsze śledztwo i jeżeli Seyfried okaże się winnym, ażeby go oddał pod sąd i dopilnował wykonania wyroku bez odwoływania się do Rządu. Jarmund puścił się w drogę, jechał bardzo wolno i, jak się zdaje, ostrzegł Seyfrieda²⁾, tak, że ten nie czekając na śledztwo, wyniósł się cichaczem z obozu i uciekł za granicę.

Wśród tego wszystkiego zaszły na Kujawach nowe, ze wszech miar opłakane wypadki. Kostanda, po łatwo osiągniętem dzięki niegodziwości Seyfrieda zwycięstwie pod Brdowem, tegoż samego d. 29 kwietnia, przybywszy wieczorem do miasta Koła, spotkał się niespodzianie z nową kolumną, wysłaną mu na pomoc z Warszawy, pod wodzą generała-majora Krasnokuckiego, złożoną z trzech kompanii strzeleckich, 60 saperów, dwu szwadronów huza-

¹⁾ „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego” p. 519 (opowiadanie Wyssogoty Zakrzewskiego).

²⁾ Tak zapewnia w swej rękopiśmiennej relacji Siwiński. Seyfried w rok potem, jak twierdzą niektórzy, miał się bronić od czynionych mu zarzutów w lwowskiej *Gazecie Narodowej* i w *Dzienniku Poznańskim*, ale obrony tej w rocznikach pism rzeczonych odszukać nam się nie udało.

rów grodzieńskich gwardyi, setki kozaków i dwu dział artyleryi konnej gwardyackiej, ogółem około 700 ludzi. Nowa ta, silna wyprawa, spowodowana była kilkudniowym już pobytem na Kujawach partyi Taczanowskiego. Wybierał się on dość długo, stawiał Komitetowi poznańskiemu rozliczne, nieraz prawie niemożliwe do wykonania warunki (jak np. żeby mu dano gotowy, z 400 ludzi najmniej złożony oddział i doskonale, w dalekonośne sztucery uzbrojony), aż nareszcie się wybrał i w nocy z d. 15 na 16 kwietnia przebył w towarzystwie paru przyjaciół granicę i udał się do miasteczka Pyzdr. Tu już zastał oddział, zebrany w Grodzie z rozbitków innych partyi i nowych ochotników, którym zrazu dowodził niejaki Adam Mieczkowski, a ostatecznie Berendes, b. wojskowy pruski. W chwili, gdy Taczanowski przybył do Pyzdr, oddział ten liczył około 500 ludzi, uzbrojonych po części w karabiny i strzelby myśliwskie, po części w kosy¹⁾. Napływ jednak ochotników, zwłaszcza z Zaboru pruskiego, był tak znaczny, że oddział w połączeniu z przybyłą ze Słupcy partyą Francuza, nazwiskiem Faucheux, wzrósł niebawem do poważnej siły 1200 ludzi (z tego 500 strzelców, 650 kosynierów i 50 konnicy). Między ochotnikami znalazł się także poseł pleszewski na sejm pruski, głośny ze swej niedawnej interpelacji w sprawie policyanta Bärensprunga, Dr. Władysław Niegolewski i ofiarny hr. Jan Działyński, który zbiegł przed prześladowaniem Prusaków do obozu powstańczego i jako prosty żołnierz pełnił obowiązki kawalerzysty. Dzięki staraniom Komitetu poznańskiego, strzelców uzbrojono w doskonale sztucery belgijskie. Posiadano nawet pewien związek artyleryi, którą utworzono z dwu armatek żelaznych, zabranych z jakiegoś klasztoru i jednego dwufuntowego działka. Szefem sztabu mianował Taczanowski majora Michała Strzeleckiego, b. wojskowego austriackiego; naczelnikiem kosynierów Francuza, Ganiera

¹⁾ •Oddział Taczanowskiego, opowiadanie B. R., kawalerzysty tegoż oddziału• (rękopism w zbiorach autora).

d'Aubin; jazdą dowodził znany nam z klęski Slesińskiej, Miśkiewicz.

Wielkie nadzieje pokładano na tym oddziale i jego dowódcy, o którego talentach wojskowych miano nieco przesadzone pojęcia. Wbrew opinii okazał on się dobrym organizatorem i przez czas swego całotygodniowego pobytu w Pyzdrach, oddział swój postawił na stopie wojskowej. Szlachta okoliczna tłumnie zjeżdżała się do Pyzdr, by patrzeć na swe wojsko¹⁾. Pozycya, którą w miasteczku tem zajmował Taczanowski, była silna, ale niebezpieczna. Od południa i wschodu broniła jej Warta, na której był jeden tylko most drewniany, stąd łatwy do zerwania (co nawet raz uczyniono wskutek fałszywego alarmu), a wtedy nieprzyjaciół musiałby maszerować drogami okolnemi, by się dostać do Pyzdr; od zachodu granica pruska. Tu wszakże leżało niebezpieczeństwo, że oddział z takim trudem i kosztem zorganizowany, mógł być przy silniejszym ataku wyrzucony do Prus. Na szczęście, Brunner, naczelnik wojenny kaliski, do którego przecież należało przeszkodzenie tej organizacji, tchórzliwie siedział w Kaliszu i przez cały tydzień pozwolił swobodnie sztyftować się powstańcom, napadać na objeszczyków pogranicznych zabierać kasy, ogłaszać Rząd narodowy i wogóle rozporządzać się swobodnie w całym pasie kraju od Chocza do Słupcy.

Dopiero d. 28 kwietnia wieczorem nadeszła do Taczanowskiego wiadomość, że z Konina maszeruje ku Pyzdom silna kolumna rosyjska, złożona z dziesięciu kompanii piechoty, dwu szwadronów jazdy i czterech dział pod

¹⁾ •W Pyzdrach (pisze Taczanowski do żony d. 21 kwietnia) hałas ogromny, pełno chorągwi polskich i szlachty okolicznej. Z Księstwa ciągle przybywa młodzież do obozu...• Korespondent zaś *Dziennika Poznańskiego* dodaje: •U nas ruch i czynność niezwykła. Dowódca nasz, E. T., gorąco się bierze do rzeczy. Chorągiew narodowa szumiąc na wietrze wiosennym, raduje serca patrzących. Wszędzie małe oddziały mustrują się, ćwiczą, organizują, a z każdego oka błyszczy zapal i chęć mierzenia się z nieprzyjacielem. Z miasta zgłosiło się natychmiast 50 ochotników i do szeregu się zaciągnęło. (Czytaj •Wspomnienia z r. 1863• Teodora Żychlińskiego, p. 55).

komendą podpułkownika Oranowskiego¹⁾. Dowódca polski, ścigając się niezwłocznie do siebie ze Słupcy stojący tam oddział Fauchaux'go, nazajutrz o świcie wystąpił z Pyzdr na spotkanie nieprzyjaciela. Ten ukryty w krzakach i zagajnikach rozpoczął gęstą palbę karabinową i działową, która nędzne armatki polskie niebawem zmusiła do milczenia, a ich dowódcę, Zakrzewskiego, ciężko raniła. Obustronna strzelanina trwała dzień cały, do godz. 4 po południu i skończyła się na tem, że kolumna rosyjska cofnęła się do Zagórowa, jak mówiono, wskutek braku naboju. Straty polskie były nieznaczne, między poległymi znajdował się niedawno przybyły Francuz, Fauchaux. Potyczka ta nie przyniosła zaszczytu wojsku rosyjskiemu; prowadzona tchórzliwie i niedołącznie skończyła się odwrotem, a powstańców natchnęła odwagą, ufnością do siebie i dowódcy. Wieczorem kapelan obozowy, ks. Maks, Kapucyn, odśpiewał w kościele w Pyzdrach uroczyste *Te Deum*, a nazajutrz Taczanowski w rozkazie dziennym, nieco bombastycznym, dziękował swym „źle ubranym, niewyćwiczonym“ żołnierzom za „zwycięstwo nad wojskiem regularnem“²⁾.

¹⁾ Źródła rosyjskie, mianowicie „Żurnal wojennych dziejstw“, o tem starciu nic nie mówi, zapewne z tego powodu, że nie było ono zaszczytnem dla broni rosyjskiej. *N. Berg* III, 124, również mimochodem i bałamutnie o niem wspomina i raz oddaje dowództwo podpułkownikowi Oranowskiemu, to znów majorom: Kondratenkowi i Manturowi. Co do nas, opieramy się na raporcie Taczanowskiego, pomieszczonym w Nrze 11 „Wiadomości z pola bitwy“, na rękopiśmiennej relacji wzmiankowanego już B. R. kawalerzysty, wreszcie na „Wspomnieniach“ *T. Żychlińskiego*.

²⁾ Jakie były straty rosyjskie, niewiadomo. *B. R. kawalerzysta* opowiada w swej relacji rękopiśmiennej, że „kiedy na drugi dzień objeżdżaliśmy z Taczanowskim pobojuwisko, na tyłach pozycji, zajmowanej przez nieprzyjaciela, znaleźliśmy w zagaju trzy świeżo usypiane mogiły; przez ciekawość odkryli chwilowo jedną i znaleziono w niej 7 trupów; we trzech więc mogło być pochowanych przeszło dwudziestu. Nie wiadomo jednak wielu więcej nieprzyjacieli zdążył zabrać ze sobą w ostatniej chwili, ustępując pospiesznie z zajmowanej pozycji“.

Ale niebezpieczną było rzeczą pozostawać dłużej w Pyzdrach, z granicą pruską tuż za plecami, zwłaszcza, że ze wszech stron dochodziły wiadomości o szykujących się wyprawach na oddział polski. Zwołana rada wojenna, co świadczy, że Taczanowski nie miał przed sobą żadnego zdecydowanego planu, postanowiła opuścić Pyzdrę i, ponieważ główne siły rosyjskie zagrażały od północy i zachodu, pomaszerować na południe, by potem półobrotem w lewo, obejść nieprzyjaciela i uskoczyć ku Kołu, już za jego linią operacyjną. Taczanowski, odpocząwszy sobie cały dzień następny, d. 1 maja wyruszył z Pyzdr i puścił się na południe ku Choczowi, uparcie i lekliwie trzymając się granicy, z czego wnioskować należy, że przy silniejszym ataku zamierzał schronić się za jej słupy, co wcześniej czy później w takich warunkach nastąpić musiało i zmarnować ten kosztowny wysiłek wielkopolski. Przez tydzień blisko odbywał on teraz forsowne, uciążliwe i wyczerpujące marsze, nie zatrzymując się prawie nigdzie dłużej, tak, że żołnierze nie mogli sobie stawy ugotować i żywili się tylko wódką i chlebem. Wielu łazęgów zostawało na drodze, wielu dezertowało, tak że, jeżeli można wierzyć niektórym doniesieniom, bywały noce, w których po stu kilkudziesięciu ludzi naraz opuszczało potajemnie szeregi¹⁾. Gdy zwracano Taczanowskiemu uwagę na tę okoliczność i przedstawiano, że nawet najkrwawsza bitwa nie przyniosłaby takich strat, odpowiadał: „choć mały oddział mieć, ale do interwencji dotrzymać“. Było w tem trochę słuszności, boć przecie gdyby oddziały zbrojne przestały istnieć, upadałaby racya interwencji, ale rzecz leżała w pytaniu: czy w istocie można było liczyć na interwencję i czy Taczanowski wierzył w to, co mówił. Bądź co bądź, to pewna, że postanowił on unikać stanowczego starcia, wymykać się nieprzyjacielowi, o ile się

¹⁾ *Wyssogota-Zakrzewski*. („W czterdziestą rocznicę powstania“, p. 519).

tylko da i wtedy tylko atakować, gdy będzie pewność zwycięstwa.

Przybywszy okolnym marszem na Chocz do Rychwału, już miał na piętach Brunnera, który nakoniec zdobył się na tyle energii, że wyruszył z Kalisza z kolumną, liczącą dwanaście kompanii piechoty, szwadron huzarów Marynpolskich, setkę objeszczyków i cztery działa, czyli, że jeżeli nie przewyższał co do liczebności Taczanowskiego, to był mu przynajmniej równy, górując nad nim artyleryą i uzbrojeniem. Dowódca polski, trzymając się swego systemu unikania starcia, odskoczył forsownym marszem do Koła, które d. 6 maja po południu zajął. Ale niebawem ukazał się Brunner od strony wsi Kościelca. Taczanowski kazał zerwać most pływający na Warcie, a gdy prócz tego Brunner swoim zwyczajem działał opieszale, tchórzliwie i ostrożnie, starcie skończyło się na obustronnym ogniu tyralierskim, a z zapadnięciem ciemności powstańcy rozłożyli się w mieście, a Rosyanie za Wartą na błoni, wzajem się obserwując. Nazajutrz, o świcie, Taczanowski opuścił Koło i rzucił się wylotem na północ ku lasom Lubstowskim, defilując przed Brunnerem, stojącym za rzeką z bronią u nogi.

Położenie było takie, że oprócz Brunnera, zagrażał jeszcze powstańcom generał Krasnokucki, który, jakśmy to wyżej wspomnieli, wysłany był z Warszawy z silną kolumną dla ostatecznego rozbicia „band kujawskich“, jak mówiono w stolicy. W Kole spotkał on się był przed tygodniem ze zwycięzcą Younga, generałem Kostandą i nie wiedząc, gdzie się znajduje Taczanowski, rozdzielili się dla wyszukania tegoż. Krasnokucki kręcił się w okolicy Koła, Kostanda w okolicach Brdowa i Sompolna. Otóż, Taczanowski, zająwszy Koło i maszerując teraz ku Lubstowu, wpadał, rzecz można, w sam środek trzech kolumn rosyjskich: Brunnera, Krasnokuckiego i Kostandy, z których każda pojedynczo wzięta, była mu co najmniej równa co do siły, i tym sposobem nie spełniał zadania swego, unikania starć poważniejszych, a zmęczony i wyczer-

pawszy forsownymi i bezcelowymi marszami swój oddział, narażał go na niechybną klęskę. Nie wiedząc nic, jak sam zapewniał¹⁾, o kolumnie Kostandy, widział przed sobą tylko dwa wyjścia, albo unikając boju, rzucić się w bok ku Przedeczowi i nowymi, wytężonymi marszami wyprzedzić depeczęcych mu po piętach Brunnera i Krasnokuckiego, albo też na obranej pozycji stawić im mężnie czoło. Sam Taczanowski, zgodnie z planem swego działania, przechylał się ku pierwszemu z tych zamysłów, zwłaszcza, że mniej więcej świadom był siły dwu zagrażających mu korpusików, które w rzeczy samej były o wiele od niego mocniejsze, ale wobec nadzwyczajnego znużenia swego oddziału, który w ostatnich marszach, jakśmy to rzekli, pozostawił na drodze mnóstwo łąęgów, musiał się wyrzec zamiaru uniknięcia, przy pomocy nowych pochodów, boju. Pozostawała więc druga alternatywa. Siły oddziału polskiego, wzmocnione nieco rozbitkami partyi Younga, w chwili, gdy zatrzymał się d. 7 maja po południu w lasach Lubstowskich, mogły wynosić około 1200 ludzi, w tem zaledwie połowa uzbrojona w broń palną. Strzelcy ci, jak ich zwano, w liczbie 540 karabinów, podzieleni na siedem kompanii, znajdowali się pod komendą pułkownika Witolda Turny, i stanowili główny i jaką taką wartość bojową przedstawiający rdzeń oddziału. Obóz rozbito w niewielkiej, wśród lasu położonej wiosce Ignacewo, przy trakcie, prowadzącym do Kleczewa.

Tutaj to, około północy, przyszło uwiadomienie, że najpóźniej dnia jutrzejszego zostanie zaatakowany przez dwie kolumny rosyjskie Brunnera i Krasnokuckiego. Taczanowski, jak to zawsze zwykł był czynić, zwołał radę wojenną, co źle świadczyło o jego charakterze i zdolnościach wojskowych. Rada ta zebrała się w namiocie hr. Jana Działyńskiego, i ostatecznie, wobec zmęczenia oddziału, który w razie dalszych marszów byłby się rozprzegł i stopniał zupełnie, zdecydowano się dać pole zbliżającemu się

¹⁾ Czytaj jego raport w „Wiadomościach z pola bitwy“, Nr 11.

nieprzyjacielowi. Taczanowski, chcąc mieć wszelkie możliwe szanse za sobą, zaproponował, ażeby obozowisko otoczyć szaniami od tej strony, z której spodziewano się ataku. Był to pomysł bardzo dobry, gdyż taki niewyćwiczony i nieostrzelany żołnierz, jakim był powstaniec, zawsze lepiej i uparciej się bije, gdy jest czemś osłonięty, i jednym z zarzutów, które stawić należy dowódcom polskim w r. 1863, jest ten, że nigdy nie urządzali takich chwilowych fortyfikacji, nie osadzali się we wsiach pod pozorem, że nieprzyjaciel je spali, ale w ogromnej większości wypadków przyjmowali walkę w otwartym polu. Nieprzyjaciel wieś, z której powstańcy wyszli, zawsze spalił i zrabował, a ich samych w otwartym polu wyższością swą broni i wyćwiczenia pokonał. Nie osiągnano więc tym sposobem zamierzonego celu i, co gorsza, narażano się na ciężkie porażki. Projekt zatem Taczanowskiego był dobrze pomyślany, ale napotkał opór ze strony jego szefa sztabu, majora Strzeleckiego, który wbrew oczywistej prawdzie twierdził, że „żołnierz niewprawny źle się bije za szaniami”. Taczanowski na razie, z karygodną słabością ustąpił, i rada się rozeszła w oczekiwaniu jutrzejszego starcia, nie nie przygotowawszy dla zapewnienia sobie, jeżeli nie zwycięstwa, to przynajmniej długotrwałego oporu.

Gdy się to działo w obozie polskim, tymczasem dwaj komendanci rosyjscy, Brunner i Krasnokucki, zeszli się w Kole i zasiągnąwszy wiadomości, w którą stronę udał się Taczanowski i gdzie się zatrzymał, postanowili go atakować. Siły ich stosunkowo były bardzo znaczne. Brunner, jak wiemy, miał pod sobą 11 kompanii piechoty, dwa szwadrony huzarów, setkę objęszczyków i 4 działa, ogółem przeszło 2000 ludzi, sam więc przeważał liczebnością powstańców; Krasnokucki wiódł trzy kompanie piechoty, 60 saperów, dwa szwadrony huzarów Grodzieńskich, dwa działa artylerii konnej i 27 kozaków, czyli około tysiąca bagnetów i szabel¹⁾. Obaj więc prawie w dwójnasób prze-

¹⁾ Rachunek nasz jest raczej za mały, jak za wielki. Liczymy

wyższali liczebnością powstańców, i w tych warunkach, przy sześciu działach, wyższości broni i sprawności wojkowej, rezultat jutrzejszego boju, nie mógł być ani na chwilę wątpliwym.

Na szczęście, zwykła w tej porze między komendantami rosyjskimi zawiść wzajemna i emulacya, rezultat ten uczyniła o wiele mniejszym, niż sądząc po wszystkiem, spodziewać się należało. Brunner, dotychczas samowładny w swym rejonie satrapa, niechętnie widział przybywających z Warszawy jenerałów, którzy do jego spraw się mieszały i sławę taniego zwycięstwa z rąk mu wyrwali. Ułożyli się oni ze sobą, że jednocześnie zaatakują obozującego w Ignacowie Taczanowskiego z dwu przeciwnych stron, a mianowicie, że Krasnokucki wyruszy z Koła prostą drogą na Lubstów i uderzy na powstańców od czoła, weźmie byka za rogi, podczas gdy Brunner okólną drogą na Sompolno okrąży obozowisko Ignacewskie i dosiebniem uderzeniem z tyłu dobije ich do reszty. Plan byłby dobry, gdyby nie to, że Krasnokucki miał krótszą a Brunner dłuższą drogę przed sobą i należało przypuszczać, że ten ostatni później przybędzie na plac boju, zwłaszcza, że obaj jenerałowie dość kwaśno się rozeszli, a w takim ich wzajemnem usposobieniu niewątpliwą było rzeczą, że Krasnokucki będzie się spieszył, by samemu pokonać Taczanowskiego i uszczknąć wawrzyn chwały wojennej, Brunner zaś mając przesadzone pojęcia o sile oddziału polskiego, umyślnie się spóźni, by narazić warszawskiego swego współzawodnika na niechybną, jak sądził, klęskę, nagłem przybyciem wyratować go z niebezpieczeństwa i tym sposobem zdobyć sobie zaszczyt ocalenia honoru oręża rosyjskiego, wystawionego na szwank przez nieroz-

w kompanii 150 ludzi, kiedy właściwie rota rosyjska zawiera 200 do 220 żołnierzy. Niewątpliwie, że Brunner i Krasnokucki razem wzięci, mieli pod swą komendą przeszło 3000 wojska. Polskie źródła obliczają ich na 5000 ludzi, a cyfra ta niewiele się różni od tej, jaką postawićby należało, rachując 220 żołnierzy w kompanii.

sądne go generała stołecznego, nie znającego ani kraju, ani ludzi.

Jakoż zanosilo się na to, że te zamysły dusz niskich i zawistnych, o mało nie zmieniły się w rzeczywistość. Krasnokucki nie chcąc wcale zostawić czasu Brunnerowi, by wykonać mógł swój marsz okolny, zerwał się o świcie, bo o godz. 4 rano d. 8 maja i ruszył pospiesznym marszem ku Lubstowu. Przybywszy tutaj około godz. 7 rano, wśród prześlicznego poranku majowego, zatrzymał się na pół godziny, by dać odetchnąć nieco swej kolumnie, poczem zaraz pomaszzerował ku Ignacewu. Na wiorstę przed tą wioską stanął i wysłał podjazd kozacki pod wodzą kapitana Tarasenkowa, żeby rozpatrzył pozycję powstańców. Wiadomości, jakie rekonesans przywiózł, nie były wcale pocieszające. Tarasenkow przelotnie i z teńhorzliwą niespokojnością obejrzawszy obozowisko polskie, donosił, że stanowisko powstańców jest nadzwyczaj silne, otoczone potężnymi fortyfikacyami polowemi, osadzone poważną siłą zbrojnych, najeżone armatami, słowem, bardzo trudne do wzięcia wstępnym bojem. Krasnokucki, słysząc to, zachwiał się w swej dotychczasowej pewności zwycięstwa, ale piwo było już nawarzone i wypić go należało. Cofnąć się lub oczekiwać na przybycie Brunnera było tem samem podzielić się chwałą tryumfu z nienawistnym współzawodnikiem. Krzepiąc się więc na duchu, ruszył naprzód ku Ignacewu.

Wiadomości, przywiezione przez Tarasenkowa, zwłaszcza o owych fortyfikacyach polowych, były w części prawdziwe. Gdy bowiem około godz. 7 rano przysła do obozu polskiego wiadomość, że nieprzyjaciół jest już w Lubstowie, Taczanowski, nie zważając teraz (niestety! trochę zapóźno), na to, co powie jego szef sztabu Strzelecki, kazał na gwałt sypać szańce i stawiać barykady. Pozycja sama z natury była dość silną. Kolonia Ignacewo składała się z siedmiu czy ośmiu chałup, leżących tuż pod lasem, zbudowanych z potężnych berwion i tworzących z przecinającym ją gościńcem Kleczewskim, kąt prosty.

Tylne zabudowania gospodarskie przyparte były do samego lasu. Na trzysta kroków przed frontem wioski, toczył się leniwie strumień wśród bagnistych i trudnych do przebycia dla jazdy i artylerji, łąk, tak, że od czoła kolonia mogła być atakowana tylko po wąskiej grobli, przez którą biegł trakt do Lubstowa, t. j. w stronę, z której nieprzyjaciół się zbliżał. Teraz Taczanowski w pospiesznych i gorączkowych przygotowaniach do boju, przedewszystkiem dla dania wolnego pola swoim pociskom, kazał wyciąć stare, rosochate wierzby, gęsto rosnące po obu stronach gościńca, i mogące stanowić zasłonę dla nieprzyjaciół i drzew tych użył do sypanych na gwałt szańców i barykad. Prócz tego, na trakcie z Ignacewa do Kleczewa, za lasem, znajdowała się znaczna ilość wielkich kamieni, belek i desek, przeznaczonych na mosty do mającej się tu budować szosy. Wszystek ten materiał ze zdumiewającą energią i szybkością zwieziono do Ignacewa i z niego utworzono rodzaj improwizowanych barykad, łączących ze sobą wszystkie chałupy Ignacewskie. Na nieszczęście zbyt mało miano czasu, by tym osłonom nadać tęgosc i opornosc należytą, a przytem zdołano opuklerzyć tylko środek i prawe skrzydło pozycji, lewy zaś flank, tworzący z czołem, wskutek konfiguracji gruntu, kąt prosty, pozostał całkiem odkryty, gdyż pojawienie się Krasnokuckiego i rozpoczynająca się niebawem walka nie pozwoliła na zupełne ukończenie zamierzonego obarykadowania. Wszystkim mieszkańcom Ignacewa kazano się wynieść z inwentarzem i ruchomościami do lasu, na tyły oddziału. Chłopi z płaczem i narzekaniem, część swej chudoby pokryli w dołach od kartofli, a z resztą dobytku schronili się do lasu, napełniając go płaczem i okrzykami przestrachu.

Za temi, naprędce, stąd nietrwale, zbudowanemi barykadami, Taczanowski rozstawił swych strzelców, wzmoćniwszy ich linię dwoma posiadanemi wiwatówkami, które tak umieszczono, by ciągłiwemi strzałami przeszywały kolumnę nieprzyjacielską, wdzierającą się na groblę. Rezerwę w głębi lasu stanowili kosynierzy i jazda, tu i owdzie

rozrzucona na różne boczne posterunki, w większej ilości skupiona na lewym skrzydle. W takiej pozycji i w takim szyku czekano wroga.

Zbliżał on się bardzo ostrożnie i z widoczną obawą. Krasnokucki oddział swój uformował w trzy linie. W pierwszej postępowała jedna kompania strzelecka i saperzy, mając w pośrodku dwa działa; w drugiej znów jedna kompania i oba szwadrony huzarów. Obie te linie poprzedzali tyralierzy pod wodzą majora Kroka. Gdy ci ostatni zbliżyli się na strzał karabinowy, powitani zostali z poza barykad i domów Ignacewa dobrze utrzymanym, rześkim i morderczym ogniem powstańców. Tyralierzy rosyjscy, postępując wolno naprzód w metodycznym porządku, zatrzymani na koniec zostali ową strugą błotnistą, osłaniającą od czoła pozycję polską i mokradła te przez długi czas tamowały ruchy Krasnokuckiego. Napróżno wysunął on oba działa swoje i na blizki dystans (bo na 170 sążni) zasypał okopiska polskie zrazu gradem kartaczy, a następnie granatami; Polacy nie ustępowali i ciężkie straty zadawali odsłoniętym szykom nieprzyjacielskim. Tyralierka rosyjska rozwlekła się wzdłuż strumienia, pokładła się na ziemi i utrzymywała tę ciężką dla siebie walkę, w czasie której Krasnokucki nabył przekonania, że atak na obarykadowany środek i prawe skrzydło polskie jest prawie niemożliwy i że jedyna nadzieja zwycięstwa leży w pokonaniu lewego skrzydła powstańczego, jak wiadomo, zgola nieoszańcowanego. Ale jak się dostać do tego skrzydła przez strugę i bagna?

Na nieszczęście znalazł się zdrajca, jakiś Niemiec kolonista, który wskazał Krasnokuckiemu drogę, prowadzącą przez moczary i pozwalającą Rosyanom nie tylko przekroczyć przez nie, ale nawet obejść lewe skrzydło polskie. Wódz rosyjski nie omieszkał z tego skorzystać; utrzymując dalej strzelaninę od czoła, pchnął całą jedną kompanię pod wodzą kapitana Salingre, ażeby wskazaną drogą obszedł rzeczony flank polski. Jakoż niebawem ukazał on się z boku i z tyłów lewego skrzydła powstańczego i po

krótkim, na blizki dystans wymierzonym ogniu, zdołał zająć parę skrajnych domów i rzucić popłoch na tę część szyku polskiego. Taczanowski, mając tak opuchłe nogi, że jęczał z bólu i tylko na wózku przenosił się z miejsca na miejsce, nie mógł na razie dostrzedz, co się dzieje na jego lewym, gdyż oddzielał go od tegoż gęsty las; zauważywszy jednak osłabienie ognia nieprzyjacielskiego od czoła, zaniepokoił się tem mocno, a niebawem też nadbiegła wiadomość o ataku na wzmiankowane skrzydło. Wysławszy zaraz jedną kompanię strzelców na pomoc chwiejącej się lewej skrajnej swojej, sam dosiadł konia i poprowadził tamże dwie kompanie kosynierów. Niestety! było to już do pewnego stopnia nadaremne. Nadciągnął bowiem generał Brunner, spóźniwszy się o całe cztery godziny, tłómacząc się tem, że gdzieś tam w marszu, w jakimś bliżej nieokreślonym miejscu¹⁾ napotkał most zerwany i musiał drogi nakładać. Po żwawej i gwałtownej kłótni z Krasnokuckim, tak ostrej, że ten ostatni wyzwał zawistnego i tchórzliwego kacyka kaliskiego na pojedynek, poparto ustępującego w nieładzie pod dzielnym atakiem kosynierów, Salingrego, czterema kompaniami z kolumny Brunnera. Gdy jeszcze debuszujących z lasu kosynierów zaatakowało sześć szwadronów huzarów, powstańcza sieczna falanga zachwiała się i poszła w rozsypkę. Nieprzyjaciel ruszył naprzód, rozbił lewe skrzydło i uderzył z boku i tyłu na barykadę środkową, popierając to uderzenie atakiem od czoła. Powstańcy uparcie i po bohatersku bronili się w domach Ignacewa, które się zapaliły, ale otoczeni ze wszech stron, szukali na koniec ocalenia w ucieczce.

Bój Ignacewski uważać należy za jeden z najkrwawszych w powstaniu. Toczył on się przez kilka godzin z rzędu z zaciętością i męstwem. Straty obustronne były znaczne; nieprzyjaciel dopóki nie dostał się poza strumień i bagna, dopóty ponosił większe ofiary, gdy jednak roz-

¹⁾ Czytaj jego odpowiedź N. Bergowi p. t. „Starcie pod wsią Ignacewem”. (Russ. Starina z r. 1879).

tracił lewe skrzydło i uderzył na barykadę środkową i prawą od tyłu i z boku, przewaga strat padła na stronę polską. Zginął Strzelecki, szef sztabu, w obronie prawej barykady; zginął dowódca strzelców Witold Turno, zginęło wielu innych. Nieprzyjaciół okrutnie się pastwił nad rannymi i wziętymi do niewoli. Wielu rzucał w gorejące domy, przywiązywał do drzew i tak kłuł bagnietem, to też jeńców prawie nie było. Jeżeli można wierzyć raportom rosyjskim, to cały las był zasiany trupami nieszczęśliwych powstańców. Wróg zdobył oba działka, wysadzone z panwi i na pół rozbite, znaczne zapasy prochu, wreszcie dużą ilość broni.

Straty rosyjskie, jak powiadamy, musiały być i były zapewne bardzo dotkliwe i tem się tylko tłómaczy rozdrażnienie Krasnokuckiego i jego wybuch gniewu w chwili, gdy ujrzał nakouiec tak długo nieobecnego Brunnera. Zwłaszcza z początku kolumna jego, wystawiona na otwartym polu na morderczy ogień, wiele ucierpieć musiała. W raportach swoich przyznaje on się do 24 zabitych i 71 rannych, ale wiemy, co należy trzymać o wiarogodności raportów rosyjskich. Przesadzając siły Taczanowskiego, obliczając je na 2500 „samyh landwerzystów pruskich“, uzbrojonych jakoby w karabiny iglicowe, co jest najzupełniejszym fałszem, Krasnokucki starał się wykazać swe bohaterstwo, że sam jeden w tysiąc paręset ludzi odniósł tak świetne i tak stanowcze zwycięstwo. Otrzymał też za to złotą szablę z brylantami i napisem: „za waleczność“, a Brunner został usunięty z prokonsulatu kaliskiego¹⁾.

Nie ulega wątpliwości, że bój Ignacewski był jednym z największych w wojnie 1863 r. i że klęska ta zadała

¹⁾ Taczanowski o mało nie schwytyany w tym boju przez huzarów rosyjskich, szczęśliwie dostał się za kordon pruski, powierzając dowództwo oddziału, a raczej pozostałej garstki Janowi hr. Działyńskiemu. Ten rozbitków uprowadził ku Kleczewowi i w lasach Kazimierowskich, widząc tak marnie zatracony największy wysiłek Wielkopolski, zapłakał i kazał się rozejść. Broń zakopano, ale tak nieszczęśliwie, że ją nieprzyjaciół pod wodzą Kostandy odszukał

ciężki cios powstaniu Kujawskiemu. Już ono od tej pory podnieść się nie mogło, a potyczki jego późniejsze nie mają żadnego znaczenia historycznego, na bieg wypadków w niczem wpłynąć nie mogły i nie wpływały w rzeczy samej. Wszakże, z drugiej strony, walka za barykadami Ignacewa należała do rzędu tych faktów, które w sferach rządzących w Petersburgu wywoływały zdziwienie, niesmak i stronnictwo wrogiemu Polsce dawały potężną broń do ręki. Jakto? pytano, w kraju, w którym wszystkie ważniejsze punkty zajmuje przeszło stotysięczna armia, w którym są liczni naczelnicy wojskowi z władzą nieomal nieograniczoną, tworzy się, organizuje silny oddział powstańczy, liczący, jak opiewa raport Krasnokuckiego, 2500 doskonale uzbrojonych i wyćwiczonych żołnierzy, okopuje się, walczy przez kilka godzin, zadaje ciężkie straty przeciwnikowi? Więc cóż to jest za rząd ten rząd wielkoksiażący w Polsce, który dopuszcza do czegoś podobnego? Czyż nie należy raz z tem skończyć, zdusić to powstanie, które nam tyle kłopotów i nieprzyjemności sprawia, usunąć W. Księcia i zaprowadzić żelazne i energiczne rządy wojskowe? Wszystkie te zdania i oskarżenia miały tylko pewną rację, bo cóż był winien W. Książę i Wielopolski, że miał takich wykonawców i takie narzędzia, jak Brunner, Wittgenstein, Bremsen, Raden i inni, rabusie, tchórze, łotry i głupcy?

Ale ten szereg krwawych i głośnych faktów, które z budzącą się do nowego życia i pełną uroku wiosną, rozbrzmiewały w Polsce, a przedostając się do dzienników zagranicznych, stulejczną obiegały wieścią o zwycięstwach powstańczych i klęskach rosyjskich, nie miały zakończyć się na Stefankowie, Nowej wsi lub Ignacewie. Właśnie

i zabrał w ilości 250 sztucerów, 400 kos, kilku siodel itp. (N. Berg III, 126). Z rozbitków partyi Younga, Seyfrieda i Taczanowskiego uformował się nowy oddział, zrazu pod wodzą Oborskiego, następnie Calliera, uwijał się jakiś czas po Kujawach, Kaliskiem i Sieradzkim, ale nie wywarł na wypadki żadnego wpływu i dlatego dzieje jego pomijamy.

w tej porze, mniej więcej jednocześnie z katastrofą Ignacewską, wielkiego rozgłosu nabyły wypadki w województwie Lubelskiem i dały światu ponowne widowisko tryumfu powstańczego i porażki rosyjskiej.

W tych stronach, od czasu wzięcia do niewoli Lewandowskiego, nie zaszło nic ważniejszego. Uwijały się różne drobne oddziały, to Lelewela, to Krysińskiego, to Rudzkiego, Zielińskiego, Czerwińskiego i innych, ale nie nadawały powstaniu tutejszemu ani tęgości, ani nawet tej efemerycznej sławy, którą umieli sobie zyskać dowódcy polscy w innych częściach kraju. Mówiliśmy już poprzednio o Lelewelu, a właściwie Borelowskim, który z podrzędnego rzemieślnika warszawskiego przerobił się na dowódcę powstańczego i oczywiście okazał o tyle nieznamośności wojny, ile nieudolności zupełnej. Ale właśnie rewolucyjnie usposobione stronnictwa usiłowały i usiłują po dziś dzień podnieść do niezwyklej genialności tępą i ciasną głowę tego studniarza, nagle przemienionego na pułkownika, i jeżeli imię jego cieszy się sławą, to zawdzięcza ją wyłącznie tym sztucznym usiłowaniom stronnictwym.

Drugi z tych dowódców, wspomniany wyżej Krysiński, o wiele był zdolniejszy od Lelewela i posiadał wrodzony talent wojskowy, który mu nieraz znaczne oddawał przysługi. Zwłaszcza jego marsze i kontrmarsze słusznie przez znawców sztuki wojskowej są wysoko cenione¹⁾, ale z tem wszystkiem i on dopuszczał się licznych nadużyć, tak pospolitych między dowódcami powstańczymi tej doby. Pewnego dnia np. przysłał umyślnego posłańca do Lublina, z surowym rozkazem do miejscowego powstańczego naczelnika powiatu, ażeby dostawił niezwłocznie do obozu kilka dziewczyn²⁾. O innych dowódcach i ich działalności, o ile ta zasługuje na zaznaczenie w historii, powiemy we właściwem miejscu, tu tylko to dodać należy, że w ogóle

¹⁾ Czytaj pod tym względem uwagi *J. Franca L. von Erlacha*, *Die Kriegführung der Polen im Jahre 1863*, p. 74 i nast.

²⁾ Relacya Karola Majewskiego.

powstanie w Lubelskiem, o ile początkowo było dość silnem, o tyle teraz, z rozpoczynającą się wiosną, dość ospale było prowadzone.

Dla ożywienia go, dla nadania mu większej tęgości, poczęły się organizować nowe oddziały w Galicyi, głównie za staraniem ks. Adama Sapiehy, który o ile był przeciwny wyprawom do t. z. Prowincyi zabranych, o tyle skoro już powstanie w Królestwie raz wybuchło, gorąco je popierał. Jedną z takich wypraw powierzono Leonowi Czechowskiemu (nie trzeba go mieszać z Dyonizym Czachowskim, wojującym w Sandomierskiem), żołnierzowi z r. 1831, noszącemu tytuł pułkownika, członkowi Zjednoczenia w Paryżu, siwowłosemu starcowi, ale ruchami i całą swą postacią świadczącemu o rzeźkości prawie młodzieńczej. Oddział jego, dzięki zabiegom Sapiehy, doskonale stosunkowo uzbrojony i zaopatrzony, formował się w okolicach Sieniawy w Galicyi, z tym zamiarem, żeby suchą granicą wkroczyć w drżące Lubelskie. Składał on się z dwu kompanii uzbrojonych w sztucery z bagnetami, z jednej kompanii karabinierów, jednej kosynierów i około 50 koni jazdy. Ogółem od 500 do 600 ludzi¹⁾.

Partya ta przeszła granicę d. 15 marca, koło wsi Luchowa i pomaszerowała do Tarnogrodu, gdzie miejscowe, pocziwe mieszczaństwo przyjęło ją bardzo serdecznie i gościnnie. Czechowski jednak, zamiast po krótkim wypoczynku, ruszyć wyteżonym marszem w głąb kraju, by się jak najdalej odsadzić od granicy, skierował się na zachód i posuwając się wzdłuż kordonu, z widoczną obawą i za-

¹⁾ *N. Berg* III, 129, opowiada, że samych strzelców miało być 500, że na czapkach mieli trupie główki i nosili nazwę «nieśmiertelnych», że dowodził nimi Żalplachta (Zapałowicz), major wojska austriackiego. W polskich, znanych nam źródłach tych szczegółów nie znajdujemy i wydają się one nam wątpliwymi, zwłaszcza, że cyfra 500 strzelców jest stanowczo przesadną. W «*Żurnale wojennych dzieł*» Nr 14 spotykamy wiadomości, że między trofeami, zdobytymi przez Rosyan na oddziale Czechowskiego, znajdowała się maszynka do wyciskania owych czapkowych trupich główek.

miarem, by w razie silniejszego nacisku poszukać w Galicyi bezpiecznego schronienia, zatrzymał się w lesie, należącym do wsi Potoka, tuż nad granicą. Szedł bardzo wolno, tak, że na marsze od Luchowa do Tarnogrodu i Potoka stracił aż sześć dni i zrobił tylko tyle, że jazda wysłana do niedalekiego miasteczka Krzeszowa, ściągnęła z tamtejszych żydów nieco pieniędzy. Na tem porzeczano i wogóle całe postępowanie Czechowskiego i marnowanie rzeczy tak drogiej na wojnie, jak czas, świadczy, że nie miał on ani chęci, ani zamiaru prowadzenia wojny i z góry skazał swój oddział na zatracenie.

Ten przydługi nieco pobyt między Luchowem, Tarnogrodem i Potokiem, nie mógł oczywiście ująć uwagi garnizonu rosyjskiego w Janowie Ordynackim. Dowodził tam pułkownik Miednikow, ten sam, który w początkach powstania uparcie ścigał oddział Zdanowicza i Frankowskiego, przeszedł za nim Wisłę i ostatecznie rozbił pod Sandomierzem. Jeżeli jednak wtedy okazał wiele energii, tak niezwykle u dowódców rosyjskich w tej dobie, wiele uporu i zaciętości, a zarazem roztropności, to tym razem wszystkich tych przymiotów w jego rozporządzeniach i operacjach dopatrzeć się nie można. Wiadomość o pobycie Czechowskiego w Tarnogrodzie przyszła do Janowa dopiero d. 19 marca wieczorem, stąd wniosek, że dowódca polski miał przed sobą trzy do czterech dni, z których powinien był skorzystać i rzucić się po prostej linii na północ w głąb kraju i odskoczyć od fatalnej granicy galicyjskiej. Przy woli czujnej i sprężystej jakże daleko można było zajść przez te cztery dni. Wiemy, że tego nie zrobił, że gnuśnie spoczywał w Tarnogrodzie, a później w Potoku, zmarnował oddział i napróżno przelał krew walecznych swych żołnierzy.

Wiadomości, które otrzymał Miednikow w Janowie były dość bałamutne i, jak zwykle na wojnie bywa, przesadzone. Mówiono dużo o pobycie powstańców w Tarnogrodzie, wspomniano o ich marszu na zachód, o pojawieniu się ułanów polskich w Krzeszowie, ale ścisłych danych tak

o kierunku ich pochodu, jak i sile nie umiano powiedzieć. Twierdzono więc, że partya Czechowskiego liczy od 20 do 30 tysięcy wybornie uzbrojonych ludzi. Miednikow dobrze zrobił, że tym widocznym bajkom nie uwierzył, jednakże redukując tę cyfrę do *minimum*, przypuszczał, jak o tem później w raporcie urzędowym donosił, że co najmniej ma przed sobą jakieś tysiąc ludzi, przeważnie byłych żołnierzy austriackich i przez takichże oficerów dowodzonych. Nie posiadając pewnych wiadomości, gdzie się właściwie Czechowski znajduje, czy w Tarnogrodzie, czy w Krzeszowie, zdecydował się wystąpić przeciw niemu dwoma kolumnami, skierowanymi na oba te miasteczka. Jedną z nich, mającą maszerować ku Krzeszowu, traktem na Hutę Krzeszowską i wieś Charasinki, złożoną z półtory kompanii piechoty i plutonu ułanów, a więc około 300 ludzi, powierzył kapitanowi Zawadzkiemu; druga, zawierająca dwie kompanie piechoty, 37 kozaków i objeszczyków, pod wodzą majora Sternberga ruszyła wprost na Tarnogród. Obie te kolumny wystąpiły z Janowa o świcie d. 20 marca.

Zaledwie jednak te dwa korpusiki puściły się do celu swego przeznaczenia, gdy do Janowa nadbiegła wiadomość, że nowy oddział powstańczy przeszedł granicę koło Krzeszowa i połączył się z Czechowskim. Gdyby się Miednikow zastanowił, byłby zapewne spostrzegł, że relacja ta jest nieczem innem, jak powtórzeniem znanej nam już wiadomości o pobycie jazdy powstańczej w Krzeszowie w celu ściągnięcia z żydów tamtejszych kontrybucyi wojennej. Nie domyślił się on jednak tego i, przyjmując wieść tę za prawdziwą, zaniepokoił się mocno. Jeżeli, myślał sobie, sam Czechowski liczy tysiąc ludzi i jeżeli otrzymał nowe posiłki, to ani Sternberg, ani Zawadzki, nawet gdyby się połączyli, nie dadzą mu rady, a co gorsza, oddaleni od siebie i działający w odosobnieniu, mogą być pojedynczo napadnięci przez przeważne siły powstańcze i po kolei pokonani. Nie pozostawało mu nic innego, jak co prędzej spieszyć im na pomoc. Jakoż w nocy z d. 20 na 21 marca wyruszył z Janowa sam na czele jednej kompanii strze-

lekiej, którą wsadził na spędzone z okolicy podwody, plutonu ułanów i 30 kozaków, by forsownym marszem dotrzeć do Krzeszowa i stamtąd podać rękę albo Sternbergowi, albo Zawadzkiemu. Tym sposobem zagrażało spokojnie drzemiącemu Czechowskiemu w lesie Potockim, około tyśiąca bagnatów i szabel, które zachodząc z dwu stron, mogły go zdusić za jednym zamachem.

W rzeczy samej, to czego się obawiał Miednikow, że rozdzielone kolumny Zawadzkiego i Sternberga mogą być pobite przez powstańców, byłoby w istocie się stało, gdyby Czechowski był człowiekiem z głową, umiał skorzystać z nadarzającej się sposobności i gdyby miał szczerzy zamiar walczenia. Pierwszy bowiem natknął się na niego Zawadzki rankiem d. 21 marca. Przyjęty rżęsiwym, dalekonośnym i celnym ogniem przez powstańców, ukrytych na skraju lasu, po parugodzinnej strzelaninie, poniosłszy dość dotkliwe straty, wycofał się z boju z powrotem do wsi Charasinki i tu na radość swoją spotkał się z pospiesznie maszerującym Miednikowem. Na tego ostatniego, widok cofającej się, okrwawionej kolumny Zawadzkiego, wywarł takie wrażenie, że czempredziej wysłał rozkaz do Sternberga, ażeby co sił biegł ku niemu i z nim się połączył.

Tymczasem Czechowski, wyrwany palbą Zawadzkiego z bezczynności, po odparciu nieprzyjaciela i sam bardzo niewielkie poniosłszy straty ¹⁾, zwinął obóz pod Potokiem i poszedł do lasu pod Jedlinkami, oddalonego o dwie godziny zaledwo marszu od poprzedniego stanowiska. Pozycja była dobrze wybrana: czoło polskie, t. j. od strony, z której mógł nastąpić atak rosyjski, zakrywała rzeka Tanwia, na której był jeden tylko, łatwy do zniesienia most. Czechowski dla powodów, trudnych do zrozumienia,

¹⁾ Zginęło kilku ludzi, między nimi major b. wojsk polskich, Władysław Englert. Po upadku powstania listopadowego wyszedł na emigrację, brał udział w kampanii węgierskiej i włoskiej (należał do tyśiąca, którzy z Garibaldim bili się pod Marsalą) był nauczycielem w szkole wojskowej w Cuneo. Szczegóły o nim w «Pamiętniku dla rodzin polskich» II, 65.

mostu tego nie zerwał, ale dla jego ochrony zostawił pluton jazdy, sam zaś rozłożył się obozem w lesie pod Jedlinkiem. Miednikow zaś, zwyczajem swoim, raz już praktykowanym w wyprawie przeciw Zdanowiczowi, nie tracił z oczu ruchów powstańczych i połączony z Zawadzkiem puścił się za Czechowskim w kierunku Jedlinka. Jazda jego, ułani i kozacy, pierwsi dopadli powstańców i z niezaprzeczoną brawurą przebiegli ów, niewiadomo dlaczego pozostawiony most na Tanwi, rozbili strzegący go pluton i wpadli na obozowisko polskie. Na szczęście, powstańcy byli w większej części starymi żołnierzami austriackimi, szybko chwycili za broń i gęstym ogniem nie tylko powstrzymali śmiały ten napad, ale zuchwałych jeźdźców zmusili do szybkiego odwrotu, dość drogo okupionego, bo stratą na wężkim moście kilku kozaków, zarąbanych przez ścigającą ich jazdę polską.

Pojawienie się kawaleryi rosyjskiej ostrzegło Czechowskiego, że ma nieprzyjaciela na piętach. Cofnął się nieco ku Jedlinkom i tam na skraju lasu, okopanego od pola rowem, zajął pozycję. Niebawem nieprzyjaciel się ukazał. Miednikow, czy nabrał otuchy, czy z doniesień Zawadzkiego przekonał się, że oddział polski nie jest tak silny jak przypuszczał, gdyż obliczał go teraz na 750 ludzi, dość, że postanowił się z nim zmierzyć. Przeszedł więc most na Tanwi i uderzył na powstańców. Ale walka była nierówna. Rosyjanie stali na otwartym polu, kiedy Polacy dobrze byli ukryci. Po trzechgodzinnej gęstej i ze strony polskiej bardzo celnej strzelaninie, Miednikow okaleczony mocno ¹⁾, z zapadającym zmrokiem zwinął swą linię, prze-

¹⁾ Tutaj to prawdopodobnie zaszło zdarzenie, które opowiada J. Franciszek Erlach w swej niemieckiej książce p. t. «Die Kriegführung der Polen im Jahr 1863», p. 96. Czytamy tam co następuje: «Rosyjanie posuwali się szeroką linią. Na ich skrajnem lewym siedli oficer, pilnie patrzący przez lunetę. Jeden z polskich, naprzeciw niego stojących oficerów, zauważywszy to, odezwał się, że temu, ktoby trafił tego Rosyanina, da 20 kop. Pewien młody, pierwszy raz będący w ogniu strzelec, zażądał rubla. «Dobrze, dam ci rubla, jeżeli

szedł z powrotem most i cofnął się do wsi Gord Lipiński, z tem postanowieniem, ażeby czekać na przybycie kolumny Sternberga i wtedy, mając w ręku wszystkie swe siły, jeszcze raz spróbować szczęścia. Skoro nazajutrz d. 22 marca, niecierpliwie oczekiwany Sternberg zjawił się w Gordzie Lipińskim, Miednikow z cechującą go szybkością postanowienia ułożył plan następujący:

Ponieważ Czechowski, jak zapewniali szpiedzy i podjazdy kozackie, po starciu w lesie Jedlinki, ruszył w kierunku północno-zachodnim, a więc przypuszczalnie chciał doskoczyć do granicy galicyjskiej, gdzieś między Ułanowem i Janowem, więc Miednikow dla zagrozenia mu drogi, rozkazał Sternbergowi niezwłocznie pomaszerować na lewo i działać wzdłuż rzeczonyj granicy, sam zaś z Zawadzkiem poszedł śladem powstańców. Ci ostatni, wieczorem d. 21 marca, odrzuciwszy od siebie Miednikowa, puścili się dość wytężonym marszem w kierunku Huty Krzeszowskiej. Manewrowano całą noc z zachowaniem wszelkich ostrożności wojennych, z przednimi i tylnymi strażami. O świcie zatrzymano się na chwilę na polanie leśnej dla odpoczynku, gdyż ten marsz nocny wyczerpał zupełnie ludzi i zwierzęta. Wyszukano przewodnika, jak się zdaje, w zamiarze dostania się do granicy i wkroczone w gęsty las Ciośniński, dokąd przybyło koło godz. 10 rano w stanie niezmiernego znużenia. Tutaj to zaszło ostatnie, bardzo krwawe starcie.

Miednikow bowiem o świcie tegoż dnia przeprowadził się powtórnie przez Tanew i wsadziwszy piechotę na podwody, dopadł nakoniec Czechowskiego w lesie Ciośnińskim i zaatakowawszy powstańców od czoła, niebawem poparty przez nadchodzącego od lewej Sternberga, stoczył uparty

go trafisz». Odległość wynosiła jakie 700 kroków. Młodzieniec zmierzyl i dał ognia. Oficer padł. Młodzieniec zażądał zaraz swego rubla, gdyż nikt nie mógł zapewnić, co ich obu czeka i otrzymał go. Ten pierwszy strzał takie wywarł przygnębiające wrażenie na nieprzyjacielu, iż po słabym oporze, wziął się do odwrotu».

Ile w tem jest prawdy, nie wiemy.

bój ze zmęczonymi i wycieńczonymi partyzantami. Bój trwał od godziny 10 rano do 3 po południu. Parokrotnie dzielna młodzież polska rzucała się na bagnety, szła do ataku z pieśnią „Z dymem pożarów“, ale ostatecznie uległa przewadze wyćwiczonych żołnierzy. Oddział rozbity skupił się wieczorem u Huty Krzeszowskiej, poniósł bardzo poważne straty. Jeżeli można wierzyć raportom Miednikowa, to dwustu powstańców zaległo to pobojuwisko krwawe. Cały tabor, apteka polowa, ołtarz obozowy, wpadły w ręce zwycięzcy. Czechowski z pozostałą garstką dostał się do granicy galicyjskiej, którą przeszedł. by więcej na widowni powstania się nie ukazać, gdyż zapewne sam to czuł doskonale, że tę swoją krótką, kilkudniową kampanię sromotnie poprowadził, że nieudanie się jej zupełne, pomimo waleczności podległych mu żołnierzy, nikomu innemu, tylko sobie winien był przypisać. Zamiast bowiem skorzystać z kilku dni, które po wkroczeniu do Królestwa zostawili mu wodzowie rosyjscy i spiesznymi marszami rzucić się w głąb kraju, by tam wieść tę upartą, krwawą i męczącą wojnę, jaką tylu innych wiodło, on gnuśnie spoczywał w Tarnogrodzie i jego okolicy, niewątpliwie z tym już zamiarem, zapewne jeszcze w Galicyi powziętym, ażeby po pierwszym lepszym starciu z nieprzyjacielem, jak najprędzej wycofać się z niegościnnego Królestwa i schronić się do bezpiecznej Kapuy galicyjskiej. Wygląda to na złą wolę, że silniejszego nie użyjemy wyrazu, ale ogromna większość dowódców galicyjskich taką złą wolą się odznaczała.

Drugi bowiem przykład podobnej haniebnej ucieczki do Galicyi, wskutek upartego trzymania się jej słupów granicznych, miał dać, w miesiąc po chybionej wyprawie Czechowskiego, głośny niegdyś współzawodnik Langiewicza, niesforne pretendent do dyktatury, zazdrosny Jago-Jeziorański. Po schronieniu się wraz z Langiewiczem do Galicyi, siedział w Krakowie, boczył się na wszystkich, narzekał i grał rolę Kassandry, przepowiadającej rychły upadek powstania, widywał się z Mierosławskim, który,

jak wiadomo, w tej chwili potajemnie w Krakowie przebywał. Z tego powodu miano go w sferach szlacheckich za ukrytego Mierosławczyka, w czym się mylono, bo Jeziorański miał tę niezdrową ambicję dusz poziomych i zawistnych, które nie uznają nad sobą żadnej wyższości i tem samem nie należą do żadnego stronnictwa, a są z nadto nieudolne i z nadto słabe, by samym stworzyć stronnictwo i stać na jego czele. Zachęcany przez wielu, by wziął w dalszym ciągu udział w toczącej się krwawej walce, tłumaczył się słabością zdrowia, że „kilkumiesięczne (?) trudy obozowe stargały jego siły“, że potrzebuje wypoczynku, że spełnił już swą powinność, że każdy „powinien brać tyle ciężaru, ile jest w stanie udźwignąć“¹⁾. Były to oczywiście wymówki obrażonej nieudolności, że nie jemu, ale Langiewiczowi oddano najwyższą władzę, wymówki wreszcie tchórza, który się lękał walki. Już od samego początku objąwszy dowództwo nad oddziałem w Rawskim, nie myślał on na seryo o prowadzeniu wojny. Zamiast pozostać w okolicach Skierniewic i tam toczyć ten bój krwawy i beznadziejny niestety! jak to inni czynili, on wprost, bez potrzeby i rozkazu władz narodowych, ruszył na południe kraju, z niewątpliwym zamiarem przejścia wcześniej czy później do Galicyi. Był na tyle szczęśliwym, że dokonał tego nie pod własnem, ale Langiewicza imieniem, i po sześciotygodniowej wojaczce, przesadnie nazwanej „kilkumiesięcznymi trudami obozowymi“, znalazł się w Krakowie, by narzekać, zwälcać winę na innych i odzywać się, że spełnił już wszystko, co mógł spełnić, prawić o intrygach i wymawiać się od udziału w dalszej ciężkiej i strasznej wojnie.

Ale ponieważ powstanie nie posiadało dostatecznej liczby ludzi, obznajmionych z wojskowością, a Jeziorański uchodził za takiego, jako uczestnik kampanii węgierskiej, jako niedawny i do tego szczęśliwy dowódca powstańczy, więc z konieczności władze narodowe w Krakowie zwróciły

¹⁾ Czytaj jego „Pamiętniki“ II, 5 i nast.

się doń z propozycją objęcia komendy nad oddziałem, uorganizowanym w Galicyi. Zrazu Jeziorański odmawiał, prawiąc o „starganych siłach w życiu obozowym“, gdy jednakże nalegać nań począł stary Wysocki, jako dyrektor ówczesny wydziału wojny, ustąpił pod warunkiem, że tylko rozkazy należące ściśle do spraw wojskowych będzie wykonywał, oraz że będzie wiedział dokładnie, jakie środki będą mu dane do prowadzenia wojny. Wysocki w d. 24 marca mianował go naczelnym wodzem sił zbrojnych województwa Lubelskiego i oddawał mu oddział Czechowskiego, który obliczał na 800 ludzi, nie wiedząc widocznie, że oddział ten od dziewięciu już dni znajdował się w Królestwie, bił się tam i właśnie w tej porze pokonany, zmniejszony znacznie, zdemoralizowany zupełnie, chronił się przed pościgiem Miednikowa za kordon graniczny austriacki.

Jeziorański naczelną władzę nad całym województwem przyjął i w d. 26 marca w towarzystwie starego Waligórskiego, generała Langiewiczowskiego, oraz swego przyjaciela, członka sztabu dyktatury Tomasza Winnickiego, opuścił Kraków i udał się do wsi Wysocka pod Radymnem, gdzie miał na niego oczekiwać przyobiecany mu oddział. Ale już w Radymnie nowy naczelnny wódz lubelski dowiedział się o przejściu Czechowskiego do Galicyi. Sytuacja odrazu się zmieniła. Uwiadomiony o tem Wysocki polecił Jeziorańskiemu sformować nową partyę i na jej czele wejść do Królestwa. Ale wiemy już, że we wschodniej Galicyi formowanie oddziału bez wiadomości i bez pomocy ks. Adama Sapiehy było wprost niemożliwem. Sapieha zaś dość niechętnie był usposobiony dla Jeziorańskiego, miał go bowiem za Mierosławczyka, za człowieka, który głównie przyczynił się do upadku dyktatury Langiewicza, w czem „czerwony książę“ miał rację. W tem oskarżeniu oczywiście nie szło Sapiesze o samą dyktaturę, ale o to, że jej upadek był jednym z najcięższych ciosów, jakie poniosło powstanie, a człowiek, który przyłożył rękę do tego ciosu, nie mógł być dobrym Polakiem. Do tych wszystkich względów, powodujących, że Sapieha niechętnie

widział powierzenie naczelnego kierownictwa w Lubelskiem, Jeziorańskiemu, przyczyniła się jeszcze okoliczność następująca. W tym czasie, wskutek coraz częściej powtarzających się wypadków powrotu do Galicyi oddziałów usztyftowanych tamże z wielkim trudem i kosztem, czego najświeższym przykładem była niedołącznie poprowadzona kampania Czechowskiego, więc Wysocki, jako Dyrektor wydziału wojny, wydał w d. 25 marca w imieniu Rządu Tymczasowego, rozporządzenie; aby takich „uciekierów“, jak ich zwano, pociągać do surowej odpowiedzialności¹⁾. Z kolei rzeczy pierwszym, który powinien się wytłumaczyć ze swego postępowania, był niefortunny pułkownik Czechowski, a rozpatrzenie tego postępowania należało do nowego naczelnika wojewódzkiego Jeziorańskiego. Wysocki polecił mu też zbadać przyczyny tego haniebnego zakończenia wyprawy Lubelskiej i jeżeli jej dowódca okaże się winnym, surowy nań wyrok wydać. Czechowski usprawiedliwiał się, że obiecywano mu, jakoby w Lubelskiem miał znaleźć gotowe i znaczne siły, które się z nim połączą; nie znalazłszy ich, nie miał serca, podobnie jak później Wysocki pod Radziwiłłowem, prowadzić swych towarzyszy na rzeź; że z młodym żołnierzem, do którego nie miał zaufania, nie mógł zdobywać miast, w których stały załogi rosyjskie; że wreszcie trudność wyżywienia oddziału zmusiła go nakoniec do przejścia granicy. Całe to tłumaczenie nie wytrzymuje najlżejszej krytyki, bo najlepszym zaprzeczeniem jego było istnienie licznych oddziałów, utworzonych w Królestwie i bijących się przez kilka nieraz miesięcy, ale w oczach Jeziorańskiego, kapitulacyjnymi zarażonego dążnościami, żywiącego w skrytości ten sam zamiar po kilkudniowej co najwyżej kampanii schro-

¹⁾ «Wydawnictwo materiałów do historii powstania» III, 17. «Każdy dowódca oddziału, uchodzący sam albo ze swym oddziałem za granicę moskiewskiego zaboru, oddany zostanie pod sąd wojenny i jeżeli nie przedstawi słusznych powodów przejścia granicy, opublikowany będzie jako zdradzający świętą sprawę i odsunięty od wszelkiej na przyszłość komendy».

nienia się na wygodne leże galicyjskie, było zupełnie wystarczającym. Oświadczył więc, „że nie widzi winy w postępowaniu Czechowskiego“, podał rękę „szanownemu, jak się wyraził, pułkownikowi“ i przyczynę niepowodzenia zwał na organizację galicyjską, która „wyprawiła pułkownika, nie obznajmiwszy go dokładnie z położeniem rzeczy“¹⁾.

To wyszukanie kozła ofiarnego w osobach organizatorów galicyjskich, którzy robili wszystko co mogli, nie szczędzili trudów, pieniędzy i wszelkiego rodzaju ofiar, by oddziały, wkraczające do Królestwa, były dobrze uzbrojone, ubrane i umontowane, nie podobało się ks. Sapiesze i zwiększyło jego niechęć do Jeziorańskiego. Przytem Sapieha w tej chwili zajęty był organizacją nowej wyprawy do Królestwa pod wodzą niejakiego Żalplachty, noszącego pseudonim Zapałowicza, b. wojskowego austriackiego, co do którego pierwotnie był zamiar, aby podał zbrojną pomoc Czechowskiemu; gdy ten jednak wrócił do Galicyi, Żalplachta miał już działać samoistnie. Nie mógł więc Sapieha myśleć teraz o Jeziorańskim, i dlatego, gdy ten udał się doń z żądaniem dostawienia broni, zbył to żądanie elastyczną obietnicą, że „zrobi co może“, ale że Jeziorański powinien się głównie o to udać do Wysockiego. Nie wskórawszy także wiele u tego ostatniego, zajętego mnóstwem innych spraw, nie pozostawało wodzowi Lubelskiemu, jak samemu postarać się o broń, czego w rzeczy samej dokonał przy pomocy niejakiego Libana, żyda, jenerałnego szpiega i dostawcy broni prawie wszystkich oddziałów powstańczych, formujących się w Galicyi. Kwatera główna Jeziorańskiego znajdowała się we wsi Żórawiczkach, a miejscowość ta, jak on sam powiada, „zamieniła się na dom werbunkowy ochotników powstańczych“; że „stoły zastawione jadłem, nie uprzętały się prawie, a gospodarstwo troskliwie czuwało, żeby przybywającym na niczem

¹⁾ Jeziorański, Pamiętniki II, 21.

nie brakło¹⁾. Wreszcie między 20 a 24 kwietnia cały ten, z takim trudem uformowany oddział, zebrał się w lasach Żołyńskich, którym do czasu przybycia Jeziorańskiego, dowodził kapitan Kucz, stary żołnierz, znający dobrze wojnę. Jeziorański zjawił się nakoniec w obozie d. 24 kwietnia. Oddział liczył ogółem przeszło 700 ludzi, doskonale uzbrojonych i zaopatrzonych we wszystko, brakowało tylko naboju, których posiadano, co prawda niezbyt wiele, ale których spodziewano się dostać we wsi Kutnej, leżącej na drodze marszu Jeziorańskiego²⁾. Poza ten korpus ten, tak

¹⁾ L. c. II, 32. *Kapitan wojsk polskich* (Wiktor Wiśniewski) w swych «Wspomnieniach» p. 52 powiada, że kwatera główna Jeziorańskiego była w Wojtkowicach. Jest to zapewne pomyłka, stąd powstała, że właścicielem Żorawiczek był p. Wojtkowski. Kapitan w podobny sposób jak i Jeziorański małuje ów pobyt w Żorawiczkach. «Pani i pan byli ciągle na usługi sprawy naszej, a dom ich gościnny był ciągle zapelniony powstańcami. W każdej chwili, dniem i nocą, było nas kilkudziesięciu; jadalnia nie mogła nas pomieścić, więc po wszystkich pokojach stały gdyby w restauracji stoły napelnione jadłem i napojami, a przedpokój był literalnie od podłogi do sufitu napchany guńkami i różnemi innemi wierzchniemi sukniemi. Dzielniczek zaś miał ciągle fizyognomię targowicy koni i powozów. Ruch, gwar i krzyk był taki na całym dziedzińcu, że każdy właściciel hotelu pierwszego rzędu mógł pozazdrościć państwu z Wojtkowic».

²⁾ Ponieważ ta sprawa ładunków jest w historii ekspedycji Jeziorańskiego pierwszorzędnego znaczenia, bo brakiem ich tłumaczył swą bezecną ucieczkę do Galicji, musimy się tu nad nią bliżej zastanowić. Powiada on na str. 38 swych «Pamiętników», że «za pośrednictwem porucznika Rutkowskiego za własne pieniądze (?) udało mu się kupić 3000 ładunków». Na str. 42 znajdujemy w tej kwestyi taki ustęp: «Żołnierze mieli po 8 ładunków; w rezerwie było 800». A ponieważ, jak sam przyznaje, oddział jego liczył 740 ludzi, więc $8 \times 740 = 5920$; dodawszy do tego rezerwę 800 naboju, będziemy mieli 6720 ładunków. Odrzuciwszy od tej sumy dość liczny sztab i oficerów, których było około 40 (*Sztab*: generałowie: Jeziorański, Smiechowski, Waligórski; szef sztabu: Winnicki i Grudziński jego pomocnik, kapitan Wiśniewski, porucznik Pruszkowski, Gierzkowski, Kozłowski, plutnik Ryx, Troczewski lekarz, kapelan, Kozanecki dowódca przyszłych kosynierów, Kucz furjer. *Oficerowie liniowi*: major Łobkowicz, kapitan Wiśniewski, Ujejski, Studentowicz, major Dąbcański, kapitanowie: Zawadzki, Czechowicz, Kazanecki, major Bobowski.

co do liczby ludzi, ich wartości bojowej, doboru oficerów i uzbrojenia, uważać należy za jeden z najlepszych, jakie kiedykolwiek w biegu powstania wkroczyły z Galicji do Królestwa. Tych siedmiuset kilkudziesięciu żołnierzy podzielono na ośm kompanii piechoty i na dwie kompanie saperów. Jazda liczyła dwa oddziały t. zw. kozaków pod atamanami Wyleżyńskim i Lenieckim i jeden oddział ulanów, zwanych czerwonymi, pod wodzą Maliszewskiego¹⁾. Broni, przeważnie karabinów ciągniętych austriackich, był taki dostatek, że parę set sztuk, wraz z kilkudziesięciu kosami, prowadzono za sobą na wozach, by nią przyszłych

Jazda: Rafałowski, Lenicki, Wyleżyński, Maliszewski, Czermiński i inni), a zatem licząc po 8 ładunków na każdego, będzie 320, to jeszcze pozostanie 6400 naboju. Z tego wynika, że całe podanie Jeziorańskiego o ładunkach jest nieścisłe, jeżeli nie zupełnie kłamliwe. Dodajmy, że niejaki *Michał Neuster* w opisie bitwy pod Kobyłanką («W czterdziestą rocznicę» p. 310) twierdzi, że «amunicji było podobnie statkiem»; że «Kapitan w. pol.» nigdzie nie wspomina o braku naboju, jak również żadna ze znajdujących się w naszym ręku relacji rękopiśmiennych.

¹⁾ *Jeziorański* l. c. tak dzieli swój korpusik:

I <i>Piechota</i> :	8 kompanii strzelców	po 68 ludzi	544
	2 kompanie saperów	po 30	60 razem 604
II <i>Jazda</i> :	2 oddziały kozaków	po 32	64
	1 oddział ulanów		36 razem 100
III <i>Sztab</i> i oficerowie wyżsi			36
			Ogółem 740

Cyfry te jednak nie bardzo zgadzają się z innemi podaniami. Cytowany już przez nas «Kapitan w. pol.» w swych «Wspomnieniach» p. 58 oblicza ogólną siłę na 600 ludzi i dodaje, że kompanie liczyły po 80, 60, a nawet 50 ludzi. Stąd zapewne powstaje różnica z obrachunkiem Jeziorańskiego. W rękopiśmiennych pamiętnikach niejakiego Karola Lange («Pamiętniki szarego ulana») znajdujących się w naszych zbiorach, spotykamy takie obliczenie oddziału:

I. <i>Piechota</i> :	8 kompanii na dwa bataliony podzielonych	480
	1 kompania saperów	80 = 560
II <i>Jazda</i> :	oddział kozaków	60
	oddział czerwonych ulanów	28
	oddział szarych ulanów	20 = 108
III <i>Sztab</i> , galopeni, oficerowie nadliczbowi		40
		Ogółem 708.

nadbiegających ochotników uzbroić. Kosynierów wcale nie było, ale rachowano na to, że na miejscu z chłopów utworzy się parę kompanii i na ich komendanta przeznaczony był Kozanecki, teraz oficer bez zajęcia.

Takim był ten oddział, na czele którego Jeziorański wyruszył d. 26 kwietnia z lasów Żołyńskich wczesnym rankiem. Maszerowano lasami dla uniknięcia patroli austriackich, ale przewodnicy, przysłani przez organizację cywilną, nie znając dobrze miejscowości, pobłądzili, tak, że po dwudniowym pochodzie wśród głodu i strachu, by postępujące za oddziałem wojsko austriackie nie dopadło powstańców, dobito się do granicy Królestwa, którą przekroczone d. 28 kwietnia pod Wolą Rożaniecką (Jeziorański nazywa ją mylnie Rudą Rożaniecką), niedaleko Tarnobrodu. Zamiast jednak pomaszerować w głąb kraju, żeby odsadzić się od wabiących leży galicyjskich, Jeziorański przez dwa dni posuwał się wolno ku wschodowi, wzdłuż granicy, trzymając się jej uparcie, z najwidoczniejszym zamiarem, z góry powziętym, by za nią ostatecznie poszukać bezpiecznego schronienia. Ale ponieważ wspomniany powyżej rozkaz Wysockiego groził takim „uciekinierom“ sądem i surową karą, ponieważ do wyprawy Jeziorańskiego wielkie przywiązywano nadzieje, ponieważ stronnictwo Czerwieńców podnosiło pod niebiosa genialne jakoby zdolności tego dowódcy, więc zmuszony on był działać ostrożniej, w razie ostatecznym nawet bić się, a nadewszystko znaleźć jaki mniej więcej uzasadniony pretekst swego powrotu do Galicji. Takim pretekstem był ów mniemany brak ładunków, którego fałszywość wykazaliśmy już powyżej, który zresztą wcale nie usprawiedliwia naczelnika Lubelskiego i nie tłumaczy jego haniebnej ucieczki. Jeżeli bowiem inni dowódcy, różni Krysińscy, Lelewelowie i t. p. kręcący się po województwie Lubelskiem, potrafili zawsze wystarać się o naboje i trzymać się całymi miesiącami, to czemużby tego nie miał dokazać Jeziorański, stojąc na czele doskonale uzbrojonego i z wielu względów wyborowego korpusiku? A przytem, mając blisko 7.000 naboju, które starczyły

mogły na parę potyczek, mógł czekać, ażeby już w Królestwie postarać się o nowe zapasy, tym samym sposobem, jakim o nie starali się inni dowódcy.

Ale on o tem nie myślał. „Niepodobna było, pisze on w swych pamiętnikach, mając tak mały zapas amunicji, posunąć się w głąb kraju. Przy pierwszym spotkaniu zużywając ją, nie pozostałoby nic innego jak rozpuścić oddział. Powrócić do Galicji, niepodobna. Zaraz na granicy rozbrojonym zostałby był oddział przez wojsko austriackie, czem żołnierz byłby zdemoralizowany, a broń straconą. Postanowiłem tedy, obrawszy dogodną pozycję na granicy, stoczyć na niej bitwę, aby przekonać Rząd Narodowy i organizację tej części Polski o szczerej chęci walczenia, aby przekonać, że znajdują się ludzie odwagi i poświęcenia, którzy umieją krew przelewać dla ojczyzny i zasługują na to, aby się troszczyć ich losem i potrzebami“. Są to oczywiście wykręty, których całą perfidję i kłamliwość łatwo wykazać i udowodnić, że Jeziorański nie należał, jak się sam chwali, do ludzi „odwagi i poświęcenia“. Postanowił on od chwili swej nominacji na naczelnika Lubelskiego nie prowadzić wojny, której nie lubił, której się lękał i dlatego po przejściu granicy przez dwa kosztowne dni maszerował wzdłuż tejże granicy, szukając owej pozycji, by stoczyć bezcelową walkę, przelać drogą krew młodzieży polskiej, jedynie dla zamydlenia oczów oskarżycielom, dla pokrycia tą walką haniebnego swego zamiaru ucieczki z pola bitwy. Zobaczymy zresztą, że otrzymał później 50.000 ładunków, a mimo to uciekł bezwstydnie do Galicji.

Dnia 30 kwietnia nakoniec znalazł taką pozycję pod Kobylanką, leżącą nad samą granicą, w pobliżu wsi galicyjskiej Topiły. Miejscowość była niewątpliwie do boju odpornego wybrana bardzo dobrze. Z tyłu ciągnął się gęsty las, przez który był wycięty dukt ze słupami granicznymi i wygodne przejście suchym gruntem do Galicji. Z przodu i boków ochraniały pozycję bagna tak grzązkie przy wiosennych roztopach, że jazda ani też działa prze-

brnąć przez nie nie mogły, piechota zaś z wielką biedą, małemi tylko kupkami, nigdy zaś w szyku bojowym. Las dobrze podszyty, wysokopienny, łączył się z lasem, należącym już do wsi galicyjskiej Topiłły. Nieprzyjaciół, chcący atakować obozowisko polskie, mógł do niego dotrzeć tylko dwiema drogami, biegnącemi obok lewego skrzydła powstańczego. Jedna z nich, dość szeroka i wygodna, szła od strony samotnego wzgórza, zwanego Łysą górą, i prowadziła do Tarnogrodu; druga była zwyczajną leśną drożyną, pełną wyboi, kamieni i błota. Obóz rozłożono na suchem wzgórzu, dominującym nad okolnymi moczarami, wśród gęstego boru sosnowego. Na obu drogach, prowadzących do obozu, Jeziorański ustawił silne półkompanijne grangardy, ze znacznie naprzód wysuniętymi placówkami i widetami.

Wódz polski, zajmując tę, z natury obronną pozycję, ponieważ spodziewać się należało rychłego pojawienia się nieprzyjaciela, przede wszystkim pomyślał o wzmocnieniu swoich sił przez ściągnięcie do siebie najbliższych oddziałów powstańczych, kręcących się w tych stronach. Właśnie miał wiadomość, że w odległości dwu mil stoi partya, złożona jakoby z kilkuset ludzi, pod wodzą Czerwińskiego. Ten ostatni należał do rzędu tych osobistości, których przeznaczeniem jest utonąć w szarzyźnie codziennego życia, a które zawsze wielkie burze społeczne przez dziwną ironię losu na wierzch wyrzucają i każą odgrywać rolę historyczną, do której pod żadnym względem nie dorosli. Poprzednio był on nadgajowym w dobrach Ordynackich w Zamoyszczyźnie i zebrawszy sobie partyę, przybrał dumny tytuł: „naczelnika sił zbrojnych województwa Lubelskiego“. Relacye piśmienne z tej doby utrzymują, że nie umiał nawet pisać dobrze i tehrzem był zawołanym; że zabrawszy kilka kas rządowych i mając przy sobie około 12.000 rubli, za nie nie płacił i myślał tylko o ucieczce za granicę. O ile to jest prawdą, nie wiemy, to pewna, że był człowiekiem lichym, jednym z tych dowódców wyrosłych z mętów zawieruchy politycznej, którzy kazili czy-

stość sprawy i w błocie włóczyli jej podniosłe i święte ideały. Nie umiemy powiedzieć, ilu ludzi liczył jego oddział, dość że w chwili osadzenia się Jeziorańskiego pod Kobylanką, Czerwiński obozował gdzieś w pobliżu Tomaszowa Ordynackiego.

Do niego to wysłał Jeziorański znanego nam już dostawcę i szpiega powstańczego, żyda Libana z rozkazem piśmiennym, aby niezwłocznie przybył ze swym oddziałem pod Kobylankę. Ale Liban powrócił późnym wieczorem z doniesieniem, że wszystkie drogi zajęte są przez nieprzyjaciela; że Czerwiński w rzeczy samej stoi o półtorej mili i że rozkaz go dojdzie przez jakiegoś żyda, dostarczającego owies Rosyanom¹⁾. Czy tak było, czy inaczej, dość, że Czerwiński zwyczajem większości dowódców powstańczych, ani teraz, ani później rozkazu tego nie posłuchał i z pomocą pod Kobylankę nie nadbiegł.

Wiadomość, przywieziona przez Libana, o ruchu kolumn nieprzyjacielskich w kierunku obozu powstańczego, nie zmieniła w niczem postanowienia Jeziorańskiego stoczenia walki na obranej pozycji. „Tu, na tem miejscu, mówił do Waligórskiego, przekonamy świat, że upór jest jedną z wielkich zalet żołnierza“, a Waligórski utwierdził go jeszcze bardziej w tem postanowieniu słowami: „musimy przyjąć bitwę, aby pokazać, że nie żartowaliśmy, okazując chęć jak najspieszniejszego wymarszu z Galicji“. Doniesienia Libana zresztą były prawdziwe. Nieprzyjaciół w rzeczy samej miał już wiadomość o obozowisku Kobylańskim, acz wiadomość ta była mocno spóźnioną, gdyż

¹⁾ Tak opowiada Jeziorański l. c. II, 44. Posiadamy rękopiśmienną relację, która twierdzi, że rozkaz do Czerwińskiego powiódł jakiś Foltanski; że Czerwiński pomocy odmówił, wołając, że on słucha rozkazów tylko Rządu Narodowego w Warszawie, a nie jakichś tam Jeziorańskich czy komitetów galicyjskich. Foltanski po licznych sporach zdołał usunąć od dowództwa Czerwińskiego i poprowadził oddział na pomoc Jeziorańskiemu, ale było już zapóźno, gdyż ten przeszedł do Galicji. Czerwiński potem powtórnie dowództwo objął, ale niebawem rozbitý został pod Tucupami.

dopiero w chwili, gdy Jeziorański osadzał się na bagnach Kobylanki, dowiedziano się w Janowie Ordynackim o jego pobycie w Królestwie. Gdyby więc dowódca polski był skorzystał z tych paru dni, w ciągu których nieprzyjacieli nie o nim nie wiedział, mógł był odskoczyć znacznie od zgubnej granicy galicyjskiej, ale na to trzeba było dobrej woli i szczerego postanowienia prowadzenia upartej wojny, a tej woli dobrej i tego postanowienia Jeziorański, jak wiemy, nie miał.

Miednikow, znany nam już z niedawnego wyrzucenia Czechowskiego do Galicyi, naczelnik wojsuny, rezydujący stale w Janowie Ordynackim, dopiero d. 30 kwietnia telegrafował do Warszawy, że „znaczne siły buntowników, zebrane w Galicyi, mające, jak wieść niesie, wyruszyć do gubernii Wołyńskiej, wkroczyły pod dowództwem Jeziorańskiego do południowej części gubernii Lubelskiej. Dla spotkania ich przedsięwzięto środki¹⁾. Tymi „środkami“ było wysłanie tegoż d. 30 kwietnia z Janowa kolumny, złożonej z czterech kompanii pułku Archangiłogorodzkiego piechoty, z plutonu ułanów, setki kozaków i dwu dział, czyli 700 do 800 ludzi wszelkiej broni²⁾, pod wodzą tego samego kapitana Sternberga, który bił się niedawno z Czechowskim. Sternberg, acz równy Jeziorańskiemu, a bodaj czy nie przewyższający go liczbą, posiadający prócz tego dwie armaty, szedł bardzo ostrożnie i z widoczną obawą, gdyż wieść, jak zwykle bajeczna, niesła, że dowódca polski ma 3.000 ludzi pod sobą. Jeziorański również miał przesadzone wiadomości o sile Sternberga, liczył go na 1.200 ludzi piechoty liniowej, prócz tego dwie kompanie strzelców finlandzkich, dwa szwadrony dragonów, setkę kozaków i cztery armaty. Była to oczywiście przesada, bo w Janowie nie było wcale strzelców finlandzkich, ani dra-

¹⁾ *Russkij Inwalid* z d. 18/30 kwietnia 1863 r.

²⁾ Liczymy tylko po 150 ludzi w kompanii, co z pewnością jest za mało. «Wiadomości z pola bitwy» Nr 11, rachują Sternberga na 700 piechoty i «cokolwiek kawalerji».

gonów, z kądżeby więc znaleźć się mogli w kolumnie Sternberga?¹⁾ Niemniej wódz polski źle był poinformowany o tem, kto stał na czele wyprawy rosyjskiej, sądził bowiem, że jest to sławny ze spalenia i zrabowania Tomaszowa Ordynackiego, tamtejszy satrapa Emanow, co zresztą drugorzędnego było znaczenia.

Pierwsze strzały Sternberga rozległy się koło godz. 9 rano. Zaatakował on stojącą na grangardzie kompanię kapitana Zawadzkiego, która śmiało stawiała czoło, wyczekując poręki od sił głównych. Nie długo na nie czekała; niebawem Jeziorański wysłał jej na pomoc drugą kompanię, a w miarę rozogniania się boju, zwiększał swoją obronę. Po dwugodzinnej, bardzo gorącej strzelaninie, gdy nieprzyjacieli nie posuwał się naprzód i widoczną okazywał niepewność swych ruchów, postanowił Jeziorański zręcznie obmyślanym manewrem zadać mu cios stanowczy. W lesistej tej pozycji, ze wszech stron mocno zaciemnionej, manewr taki był łatwy do wykonania. Dowódca polski odłamał od swego lewego dwie kompanie z majorem Grudzińskim i rozkazał im leśną, boczną drożyną obejść nieprzyjaciela i dosiebnym atakiem na jego skrzydło, rozstrzygnąć los starcia. Grudziński przemknął się ową drożyną niepostrzeżenie i nagle ukazał się na prawym flanku Sternberga i gęstą palbą powitał zachwiane tym widokiem jego szeregi. Niebawem cała linia nieprzyjacielska w bezładnym odwrocie cofać się poczęła, prawie nieścigana przez powstańców, którym dawał się już uczuwać brak ładunków. Wyruszyła tylko za ustępującym Sternbergiem nieliczna jazda polska, której nagle ukazanie się z lasu

¹⁾ Strzelcy finlandzcy w r. 1863 stali tylko w Warszawie. Garnizon w Janowie Ordynackim składał się w początku 1863 r. z trzech kompanii (5, 6 i 8) pułku Archangiłogorodzkiego (5-ta dywizya piechoty); w pobliskim Bilgoraju zaś dwie kompanie strzeleckie (1 i 2) tegoż pułku, które Jeziorański i inni wzięli za finlandzkie. Później (w dobie starcia pod Kobylanką) został znacznie wzmocniony piechotą tegoż pułku Archangiłogorodzkiego, ułanami, kozakami i artylerją.

do reszty pozbawiło odwagi szeregi rosyjskie. W przyspieszonym odwrócie, niemal ucieczce, pozostawiły one ugrzęzłą i z połamaną lawetą na błotnistej drodze, jedną armatę, zagwoździwszy ją wprzód. Stękaający, okaleczony mocno Sternberg, zapadł we wsi Borowe Młyny, śląc na gwałt gońców do Janowa z wieścią o swej porażce i błagalną prośbą o rychłą pomoc.

W obozowisku polskim radość była niezmierna. Majora Grudzińskiego za dobre wykonanie stanowczego ruchu mianował Jeziorański pułkownikiem, a do Galicyi pobiegły wieści, rozniesione telegrafem na wszystkie strony o tem zwycięstwie, a niebawem, wydawane w Warszawie „Wiadomości z pola bitwy“ (Nr 11) umieściły o niem krótką ale przesadną relację, mówiąc, że bój trwał do godz. 5-tej wieczorem, że nieprzyjaciół padło 90, powstańców zaś zaledwie sześciu. W rzeczy zaś samej, jeżeli wierzyć opowieści Jeziorańskiego, Rosyane zostawili na pobojowisku 23 zabitych, naszych zaś poległo pięciu. Ciała poległych pochowano uroczyście w dwu osobnych mogiłach, tuż nad linią graniczną. Na mogiłach tych postawiono dwa krzyże, łaciński i grecki, z takimi napisami: „tu spoczywają bohaterowie polegli 1-go Maja 1863 r.“; na drugim: „tu leżą słudzy despoty“.

Spodziewać się jednak należało, że nieprzyjaciół chwilo-
lowo odparty, wzmocniwszy swe siły, wkrótce ponowi na-
pad na obozowisko Kobylańskie. Słusznie więc Jeziorański
pomyślał o przygotowaniu się na wypadek tego powtór-
nego ataku. Przedewszystkiem należało się zaopatrzyć
w ładunki, których już ku końcowi starcia z Sternbergiem
począł brakować. Na szczęście wieść o zwycięstwie
Kobylańskiem przebiegła piorunem przez całą Galicyę
i wszystkich oczy zwróciła na tryumfujący oddział i jego
wodza. Zaraz też w obozowisku powstańczym zjawiała się
jedna z gorących patryotek i przywozła ze sobą parę ty-
sięcy naboju, zebranych we Lwowie, a w cztery dni potem
na rozkaz ks. Adama Sapiehy, który osobiście zjechał do
obozowiska Jeziorańskiego, dostawiono 50 tysięcy ładun-

ków. Można więc było już nie jedną, ale kilka potyczek
stoczyć z tym, jaki miano, zapasem. Ale oprócz ładunków
zwycięstwo, odniesione nad Sternbergiem, ścigało do Je-
ziorańskiego ze wszystkich stron ochotników. Wprawdzie
Wysocki, proszony ponownie o pomoc, odmówił jej, tłu-
macząc się, że gotująca się wyprawa na Wołyń, nie po-
zwala mu na podanie ręki Jeziorańskiemu, ale zato skąd-
inąd biegły posiłki, wzmacniające szczęśliwego wodza. Już
d. 3 Maja nadszedł na czele 49 ludzi Albert Potocki,
kapitan niegdyś z oddziału Langiewicza; z głębi Króle-
stwa Karol Sieniawski przyprowadził także kilkudziesięciu
ludzi; z rozbitej partii Lelewela przybyło stu kilkunastu
powstańców, zewsząd wreszcie ściągali się partyzanci do
obozowiska Jeziorańskiego. Stosunki z pogranicznymi
strażami austriackimi były jak najlepsze. Stali tam kor-
donem huzarzy węgierscy i cieszyli się ze zwycięstwa pol-
skiego nad znienawidzonym żołnierzem rosyjskim. Dowo-
dzący nimi pułkownik Walis przybył nawet do obozu
polskiego, oświadczając „chęć widzenia żołnierzy tak mę-
żnie walczących“; dziwił się, że Jeziorański z tak słabą
siłą ośmielił się stawić czoło, jeżeli nie przewyższającemu
go, to co najmniej równemu co do liczby nieprzyjacielowi,
na co wódz powstańczy z pewną żartobliwą przechwałką
odrzekł, że „naprzód iść nie mógł, bo nieprzyjaciół drogę
mu zastąpił, cofać się nie mógł, bo Austriacy by go roz-
broili, musiał więc walczyć i zwyciężyć“. Te przyjazne
stosunki z huzarami dochodziły do tego, że jeden ze zbroj-
nych oddziałków, ciągnący z Galicyi w kilkanaście koni
pod Kobylanę, przeprowadził tam żandarm austriacki
i nie za to nie wziął prócz kilku cygar¹⁾.

Rojno i gwarno też było w obozie powstańczym.
Z Galicyi nieustannie ciągnęły wozy z żywnością i wszel-
kiego rodzaju zapasami, tak że obfitość, a nawet zbytek
zapanował wśród partyzantów, a z nim radość i wesele.
Oprócz ks. Sapiehy, który przez kilka dni tu przebywał

¹⁾ *Kazimierz Lange*, Z pamiętników starego ułana (rękopism).

i kupował, płacąc złotem, batogi i czapki schwytanych Kozaków, by niemi ozdobić ściany swego Krasieczyńskiego zamku, tłumy kobiet i szlachty okolicznej i galicyjskiej zjeżdżały się do obozu, by się przypatrzeć żołnierzowi polskiemu i zwycięskiemu wodzowi, około którego osoby, może nie bez jego i otoczenia jego wiedzy, snuć się zaczęła dziwna zaiste! ze względu na czas i okoliczności, intryga, jakby żywcem skopiewana z epoki przeddyktatorialnego pobytu Langiewicza w Goszczy. Wśród mnóstwa gości, zbiegających się do leśnego obozowiska pod Kobylanką, znajdowało się także wielu z pomiędzy ziemian Lubelskich, a zwłaszcza Hrubieszowskich, którzy od samego wybuchu powstania odznaczali się zdecydowaną do niego niechęcią, tak silną i namiętną, że w kilka miesięcy później miała ona przybrać charakter wstrętnej nienawiści, dochodzącej aż do wydawania ukrywających się powstańców w ręce rosyjskie. Teraz jednak, w chwili, gdy powstanie dosięgało szczytu, że tak powiemy, swego rozwoju, gdy było ono najsilniejsze i wielokrotnie święciło swe tryumfy nad nieprzyjacielem, gdy powszechnie mniemano, że cała Europa olbrzymią, zbrojną nawałą uderzy na Carat rosyjski, gdy świeże zwycięstwo Jeziorańskiego, rozpalając wyobraźnię najbliższych Kobylanki mieszkańców, zdawało się zapowiadać w nim szczęśliwego wodza przyszłości, szlachta rzeczona zapragnęła wyrwać kierunek ruchu z rąk „gryzipiórków warszawskich“, z rąk „szewczyków i krawczyków miejskich“, jak w swej szlacheckiej wyłączności nazywano członków Rządu Narodowego, i oddać ten kierunek człowiekowi przez siebie wybranemu i uznanemu. Takim człowiekiem wydawał się być Jeziorański, zawistny współzawodnik Langiewicza, tajny pretendent do dyktatury w Goszczy, dotąd nie mogący się pozbyć tych pragnień, głośno szydzący z Rządu narodowego, przejęty nieodzowną ambicją odgrywania pierwszorzędnej roli i chętnie poddający ucho skrytym podszeptom zjeżdżających się do niego Hrubieszowian. Żywą acz podziemną w tym kierunku rozwinęli agitację różni panowie Winniecy,

Waligórscy, a nawet stary krzykała i niedołęga, sadzący po dawnemu „bugrami“, Śmiechowski. Wśród bujnego życia obozowego, pracowała usilnie intryga, a w Hrubieszowskiem zjazdu tajne szlachty, układającej formę przyszłego rządu, rozbierającej nawet pomiędzy sobą ministerya, zapowiadały blizki, nowy zamach stanu na władzę Rządu narodowego i na samo powstanie.

Wśród tego wszystkiego nieprzyjacieli powoli przygotowywał się do ponownego uderzenia na tętniące życiem, nurtowane skrytą intrygą, pełne wrzawy i obfitości obozowisko Kobylańskie. Sternbergowi, liżącemu swe rany w Borowych Młynach, niebawem po pierwszej porażce nadbiegł z pomocą major Ogolin, prowadząc ze sobą cztery świeże kompanie piesze. Ale i te siły, wynoszące z tem, co miał pod swą komendą Sternberg, przeszło tysiąc ludzi, nie wydawały mu się dostatecznymi dla wyparcia Jeziorańskiego z jego mocnej pozycji, tem więcej, że głuche, i jak zwykle w takich razach bywa, nader przesadzone wieści mówiły o znacznych jakoby posiłkach, które dowódca powstańczy miał otrzymać z Galicyi. Wiemy, że te posiłki w najlepszym razie nie przenosiły dwustu ludzi, tak że Jeziorański z biedą chyba mógł dorównać pod względem liczebnym połączonym siłom Sternberga i Ogolina. Jednakże poniesiona porażka tak zraziła i taką obawą napełniła obu tych, niezbyt odważnych komendantów, że zająwszy pozycję we wsi Zamchu, nie śmieli nic stanowczego przedsięwziąć, ograniczając się na obserwowaniu powstańców i na odcinaniu gęstymi kozackimi podjazdami wszystkich dróg, prowadzących do obozu polskiego. Z tymi podjazdami kawalerya Wyleżyńskiego i Lenickiego codziennie prawie miała spotkania, raz szczęśliwe, to znowu nie, chwytając czasem pojedynczych kozaków, by ich batogami i czapkami zasilać zbiory Krasieczyńskiego zamku ks. Sapiehy.

Naczelnik wojenny w Janowie Ordynackim, znany nam już pułkownik Miednikow, zawiadomiony o tym stanie rzeczy, nie zwlekając, sformował nową, trzecią już

z rzędu kolumnę, złożoną z jednej kompanii pułku Archan-giełogorodzkiego i dwu strzeleckich, plutonu ułanów i 60 kozaków, ogółem około 600 ludzi, pod wodzą majora Czerniawskiego. Wraz z tą kolumną wyruszył sam Miednikow w celu objęcia dowództwa nad wszystkimi trzema oddziałami. Stanąwszy d. 5 Maja we wsi Osuchy, leżącej o parę kilometrów od Zamchu, wezwał do siebie Sternberga i Ogolina, ułożył z nimi plan operacyi następujący: major Czerniawski ma nazajutrz d. 6 Maja z całym swoim oddziałem pomaszerować w kierunku wsi Maziarze i przejrzeć obszerne lasy Głuchowskie, czy czasem nie ukrywają się tam powstańcy; Sternberg zaś i Ogolin, pod naczelną komendą samego Miednikowa ruszą ku Borowym Młynom, tam pod zasłoną półtorej kompanii piechoty, plutonu ułanów i setki kozaków zostawią kotły i tabór, a z resztą, t. j. z 5½ kompaniami, dwu działami i setką kozaków oraz objeszczyków, Miednikow pusi się ku lasowi Głuchowskiemu, starając się dostać na jego wschodnią krawędź, na grunt twardszy, by stąd zaatakować powstańców i wyrzucić ich za granicę. Cokolwiekby można powiedzieć na obronę tego planu, nie wytrzymuje on jednak najlżejszej nawet krytyki i Miednikow, w dotychczasowych swych walkach czy to ze Zdanowiczem, czy z Czechowskim, dający dowody dobrej głowy i energii, tym razem popełnił gruby błąd, wbrew najelementarniejszym zasadom sztuki wojkowej. Zamiast trzymać swe siły w skupieniu, by ich przewagą liczebną zneutralizować wyższość pozycyi powstańczej, on je rozdrabnia w sposób niczem usprawiedliwić się nie dający. Mając ogółem 11 kompanii piechoty, trzecią ich część wysyła w bok dla przejrzania lasów Głuchowskich, kiedy dla osiągnięcia tego celu aż nadto wystarczało kilkunastu kozaków z rozgarniętym oficerem na czele. Niedosć na tem, dla ochrony swych kotłów i wozów zostawia w Borowych Młynach znowu znaczną część swych sił, tak że do uderzenia na Jeziorańskiego pozostaje mu mniej więcej taka ilość żołnierzy,

jaką miał Sternberg, gdy przed czterema dniami zmierzył się z powstańcami i odrzucony przez nich został. Wprawdzie i ta liczba, dosięgająca tysiąca bagnetów, aż nadto była wystarczającą, by garść strażników polskich doszczętnie wytępić, ale Miednikow o tem nie wiedział, słyszał owszem o znacznych posiłkach, które jakoby Jeziorański otrzymał. A przytem położenie było o tyle gorsze, że żołnierz raz pobity, siedł do nowego ataku nieśmiało i z obawą. Całe to postępowanie Miednikowa tem się chyba da wytłumaczyć, że nie wierzył on w pogłoski, jakoby powstańców było przeszło trzy tysiące; doświadczenie, nabyte w tej wojnie, kazało mu takie doniesienia przyjmować zawsze nieufnie i redukować je do czwartej części. Nareszcie, co jest najprawdopodobniejszym, cały ten plan nie wyszedł z jego głowy, ale był rezultatem narady wojennej, odbytej w Osuchach, i jak wszystkie zbiorowe pomysły wojenne, bardzo niemądry, który biedny żołnierz musiał krwią własną drogą okupić.

Gdy tak Rosyane gotowali się do ponownego ataku na powstańców, w obozie polskim czynnie i energicznie przygotowywano się do ich odparcia. Już d. 5 Maja szpieg powstańczy, żyd Liban, doniósł o znacznem skupieniu się sił rosyjskich, które przesadnie obliczał na 5.000 bagnetów i grotów, i dział 18, oraz że naczelną komendę nad nimi ma satrapa gubernialny Lubelski, generał Chruszczow. Twierdził przytem, że wszystkie drogi są strzeżone przez nieprzyjaciela i o przedarciu się w głąb kraju nie może być mowy. Jeziorański i tym razem postanowił przyjąć walkę. „Pozycję mam dobrą, mówił do ks. Sapiehy, żołnierz jest syty, koń nakarmiony, amunicyi dostatek, żołnierz pełen otuchy“. Dla wzmocnienia swego stanowiska, powziął myśl oszańcowania go o tyle, o ile czas i warunki miejscowe pozwolą. W tym celu rozkazał majorowi Bobowskiemu, komendantowi saperów, aby wszystkie drogi i ścieżynki, wiodące do obozu, zabarykadować ściętymi drzewami. Bobowski energicznie wziął się do dzieła i jeżeli

wierzyć doniesieniom rosyjskim¹⁾, utworzył on z drzew zrąbanych i pokrytych ziemią, trzy linie zasieków z rowem dla strzelców. Najslabszym punktem pozycyi powstańczej było prawe skrzydło. Broniły go tu wprawdzie grzazkie bagna, trudne nawet dla piechoty do przebycia, ale zaraz za kordonem grunt był suchy i Jeziorański nie wątpił, że nieprzyjaciel nie zawaha się przejść granicy, by uderzyć na powstańców od tyłu. Dla zapobieżenia temu, drogę dość szeroką, prowadzącą od granicy ku pozycyi polskiej, kazał zabarykadować ścieżkami drzewami, pokrytymi ziemią. Szkoda wielka, że pomysł tego oszańcowania przyszedł Jeziorańskiemu (podobnie jak w parę dni później Taczanowskiemu pod Ignacowem), zbyt późno do głowy. Barykady, wznoszone naprędce, w nerwowem naprężeniu rychłego ataku nieprzyjacielskiego, nie były ani mocne, ani nie zakrywały całego obozu, ale bądź co bądź umacniały do pewnego stopnia pozycję z natury dość silną. Cała piechota powstańcza w linii półkuliściej, przytykając swem lewem i prawem skrzydłem do granicy galicyjskiej, utworzyła szereg bojowy; w rezerwie pozostały dwie kompanie i jazda, umieszczona na krańcach obu skrzydeł. W takim porządku czekali wroga.

Ukazał on się dnia 6 Maja, około godziny 9-ej rano. Szedł na Zamch, Litkowce, a zatem od strony lewego skrzydła polskiego i to najprzód zaatakował. Gran garda powstańcza po krótkim oporze cofnęła się do sił głównych poza zasieki i rozpoczął się gęsty obustronny ogień, wspierany przez Rosyan palbą działową. Niebawem cała linia była w ogniu, gdyż jeszcze z Litkowic, Miednikow odłamał część swego oddziału, ażeby okoliwszy pozycję polską, zaatakowała środek i prawy flank polski. Podczas kiedy środek powstańczy był słabo napierany i ograniczało się wszystko na ogień tyralierski, główny nacisk nieprzyjaciel wymierzył na oba skrzydła w zamiarze odcięcia powstańców od granicy i zduszenia

¹⁾ *N. Berg* loc. cit. III, 132.

ich w dwuramiennym uścisku. Na tych dwóch punktach ogień był bardzo silny. Naoczni świadkowie opowiadają, że leciał tu istny grad kul, a trzask walących się pod pociskami działowymi drzew i gałęzi, na nieostrzelanym żołnierzu powstańczym robił silne wrażenie. Na chwilę skrzydło lewe cofnęło się wstecz, ale poparte nadesłaną w samą porę siódmą rezerwową kompanią, odzyskało pierwotną pozycję i odrzuciło nieprzyjaciela daleko, tak że z tej strony powstańcom nie zagrażało już żadne niebezpieczeństwo i Miednikow ponownego ataku nie próbował. Za to około godz. 11-ej dotąd słaby bój w centrum powstańczym, nagle wzmógł się i rozpalil silnie. Żołnierz polski, zakryty lesistym gąszczem, dzielny stawil opór, a posłana na pomoc ostatnia kompania 4-a rezerwowa, śmiała postawą zdecydowała przewagę na stronę powstańczą. Miednikow cofnął się i tutaj i nastąpiła całogodzinna przerwa w boju, którą obie strony z bronią u nogi przepędziły w posępnem milczeniu.

To chwilowe zawieszenie walki ze strony Miednikowa tem się tłumaczy, że chciał wszystkie swe siły przerzucić od lewego i centrum na prawe skrzydło polskie, które raz odparte od granicy austriackiej zmusiłoby Jeziorańskiego do odwrotu w głąb Królestwa, a tam już, przy pomocy walęjącego się niepotrzebnie po lesie Głuchowskim Ogolina, naraziłoby Polaków na klęskę stanowczą. Jeziorański doskonale zrozumiał te zamysły Miednikowa; nie wątpił, że ten dla zupełnego osiągnięcia swego celu odważy się na przejście granicy austriackiej, by prawe skrzydło, a z niem cały korpusik polski wziąć od tyłu. Dla wzmocnienia więc tego skrzydła, dowódca powstańczy wysłał dwie kompanie rezerwowe, odłamane ze środka i z lewego i ostrzegł saperów, ukrytych za zasiekami, by się bronili do ostatka. Niewątpliwie uwiadomić także musiał stojącego nad granicą z huzarami węgierskimi kapitana austriackiego Kitznera, aby się miał na baczności i nieprzyjaciela powstrzymał, co jednak, o ile się zdaje, nie zostało wykonanem. Huzarzy i kompania piechoty austriackiej, przypa-

trująca się ze wzgórz toczącej się walce, w chwili stanowczej cofnęła się wstecz i dozwoliła kozakom i strzelcom Miednikowa swobodnie przechodzić kordon graniczny¹⁾.

W rzeczy samej, po całogodzinnej przerwie, Miednikow wznowił atak na prawe skrzydło i na środek polski i bez wahania przekroczył granicę austriacką. Zawrzał tu zacięty bój; podobno zasieki kilkakrotnie przechodziły z rąk polskich do rosyjskich i ostatecznie Jeziorański, lekając się odcięcia od granicy, cofnął się i stanął skupiony tuż nad kordonem. Ale i Miednikow tak był osłabiony tym upartym, kilkugodzinnym dopiersnym bojem (od 9-ej rano do 6-ej popołudniu), że wpadłszy na chwilę do obozowiska polskiego i widząc niemożność odcięcia powstańców od granicy, przerwał walkę i cofnął się dość bezładnie dwoma kolumnami ku Józefowu i Tomaszowu. Nie ulega wątpliwości, że gdyby w tym czasie zrobił jeszcze jeden wysilek i uderzył na ścieśnionego przy samej granicy Jeziorańskiego, byłby go z pewnością za nią wyparł. Ale sam był osłabiony i nieco strwożony upartą i długotrwałą obroną powstańców, o których później pisał, że wojsko jego „znalazło w nich godnych siebie przeciwników“²⁾.

¹⁾ W niektórych relacjach rękopiśmiennych, jakie posiadamy o boju Kobyłańskim, znajdujemy wiadomości, że gdy strzelcy Miednikowa przeszli granicę dla oskrzydlenia powstańców, komendant austriacki Kitzner wezwał ich do odwrotu, a gdy nie posłuchali, dał ognia i 96 Rosyan miał zabić. *Kazimierz Lange*, autor „Pamiętników starego ulana“, potwierdza tę wiadomość i powiada, że „Kozaków, okrążających prawe skrzydło, spędzono, a 80 finlandzkich (?) strzelców, pomimo podawanej im pomocy, do nogi poległo“. Nie mówi on jednak, że dokonali tego Austriacy. „Wiadomości z pola bitwy“ Nr 11 donoszą, że „ani jeden z tych Moskali, którzy znajdowali się na terytorium austriackim żywo nie uszedł, wszyscy legli trupem“. Znane nam drukowane relacje, jak pamiętniki samego Jeziorańskiego, Wspomnienia Wiśniewskiego, relacja Neustera, nie o tem wszystkiem nie mówią.

²⁾ Raport Miednikowa do naczelnika wojen. Lubelskiego (*Żurnal wojen. dziejstwy* Nr 23). Niepodobna jest, przy tych, jakie posiadamy, źródłach, dać dokładny, choćby w przybliżeniu, obraz boju Kobyłańskiego. Wszystkie są błamutne i sprzeczne z sobą. (Weźmy np. tak

Straty w tym kilkugodzinnym boju były z obu stron bardzo znaczne, acz ścisłych danych co do nich nie mamy. Prawie wszyscy oficerowie powstańców polegli lub byli ranni, co dowodzi, że wysuwali się naprzód, że pełnili swe obowiązki sumiennie i walecznie¹⁾. W ogólności z sze-

ważną rzecz, a którą, zdaje się, wszyscy powinni byli pamiętać, jak czas trwania walki. Według Jeziorańskiego (Pam. II, 56), skończyła się ona o godz. 5½ po południu; według „Wiad. z pola bitwy“ o godz. 3½; według Langego (Pam. starego ulana) około godz 4-ej; Neuster (W czterdziestą rocznicę) powiada, że walka uciła „gdy jeszcze nie szarzało“, a zatem pod wieczór, a w maju słońce późno zachodzi; Wiśniewski (Wspom. kap. w. pol. 70), że „bitwa trwała przeszło 5 godzin“, a więc zaczęła o 9-ej, skończyła się około 2-ej. Komuż tu wierzyć? O ostatniem, trwożliwym przytuleniu się do granicy galicyjskiej, z nogą podniesioną dla jej przekroczenia w razie ponownego ataku, Jeziorański w swych Pamiętnikach (II, 56) daje bardzo dyskretną relację; „być jeszcze mogło, że generał Chruszczow (Jeziorański nie wie, z kim się bił. Na str. 53 powiada, że z Emanowem, a na str. 56, że z Chruszczowem) zbierze wojsko i całemi siłami uderzy na nas. Skoncentrowałem więc oddział, aby zebranemi siłami dać mu odpór i tem zakończyć bój, prowadzony z tak nierównymi siłami. W tym celu obrałem pozycję na samej granicy galicyjskiej, aby mieć w ostatecznej potrzebie zapewniony odwrot“. Gdy zaś pułkownik Leniecki zawiadomił go o odwrocie nieprzyjaciela, Jeziorański pisze: „powróciliśmy do obozu“, co znaczy, że nieprzyjaciel nietylko wyparł powstańców z pozycji, w tyle której był obóz, ale nawet zajął ten obóz. Jaśniej i wyraźniej rzecz tę opowiada Michał Neuster (l. c. 311): „pod silnym naporem świeżego (?) żołnierza, cofają się nasi w stronę bezpiecznego kordonu granicznego, gdzie oddział huzarów (austriackich) ustępuje głębiej, porzucając widowisko ciekawe...“ „...walka uciła, jeszcze nie szarzało, gdyśmy wrócili na swoją pierwotną pozycję“ — co znaczy, że z pozycji tej byli wyparci.

¹⁾ Polegli: młody 16 lat liczący Wład. Waligórski, syn jenerala; Emil Lampe, syn garbarza z Warszawy, według jednych kapitan 4-kompanii, według innych adjutant Jeziorańskiego; hr. Kazimierz Tyszkiewicz, 20-letni młodzieniec, ciężko ranny, przewieziony do szpitala w Cieszanowie w Galicyi, zmarł tam d. 8 maja; Stanisław Urbanowski, furjer, lat 25, rodem z Poznańskiego; Ferdynand Roesler, lat 18, technik, przeszyty tą samą kulą, którą ciężko raniła pamiętnikarza Wiktora Wiśniewskiego; major Kozanecki, przeszyty bagnietem; Dr Adam Stanisławski, student Akad. Med. w Warszawie, ciężko

regów miało ubyć w zabitych i ranionych, według samego Jeziorańskiego 106 (59 zabitych, 47 rannych), ale temu wierzyć nie można, gdyż dla ukrycia ciężkich strat i stąd mogącego wynikać złego wrażenia, umyślnie ukryto liczbę zabitych. Według innych relacji zginęło i raniono 160, a nawet 200 i te cyfry zdają się być najprawdziwsze. Pochowano jednak ostentacyjnie tylko 34 z odpowiednim nabożeństwem i entuzjastyczną mową kapelana oddziału, a resztę, lękając się wspomnianego złego wrażenia, zakopano w nocy cichaczem. Jak poważne były straty, świadczy ten fakt, że siódma kompania po bitwie tak zeszczupiała, że z 60 ludzi liczyła zaledwie 18 wraz z kapitanem. Wszystkich ranionych przewieziono do Galicji, do szpitali, założonych staraniem kobiet polskich w Cieszanowie, Oleśzyczach i Sieniawie. Między ranionymi znalazło się kilku kozaków, porażonych w chwili przekroczenia granicy galicyjskiej.

Raport Miednikowa oczywiście przesadza straty polskie, acz liczby ich nie wymienia, twierdzi tylko, że cała granica była zasiana trupami powstańców, że jeńców nie miał, gdyż rozdrażnieni żołnierze nikomu pardonu nie dawali. Jest to najoczywistsze kłamstwo. Owych trupów widzieć nie mógł, boć przecie nie zwyciężył, ale się cofnął, sam poniósłszy dotkliwe straty. Przyznaje on się do 150 zabitych i ranionych, co dowodzi, że miał ich znacznie więcej i te to straty zapewne powstrzymały go od ostatecznego ataku na skupionego przy kordonie samym Jeziorańskiego i zmusiły do odwrotu. Wódz powstańczy obliczał

ranny, zmarł w szpitalu w Cieszanowie d. 20 maja; niejaki Holcer, ojciec sześciorga dzieci; (*N. Berg* III, 134, wymienia jeszcze jakichś trzech ziemian: Krasnoluckiego, Preszela i Piaseckiego, których zwłoki jakoby miano znaleźć na pobojuwisku). Ranni zostali: szef sztabu Tomasz Winnicki, któremu kartacz z wierzchu czaszki skórę zdarł; major Dobrzański; kapitanowie: Wyszomierski, Zawadzki, Litwicki, Kurek, Sokolnicki, Wiktor Wiśniewski, porucznik Szubartowski, ataman kozaków Wyleżyński (ranił się własnym rewolwerem w nogę). A zatem cała szarża oficerska albo poległa, albo była ranna.

straty rosyjskie na 705 zabitych i ranionych, inni na 600, ale cyfry te są najwidoczniej przesadzone, ze względu na liczebność kolumny Miednikowa. To pewna, że większość swych zabitych pozostawił na pobojuwisku, których spędzeni z Galicji chłopci pochowali w kilku dołach za odpowiedzialną zapłatą.

Z zapadającym mrokiem wrócono na dawne obozowisko z uczuciem mocnego przygnębienia. Znużenie, konieczne następstwo całodziennego natężenia wszystkich sił i wszystkich nerwów, noc głucha wśród posępnego leśnego pustkowia, stopy trupów walających się dokoła, krakanie wron i kruków, zbiegających się tłumnie, zapewne zwabionych zapachem obficie wylanej krwi, pisk sów i hukanie pułaczy, wystraszonych niedawną wrzawą wojenną i szukających teraz swych siedlisk, niepewność położenia, obawa ponownego ataku ze strony nieprzyjaciela, wszystko to oddziaływać musiało na młodego, wrażliwego i nieobytego z wojną żołnierza powstańczego. Ale wysłane na wszystkie strony podjazdy kawaleryjskie, niebawem doniosły, że w ćwierćmilowym obrębie nigdzie nieprzyjaciela nie widać, a rozpalone ogniska, hojnie szafowane wino czerwone i białe, z szlachecką fantazją ofiarowane przez ks. Sapiehę, który przez cały czas boju uwijał się wśród tyralierów z karabinem w ręku, a teraz sypał dukaty, kupując czapki kozackie, przywróciły otuchę, dobry humor i nadzieję w szeregach¹⁾. Wyjechawszy z obozu już d. 8 maja pisał do Jeziorańskiego, że cieszy się, iż nieprzyjaciel ataku nie ponowił, co miało dowodzić, że „zwycięstwo było zupełne i świetne“; co jednak najważniejsza, donosił, że w ciągu kilku dni oddział Żalplachty w sile czterystu kilkudziesię-

¹⁾ W notatkach ks. Adama Sapiehy, jakie posiadamy o boju pod Kobylanką, znajdujemy ciekawy i charakterystyczny epizod tej treści: «pod Kobylanką spotkałem jednego z włóczących się po kraju dygnitarzy (domyslać się należy, powstańczych), a i tego biedaka musiałem wyprać odebraną kozakom pletnią, bo w czasie najgorętszej walki, siedząc w karecie z wcale nadobną osóbką, spijał wino».

sięciu ludzi ma przejść granicę pod Cewkowem i podać zbrojną rękę Jeziorańskiemu.

Tymczasem ten ostatni czekać nie mógł. Odpoczywał on na pobojowisku przez cały dzień 7 maja, gdy nad wieczorem zjawił się szpieg powstańczy żyd Liban i przyniósł bardzo niepokojące wiadomości, że nieprzyjaciel stoi o niecałą milę od obozu polskiego, że mu znaczne nadciągnęły posiłki z Lublina, a z Zamościa wielka ilość bomb (co już najoczywistszą było bajką), i że zamierza zaraz po północy uderzyć na powstańców. Gdyby się był Jaziorański zastanowił krytyczniej nad temi wiadomościami, byłby się domyślił w nich wielkiej przesady, choćby z tego względu, że w ciągu 24 niespełna godzin, znacznie od pola bitwy oddalony Lublin nie mógł być uwiadomiony o tem, co zaszło i nie mógł wysłać, jak mówił Liban, posiłków, ani też Zamość bomb, które zresztą zgola tu nie były potrzebne. Ale nerwowy nastrój całego oddziału, zamroczyl trzeźwość umysłu i Jeziorański mocno osłabiony dwukrotnym bojem, nie chcąc, jak sam powiada, „stracić młodzieży, składającej oddział“, postanowił cofnąć się przed grożącym napadem do Galicyi, okrążyć nieprzyjaciela ukrytym, tuż nad kordonem, marszem i w innym miejscu znowu wkroczyć do Królestwa¹⁾. Wieść o cofaniu się do Galicyi, oraz, że Jeziorański zamierza przedrzeć się w głąb Kró-

¹⁾ W swych «Pamiętnikach» II, 60, powiada on, że przechodząc do Galicyi miał nadzieję na podstawie listu ks. Sapiehy, że spotka się z oddziałem Żalplachty. Najprzód, cofając się d. 7 maja wieczorem do Galicyi, nie mógł mieć jeszcze listu Sapiehy, pisanego d. 8 maja (l. c. II, 58), nie wiedział więc nic o Żalplachcie, a potem otrzymał on także pismo od Wysockiego, który wyraźnie donosił, że Żalplachty w żaden sposób posłać mu nie może, bo go zachowuje na wyprawę Wolińską. Wreszcie ks. Sapicha pisał, że Żalplachta przejdzie do Królestwa dopiero «około wtorku» t. j. d. 12 maja, jakimże więc sposobem Jeziorański, przemyskający się w nocy z d. 7 na 8 maja tuż nad granicą i zmuszony albo zaraz wkroczyć do Królestwa, albo uleść rozbrowieniu przez Austryaków, mógł liczyć na spotkanie się z Żalplachtą? Takich umyślnie sfalszowanych albo bałamutnych podań jest wiele w «Pamiętnikach» Jeziorańskiego.

lestwa, wywarła złe wrażenie na tych żołnierzy zmęczonych, okrwawionych i bijących się tylko dla tego dobrze, że każdej chwili mogli znaleźć bezpieczne schronisko w Galicyi. Pod wieczór, wśród przygotowań do wymarszu, okazała się znaczna dezercya z szeregów, zwłaszcza z pikiet i straży, których połowa była haniebnie opuszczoną¹⁾.

Nakoniec wśród nocy ciemnej i chmurnej, około godz. 11-ej, przy zachowaniu największej cichości, wyruszone z obozu i wkroczone do Galicyi. Marsz ten pod obawą spotkania się z patrolem austriackim, przy migotliwym blasku świeczek, niesionych co kilkadziesiąt kroków i słabo rozjaśniających nieprzejrzaną ciemność, znużył moralnie wielu i dezercya się zwiększyła. Na szczęście nie spotkano nigdzie wojska austriackiego, które dyskretnie zeszło z drogi, a przytem Jeziorański posuwał się tuż nad granicą, tak że w razie pojawienia się patroli, mógł zaraz ją przekroczyć i znaleźć się znowu na terytorium Królestwa. Wśród szeregów panowało przekonanie, zapewne wypowiedziane przy jakiejś sposobności przez samego Jeziorańskiego, że maszerują w Hrubieszowskie²⁾. Prawdopodobnie miał on ten zamiar pierwotnie, by tam, wśród swych zwolenników sięgnąć po upragnioną dyktaturę, ale widocznie w ostatniej chwili zmuszony był, dla powodów bliżej nam nieznanych, zmienić ten zamiar i zamiast na wschód, ruszył na zachód. W obozie opuszczonym zostawiono palące się ogniska w celu zwiedzenia nieprzyjaciela, że powstańcy tam jeszcze się znajdują. Jakoż ten pospolity podstęp udał się całkowicie. Zaledwie bowiem oddział polski uszedł nie więcej jak ówierć mili od poprzednio zajmowanego stanowiska, gdy od tamtej strony cicha noc majowa przyniosła huk dział i gęsty ogień karabinowy.

Cóż się więc stało?

Miednikow, nauczony krwawem doświadczeniem, poznaawszy swój błąd, że zbyt słabymi siłami atakował Je-

¹⁾ K. Lange, «Pamiętniki starego ulana» (rękopism).

²⁾ L. c.

ziorańskiego, cofnąwszy się po boju d. 6 maja, ściągnął do siebie kolumnę majora Czermieńskiego, włączając się bez celu po lasach Głuchowskich i gdy ta przybyła d. 7 maja, nie zwlekając, niecierpliwym pomszczenia się dwu dotychczasowych porażek, zdecydował się na atak nocny na czele wszystkich swoich oddziałów. Złudzony ogniskami, pozostawionymi w obozie przez powstańców, sądząc, że ich ma przed sobą, rozdzielił swą kolumnę tak, by z dwu stron zaatakować Polaków i rozpoczął rześisty ogień karabinowy i armatni, którym, jeżeli można wierzyć doniesieniom polskim, wielu swoich poraził wśród ciemności nocnych, i nie wprzód go wstrzymał, aż żandarmi austriacy zaślepionego wodza rosyjskiego uwiadomili, że powstańców w obozie niema¹⁾. Zamiast więc Junony uściskał chmurę, co mu jednak nie przeszkadzało w raportach donosić, że Jeziorańskiego wyparł za granicę galicyjską. Wywiedziawszy się nakoniec, że Polacy ciągną ponad kordonem, sam od strony Królestwa ruszył w tymże kierunku ku wsi Zamchowi i bacznie śledził ich ruchy.

Tymczasem Jeziorański, usłyszawszy wśród swego marszu ów huk dział i ognia karabinowego, którym Miednikow jak nowy Don Kichot walczył z pustemi szalassami i ogniskami i przypuszczając, że może to walczy z nieprzyjacielem albo od tygodnia oczekiwany Czerwiński, albo też może przyobiecany przez ks. Sapiechę, Żalplachta, wstrzymał swój marsz i wysłał żyda Libana, ażeby się dowiedział, co znaczy ów ogień, wzmagający się z każdą chwilą. Gdy w godzinę potem Liban doniósł o przyczynie tego spóźnionego ognia, Jeziorański ruszył dalej i o świtanie, d. 8 maja, przeszedł granicę wprost Tarnobrodu, zapewne z zamiarem pomaszerowania do tego

¹⁾ *Jeziorański* II, 62, powiada, że Chruszczow i Emanow (bo stale sądzi, że z nimi, nie z Miednikowem miał do czynienia) stracił przytem od własnych kul w zabitych i ranionych około 130 ludzi (*K. Lange* zaś twierdzi, że około 40), że w gniewie kazali powiesić szpiega własnego, który nie dał im znać o wymarszu powstańców.

miasta i dostania się w głąb kraju. Ale Miednikow, który tym razem odzyskał zamroczoną na chwilę dawną swą energię, czyniącą zeń niebezpiecznego przeciwnika, pilną zwracał uwagę na ruchy Jeziorańskiego i nie tracił go z oczów. Nim dowódca polski po całonocnym, wyczerpującym marszu odpoczął, już Miednikow niemniej zmęczony, a mimo to nie spoczywający, zdołał go ubiedz w Tarnobrodzie i tym sposobem zastąpić mu drogę w głąb Królestwa. Nie było co innego do roboty, jak z żołnierzem zmęczonym mocno, moralnie zachwianym, poczynającym nieufać swemu dowódcy, zarażonym tajnymi intrygami, wabionym słodkim spoczynkiem i bezpieczeństwem w Galicyi, napowrót cofnąć się za kordon, by uniknąć ponownego starcia z Miednikowem, który śmiało debuszował z Tarnobrodu. Jeziorański więc po raz drugi przeszedł granicę i po raz drugi, wśród wyteżonych marszów, ciągle się jej trzymając, szedł, by zniknąć z oczu energicznemu przeciwnikowi i spróbować powtórnego wkroczenia do Królestwa¹⁾. Ponieważ w tem miejscu granica austriacka wrzyna się ostrym klinem w terytoryum Kongresówki, więc Jeziorański, idąc po przekątni, zdołał zniknąć z oczów Miednikowa i nazajutrz, d. 9 maja, koło godz. 2 po południu przeszedł kordon pod wsią Młynami, gdzie na chwilę, dla dania wypoczynku mocno wyczerpanym swym żołnierzom, się zatrzymał, o pół mili od granicy austriackiej.

¹⁾ Tym razem, jeżeli można wierzyć rękopiśmiennej relacji Wład. Kornela Zielińskiego (autora «*Historii Lublina*»), znajdującej się w naszych zbiorach, przewodniczył oddziałowi polskiemu oficer huzarów austriackich hr. Żaluski, na czele swego szwadronu. Oczywiście rzecz, że hr. Żaluski sam przez się na taki krok się nie odważył, że zatem musiał mieć instrukcję z góry. Jak wreszcie władze austriackie patrzyły przez palce na to, co się w Galicyi dzieje, niech posłuży fakt następujący, zaczerpnięty z tychże samych notatek Zielińskiego. W oddziale Jeziorańskiego służył porucznik artylerii austriackiej, Dobrzański. Otóż pod Kobylanką miał strzaskaną nogę w kolanie, a po wyleczeniu się władze wojskowe austriackie nie uznały mu tego za winę i pozwoliły dalej służyć w wojsku.

Niebawem ruszono naprzód i rozbito obóz we wsi Nakliku¹⁾.

Marsz ten, trwający dwie nocy i półtora dnia prawie bez odpoczynku, z żołnierzem wyczerpanym doszczętnie, w sile znacznie zmniejszonej wskutek dwu bojów i wzrastającej z każdą chwilą dezercyi, nie obiecywał dobrych rezultatów w razie spotkania się z nieprzyjacielem. Zatrzymano się w Nakliku, gdzie biedny dzierżawca ordynacki raczył zmęczonych powstańców herbata, a córki jego wydały jej przeszło tysiąc szklanek. Znajdowano się teraz w tych samych miejscach, w których niedawno przebywał Czechowski, i po wypoczynku ruszono w kierunku północno-zachodnim, traktem na wsie Lipiny i Harasinki, gdzie nakoniec Miednikow wyszedł pochód powstańców i jego przednia straż pod wodzą majora Ogolina zawiązała z nimi krótkotrwałą strzelaninę, przerwana zresztą szybkim odwrotem tychże ku wielkim lasom Ciosmińskim²⁾. Odtąd

¹⁾ Cały ten epizod marszów Jeziorański w swych Pamiętnikach bardzo mętnie i pobieżnie opowiada, tak że z nich trudno dojść prawdy, umyślnie przez pamiętnikarza zatartej, dla pokrycia swej późniejszej haniebnej ucieczki. Naszą relację oparliśmy na raportach Miednikowa (*Żurnal wojen. dziełstw* Nr 23), na *N. Bergu* III, 134 i 135, który z ustnych opowieści samego Miednikowa nieco szczegółów zaczerpnął, wreszcie na pamiętnikach *K. Langego* i kilku osób, służących wówczas w korpusiku Jeziorańskiego, lub jako urzędnicy narodowi w Lubelskiem, mogących mieć dobre wiadomości o przebiegu tych wypadków.

²⁾ Miednikow w swym raporcie twierdzi, że Jeziorański, marszerując do wsi Harasinki, gdzie wchodził na trakt, prowadzący do Janowa Ordynackiego, miał zamiar atakować to miasto, że w tym celu umówił się z Czerwińskim, który miał uderzyć od północy, a Jeziorański od południa. Gdyby tak było, niewątpliwie ten ostatni byłby w swoich pamiętnikach o tem wspomniął; żadna zresztą ze znanych nam relacji polskich o takich zamysłach nie mówi. A przeto było to niemożliwe, gdyż Czerwiński, a raczej dowodzący w tej chwili tą partją Foltański, znajdował się w okolicach Tomaszowa Ordynackiego i, jak pisaliśmy wyżej, wcale nie myślał o daniu mu pomocy lub jakim skombinowanym z nim ruchu, zwłaszcza, że zapewne nie wiedział, że oddział ten ponownie wkroczył do Królestwa i gdzie się tenże znajduje.

Ogolin ani na chwilę nie spuszczał z oka topniejących coraz bardziej szeregów Jeziorańskiego, deptał mu niemal po piętach, tak że nadzieja wymknięcia się nieprzyjacielowi przy pomocy forsownych marszów była bardzo wątpliwą. Maszerowano ciągle przez cały dzień 10 i 11 maja, zatrzymując się tylko na krótko dla nabrania tchu, wreszcie oddział, niesłychanie znużony, stanął obozem w Hucie Krzeszowskiej. Tutaj, koło godz. 5 po południu, ujrzano wysuwających się z lasu kozaków, a niebawem czarne kolumny piechoty i armaty. Jeziorański kazał Śmiechowskiemu rozwinąć piechotę w gęstych zaroślach, kawaleryę zaś wysunął naprzód na nagą płaszczyznę. Rozpoczęła się zwykła strzelanina i piechota powstańcza, mając na tyłach swoją kawaleryę, która ją zasłaniała, rejterowała się powoli, i z nastającym zmrokiem, stosunkowo dość szczęśliwie i z niewielkimi stratami wycofała się i ruszyła w kierunku granicy austriackiej. Widoczną było rzeczą, że Śmiechowski prowadzi zmęczony i zgębiony oddział do Galicyi. W czasie tego marszu spostrzeżono, a zarazem dowiedziano się na pewno, że Jeziorańskiego nie ma przy oddziale, że uciekł za kordon austriacki. W rzeczy samej tak było. W początkach potyczki pod Hutą Krzeszowską, oddawszy dowództwo Śmiechowskiemu, zupełnie tak samo jak Langiewicz w Wełczu, zabrał się i w towarzystwie generała Waligórskiego, płatnika Ryxa i kasy wprost puścił się ku granicy, pozostawiając walecznych swych towarzyszy niby w rękach niedołężnego starca, jakim był Śmiechowski, a właściwie na los Opatrzności. Haniebna ta ucieczka, którą usiłował tłumaczyć jakoby odcięciem od oddziału i kontuzją, jaką otrzymał w czasie ostatniego starcia, niczem usprawiedliwić się nie da. Przypuściwszy nawet, że odcięcie owe przez kozaków jest prawdziwem, to obowiązkiem jego, jako wodza, było wszystkich środków użyć, na wszystko się narazić, byle dotrzeć do owej dzielnej, powierzonej sobie młodzieży, by z nią dalej walczyć i do ostatka trudy i niebezpieczeństwa z nią dzielić. Nie zrobił

tęgo i plamę na sobie sromotnej ucieczki z pola bitwy nosi i zawsze w historii nosić ją będzie¹⁾.

Skoro w oddziale, maszerującym pod Śmiechowskim w kierunku granicy, dowiedziano się o ucieczce Jeziorańskiego, poczęły się rozlegać okrzyki słusznego oburzenia i oskarżenia o zdradę. Wymyślano, grożono śmiercią nieobecnemu wodzowi, rzucano broń i amunicję. Szeregi się rozprężyły, wkradł się zupełny nieład, któremu stary Śmiechowski, podobnie jak niegdyś w oddziale dyktatorskim, rady dać nie mógł, a nawet, gdy podrażniony w rzadkim przystępie męskiego uniesienia, wołał: „psiakrew bugry do

¹⁾ W Pamiętnikach swoich II, 63 i nast. bardzo mętnie opowiada on o tym sromotnym epizodzie swego życia. Píše więc: «aby zreknoskować pozycję i rozpatrzyć, w jakiej sile nieprzyjacieli się znajduję, wjechałem na wzgórze po lewej stronie z jeneralem Wali-górskim, z Ryxem kapitanem platnikiem i młodym podoficerem, którego nazwiska nie przypominam sobie. Moskale już na pozycji ustawili działa i zwyczajem swoim na ślepo zaczęli strzelać w stronę, gdzie oddział się znajdował. Jedna kula tak blisko przeszła koło mnie, że uczulem wstrząśnienie w całym ciele, koń skoczył w bok, w oczach mi się zaćmiło. Bólu na razie żadnego nie czulem, byłem jednak oszołomiony. Jen. Waligórski pociągnął mię za rękaw, pytając czym nie ranny? — Nie, odrzekłem. — «Patrz, mówił do mnie, pokazując na kawalerję rosyjską, jesteście od naszego oddziału oddzieleni». Rozpatrzywszy się przekonałem się, że tak jest rzeczywiście. Kawalerja rosyjska ciągnęła płaszczyznę, oddzielającą nas od wzgórza, za którym znajdowała się nasza kawalerja; piechota ich po prawej stronie rozprowadziła łańcuch tyralierów, który nas odciął od piechoty naszej. Nie było innego sposobu jak jechać wprost, okrążyć nieprzyjaciela i tak złączyć się z oddziałem. Aby to wykonać, ujechawszy z ćwierć mili drogi, chcieliśmy się wziąć w lewo, przejść granicę galicyjską i objechawszy samym jej brzegiem, pod zasłoną granicy dostać się do oddziału». Tymczasem i tego, z powodu jakoby bagien, wykonać nie mógł, bo nie chciał, więc znalazł sobie w jakimś karczmicie przewodnika, który go przeprowadził do Galicyi. Tu, opowiada, uczul się całkiem beczliwy. «Głowa i oko z prawej strony zapuchło, ból owładnął mię tak wielki, że przytomność odstąpiła». Przewieziono go do Przemyśla, gdzie jakoby dowiedział się, że «oddział pod Młynami (?), otoczony znaczną siłą nieprzyjacielską, wparty został napowrót do Galicyi». Całe to opowiadanie jest bala-mutne, niejasne i klanliwe.

szeregu, bo w łby palić będę“, wymierzono nań karabiny i rewolwery. W tej zmęczonej fizycznie, zdemoralizowanej duchowo, zgnębionej niepowodzeniami masie, nikt już, nawet najenergiczniejszy człowiek, nie potrafiłby ładu zaprowadzić, posłuchu sobie wyjednać. Tyle tylko zrobiono, że część kosztownej broni zakopano, część wywieziono na gwałtem zrekwirowanych wozach do Galicyi, mimo to chwalił się później Miednikow, że postępując trop w trop za powstańcami, zebrał po drodze około 300 karabinów ciągniętych i przeszło 15 tysięcy naboji!

Tak się skończyła wyprawa Jeziorańskiego, taki miała ze wszech miar haniebną koniec. Jeżeli inni dowódcy powstańczy, wkraczający z Galicyi do Królestwa, ulegali ostatecznie po dłuższej lub krótszej kampanii porażce i musieli z powrotem szukać schronienia poza czarno-złotymi słupami, to żaden z nich jednak nie opuszczał swych nieszczęśliwych towarzyszy, nie zostawiał ich losowi, jak to uczynił Jeziorański, którego zdolności tak podnoszono, którego talenta wojskowe tak ceniono, który wreszcie nosił się dumnie, wszystkich potępiał i kazał wierzyć, że gdyby mu dano sposobność, pokazałby co umie. Haniebna jego ucieczka z pod Huty Krzeszowskiej jest niczem innym, jak powtórzeniem Langiewiczowskiej ucieczki z Węlcza. Ale jeżeli ta ostatnia znaleźć może jakie takie usprawiedliwienie we względach politycznych i w znaczeniu samej osoby dyktatora, której nie można było narażać na to, by stała się jeńcem rosyjskim, to Jeziorańskiego nie wytłumaczyć nie zdoła. Miał on wyraźny rozkaz Rządu narodowego, ażeby starał się przedrzeć w głąb Królestwa, zbierać ochotników i ożywiać powstanie¹⁾, on tymczasem przysiadł u samej granicy, dzięki niezdobytej pozycji dwukrotnie odparł nieprzyjaciela, snuł intrygę przeciw temu Rządowi i wreszcie zakończył wszystko najsromotniejszym opuszczeniem, powierzonego mu, tylu trudami i takim kosztem zorganizowanego oddziału. Zawistna na-

¹⁾ A. Giller, *Historja I*, 306.

tura tego człowieka, tej ambicji poziomej i nieudolnej, trawiła go powoli; miał pragnienie najwyższej władzy, a sięgnąć po nią wielkim i śmiałym czynem nie potrafił. Obejmując dowództwo, nie myślał nigdy o upartej walce, którą tylu innych toczyło; wszak wygodniej było siedzieć w Krakowie lub Lwowie, Kassandrowe snuć przepowiednie, milczeć posepnie, dając znać przez to milczenie, że on jeden coś zrobić może, ale że trzeba mu powierzyć władzę najwyższą i niezem nieskrępowaną. Gdy mu tej nie dano, gdy intryga ze szlachtą Hrubieszowską w obozie Kobylańskim nie przedstawiała żadnych warunków powodzenia, rzucił wszystko i pod kłamliwym pozorem odcięcia od oddziału, beczenie i niegodnie go opuścił.

Z Przemysła wystosował on do Rządu narodowego raport o stoczonych walkach pod Kobylanką i donosił o przejściu granicy, „co z braku odpowiednich sił i braku amunicji (pisał) nastąpić musiało“. Wiemy już, że to było kłamstwem, skoro Miednikow zdołał zebrać na drodze przeszło 15 tysięcy naboju, ale Jeziorański nie poprzestał na tem. Z zuchwałością, że nie powiemy bezczelnością, domagał się, aby Rząd narodowy zmienił organizację oddziałów, z Galicyi wysyłanych, chciał, aby władze cywilne uległy wojskowemu, żądał wreszcie, że ponieważ z powodu zdrowia nie może być w tej chwili czynnym, aby kogo innego na miejsce naczelnika województwa Lubelskiego zamianowano, lub dano mu zastępcę tymczasowego. W odpowiedzi Rząd narodowy udzielił mu dymisyę, zażądał tłumaczenia, dlaczego pomimo rozkazów nie posunął się w głąb województwa i jakie powody skłoniły go do opuszczenia obozu i udania się do Galicyi, wreszcie oddał go pod sąd wojenny, który, jak wszystkie sądy powstańcze, uniewinnił Jeziorańskiego¹⁾. Bądź co bądź, więcej na

¹⁾ A. Giller l. c. II, 306. Jeziorański w swych pamiętnikach i tę sprawę bałamutnie przedstawia, o sędzie nie nie mówi, owszem twierdzi, że sam Rząd narodowy, dowiedziawszy się jakoby prawdy, uznał słuszność jego postępowania, cofnął dymisyę i chciał, by dalej naczelnikował województwu Lubelskiemu, ale Jeziorański się na to

widowni powstania się nie ukazał i karyera jego wojskowa i polityczna na tem się skończyła.

Wypadki, zaszłe pod Kobylanką, jakkolwiek starannie ukrywane przez władze warszawskie, które publikując w „Dzienniku powszechnym“ raporta rosyjskich tryumfatorów niemal o najmniejszej potyczce z powstańcami, o dwukrotnym boju z Jeziorańskim słówkiem nawet nie wspomniały, jednakże rozniesione przez prasę przyjazną nam (a były nią prawie wszystkie dzienniki europejskie), nabyły niemałego rozgłosu. Była to właśnie pora, gdy nie-szczęсна interwencja europejska dochodziła do swej pełni i oczywiście dziennikarstwo wyzyskiwało dwukrotne starcie Kobylańskie, szumnie nazwane zwycięstwem, by pokazać obawiającym się Rosyi rządowi, że ten kolos rosyjski ma naprawdę gliniane nogi, że byle go pchnąć, to się obali, że ta wielka armia rosyjska jest zupełnie nic nie warta, skoro źle wyćwiczona i marnie uzbrojona ruchawka polska bije ją na strzępy. Chociaż więc raport Miednikowa swe dwukrotne odparcie, bo porażką tego nazwać nie można, przedstawiał w formach mocno zmienionych i złagodzonych, chociaż ostateczne wyrzucenie Jeziorańskiego do Galicyi, świadczyło, że tryumf pozostał przy broni rosyjskiej, jednakże pierwotne złe wrażenie w Petersburgu nie znikło. Tam partyi, wrogiej W. Ks. Konstantemu, mniemane zwycięstwo powstańców dało nowy atut w rękę, nową sposobność do wyrzekania i znęcania się nad „opozycyjnym“ (jak mówiono) W. Książem i nad niedołęstwem jego rządów w Warszawie. I było to, zaiste, jedno z dziwnych położen tej wogóle dziwacznej, jakby z fantastycznej bajki wschodniej wysnutej sytuacji, jaką powstanie polskie stworzyło, że nawet jego tryumfy, zamiast pożytek mu przynosić, przynosiły tylko szkodę ciężką i niepowetowaną, w długotrwałych swych skutkach dotkliwą. Im

nie zgodził. Później aresztowany w Austrii, wysłany został do Kufsteinu, potem do Meranu w Tyrolu, skąd uwolniony udał się do Paryża. Dalsze jego losy nie mają znaczenia historycznego.


bowiem bardziej ogień powstania się rozpałał, im częstsze były jego walki, im liczniejsze teraz tryumfy, tym większej siły nabierali nasi wrogowie w stolicy caratu, tym gwałtowniej naciskali, by W. Księcia z Warszawy odwołać i rozpocząć rządy wojskowe, krwią i zniszczeniem doszczętnem Polski zamazać swoje porażki i niepowodzenia swego oręża. W takich warunkach rozdrażnienie w masach rosyjskich, sztucznie podniecane przez tychże nieprzyjaciół naszych, przez tatarskimi żądzami i pragnieniami napojone stronnictwo Samobytników, wzmacniać się musiało, a rząd z konieczności temu wewnętrznemu naciskowi opinii wcześniej czy później uledeć musiał.

Zobaczmy zaraz, że wieści z Polski nadbiegały coraz gorsze, że wraz z niemi dziki, nieokiełznany ferment oburzenia przeciw nam w Rosyi wzrastał powoli ale nieustannie i chwila, gdy te rozpasane namiętności mas rosyjskich miały wziąć górę i porwać rząd za sobą, była już, niestety! bardzo blizką.

ROZDZIAŁ XV.

Komorów.

Grekowicz i potyczka pod Szklarami. Wyprawa Mosakowskiego. Potyczki pod Golczewicami i Jaworzniem. Wyprawa Rumockiego i starcie pod Szcami. Oksiński i bój pod Koniecpolem. Straż narodowa. Kazimierz Wiśniewski. Bogdan Bończa i jego śmierć w Górach. Oksiński pod Przedborzem i rozpuszczenie oddziału w Dobromierzu. Wyprawa Jordana i zamysły do niej przywiązane. Bój Dunajewskiego pod Guczkim i Jordana pod Komorowem. Chmieleński i jego napad na Janów. Żychliński i potyczki pod Ossą i Krynicą. Oddział Mystkowskiego. Napad pod Komorowem i Małkinią. Rozbicie i śmierć Fryczego. Trąbczyński pod Drądzewem. Oddział Wawra i marsz jego w Augustowskie. Andruszkiewicz i jego kompania. Werner w Kozim Rynku. Potyczka pod Kadyszem. Wittgenstein w Suwałkach. Wyprawa na Wawra. Bój pod Gruszkami i porażka w Kozim Rynku. Tryumf w Suwałkach. Marsz Wenera w Łomżyńskie. Przeprowadzenie przez Narew. Połączenie z partyą Trąbczyńskiego i innych. Narada wojenna. Zasadzka pod Zbrzeźnicą. Wielka wyprawa rosyjska. Klęska pod Sygami. Werner dzieli swój oddział. Ogólne uwagi.

 województwie krakowskiem po ucieczce Langiewicza i jego oddziału do Galicyi, powstanie zupełnie ucichło. Przez miesiąc przeszło czasu nie ukazał się żaden nowy oddział i panował tu względny spokój, który zakłócał chyba na chwilę i przelotnie tylko Czachowski, ocie-

rający się bokiem kiedy niekiedy o te strony. Zresztą była cisza zupełna. Wobec tego uczuwano tak w Rządzie narodowym, jak i w jego Wydziale wojny, rezydującym w tej porze w Krakowie, tym bardziej naglącą potrzebę sformowania choćby paru tylko partyi i rzucenia ich do Królestwa w Krakowskie, dla ożywienia przygasłego tam prawie zupełnie ruchu powstańczego. Nie było to rzeczą zbyt trudną. W samym Krakowie znajdowało się mnóstwo powstańców, wałęsających się po mieście i nadużywających gościnności Krakowian; była broń, były i jakie takie fundusze. Należało tylko zużytkować je umiejętnie, oddział usztyftować, a nadewszystko oddać go w dobre ręce. Oprócz organizujących się oddziałów Mierosławczyków, które niebawem miały uleść zupełnemu rozbiciu pod Krzykawką i Pobiednikiem, nie zdoławszy nawet ujść paru mil od granicy galicyjskiej, formowały się i inne oddziały, ale bardzo leniwie, ospale i wolno. Zwłaszcza mówiono powszechnie, a co najgorsza, zbyt głośno, o przygotowującej się wyprawie Zygmunta Jordana, niegdyś adjutanta generała Dembińskiego w kampanii węgierskiej, popieranego przez stronnictwo szlacheckie i przez Czartoryszczyznę. Ale ponieważ przygotowania te odbywały się bardzo wolno, więc młodzież niecierpliwsza chętnie pociągnęła do oddziału, który Wydział wojny utworzył i oddał pod dowództwo b. porucznika rosyjskiego pułku witebskiego piechoty, Grekowicza, tego samego, który w nocy z d. 22 na 23 stycznia dowodził niefortunną wyprawą na Radomsk.

Oddział ten mógł liczyć około trzystu ludzi, którzy wyszedłszy częściami z Krakowa, przez kilka dni ukrywali się po lasach i folwarkach Krzeszowickich, nim nakoniec świtanie d. 4 kwietnia, w Wielką Sobotę, nie przeszli suchej granicy pod wsią Szklary, o półtorej mili od Olkusza. Po uciążliwym, pełnym niepokoju wobec kręcących się patroli austriackich, całonocnym marszu, rozłożono się w lesie nad samą granicą, tak dla odpoczynku, jak i dla odgotowania żywności. Był to jeden z pospolitych błędów wszystkich dowódców, wkraczających z Gali-

cyi do Królestwa, że zaraz po wejściu odpoczywali, a odpocząwszy sobie uparcie się trzymali słupów granicznych, oczywiście w tym tchórzliwym zamiarze, ażeby przy pierwszym nacisku nieprzyjacielskim szukać za nimi bezpiecznego schronienia. Oddziałowi Grekowicza odpoczynek był niewątpliwie potrzebny, ale na to wystarczało parę godzin czasu; odgotowywanie obiadu było tylko pozorem, bo oprócz sucharów nie więcej nie miano i żołnierz mógł je spożyć maszerując. A przytem zdarzyła się taka okoliczność, która nakazywała natychmiastowy dalszy marsz, jeżeli nie chciano całej wyprawy zmarnować sromotnie. Przy wejściu bowiem do Królestwa schwytano kilku objeszczyków, których Grekowicz kazał powiesić, ale na nie szczęście jeden z nich zdołał uciec i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że niebawem załogi rosyjskie w Olkuszu, Skale, Miechowie i Michałowicach uwiadomione zostaną o pojawieniu się pod Szklarami powstańców.

Otóż w takim położeniu dowódca energiczny i mający silne postanowienie walczenia, byłby niezwłocznie wyruszył w głąb kraju, domagając się od swych podkomendnych choćby największego wysiłku, bo od tego zależało ocalenie oddziału, a co ważniejsza, honor broni powstańczej. Że Grekowicz pojmował to doskonale świadczy ten fakt, iż w rzeczy samej po schwytaniu objeszczyków, natychmiast podniósł na nogi swój obóz i niby ruszył w pochód, ale było to zrobione wprost dla zamydlenia, że tak powiemy, oczów, gdyż po parogodzinnem kręceniu się w lesie, wrócono znowu pod Szklary i zajęto pozycję tuż niemal nad granicą galicyjską, z wyraźnym zamiarem przekroczenia przez nią w razie napadu nieprzyjaciela. Doczekano go się też nazajutrz d. 5 kwietnia w samą niedzielę Wielkanocną. Na wieść bowiem, przyniesioną do Skąły przez zbiegłego objeszczyka, ruszył stamtąd dowódca miejscowej załogi major Jermoliński, wezwawszy na pomoc kniazia Szachowskiego, stojącego w Miechowie. Jakże siły posiadali obaj ci komendanci, nie wiemy. Według źródeł

polskich¹⁾, prowadzili oni ze sobą około 500 ludzi piechoty i kozaków, co jest widoczną przesadą, gdyż w całej tej części kraju, t. j. w powiecie Miechowskim (Miechów, Słomniki, Książ Wielki, Skala i Michałowice), stał ogółem jeden batalion strzelecki (Nr 7), liczący niespełna tysiąc ludzi²⁾. Bądź co bądź, nieprzyjaciół ukazał się około godz. 8 rano w Szklarach, właśnie w chwili, gdy powstańcy zajęci byli spożywaniem święconego, obficie im doniesionego przez nadgranicznych mieszkańców Galicyi. Rozpoczęło się żwawe starcie, trwające około czterech godzin, które skończyło się na tem, że nieprzyjaciół, wyrzucony ze wsi Szklary, zmuszony został do odwrotu i rozłożył się na sąsiednich wzgórzach, oczekując zapewne na posiłki Miechowskie, co nie zapowiadało pomyślnego dla powstańców rezultatu wyprawy. To też Grekowicz, jeżeli wierzyć niektórym doniesieniom³⁾, jeszcze w ciągu walki wyniósł się za granicę; dowództwo po nim objął jeden ze starszych oficerów, major Daniłowski i ten wieczorem oddział przeprowadził napowrót za kordon, broń zakopał i ludzi rozpuścił. Tak się skończyła ta, z wielu względów haniebna, dwa dni zaledwie trwająca wyprawa.

W niespełną parę tygodni potem, bo już d. 15 kwietnia, wyruszyła z Krakowa nowa ekspedycja powstańcza

¹⁾ «Wiadomości z pola bitwy» Nr 8.

²⁾ W Skale, według niejakiego J. L. («Dzielo pod Szicami», Warszawa, *Dziennik* Nr 254 z r. 1865), stały dwie kompanie strzeleckie pułku Witebskiego piechoty, ogółem około 300 ludzi, ale Jermoliński, wyruszając na wyprawę pod Szklary, nie mógł przecież zabrać całej załogi ze sobą i zostawić miasteczko bezbronnem.

³⁾ «W 40 rocznicę powstania» 213. W zbiorach naszych posiadamy rękopiśmienną relację jednego z uczestników wyprawy Grekowicza. Bezimienny autor opowiada, że już na samym początku starcia część oddziału powstańczego heroicznie drapnęła za granicę, gdzie stojąca piechota i kilkudziesięciu huzarów węgierskich rozbroili go i zabrali. Huzarzy ci bacznie przyglądali się walce i powstańcom, którym zabrakło naboju, dawali własne ładunki. Pamiętnikarz twierdzi, że powstańcy w tym boju, który trwał od godz. 8 do 10½ rano, stracili 11 zabitych i 20 rannych.

do Królestwa, której dowództwo krakowska Dyrekcya wojny powierzyła niejakiemu Mossakowskiemu. O jego zdolnościach wojennych bardzo niepoehlebne wśród gotujących się do marszu powstańców obiegały wieści. Wiedziano, że służył przez krótki czas we Włoszech w legio- nie węgierskim pod Garibaldim w r. 1860, że w powstaniu pod Langiewiczem odbył krótką kampanię jako niższy oficer, ale na podkomendnych swoim wysokim wzrostem, swemi płowymi i rzadkimi włosami, swoim wzrokiem spłowiłym i bez wyrazu, twarzą pospolitą i schorzałą, głosem suchym, drewnianym, uderzającą ospałością w ruchach, brakiem widocznym energii i siły, jak najgorsze wywierał wrażenie¹⁾. Dlaczego takiemu człowiekowi, okazującemu na każdym kroku niewiarę w powodzenie sprawy, której się poświęcił, oddano dowództwo, objaśnić nie umiemy. Uzbrojono oddział w karabiny, pozostałe po Grekowiczu, zakopane gdzieś w lasach Krzeszowieckich. Wydobyto je, wyczyszczono, naprawiono, co zajęło cztery dni czasu, bo w obozie zaledwie jeden rusznikarz się znajdował. Siły tej nowej wyprawy wynosiły wraz z oficerami 317 ludzi²⁾, których podzielono na dwie i pół szcze-

¹⁾ W «Dzienniku Warszawskim» Nr 197 z r. 1865, znajduje się bardzo niepoehlebna, acz nie wiemy na czem oparta relacja o przeszłości Mossakowskiego. Niepodpisany autor opowiada, że Mossakowski urodził się w Piotrkowie Trybunalskim, że skończył zaledwie trzy klasy, że początkowo był aplikantem sądowym, ale że mu się niebawem sprzykrzyło to zajęcie i wstąpił do wędrowniej menażeryi jako *cicerone* i z tego powodu dawni koledzy dali mu przezwisko «Moroka», zapożyczone z modnego podówczas i bardzo czytelnego romansu F. Sue p. t. «Żyd wieczny tulacz»; że jednak niedługo pełnił to rzemiosło i przeniósł się na kolej warsz.-wiedeńską i został tam prostym palaczem, ale i stąd wkrótce za przewożenie kontrabandy wypędzony, był gdzieś na wsi pisarzem prowentowym. Miał następnie udać się do Petersburga, niby na uniwersytet i stąd w r. 1860 wyjechał do Włoch i służył w legii węgierskiej pod Garibaldim. O ile to wszystko jest prawdą, nie wiemy.

²⁾ Niejaki p. *Ed. Klebert* w swym artykule o wyprawie Mossakowskiego, pomieszczonym w książce p. t. «W 40-tą rocznicę powstania», p. 194, powiada, że oddział liczył 250 ludzi. Poszliśmy jednak

płe kompanie strzelców (kapitanowie: Wisner, Skąpski, Kopeczny), kompanie kosynierów i mały oddziałek saperów. Jazdę stanowiło 20 jeźdźców, pod komendą rotmistrza Miernickiego. Z tak szczupłymi siłami, w tej części kraju, pozbawionej zupełnie oddziałów powstańczych, ale zato posiadającym nieliczne wprawdzie, ale gęsto rozsiane załogi rosyjskie, oczywiście niewiele można było zdziałać i smutny koniec owej wyprawy łatwo można było przewidzieć.

Po pięciodniowym organizowaniu się tuż nad granicą pod wsią Kobylany, czemu Austriacy wcale nie przeszkadzali, przekroczono nakoniec tę granicę d. 20 kwietnia w pobliżu wsi Gorenice w Olkuskiem. Maszerowano z krótkimi odpoczynkami w kierunku Olkusza, który Mosakowski zamierzał atakować, którego zdobycie, jak twierdził, „wzmocniłoby ducha, dało nowych ochotników i wygodny wypoczynek“, ale myśl tę za radą Wierzbńskiego, swego szefa sztabu, porzucił jako niewykonalną i ostatecznie nie mającą celu. Postanowiono więc dążyć do Złotego Potoku, miejscowości górzystej i lesistej, gdzie spodziewano się znaleźć pozycję mocno obronną i stąd dającą możliwość dłuższego wypoczynku i gdzie nadewszystko liczone na połączenie się z Oksińskim, który jakoby ze znaczną, wyćwiczoną i dobrze uzbrojoną partią miał się tam znajdować. Maszerowano więc cały dzień 21 kwietnia i całą noc wśród przepaścistych piasków olkuskich, wśród lasów Rabsztyńskich, odpoczywając niewiele, karmiąc się lichem, tak że rano 22 kwietnia, oddział zmęczony i wyczerpany do cna, przybył do wsi Golezowice, położonej nad Przemszą Białą. Tutaj zatrzymano się, żeby dać odpoczynek znużonym nadzwyczajnie ludziom. O nieprzyjacielu nie miano, jak się zdaje, żadnych wiadomości i stając

za podaniem *St. Wierzbńskiego* («Opis wypraw wojennych, w których brałem udział», Polska w walce I, 163), który jako najstarszy oficer w partyi Mosakowskiego, lepiej był pod tym względem poinformowany. Ostatnią cyfrę podaje także *Cz. Pieniążek* w dziełku «Temu lat 27» p. 50, zdaje się jednak, że ją zaczerpnął z *Wierzbńskiego*.

w Golezowicach, jeżeli lękano się ataku, to tylko od strony niedalekiej Pilicy, t. j. od północy. Tymczasem rzecz się miała przeciwnie. O marszu nad granicą i o wkroczeniu Mosakowskiego do Królestwa miał jeszcze d. 20 kwietnia wiadomość książę Szachowski w Miechowie¹⁾ i wyruszywszy na Wolbrom, zbliżał się do Golezowic na czele dwu kompanii piechoty, kilkunastu kozaków i objeszczyków. Szedł ostrożnie, bo jak zwykle mocno przesadzone wiadomości, które otrzymał, mówiły o powstańcach, że jest ich przeszło dwa tysiące doskonale wyćwiczonych i uzbrojonych. W obawie zatem, by nie uległ przewadze liczebnej przeciwnika, choć był odeń znacznie silniejszym, zażądał jeszcze pomocy od garnizonu Olkuskiego. Tymczasem nim ta nadeszła, natknął się na powstańców koło godz. 1-szej z południa. Nie chcąc okazać swych słabych, jak przypuszczał sił, osadził wieś i w niej się bronił, oczekując na posiłki. Po parogodzinnej strzelaninie, Mosakowski, widząc niezdecydowaną postawę nieprzyjaciela, nakazał atak na wieś, który dzięki Wisnerowi, Wierzbńskiemu i kosynierom, powiódł się szczęśliwie. Szachowski, wyrzucony ze wsi, w popłochu cofnął się za most na Przemszy, zostawiając w ręku powstańców swych ranionych i zabitych, oraz dwa furgony, napełnione mundurami, chlebem, bielizną i opatrunkami. Za wsią, za rzeką powstańcy zatrzymali się w pościgu, nieprzyjaciół także, ale w jakiś czas, gdy nadeszły mu tęskliwie oczekiwane posiłki z Olkusza, rozpoczął znowu gęsty ogień. Mosakowski wobec tego cofnął się do wsi, z niej na pierwszą pozycją, a gdy noc zapadła, mając wszystkiego tylko trzech ranionych, po naradzie z Wierzbńskim i Miernickim, postanowił ruszyć do Ogródzieńca dla dania żołnierzom odpoczynku i żywności w miasteczku, które acz małe, zawsze posiadało więcej za-

¹⁾ Czytaj w ówczesnych gazetach jego telegram tej treści: «Od ks. Szachowskiego otrzymano telegram z datą 7/20 kwietnia, że naprzeciw Ojcowa, w Austrii ukazała się banda buntowników. Wojsko od naszej strony bacznie ją śledzi». Wiedzano więc o pięciodniowym pobycie Mosakowskiego w Kobylanach.

sobów, niż wsie okoliczne na przednowku, a przytem Ogrodzieniec leżał na drodze do Złotego Potoku, gdzie spodziewano się zastać Oksińskiego, dłuższy odpoczynek i obfitość żywności.

Marsz ten, po wytężonych poprzednich pochodach, po stoczonej żwawej utarczce, kilka godzin trwającej, odbywany w nocy, wśród deszczu i nieprzejrzanym ciemności, po drogach grząskich i błotnistych, do reszty zmęczył powstańców. Na szczęście, koło godz. 11-ej dobito się do Ogrodzienca, gdzie znaleziono spoczynek w domach gościnnych mieszkańców i jaką taką żywność. Chcąc jednak, by oddział odzyskał zupełnie siły i otuchę, trzeba było, żeby mógł choć 24 godzin spokojnie i bezpiecznie obozować; tymczasem już w nocy doszło do Mosakowskiego zawiadomienie, że nieprzyjaciół ruszył jego śladem z Golczewic. Zerwano się więc o świcie chłodnego poranka wiosennego i wśród nieustannego deszczu i mgły ruszono w drogę. Usposobienie żołnierzy było jak najgorsze, a te wyczerpujące marsze, głód i chłód dobiły ich do reszty. Już w czasie pochodu okazały się liczne dezercye; ubyło przeszło czterdziestu ludzi, którzy albo pozostali na drodze, albo wprost opuścili szeregi; reszta wlokła się zmęczona i zrozpaczona. Na nieszczęście Mosakowski, zamiast jak najkrótszą drogą dążyć do Złotego Potoku, owej zwodniczej ziemi obiecanej, gdzie, choćby nie zastano Oksińskiego, który w tej porze był zupełnie gdzieindziej, to jednakże osiągnięcie zamierzonego celu, pozycja łatwa do obrony, byłyby nową otuchą i nową energią natchnęły powstańców, skręcił w bok, ku linii kolei warszawsko-wiedeńskiej i zatrzymał się niedaleko Myszkowa. Powodem tego ruchu była wiadomość, otrzymana w drodze, że koleją tą będzie jechał transport piechoty nieprzyjacielskiej, eskortujący partyę jeńców powstańczych do Częstochowy. Otóż niefortunnemu wodzowi polskiemu przyszła do głowy myśl, na transport ów napaść, rozbroić i jeńców odbić. Zatrzymał się więc tuż przy nasypie kolei, oddział swój ukrył w gęstych zaroślach i oczekiwał w tej pozycji

na ów pociąg. Wśród tego ktoś doniósł, że wiadomość o transporcie jeńców jest kłamliwą, więc Mosakowski przeszedł na drugą stronę nasypu i rozłożył się obozem wśród okolicy płaskiej i bezleśnej. Niebawem przyniesiono nową wiadomość, że Szachowski już jest niedaleko, oraz że z Częstochowy wyruszył pułkownik Alenicz ze znacznymi siłami, by wziętych we dwa ognie powstańców do szczytu wytępić. Wobec tego czekać nie można było; pozycja za nasypem kolei nie przedstawiała żadnego punktu oparcia, więc Mosakowski zerwał się, przekroczył ponownie linię drogi żelaznej i puścił się w kierunku Złotego Potoku. Niepotrzebne nadłożenie drogi ku Myszkowu, a z niem strata kilku drogich godzin czasu, zdecydowało o losie tego nieszczęśliwego oddziału.

Wśród zupełnego zniechęcenia, przy nieustannej dezercyi, zwłaszcza u kosynierów, zatrzymano się na odpoczynek poza wsią Porębą. „Zmęczenie ogromne, pisze uczestnik tej wyprawy ¹⁾. brak przekonania, żebyśmy sami w dwu województwach długo utrzymać się potrafili, odbierało nam wiarę w siebie i rodziło przecucie złego końca wyprawy“. Jakoż ludzi się nie można było. Ciągłe nadechodzące alarmujące wieści o zbliżaniu się nieprzyjaciela ze wszystkich stron, zmusiły Mosakowskiego, po krótkim odpoczynku w Porębie, do zwinięcia obozu i wyruszenia nad wieczorem na Jaworznik ku Złotemu Potokowi, okalając Żarki. Maszerowano całą noc lasami, a, jak wiadomo, wszystkie nocne marsze, zwłaszcza borem, wśród którego nic żołnierza nie zajmuje i nie ożywia, działają nadzwyczaj przygnębiająco, tym więcej, gdy ten żołnierz już poprzednio był zgnębiony i strudzony niesłuchanie. Musiano się co jakiś czas zatrzymywać, by upadającym ze znużenia ludziom dać wytchnąć nieco i rozciągniętą bezładnie kolumnę jako tako skupić. Na nieszczęście przewodnicy, nie znający dobrze drogi, pobłądzili, tak że po całonocnym marszu, przed samym świtem, dobito się do

¹⁾ Stanisław Wierzbinski l. c. I, 174.

Jaworzniaka, który od Myszkowa zaledwie parę mil jest oddalony; stracono więc na przebycie tych paru mil całą noc nieomal. Przebyto wieś i zatrzymano się w lesie, o półtorej wiorsty od niej, wśród znacznych trzęsawisk, na wzgórzu suchszem i pokrytem sągami drew. Cały oddział padł odrazu na ziemię i zasnął snem kamiennym, z którego po dwu godzinach zbudzony został pojawieniem się nieprzyjaciela. Był to pułkownik Alenicz.

Pozycya, jaką zajmowali powstańcy, była bardzo obronna i trudna do wzięcia wstępnym bojem, zwłaszcza od czoła. Od nieprzyjaciela dzieliły ją szerokie na 200 kroków i grzązkie, niczem nieosłonięte bagniska, które Alenicz, chcąc się dostać do obozowiska polskiego, musiał przejść pod gradem pocisków i potem dopiero wdzierać się na wzgórze, gdzie stali powstańcy, zasłonięci lasem i sągami drew. I gdyby oddział polski nie był tak zmęczony i zniechęcony, gdyby na samym początku starcia kapitan Wisner ze swą kompanią nie był uciekł haniebnie z pola bitwy, potyczka ta mogła być przez powstańców wygrana. Wisner, oddaliwszy się w bok na lewo, broń zakopał, a oddział swój rozpuścił. Niebawem za jego przykładem poszedł i sam Mosakowski, który wytrwawszy jakiś czas wśród walki, heroicznie drapnął i schronił się do Krakowa, zostawiając garstkę walecznych pod Wierzbińskim i Skąpskim na pastwę przemożnego wroga. Ci bili się mężnie, czterokroć unicestwiali próby nieprzyjaciela przedarcia się przez bagna, aż oskrzydleni, zdziesiątkowani, wyczerpani do cna, cofnęli się w liczbie sześćdziesięciu ludzi różnej broni w kierunku Rabsztyna, a stąd nazajutrz dnia 25 kwietnia przeszli granicę pod wsią Paczołtowicami i broń zakopali. Taki miała koniec ta nowa wyprawa galicyjska. Straty powstańców były znaczne. Jeżeli można wierzyć raportom rosyjskim, pod Jaworzniakiem padło powstańców 43; ze strony przeciwnej zginął oczywiście jeden kozak i 4 było ranionych. Rzecz prosta, jest to fałsz, choćby dlatego, że przedzieranie się przez grzązkie bagna pod kulami polskimi, musiało nieprzyjaciela drogo ko-

sztować. Świadkowie naoczni jednogłośnie twierdzą, że Rosyanie tego dnia bili się bardzo walecznie, ich oficerowie szli naprzód z podniesionymi w górę pałaszami, wołając: *w pierod, w pierod rebiata!* (naprzód! naprzód dzieci!). W czterokrotnie odpartych próbach przedarcia się przez bagna, w które brnęli ze zdumiewającą śmiałością, znaczne musieli ponieść straty, nie zaś tradycyjnego jednego kozaka. Dzienniki niemieckie, opisujące to starcie, obliczały je na 40 do 60 zabitych, co jest bardzo prawdopodobnem.

Ale jakkolwiek wielką mogła być strata nieprzyjaciela, to jednak ostateczny rezultat był dla niego korzystny. Nowy, z takim trudem sformowany oddział powstańczy, wysłany do Królestwa dla ożywienia usypiającej w Krakowskim walki, nie tylko jej nie ożywił, ale sam uległ stanowczej i zupełnej porażce, a co gorsza, znowu powtórzyła się bezecna historia ucieczki wodza powstańczego z pola bitwy¹⁾. Odtąd będzie się to coraz częściej przytrafiało; ci komendanci przypadkowi, mianowani w nagłej potrzebie z pośrodku rozmaitych awanturników i włóczęgów, których jedyną kwalifikacją było to, że gdzieś tam, przez jakiś krótki czas znajdowali się w jakimś wojsku i brali udział w jakiejś wojnie, lub na najniższych stanowiskach służyli w armii rosyjskiej, pruskiej lub austriackiej, ludzie w ogromnej większości bez talentu, bez wykształcenia wojskowego, charaktery lichy lub zwy-

¹⁾ To, co opowiada o tej ucieczce *Cz. Pieniążek* w swym pamiętniku p. t. «Temu lat 27» p. 90 i nast., jest wprost haniebne. Pieniążek, odcięty od swoich, z garstką kosynierów, znalazł się w lesie, kierując się ku moczarom, «w tem (pisze) biegnie ku nam Mosakowski z naszym przewodnikiem, za nim Wojciechowski i kilku strzelców. «Panowie, zawołał Mosakowski, gdybym był ranny nie zostawiajcie mnie tutaj», to rzekłszy spieszy pędem ku moczarom i nas wzywa za sobą. Wpadliśmy w trzęsawiska, gdy nad brzegiem ukazali się Moskale i wystrzelili do nas karabiny. Podobno Mosakowskiemu kula płaszcz przeszła... wydostaliśmy się szczęśliwie na łękę, było nas 9, nie licząc przewodnika i Mosakowskiego... nadsluchiwalismy... wreszcie cisza zaległa dokoła! «Panowie! odezwał się Mosakowski do nas, zostańcie tu i czekajcie na mnie. Pójdę

rodniałe, widzące w powstaniu jedynie możność przeżycia kosztem kraju choćby kilku dni i zyskania pieniędzy, rzucali istną płamę na powstanie. Na cóż się zdało ofiarne poświęcenie najlepszej młodzieży polskiej, na co jej męstwo i heroizm, na co te krwawe walki, które z istotnem bohaterstwem staczała, skoro to wszystko szło na marne w nieudolnych lub złą wolą kierowanych rękach różnych Seyfriedów, Drewnowskich, Jeziorańskich, Grekowiczów i Mosakowskich? Te wszystkie wyprawy z Galicyi, z takim wysiłkiem i mozołem przedsiębrane, pomimo niezaprzeczonej waleczności powstańców, kończyły się porażkami bardzo krwawymi, bo w tej porze właśnie do żołnierza rosyjskiego poczęły powoli przenikać tatarskie instynkta zniszczenia, które rozbudził w masach rosyjskich rząd, przestraszony groźbami mocarstw zachodnich i w tej swojej obawie szukający oporu w okrucieństwie i dzikości. Już pod Jaworznikiem, ten żołnierz rosyjski, bijący się dotąd z powstańcami dość tchórzliwie i zwyciężający dzięki tylko wyższości swej broni i organizacji, walczy z prawdziwą odwagą, przedziera się pod ulewą pocisków przez bagna, ponosi ciężkie straty, ale nawzajem tępi wszystko przed sobą, morduje bez miłosierdzia każdego, pali wsie, rabuje dwory i miasteczka, pastwi się nieraz dziko nad kobietami i dziećmi. Zobaczmy zaraz liczne tego przykłady.

Trzecia wyprawa, w tym czasie przedsięwzięta z Ga-

z przewodnikiem rozpatrzyć się w okolicy, za godzinę najdalej powrócić. «Naczelniku, rzekłem, nie opuszczaj nas, proszę». «Powróć do was, daję na to słowo honoru». «Czy słowo polskiego oficera?» zapytałem. «Daję je» i rzekłszy to podał mi rękę. Jakby przeczuć wiedziony, powiedziałem: «Na każdy wypadek, bo wiadomo co pułkownika spotkać może, proszę nam zostawić jakiś rozkaz, a zarazem cokolwiek pieniędzy, gdyż zdaje mi się, że są tu tacy, co ich nie mają». «Gdyby mnie schwytali Moskale, bo tylko w takim razie nie wróciłbym do was, obejmij komendę i rób co rozum każe. Do rąk twoich daję 25 rubli». Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni. Mosakowski oddalił się z przewodnikiem i daremnie czekaliśmy na niego od godziny 12 do 4 po południu».

licy do Królestwa, zawsze w celu ożywienia prawie nieistniejącego tam powstania, była pod dowództwem niejakiego Rumockiego. O przeszłości tego nowego komendanta, który podobnie jak Grekowicz, Mosakowski i wielu innych, raz jeden tylko ukazuje się na widowni powstania, nie umiemy nic powiedzieć. Nie mamy nawet danych, z ilu ludzi składał się jego oddział. Według źródeł rosyjskich liczył on 1200 żołnierzy, co jest najwidoczniejszą przesadą; prawdopodobnie, jak wszystkie partye, w tej porze wkraczające z Galicyi, najwyżej 300 zbrojnych miał w swych szeregach. Przeszedł on granicę w okolicy Szyce, wioski, leżącej nad samym kordonem, w nocy z d. 6 na 7 maja i zatrzymał się na odpoczynek pod Wielką wsią. Ale ponieważ do garnizonów rosyjskich, rozstawionych w Michałowicach, Miechowie, Skale i Olkuszu ciągle dochodziły z Krakowa wiadomości o organizujących się wyprawach, więc miano się na ostrożności, zdwojono baczność, całą granicę obsadzono pikietami obeszczyków i kozaków. Otóż tego samego poranku, w którym Rumocki, znudzony całonocnym marszem, zatrzymał się pod Wielką wsią, już w Skale wiadano o tem. Miasteczko to zajmował na czele dwu kompanii piechoty, oraz 70 kozaków i obeszczyków, major Jermoliński, ten sam, który niedawno rozbił Grekowicza pod Szklarami. Komendant rosyjski, oprócz wiadomości od pikiet kozackich o wkroczeniu nowego oddziału, otrzymał także doniesienie od jakiegoś szpiega galicyjskiego, utrzymującego, jakoby powstańcy liczyli przeszło tysiąc ludzi i zostawali pod dowództwem Jordana i Rochebruna¹⁾. Wobec tego Jermoliński, czując się za słabym do pokonania takiej siły, posłał zaraz gońca do komendanta kompanii strzeleckiej, konsystującej w Michałowicach, kapitana Stempela, z prośbą, aby ruszył pod Szyce, dokąd on, Jermoliński, wysyła sztabskapitana Antipowa z jedną kompanią piechoty i z całą, jaką posiadał, jazdą. Niemniej, z wiedzą czy bez

¹⁾ J. L. Dzięło pod Szicami. («Warsz. Dniew. Nr 254 z r. 1865).

wiedzy Jermolińskiego, wyruszył w tymże kierunku z Olkusza, komendant tamtejszej załogi na czele dwu kompanii piechoty z odpowiednim oddziałem kozaków, zapewne uwiadomiony także przez pikiety objeszczyków o pojawieniu się pod Wielką wsią powstańców. Tym sposobem na Rumockiego z trzech stron zważyć się miało cztery kompanie piechoty (jedna z Michałowic, jedna ze Skały, dwie z Olkusza). W takim stanie rzeczy, rezultat ani na chwilę nie mógł być wątpliwy. Na znużonych nocnym marszem powstańców, liczących niespełna 300 ludzi, miał napisać nieprzyjaciół z trzech stron, wypoczęty, karny, dobrze uzbrojony, dwa razy co najmniej od nich silniejszy. Jeżeli ich nie wytepił doszczętnie, to zawdzięczać należy najprzód bliskości granicy austriackiej, za którą schronić się mogli, a następnie mężnemu ich oporowi.

Antipow wyruszył ze Skały o godz. 6 rano; dzień był jasny, wiosenny i ciepły. Do żołnierzy swoich wygłosił mowę, wzywając ich, by „powstańcom pardonu nie dawali“, czego oczywiście dwa razy im powtarzać nie trzeba było. Lękał się on, żeby Polacy nie zajęli wybornej i mocno obronnej pozycji w Ojcowie, ale ci nie myśleli o tem, spoczywając w Wielkiej wsi, i Rumocki, jak wszyscy wódzowie powstańczy, przytulił się do granicy z zamiarem z góry powziętym, szukania za nią, przy pierwszym niebezpieczeństwie, osłony i przytułku. Antipow więc przekonawszy się, że w Ojcowie niema nikogo, ruszył pospiesznie ku wsi Biały Kościół. Okolica tutaj jest dość płaska i stopiowo się podnosi w miarę zbliżania się ku wsi. Dlatego już zdążył spostrzeżać placówki powstańcze, a ci ostatni ujrzeli posuwającą się kolumnę nieprzyjacielską. Rumocki, ponieważ nie innego nie było do roboty, zdecydował się dać nieprzyjacielowi pole. W tym celu wystąpił ze wsi, część swej piechoty rozsyłał w tyraliery na płaszczyźnie, zarosłej niskimi krzakami, resztę zaś umieścił w tyle w dwu ściśniętych kolumnach. Jazda w liczbie ogólnej 60 koni, pod wodzą Topora, uszeregowana się na obu skrzydłach. W takim szyku czekali na zbliżającego się wroga.

Bój rozpoczęła jazda polska, którą Rumocki prawdopodobnie ażeby niedozwolić nieprzyjacielowi na rozwinięcie się należyte, rzucił naprzód. Ruszyła ona z zamaszystą fantazją, ale powitana gęstą acz nieporządną palbą piechoty rosyjskiej, zagrożona od skrzydeł przez kozaków i objeszczyków, ze stratą kilku ludzi, cofnęła się w nieładzie. Teraz rozpoczęły strzelaninę obie piechoty. Żuawi polscy, w czerwonych, garibaldyjskich koszulach, pod wodzą Francuza Perreta, dzielnie stawiali czoło, walka się ciągnęła bez rezultatu stanowczego, gdy nagle ukazanie się od prawego kolumny nieprzyjacielskiej z Michałowic, która ciągłymi strzałami przeszywać poczęła linię polską, a nibawem i od lewego zjawiał się nieprzyjaciół, maszerujący z Olkusza, zmusiło powstańców do odwrotu do wsi. Antipow wtedy ruszył przy warczeniu bębnow na bagnety, wyparł powstańców ze wsi i depcząc im po piętach przebiegł przez wieś i dotarł do samych Szych. Tutaj, gdy większa część ruchawki polskiej chroniła się za kordon graniczny, około 40 stawiało jeszcze uparty opór w Szycach, celnymi strzałami powstrzymywało nacisk nieprzyjaciela, raniło ciężko samego Antipowa, ale odcięci przez kozaków od granicy, albo polegli, albo dostali się do niewoli, i takim tragicznym epizodem zakończyła się ta nowa, trzecia z rzędu wyprawa. Ci, którzy przeszli przez granicę, zostali przez wojsko austriackie rozbrojeni i w liczbie 183 przyaresztowani i odwiezieni do Krakowa¹⁾.

¹⁾ Straty powstańców były dość znaczne. Według relacji rosyjskiej («Dniw. Warsz.» l. c.) miało ich poledz 120; według raportu urzędowego 61, a 3 wzięto do niewoli, co dowodzi, że rozkaz Antipowa «niedawania pardonu» był ściśle wykonany. Rosjanie zaś mieli stracić tylko 2 zabitych i 4 ranionych (raport urzędowy), a według cytowanego J. L. 3 zabitych i 7 ranionych. «Wiadomości z pola bitwy» Nr 12 twierdzą, że powstańcy stracili tylko 10 zabitych i 30 ranionych. Raport urzędowy, pomieszczony w gazecie «Petersburgskija Wiedomości» Nr 103 z r. 1863 donosi, że generał austriacki Dobrzański (zapewne Polak) po starciu tem przyjechał na granicę i zawiadomił komendantów rosyjskich, że przeszło 40 zabitych powstańców i mnóstwo ranionych, zawieziono do Krakowa.

Nie udało się więc próby ożywienia powstania w Krakowskiem przy pomocy wypraw z Galicyi; cel ten za to osiągnęły choć w części oddziały, sformowane wewnątrz kraju. Właśnie w tej porze pojawił się w okolicy Włoszczowy i Małogoszcza, Józef Oksiński, który przybył tutaj z Kaliskiego i Wieluńskiego, gdzie stoczył kilka niezbyt szczęśliwych utarczek i prawdopodobnie w tej nadziei przeszedł w Krakowskie, że tutaj będzie mógł nieco bezpieczniej się zorganizować i odpocząć. Mówiliśmy już o tym człowieku, niezaprzeczenie z wielką wytrwałością prowadzącym od stycznia wojnę, ale pozbawionym wyższych talentów wojskowych, dziwacznym w obejściu i częstokroć okrutnym. Szlachta w Wieluńskiem oskarżała go nie bez pewnej słuszności o pijaństwo¹⁾ i była nań oburzoną za jego bezwzględne, nieraz dzikie z nią postępowanie. Bicie batami nawet kobiet szlacheckich, wieszanie w worku na drzewie ziemian za niewykonanie choćby najbłahszego rozkazu, częstokroć niemożliwego do spełnienia, karanie śmiercią chłopów i niechłopów było rzeczą pospolitą u tego dowódcy, ponurego Czerwieńca, nielubianego przez podwładnych, otoczonego licznym i hulaszczym sztabem, przedstawiającego w ogóle jeden z tych ujemnych typów naczelników powstańczych, których takie mnóstwo się teraz natworzyło i którzy z podniosłych bojowników za niepodległość, zmienili się w jakichś średniowiecznych kondotyerów. Tej to niechęci szlachty wieluńskiej, która nieomieszkała zanieść swych skarg do Rządu narodowego do Warszawy, przypisać zapewne należy, że Oksiński przeniósł się w Krakowskie, i tutaj w początkach maja założył obóz we wsi Kluczewsku, leżącej niedaleko mia-

¹⁾ Autor niniejszego sam widział, jak Oksiński ze swymi dwoma towarzyszami (Lüttich i De la Croix) w czasie bardzo uciążliwego marszu, w dzień skwarny, gdy żołnierze padali ze znużenia i pragnienia, przejeżdżali się hulaśliwie wzdłuż kolumny i pili szampana z butelki, którą sobie wzajemnie z rąk wyrwali. Mogło to być zdarzenie pojedyncze, ale autor pamięta, że widok ten wywarł na niego i jego kolegów powstańczych bardzo przykre wrażenie.

steczka Włoszczowy. Oddział, pierwotnie bardzo nieliczny, przez napływ ochotników codzień nieomal się zwiększał, a dzięki temu, że było kilku oficerów fachowych, między nimi major Bogusławski, żołnierz z 1831 r., powoli przybierał postawę wojskową. Sam Oksiński mało się żołnierzem zajmował, rzadko się ukazywał, bawiąc się w dworze Kluczewskim ze swym sztabem, wśród którego rej wiedli dwaj dowódcy oddziału wieluńskiego, Lüttich, niegdyś student Akademii medycznej w Warszawie i Delacroix¹⁾. Ten ostatni o minie aktora prowincjonalnego, ustrojony fantastycznie i pstro, z mnóstwem piór u czapki, nie budził zaufania, a samotne przechadzki Oksińskiego z panną Władysławą, młodą i ładną kobietą, pełniącą obowiązki t. zw. kuryerki, nie mogły u podwładnych wytworzyć dobrej opinii o wodzu, ani o jego sztabie.

Oddział składał się z czterech batalionów piechoty, mniej więcej około 400 ludzi i 80 koni jazdy. Uzbrojony był niezłe; strzelcy, tworzący trzy bataliony, mieli karabiny austriackie i sztucery belgijskie; jeden batalion, pod wodzą kapitana Kuleszy, stanowili kosynierzy. Przydługi atoli nieco, bo blisko dwa tygodnie trwający pobyt w Kluczewsku, oddalonem o kilka zaledwie mil od Kielc, musiał tam na Oksińskiego zwrócić uwagę. Jakoż tamtejszy naczelnik wojenny, znany nam już generał Czengiery, wysłał dla pokonania powstańców oddział, złożony z trzech kompanii piechoty (pułku Smoleńskiego), pół szwadronu dragonów i kilkunastu kozaków, pod wodzą tegoż samego majora Bentkowskiego, który tak niefortunnie spisał się pod Grochówkami²⁾. Oksiński, dość wcześniej uwiadomiony o tej wyprawie, wyruszył z Kluczewska i wolnymi marszami ruszył ku Koniecpolowi, w którym to miasteczku

¹⁾ Delacroix, nazywający się właściwie Krzyżanowskim, jest podobno tą samą osobistością, która została później merem Bellevillu, przedmieścia paryskiego.

²⁾ Bentkowski, Polak rodem, należał do rzędu tych rozdwojonych natur, jakie wytworzyły i wytwarzają po dziś dzień ciemiejsze rządy rosyjskie. Raz pozwalał na ratowanie podejrzanych, dopomagał

osłonięty od czoła rzeką Pilicą, zdecydował się na przyjęcie boju ze ścigającym go Bentkowskim.

Miasteczko Koniecpol leży na lewym brzegu Pilicy, który to brzeg znacznie góruje nad prawym. Po większej części jest ono murowane i jeden tylko most doń prowadzi. Tuż przy moście wznosi się duży dom, silnie zbudowany, w którym mieścił się szpital. Po prawej polskiej, na końcu miasta znajdowały się zakłady fabryczne, wysokim opasane murem; po lewej cmentarz, także obmurowany. Pozycja była mocna i łatwo obronna, gdyby powstańcy lepiej byli wyćwiczeni, a ich dowódca miał dobrą głowę. Przepędził on noc z d. 24 na 25 maja w Chrzastowie, wsi zamożnej Potockich, o parę wiorst oddalonej od Koniecpola i nazajutrz zajął to miasteczko, pozostawiając na prawym brzegu Pilicy, wzdłuż drogi Chrzastowskiej, po obu stronach której ciągnęły się domy, przeważnie drewniane, część swego oddziału, dla obrony przystępu do mostu. Lepiej byłby zrobił, gdyby ten most był zerwał, gdyż ostatecznie nieprzyjaciół wyrzucił powstańców z owych domków i za ustępującymi począł na most wkra-
czać. Przyjęty tu rżęsiwym ogniem cofnął się, a kosynierka pod wodzą kapitana Kuleszy, pod ulewą pocisków rosyjskich, most ten rozebrała. Walka, polegająca na obustronnym ogniu, trwała dość długo, dla obu stron z niewielką szkodą, bo powstańcy zakryci byli domami, a nieprzyjaciół bujnymi łąkami zboża, rosnącego na przeciwnym brzegu. Niestety! powstańcom zaczęło brakować amunicji i major Bogusławski, broniący na skrajnym lewym cmentarzu, nie mając czem strzelać, cofnął się stamtąd pierwszy, wskutek czego nieprzyjaciół przeszedł tu Pilicę w bród, wszedł do miasteczka i z boku począł ukośnymi strzałami przeszywać środek powstańczy. Rezultatem tego był popłoch ogólny

nawet do tego, to znów, gdy go proszono za kim, unosił się, gniewał i wołał: «gdybym wiedział, która kropla mej krwi jest polską, tobym ją kazał ze siebie wytoczyć». W ogólności w głębi duszy był Polakiem i straszliwie go rozdrażniało nieudolne powstanie.

i ucieczka w nieładzie w kierunku wsi Podlasia. Straty w tem kilkugodzinnem starciu z obu stron były niewielkie¹⁾, ale oddział Oksińskiego zdemoralizowało ono znacznie. Sam dowódca nie okazał ani odwagi, ani przytomności umysłu i dość wcześnie zniknął z miasta²⁾. Z tem wszystkiem, ponieważ Bentkowski nie ścigał rozbitków, owszem zawrócił i zaraz pomaszerował do Kielc, partya Oksińskiego przysłała prędko do siebie, zorganizowała się na nowo i kręcąc się ciągle między Częstochową, Pławnem, Koniecpolem i Włoszczową, rosła w liczbę, która w końcu dosięgła blisko 600 ludzi.

W tym czasie powstanie w Krakowskim znacznie się wzmocniło dzięki temu, że wprowadzono choć w części w wykonanie projekt Stefana Bobrowskiego, przezeń jeszcze w końcu lutego powzięty, a mający na celu wzmoczenie znaczenia i powagi tak Rządu narodowego, jak i powstania zbrojnego. Było to utworzenie t. zw. straży narodowej,

¹⁾ Raport urzędowy rosyjski («Żurnal wojen. dziejstw» Nr. 25) powiada, że «buntownicy stracili znaczną liczbę w zabitych i ujęto ich 30»; że «ze strony wojska było 17 ranionych», ale wiadomo, że raportom urzędowym rosyjskim wierzyć nie można. Twierdzi on np., że «napadł niespodzianie na tworzącą się w Koniecpolu bandę Lüticha Delacroix», co jest fałszem. Oddział istniał oddawna, do Koniecpola przyszedł świtem w dniu boju, 25 maja, i niespodziewanego napadu nie było, bo Oksiński od paru dni cofał się przed Bentkowskim i na przyjęcie z nim walki w Koniecpolu był zdecydowany. *N. Berg* III, 275, powiada, że przejście Pilicy przez Rosyan odbyło się w ten sposób, że «major Bentkowski pierwszy dał przykład, rzucając się do wody, za nim poszli żołnierze, którzy go bardzo lubili». W tem rzuceniu się Bentkowskiego do wody nie było żadnego bohaterstwa, bo Bogusławski opuścił centrum i przeprawy nikt już nie bronił. Wcześniej zaś, t. j. dopóty, dopóki powstańcy zajmowali cmentarz, Bentkowski nie myślał rzucać się do wody.

²⁾ Autor niniejszego, będąc w czasie boju wprost mostu tuż przy szpitalu, doczekał się chwili, gdy nieprzyjaciół wpadł na rynek i zasypywać począł gradem kul uliczkę, wiodącą do szpitala. Oksiński wtedy, stojąc na koniu, w jakimś rozpaczliwym uniesieniu, zerwał ze siebie wspaniały płed, którym był okryty, rzucił go na dach najbliższego domu i pędem zniknął.

która miała pilnować, by dekreta i rozporządzenia władz powstańczych ściśle były wypełniane; miała karać winnych i strzedz też władze i wogóle sprawę narodową od zdrady, wykonywać wyroki, jednym słowem pełnić obowiązki policji. Wiemy już, że z czasem ta straż narodowa w Warszawie zmieniła się w krwawą i ohydą bandę sztyletników, a na prowincyi w t. zw. gwarze ludowej „żandarmów wieszających“. Żandarmeryę tę stanowiły drobne oddziały konne, mające przebiegać dane województwo, pilnować, by dekret o uwłaszczeniu chłopów był ściśle i bezwarunkowo wykonywany, karać zdrajców, ostrzegać większe oddziały o zbliżaniu się nieprzyjaciela, samej starć unikać, werbować rekrutów, dozorować różne władze prowincjonalne, być, słowem, wszędzie i nigdzie, wszystkim i niczem. Myśl utworzenia takiej lotnej nadzorczej władzy była dobrą, ale niestety! w wykonaniu chybiła ona zupełnie. Żandarmerya narodowa, dowodzona częstokroć przez ludzi złych i lichych, złożona z hultajów i wywłoków, włóczyła się po kraju, wieszała bez litości winnych i niewinnych, objadała ziemian, stawiała się nieraz narzędziem widoków lub uraz prywatnych, i słusznie też tak od swoich jak i obcych otrzymała hańbiące miano „żandarmów wieszających“. W tej porze jednak jeszcze nie przybrała ona na siebie tej wstrętnej postaci, a samo tworzenie się takich drobnych oddziałków przyczyniło się do ożywienia powstania, do nadania mu pewnej tęgości i siły.

Już w końcu marca poczęły się organizować takie ruchome kolumny konne, zwłaszcza w Radomskim, Kieleckim i Stopnickim, które przebiegając kraj w różnych kierunkach, pojawiając się nagle dziś tu a jutro tam, karząc winnych, pilnując ściślego wykonania dekretu o uwłaszczeniu, budziły w masach przekonanie o sile i mocy Rządu narodowego, nadawały powstaniu w rzeczy samej sprężystość i siłę. W Radomskim taki oddziałek utworzył w końcu kwietnia niejaki Kazimierz Wiśniewski, według jednych syn cieśli, według innych burmistrz miasta Jastrzębia, uzbroidł swych żołnierzy w szable, pistolety i lance,

umundurował po ułańsku i na ich czele przebiegał Opoczyńskie i Radomskie. Unikał on starannie potyczek z nieprzyjacielem, co mu się udawało dzięki wybornej znajomości okolicy, w której głównie przesiadywał, a mianowicie między miasteczkami Opoczmem, Przysuchą, Gielniowem i Odrzywołem. Tutaj to ukarał śmiercią kilkudziesięciu chłopów i chłopek za szpiegostwo¹⁾. Ale to uparte trzymanie się jednej miejscowości, zwłaszcza lasu między wsiami Mechlinem a Goździkowem, spowodowało katastrofę. Napadnięty w tym lesie d. 30 czerwca przez dragonów pułku Jekaterynosławskiego w liczbie 40, pod wodzą podporuczników Asiejewa i Schmidta, został rozbity, schwytany i d. 16 lipca powieszony na rynku miejskim w Radomiu wraz z sześciu swymi podkomendnymi.

Drugi taki oddział żandarmeryi narodowej sformował w okolicach Nowego Miasta nad Pilicą Konrad Błaszczyński, jako dowódca powstańczy używający pseudonimu Bohdan Bończa, od herbu, którym się pieczętował. Oddział ten niemały miał rozgłos i ma po dziś dzień po różnych pamiątnikach, dzięki na pół tajemniczej, na pół teatralnej postaci swego wodza. Niegdyś kapitan artylerji fortecznej rosyjskiej, stale mieszkający w cytadeli warszawskiej, należał, jak się zdaje, do spisku wojskowego, tak tragicznie zakończzonego w r. 1862 śmiercią Arnholda, Śliwickiego i innych, z chwilą wybuchu powstania mianowany naczelnikiem wojennym województwa Płockiego, dowodził nieudanym napadem na Płock w nocy z 22 na 23 stycznia, następnie kręcił się jakiś czas po Płockiem i w początkach marca, mianowany komendantem straży narodowej w Krakowskim, znalazł się na czele 20 jeźdźców w oko-

¹⁾ Jeżeli wierzyć niektórym doniesieniom, miała to być osobistość bez żadnej wartości. Człowiek prosty, bez najmniejszego wykształcenia wojskowego, lubiący się napijać, miał, według relacji rosyjskich, powieść przez czas dość krótki swą komendę, 44 chłopów i 6 kobiet. (*M. N. Kalkow*, 1863, god. I, 598). Jeżeli to jest prawdą, to Wiśniewski był jednym z tych dowódców, którzy stanowili zakalę powstania i jego plamę.

licach Nowego Miasta nad Pilicą¹⁾. Wysoki, dobrze zbudowany, z dużą mocno czarną brodą, twarzą bladą, wejrzeniem melancholijnym, małowówny, milczący, posępny zawsze i zadumany, wywierał swą postać, tajemniczością swej przeszłości, całem swem zachowaniem, smutkiem i mrocznością wejrzenia, silne wrażenie na młodzież powstańczą i na kobiety. Całe też legendy obiegały o nim, o jego pochodzeniu, przygodach i przeszłości, co wszystko nie jest prawdą, ale co w owej chwili niezwykłym urokiem otaczało tego wodza żandarmeryi narodowej. Zatrzymawszy się dłużej we wsi Wysokinie, w lasach z prawego brzegu Pilicy, zdołał on oddział swój doprowadzić do liczby 200 koni, uzbroił go należycie w szable, lance i pistolety, ubrał w garibaldyjskie czerwone koszule i wywodził jako tako. Przyjmował tylko ochotników dobrze jeżdżących konno, a więc synów ziemian, służbę dworską, a usposobiony demokratycznie sformował jeden szwadron z samych chłopów, których uzbroił karabinkami i których szczególnie wyróżniał. Wśród ciągłych marszów po Rawskim, Opoczyńskim i Krakowskim, Bończa unikał starć, prócz paru drobnych i nie nieznaczających potyczek, jak pod Rusanowem, niedaleko Gielniowa i pod Przysuchą. W końcu maja Bończa otrzymał rozkaz, jako naczelnik żandarmeryi narodowej, ażeby dokonał surowej egzekucyi na chłopach we wsi Lipie, leżącej pod miasteczkiem Białaczewem. Chłopi w tych stronach wogóle byli bardzo niechętni powstaniu, donosili władzom rosyjskim o formujących się oddziałach, o marszach tych ostatnich, chwyтали pojedynczych powstańców, zdradzali swych dziedziców,

¹⁾ Czytaj «Pamiętniki powstańca», wydane przez Z. S. Sulimę. Zaznaczyć tu należy, że autorem tych pamiętników jest żołnierz z oddziału Bończy, dziś już nieżyjący, nazwiskiem Wład. Modszewski.

W Nowem Miście wziął Bończa z tańszego magazynu solnego rub. 271 i kwitując z nich pisał, że zabrał «z obawy, aby się Moskalom, tym bestyom, w lapy nie dostały». (Archiwum b. Komisji skarbu w Warszawie).

oskarżali ich, tu i owdzie nawet napadali na dwory, które mieli w podejrzeniu, że przechowują broń lub inne zapasy dla powstańców, słowem, na każdym kroku zaznaczali swe wrogie względem, tak przez siebie zwanych, „Polaków“ usposobienie. Wieś Lipie zaś w ostatnich czasach tem się odznaczyła, że naprowadziła na sztyftujący się w tych stronach oddziałek pod wodzą Zawadzkiego, Gromejki i Rudowskiego, nieprzyjaciela i przyczyniła się tym sposobem do zupełnego rozbicia powstańców pod wsią Czermnem¹⁾. Oczywiście rzecz, tego rodzaju fakt nie mógł ujść bezkarnie i Bończa otrzymał rozkaz od władz cywilnych narodowych (żandarmerya powstańcza podlegała władzom cywilnym), ażeby wieś spalił, a hersztów zdrady śmiercią ukarał. Otoczono nieszczęsną wieś, dostatnią i dobrze zabudowaną, spalono doszczętnie, a głównego winowajcę, żyda, krawca z Białaczewa, powieszono. Egzekucya ta przykre na oddział wywarła wrażenie, tym przykrzejsze, że teraz młodzież szlachecka drugiego szwadronu po raz pierwszy się dowiedziała, że należy do „żandarmów wieszających“. Z tem wszystkiem, dzięki karności i mistycznemu wpływowi samego wodza na podkomendnych, oddział trzymał się długo, a dezercya z niego była rzadkością.

¹⁾ Potyczka ta przypadła, według raportów urzędowych rosyjskich, d. 21 kwietnia. Wieś Czermnno leży w niedalekiej odległości od miasteczka Przedbona. Oddział Zawadzkiego sztyftował się w dużych lasach, otaczających tę wioskę. Gdyby nie zdrada chłopów z Lipia i żydów z Białaczewa, nieprzyjacieli nieby o tem nie wiedział. Albowiem komendant rosyjski Obruchow, wyszedłszy z Radomska na czele 1 kompanii piechoty i 20 kozaków, w Czermnie dopiero, bijąc chłopów batami, dowiedział się o pobycie powstańców. Ci, bronili się dzielnie przez dwie przeszło godziny, śmiertelnie raniłi samego Obruchowa, wreszcie uleść musieli wyższości broni i organizacji wojskowej. Raport rosyjski oblicza przesadnie siły polskie na 400 ludzi i mówi, «że ponieśli bardzo znaczne straty», że «w liczbie zabitych znajdowało się trzech księży». Na relacye polskie o tej potyczce nie natrafiliśmy nigdzie. Nie wiemy nawet, kto był ów dowódca Zawadzki i co się z nim stało. Nazwiska tego nie spotykamy już nigdzie później.

W połowie czerwca Bończa w Rusanowie dostał rozkaz, aby śpiesznie podążyć w Stopnickie dla podania ręki mającemu tam wkroczyć z Galicyi oddziałowi pod wodzą Jordana. Rozkaz zalecał, ażeby w czasie tego marszu Bończa unikał spotkania z nieprzyjacielem dla skuteczniejszego poparcia Jordana. Wyruszone forsownym marszem na Żarnów, okalając Końskie, gdzie stała załoga rosyjska i koło 18 czerwca znaleziono się w okolicach Pińczowa. Tu Bończa, zapewne dla ściągnięcia na siebie uwagi nieprzyjaciela, a tym sposobem ułatwienia przejścia Jordnowi, ostentacyjnie zatrzymywał się to w Chrobrzu, majątności margrabiego Wielopolskiego, to w Pińczowie, gdzie ludność przyjmowała go bardzo gościnnie, to w różnych wsiach, gdzie tłumnie zjeżdżała się z żonami i córkami szlachta okoliczna, a wódz powstańczy przyjmował ją hucznie i zabawy taneczne urządzał. Odbывszy we wsi Jeżyce dniówkę, w nocy wyruszył do Gór, należących niegdyś do generała Dembińskiego, a teraz będącej własnością jego rodziny. Tutaj to miała odegrać się ostatnia krwawa scena z życia tego oddziału i jego wodza.

Władze rosyjskie bowiem dość wcześnie dowiedziały się o formacyi owych lotnych oddziałów powstańczej żandarmerii narodowej i chcąc jej czoło stawić, poleciły ze swej strony tworzyć także same drobne kolumny, złożone przeważnie z kozaków i dragonów, czasem z dodaniem piechoty i paru działek artylerii konnej, zwane oddziałami partyzanckimi, którym nakazano przebiegać kraj, śledzić żandarmów powstańczych i w razie możliwości ścigać do upadłego. Nie zawsze im się to jednak udawało. Surowe egzekucye, wykonywane przez powstańców na szpiegach i donosicielach, spalenie wsi Lipie, wywarło swój skutek. Myszkujący po kraju partyzanci rosyjscy, nietylko nie mogli dostać języka, ale nawet o przewodników było trudno. Mimo to, wielu oficerów, komendantów takich partyzanckich kolumn, puszczało się na los szczęścia, włóczyło się po lasach i górach, objadało dwory, okradało je nieraz bezczelnie i oczywiście czasami udawało im się

napaść na jaki ślad powstańców, lub znienacka ich zaatakowawszy, rozbić, jak się to np. przydarzyło z konną partyą Wiśniewskiego w lesie Goździkowskim.

Jedną z takich właśnie kolumn partyzanckich stale dowodził porucznik pułku Halickiego piechoty, konsystującego w Stopnicy, nazwiskiem Pleskaczewski. Pojawienie się w tych stronach oddziału Bończy, jego przechadzki ostentacyjne z Deszna do Lubczy, z Lubczy do Chrobrza, z Chrobrza do Pińczowa, jego huczne uczty i zabawy, nie mogły ująć uwagi załogi rosyjskiej w Stopnicy, zwłaszcza, że Bończy o to chodziło, by oczy tej załogi zwrócić wyłącznie na siebie, a odwrócić od wybrzeży Wisły, przez którą miała się przeprawić partya Jordana. Dla śledzenia więc zuchwałego powstańca, a jeżeli się da, to i zniesienia, wyruszył tedy ze Stopnicy ów porucznik Pleskaczewski na czele 1 kompanii strzeleckiej i 50 kozaków dońskich i włócząc się śladami Bończy, dowiedział się, że tenże zamierza zatrzymać się we wsi Górach. Natychmiast wyruszył tam w nocy z 17 na 18 czerwca cichaczem, otoczył całą wieś i schwytał przybyłych kuryerów Bończy, wysłanych dla przygotowania dla oddziału żywności i furazu. Przekonawszy się tym sposobem o prawdziwości doniesienia, postanowił uczynić na powstańców zasadzkę, i w tym celu piechotę całą ukrył w zabudowaniach dworskich, a kozaków wysunął za wieś na drogę, dla zwabienia jazdy polskiej pod strzały swej piechoty.

Oddział Bończy ostatnimi marszami, przeważnie nocą odbywanymi, był bardzo znużony, tak, że ludzie spali na koniach, sam zaś wódz, od kilku dni chory jechał na wózku z tyłu, za swą kolumną. O świcie letniego dnia czerwcowego zbliżano się już do Gór, gdy nagle z lasu wybiegł jakiś wieśniak, wołając: „nie chodźcie tam panowie, bo we dworze są Moskale“. Bończa, usłyszawszy to, kazał sobie podać konia i rozgorączkowany, nie rozpytawszy się należycie wieśniaka jak dużo jest nieprzyjaciela i jakiej broni, sformował plutonami szwadron swych strzelców konnych, zwany chłopskim, który najwięcej lubił i na

który najwięcej liczył i puścił się w pogoń za ukazującymi się kozakami. Obskoczony przez nich został zarąbany, a dążący za nim pluton haniebnie pierzechnął¹⁾. Poprawił sytuację drugi szwadron, który uderzył na kozaków i zmusił do ucieczki, ale w pościgu powitany gęstą zamiecią kul piechoty, zmieszał się i po krótkiej walce w nieładzie uciekać począł do lasu, unosząc żyjącego jeszcze swego wodza i kilku towarzyszy. O parę wiorst dalej rotmistrz Dzianot potrafił przyprowadzić tę jazdę do jakiegoś takiego porządku i zatrzymał się w sąsiedniej wsi Lubeży²⁾. Bończa ciężko poraniony (miał podobno 17 ran), pomimo pomocy lekarskiej, zmarł d. 20 czerwca o godz. 4 rano i uroczyste pochowany został w Lubeży³⁾. Po tak tragicznej stracie swego wodza, oddział pozostawał

¹⁾ W «Rozkazie dziennym do wojsk narodowych», wydanym przez Wydział wojenny Rządu Nar. d. 3 lipca 1863 r. Nr 3, czytamy: «surową naganą otrzymuje 17 pluton jazdy pod dowództwem s. p. pułkownika Bończy, który to pluton w potyczce, zaszłej w Krakowskim d. 20 czerwca (właściwie d. 18 czerwca) nieruchomie przypartywał się walce ochotników, wybiegłych naprzód z szeregu za swoim naczelnikiem». (Czytaj: «W czterdziestą rocznicę powstania» p. 10).

²⁾ Według «Pamiętników powstańca» jazda Bończy straciła w tej potyczce 16 zabitych i 15 rannych; rotmistrz zaś Jan Mazurki w swej relacji, pomieszczonej w książce «W 40 rocznicę powstania» p. 265, utrzymuje, że zabitych było 4, rannych zaś 37. Bądź co bądź straty były niewielkie, mimo to Pleskaczewski w swym urzędowym raporcie («Żur. woj. dziejstw» Nr 27, «Dziennik powszech.» Nr 143) mówi o 50 zabitych, 100 rannych i 8 wziętych do niewoli powstańcach, sam zaś miał mieć 4 rannych, co jest najwierutniejszym kłamstwem, gdyż wszystkie relacje polskie mówią o bezładnej wprawdzie, ale żwawej utarczce jazdy polskiej z kozakami i piechotą, która wysunęła się z zabudowań i ukryta w życie, rąbana i kluta była przez jeźdźców polskich. Pleskaczewski dodaje, że powstańcy «mieli pod odzieżą pancerną, co (sic) dowodzi 16 złamanych bagnietów i 12 przelamanych pik».

³⁾ To, co opowiada N. Berg «Polskoje powstanie» III, 279, za raportem Uszczkowa, jakoby do rannego Bończy przybyło z Krakowa kilku lekarzy, jest nieprawdą. Donosi on, że na pogrzeb zjechało 15 księży i zebrało się około 500 osób, że trumnę pokryto

pod komendą Dzianota. Był to człowiek miękki, niewojakowy, bez charakteru i woli, tak, że do szeregów wkradł się wielki nieład i nieporządek. Przez parę dni włóczono się bez celu, gdy wyprawa Czengierego z Kiele i Radena z Piotrkowa, wymierzona przeciw Oksińskiemu, ogarnęła także żandarmeryę Dzianota i na wspólną klęskę naraziła.

Oksiński po boju Koniecpolskim, przez miesiąc blisko niezaczepiany wcale przez nieprzyjaciela, włóczy się bez celu i bez myśli między Częstochową, Piotrkowem, Przedborzem i Włoszczową. Jeżeli jednak był to mierny wódz partyzantów, nielubiany ani przez swych podwładnych, ani przez mieszkańców, to należy mu przyznać, że organizatorem był dobrym. Oddział jego przez ten miesiąc urósł znacznie w siłę (liczono go na 800 ludzi), był nieźle uzbrojony i spójny. Znajdował się on w okolicach Włoszczowy, gdy go doszła wiadomość o zamierzonej nań wyprawie Kieleckiej i Piotrkowskiej. Obaj komendanci rosyjscy, Czengiery i Raden, wyruszyli z dość znacznymi siłami, złożonymi z piechoty, artylerii, dragonów i kozaków, których liczby bliżej określić nie jesteśmy w stanie¹⁾, d. 24 czerwca i zwykłym w tej wojnie manewrem rosyjskim, chcieli dośrodkowym ruchem zgnieść w serdecznym uścisku Oksińskiego. Ten oczywiście nie czekał na to, ale trzymając się także pospolitej w tej porze taktyki dowódców polskich, usiłował forsownymi marszami wym-

wieć, niesiono ją na ramionach przy pochodniach i świecach. W tłumie miano widzieć mnóstwo żydów, na których rabin nałożył żalobę czterodniową. Wszystko to jest mocno przesadzonym. Pogrzeb w rzeczy samej odbył się późnym wieczorem. Zebrało się niewiele osób i ani jednego żyda na nim nie było.

¹⁾ O wyprawie tej gluche panuje w naszych i rosyjskich źródłach milczenie. N. Berg w «Zapiskach» wcale o niej nie wspomina. «Żurnal woj. dziejstw» krótką tylko podaje wzmiankę, nie wymieniając wcale sił rosyjskich, a polskie oceniając z przesadą na 2.500 ludzi. Polskich «Wiad. z pola bitwy», zawierających opis tej wyprawy, nie zdarzyło nam się spotkać. Relację naszą opieramy na «Wspomnieniach ulana» Z. L. Sulimy I, 97 i nast., oraz na «Pamiętnikach powstańca», wreszcie na wspomnieniach osobistych.

knąć się z oblawy. Rezultat takiego postępowania był zawsze jak najopłakańszy. Oddział znużony i wyczerpany wytężonymi pochodami, mającymi charakter prostej ucieczki, zdemoralizowany i zniechęcony, dościsnięty w końcu, po żadnym, albo bardzo słabym oporze, ulegał rozbiciu zupełnemu. Czyż nie lepiej było, jak w tym razie np. stawić na wybranej pozycji czoło Czengieremu wprzód nim złączy się z Radenem i jeżeli uledez, to uledez po walce heroicznej? czyż wreszcie, w kraju, pokrytym jeszcze w tych czasach wielkimi lasami, przerzniętym mnóstwem rzeczek, strumieni i bagien, nie można było urządzić zasadzki, której Rosyanie zawsze bardzo się lekali? Dla wodza z głową i energią liczne przedstawiały się plany operacji, z których najgorszy jeszcze był lepszym od prostej, nużącej i koniecznie katastrofą zakończonej ucieczki. Ale Oksiński, młokos zarozumiały i hulaszczy, z głową słabą i mętną, o tem wszystkiem nie myślał, tylko pragnąc się wymknąć Czengieremu, puścił się forsownymi marszami ku północy w kierunku Przedborza. Był to czerwiec, a lato w tym nieszczęśliwym roku niedoli polskiej było suche i upalne; marsze więc gwałtowne wśród skwaru słonecznego, wyczerpywały ludzi, tak że wielu maruderów pozostawiało po drodze, których Czengiery chwycił, by potem w raporcie urzędowym pochwalić się dziesiątkami jeńców. Odszkodzenie powstańców od nieprzyjaciela było prawie niemożliwym, gdyż ten ostatni gnał za nimi na podwodach i deptał niemal po piętach polskich i w końcu dopadł ich późnym wieczorem d. 27 czerwca w Przedborzu. Oksiński nie był tu już sam. Po drodze połączył się z nim Dziańot z jazdą Bończy, zagarnięty oblawą rosyjską, oraz niewielki oddziałek pieszy pod wodzą Francuza, Chabriola, tak że siły polskie mogły wynosić w Przedborzu około tysiąca bagnietów, kos i szabel. Od czasu Langiewicza było to największe zgromadzenie powstańców w tych stronach, z czego jednak Oksiński należytego pożytku wyciągnąć nie umiał i wszystko zmarnował.

W Przedborzu wódz powstańczy, korzystając z nocy

ciemnej i burzliwej, w której huk gromów niebieskich mieszał się z hukiem armat i karabinów ziemskich, po krótkiej strzelaninie obustronnej, przy łunie gorejącego miasteczka wymknął się działającemu po omacku Czengieremu i puścił się forsownym marszem na północ ku Bąkowej górze. Była to więc w dalszym ciągu ucieczka przed nieprzyjacielem, której końcowy rezultat był łatwy do przewidzenia. Z Bąkowej Góry Oksiński rzucił się w bok i nazajutrz d. 28 czerwca w południe, wśród deszczu, który do reszty rozprzął zmordowane kilkudniowymi pochodami szeregi powstańcze, zatrzymał się we wsi Trzebnicy dla odgotowania obiadu, bo ludzie od wczoraj nie jedli. Zaledwie jednak rozpalono ogniska i nastawiono kotły, gdy nieprzyjaciel się ukazał. Pod zasłoną pierwszego swego batalionu, który rozsypany między opłotkami wiejskimi, powstrzymał na chwilę nacisk nieprzyjaciela, wódz powstańczy wycofał się szczęśliwie i kontramarszem, trwającym całą noc i cały dzień następny, przybył nad wieczorem d. 29 czerwca do wsi Skotniki. Po krótkim jednak spoczynku, Czengiery znów się ukazał i wśród lasu skotnickiego rozpoczęła się żwawa tyralierska strzelanina. Ale już te wszystkie wysiłki, te wyczerpujące marsze, deszcze, głód, do reszty rozpręgły wszelką spójność oddziału powstańczego. Panicznym strachem guany, zbity w niesforną masę, uciekał bez ładu i składu. Oksiński zeszedł z konia i pieszo biegł wśród tłumu swych żołnierzy, uciszając ich skargi na znużenie, dodając odwagi. Noc dopiero wstrzymała nieprzyjaciela w nastawianiu na Polaków, którzy zmęczeniu, do połowy zmniejszeniu, zupełnie wyczerpani, późną nocą dopadli do wioski Dobromierza, niedaleko miasteczka Kurzelowa, gdzie wódz ich kazał im broń złożyć na przygotowane w tym celu wozy i rozejść się w różne strony, wyrażając nadzieję, że „w szczęśliwszych chwilach ujrzy ich znowu pod swoim dowództwem“. Sam siadłszy z panną Władysławą na wózek, zniknął i więcej się już nie ukazał na widowni powstania. Znaczna część rozchodzącego się oddziału wpadła w ręce Czengierego, który tym sposobem

mał czem przyozdobić swój tryumfalny, wśród śpiewu i grzmiącej muzyki prowadzony, wjazd do Kielc...

Wszystkie powyższe starcia i potyczki, stale kończące się porażką powstańców, jakkolwiek mogły być dotkliwe dla ruchu zbrojnego, jednakże nie miały donioslejszego znaczenia, wieść o nich ginęła w powodzi innych. Ale w tej porze, na dziesięć dni przed ostatecznym rozbiem wielkiej partii Oksińskiego, spotkała powstanie głośna i krwawa klęska, która jęklivem echem rozległa się po całym kraju, mnóstwo rodzin w Zaborze austriackim pokryła żałobą, zawiodła wiele rachub i nadziei, i pewnym stronnictwom, dążącym do opanowania władzy, zadała cios stanowczy. Mówimy tu o wyprawie Zygmunta Jordana i o boju pod Komorowem¹⁾.

Jordan, potomek starej rodziny szlacheckiej, syn pułkownika huzarów za Księstwa Warszawskiego, liczył sobie w chwili, gdy wziął czynny udział w powstaniu, lat 39, był więc w pełni rozwoju umysłowego i fizycznego. Przeważną część życia przepędził w służbie wojskowej. Wstąpił najprzód do artylerji, skąd w 1846 r. jako oficer wyszedł i wmieszał się w ówczesne ruchy powstańcze. Razem z Mazarakim usiłował w Miechowskim podnieść sztandar powstania i na czele 40 zebranych ochotników konnych ruszył do Krakowa. Po upadku krótkotrwałego, ale pełnego burz, ruchu zbrojnego w Krakowie, opuścił kraj

¹⁾ Do wyprawy Komorowskiej korzystaliśmy ze źródeł następujących: a) polskich: *A. Giller*, Historia II, 54 i 55. *Z. Kolumna*. Pamiątka dla rodzin polskich II, 99 i dodatek 69. *S. Koźmian*, Rok 1863 I, 204, oraz życiorys Ludwika Wodzickiego w „Czasie” Nr 196 z r. 1902. *L. Siemieński*, Dwaj Juliusze. *J. Ożegalski*, Wspomnienia krwawych czasów p. 219 i nast. „W 40 rocznicę powstania” p. 71 (opis wyprawy Dunajewskiego przez Dra J. Bobka), wreszcie relacye i notatki rękopiśmienne w zbiorach autora. b) rosyjskich: Dodatek do Nr 27 „Żurnau wojennych dziejstw” (Raport Uszakowa do W. Ks. Konstantego z d. 25 czerwca). *N. Berg*, Zapiski III, 280. Przejrzeliśmy też współczesne dzienniki polskie, rosyjskie i niemieckie, zanotowaliśmy wiele opowiadań osób, zamieszkałych w okolicy Komorowa.

i udał się do Paryża. Kampania węgierska ściągnęła go do Węgier, gdzie był adjutantem i ulubieńcem generała Dembińskiego i mówiono o nim, że „jest odważny jak Bemowska szabla”. Służył potem w wojsku tureckim i brał udział w kampanii krymskiej, jednym słowem, pędził to ruehliwe, awanturnicze, z nieśmiertelnym ideałem Polski w duszy, życie, jakiemu w dobie owej większość lepszych dusz i lepszych serc polskich się poświęciła. W r. 1862 został sekretarzem ks. Władysława Czartoryskiego i gdy tego ostatniego Rząd narodowy kwietniowy zamianował swym agentem dyplomatycznym, Jordan otrzymał stopień generała i naczelnictwo wojskowe województwa Krakowskiego i Sandomierskiego. Że stronnictwo Czartoryskich i wogóle Białych, miało w wyjednaniu tej nominacyi Jordana na tak wysokie stanowisko, pewne cele, to zdaje się nie ulegać wątpliwości. Wobec akcyi dyplomatycznej moearstw zachodnich, wobec świetnych a tak niestety! zwodniczych nadziei interwencyi zbrojnej, szło o to, by władza najwyższa w powstaniu nie pozostawała w rękach jakichś nieznanych nikomu osobistości, mianujących się Rządem narodowym w Warszawie, ale w rękach człowieka wojskowego, znanego jeżeli nie Polsce całej, to przynajmniej jednemu stronnictwu, grupie ludzi zamożnych o wybitnych nazwiskach historycznych i mających pretensye, że oni jedynie są uprawnieni przez majątki, imiona i tradycye do kierowania losami kraju. Takim człowiekiem był Jordan. O jego zdolnościach wojskowych miano bardzo pochlebne mniemanie i liczono na to, że wkroczywszy do Królestwa na czele doborowego oddziału, zdoła odnieść pewne korzyści, rozslawić swe imię i uchwycić w swe ręce nową dyktaturę. Tym sposobem odbierano wodze powstania nieznanym „gryziپیórkom“ warszawskim, a nadewszystko stawiano nieprzełamaną zaporę znienawidzonemu Mierosławskiemu, który nie przestawał dobijać się władzy, snuł szerokie intryki z Drewnowskim, Seyfriedem, Kononowiczem i innymi dowódcami, wysyłał od-

działy i wydawał odezwy¹⁾. W tych to celach Czartoryski i stronnictwo Białych postarało się, że Jordana mianowano generałem i naczelnikiem dwu województw²⁾. Rząd narodowy kwietniowy miał, zdaje się, niejaki, acz bardzo niedokładne wiadomości o związanej z nominacją Jordana intrzydze, zażądał nawet od Wysockiego opinii o nowym generale. Wysocki w swem niepoprawnym safandulstwie, acz będąc w Krakowie i patrząc z bliska na wszystko, co się tam dzieje, mógł mieć pewne nocze o planach stronnictwa Białych, dał jednak o Jordanie jak najlepszą opinię. Wprawdzie ograniczył się tylko na scharakteryzowaniu jego zdolności wojskowych, ocenił go jako „jednego z najlepszych żołnierzy w emigracji“, ale w oczach Rządu warszawskiego było to wystarczającym, boć przecie w powstaniu szło głównie o to, by mieć dobrych żołnierzy i dobrych wodzów. O tem, że Rząd kwietniowy wiedział,

¹⁾ W d. 7 czerwca z napisem «Warszawa» wydał on i rozrzucił po Krakowie w wielkiej ilości egzemplarzy, odezwę z szumnym tytułem: «nieśmiertelny narodzi polski!», w której wprost oskarżał Rząd narodowy o zdradę. «Od czasu, pisał, w którym wystąpił (narodzi) do ozięźnej rozprawy z wrogiem, zdrada, ubrana we wszelkie pozory niedoleństwa, wydziera starannie z pod nóg twoich każdą deskę ratunku, który by ci ludzie prawdziwego rewolucyjnego czynu przynieść mogli i chcieli. Ujawszy w piekielny systemat anarchii i rozprzeczania ową rozpaczłą walkę, która spotęgować winna wszystkie siły swoje, postanowili zakończyć w drganiach bezładnej partyzantki bohaterstwa twoje wysiłenia. Zagrożona więc dziś w egzystencji swej rewolucyjna Polska, przez przysięgłą na jej zgubę reakcję, która, opanowawszy ze zwykłą sobie bezczelnością ster i kierunek sprawy publicznej, doprowadzić ją postanowiła do ostatecznej zagłady, musi w nieublaganej konsekwencji faktów, albo pozwolić się zdeptać przez takową, albo też, zde maskowawszy ją publicznie, wystąpić do otwartego boju» i t. d. (Całość czytać można w «Wydawnictwie materyałów do historii powstania» III, 29 i nast.).

²⁾ Że takie zamiary żywiono, to nie ulega wątpliwości. W broszurze, napisanej przez *Pawła Popiela* i wydanej w r. 1864 w Lipsku p. t. «Kilka słów z powodu odezwy ks. Adama Sapichy» na str. 34 czytamy: «ludzie stanu we Francji najwyraźniej mówili, że podówczas kluczem pożyty był w ręku Austrii, że szanować należy jej obawy,

acz niedokładnie o zamysłach Jordana, świadczy odezwanie się stałego sekretarza wszystkich rządów, Józefa Janowskiego, który na wiadomość o klęsce Komorowskiej zawołał z wyraźnem uczuciem ulgi i tryumfu: „dobrze, że Czartoryszczycy takie cięgi dostali“. Nominacja Jordana, wraz z nominacją ks. Władysława Czartoryskiego, przyczyniła się bardzo wiele do obalenia w Zielone Świątki rządu kwietniowego, jako wyraźnie paktującego z Białymi. Mimo to następny Rząd czerwcowy nie dał dymisji Jordanowi, choć mógł i miał do tego zupełnie uzasadnione powody. Jordan bowiem, mimo dwukrotnego rozkazu Rządu, ażeby udał się w Sandomierskie, siedział uparcie w Galicyi i trwonił czas na organizację oddziału, której nie potrafił dobrze wykonać, ukrywał się starannie i wogóle nie okazywał ani energii ani zapału. Była nawet

że dać należy niewątpliwe dowody, że ruch jest czysto narodowy, a nie rewolucyjny...» «Była chwila działania w tym kierunku. Człowiek podniosłego serca, zdrowych zasad a wypróbowanych już zdolności i odwagi, brał w rękę organizację wojskową w Krakowskim. Kilka wypraw nieszezęśliwych nie osłabiło ducha, gotowano stanowczą, obmyślaną o tyle roztropnie, o ile wyprawy w cieniu gotowane, a natychmiast na walkę z przygotowanym wiedzionem nieprzyjacielem, roztropne być mogły. Zaciągali się pod rozkazy ludzie gotowi jawnie wystąpić, byle się dało jaką bądź część kraju od nieprzyjaciela oczyścić; i to się nie powiodło, straszna klęska nie dała się nawet powetować chwałą jak pod Kobyłką». *St. Koźmian* w swem dziele «Rok 1863» kilkakrotnie napomyna pod obłonkami o tych zamiarach, a na str. 205 tomu I wyraźnie powiada: «Jordanowi przeznaczono znaczną rolę wojskową, chcąc go przeciwstawić improwizowanym dowódcom spisku, może z nadzieją, że w razie powodzeń zapamięta nad położeniem». W tajnem piśmie «Naprzód», wychodzącym wtedy w Krakowie, w Nr 12 i 13 pomieszczona jest odezwa, nieomal w przeddzień wyprawy Jordana, bo z datą 8 czerwca, w której czytamy: «zaczęły (po Krakowie) obiegać pogłoski o zmianach komend wojskowych, a nawet o postawieniu fikcyjnej dyktatury na miejsce dzisiejszego Rządu». To co *Giller*, *Historja II*, 55, mówi, nie osłabia w niczem naszej opinii o Jordanie i zamiarach stronnictwa, którego był narzędnikiem.

chwila, że Rząd kwietniowy zamierzał go usunąć¹⁾, ale obalony przez Czerwieńców, postanowienia swego nie wykonał, Rząd zaś Kobylańskiego, szarpany wewnętrznymi burzami, przez czas swego dwutygodniowego istnienia, nie miał poprostu kiedy się tem zająć. Bądź co bądź wiara w zdolności wojskowe Jordana zawiodła. Był to człowiek usposobienia powolnego, spokojnego, bez wyższych talentów i bez energii, zastanawiający się zawsze długo nad tem, co miał zrobić, niezdolny do śmiałych i rzutkich czynów, do przedsięwzięć ryzykownych. Osobiście był bardzo odważny i to też stanowiło jedyną jego zaletę, ale sądząc po jego charakterze, śmiało rzec można, że stronnictwo, które zamierzało go wynieść wysoko, byłoby się na nim zawiodło, nie dlatego, żeby nie chciał uczynić tego, czego odeń żądano, ale że był wprost do tego niezdolny.

Organizacya oddziału wlokła się powoli (Jordan mianowany w kwietniu, wyruszył dopiero w końcu czerwca), ale zato z pewnym rozgłosem. Mnóstwo młodzieży szlacheckiej galicyjskiej zapisywało się pod komendę wybranego wodza, nie szczędzono starań i pieniędzy, by wystąpić należycie, raz ze względu na to, że oddział ten miał odegrać ważną rolę polityczną, a potem, jak mówiono, żeby uratować honor wojskowy polski, żeby pokazać światu, że szlachta polska umie się bić jeszcze. Co prawda, tego honoru nie trzeba było ratować. W tych warunkach, w jakich znajdowało się powstanie, bez broni, bez organizacyi wojskowej, bez odpowiedniego przygotowania żołnierza, walczono w ogólności dobrze, nieraz bardzo heroicznie i liczne dano dowody, że dawna bitność polska w sercach wnuków nie wygasła. Wszak przeszło stutysięczną armię, wyćwiczoną, uzbrojoną jak należy, zaopatrzoną we wszystko, trzymano na sobie przeszło czternaście miesięcy, nieraz zwyciężano nawet. Nie zapominajmy, że trzy czwarte powstańców, składały żywioły mieszczańskie, zawsze

¹⁾ A. Giller, *Historya II*, 56, twierdzi, że już w maju dymisyja była postanowioną.

i wszędzie nie odznaczające się wojowniczością, a mimo to oskarżenia powstania o t. zw. „uciekierstwo“ w ogromnej większości wypadków nie są uzasadnione. Najgorzej spisywały się oddziały, formowane w Galicyi, złożone przeważnie z żywiołów zdemoralizowanych długim pobytem na wygodnych leżach galicyjskich; partye zaś, utworzone wewnątrz kraju, trwały długo, walczyły uparcie i ulegały tylko przemocy. W ogólności wojnie tej ponurej, krwawej, bez chwały i bez nadziei zwycięstwa, historya nigdy nie odmówi heroizmu i ofiarności wielkiej i w niczem ona nie splamiła honoru wojskowego polskiego.

Jordan, dla wkroczenia do Królestwa, obrał okolicę Szczucina, jakoby dogodną z powodu dość wąskiego w tem miejscu koryta Wisły, niskiego stanu wody, oraz mniejszej, jak sądził, czujności nieprzyjaciela. Tymczasem wybór okazał się jak najgorszym. Okolica po obu stronach Wisły jest bezleśna zupełnie, a na lewym brzegu rzeki rozciągają się obszerne błonia, gładkie i puste jak step, tu i owdzie zasiane wioskami, i ciągnące się nieprzerwaną, melancholijną płaszczyzną aż po Pacanów i Stobnicę, tak że kolumna powstańcza w swym marszu niczem zasłonić się nie mogła i widzianą być musiała na znacznej przestrzeni. Na tej płaszczyźnie pozycyi silnych i obronnych z natury zgoła nie było i w razie ataku trzeba było przyjmować bój na otwartem polu, brać byka za rogi. A przytem długie przygotowania Jordana, gromadzenie się ochotników, zapasów i broni, nie uszło baczności władz wojskowych rosyjskich. Szpiegostwo, zwłaszcza ze strony żydostwa, odgrywało także w tem swoją rolę, dość, że już na parę tygodni przed wkroczeniem Jordana, naczelnik wojenny w Stopnicy, major Ragoza był uwiadomiony o wszystkim i wzdłuż Wisły ustawił szereg placówek kozackich i wysyłał nieustannie ku niej podjazdy. Wobec tego tajemne przejście i przemknięcie się do znacznych lasów Staszowskich i wogóle w głąb kraju, stawało się wprost niemożliwem. Prócz tego po obu skrzydłach zamierzonego punktu przeprawy znajdowały się załogi ro-

rosyjskie. W Połańcu, po prawej powstańców, stał szwadron dragonów pułku Noworosyjskiego; w Stobnicy, po lewej, batalion pułku Halickiego piechoty, a od czoła, w Staszowie, reszta pułku dragonów Noworosyjskich. Chcąc więc dostać się w głąb kraju, trzeba było niepostrzeżenie przejść Wisłę, wprowadzić z powodu suszy letniej płytką, ale bądź co bądź stanowiącą przeszkodę, uniknąć czujności posterunków rosyjskich, przemknąć się niepostrzeżenie przez nagą płaszczyznę nadwiślańską, wywinąć się nieznacznie z pośrodku załóg nieprzyjacielskich i наконец zanurzyć się w lasy Staszowskie. Wszystko to przedstawiało niezwalczoną prawie trudność, i wyprawa mogła się tylko wtedy udać, gdyby Jordan posiadał dobrą głowę, jego żołnierze rozpaczliwą odwagę i waleczność, niezmordowaną wytrwałość i wreszcie szczęście, które stanowi bardzo wiele tak w życiu prywatnym jak i na wojnie. Niestety! wszystkich tych warunków brakło skazanemu na całopalenie oddziałowi polskiemu.

Jordan okazywał jednak pewność siebie niezachwianą; odzywał się z niesmaczną junakieryą, że „oczyszczi część Królestwa z Moskali i zapuści się w głąb kraju“. Wprawdzie, jakśmy wspomnieli, Rząd narodowy, uwiadomiony o dniu wyruszenia wyprawy, rozkazał oddziałowi Bończy i Rudowskiego, pomaszerować w Sandomierskie, zwrócić na siebie uwagę nieprzyjaciela i podać rękę Jordanowi. Jak wiemy, Bończa usłuchał rozkazu, rzucił się w Pińczowskie i rozbity w Górach na parę dni przedtem, nie mógł już ani pośredniej, ani bezpośredniej nieść pomocy, Rudowski, zdaje się, wcale się nie ruszył i Jordan musiał liczyć tylko na siebie. Tłumaczy go to, że nie mógł jeszcze wiedzieć o porażce Bończy i że nieprzyjaciół nie miał dokładnych wiadomości o dniu, w którym przeprawa nastąpi. Nimby się więc spostrzegł, nim ruszył i uwiadomił inne garnizony, Jordan zyskiwał kilka godzin czasu, które dobrze i rześko użyte, mogły go nie ocalić, ale przynajmniej przedłużyć istnienie i nowej wyprawie nadać odmienny charakter od wszystkich innych galicyjskich, które

zaraz po wejściu rozbijane, chroniły się za kordon graniczny. O to szło głównie Jordanowi, jak i młodzieży szlacheckiej, tłumnie pod jego komendę ciągnącej i w tem właśnie widzieli, głośno przez siebie zapowiadane, uratowanie honoru broni polskiej.

Termin przejścia Wisły i wkroczenia do Królestwa oznaczono w nocy z d. 19 na 20 czerwca. Właściwie miały się przeprowadzić dwa odrębne oddziały w dwu punktach oddalonych od siebie o półtorej mili; pierwszy powyżej Szczucina, naprzeciw wsi Żabca, pod dowództwem Edwarda Dunajewskiego (był to podobno pseudonim Zajkowskiego), drugi w okolicach Maniowy pod komendą samego Jordana. Oba te oddziały, po wkroczeniu do Królestwa, miały się połączyć i działać wspólnie. Jaki był powód tego podziału, znane nam źródła nie mówią; być może dla rozdwojenia uwagi nieprzyjaciela, a może dla trudności przeprawy w jednym miejscu znaczniejszej liczby ludzi i koni. Jakkolwiek jednak była przyczyna takiego rozdwojenia sił, miała ona w ostateczności jak najgorsze następstwa. Nie możemy również podać dokładnej cyfry obu kolumn. Oceniają je mniej więcej na 700 ludzi, z których Dunajewski miał posiadać 350, a Jordan 425¹⁾. O mającej nastąpić przeprawie, dzięki szpiegom, gadatliwości polskiej, a może i usłudze władz austriackich, komendant załogi rosyjskiej w Stopnicy, major Ragoza, otrzymał wiadomość nad wieczorem d. 19 czerwca, że ścisłem oznaczeniem miejsca przeprawy. Nie tracąc więc czasu, natychmiast wysłał ku Komorowowi, na spędzonych na gwałt podwodach chłopskich, jedną kompanię pułku Halickiego piechoty i zawiadomił dowódcę szwadronu dragonów, konsystujących w Połańcu, żądając od niego pomocy, tak żeby przeprowadzający się powstańcy z dwu stron byli zaatakowani. Gdyby je-

¹⁾ Tak oblicza Z. Kolumna, „Pamiętka dla rodzin polskich“ II, 62; L. Siemieński „Dwaj Juliusze“, 160 i Ożegalski „Wspomnienia krwawych czasów“, 228. N. Berg, „Zapiski“, III, 279 ocenia obie partje na 600 ludzi: urzędowy raport Uszakowa raz na 600, to znów przesadnie na 800 ludzi (z tego 700 piechoty i 100 jazdy).

dnak Jordan zdołał był przejść Wisłę jeszcze w nocy i jeszcze w nocy mógł wyminąć Komorów, mógł był uniknąć starcia i mieć nieprzyjaciela nie na skrzydłach, ale w tyle za sobą, gdyż ani kompania piesza, ani dragoni nie mogli stanąć wcześniej w Komorowie, jak dopiero rano d. 20 czerwca. Niestety! inaczej się stało i cała wyprawa zaraz z początku narażona była na niepowodzenie i klęskę.

Dunajewski, noszący tytuł majora, zebrał swych ochotników we wsi Pustyniu i stąd na podwodach późnym wieczorem d. 19 czerwca podwiózł ich ku Wiśle, naprzeciw wsi Żabca, leżącej już w Królestwie, na lewym brzegu rzeki. Tutaj w lesie zajęto się ostateczną organizacją oddziału, która prowadzona w nocy, na gwałt, pod strachem pojawienia się patroli austriackich, nie mogła być ani dobrą, ani właściwą. Ludzie, zebrani z różnych stron, nie znali się nawzajem, nie znali ani swego wodza, którego wielu po raz pierwszy ujrzało, ani swych oficerów, nie mogli tworzyć jednolitej masy zbrojnych, ale raczej gromadę, luźnymi pomiędzy sobą spojona węzłami i przy pierwszej lepszej przeszkodzie gotową rozprysnąć się na wszystkie strony. Taki stan rzeczy, oczywiście, nie był winą ani władz powstańczych, ani dowódców, ale wogóle fatalnego położenia politycznego. Wszystko trzeba było robić potajemnie, w ukryciu, a tem samem ani dobrze, ani składnie.

Bądź co bądź, Dunajewski zebranych podzielił na jednostki taktyczne, uzbroił w lekkie belgijskie sztucce, umundurował, zaopatrzył w naboje, ale przez niepojęte zapomnienie, władze cywilne dostawiły tak małą ilość kapiszonów, że ledwie po kilka wypadło na żołnierza, a byli tacy, co ani jednego nie otrzymali. Na tem upłynęła krótka noc czerwcową i świt się już robił, gdy ruszono wpływ przez Wisłę. W gęstych zaroślach nadwiślańskich pogubiło się sporo ochotnika, a ukazujący się oddział huzarów austriackich powitał przeprawiających się powstańców salwą ognia karabinowego. Od strony Królestwa ukazali się też kozacy i poczęli dawać ognia, przyczem kilku

powstańców zabito i raniono. Wskutek tego wszystkiego Dunajewski, stając na lewym brzegu Wisły, z pewnością nie liczył więcej jak 300 ludzi, na pół zdemoralizowanych i zniechęconych temi pierwszymi przeszkodami i stratami. Sam dowódca, jak się zdaje, postradał wiarę w powodzenie, zwłaszcza, że po kozakach ukazała się piechota, owa kompania, wysłana wczoraj wieczorem ze Stopnicy, i zasiadłszy za wałem, ochraniającym okolicę od wylewów rzeki, gęstą palbą razić zaczęła powstańców. Zrazu ci ostatni osłonięci zaroślami, odpowiadali żwawym ogniem i zmusili do odwrotu nieprzyjaciela, ale gdy wysunięto się na otwarte pole nieco bezładnie i gdy tu ogień rosyjski się wzmoógł, nastąpiło zamieszanie i ucieczka ku Wiśle. Napróżno Dunajewski i oficerowie czynili wszelkie wysiłki, by w tej niesfornej kupie jaki ład przywrócić, napróżno jeden z oficerów powalił strzałem z rewolweru uciekającego żołnierza, nie to nie pomogło. Wśród głośnych skarg, że niema kapiszonów, a zatem bronić się nie można, posuwano się jakiś czas w zbitej gromadzie wśród zarośli na prawo, zapewne w chęci połączenia się z Jordanem, ale gdy ukazali się nadbiegający cwałem z Połańca dragoni, dotąd dość ospale i lekliwie bijąca się kompania rosyjska rzuciła się śmiało naprzód, czego następstwem było, że powstańcy w szalonym popłochu zaczęli uciekać przez Wisłę napowrót do Galicyi. W tej przeprawie pod ogniem nieprzyjaciela wielu padło, wielu trafiwszy na głębię potonęło wraz z wodzem swym Dunajewskim. Reszta, dostawszy się na drugi brzeg, rozbrojona została przez patrzących na to wszystko huzarów węgierskich i przewieziona do Tarnowa. Taki był tragiczny los pierwszego oddziału i Jordan już na jego pomoc liczyć nie mógł, zwłaszcza, że i jego o wiele krwawsza i o wiele straszniejsza czekała dola.

Miejsce zboru dla ochotników tego drugiego oddziału oznaczone było w pobliżu wsi Słupca. Według spisów miało się zebrać sześciuset ludzi, tymczasem w ostatniej chwili ledwie 425 stanęło w szeregu, licząc w to już ofi-

cerów, ale zato była to w ogromnej większości doborowa młodzież, sam kwiat powstania. Wielu było takich, którzy już niejedną walkę odbyli z nieprzyjacielem, wielu synów najpierwszych rodzin szlacheckich w Galicyi, którzy zaciągnęli się, by „ocalić honor broni polskiej“. Znalazł się więc w szeregach i Ludwik hr. Wodzicki i Juliusz hr. Tarnowski, i Popiel, i baron Brockhausen, Gorajski i inni. Nazywano też tę partycję „złotą legią“. Ale obok tej dzielnej i zdecydowanej na wszystko młodzieży, dyszącej żądzą pokazania światu, że „szlachta polska po dawnemu bić się potrafi“, znalazło się wiele tej zbieraniny, włóczęgów i uciekinierów, których tylu było po różnych oddziałach, którzy zrobili sobie z zaciągania się do szeregów powstańczych pewien rodzaj proceduru, wyruszali w pole po to, by przeżyć bez kosztów parę tygodni i przy pierwszej lepszej sposobności uciec do Galicyi. To też na Jordana, gdy ze swej kwatery, znajdującej się w pobliskim Chorzelowie, przybył koło godz. 2 po północy na miejsce zboru, widok ludzi, którymi miał dowodzić, przykre zrobił wrażenie, „bo ta zbieranina, obdarta i niesforna, wyglądała raczej na zbiegowisko uliczne, jak na wojsko, choćby nawet nieregularne“. Przy licznych zjeździe obywateli okolicznych i krewnych młodzieży, wyruszającej do boju, zajęto się pospiesznem uorganizowaniem oddziału. Umundurowano go, obuto, uzbrojono i podzielono na cztery kompanie¹⁾. „Dowódca oddziału, powiada jeden z historyografów tej wyprawy, mógł znać osobiście czterech poruczników (chyba kapitanów), ale porucznicy nie znali już swoich podoficerów, których widzieli pierwszy raz w życiu; również podoficerowie nie znali żołnierzy; wojsko nie znało nikogo“. Było to nieszczęściem wszystkich partyi, wkraczających z Galicyi, nadawało im pewną rozbieżność,

¹⁾ *Ożegalski*, «Wspomnienia», 228, twierdzi, że na dwie po 180 ludzi. Poszliśmy za relacją *L. Siemińskiego* «Dwaj Juliusze», 161, który czerpał ze źródeł bezpośrednich. Przytem kompanie w powstaniu nigdy nie liczyły po 180 ludzi, ale zwykle po 80.

pozbawiało spójności, ale czyż był na to jakiś środek?... Całą piechotą dowodził Chościakiewicz, pseudonim Jana Popiela, niegdyś oficer austriacki i żuawów papieskich, pełen nieustraszonej, spokojnej odwagi; jazda, złożona z kilkudziesięciu koni, była pod komendą Stojowskiego.

Krótką noc czerwcową upłynęła na tej organizacji; dzień świtać począł, dzień cichy, ciepły, przepełniony śpiewem tysięcy słowików, w wiklinach nadwiślańskich się gnieźdzących. Była godzina 7 rano, gdy наконец znaleziono się nad brzegiem Wisły; miano się więc w dzień przeprawić, co oczywiście było błędem, ale na to nie było już rady. W obawie przed patrolami austriackimi musiano się w nocy sztyftować, co wymagało zawsze dużo czasu; zresztą przeprawa w bród przez Wisłę, rzekę ruchliwą i zdradliwą, w nocy mogłaby pochłonąć wiele ofiar. Rzecz więc musiała się w dzień odbyć i Jordan czuł, że to jest źle, ale zapobiedz temu nie mógł. Najprzód przeszła jazda, potem piechota na pół rozebrana. Po uszykowaniu się na lewym brzegu, ruszono pospiesznie w kierunku Stopnicy i niebawem kawalerya, wysłana na rekonesans, doniosła, że przed wsią Komorowem stoi w szyku bojowym kompania piechoty rosyjskiej. Była to owa kompania (jedenaśta) pułku Halickiego, z którą major Ragoza wyruszył w nocy ze Stopnicy w ślad wczoraj jeszcze wysłanej z tego pułku kolumnie, która, jak wiemy, od rana biła się z oddziałem Dunajewskiego. Chcąc dostać się w głąb kraju i połączyć się z Dunajewskim, o którego losie jeszcze nie wiedziano, zresztą o tej porze bił on się jeszcze, należało koniecznie zagradzającą drogę powstańcom kompanię rosyjską obalić. Jordan szybko się na to zdecydował i uszykował swą piechotę do ataku. Dowódca tejże, Popiel, przemówił do żołnierzy, że „nieprzyjaciół jest w pobliżu“, że „bitwa niebawem nastąpi i może niejeden z was zginie, klękniemy przeto, pomódlmy się za dusze konające i prośmy Boga o zwycięstwo“. Przemowa ta, odpowiednia dla dawnego żołnierza papieskiego, nie była zdolną natchnąć wojowników polskich entuzjazmem i wszystko łamiącą

odwagą; miała raczej cechę śmiertelnej rezygnacji chrześcian, ginących w Cezarowej arerie rzymskiej. To też cały oddział w posępnem milczeniu ukląkł na białym piasku wiślanym i chwilę cicho się modlił...

Następnie dwie kompanie ruszyły do ataku, a dwie zostały w odwodzie. Z obu stron rozpoczyna się żwawy ogień karabinowy, który tem się kończy, że nieprzyjaciel nie może go wytrzymać, opuszcza pozycję przed wsią i kryje się po jej chałupach, opłotkach i stodołach i broni uparcie. Powstańcy, korzystając z bujnego zboża i zarośli, zasłonięci niemi nie przestają strzelać, lubo większość nie umiała się z bronią obejść i „tylko kilkunastu odważniejszych chodziło między nimi, robiąc użytek z karabinów i posyłając celne strzały na nieprzyjaciela“. Wśród takiej walki, dość leniwie i bez stanowczego rezultatu się ciągnącej, zachodzi epizod, który całkiem inny nadaje jej kierunek, niestety! na niekorzyść powstańców. Jordan, pragnąc odzyskać czucie z Dunajewskim, zaraz na początku walki z nieprzyjacielem, wysłał wszystką swą jazdę wzdłuż Wisły na lewo, z poleceniem dotarcia do rzeczonego Dunajewskiego i oddania mu rozkazu, by spiesźnie łączył się z główną siłą. Jazda polska na nieszczęście w drodze napotyka dragonów, którzy, przyczyniwszy się do przerzucenia Dunajewskiego za Wisłę, teraz cwałem biegli na pomoc majorowi Ragozie, broniącemu się w Komorowie. Ułani powstańczy, naparci przez dragonów, których był cały szwadron, zbyt nieliczni i płochliwi, by mogli im stawić czoło, zawrócili i wpław przez Wisłę umknęli do Galicji. Kawaleria więc rosyjska ruszyła teraz na pomoc bijącej się w Komorowie piechocie rosyjskiej.

Wielkie chmury kurzu, podnoszącego się z pod kopyt stu kilkadziesiąt koni, zwróciły na siebie uwagę Jordana. Zrazu myślał, że to jego ułani wracają, ale odgłos trąbki, dającej sygnał do ataku, przekonał, że nowy nieprzyjaciel zwała się na kark powstańców. Wobec tego stojące w odwodzie dwie kompanie sformowano w czworobok i dobrze utrzymanym ogniem dwukrotnie odparto szarżę dragonów.

Odtąd przestali oni bezpośrednich ataków, ale wisząc na skrzydłach polskich, tem samem paraliżowali każdy śmielszy ruch powstańców, a przytem podczas szarży dragonskich piechota rosyjska, kryjąca się dotąd w głębi wsi, posunęła się naprzód, zajęła skrajne chałupy i stodoły i rozpoczęła tak dokuczliwy ogień karabinowy, że powstańcy gęsto padali, a sztabowi niebawem wystrzelała wszystkie konie. Pod samym Jordanem dwa zabito. Prócz tego, jak się zdaje, wiadano już o porażce Dunajewskiego, oraz że na polu walki zjawi się niebawem jeszcze jedna kompania rosyjska, upojona świeżym tryumfem nad pierwszą partją polską. Chcąc więc skutecznie stawić czoło temu nowemu nieprzyjacielowi, należało skończyć z kompanią ukrytą w Komorowie, roztrącić ją i pójść dalej. Niestety! podjęte w tym celu siłowanie nie odniosły skutku. Heroiczny atak kilkadziesiąt młodzieńców, pomnożył tylko liczbę ofiar, a nieprzyjaciela z Komorowa nie wyparł¹⁾. Pojawiająca się wreszcie od lewego nowa

¹⁾ Atak ten poprowadził Juliusz hr. Tarnowski na czele 30 lub 40 ochotników. W ich liczbie znajdował się Popiel, Brockhausen i ksiądz z Przecławia. O ataku tym, świadczącym o wysokim nastroju szlacheckiej młodzieży, tak opowiada *L. Siemieński* («Dwaj Juliusze», p. 169): «z początku cały ten oddział, zaigrany przemową i przykładem młodego dowódcy (Tarnowskiego) siedl jak jeden wytrawny już żołnierz, dopóki nie stanął u ogrodowego plotu, który trzeba było spiesźnie przesadzić... Moskale, widząc zbliżających się, sypnęli do nich gęstymi strzałami, co tak zmieszało i osłabiło ducha, że tylko siedmiu plot przeskoczyło, reszta haniebnie pierzchnęła. Ci siedmiu, pomimo opuszczenia przez towarzyszków, nie cofnęli się i z bagnietem szli dalej. Dopadłszy pod szopę znaleźli się wśród kilkunastu Moskali, których rozpaczliwym uderzeniem na bagnety wyparli za drugą ścianę stodoły, a sami zajęli ich miejsce». Usiłowano stodołę podpalić, ale się nie zajęła. «To dało czas Moskałom do upamiętania się. Oficer ich nie mogąc napędzić swoich, żeby rzucili się na tych kilku śmialków, wyskoczył z poza węgla sam jeden», wystrzelił i zabił Tarnowskiego i stojącego poza nim młodzieńca. «Pięciu pozostałych straciło ostatnią nadzieję ocalenia, jaką nawet w tej chwili pokładali w odwadze i przytomności Juliusza. Na odgłos strzałów wysunęło się z poza szopy ze dwudziestu żołnierzy, i ci

kolumna rosyjska, zmusiła powstańców do bezładnego odwrotu ku wsi Budziska. Zniechęceni, zmęczeni, bo dzień był upalny, rozproszeni po nadwiślańskich nizinach, nigdzie już prawie nie stawiali oporu, ginęli dziesiątkami, pokrywając pola i niwy ze zbożem swymi trupami. Wielu rzucało się do Wisły i tam tonęło lub padało od kul rosyjskich. Cała płaszczyna od Komorowa do Przeczowa z jednej, a do Budziska z drugiej strony pokryta była zabitymi lub rannymi, których rozbestwione żołdactwo rosyjskie mordowało bez litości i obdzierało do naga. Z całego oddziału ledwie część uratowała się do Galicji, reszta albo została zamordowana haniebnie, albo wzięta do niewoli. Klęska była straszna, krwawa i przynębiająco oddziaływała na wszystkich. Sam Jordan z czterema ludźmi, po różnych przygodach, zdołał się w nocy przedostać do Galicji¹⁾.

Kiedy tak oddziałom, wkraczającym z Zabornu austriackiego zupełnie się nie wiodło i albo po krótkim starciu wracały z powrotem za kordon, albo ciałami swych żołnierzy zaścielały pobojowiska, partye tworzące się wewnątrz Królestwa istniały zwykle dość długo i nieraz

w odległości kilkunastu kroków dali ognia do tych pięciu. Czterech na miejscu poległo, jeden tylko ocalał» (Popiel-Chościakiewicz).

¹⁾ Raport urzędowy rosyjski powiada: «z liczby 800 (?) ludzi około 200 schroniło się do Galicji, 25 jeźdźców pojechało w głąb kraju, reszta bądź poległa lub została ujęta. Do Stopnicy przyprowadzono wziętych w boju 74 ludzi zdrowych i 21 lekko rannych, 18 rannych odwieziono do Staszowa. W samej Łubnicy, podług raportu władzy cywilnej pochowano 90 ciał; oprócz tego wielu zabitych i ciężko rannych pozostawiono w Komorowie, Słupcu, Zalesiu, Budziskach, Czarzyźnie, w lesie i w wysokim zbożu na polach. Piechota zebrała 518 nowych sztuców, tyleż zebrali dragoni. Straty ze strony wojska prawie żadne: w piechocie jeden (! oczywiście) zabity, 6 ciężko rannych, 5 lekko». Jak dalece ta relacja o stratach rosyjskich jest kłamliwą, świadczy ten fakt, że kiedy raport Uszakowa mówi o 518 karabinach, zabranych przez piechotę i takież ilości przez dragonów (a więc przeszło 1000), «Żurnal wojen. dziejstw» Nr 17 mówi tylko o 320. Że straty rosyjskie musiały być znaczniejsze, dość przeczytać opowiadanie Ożegalskiego («Moje wspomnienia», str. 231 i nast.) noszące na sobie cechę prawdy.

nawet pochwalić się mogły odniesionemi tu i owdzie nad nieprzyjacielem korzyściami. Właśnie w tej porze, gdy Hiobowe wieści o rzezi Komorowskiej obiegały kraj, budząc wszędzie grozę i żal, w Krakowskim dał znać o sobie nowy dowódca powstańczy, który swą wytrwałością i dzielnością zyskał zasłużone w historii imię. Dowódcą tym był Zygmunt Chmieleński, brat rodzony głośnego czerwieńca i anarchisty Ignacego. Mazur, rodem z pod Mińska Mazowieckiego¹⁾, służył najprzód w wojsku rosyjskiem, z którego w czasie wypadków 1861 r. wystąpił w randze porucznika 4-ej brygady artylerji i emigrował z kraju. Przez jakiś czas był w szkole wojskowej polskiej w Cuneo, potem tułał się za granicą, a gdy wybuchło powstanie, przybył do Galicji, by wziąć w niem czynny udział. Aresztowany przez Austriaków i osadzony w Ołomuńcu, zdołał się stamtąd wydobyć i w Krakowie otrzymał w kwietniu polecenie formowania oddziału konnego, z którym przekroczywszy granicę w Miechowskim²⁾, po-

¹⁾ Błędną o nim wiadomość podał *Z. Kolumna*, «Pamiętka» I, 29, jakoby urodził się w Sandomierskim, i za nim poszli wszyscy, którzy pisali o Chmieleńskim. Nie nazywał się Chmieliński, ale Chmieleński, co już kilkakrotnie w tem dziele prostowaliśmy, mimo to błąd ten uparcie się powtarza, nawet w wydanej w r. 1903 książce: «W 40 rocznicę powstania». co dowodzi ze strony wydawców malej znajomości literatury powstania. Ojciec trzech braci Chmieleńskich (bo było ich trzech: Ignacy, Zygmunt i trzeci, którego imienia nie znamy do dziś dnia (1904 r.), żyjący w Warszawie jenerał rosyjski) Jan Nepomucen był właścicielem wsi Barczący pod Mińskiem Mazowieckim, zmarły w 1848 r. i pochowany na cmentarzu w tymże Mińsku, gdzie ma nagrobek. Stąd to Ignacy zwykł był tytułować się obywatelem ziemskim, choć Barcząca już do nich nie należała, a małoletnich chłopców po śmierci ojca wychowywał ich kuzyn, ksiądz miejscowy.

²⁾ *Z. L. Sulima*, «Wspomnienia ulana» II, 7, opowiada, że Chmieleński, wychodząc z Krakowa, miał rozkazać swemu oddziałowi, aby konno i zbrojno zebrał się przed domem, w którym mieszkał. Gdy się to stało, wyszedł i zakomenderował: «dwójkami od prawego marszu», wyruszył biegiem, szczęśliwie wymknął się z Krakowa i przeszedł granicę. Autor nie ręczy za autentyczność tego faktu, nieco nieprawdopodobnie wyglądającego.

łączył się z Bończą i jakiś czas pozostawał pod jego komendą. Wkrótce potem kazano mu formować nowy oddział w lasach Sancygniowskich (w Krakowskim), co skuteczniejszy musiał znów oddać go pod dowództwo niejakiego Zaborowskiego, sam zaś udał się w lasy około Złotego Potoku, by zająć się sztyftowaniem trzeciej już z rzędu partii. Zdaje się, że ta nieufność do niego, tak ze strony Rządu kwietniowego jak i Rządu Majewskiego, i niechęć oddania mu niezależnego naczelnictwa, miała swe źródło w tem, że był bratem Ignacego i zapewne lękano się, żeby nie stał się narzędziem w ręku tego warchoła i nie dokonał jakiego nowego zamachu stanu¹⁾. Tę niechęć odczuwał on głęboko, albowiem gdy zdawał Zaborowskiemu komendę, miał wyrzec: „jak teraz nowy oddział sformuję, to oddam go tylko samemu Bogu“.

Sztyftowanie tego oddziału nowego odbywało się w romantycznie położonych lasach Złotego Potoku, między wsiami Gorzków i Huciska przy dwu niebotycznych jodłach, wznoszących się wyżej nad lasy, w których rosną. Sam Chmieleński, mianowany kapitanem, człowiek młody, zaledwie dwadzieścia kilka lat liczący, niski, szczupły, drobny i zawiędły, blondyn o oczkach małych, żywych, głęboko osadzonych, niebieskich i słabym zaroście, szorstki w obejściu, mówiący przeciągle polszczyzną, pełną rusycyzmu, odznaczał się wielką surowością względem podkomendnych, niepospolitą energią i żelazną wytrwałością. Dzięki tym przymiotom bojował blisko przez pół roku, rozbić się zupełnie nigdy nie dał i odegrał w powstaniu

¹⁾ W opowiadaniu naszym o trzykrotnem formowaniu oddziałów przez Chmieleńskiego, opieramy się na relacji *Z. Kolumny* l. c. I, 30. Posiadamy jednak podania rękopiśmienne, które twierdzą, że oddział Sancygniowski sformował właściwie Rogaliński i Zaborowski, a komendę naczelną nad nim oddano Chmieleńskiemu, którą mu jednak odebrano za jakieś nadużycia i oddano Chabiłowi. Z uwagi na surowe, okrutne nawet nieraz postępowanie Chm. z podwładnymi, relacja ta ma za sobą pewne prawdopodobieństwo.

w Krakowskim i Sandomierskim rolę pierwszorzędną¹⁾. Nowo sformowany przezeń oddział w lasach Złotego Potoku liczył około 200 ludzi, gdy wieść o nim doszła w formie niejasnej i niepewnej do Częstochowy. Komendant tamtejszy, pułkownik Ernroth, znany nam już z niefortunnnych starć z Kononowiczem, dla zasięgnięcia dokładniejszych wiadomości, wysłał d. 5 lipca dwie kompanie piechoty (jedną pułku Biełozierskiego, drugą Witebskiego) i trochę kozaków, na rekonesans z rozkazem zbadania okolicy Janowa (miasteczka nad Wierciecią w pobliżu Złotego Potoku położonego) i Lelowa. Obie kompanie razem doszły do Janowa, skąd tegoż dnia kompania pułku Witebskiego ruszyła dalej do Lelowa. Dowódca kompanii Białozierskiej, rozłożywszy się w Janowie, wybadawszy burmistrza i mieszkańców, nabył przekonania, że powstańcy muszą być gdzieś w pobliżu, zwłaszcza, że dowiedział się o niedawnem powieszeniu chłopca w lesie Janowskim. Nakazał więc żołnierzom swoim czujną ostrożność, pikietę zdwojono i oznaczono w razie napadu punkt zborny za miasteczkiem na cmentarzu, leżącym obok drogi do Lelowa, otoczonym murem, na wzgórzu, dominującym nad okolicą. W nocy wysłał kozaków na zwiady, ale ci wrócili z wiadomością, że powstańców nigdzie nie spotkali.

Tymczasem Chmieleński wiedział już o pobycie nieprzyjaciela w Janowie, oddalonym od jego obozowiska o sześć niespełna kilometrów i chcąc zaprawić swą ru-

¹⁾ Materiały do działań Chmieleńskiego, z których korzystaliśmy, są następujące: *Z. Kolumna*, «Pamiętka» I, 29. *Z. L. Sulima*. «Wspomnienia ulana», tom II. «Pamiętniki powstańca», wydane przez *Z. L. Sulimę*. *Z. N. Krzywdę*, «Wspomnienia obozowe z r. 1863 i 1864». «W 40 rocznicę powstania» (artykuł B. Anca) p. 43. «Éphémérides polonaises» (Juillet, Août et Septembre) p. 54. *Zet*. Napadanie na Janów. Rozkaz oficiera «Warszawskij Dniwnik» Nr 260 i 282 z r. 1865. «Wiadomości z pola bitwy». *N. Berg*, «Polskoje wozstanie», tom III. «Żurnal wojennych dziejstw» Nr 30. Owcześnie pisma polskie i rosyjskie. Notatki i relacje rękopiśmienne. Rękopism «Rok 1863. Pamiętnik bezimiennego» w zbiorach autora, wreszcie wspomnienia osobiste tego ostatniego.

chawkę do boju, postanowił napaść znienacka na Rosyan. Podjazd kozacki widział on doskonale, ukrywszy się w gąszczu, ale surowo zakazał go atakować, gdyż tylko tym sposobem mógł zamiar swój do skutku doprowadzić. Atak ten jednak, nie wiemy dlaczego, wykonany został nie w nocy, ale w dzień biały. Prawdopodobnie dość późno dowiedział się o przybyciu nieprzyjaciela do Janowa i nim wyruszył z obozu pod Huciskiem, już dzień był, mimo to niepostrzeżenie lasami, okrążając miasteczko, dotarł koło godz. 10-ej rano do wsi Ponika, tuż pod Janowem. Dzień był skwarny. Żołnierze rosyjscy, jak gdyby w czasie pokoju, porozłazili się po ogrodach i spali; większa ich część, zwłaszcza, że wczoraj w Częstochowie żołd im wypłacono, zasiadła w szynkach i piła; wielu kąpało się w stawie, należącym do fabryki machin w Poniku. Tych najprzód spłoszył Chmieleński celnymi strzałami i na ich karkach wpadł do Janowa. Pikieta rosyjska dała ognia, dobosz na rynku uderzył na alarm, ale to wszystko było zapóźno, gdyż powstańcy już byli w miasteczku. Wśród strasznego zamętu, płaczu kobiet i dzieci, nieprzyjaciół pojedynczo, kupkami, w płaszczach, koszulach, bez czapek, ale z bronią, wymykał się z miasteczka i zbiegał się na oznaczony punkt zborny na cmentarzu. Na rynku padł pierwszy dobosz, jednego z oficerów, napadniętego na kwaterze, rannego w rękę, ale ostatecznie nieprzyjaciół z małą stratą kilku ludzi (4 zabitych i 8 rannych) zdołał skoncentrować się na cmentarzu. Chmieleński kilkakrotnie usiłował wyprzeć go stamtąd, ale gdy się to nie udało, cofnął się na dawną pozycję pod Huciską, zwłaszcza, że mu doniesiono, że kompania pułku Witebskiego, która była poszła do Lelowa, uwiadomiona przez kozaków, spieszy swoim na pomoc, Starcie to z obu stron niewielkie przyniosło straty, ale okupione zostało zupełnem spaleniem miasteczka i wsi Ponika przez nieprzyjaciela i zamordowaniem kilku niewinnych mieszkańców przez rozjuszzone żołdactwo rosyjskie, które po odwrocie Chmieleńskiego, w obawie

nowego napadu i wobec pożaru miasta, odstąpiło po drodze ku Częstochowie, do wsi Piasku¹⁾.

Pułkownik Ernroth w Częstochowie, uwiadomiony o wypadkach Janowskich, tegoż jeszcze d. 6 lipca, około godz. 10-ej wieczorem, wyruszył na pomoc spłoszonej kompanii Białozierskiej, na czele dwu kompanii pułku Witebskiego, garści kozaków i dwu dział artylerii, maszerował całą noc i nazajutrz połączył się we wsi Piasku z Janowskimi bohaterami. Tu przyłączyła się do niego jeszcze jakaś kolumna, która wyszła była z Piotrkowa, ale w jakiej sile, źródła rosyjskie nie podają. Wiadomości, jakie miał Ernroth, upewniały go, że Chmieleński obozuje gdzieś w lasach Złotego Potoku i wsi Bystrzanowic, ale z obawy zasadzki w okolicy leśnej, górzystej i pełnej wąwozów, wydawało się komendantowi rosyjskiemu rzeczą niebezpieczną szukać tamże powstańców. A przytem przez szpiegów otrzymał wiadomość, że Chmieleński zamierza przenieść się w okolice Przyrowa. Tam więc pomaszerował, stanął d. 8 lipca w samo południe i dostał nakoniec języka, że powstańcy opuszczają swój obóz pod Chuciskiem i maszerują ku Przyrowu. Chcąc ich zwabić, ostentacyjnie około godz. 5 z muzyką i śpiewami wystąpił

¹⁾ Do spalenia Janowa przyznaje się *Zet* (Napadnienic na Janow l. c.). Powiada, że w chwili, gdy powstańcy do miasteczka wpadli «na stodołę, gdzie stali kozacy, błysnął ogień», a zatem oni podpalili miasteczko. W «*Ephémérides polonaises*» l. c. p. 55, czytamy: «z dwustu domów, składających miasteczko zostało się zaledwie pięć i kościół. Około dwudziestu dzieci żydowskich zginęło, niewiadomo czy w ogniu, czy też zostały zamordowane. Opowiadają okropne rzeczy. Jakiś kozak wszedł do domu jednego z mieszkańców i podpalił go; gospodyni domu z dzieckiem na ręku poczęła wołać o pomoc, a kozak rzucił się na nią, zamordował dziecko i ją samą poranił. Policjanta miejskiego znaleziono zabitego przed domem. (*Zet* twierdzi, że go zabili kosynierzy, wzięwszy go z powodu czapki z czerwonym lampasem za oficera rosyjskiego). W innym miejscu znaleziono szynkarza, leżącego w kałuży krwi. «*Niepodległość*» Nr 2 z d. 25 lipca zapewnia, że nieprzyjaciół, «mszcząc się poniesionej klęski, spalili i zrabowali miasto».

z tego miasteczka i niby z powrotem puścił się ku Częstochowie. Ale w drodze z częścią swej kolumny, złożoną z dwu kompanii i 40 kozaków, zatrzymał się w gęstym borze koło wsi Zaleszyc, podczas gdy reszta z hałasem i wrzawą pomaszerowała dalej. Była to więc formalna zasadzka, na którą Chmieleński dość naiwnie dał się wziąć. W rzeczy samej wieczorem opuścił on swój obóz i ruszył ku Przyrowu i oczywiście natknąć się musiał w lesie Zaleszyckim na tającego w sobie dech Ernrotha. Po krótkiej, ale upartej walce, część jego oddziału rozbiegła się, z drugą jednak częścią wycofał się, utraciwszy cały tabor ze 150 nowymi karabinami i 15 niewolnika.

Napad Janowski miał pewien rozgłos, ale niebawem zaćmiony on został, przynajmniej w Warszawie, wiadomością o świetnem jakoby zwycięstwie, odniesionem w Rawskim przez oddział, noszący nazwę „dzieci warszawskich“¹⁾. Oddziałem tym dowodził niejaki Ludwik Żychliński, jeden z tych awanturniczych ludzi tej epoki, którzy bili się pod Garibaldim i w Stanach Zjednoczonych, szukając guza po świecie, a ze swych przygód dla braku zdolności wrodzonych, niewiele wynosili korzyści. Żychliński miał głowę słabą, a zarozumiałość o sobie wielką, był bez taktu w postępowaniu i należał do rzędu tych dowódców, którzy wieszali i katowali nieraz niewinnych zupełnie. Całą jego zasługą było to, że chłopów na śmierć nie skazywał, bo, jak sam powiada (w swych nieudolnie skreślonych pamiętnikach), „ludu nie uczono kochać ojczyzny i wolności, a przez to samo nie mógł on być karany tak surowo, jak ci, którzy wiedzieli, za co przelewała

¹⁾ Do działalności Żychlińskiego znane nam są materiały następujące: *L. Żychliński*, «Pamiętnik b. dowódcy dzieci warszawskich» (Poznań 1885 r.). *E. Cullier*, «Trzy ustępy z powstania». Raport Żychlińskiego w «Niepodległości» Nr 2. *N. Berg*, «Polskoje woztanie» III, 283. «Żurnal wojennych dziejstw» Nr 30. *A. Giller*, «Historya» II, 274. Materiały rękopiśmienne, jak np. rachunek Wydziału Skarbu Rządu narodowego, dotyczący kosztów wykupowania oddziału «dzieci warszawskich» w zbiorach autora.

się krew ofiar i synów Polski od stu lat⁴. Niechże mu to będzie na karb zasług policzone, bo innych nie miał; niechże go to wyróżni w historii dodatnio od tego tłumu dowódców powstańczych, uciekających przed nieprzyjacielem przy każdym starciu, a za to pławiących się we krwi chłopskiej bez sumienia i bez rozumu. Oprócz tego Żychliński posiadał niewątpliwy talent organizacyjny i dużą wytrwałość, gdyż przez czas swej wojaczki od lipca do grudnia, nie rozpuścił oddziału, jak to inni robili, ale wojował z nim ciągle wśród zmiennych szans fortuny.

Formacya „dzieci warszawskich“ trwała już od marca i powierzona była przez Langiewicza jeszcze niejakemu Bajerowi, mianowanemu przez dyktatora pułkownikiem. Był to człowiek nadzwyczaj lekkomyślny, kobieciarz i hulaka, bez żadnego wykształcenia wojskowego i o formacyi tej nigdy na seryo nie myślał, włócząc się po Sochaczewskiem i Błońskiem na czele kilkudziesięciu koni, objadając dwory i umizgając się do kobiet. To też gdy do Rządu Narodowego w połowie czerwca zgłosił się Żychliński, bądź co bądź człowiek z pewnem doświadczeniem wojennem, chętnie mu powierzono ostateczne uformowanie rzeczzonego oddziału, i powierzono mu nad nim dowództwo. Zabrał on się do tego dość energicznie, zwłaszcza, że było około tysiąca ludzi rozkwaterowanych po wsiach, było nieco koni i przyborów wojskowych, z wielkim kosztem zgromadzonych. W ogólności kosztu tego oddziału przez czas od czerwca do września, wynosiły ogromną sumę 168.159 rubli¹⁾.

¹⁾ Według rachunków rękopiśmiennych Lembkego-Okularnika, kosztu te tak się rozkładają:

Broń	rub. 101.997 kop. 55
Umundurowanie	» 28.319 » 75
Siodła i rynsztunki kawalerskie	» 18.176 » 80
Buty	» 2.493 » 76
Orły na czapki	» 1.686...
Ostrogi	» 493 » 25
Przeniesienie rzeczy z Warszawy do oddziału	» 303 » 70½

Bądź co bądź, w pierwszych dniach lipca, Żychliński zdołał uformować oddział w okolicach miasteczka Mszczonowa, na folwarku Dąbie, złożony z 224 strzelców, 360 kosynierów, 60 jazdy i 170 rozmaicie uzbrojonych, ogółem 814 ludzi. Prócz tego pod komendą wspomnianego już Bajera, znajdowało się 122 jeźdźców¹⁾ pełniących obowiązki żandarmeryi, i 160 koni, t. z. oddziału Rawskiego, pod komendą Grabowskiego, z którymi Żychliński się skomunikował, i którzy mieli strzedz jego boków i tyłów. Naczelnikiem wojennym województwa Mazowieckiego, mianowany został w tym czasie, znany nam już ze swych walk na Kujawach, Edmund Callier, który na czele kilkudziesięciu jeźdźców nieustannie przebiegał całe województwo formując oddziały i starając się ożywić powstanie i nadać mu pewną tęgość i sprężystość, co mu niestety! przy wzmagających się siłach nieprzyjaciela, a z czasem

Kociolki	rub.	385	kop.	78½
Dorożki	»	128	»	87½
Żołd oficerski	»	10.106	»	47
Żołd żołnierski, wozy, topory i t. p.	»	4.067	»	18½
Razem	rub.	168.159	kop.	7

¹⁾ E. Callier. Trzy ustępy z powstania, 77, podaje mniejsze cyfry. Jako naczelnik wojew. Mazowieckiego zwiedził on w lasach Trembaczewskich i oddział Żychlińskiego, u którego miał znaleźć:

Żuawów	120
strzelców	96
uzbrojonych w topory (?)	160
pikinierów	30
kosynierów	300
jazdy	46
Razem	752

Bajera zaś oblicza nie na 122, ale zaledwie na 73 konie. Wogóle Callier o Żychlińskim odzywa się bardzo pochlebnie, co przypisać należy temu, że nie miał czasu poznać go bliżej. «Gdybym był miał pięciu takich Żychlińskich (powiada na str. 73), stałbym wówczas na czele siły, zapomnąc której wykurzyłbym Moskwę ze swego województwa co do nogi». Jest to dość niesmaczna przechwanka, a nadzieje co do Żychlińskiego miały niestety! bardzo prędko zawieść dzielnego Calliera.

wskutek powszechnego omdlenia w kraju, wcale, albo w bardzo drobnej mierze się udało.

Żychliński ledwie uformowawszy swój oddział, otrzymał wiadomość, że z Warszawy gotuje się nań wyprawa. Chcąc więc uniknąć starcia, które dla ludzi, świeżo pod broń postawionych, mogło wypaść źle, zamierzył wyruszyć za Pilicę i pod jej osłoną zająć się choć jakim takim wyćwiczeniem swych ochotników. Tu w lasach Trębaczewskich połączył się z nim oddział Rudowskiego, który przyszedł z za Pilicy, w sile trzystu kilkudziesięciu ludzi, oraz Grabowski ze swą jazdą, a wkońcu i sam naczelnik Callier na czele 100 koni eskorty. Tym sposobem zgromadziło się przeszło 1200 piechoty i około 500 koni, siła, jakiej od czasu Langiewicza powstanie zebranej razem nie widziało. Ale nie myślano wojować wspólnie; dowódcy powstańcy, podobnie jak ich ojcowie w Konfederacji Barskiej, nie lubili podlegać nikomu, słuchać cudzych rozkazów i radzi byli działać na własną rękę. Pierwotnie chciano skorzystać z tego niezwykłego nagromadzenia sił powstańczych i chciano uderzyć na Nowe Miasto, potem na Rawę, ale wszystkie te projekta do skutku nie doszły. W Domaniewiczach rozdzielono się: Callier ze swą eskortą ruszył w Gościńskie, a Żychliński z Grabowskim i Rudowskim za Pilicę w Opoczyńskie. Dwaj ostatni zatrzymali się w Studzianinie, gdzie mieli zasłaniać Żychlińskiego, który rozbił obóz we wsi Ossie, niedaleko Odrzywoła, aby tam lepiej mógł się uorganizować.

W tej to Ossie, Żychliński stoczył żwawą i zwycięską utarczkę. Jak się zdaje, ta sama kolumna nieprzyjacielska, która wyruszyła z Warszawy czy Piotrkowa (najprawdopodobniej z Piotrkowa, gdyż pułk Połocki piechoty, którego parę kompanii biło się pod Ossą, stale konsystował w Piotrkowie), i o której na pierwszym swem obozowisku w Dąbiu miał wiadomość, ostatecznie w dalszym ciągu swych poszukiwań natrafiła na powstańców przy padkiem. Składała się ona z dwu kompanii pułku Poł-

ckiego piechoty i setki kozaków ¹⁾, pod wodzą majora Szokalskiego. Spotkanie to, jakżeśmy rzekli, było zupełnie przypadkowe, bo władze cywilne, które dość pilnie uwiadamy dowódców powstańczych o ruchach nieprzyjaciela, zapewniły Żychlińskiego, że nigdzie w okolicy wojsk rosyjskich niema, tak, że wódz polski rozkazał broń przestrzelać i w czasie tego, około godz. 4 ej po południu ukazał się nieprzyjaciel. Atakował on bardzo ostrożnie, z lasu nie chciał wystąpić, a wystąpiwszy cofał się zaraz, aż nakoniec wywabiony przez Żychlińskiego, który udał odwrot, oskoczony przez kosynierów, zagrożony z boku przez nadbiegłą jazdę Grabowskiego, w nieładzie i popłochu uciekać zaczął. Zapadająca noc ułatwiła mu tę ucieczkę; mimo to zostawił na pobojowisku kilkudziesięciu zabitych i tyluż wziętych do niewoli ²⁾. Tych ostatnich Żychliński nazajutrz wypuścił, bo nie miał ich gdzie trzymać, wziął tylko od nich przyrzeczenie, że nie będą walezyli więcej przeciw powstańcom; przyrzeczenie, którego dotrzymanie od nich

¹⁾ Raport urzędowy («Dziennik powszechny» No 160 z r. 1863). Żychliński w swem doniesieniu, wydrukowanym w No 2 «Niepodległości», tak samo ocenia siły rosyjskie na 2½ kompanii piechoty i 100 kozaków: tymczasem w swych «Pamiętnikach» p. 50 twierdzi, że miał do czynienia z 6 kompaniami (rotami) piechoty, 200 kozakami i pół szwadronem dragonów!!! Kłamstwo jest widoczne. Zobaczymy zaraz, jak jego raport nie zgadza się z «Pamiętnikami» o rezultacie tego starcia.

²⁾ Żychliński. Pamiętniki 57, powiada, że nieprzyjaciel stracił 124 zabitych, 38 rannych i 32 wziętych do niewoli. Pomiedzy zabitymi miało być 4, a między rannymi 2 oficerów. W raporcie swym jednak, pomieszczonym w «Niepodległości» No 2, utrzymuje, że na placu zostało 28 zabitych Rosyan, «resztę bowiem, a poległo ich do 160, uwięził nieprzyjaciel z sobą»; jeńców wzięto 5, między nimi jednego oficera. Raport rosyjski przyznaje się do 35 zabitych, co wobec zwykłych doniesień o stracie «jednego kozaka, który przepadł bez wieści», świadczy o porażce. Straty ze strony powstańców, również rozmaicie są podawane. Żychliński w «Pamiętnikach» powiada, że zabitych miał 70, rannych «około 60»; w raporcie zaś mówi o 4 zabitych i 16 rannych i doniesienie rosyjskie o 213 zabitych, jest oczywiście kłamliwe.

nie zależało i było pustą, zgoła zbyteczną formalnością. Obdarzeni pasportami polskimi i rublem na każdego na drogę, poszli do swoich.

Starcie pod Ossą wywarło wielkie wrażenie, zwłaszcza w Warszawie. Słusznie w kołach powstańczych szczycono się tem, że „czterodniowy żołnierz bił się na otwartem polu z regularnem wojskiem, i swoją wytrwałością zmusił wroga do odwrotu“; a w kołach rosyjskich, dwa po sobie następujące tryumfy powstańcze, pod Janowem i Ossą, obudzały gniew i oburzenie. Jeżeli one nie mogły mieć żadnych następstw dla państwa rosyjskiego (bo cóż znaczyło choćby nawet doszczętne wytepienie kilku kompanii piechoty?) to w każdym razie świadczyło o rozmożeniu się powstania, o jego rozszerzaniu się i wzrastaniu w siłę. Takie fakta jak Ossowska porażka, były wodą na młyn różnych Bergów, Radenów, Bremsenów, Wittgensteinów i całej tej bandy niemieckich zbójów i rabusiów, którzy ciążyły wtedy Tamerlanowemi zachciankami nad krajem, i dawały im broń do ręki przeciw „spolaczonemu“, lub „polakujuszczemu“, jak mówili, W. ks. Konstantemu. Im więcej takich zdarzeń jak Ossowskie lub Janowskie, tym skuteczniejsze obalenie W. kniazia, tym pewniejsza nadzieja samoistnego i niezależnego zniszczenia i zdeptania Polski, napełnienia swych pustych kieszeni polskim groszem i dobytkiem, zgnębienia nienawistnego żywiołu słowiańskiego. I jest to prawdziwą ironią dziejową, że wszelkie tryumfy powstańcze, były tylko stopniem do pograżenia naszej nieszczęśliwej ojczyzny w coraz głębszą przepaść niedoli.

Żychliński pochowawszy uroczyście poległych, wyruszył nazajutrz do Inowłódza, a po drodze, w Studziannie, w tamtejszym kościele odprawił solenne nabożeństwo dziękczynne. Nie ulegało wątpliwości, że nieprzyjaciel będzie chciał pomścić porażkę Ossowską i Żychliński doskonale to rozumiał, dlatego przeszedł z powrotem Pilicę pod Inowłodzem z zamiarem przedostania się w lasy Lubocheńskie. W tym celu, d. 14 lipca ruszył ku Budziszewicom,

niedaleko miasteczka Ujazdu, gdzie zamierzał się zatrzymać i obiad odgotować. Zapewniony przez władze cywilne, że nieprzyjaciela w tej stronie niema, maszerował spokojnie, gdy niedaleko Budziszewic, pod wsią Krynicą, spotkała go katastrofa. Na pokonanie bowiem zwycięskiego dowódcy polskiego, wyruszyły trzy kolumny rosyjskie z Piotrkowa, Rogowa i Rawy. O sile ich nie mamy żadnych danych, wiemy tylko, że była tam piechota, kozacy, dragoni i parę dział artylerii polowej¹⁾. Żychliński obsadziwszy wieś Krynica bronił się długo i uparcie, ale obskoczony dokoła, wycofując się do lasu został rozbity i rozproszony. Straty w ludziach, broni i amunicyi były znaczne, a w dodatku liczni w tych stronach koloniści niemieccy haniebnie mordowali rannych, lub wydawali w ręce rosyjskie, za co w kilka tygodni później Żychliński okrutnie się na nich pomścił, spalił bowiem to gniazdo rabusiów i morderców, a najwinniejszych ukarał śmiercią przez powieszenie.

W województwie Płockiem niemniej głośnie i niemniej krwawe w tym czasie zaszły wypadki. Tutaj na rozkaz Padlewskiego²⁾, utworzył w ostatnich dniach marca, we wsi Grządki na Kurpiach dość znaczny oddział, niejaki Ignacy Mystkowski. Pochodząc z drobnej szlachty mazurskiej (ze wsi Mystki w powiecie Łomżyńskim) był jednym z ludzi tej epoki, którzy dla idei niepodległości polskiej tułali się po całym świecie i wszędzie, gdzie choćby najslabsza nadzieja błysła pośredniego pożytku dla ojczyzny, szli krew swą łać szczerze. Poszedł więc w r. 1848 do powstania węgierskiego, które gdy tragicznie się zakończyło haniebną kapitulacją pod Vilagoss, wrócił do kraju i otrzymał posadę przy budującej się kolei warszawsko-petersburskiej. W wypadkach 1861 i 1862 r. żywy brał udział, a po wybuchu powstania służył jako oficer w od-

¹⁾ *Żychliński*. «Pamiętniki, 85, a za nim «Niepodległość» l. c. oblicza przesadnie nieprzyjaciela na 3000 przeszło piechoty, 460 jazdy i 2 działa.

²⁾ Czytaj Tom II, 213 niniejszego dzieła.

ziale Zameczka-Cichorskiego, a teraz na własną rękę wojować począł. Partya jego, nosząca nazwę 1-go pułku, była dość liczną, ściągnęły bowiem do niej rozbitki z oddziału Padlewskiego i innych, i w chwili, gdy Mystkowski przeniósł się z Kurpiów w powiat Ostrowski, miała około 1000 ludzi, uzbrojona była wcale nieźle i umundurowana jednostajnie¹⁾. Sam Mystkowski był człowiekiem energicznym, czynnym i pojmującym do pewnego stopnia warunki i wymagania małej wojny, jaką powstanie z natury rzeczy wieść musiało. Z drugiej jednak strony należał do rzędu tych okrutnych dowódców powstańczych, którzy bez litości i sumienia, z dziwną lekkomyślnością wieszali i katowali ludzi. Za oddziałem jego zawsze szły tłumy aresztowanych, których on sumarycznie na śmierć skazywał za lada podejrzeniem, częstokroć niczem nieuzasadnionem. Pierwszym jego czynem, który nań zwrócił uwagę tak władz powstańczych, jak i nieprzyjaciela, był napad na kompanię piechoty rosyjskiej, pluton huzarów i 30 kozaków w lasach Komorowskich. Kolumną rosyjską dowodził kapitan Rynarzewski²⁾, a wysłaną została ona z Ostrołęki w celu przyaresztowania Józefa Małonieskiego, właściciela wsi Gostkowo, będącego naczelnikiem powstańczym powiatu Ostrowskiego. Do kolumny tej przyłączył się w celu dokonania w Gostkowie rewizyi i śledztwa, naczelnik żandarmerii rosyjskiej, kapitan Denisiewicz, niegdyś wojskowy polski, człowiek w gruncie rzeczy uczciwy i nikomu nie szkodzący, zwłaszcza, że syn jego Andrzej, w tej porze

¹⁾ Do historii oddziału Mystkowskiego i innych w Płockiem, posiadaliśmy źródła przeważnie rękopiśmienne; z drukowanych zaś następujące: *Z. Kolumna*, «Pamiętnik dla rodzin polskich». *Br. Deskur*, «Pamiętniki» (tom II «Wydawnictwa materyałów do hist. powstania»), «Wiadomości z pola bitwy» z d. 9 maja (bez numeru) i z d. 1 czerwca No 11. *N. Berga* «Polskoje wozstanie» III, 254 i nast. «Żurnal wojennych dziejstw». *Pawłiszczewa*, *Siednicy* (tom II) i raporty urzędowe w «Dzienniku powszechnym», wreszcie ówczesne dzienniki polskie.

²⁾ Rynarzewski, Polak, w kilka miesięcy później zdezerterował z wojska rosyjskiego i utworzył oddziałek, złożony z samych Kurpiów. We właściwym miejscu wspomnimy o nim.

właśnie wstąpił do szeregów powstańczych w Sandomierskiem i służył początkowo w oddziale Grylińskiego, potem Iskry, a nakoniec Chmieleńskiego ¹⁾. Mystkowski dowiedziawszy się o tej wyprawie ²⁾, postanowił na szczupłą kolumnę rosyjską uczynić zasadzkę. Obozował on wtedy między wsiami Stokiem i Komarno, w gęstym lesie, leżącym tuż nad gościńcem, prowadzącym z Ostrołęki do Ostrowa, a którym oddział nieprzyjacielski maszerować musiał. Ustawiono więc strzelców i kosynierów, po jednej stronie drogi, i w nocy d. 4 maja koło godz. 2-ej, gdy nieprzyjaciel się ukazał, powitano go strzałami i pomimo upartej obrony, rozbito dosiebnym atakiem kosynierki. Mimo to walka ręczna trwała blisko godzinę. Padło pod ciosami kos kilkudziesięciu żołnierzy rosyjskich, wzięto do niewoli Denisiewicza, dwu oficerów braci Puchałów Cywińskich ciężko rannych, sześciu żołnierzy także rannych i dwu szpiegów. Tu się okazało w całej pełni okrucieństwo Mystkowskiego. Kazał on powiesić obu ciężko rannych oficerów i Denisiewicza, jako Polaków służących rządowi rosyjskiemu, a zatem, według jego zdania, zdrajców kraju. Napróżno Denisiewicz błagał o życie, powoływał się na to, że na swym urzędzie nikomu nie szkodził, owszem, o ile to było w jego mocy, wielu dopomagał; na to wrzeczcie, że ma syna w powstaniu, nie nie pomogło. W oddziale znajdował się czerwony zapaleniak, niejaki Karol

¹⁾ Schwytyany w marcu 1864 r. w okolicy Wąchocka, został powieszony w Wierzbniku. Dziwna ironia losu, możliwa tylko w tych oplakanych stosunkach, w jakich kraj od stu lat się znajdował, że kiedy ojca powiesili Polacy, to syna Rosyjanie.

²⁾ Według relacji rosyjskich («Dziennik warszawski» No 1 z 1867 r.) miał o tem uprzedzić Mystkowskiego niejaki Piotr Dzierlatka, «dziesiętnik» (?) w Ostrowie. Z wiadomością tą sam się udał do oddziału. Według relacji polskiej, którą posiadamy w naszych zbiorach, Malonieski był w stosunku miłosnym z żoną Denisiewicza, która dowiedziawszy się od męża o rozkazie aresztowania kochanka, uwiadomiła potajemnie tego ostatniego, a ten schronił się do oddziału Mystkowskiego i oczywiście wszystko mu opowiedział. O ile te relacje są prawdziwe, nie wiemy.

Frycze, o którym później powiemy, i ten osobiście dozorował wykonania wyroku i cynicznie szydził z konającego na szubienicy. Powieszono także obu szpiegów ¹⁾. Za zwycięstwo to, tak okrutnie zakończone, Mystkowski mianowany został podpułkownikiem i naczelnikiem powstańczych powiatów: Ostrołęckiego, Pułtuskiego i Przasnyskiego.

Wiadomość o rozbiciu w lesie Komorowskim kolumny rosyjskiej, i o powieszeniu trzech oficerów, wzburzyła nadzwyczajnie sfery rządowe w Warszawie. Cały ten wypadek jak najstaranniej ukryto, nie ogłoszono nawet o nim w „Żurnale wojennych dziejstw”, ani w urzędowym „Dzienniku powszechnym” ²⁾, choć tam notowano skwapliwie najdrobniejsze nawet starcia. Widocznie lękano się, by wiadomość o tem nie doszła do Petersburga, gdzie powoli zżymać się zaczęto na nieudolne prowadzenie wojny ze strony rosyjskiej. Z tem wszystkim ukrywając tę wiadomość, postanowiono surowo ukarać zuchwałego „buntow-

¹⁾ Według cytowanej relacji rosyjskiej, schwytanego Denisiewicza, oddano w czasie toczącej się walki pod dozór owego «dziesiętnika» Dzierlatki, o którym wyżej wspominałyśmy. Denisiewicz domyślając się zapewne co go czeka, oddawał Dzierlatce wszystkie jakie miał przy sobie pieniądze, by go puścił. (*Deskur*, «Pamiętnik» 163, powiada, że dawał 50.000 rubli, ale nie Dzierlatce, tylko oddziałowi). Postrzegłszy Fryczego, którego znał przedtem, przypomniał mu, że był w przyjaznych stosunkach z jego rodziną, a zwłaszcza z babką niedawno zmarłą. Na to Frycze, gdy już delikwentowi założono stryczek na szyję, zawołał z prawdziwie szubienicznym humorem: «a kłaniaj się tam babce mojej!» W «Wiadomościach z pola bitwy» jest powiedziane, że Denisiewicz był «człowiekiem bardzo szkodliwym i z okrucieństwa znanym», czemu przeczą wszystkie relacje, jakie posiadamy. Mystkowski w swym raporcie dodaje, jakoby na pochwałę swej humanitarności, że skazanemu na szubienicę, pozwolił, napisać testament. Przy jednym z dwu szpiegów (opowiada *Deskur* l. c.) znalazł list jego narzeczonej, w którym zaklinała go, by porzucił haniebne rzemiosło. Nie tłumaczył się on przy indagacji i spokojnie poszedł na śmierć.

²⁾ Nawet Pawliszczew w swych tygodniowych raportach, przesyłanych Cesarzowi, poza plecami władz rządowych warszawskich, nie wspomina nigdzie o katastrofie Komorowskiej.

nika" Mystkowskiego. Wydano więc rozkazy, aby jednocześnie wyruszyły zbrojne kolumny z Pułtusza, Czyżewa i Ostrowa, i w zwykłej w tem powstaniu taktyce rosyjskiej, ruchem dośrodkowym otoczyły oddział polski i wytępiły go do cna. Bliższych szczegółów o tej wyprawie nie mamy, wiemy tylko, że Mystkowski, przez sześć dni, unikając starcia, wywijał się między kolumnami nieprzyjacielskimi i ostatecznie wyszedł z tego groźnego zamachu cało. Odpocząwszy sobie przez parę dni, gdy wyprawa rosyjska nie nie zdziaławszy wróciła na swe leże, postanowił nowy napad uczynić na nieprzyjaciela. Wzrósł on teraz znacznie w siłę, gdyż złączył się z nim oddział, około 300 ludzi liczący, sformowany przed paru miesiącami w powiecie Ostrołęckim przez niejakiego Polikarpa Dąbkowskiego. Ponieważ Wydział wojny Rządu narodowego polecał Mystkowskiemu, ażeby starał się psuć kolej żelazną warszawsko-petersburską, którą napływały nowe wojska z Rosyi, więc powzięto zamiar nagłego napadu na który z posterunków rosyjskich, strzegących tejże kolei. Ułożono plan dość dobrze obmyślany, zdaje się, głównie przez przyślanego z Warszawy Józefa Podbielskiego, kapitana sztabu jeneralnego rosyjskiego, w tym celu, aby objął naczelne dowództwo w Płockiem, po uwięzionym i niebawem rozstrzelanym wojewodzie płockim, Zygmuncie Padlewskim. Według tego planu oddział, zbliżywszy się do linii kolei petersburskiej, między Małkinią i Czyżewem, mniej więcej w okolicy wsi Zaręby Kościelne i Pułazia, miał rozdzielić się na dwie kolumny. Jedna z nich, licząca około 300 wyborowych żołnierzy, pod wodzą Fryczego, tego samego, który tak cynicznie w lesie Komorowskim sztychował z umierającego Denisiewicza, miała niespodzianie napaść na słaby posterunek rosyjski na stacyi Małkinia. Przewidując, że posterunek ten wobec przeważnych przemocy powstańców, zażąda telegraficznie posiłków z Czyżewa, gdzie kwaterował naczelnik wojenny kolei, jenerał-major Toll i że ten niezwłocznie wyruszy na pomoc, postanowiono w pobliżu Pułazia zerwać szyny i narazić śpieszących do Małkini nie-

przyjaciół na wykolejenie, a następnie przerażonych i okaleczonych mocno, dobić dosiebnym atakiem. Nie ulega wątpliwości, że plan był z talentem obmyślany i według wszelkiego prawdopodobieństwa udać się był powinien, gdyby nie nieprzewidziany wypadek, których tyle bywa na wojnie, i gdyby nie niechęć Mystkowskiego do narzuczonego mu z góry Podbielskiego. Plan przyjął, bo odrzucić go nie można było, ale w wykonaniu skrzywił znacznie i naraził siebie na śmierć, a podwładnych na haniebną i ciężką klęskę.

Dnia 13 maja zbliżono się do linii kolei petersburskiej i we wsi Zaręby Kościelne rozdzielono. Frycze na czele 300 strzelców pomaszerował do Małkini, Mystkowski zaś zbliżył się lasem pod sam tor kolejowy i zabrał się do zrywania szyn. Właściwie, wyjęto z pod nich podkłady, szyny zaś ułożono na piasku, tak że pozornie wszystko było w porządku. Dokonawszy tego, ustawiono strzelców i kosynierów po jednej stronie, tuż przy zepsutej kolei, z rozkazem atakowania nieprzyjaciela, gdy obali się wiozący go pociąg. Podbielski radził, ażeby kosynierkę, która głównie ataku dokonać miała, białą bronią, ustawić po obu stronach toru, gdyż, jak powiadał, nieprzyjaciel za wywróconymi wagonami będzie miał doskonałą zasłonę, ale Mystkowski słuchać o tem nie chciał, najprzód z niechęci do Podbielskiego, a potem przypomniał sobie Komorowską zasadzkę, gdzie powstańcy, ustawieni po obu stronach drogi, wzajem się razili swymi strzałami i nawet od kuli polskiej zginął wtedy młody Adam Pisarzewski, syn ziemianina z Płockiego, co niemiłe wrażenie wywarło i słuszne zarzuty na Mystkowskiego ściągnęło. Teraz więc nie chciał na coś podobnego się narażać, choć sytuacja była zgola odmienną, a rada Podbielskiego, jak skutek pokazał, dobrą.

Tymczasem w Czyżewie, jenerał Toll otrzymawszy około godz. 5-ej popołudniu z Małkini wiadomość telegraficzną o ataku na tamtejszy posterunek przeważnych sił powstańczych, które przesadnie obliczano na 2000 ludzi, niezwłocznie nakazał przygotować pociąg nadzwyczajny

i wsadziwszy doń dwie kompanie piechoty i 80 kozaków, puścił się na pomoc swoim. Tego właśnie powstańcy pragnęli i na to oczekiwali, w dręczącym leżąc przez parę godzin niepokoju koło zepsutego toru. Na nieszczęście, dróżnik dostrzegł wyjęcie podkładów z pod szyn, pospieszył naprzeciw idącego całym pędem pociągu, powstrzymał go i uwiadomił o popsuciu kolei, nie mógł tylko dać dokładnej informacyi, w którym miejscu. Wskutek tego Toll kazał zwolnić bieg pociągu i posuwać się bardzo ostrożnie, tak, że gdy nadjechano na miejsce właściwe, pierwsze wagony, w których były konie kozackie, wykoleiły się i poprzewracały, pozostałe zaś z wojskiem doznały tylko silnego wstrząśnienia, i jak się wyraził raport urzędowy, „nie miały zgubnych dla żołnierzy skutków“. Zrobił się straszny zamęt. Konie kozackie wyskakują z rozbitych wagonów i unosząc kawałki desek, do których były przywiązane, rżą głośno i rozbiegają się na wszystkie strony, strzały grzmia, piechota nieprzyjacielska usadawia się za wagonami ze strony nieobsadzonej przez powstańców, i odpowiada na ich atak gęstym ogniem, a bohaterski generał Toll z dwunastu kozakami, którzy zdołali schwycić swe konie, heroicznie ucieka do Czyżewa, nie pytając o to, co się stanie z jego piechotą. Ta zrazu stawiała zacięty opór, poczem przechodząc do działania zaczepnego, uderzyła bagnetem na powstańców, zmusiła ich do ucieczki i goniła aż do wsi Zaręby Kościelne. Kilkudziesięciu rannych i przeszło 40 zabitych, między nimi sam dowódca Mystkowski i Podbielski, zaległo pobojowisko ¹⁾.

¹⁾ Mystkowski na samym początku był ranny w nogi, mimo to wsadzony na konia, na czele garstki swoich okrążył pociąg i rzucił się na ukrytych za wagonami nieprzyjaciół. Tu dostał kulą w piersi i skonał na miejscu. Pochowany we wsi Zaręby kościelne. Podbielski zaś, gdy pociąg się zatrzymał, na czele kilku oficerów, między nimi Plucińskiego i Ostaszewskiego, przyskoczył do wagonu, w którym zdawało mu się, że znajduje Tolla (jak wiadomo uciekał on już do Czyżewa) i Pluciński otwierając drzwiczki krzyknął: «jak się masz generale? teraz my się z sobą rozmówimy», w tejże jednak chwili

Nad oddziałem powstańczym znacznie zmniejszonym, znużonym bardzo i upadłym na duchu, objął komendę Karol Frycze. Niepodobna było pozostać w Zarębach Kościelnych, z uwagi, że nieprzyjaciół ściągnawszy nowe siły mógł napad powtórzyć. Wyruszono więc na całą noc w dwu kierunkach. Dąbkowski ze swą partią puścił się na północo-wschód ku Zambrowu, Frycze zaś na zachód. Po uciążliwym marszu, zatrzymał on się w lesistej miejscowości, między wsiami Porębą i Osuchową, w pobliżu bi tego gościńca, prowadzącego z Warszawy do Petersburga. Miejscowość ta, zwana Łączką, była niezwykle obronna. W środku ogromnych, trudnych do przebycia bagien i moczarów, znajdowało się suche wzgórze, do którego prowadziła jedyna grobelka, tak wązka, że nią zaledwie dwu ludzi mogło iść obok siebie. Frycze rozbiwszy tu obóz, spoczywał cały tydzień przeszło w zupełnym spokoju. Tymczasem Dąbkowski doszedłszy pod Zambrów, zwrócił na siebie uwagę nieprzyjaciela, i wysłano przeciw niemu z Ostrołki pułkownika huzarów Pawłogradzkich, nazwiskiem Emmanuela, na czele trzech kompanii piechoty, szwadronu huzarów i 30 kozaków ¹⁾. Przed tak poważną siłą, Dąbkowski począł się cofać, dążąc forsownymi mar-

padł przeszyty dwoma kulami wraz z Podbielskim i Ostaszewskim. Nad rannymi nieprzyjaciół pastwił się straszliwie. *Deskur* w swych «Pamiętnikach» (p. 166) opowiada, że widział na pobojowisku kosyniera, jakiegoś akademika z Warszawy, z wytłupionymi bagnetem oczami, z oberzniętym językiem, uszami i innymi częściami ciała. Raport urzędowy bohaterskiego Tolla, wydrukowany w gazetach, twierdzi, że powstańców legło 140, Rosjanie zaś, jak zawsze, stracili jednego (czy nie klasycznego kozaka?) i 14 mieli ranionych.

¹⁾ B. *Deskur*. «Pamiętnik» l. c. 166, opowiada, że nieprzyjaciół chcąc się przekonać o siłach powstańców, a nie mogąc znaleźć widocznie szpiega, wysłał na ochotnika jednego z żołnierzy, Moskala, który pod pozorem że chce przejść do naszych szeregów, dostał się zapomocą organizacyi do oddziału Dąbkowskiego. Równocześnie wyszedł do oddziału Dąbkowskiego z Ostrołki oficer moskiewski Drozdowski, z tej samej kompanii, w której pomieniony żołnierz służył. Drozdowski spostrzegłszy znanego mu soldata, wziął go natychmiast

szami ku Fryczemu, w celu połączenia się z nim, wlokąc za sobą Emmanuela. Jasnym było, że ten zaatakuję oba oddziały powstańcze w ich błotnistym obozowisku, ale Frycze śmiał się z tego, twierdził, że nieprzyjaciół nie trafi do niego, żadnych przygotowań do boju nie czynił, nawet widet nie rozstawił. Wskutek tego Emmanuel napadł koło godz. 10-ej rano, d. 23 maja, niespodzianie powstańców i gdyby nie Drozdowski, który porwał pluton strzelców i poprowadził przeciw nieprzyjacielowi, wziętoby cały obóz prawie bez walki. Na nieszczęście Drozdowski przez nieporozumienie od własnych żołnierzy został ciężko postrzelony¹⁾ i Frycze z kosynierami jeszcze jakiś czas się bronił, ale ranny kulą w brzuch, padł na pobojowisku. Cały oddział rozbiegł się w nieładzie po bagnach, unosząc z sobą rannego dowódcę, który nazajutrz we wsi Porębie umarł. Straty ze strony powstańców były bardzo znaczne, nie tyle może w zabitych, ile wskutek rozproszenia się żołnierzy. Z częścią ich, Dąbkowski ruszył ku Wyszkowu, a nad resztkami oddziału Fryczego objął zaraz komendę niejaki Broniewski, ze szkoły wojskowej w Cuneo, a następnie major Jasiński, przysłany z Warszawy. Ten, nie wiele mogąc sam zdziałać, trzymał się uparcie Dąbkowskiego i obaj mieli w pierwszych dniach czerwca, w okolicach Brańszczyka niewielką potyczkę, wskutek której chcąc uniknąć pościgu, zamierzali przejść przez Bug, gdy otrzymali wezwanie, by spieszyli na pomoc oddziałowi Trąbczyńskiego, a raczej ufortyfikowanemu obozowi powstańczemu, gdzie

na indagacyą i pokazało się, że go major batalionu wysłał, aby obliczył siły oddziału, a po kilku dniach zdezerterował i doniósł co widział. Żołnierza powieszono, skoro mu dowiedziano szpiegostwo.

¹⁾ L. c. opowiada, że «Drozdowski jeszcze w mundurze rosyjskim, złapał jeden pluton, uzbrojony w karabiny z bagnetami i z nim uderzył na bagnety, wołając przez zapomnienie: «na sztyki!» po moskiewsku. Któryś z naszych, myśląc, że zdradza, ponieważ po moskiewsku zakomenderował, strzelił do niego z tyłu. Ciężko ranny, Drozdowski upadł». Wzięty do niewoli, wyleczony, został rozstrzelany w Pułtusk d. 6 lipca 1863 r.

były znaczne zapasy wojenne, pod wsią Drażdżewo w Przasnyskiem.

Trąbczyński, porucznik w wojsku rosyjskiem w pułku Niżegorodzkiem piechoty, konsystującym w Przasnyszu, poszedł do powstania i utworzył oddział, liczący od 200 do 250 ludzi¹⁾. Wraz z nim w oddziale tym znajdował się kolega jego wojskowy z tegoż pułku, podporucznik Palemmon Nowicki²⁾. Obaj oni stojąc na czele żołnierzy, posiadających zaledwie sto kilkanaście sztuk broni palnej, zresztą zaopatrzonych w kosy, nieobeznanych ze sztuką wojskową, postanowili wyszukać taką pozycyę, któraby z natury obronna, była trudną do zdobycia, i osłaniając od nagłego napadu, dawała tem samem możność wyćwiczenia żołnierza. Pozycya ta winna być gdzieś niedaleko granicy pruskiej, skąd Trąbczyński spodziewał się, że będzie mu broń palna nadesłana. Taką pozycyą przedstawiała miejscowość, zwana „Płaską górą“, leżąca pod wsią Drażdżewem (prawie na granicy powiatów: Przasnyskiego i Makowskiego), w której już przed trzema niespełna miesiącami bił się Padlewski. Pod wsią tą, w głuchym ostępie leśnym rzeka Orzyo tworzy obszerny staw, prawie milowej długości, zarosły trzciną, bardzo bagnisty, na środku którego znajduje się wyspa, raczej kępa, nosząca ową nazwę Płaskiej góry. Dostęp do tej wyspy był nadzwyczaj trudny; tylko ludzie, znający miejscowość doskonale, mogli się do niej przedrzeć wąską ścieżynką, brodząc w wodzie, zapadając po kolana w bagna. Dzięki temu, pozycya ta była nadzwyczaj trudną, prawie niepodobną do wzięcia przez nagły napad; tylko

¹⁾ Do historyi oddziału Trąbczyńskiego, posiadaliśmy materiały następujące: *Br. Deskur*, «Pamiętnik». «Niepodległość» No 1 z d. 14 lipca (raport Trąbczyńskiego o oblężeniu «Płaskiej góry» *Z. Kolumna*, «Pamiętka dla rodzin polskich», Dodatek (życiorys Trąbczyńskiego), *N. Berg*, «Polskoje wozstanie» III, 255 i nast. «Żurnal wojennych dziełstw» Nr 30. Wreszcie notatki rękopiśmienne w naszych zbiorach.

²⁾ Szczegóły o nim, acz pełne błędów, czytać można w «Pamiętce dla rodzin polskich». Dodatek p. 45.

formalne oblężenie i ostrzeliwanie mogło zmusić do poddania się znajdującą się tam załogę.

Tutaj to Trąbczyński postanowił rozbić obozowisko powstańcze, tu ćwiczyć swych żołnierzy i czekać na broń przybiecaną z Prus. Przypuszczając jednak możliwość oblężenia, zaopatrzył się w znaczne zapasy żywności, kaszy, mąki, sucharów, słoniny, naboju, prochu, ołowiu i broni siecznej, przeważnie kos. Ponieważ kępa Płaska góra, oddzielona była wodami stawu od strony zachodniej załedwie na pięćset kroków odległości od lądu, co narażało ją w razie ataku nieprzyjaciela na zasypanie pociskami nie tylko z dział, ale i z karabinów, wreszcie w razie spuszczenia wody, a tem samem osuszenia bagien, przystęp do niej stawał się łatwym, więc dowódca polski postanowił ją z tej strony zabezpieczyć szansem ziemnym, co też w rzeczy samej uskutecznił. Prócz tego dla niepokojenia nieprzyjaciela, oblegającego wyspę, oddzielił około 40 ludzi, w części uzbrojonych w broń palną, w części w kosy, pod komendą porucznika Bogusławskiego, i instrukcją, aby nieustannie krążył dokoła obozu i w razie ataku nieprzyjaciela, niezwłocznie uderzył na jego tyły. Nie dość na tem, uwiadomił, jakśmy rzekli, dowódcę Jasińskiego, zamierzającego schronić się za Bug, o swoim położeniu, wzywając go, aby się zbliżył pod Drażdżewo i w danym razie zajmując tyły nieprzyjaciela, albo go rozbił, albo zmusił do zaniechania oblężenia. Po oddzieleniu Bogusławskiego, Trąbczyński posiadał pod bezpośrednią swoją komendą na wyspie 103 strzelców i 93 kosynierów.

Najbliższa obozowiska powstańczego załoga rosyjska, znajdowała się w Przasnyszu. Stał tam z dwoma kompaniami pułku Niżegorodzkiego piechoty, pułkownik Gorielow, ten sam, który już raz bił się w Drażdżewie z Padlewskim, wzmocniony prócz tego kilkudziesięciu kozakami. Ku końcowi czerwca wyruszył on z Przasnysza, nie wiemy w jakiej sile, ale zapewne niewielkiej, gdyż właściwie nie miał on wytkniętego celu, lecz jedynie zamierzał tu i owdzie ukazać się, przepętać czy gdzie powstań-

ców niema, najeść się i napić do syta po różnych dworach szlacheckich, a jeśli się da, obłowić jaką zrabowaną zdobyczą, jak to w tej porze większość komendantów rosyjskich czyniła. Otóż w czasie tej swojej włóczędzy, dowiedział się od jakiegoś zdrajcy o obozowisku polskim na Płaskiej górze. Dostawszy „z wielkim trudem“ (jak opowiada w swym raporcie) przewodnika w osobie jakiegoś kolonisty Niemca, zbliżył się pod Płaską górę. Tu natknął się na 40 ludzi Bogusławskiego i oczywiście pokonał go zupełnie, ale ujrzawszy ufortyfikowane obozowisko polskie, po zamianie kilkudziesięciu strzałów, widząc niemożność z temi siłami, jakie posiadał, zdobycia go, ruszył z powrotem do Przasnysza¹⁾.

Gorielow cofnąwszy się, nie omieszkiał natychmiast uwiadomić wszystkich załóg sąsiednich rosyjskich, o pobycie powstańców na Płaskiej górze. Zajęto się więc przygotowaniem wielkiej wyprawy. Z Przasnysza, Ostrołęki i Płońska miały wyruszyć jednocześnie trzy kolumny, liczące w ogólności około 1700 ludzi i przewagą liczby i broni, zniszczyć oddział polski. Najdłuższą drogę miała kolumna Płońska, którą dowodził pułkownik kozacki Wałujew, znany nam już z krwawego i doszczętnego wyłączenia oddziału Steinkelera pod Podosiem i bojów z partią Padlewskiego. Ale pułkownik Riediczkin, któremu oddano naczelną komendę nad tą wyprawą, nie chciał czekać na Wałujewa, a może dzielić się z nim laurami łatwego, jak

¹⁾ Gorielow w raporcie swym podaje same fałszy. Powiada on, że na lądzie były barykady w trzy rzędy, których broniło 200 ludzi; że barykady te «po długim boju» zostały zdobyte, a «banda» broniąca ich, cofnęła się na wyspę, zostawiwszy tylko 40 ludzi, jakoby «dla osłony», barykad. Kłamstwo tu wyraźne, bo skoro barykady zdobył Gorielow, to cóż mieli osłaniać owi 40 ludzie? Tych 40 (mówi dalej Gorielow) schwytano, a w zdobytych barykadach znaleziono dwa żywe woły i znaczne zapasy żywności i prochu. O wszystkim tem Trąbczyński w swym raporcie («Niepodległość» Nr 1) nie mówi, gdyż żadnych barykad na lądzie nie było, i starcie z Gorielowem nie miało znaczenia, stracono tylko niepotrzebnie oddziałek Bogusławskiego.

sądził, zwycięstwa, tylko ściągnawszy z Przasnysza i Ostrołęki, 5 kompanii piechoty, setkę kozaków, szwadron hużarów Pawłogradzkich i dział 4 artylerii polowej, ogółem około 1300 bagnatów i szabel, ruszył ku Drażdżewu. Trąbczyński o marszu kolumny rosyjskiej został uwiadomiony przez organizację cywilną, już d. 26 czerwca wieczorem. Począł się więc przygotowywać do obrony, a nadewszystko zajął się gorliwie wzmocnieniem usypanych szańców. Pracowano nad tem całą noc i nazajutrz d. 27 czerwca, już o godz. 4-ej rano, ujrzano nieprzyjaciela, który zaraz rozpoczął ogień działowy. Riedieczkin pod jego zasłoną zrekonoskował położenie wyspy i starał się otoczyć ją dookoła. Manewr ten ukończono koło godz. 10-ej rano z wielkim trudem, gdyż dla przeprowadzenia dział, musiano zrobić kilka wyrębów w lesie, a chcąc się dostać do wyspy zburzyć tamę i szluzę otworzyć. Nim to jednak uskutecz-niono, zeszedł cały dzień, przez który obsypywano kępę nieustannie ulewą pocisków działowych i karabinowych. Powstańcy z niewielkiej ilości swej broni palnej, odpowiadali dość słabo, ale zasłonięci szańcami ponieśli bardzo małe straty, gdyż mieli zaledwie jednego zabitego i 4-ch ranionych, i to tylko dlatego, że nieostrożnie wysunęli się z poza wału. Riedieczkin, gdy noc zapadła, rozłożył się na swej pozycji obozem, a w schronisku powstańcem skorzystano z chwilowej ciszy, by wzmocnić szańce, uszkodzone przez ogień działowy. Pracowano całą noc i nazajutrz, d. 28 czerwca, nieprzyjaciół spuścił wodę ze stawu, jak mógł najbliżej podsunął się pod wyspę i równo ze świtem rozpoczął znowu ogień karabinowy i armatni. Była to niedziela i powstańcy około południa, t. j. w chwili, gdy po kościołach odbywa się uroczyste nabożeństwo, wśród huków dział, świstu kul, grzechotu pękających granatów, zaśpiewali znany horal Ujejskiego: „Z dymem pożarów“. Pomimo słabego wogóle i niedalekonośnego ognia powstańczego, nieprzyjaciół nie próbował wzięcia szturmem wyspy, ale poprzestawał na gwałtownem jej ostrzeliwaniu. Ogień ten jednak nie wiele szkodził partyzantom; zasłonięci szań-

cami stracili w tym dniu zaledwie jednego żołnierza. Noc nie przerwała ognia, który Riedieczkin ciągle, z nieogłędną rozrzutnością, utrzymywał, tak że powstańcy chcąc się dostać do swych składów żywności, umieszczonych na najwyższym punkcie kępy, musieli w nocy kopać rowy, by pod ich osłoną przemykać się do tych zapasów. Ogień trwał ciągle i nazajutrz, d. 29 czerwca, gdy Riedieczkinowi poczęło brakować naboju, postanowił on taranowym szturmem zdobyć wyspę tak długo obleganą i tak walecznie bronioną. Około godz. 11-tej więc rano, żołnierze jego, rozebrawszy się prawie do naga, tylko z karabinami w rękach, ruszyli do szturmów przez grzązkie błota, brnąc w nich po kolana. W takich warunkach rozpaczliwy ten atak, nie mógł być ani metodycznie, ani szybko prowadzony, a przytem Trąbczyński zgromadził w zagrożonym punkcie trzy czwarte swych sił, a mając przed sobą nieprzyjaciela na doniosłość broni myśliwskiej, w którą większość jego strzelców była uzbrojona, zasypał go gradem pocisków, które krwawe szczyrby czyniły w szeregach szturmujących. Wśród tego nagle odezwały się sygnały rosyjskie do odwrotu. Żołnierz zagrzebany w błocie z trudnością się cofał rażony kulami powstańców i w tym odwrocie Riedieczkin poniósł największe straty, miał bowiem 38 zabitych i 80 ranionych (jeżeli wierzyć można doniesieniom polskim). Zgromadziwszy nakoniec swe siły, pospiesznie uchodzić począł.

Powodem tego nagłego odwrotu, była wiadomość o zbliżaniu się znanych kolumn powstańczych. Dąbkowski i Jasiński usłuchali wezwania Trąbczyńskiego, i odbywszy dość forsowny marsz z poza Narwi, ukazali się w stanowej chwili na tyłach Riedieczkina i zmusili go do pospiesznego i dość bezładnego odwrotu. Wieść, jak zwykle przesadzona, twierdziła, że obaj ci dowódcy prowadzą przeszło 1500 ludzi, wobec czego Riedieczkin, zagrożony z jednej strony przez Trąbczyńskiego, pozbawiony kartaczowego oddechu dla swych dział i do karabinów naboju, które do cna wystrzelał przez trzydniowe usiłowania

koło Płaskiej góry, nie widział innego dla siebie ratunku, jak śpieszny i wstydlivy odwrót.

Ale i powstańcy nie mieli tu już co robić. Staw Drądzewski był spuszczoney i nie dawał pierwotnej osłony, szanice do połowy zburzone, a nadewszystko tajemnica Płaskiej góry nieprzyjacielowi znana. Lada dzień może on wrócić ze znacznie większymi siłami, otoczyć obóz polski i w ostateczności zmusić głodem do poddania. W tych warunkach schronisko Drądzewskie stawało się istną pułapką i rozsądek nakazywał opuścić je jak najspieszniej. Tak też uczynił Trąbczyński. Zaraz po odwołaniu Riedieczkina wyruszone w pochód. Jasiński i Dąbkowski powrócili w Łomżyńskie, a Trąbczyński w okolice Rożana. Dzięki temu wczesnemu wycofaniu się z Drądzewa, uniknęli starcia z Wałujewem, który nakoniec nadciągnął z Płońską, ale już powstańców nie zastał i odpocząwszy sobie nieco, zasygnalizował językiem o zaszłych tu walkach, uznał za stosowne jak najprędzej zawrócić na swe stałe leże.

Trąbczyński tymczasem maszerując ku Rożanowi, miał zamiar połączyć się z oddziałem Wawra, o którym powiadano, że się w tych stronach znajduje. Wawer, zowiący się właściwie Konstanty Ramotowski, niegdyś był według jednych podoficerem, według innych porucznikiem „Czwartaków“ w 1831 r. i ówczesna kampania, oraz późniejsza służba francuska w Algierze, była jego szkołą wojkową. Na pamiątkę zapewne heroicznego boju pod karczmą Wawerską, przybrał ten pseudonim, przypominający mu dni chwały polskiej. Z armią polską poszedł na obczyznę, służył w legii zagranicznej w Algierze, ożenił się z Francuzką, i jak się zdaje, za amnestyą w r. 1857 wrócił do kraju i osiadł u brata, właściciela niewielkiego mająteczku w powiecie Rosieńskim, tuż na granicy Augustowskiego. Tu go zastało powstanie i porwało za sobą jak wielu innych. Acz już niemłody i z głową siwizną przypruszoną, zwany nawet przez podkomendnych „naszym starym“, był to człowiek niepozbawiony zdolności i należy go uważać za jednego z najlepszych dowódców powstania. Pierwotnie

służył on w oddziale Zameczka, potem Padlewskiego, ale już w początkach marca otrzymał rozkaz udania się w Łomżyńskie i sformowania nowej partii powstańczej¹⁾. W tym celu założył on obozowisko w lasach pod Komorowem, w tem samem miejscu, gdzie w parę miesięcy później Mystkowski tak szczęśliwą uczynił zasadzkę na kolumnę rosyjską. Powoli, dzięki temu, że ściągali doń rozbitkowie z oddziału Padlewskiego i innych, wzrósł on w siłę 200 ludzi, ale po większej części zbieraniny niekarnej, zdemoralizowanej poprzednimi porażkami i lichu uzbrojonej w połowie w broń palną (przeważnie pojedynki myśliwskie), a w połowie w kosa, podzielonej na dwie kompanie piesze i 10 koni jazdy. Ramotowski unikając starcia z nieprzyjacielem, kręcił się z miejsca na miejsce i około d. 25 marca obozował we wsi Borowe, w pobliżu Ostrołęki. Tutaj otrzymał wiadomość, że z miasteczka Sokoły wyruszyła wyprawa nieprzyjacielska w celu poszukiwania powstańców pod wodzą majora Zassa i natrafiła na ślad pochodu Wawra. Wobec niemożności stawienia jej czoła, postanowił rzucić

¹⁾ Do kampanii Wawra-Ramotowskiego posiadaliśmy materiały następujące: 1) relacją rękopiśmienną p. *Tadeusza W.* dowódcy kosynierów w oddziale Wawra, znajdującą się w naszych zbiorach. 2) Relacją rękopiśmienną p. *Zdzisława R.*, którzy przeszedłszy w Augustowskie z Grodzieńskiego, z jedną z drobnych partii, służył w kawalerii u Wawra. Rękopis w naszych zbiorach. Prócz tego mieliśmy liczne urywkowe notatki od osób, które albo służyły u Wawra, albo były w możliwości posiadania dobrych informacji. Ze źródeł drukowanych korzystaliśmy z następujących: 1) *Rafała Błońskiego* „Pamiętnik z Augustowskiego“, pomieszczony w dziele *A. Gillera*, „Polska w walce“, II, 320 i nast. 2) „Wiadomości z pola bitwy“ Nr 8 (z d. 20 kwietnia), No 11 (z d. 9 maja i 1 czerwca). 3) „Niepodległość“, No 3 (z d. 3 sierpnia). 4) *N. Berg*, „Polskoje wozstanie“ III, 99 oraz 257 i nast. (podania bardzo balamutne i bez dat). „Żurnal wojennych dziejstw“ (numery z kwietnia, maja, czerwca i lipca). 5) *Pawłiszczew*, „Siedmicy“, II, 134, 144. 6) *Emil Sayn-Wittgenstein* „Souvenirs et correspondance“ II. 110 i nast. (relacje kłamliwe i pełne chępliwości niesmacznej). Przewertowaliśmy wreszcie dzienniki ówczesne tak polskie, jak i rosyjskie, które zwłaszcza ze względu na ustalenie dat, posiadają znaczenie.

się w lasy Augustowskie, zwłaszcza, że otrzymał od Tymczasowego Rządu narodowego nominacją na dowódcę siły zbrojnej południowej części rzeczonoego województwa, oraz rozkaz, aby niezwłocznie się tam udał i ożywił ospale wiedzioną walkę, zgromadził ludzi oczekujących jakoby na pojawienie się jakiej takiej partyi zbrojnej.

W tej części kraju organizacja powstańcza była bardzo słabo przeprowadzona i wogóle, od Narwi aż po Augustów w tej dobie panowała zupełna cisza, którą należało koniecznie przerwać i napełnić gwarem wojennym. Zadanie to miał spełnić Wawer i dlatego, zagrożony w Borowie, wyprawą rosyjską, puścił się d. 25 marca w swój daleki i niebezpieczny marsz. Przez wysłanych naprzód gońców, na różnych etapach swego pochodu, kazał przygotować podwody, dzięki czemu posuwał się szybko, tak że w ciągu jednego dnia i nocy, ominąwszy boki Łomżę, stanął przed świtem w Nowogrodzie. Nieprzyjaciel ścigał go uparcie, przeważnie jazdą, tak, że zaledwie Wawer przeszedł Narew, kozacy już się ukazali. Dla zyskania choć chwilowego odpoczynku spalono most na Narwi, zaś na Piśnie tylko w części go rozebrano, gdyż nadbiegła piechota nieprzyjacielska, zajęła Nowogród i przez pół dnia strzelała z za rzeki do powstańców, ale bez żadnego skutku z powodu znacznej odległości. Zass potem zawrócił, ruszył do Ostrołęki w tym jakoby celu, ażeby przeszkodzić Wawrowi przedostania się w Pułtuskie, o czem ten nie myślał, ale odpocząwszy sobie pół dnia puścił się dalej na Dobrylas i Korzeniste (gdzie zaopatrzył się w żywność, odzież, obuwie i nieco broni palnej) pomaszerował dalej ku wschodowi i d. 30 marca stanął w Przytułach, okrążywszy zupełnie Łomżę i silny w niej garnizon rosyjski. W Przytułach przekonał się, że nieprzyjaciel ma go ciągle na oku, gdyż ukazali się kozacy, a za nimi piechota. Była to kolumna, wysłana z Łomży na wieść o pojawieniu się w tych stronach powstańców, pod wodzą asawuły kozackiego Matniejewa, złożona z jednej kompanii pułku Sofijskiego piechoty i 80 kozaków i obeszczyków. Wskutek

tego Wawer pomaszerował dalej do Białaszewa, gdzie Matniejew dopadł go nazajutrz rano, d. 31 marca. Zasłoniwszy się tylną strażą z kilkunastu młodych ludzi złożoną, która zamknąwszy się w zabudowaniach dworskich, bohaterski opór stawiała i powstrzymała nieprzyjaciela ¹⁾, wycofał się szczęśliwie i ruszył do Ossowca.

Jak dotąd marsz Wawra był znakomicie, szybko i energicznie wykonany, co świadczy o jego zdolnościach militarnych. Puściwszy się z Borowa wylotem na północ, przesunął się jednym skokiem między Ostrołęką i Łomżą, gdzie stały załogi rosyjskie, przeszedł Narew pod Nowogrodem i zataczając wielki łuk nad Łomżą, mając ciągle nieprzyjaciela na karku, w ciągu pięciu dni dotarł do Ossowca, zrobiwszy jakieś kilkadziesiąt mil drogi. Wprawdzie większą część tego marszu odbył na podwodach, ale nie zapominajmy, że to była zima, acz łagodna, ale teraz, ze zbliżającą się wiosną mokra i dżdżysta, że drogi były

¹⁾ Oto jak opowiada o tem relacya rękopiśmienna p. Tadeusza W.: «dwór w Białaszewie był oddalony, nie więcej jak 60 do 80 kroków od lasu, a wjeżdżało się przez bramę, stojącą między dwoma budynkami drewnianymi. W tych budynkach była ulokowana sekcya deżurna, składająca się z kilkunastu ludzi. Naczelnik siadając na konia, aby jechać formować partyę, rozlokowaną na wsi, dał rozkaz, aby sekcya służbowa pozostała w zajmowanych budynkach i starała się jak najdłużej powstrzymać wojsko, a zawiadomić kiedy będą mogli opuścić to stanowisko. Rozkaz był spełniony z wszelką dokładnością. Sekcya przez godzinę wytrzymała ogień całej roty, chociaż w niej nie było ani jednego, któryby kiedy proch wachał i nie dopuściła, aby choć jeden żołnierz wyszedł z lasu, chociaż tutaj zapewne więcej działał strach, jak skutki strzałów powstańczych, które chociaż dawane dosyć gęsto, ale ze złej broni, na kroków 80, zaledwie przypadkiem mogły kogo pokrzywdzić. Jednakże, gdy czas upływał, amunicya się kończyła, część obecnych była rannych, a dwóch zabitych, a rozkaz do cofania się nie nadchodził, zaczęto szemrać co robić. Pewien młody człowiek, nawet adyutant Ramotowskiego, który został z własnej ochoty, dlatego, że widział większe niebezpieczeństwo, a siedział na dobrym koniu, wobec tak krytycznego położenia, ofiarował się pojechać na wywiady, boć bez rozkazu trudno było opuszczać stanowisko, wrócił za chwilę z wiadomością, że partyi już nigdzie nie ma, wyszła w lasy, znajdujące się po drugiej stronie wsi.

zepsute i grzaskie, że żołnierz był źle odziany, źle uzbrojony, zdemoralizowany poprzednimi porażkami, niekarny i nieprzyzwyczajony do tak nagłego i wyczerpującego nateżenia sił fizycznych. Skoro więc Wawer tyle trudności pokonał, to zawdzięczał to swej energii, przezorności i talentowi wojskowemu, jaki posiadał. Jeżeli atoli dotąd wódz polski zasłużył na same pochwały, to teraz popełnił on wielki błąd, który mógł ciężko odpokutować, gdyby go znów nie wyratowała jego energia, przytomność i pomysłowość. W Ossowcu bowiem, gdzie stanął tegoż d. 31 marca między godziną 4 a 5ą popołudniu, powziął nieszczęśliwą myśl, aby przejść Biebrzę, zniszczyć na niej przeprawy i tym sposobem uwolniwszy się od pościgu nieprzyjaciela, wycinkiem gubernii Grodzieńskiej dostać się do wielkich lasów Augustowskich. Droga tędy była znacznie krótsza, jeden dobry marsz załedwie, ale Wawer nie zna-

Dłużej czekać nie można było, z wyjątkiem zabitych sekeya służbowa, pod osłoną budowli gospodarskich, szczęśliwie się stamtąd wy dostała i w parę godzin dopędziła partyę. Okazało się, że naczelnik wydał rozkaz zawiadomienia sekeyi służbowej, aby się z niebezpiecznej pozycyi wycofała, lecz go niezrozumiano. Wojsko, przewidując zasadzkę, gdy powstańcy przestali strzelać, jeszcze więcej godziny strzelało, zanim się zebrało na odwagę wejść między zabudowania. Lecz wtenczas odemścili za wszystko. Obywatela (Swiderskiego Kaliksta) i jego syna zbili i poranili, córkę (Wespazya) zabili, a wszystkie zabudowania obrócili w perzynę. Ramotowski zawsze trzymał się zasady, aby jak najmniej narażać na zemstę miejscowych mieszkańców, tym razem mu się to niepowiodło, lecz był zaskoczony zbyt nagle i mógł stracić całą partyę».

W «Wiadomościach z pola bitwy» No 8, czytamy, że w Białoszewie zginął Henryk Komornicki z Wołynia, «który ucieklszy z Syberyi, załedwie przed paru dniami wstąpił do oddziału. Waleczny ten młodzieniec, wspierany przez towarzysza, który mu strzelbę nabijał, po dwóch danych przez siebie strzałach, padł ugodzony kulą w czoło. Drugim zabitym był Wawrzeniec Cieśliński cukiernik. Rannych mieliśmy 8».

Matniewicz w swym raporcie powiada, że «atakował folwark i wyparł z niego powstańców. Część rozbiegła się w najbliższym lesie, a druga po upartej obronie w budynkach poległa». Jak widzimy, Matniewicz zwyczajem komendantów rosyjskich, kłamał znakomicie.

jąc miejscowości, nie wiedział, że ta część Grodzieńskiego całkiem pozbawiona jest lasów i co gorsza nie posiadała organizacyi powstańczej, któraby znużonym i wyczerpanym wojownikom polskim rękę podać i opieką otoczyć ich mogła. To też gdy Wawer przeszedł Biebrzę i promy za sobą zatopił, znalazł się nagle wśród rozległej, bezleśnej, smutnej, niczem nierozweselającej oka znużonych straceńców, płaszczyzny. Przenocowawszy w Downarach i odbywszy tu dniówkę, konieczną dla dodania sił swym podkomendnym, wieczorem d. 2 kwietnia, doszedłszy do wsi Górcze, został opadnięty przez kozaków, za którymi wdali posuwała się na podwodach piechota, która uwiadomiona przez Matniewa o marszu w te strony powstańców, wyruszyła była ze Szczuczyna w liczbie około 500 bagnetów i szabel pod wodzą majora Dewela¹⁾. Ten część kozaków wysłał prawym brzegiem Biebrzy, a z resztą swej kolumny, przeprawiwszy się śladem Wawra pod Ossowcem, dopadł powstańców pod Górcem. Kozactwo rozrzucając się po obu stronach maszerującej kolumny polskiej, w takiej odległości, aby ich strzały razić nie mogły, samo nieustannie dawało ognia ze swoich gwintówek, wprawdzie niezbyt celnie, jednakże niejednego ranili i zabili. W oddziale zaś powstańczym nie było ani jednej sztuki broni, z której kula mogłaby ich dosięgnąć. Na koniach oprócz samego Wawra, było już wtenczas tylko dwu, reszta bowiem kawalerii zagubiła się w tym długim i uciążliwym marszu. Kozacy więc mogli bezpiecznie dokazywać. Cały dzień i część nocy trwał ten pochód pod ogniem nieprzyjacielskim, bez możności zatrzymania się dla wypoczynku lub posiłku; kto stracił siły i nie mógł iść, ginął mordowany bez litości przez kozactwo. Na szczęście, piechota rosyjska, jadąca na furmankach, nie mogła żadną miarą powstańców dopędzić, gdyż ci porzucili drogę i szli polami, którędy

¹⁾ W kolumnie Dewela było 243 ludzi z pulku Symbirskiego piechoty, czyli jedna kompania (rota), 100 kozaków i 150 objeszczyków brygady Wierzbolowskiej, a więc razem 493 bagnetów i szabel.

furmanki iść nie mogły, a mając dobrych przewodników, choć po noccy trafili do Suchowoli, gdzie poznosiwszy mosty przy młynie, uwolnili się od pościgu, a czas był wielki, gdyż nikt już dalej maszerować nie był w stanie, zrobiwszy w ciągu 24 niespełna godzin około 10 mil drogi błotnej i grzązkiej¹⁾. To też doba ta, spędzona w gub. Grodzieńskiej, była dla oddziału zabójczą, przeszedłszy Suchowolę znalazł się on w gorszym stanie, jak wtenczas gdy z pod Borowa wyruszył. Nieustanny marsz, niewywezas a ostatecznie brak żywności, której rekwirować nie można było, z powodu wieszającego się nad partją kozactwa, doprowadził ją do zupełnego prawie rozkładu, i jeżeli trzymała się jeszcze kupy, to tylko dzięki energii, sprężystości i żelaznej wytrzymałości samego Wawra. Oddział w tym długim

¹⁾ O starciu pod Górcem «Wiadomości z pola bitwy» Nr 8 opowiadają, jakoby stoczono tu formalną walkę. Oto co tam czytamy: «pod Górcem tegoż dnia t. j. 2 kwietnia, dościsnięty (oddział Wawra) przez piechotę i kozaków, w liczbie około 400 ludzi, zmuszony był stawić czoło na czystym polu. Jakkolwiek przy pierwszych strzałach, zamieszanie wkradło się w nasze szeregi, lecz przy dzielności i nieustraszonej przytomności dowódcy kompanii Grzymala, dowódcy kosynierów Wojczyńskiego, adjutanta Rządковского i adjutanta Klimkiewicza, porządek został natychmiast przywrócony i przy trwającym ogniu z ręcznej broni, sformowani przez naczelnego dowódcę kosynierzy rzuciwszy się z głośnym okrzykiem: naprzód bracia! z podniesionymi kosami na nacierających z przodu kozaków, zupełny w ich szeregach sprawił poploch. Waletność i zapal tej garstki, przez swego naczelnika prowadzonej tak były wielkie, że ci waleczni za pierzchającymi kozakami zapędzeni, zaledwie powstrzymać się dali od dalszej pogoni, która naprowadzić ich mogła na zasadzkę piechoty moskiewskiej, w małym lasku ukrytej i ucieczkę kozaków zasłaniającej. Dzień ten był dniem wyłącznej chwały dla kosynierów i ich strasznego dla wroga oręża! Pod przykryciem ich dzielnego natarcia, oddział nasz korzystając z zamieszania i poplochu wroga, posilkując się przytem strzelcami, zdołał się zupełnie wycofać z trudnej pozycji, a potem w największym postępując porządku i wytrzymując ogień nieprzyjacielski przez 7 godzin, wroga w zupełności odparł». Wszystko to jest sztuczną przesadą; o odparciu nieprzyjaciela nie mogło być mowy. Myśmy poszli za wiarogodną relacją świadka naocznego, dowódcy kosynierów, wspomnianego już p. Tadeusza W.

pochodzie pod kulami kozactwa, stracił wielu ludzi, łągów i takich, którzy zmęczeni i zniechęceni, przy każdej nadarzającej się sposobności opuszczali szeregi. Porzucono przytem wiele broni, a ta szkoda była trudną do powetowania¹⁾. Bądź co bądź, Ramotowski przeszedłszy Suchowolę, zanurzył się w wielkie lasy Sztabińskie, w leśnictwo Balinka, które stanowiły jakby obronną twierdzę, dostępną tylko dla miejscowych mieszkańców, wśród których, dzięki wysokiemu nastrojowi ducha, żaden nie považał się być przewodnikiem dla nieprzyjaciela.

Takim był ten marsz Wawra z okolic Ostrołęki, aż do lasów Sztabińskich w wojew. Augustowskim. Z wielu względów zasługuje on na szczególne wyróżnienie i dlatego obszerniej go tutaj opisaliśmy, jako wybornie, a nawet świetnie wykonaną operacyą wojenną. Błędem w niej było tylko przejście Biebrzy i rzucenie się w bezleśną przestrzeń między Downarami i Suchowolą; lepiej było iść prawym brzegiem tej rzeki, gdzie gęste lasy, liczne strumienie i bagna zabezpieczały od zbyt natarczywego pościgu nieprzyjaciela. Błąd ten opłacił Wawer utratą połowy swego skądinąd dzielnego oddziału, ale ostatecznie cel swój, dostania się w lasy Augustowskie, osiągnął, dzięki swym niezaprzeczonym talentom wojskowym i wielkiej, a tak rzadkiej u dowódców powstańczych energii i sprężystości ducha.

W Augustowskim, dokąd Wawer po tylu trudach i przygodach przybywał, po porażce lutowej Jastrzębowski pod Czystą Budą, nie było prawie żadnego większego oddziału i powstanie tutaj wlokło się ospale, gnuśnie, bez owego rozgłosu, jaki z innych stron kraju co chwila dawał się słyszeć, czy to o klęskach, czy o tryumfach po-

¹⁾ Dewel w raporcie swym opowiada, że w czasie tego pościgu powstańców, miało ich utonąć około 60 w błotach i bagnach pod wsią Mikiszynem i że wszystkich utopionych i poległych było około 150 a 10 ranionych. Do niewoli wzięto 5, Rosyane zaś tym razem, zamiast przysłowiowego jednego kozaka, mieli tylko 2 ranionych. (Czytaj: N. Berga, l. c. III, 100).

wstańców. W końcu marca, Rząd narodowy zamianował naczelnikiem wojennym województwa Augustowskiego, Aleksandra Andruszkiewicza, dając mu stopień pułkownika. Był to dawny wojskowy polski z r. 1831, który wyszedłszy z armią polską zagranicę, należał do bardzo czynnych członków Towarzystwa Demokratycznego. Ale trzydziestoletnie pokojowe zajęcia (był bowiem konduktorem dróg i mostów we Francyi), wywietrzyły mu z głowy tę niewielką ilość wiadomości wojskowych, jakie mógł posiadać podczas kampanii 1831 r. W ogólności głowę miał nietęgą i ponad szarżyznę większości dowódców powstańczych tej doby, nie wysunął się wcale ¹⁾.

Ku końcowi marca objął on dowództwo nad niewielkim oddziałkiem, sformowanym przez niejakiego Cybulskiego i Kamińskiego w okolicy Balwierzyszek. Główną i najczynniejszą osobistością w tym oddziałku, który wkrótce doszedł do liczby dwustu kilkudziesięciu ludzi, był Kulczycki, kapitan wojsk rosyjskich, który wprowadził do partyi ład, karność i porządek ²⁾. Oddziałek ten stoczył parę

¹⁾ Do historii Andruszkiewicza mieliśmy materiały następujące: 1) *Rafał Błonski*, Pamiętnik z Augustowskiego («Polska w walce» II, 380). 2) «Wiadomości z pola bitwy» No 11. 3) Wspomniana już relacya rękopiśmienna p. *Tadeusza W.* oraz liczne notatki rękopiśmienne w naszych zbiorach. Z rosyjskich źródeł korzystaliśmy z *N. Berga*, «Polskoje wozstanie» III, 98 (pełne błędów, jak np. że w jakiejś potyczce «w lasach Poligwajce»(?) miał poledz Andruszkiewicz, co jest bajką, bo umarł on w Paryżu, dopiero w r. 1868). Korzystaliśmy też z *Pawłiszczewa*, *Siedmicy*, i dzienników ówczesnych. Przyznajemy jednak, że materiały te są niedostateczne.

²⁾ Jest to ten sam Kulczycki, niegdyś komendant 12 kompanii pułku Kostromskiego piechoty, który w d. 8 kwietnia 1861 r. w czasie strzelania do ludu na Placu Zamkowym w Warszawie, wyszedł z szeregów i oświadczył, że jest chory. Na drugi dzień zaraz potem kazano mu się podać do dymisy i został zawiadowcą stacyi Grodna na kolei warszawsko-petersburskiej. W Łapach, na tejże kolei, urządził on w r. 1862 warsztaty dla przygotowania broni siecznej dla powstania. Gdy to wybuchło, kazał przygotować pociąg nadzwyczajny i z garścią robotników w oczach załogi rosyjskiej, uzbrojony wyjechał z Grodna i dostał się do oddziału Kamińskiego.

drobnych utarczek i wreszcie w d. 1 kwietnia przybył do niego Andruszkiewicz i objął komendę naczelną. Partya liczyła wtedy 200 ludzi piechoty i 120 konnicy, uzbrojonych w broń myśliwską i kosa. Już w kilka dni potem, bo d. 9 kwietnia musiał się bić dość pomyślnie pod Sapiężyszkami. Między poległymi tutaj znalazł się Bolesław Dehnel, który w pierwszych ruchach warszawskich w r. 1860 i 1861 odegrał pewną historyczną rolę; ciężko ranny był także Kulczycki, który wzięty przez nieprzyjaciela na placu boju, odwieziony do Kowna, zmarł w tamtejszym szpitalu. Andruszkiewicz po tem starciu przeszedł w powiat Sejneński, stoczył jeszcze parę utarczek, w których rozbity doszczętnie, resztkę pozostałych przy nim powstańców rozpuścił, i odtąd sam bezpośrednio nie dowodził, kierując tylko, jako naczelnik wojenny województwa ruchami innych oddziałów, a najgłówniej oddziałem Wawra, jako w tej chwili najsilniejszym.

Takie było położenie powstania w Augustowskiem, gdy Wawer po długim, uciążliwym i krwią znaczonej marszu, przybywał tutaj i zagrzebał się w lasach, w okolicy miasta Lipska, w miejscowości zwanej Kozi Rynek. Miejscowość ta z wielu względów przypominała ową naturalną fortecę pod Dąbrową, w której Trąbceżyński tak zwycięsko odparł ataki nieprzyjaciela. Kozi Rynek było to wzgórze, otoczone ze wszystkich stron nieprzebytymi bagnami, do którego dostać się można było tylko jedną wąską ścieżką, a i ta znana była tylko miejscowym mieszkańcom. Na szczęście, mieszkańcy ci byli jak najlepiej usposobieni dla powstania i żaden z nich nie dopuścił się zdrady. Gdy Wawer rozbił tam obozowisko i wypoczywał przez cały miesiąc kwiecień po trudach swego długiego marszu, całe tłumy chłopów okolicznych przychodziły do obozu, niosąc w darze na co ich stać było. Cieszyli się oglądając wojsko polskie, ojcowie przyprowadzali swych synów i oddawali do szeregu, a niebawem zrobili Wawra sędzią swych spraw i sporów, oddawali pod jego decyzją działy majątkowe i t. p. Obozował też tu oddział polski w zupełnym spokoju i bez-

pieczeństwie, wśród głuchej puszczy litewskiej, wśród wspa-
niale rozwijającej się wiosny, nazawsze pamiętnej tym,
którzy ją widzieli w tym ponurym, w tym krwawym roku
niedoli polskiej. Napływ ochotników był znaczny. Oprócz
nowozacieżnych, ściągnęli tu rozbitki z partyi Andruszkie-
wicza i innych, tak, że w ciągu paru tygodni, Wawer ujrzał
się na czele przeszło 400 ludzi, na nieszczęście jak naj-
gorzej uzbrojonych. W całej partyi był tylko jeden ka-
rabin odcylcowy pruski, z którym zbiegł do powstania
Prusak, niejaki Szulc. Broń myśliwska, w którą uzbrojeni
byli powstańcy, w większej części paliła na panewkach,
bo obluzowane kurki nie mogły zbijać kapiszonów. To też
Wawer czekając na ciągle obiecywaną mu broń, nie ru-
szał się z ukrycia, długo opierał się namowom różnych
komisarzy i urzędników Rządu narodowego, nalegających
by przestał się bawić w Fabiusza Kunktatora, ale naciśnięty
wyraźnym rozkazem Andruszkiewicza, zdecydował się dzia-
łać, tym więcej, że otrzymał wiadomość, iż nieprzyjaciel
dowiedział się o nim nakoniec i zrobił nań wyprawę z Sejn,
pod wodzą podpułkownika Artemiewa. Uprzedzając ten
atak urządził na zbliżających się Rosyan zasadzkę w lesie
niedaleko Jastrzębna w d. 19 kwietnia, która jednak zu-
pełnie się nie udała. Parę strzałów kartaczowych, wymie-
rzonych z jedynej armaty, jaką nieprzyjaciel ze sobą pro-
wodził, rozproszyło doszczętnie powstańców. Mimo to je-
dnak komendant rosyjski nie ośmielił się zapuszczać za
rozbitkami w gęstwinę puszczy Augustowskich i cofnął się
pospiesznie, twierdząc głośno, że ucieczka „buntowników“,
to manewr, by jego oddział wciągnąć w dalszą zasadzkę.
Straty powstańców były mało znaczące, a rozproszeni nie-
bawem ściągnęli się w kryjówkę Koziego Rynku. Wawer
jednak opuścił tę miejscowość, znaną już nieprzyjacielowi,
nieustannie kręcił się teraz między Augustowem a Sej-
nami. Dla zabezpieczenia się zaś od nagłego napadu, od-
dzielił od swej partyi stu najlepiej uzbrojonych ludzi, i od-
dał ich pod dowództwo Juliana Hłaski, Litwina, z Gro-
dzieńskiego rodem, z tem poleceniem, ażeby marsze swe

stosowali do ruchów głównego oddziału. Hłasko jednak
dość niefortunnie operował, tak że ku końcowi maja zna-
lazł się ze wszech stron otoczonym przez nieprzyjaciela,
który w znacznej sile (podobno 9-é kompanii piechoty i stu
kilkunastu jazdy) wyruszył z Sejn przeciw powstańcom.
Wawer uwiadomiony o opalach, w jakich znajdował się
Hłasko, podążył mu na pomoc i d. 21 maja w lasach pod
wsią Kadyszem natknął się na wązkiej drożynie leśnej na
jedną z kolumn nieprzyjacielskich, złożoną z 2 kompanii
piechoty i plutonu huzarów Sumskich, pod wodzą kapitana
Kułakowa. Po zamianie obustronnej kilku strzałów, kosi-
nierzy żwawo rzucili się naprzód i przed ich atakiem nie-
przyjaciel poszedł w rozsypkę, zostawiwszy na placu kilku-
dziesięciu zabitych i ranionych, swój tabor i kilkadziesiąt
karabinów¹⁾. Ponieważ spotkanie to odbyło się o zacho-
dzie słońca, więc pościg był niemożliwy, a przytem Wa-
wer wiedząc, że oprócz kolumny rozbitej pod Kadyszem,
znajdują się w tej okolicy jeszcze znaczne siły nieprzyja-
cielskie, lękał się nowego spotkania, więc cofnął się po-
spiesznie w głąb lasów Augustowskich, gdzie wobec przy-
chylności ludu miejscowego mógł być spokojnym, że nie
zostanie nagle zaskoczonym. Jakoż cały blisko miesiąc
przebył w tych lasach, wzrastając ciągle w siły, zwłaszcza,
że niektóre oddziały rozbite, jak Suzina i Kołyski, ścią-
gnęły do niego, tak że w ostatnich dniach czerwca liczył
około 600 ludzi. Była to kolumna nieco zaciężka do par-
tyzantki i raz pokonana narażała powstanie w Augustow-
skiem na stanowczą i niepowetowaną klęskę. Przedsta-
wiano to Wawrowi, radzono mu, żeby oddział podzielił na
kilka części, ale on słuchać o tem nie chciał, marzył już
o rozpoczęciu operacji na wielką skalę, o przemianie swej
ruchawki na wojsko regularne. Był to błąd, zwłaszcza, że
tak znaczny oddział miał wyłącznie na siebie zwrócone

¹⁾ Nie przeszkadzało to wcale Kułakowowi donieść w raporcie
urzędowym, że „buntowników rozproszył i ścigał ich na przestrzeni
30 wiorst“; że „stracił 5 zabitych i 8 ranionych“; że „buntownicy
stracili przeszło 100 ludzi“.

oczy nieprzyjaciela, który koniecznie dążyć musiał do tego, by to liczne zebranie powstańców za jednym zamachem pokonać. A przytem była wielka trudność w wyżywieniu tak dużej partii, kryjącej się w głębi rozległych lasów, tak że żywność nieraz z odległości pięciu mil ściągano.

Właśnie w tej porze, w końcu czerwca, wobec nieudolnie prowadzonej walki z powstaniem w Augustowskiem, zaszły zmiany w naczelnym zarządzie tą częścią kraju. Do Warszawy, do W. ks. Konstantego dochodziły wiadomości przesadne o sile powstańców, których obliczano na 10 do 12 tysięcy zbrojnych. Porażki haniebnej pod Kadyszem nie zdołano ukryć, a przyznając się dla jej usprawiedliwienia prawiono szeroko o przynębiającej przemocy powstańców. O Wawrze dziwy opowiadano, że w całym Augustowskiem ma wielkie znaczenie, że rozkazy jego otwarcie obiegają po stolicy gubernii, Suwałkach, a co gorsza są ściśle wykonywane; że w mieście panuje powszechna opinia, jakoby pobyt Rosyan tutaj, był kwestyą kilku dni zaledwie; że kobiety przysięgały: „jak Wawra Kocham“; że wskutek оголошення granicy ze straży, żydzi na wielką skalę prowadzili kontrabandę; że komunikacja z Grodnem z jednej, a Łomżą z drugiej strony przerwana; że telegraf bywa co noc zrywany, a poczta codziennie rewidowana. Wszystkie te wiadomości najoczywściej przesadzane, świadczyły wszakże o jednym, t. j. że się źle dzieje w Augustowskiem. Wobec tego W. ks. Konstanty postanowił oddać naczelne dowództwo w tej gubernii, księciu Emilowi Sayn-Wittgenstein-Berleburg, znanemu nam ze swych działań na Kujawach, pyszałkowi i letkiewiczowi, świeżo ośmieszonemu swym wojowniczym aparatem na Pradze, gdzie pomimo przygotowań komedii nie było, ale ustosunkowanemu wielkiemu panu, kobiecieciarzowi, przez też kobiety popieranemu. Przyjechał on do Suwałk w ostatnich dniach czerwca, przywiózł ze sobą wybornego kucharza, którego odziedziczył po byłym Dyrektorze Komisji Spraw wewnętrznych, Kellerze, otrzymał znaczną zapomogę w pieniądzech (800 rub. na koszt urzędującego się, i 180 rub.

miesięcznie na koszt reprezentacji, oprócz pensyi), a na-dewszystko oddano mu w ręce nieograniczoną władzę nad mieniem i życiem mieszkańców. Tu książątko niemieckie, zrujnowane życiem hulaszczem, ten głupiec zarozumiały i próżny, postępował w Suwałkach jak satrapa, jak han tatarski. Gubernatorowi cywilnemu, zacnemu Korytkowskiemu, wybornemu administratorowi, człowiekowi osiwi-łemu w pracy i na usługach kraju, kazał ustąpić z mieszkania i sam je zajął i wołał: „gdybym uznał za stosowne powiesić Korytkowskiego, powiedziano by mi: dzięki! tak odczuwaną jest potrzeba środków energicznych“. Zaraz na początku swych rządów, kazał na wzór konwencyonistów francuskich, depczących rokosz wandejski, wycinać lasy po obu stronach dróg, w czem niebawem miał znaleźć gorliwych naśladowców w Murawiewie i Bergu. Ogłosił publicznie, że zapłaci sto rubli, kto mu wskaże sprawcę zerwania telegrafu, by takiego „złoczyńcę“ powiesić na miejscu. Do wojska wydał rozkaz dzienny, zalecając surowo, by atakowało i pokonywało wszędzie, gdzie spotka nieprzyjaciela, „który ośmielił się podnieść broń przeciw Cesarzowi“; że obowiązkiem wojska jest karać zdrajców i przywrócić pokój i bezpieczeństwo, „w tym nieszczęśliwym kraju, wystawionym na wojnę domową, morderstwa i ruinę“. Groził, że surowo karać będzie rabunek, nadużycia i nieposłuszeństwo. Na rogach ulic w Suwałkach kazał poprzylepiać ogłoszenia, że kto rozpowszechni fałszywą pogłoskę, dotyczącą operacji wojskowych, zapłaci za pierwszym razem 30 rubli nawiązki, za drugim 60 rubli, a za trzecim oddany pod sąd wojenny, jako emisaryusz stronnictwa rewolucyjnego. Połowa tej kary wręczona będzie w nagrodę temu, kto o tem doniesie, a połowa rodzinom chłopów „powieszonych przez buntowników“. Ten, który przy pomocy gróźb, będzie usiłował przeszkodzić takiej denuncyacji, zapłaci 50 rubli nawiązki, i oddany zostanie pod sąd wojenny, „jako agent t. z. komitetu centralnego“. Z miasta zabronił wywozu żywności i owsa, tak że odrazu ceny spadły niesłychanie. Nosił się z myślą utworzenia

oddziału przebranego za powstańców, któryby przebiegał lasy i starał się szkodzić wszelkimi sposobami ruchowi polskiemu, ale rzecz ta nie przysłała do skutku, gdyż, jak się zdaje, odrzucono ją w Warszawie.

Siły, jakimi Wittgenstein rozporządzał w Augustowskim, w stosunku do powstańców, były bardzo znaczne. Posiadał bowiem 23 kompanie piechoty, 600 ludzi straży celnej pieszej, 4 szwadrony huzarów, 300 kozaków, 700 objeszczyków i 8 armat, ogółem blisko 5000 bagnetów i szabel. Siły te rozstawił w czterech punktach: w Augustowie, Seynach, Suwałkach, Kalwarii i Rajgrodzie. Garnizony Seyn, Suwałk i Augustowa, miały rozkaz wysyłania kolejno kolumn ruchomych, któreby przebiegały kraj, śledziły powstańców i utrzymywały stałą komunikację z jednej strony z Łomżą, z drugiej z Kownem. Mimo tak przeważnych sił dowódcy rosyjscy lękali się Wawra i z nieufnością poglądali na zamiary Wittgensteina ostatecznego stłumienia w tej części kraju powstania. Sam on z pewną obawą przystępował do operacji przeciw wodzowi polskiemu. Operacja ta polegała na zwykłej taktyce kendantów rosyjskich, ażeby otoczyć powstańców dokoła i zgnieść ich doszczętnie. Z dotychczasowej historii tej wojny wiemy, że plan taki nigdy się nie udawał w zupełności; nie udał się i tym razem, jakkolwiek do pomocy został wezwany garnizon z Grodna. Wawer w tej porze, w końcu czerwca, obozował w Sejneńskim, mając w straży tylnej Hłaskę z niewielkim oddziałkiem. Otóż Wittgenstein dowiedziawszy się d. 23 czerwca z depechy telegraficznej, wysłanej z Kowna przez tamtejszego gubernatora hr. Bobrińskiego, o miejscu pobytu Wawra, wysłał zaraz nazajutrz z Suwałk kolumnę złożoną z 4-ch kompanii piechoty w kierunku Sopoćkiń, pod wodzą majora Karlstedta z rozkazem, ażeby starał się zagrozić Wawrowi drogę od południa. Nazajutrz wyruszyła druga kolumna z 3½ kompanii piechoty, z odpowiednią ilością jazdy pod majorem Jermolińskim z instrukcją, ażeby zagłębiła się w obszerne lasy Augustowskie, zagradzając drogę powstańcom od zachodu;

trzecia kolumna, złożona z 1½ kompanii pod majorem ks. Szachowskim, jak się zdaje, wysunięta z Seyn, zagrażała od północy. Dla wzmocnienia tej partyi obsaczenia, w trzy dni potem, d. 26 czerwca, wysłał Wittgenstein z Suwałk pułkownika Makarowskiego z dwoma kompaniami piechoty i garścią kozaków. Piątą na koniec kolumnę tworzył oddział wysłany z Grodna, nie wiemy w jakiej sile i pod czyjem dowództwem. Kończył on od strony wschodniej ten łańcuch bagnetów i szabel, które w swym śmiertelnym uścisku miały zadusić Wawra ¹⁾.

Ten dość wcześnie uwiadomiony został o zagrażającym mu niebezpieczeństwie. Przed nim leżały dwie drogi, albo podzielić swą partyę na kilka drobnych części i rozesać je w różne strony, albo też całą siłą, jaką posiadał, uderzyć na jedną z zastępujących mu drogę kolumn, rozbić ją i wydostać się z oblawy, albo na koniec wymknąć się między dwoma kolumnami nieprzyjacielskimi, korzystając z tego, że wyruszyły one nie w jednym czasie i niejednakową miały drogę do przebieżenia, a tym sposobem między nimi znaczne luki wolne istniały. Zdaje się, że Wawer wybrał ten ostatni manewr, zwłaszcza, że, jak wiemy, nie chciał on rozdzielać swej partyi, i sądził, że uda mu się ją ocalić. Zrazu zamierzał przerznąć się ku północy i w tym celu ruszył w kierunku Seyn, gdyż wiedział, że od tej strony w najgorszym razie będzie miał tylko do czynienia ze słabą kolumną ks. Szachowskiego, ale niebawem otrzymał wiadomość, że na pomoc Szachowskiemu wyruszył Makarowski, że tym sposobem ma przed sobą nie jakichś 200, ale przeszło 700 bagnetów i szabel,

¹⁾ Z trudnością przychodzi nakreślić istotny kierunek i punkt wyjścia różnych kolumn wysłanych przeciw Wawrowi. Nie jesteśmy też pewni, czy opowiadanie nasze w tekście jest ściśle prawdziwym. Relacje polskie są pod tym względem bardzo ogólnikowe. Raport zaś samego Wittgensteina, wydrukowany w jego «Souvenirs et correspondance» II, 135 i 136, jest nader bałamutny, a nazwy poprzekane. Znajdujemy w nim jakąś miejscowość «Muly», «Wejseece», jezioro «Bizna», którego na żadnej mapie odszukać nie mogliśmy.

z którymi mierzyć się było rzeczą ryzykowną. Zatrzymał się więc w swym marszu niedaleko wsi Bereźnika, którą zajął strażą tylną Hłasko. To wahanie się Wawra, stało się przyczyną zguby dla Hłaski. Oddziały bowiem rosyjskie w swym dośrodkowym ruchu, posuwając się forsownymi pochodami, były już w niedalekiej odległości, a Karlstedt, który najpierw wyruszył, idąc od południa, d. 25 czerwca dopadł Hłaskę w Bereźniku i pobił na głowę. Nie pozostawało teraz nic innego, jak omijając Karlstedta rzucić się na południe, co uskutecznilo, ale z utratą taboru, złożonego z 10 fur, napełnionych amunicją, odzieżą i t. p. zapasami, które urwał podjazd rosyjski pod kapitanem Szudlakowem pod wsią Jeleniewem. Mimo to Wawer, posuwając się wyteżonym marszem, zdołał wymknąć się Karlstedtowi i dotarł d. 27 czerwca późnym wieczorem do lasu pod wsią Gruszeki, zasłonięty od północy, skąd spodziewał się Karlstedta, bagnistą rzeką Czarną Hańczę.

Ale już nie Karlstedt szedł za nim, lecz Makarowski, któremu Wittgenstein, uwiadomiony o marszu Wawra ku południowi, kazał pospieszenie ścigać powstańców. Jak wiemy, Makarowski posiadał wszystkiego dwie kompanie, jakieś 400 do 500 ludzi, i nieco kozaków, był więc słabszy liczebnie od Wawra, o którym powiadano, że ma 2700 zbrojnych. Bądź co bądź komendant rosyjski wyruszył i idąc śladem Polaków, tegoż dnia 27 czerwca zajął wieś Gruszeki. Wawer rozbiwszy obóz w niedalekim lesie, zdaje się nie wiedział o tem, by nieprzyjaciel był tak blisko. Pierwszą wiadomość o tem otrzymał od dwu kawalerzystów, wysłanych w nocy do wsi, dla zarekwirowania paszy dla koni. Ci wpadli na nieprzyjaciela, lecz szczęśliwie się wymknąwszy, zaalarmowali obóz i zarazem donieśli, że nieprzyjaciel w ślad za nimi postępuje¹⁾. Wawer podniósł

¹⁾ Tak opowiada w swej relacji rękopiśmiennej naoczny świadek boju pod Gruszkami, cytowany przez nas *Tadeusz W. Rafał Błoński* zaś w swym «Pamiętniku» («Polska w walce» II, 402) inaczej ten fakt przedstawia. Oto co on mówi: «brak żywności spowodował dwu

obóz na nogi i pomaszerował na drugi kraniec lasu i tu uszykowawszy swoich poza błotnistym strumykiem, czekał ataku Rosyan. Niebawem o szarym świetle dnia czerwcowego, ukazali się oni, ale przejścia przez strumień sforsować nie mogli, rażeni kulami leżących poza nim w krzakach strzelców powstańczych. Wkrótce ci, zachęceni przez majora Czempińskiego zaczepnie działać poczęli i nieprzyjaciela z lasu wyparli, ubiwszy mu kilkudziesięciu ludzi. Makarowski cofnął się do wsi Gruszek i tu obsadziwszy chałupy i opłotki, wyraźny okazywał zamiar bronięcia się do upadłego i tym sposobem przeciągnięcia walki, w tym celu zapewne, żeby dać czas pospieszenia mu z pomocą innym kolumnom rosyjskim, które zaledwie w odległości mil paru oddalone były od Gruszek. Wawer to zrozumiał, a przytem zdobywanie domu po domu nie miało celu, bo nawet w razie ostatecznego dobiecia mocno okaleczonego Makarowskiego, trzeba się było pospieszenie cofać przed zbliżającymi się oddziałami rosyjskimi, a wieś bardzo przychylną powstaniu, narażało na zniszczenie. Wawer więc, dawszy krwawą nauczkę zbyt śmiałemu komendantowi rosyjskiemu, nakazał odwrót z wytyczną ku południowi, by wydobyć się z obławy rosyjskiej.

Starcie pod Gruszkami zupełnie zwyciężkie, o ciężkie przyprowadziło Rosyan straty. Wittgenstein w raporcie urzędowym twierdzi, że „walka była niesłychanie zaciętą (le combat fut d'un acharnement incroyable), że kilkakrotnie uderzano na siebie bagnetami, że kosztowało ono Rosyan bardzo drogo (cette affaire nous coûtait beaucoup des mondes). Bądź co bądź, Wawer odrzucił zbyt natarczywego nieprzyjaciela, wyrwał mu z szeregów kilkudziesięciu ludzi,

powstańców do ucieczki, lecz niepomyślnej dla nich, gdyż zaraz po opuszczeniu obozu dostali się do niewoli i zmagleni zostali prowadzić wojsko nieprzyjacielskie na miejsce wypoczynku oddziałów naszych». Ponieważ Błoński nie był wówczas w obozie Wawra i podanie swoje skreślił zapewne na podstawie relacji osób trzecich, więc poszliśmy za p. Tadeuszem W. jako naocznym świadkiem tych wypadków.

zdobył znaczną ilość broni, wziął nawet niewolnika¹⁾, a nade wszystko podniósł bardzo wysoko zapał swych wojowników. Mógł teraz, mając nieco czasu, bo porażka pod Gruszkami pewien respekt dla powstańców wywołała u dowódców rosyjskich i zmusiła ich do ostrożnego działania, partię swą podzielić na drobne oddziały i tym sposobem choć w części ocalić, ale sprzeciwiało się to jego zamiarom a nade wszystko usposobieniu podwładnych, którzy właśnie w skupieniu widzieli dla siebie nietylko zbawienie, ale i możliwość tryumfu. Wobec tego Wawer postanowił ukryć się w niedostępnym, jak mu się zdawało, Kozim Rynku i tam przeczekać burzę, a następnie rzucić się znowu w Łomżyńskie, połączyć się z istniejącymi tamże oddziałami i rozpocząć jakąś akcję na większą skalę. Plan ten nie byłby zły, gdyby była pewność, że dowódcy polskiemu uda się odbyć tak długi i niebezpieczny marsz bez przeszkody i doprowadzić oddział w całości na Mazowsze. Niestety! miało się stać inaczej.

Wawer przybywszy szczęśliwie do Koziego Rynku, rozłożył się tu obozem, przekonany, że nieprzyjaciel go nie znajdzie, i że tym sposobem swym żołnierzom będzie mógł dać kilkudniowy odpoczynek, tak konieczny przed długim pochodem w Łomżyńskie. Ale już nazajutrz po walce pod Gruszkami, nadbiegł do liżącego swe rany Makarowskiego, major Karlstedt na czele swych czterech kompanii, tak, że obaj liczyć mogli około tysiąca bagnetów, co wobec 600 ludzi Wawra, stanowiło ogromną przewagę, nie rachując już wyrobienia wojskowego i lepszej broni. Karlstedt niezwłocznie ruszył śladem powstańców i d. 29 czerwca znalazł się, dzięki zdradczym przewodnikom, pod Kozim Rynkiem, który otoczył dokoła. Pomimo kilka godzin trwającego heroicznego oporu, powstańcy zo-

¹⁾ *Wittgenstein* l. c. 137, pisze, że Wawer uprowadził tylko dwu żołnierzy rannych, że dobrze się z nimi obszedł, kazał ich opatrzyć i zagroził śmiercią każdemu, kto by się ich dotknął, obiecał im nawet, że ich odeśle do Suwałk.

stali wyparci ze swej naturalnej fortecy, i w popłochu przez bagna i trzęsawiska się wycofali. Po nocy spędzonej na bezładnej ucieczce, Wawer znalazł się wprawdzie na czele 400 ludzi, lecz kilkudziesięciu poległo na placu boju, wielu się rozpieczęło, a cała jazda, wycofana na początku walki, jako bezużyteczna w gęstwinie leśnej, puściła się samopas w Łomżyńskie. Utracono cały tabor i znaczne zapasy broni, amunicji i odzieży¹⁾.

Wieść o rozbiciu Wawra wywarła w Suwałkach i w całym Augustowskiem przygnębiające wrażenie. Odtąd można uważać powstanie w tej części kraju za upadłe. Kręciły się i formowały jeszcze drobne oddziały, zachodziły różne starcia, ale na przebieg wypadków wpływu już one żadnego wyrzucić nie mogły, a wkrótce potem oddanie Augustowskiego pod zarząd Murawiewa-Wieszatela, ostatecznie zgniotło ruch zbrojny. Wittgenstein też nie omieszkiał wyzyskać swego tryumfu. Wracających z wyprawy na Wawra do-

¹⁾ *Wittgenstein* l. c., jak zwykle, kłamie bez zarumienienia. Powiada, że wzięty tabor liczył 70 do 80 wozów, na których tak znaczne były zapasy, że gdy je w Suwałkach sprzedano przez licytację, otrzymano za nie 700.000 rubli!!! Utrzymuje dalej, że powstańców padło 300, nie licząc rannych, że Wawer ranił, że zdobyto jakąś armatę żelazną, przeszło 12 pudów prochu i ołowiu, kuchnię angielską z wszelkimi przyborami, wielką ilość ubrania zapasowego. namioty, kotły, 40 (!!!) samowarów, kufry, bagaże i całą kancelaryę Wawra. Jak dalece kłamie, dość porównać jego relację z doniesieniem «Dziennika powszechnego» (Nr 149 z 1862 r.), gdzie czytamy, że w Kozim Rynku powstańcy stracili 70 zabitych, 19 wziętych do niewoli i «mnóstwo rannych». Jakże to daleko do 300 poległych Wittgensteina! W liczbie wziętych do niewoli, według Wittgensteina (potwierdza to także *Pawliszczew*, «Siedmicy» II, 132), miał się znajdować jakiś naczelnik strzelców Wawra, b. oficer rosyjski, *Homme superbe*, jak go zowie Wittgenstein, pelen energii i życia. Wittgenstein zaproponował mu w zamiarze ocalenia go od śmierci, by poczynił pewne zeznania. Odrzucił to i rzekł: «nie chcę pańskiej łaski, nie proszę nikogo o litość, wiem co mię czeka, rozstrzelałem wielu waszych żołnierzy, i gdybym miał możliwość, robiłbym to samo». Relacje polskie nic o tem nie mówią, a Wittgenstein nie przytacza nazwiska tego dzielnego człowieka.

wódców rosyjskich witał on i przyjmował w Suwałkach, jak rzymskich tryumfatorów. W orszaku sztabu swego i adjutantów wyjechał naprzeciw nich i wstępował w miasto z muzyką i śpiewkami. Większość żołnierzy zamiast kepi, przystroiła swe głowy w różnokolorowe czapki powstańcze. Za żołnierzami szli ranni rosyjscy i polscy, wrzście garść jeńców zbiedzonych, obdartych i smutnych. Ulice przepelniali żydzi, żołnierze i motłoch miejski, zawsze żądny widowisk bezpłatnych. Wittgenstein opowiada w swych pamiętnikach, że w domach patryotów polskich okna były pozasłaniane, a tu i owdzie widać było damy płaczące, „ocierające sobie oczy wielkimi (?) chustkami“. Największe wrażenie wywrzeć miał sztandar powstańczy z czerwonego uszyty jedwabiu, z orłem białym i napisem: „województwo Augustowskie“ i „jeszcze Polska nie zginęła“, a z drugiej strony wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, a pod nim jakaś modlitwa. Sztandar ten i ową armatę, o której relacje polskie nie mówią, wysłał Wittgenstein do Warszawy z adjutantem, trzema żołnierzami i kozakiem. W. ks. Aleksandra Józefówna przyjęła ich bardzo radośnie, a W. ks. Konstanty obdarzył orderami i co większa miał przysłać satrapie suwalskiemu 12 krzyży wojskowych dla rozdania najwaleczniejszym. To też Wittgenstein dumny z tego woła: „Polacy wściekali się na mnie, a nasi zapewniali, że w ciągu trzech tygodni osiągnąłem większe rezultaty, niż mój poprzednik w ciągu roku“. Dobre mniemanie o sobie, mówi przysłowie, stanowi połowę szczęścia.

Wśród tego wszystkiego, gdy Wittgenstein tryumfował w Suwałkach i znęcał się czynem i słowem nad pokonanymi¹⁾, Wawer maszerował pospiesznie w Łomżyń-

¹⁾ Oto co pisał do swej matki o Wawrze: «wyobraź sobie, że ta kanalia opuszczając moją gubernię, kazał dać pewnej starej damie, bardzo przyzwoitej (très comme il faut) mieszkającej na wsi, sto różeg, za to, że mu na czas nie dostarczyła takiej ilości prowiantu, jakiej wymagał». Jest to oczywista plotka. Wawer przez cały czas swej komendy w stosunku do szlachty miejscowej zachowywał się bardzo umiarkowanie. Oto co pisze o tem naoczny świadek, paro-

skie. Położenie zniechęconego klęską oddziału było bardzo niebezpieczne bez jazdy, któraby mogła rozświecać położenie. Ten brak dał się niebawem dotkliwie uczuć dowódcy polskiemu. Posuwano się lasami po prawym brzegu Biebrzy, przez Grzędy Rajgrodzkie, Woźnawieś, Rudę, gdzie piechota siadła na podwody, Radziłów ku Wiznie. Ale już w Radziłowie miał się Wawer przekonać, że jest ściganym przez nieprzyjaciela. Odpocząwszy przez pół dnia w tem miasteczku, pod wieczór oddział wyprawił w dalszy pochód, a sam zatrzymał się ze sztabem na rynku dla pożegnania się z pewnym obywatelem, który przyjechał na spotkanie partyi, gdy nagle na rynek wpadła setka kozaków pod wodzą asawuły Matwiejewa, jak się zdaje, wysłana już poprzednio na żądanie Wittgensteina przez Maniukina z Białostockiego, dla otoczenia Wawra, a gdy się to nie udało, ścigająca go uparcie. Matwiejew nie mogąc rozróżnić dla zapadających ciemności, kto stoi na rynku, podjechał bliżej wołając: „co to za zbiegowisko?“ (czto eto za sbor). Gdy nie otrzymał odpowiedzi, strzelił, a za nim jego kozacy sypnęli ognia. Cofnięta z drogi jedna kompania strzelców, powstrzymała na chwilę kozaków, ale nie ulegało wątpliwości, że deptać oni będą po piętach, że przeto zagraża oddziałowi poważne niebezpieczeństwo.

krotnie przez nas cytowany p. Tadeusz W. «...większość komisarzy Rządu narodowego uważała za swoje zadanie, oprócz wywalczenia niepodległości, przeprowadzenie jakiejś rewolucji socjalnej w kraju, który tego nie żądał, ani potrzebował, stąd ciągle ich zajęcia z obywatelami, wyroki na śmierć i na baty, które niejednokrotnie się powtarzały. Ramotowski będąc na miejscu świadkiem tego co się działo, nie tylko w raportach swoich do Rządu narodowego wyjaśniał kwestye i wyjednywał kasowanie niewłaściwych wyroków, ale także brał tymczasowo pod swoją opiekę poszkodowanych, a panów komisarzy Rządu narodowego karcil słowami przy każdym spotkaniu. Był jednak wypadek, że szlachcic (Ejnarowicz) najniewinniej dostał baty w swoim własnym domu. Egzekutorem był młody człowiek, mający do niego osobistą urazę». Historia więc z ową «przyzwoitą damą» Wittgensteina, jest albo kłamstwem, albo też stała się bez wiedzy Wawra. Sam on nigdy nie byłby na coś podobnego pozwolił.

Wawrowi szło o to głównie, by dostać się jak najspieszniej za Narew, gdzie spodziewał się, że mu podadzą rękę znajdujące się tamże oddziały powstańcze, i żeby przy przeprawie przez tę rzekę nie być zaskoczonym przez nieprzyjaciela i wpartym w kąt, jaki przy swem ujściu tworzy Biebrza. Przeprawę swą o tyle zabezpieczył, że posłał na przód rozkaz do Wizny, aby z tratw i drzewa, znajdującego się tam w wielkiej ilości, zbudowano most, co też na szczęście dość wcześnie uskuteczniło. Po całonocnym marszu, o świcie d. 6 lipca, w pobliżu Wizny ukazali się znowu kozacy Matwiejewa, jednocześnie nadbiegła wiadomość, że z Łomży wyruszyła kolumna nieprzyjacielska, aby zaskoczyć powstańców od czoła i przeszkodzić im w przeprawie przez Narew. Most był zbudowany między wsiami Sieburczyn i Szymbory, i Wawer przybywszy tutaj, dla powstrzymywania kozaków, kazał jednej kompanii strzelców, pod wodzą majora Liczbińskiego zasłaniać przeprawę. Zrazu Liczbiński celnym ogniem skutecznie się opierał natarczywości kozactwa, ale gdy padł śmiertelnie ranny, kompania się zmieszała i oskoczona przez nieprzyjaciela, utraciła przeszło 30 ludzi. Wysłana kosynierka swą groźną postawą położyła tamę zuchwałości kozaków i Wawer nakoniec, choć z poważną stratą, przeszedł za Narew, i zaszywszy się w lasy pod wsią Grondy-Woźniecko, zażywał przez kilka dni z rządu zasłużonego spoczynku¹⁾.

Tutaj to przybył do Wawra, Jasiński ze swym oddziałem, a niebawem nadciągnął także Dąbkowski i drobne partye: Tissona (pseudonim Gostkowskiego, niegdyś adju-

¹⁾ Do kampanii Wawra w Płockiem, oprócz wspomnianych wyżej materyałów (Berg, Wittgenstein, Pawliszczew, pan Tadeusz W.) korzystaliśmy z urzędowych raportów rosyjskich, raportów polskich w «Niepodległości», relacji rękopiśmiennej p. *Zdzisława R.*, znajdującej się w naszych zbiorach, z krótkiej wzmianki o boju pod Rząśnikiem w książce: «W 40 rocznicę powstania» p. 246, wreszcie z Pamiętnika oficera rosyjskiego p. *W. Szcz. W.* p. t. «Wspomnienia o polskom wozstaniu», wydrukowanego w «Istoriczeskim Wiestniku» z r. 1894, tom LVI, p. 727 i nast.

tanta Zameczka), Tyszk i Grzymały, tak że w Grondach, wśród obszernych lasów leżących, znalazło się razem około 200 ludzi, nieźle uzbrojonych i zaprawionych już nieco do boju. Jednocześnie do obozowiska polskiego zjechało się wielu dygnitarzy powstańczych, komisarzy i wojewódzkich, i poczęto radzić nad tem, co robić i jakie wyciągnąć korzyści z tak znacznego nagromadzenia sił powstańczych. Różni różne podawali projekta. Niektórzy chcieli, aby przejść Bug, złączyć się z Jankowskim, który operował w okolicach Radzymina, podsunąć się pod Warszawę i tam działać według okoliczności, ale projekt ten nie mający jasno określonego celu, upadł odrazu. Głównie rzecz rozbiła się o to, że między zebranymi wodzami panowało współzawodnictwo i niechęć poddania się pod rozkazy innego. Każdy z nich uważał oddział przez siebie sformowany za swą wyłączną własność, siebie za samowładnego w nim pana i nie chciał podlegać czyjejs władzy. A przytem wśród tej gromady dowódców nie było ani jednego, któryby górował nad innymi talentem lub zdolnością przeprowadzenia szerszej akcji. Wawer, acz wojskowy, ale miał czas zapomnieć o tem, czego się nauczył w młodości, choć niewątpliwie wśród zebranych był najzdolniejszym, jak tego dowiódł jego marsz w Augustowskie i powrót stamtąd. Jasiński był młodym człowiekiem, oficerem niegdyś rosyjskim; inni bodaj czy służyli kiedy wojskowo. Bądź co bądź, godząc wszystkich uradzono, nie łączyć się w jedną masę, ale maszerując w niedalekiej od siebie odległości, tak, żeby w razie potrzeby jeden drugiego mógł wesprzeć, przenieść się w lasy Wyszkowski, stamtąd wyruszyć pod Małkinię i wysadzić most kolejowy na Bugu. Zerwanie tego mostu było zapewne rzeczą dobrą, gdyż przerywało komunikację kolejową między Warszawą i Petersburgiem, z którego teraz nieustannie płynęły do Królestwa nowe siły wojskowe, ale na to dość było wysłać kilkudziesięciu ludzi z rozgarniętym oficerem na czele, zwłaszcza, że przerwanie komunikacji mogło być tylko chwilowem, gdyż most naprawionoby w dni kilka. W do-

datku skupienie się większej ilości powstańców, narażało ich na głód, gdyż lesiste okolice, w które maszerowali, zamieszkałe przez ludność ubogą, nie były w stanie dostarczyć odpowiedniej ilości karmu dla ludzi i koni, co się też w rzeczy samej wkrótce okazało. Zdaje się, że pomysł trzymania się blisko siebie wyszedł z głowy Wawra, który był zawsze zwolennikiem działania większymi siłami.

Zgodnie więc z powyższym planem, wyruszono wyłotem na południe, by się dostać w lasy Wyszowskie. Przodem, wyprzedzając Wawra o dobre cztery mile, posuwał się Jasiński z Tissonem i Grzymałą, i będąc już w pobliżu Zambrowa, dowiedzieli się, że szosą od Czyżewa do Łomży maszeruje niezbyt liczna kolumna nieprzyjacielska, eskortująca kasę ze znacznym podobno funduszem. O ile przypuszczać należy, nie miano dokładnych wiadomości o sile oddziału rosyjskiego, gdyż obliczano go na jedną kompanię piechoty. Tymczasem było dwie kompanie grenadyerów Tauryzkich, pod wodzą majora Kołokołowa, które jechały na podwodach. Tisson i Grzymała, posuwający się na samym czele powstańców, nie wiedząc o tem i sądząc, że dzięki słabości kolumny rosyjskiej, łatwo ją będzie można pokonać, postanowili urządzić zasadzkę w gęstym lesie, niedaleko wsi Zbrzeźnicy. Uwiadomiono Jasińskiego o tym zamiarze, obrano doskonałe miejsce dla zasadzki, mimo to niepowiodła się ona zupełnie. Grenadyery rosyjscy napadnięci znienacka d. 7 lipca, stawili dzielny opór, odparli ataki powstańców i we wzorowym porządku ruszyli do Łomży. Jasiński, jak się zdaje, nadszedł za późno, gdy wszystko już było skończone¹⁾. Przyznać należy, że nie był to zbyt szczęśliwy początek zamierzonej współpracy.

Tymczasem wieść o skoncentrowaniu się w Łomżyńskiem znacznych sił polskich, o napadzie na grenadyerów

¹⁾ «Niepodległość» No 2 (z d. 25 lipca) przyznaje się, acz w formie mocno złagodzonej, do niepowodzenia pod Zbrzeźnicą. Píše ona: «...rezultat bitwy nie był tyle pomyślny, ile się spodziewano. Moskwy

pod Zbrzeźnicą, doszła do Warszawy, a rosnąc w drodze, przybrała olbrzymie rozmiary. Mówiono o sześciu do 8-miu tysiącach doskonale uzbrojonych powstańców, i wobec tego postanowiono uczynić na nich walną wyprawę. Z samej Warszawy, wysłano dwie kolumny: jedną pod wodzą generała-majora Karcewa, złożoną z 3 ch kompanii piechoty, szwadronu ułanów gwardyackich, setki kozaków, dwu dział i dwu raketnic; drugą pod komendą generała majora Ralla, składającą się z 5 kompanii piechoty, dwu dział i pół setki kozaków; ogółem 1400 do 1500 bagnietów i szabel. Siła ta na nędzne, dwu tysięcy ledwie dosięgające szeregi powstańcze, aż nadto była wystarczającą, jednakże wobec przesadzonych wieści, uznano ją za słabą i rozkazano aby jednocześnie z Czyżewa wystąpił znany nam już generał-major Toll na czele dwu kompanii piechoty i setki kozaków i starał się operacje swoje prowadzić w porozumieniu z Karcewem i Rallem, którzy atakować mieli powstańców od południa, t. j. od strony, z której szli, Toll zaś od wschodu. Dla zagrozenia zaś drogi nieszczęsnym straceńcom polskim od północy i zachodu i tym sposobem dla ostatecznego ich dobiecia, nakazano ażeby z Pułtuszka wyruszył pułkownik Emmanuel z 3-ma kompaniami piechoty, szwadronem huzarów i 30-tu kozakami. Ogółem 14 kompanii piechoty, dwa szwadrony jazdy, 380 kozaków, 4 działa i dwa kozły raketnicze, czyli około 2600 bagnietów i szabel¹⁾. Wszystkim tym kolumnom nakazano połączyć się w Broku, gdzie miał nad nimi objąć naczelną komendę

padło około 100 (prawdopodobny świadek naoczny p. *Tadeusz W.* powiada: «grenadyery prawie bez strat we wzorowym porządku poszli do Łomży»), cyfra nieoznaczona, ponieważ na podwoły chwytały zabitych i rannych, wiele trupów leżało na polu, a 18 wozów zabitych i rannych mieli zawieść do Łomży. Nasze oddziały pędząc nieprzyjaciela na przestrzeni blisko 3 wiorst, straciły 32 w zabitych i 18 w ranionych». Tak się pisze raporta wojenne!!

¹⁾ *N. Berg*, «Polskoje wozstanie» III, 258, oblicza: 1950 piechoty i 542 konie, czyli 2592, ale nie włącza w to obsługi dział. «Niepodległość» Nr 4, rachuje przesadnie wyprawę rosyjską na 10.000 ludzi!!!

jenerał Karcew i działać odpowiednio do okoliczności. Prócz tych, jak na powstanie bardzo poważnych sił, zagrażało oddziałom polskim niemniej groźne niebezpieczeństwo od strony gubernii Augustowskiej. Wittgenstein bowiem w pościgu za ustępującym z tego województwa Wawrem, wyruszył na czele znacznej zapewne kolumny (w „Pamiętnikach“ swych nie wymienia jej liczby), w kierunku Łomży i Ostrołęki, i jeżeli nie wziął udziału w ostatecznem dobieciu powstańców, to dlatego, że nie było już co dobijać.

Dnia 11 lipca nakazana koncentracja w Broku nastąpiła, oprócz kolumny Ralla, która wymaszerowała później z Warszawy i na punkt zborny czy to zdążyć nie mogła, czy też może nie chciała, bo jeżeli między powstańcami dowódcy dążyli zawsze do działania na własną rękę i w odosobnieniu, to samo robili i naczelnicy rosyjscy. Być może jednak, że Rall miał polecone operować osobno i niezależnie od Karcewa, dość, że do Broku nie przybył. Karcew przenocowawszy w tem miasteczku, nazajutrz, d. 12 lipca odesłał Tolla dla pilnowania kolei, sam zaś postarał się o zasiągnięcie języka, gdzieby znajdować się mogli powstańcy. Schwytano jakiegoś człowieka, podejrzanego o to, że jakoby wiedział o miejscu pobytu „band“, i usiłowano batogami wymusić na nim wyznanie. Co on powiedział, niewiadomo, zdaje się jednak, że niewiele wiedział, jak tego dowodzi dwudniowe, na oślep wracanie kolumn rosyjskich.

Karcew na czele pozostałych mu 7 kompanii piechoty, dwu szwadronów jazdy i 200 kozaków, wyruszył z Broku na zachód, zagłębiając się w duże lasy Wyszowskie i zatrzymał się we wsi Białobłoto. Tu podzielił swą kolumnę na trzy części. Pierwsza z nich, pozostająca pod jego osobistą komendą, złożona z 4 kompanii, szwadronu ułanów i sekcji artylerji, wyruszyła na lewo ku Narwi w kierunku wsi Ponikwy; druga pod wodzą Wałujewa, złożona z 200 kozaków i 50 ochotników z pułku grenadierów gwardji, miała ruszyć ku północo-wschodowi, ku

wsiom Brudki i Wąsewa; trzecia pod pułkownikiem Emmauelem, składająca się z 3-ch kompanii, szwadronu huzaarów i kilku kozaków i kozłów rakietycznych, miała posunąć się środkiem dwu poprzednich, na wieś Szczawin. Tym sposobem ogarniano z trzech stron lasy Wyszowskie, do których właśnie dążyli powstańcy.

Ci ostatni nie wiedząc o zbierającej się nad nimi piorunowej burzy, odbywali spokojnie swój marsz w kierunku lasów Wyszowskich. Wielkie ich było zdziwienie i przerażenie zarazem, gdy późnym wieczorem d. 12 lipca, zatrzymawszy się na noc w lesie między Goworowem i Wąsewem, nagle ujrzeli na widnokręgu ukazujące się race, które wypuszczały kolumny rosyjskie w celu porozumiewania się wzajemnego. Wywołało to, tak wśród żołnierzy jak i dowódców wielki popłoch, i na razie nie wiadano co robić, dokąd się obrócić, gdyż race wskazywały, że z trzech conajmniej stron zagrażało niebezpieczeństwo. Na szczęście, wśród miejscowej ludności, przeważnie szlachty zagonowej, patryotycznie usposobionej, znaleźli się przewodnicy, którzy podjęli się przeprowadzić powstańców w lasy Wyszowskie, takimi zaprzepaszczonymi manowcami, że niemożliwem było natknięcie się na nieprzyjaciela. Uznano to za jedyny środek ratunku i ruszono w pochód o szarym świcie d. 13 lipca, w chwili, gdy poczęli się ukazywać kozacy Wałujewa, który, jak wiadomo, maszerował na Wąsewo, właśnie wprost na powstańców. Pojawienie się kozaków spowodowało nieład i straszliwy popłoch wśród furmanek chłopskich, na których wieziono żywność i furazę; rozpierzchły się one zupełnie, w części wpadły w ręce kozackie, w części uciekły, tak, że cały oddział powstańczy skazany był na żywienie się jak się zdarzy, a raczej na głód, który też niebawem w dotkliwy sposób dał się uczuć nieszczęśliwej, ofiarnej gromadzie straceńców.

Maszerowano cały dzień, nakładając drogi, kręcąc się nieraz w kółko i nie mając tej pewności, czy śladem ich nie pędzą kozacy Wałujewa. Jakoż szedł on za nimi cią-

gle, ale mając przesadne wyobrażenie o sile powstańców, nie śmiał ich atakować i pod wieczór połączył się z Karcewem. Szli oni razem jeszcze około pięciu wiorst, wreszcie rozłożyli się biwakiem w lesie. Nazajutrz d. 14 lipca Karcew wzmocnił Wałujewa dwoma kompaniami pułku grenadyerów gwardyi, oraz kompanią pułku Nizowskiego piechoty (którą wysłano z Modlina dla wzmocnienia i tak już silnej wyprawy), pół szwadronu ułanów gwardyi, oraz dwiema rakiетnicami, i polecił mu ścigać dalej powstańców, ale w razie ich spotkania walki nie rozpoczynąć póty, póki nie nadbiegną inne kolumny. Z 200 kozakami, których już posiadał Wałujew, liczył on około 1000 ludzi i mógł śmiało mierzyć się z powstańcami, którzy zmęczeni marszem, głodni, gdyż żywiono się przez cały dzień tylko jagodami leśnemi, zniechęceni i zdenerwowani grożącym im niebezpieczeństwem, przy pierwszym śmielszym ataku łatwo mogli być pokonani. Zrazu dostawszy się nakoniec do lasów Wyszkowski, naczelnicy nabrali otuchy, zwłaszcza, że dzięki zabiegom wysłanych naprzód kuryerów, znalazła się tutaj przygotowana żywność, i zamierzali stawić czoło naciskającemu ich nieprzyjacielowi. Wybrano więc pozycję, wzgórze, pokryte lasem, poprzerzynane parowami, wśród których widać było ślady okopów. ręką ludzką usypanych, prawdopodobnie jakieś grodzisko przedhistoryczne, ale które w tej chwili nieszczęśliwym prawnikom pogańskich ojców, dawało wyborną zasłonę i wyborny punkt oparcia. Miejscowość ta znajdowała się w okolicach Porządzia, wioski położonej wśród ogromnych lasów Wyszkowski. Żołnierze wiadomość o zamiarze stoczenia boju przyjęli z wielką radością. Zbadano starannie teren, wydano szczegółowe instrukcje dla każdej nieomal kompanii, gdy nagle przybycie do obozu kilku urzędników narodowych, zmieniło te zamiary. Zdołali oni przekonać dowódców polskich, że przyjmowanie walki z tak przeważnymi siłami nieprzyjaciela, byłoby prosto szaleństwem, że za jednym zamachem całe powstanie płockie i łomżyńskie może być pokonane i rozbite. Nalegali więc, ażeby nie za-

puszczano się dalej w lasy Wyszkowskie, gdzie wpadano w sam środek kolumn rosyjskich, ale żeby nagłym zwrotem na prawo skierowano się ku Narwi, którą należy przejść i tym sposobem wydostać się z żelaznego pierścienia oblawy rosyjskiej. Panowie urzędnicy zaręczali przytem, że droga do Narwi jest wolną i przeprawa pod Dzbądzem zupełnie bezpieczna. Rady te przypadły w sam raz do taktyki dowódców powstańczych, którzy zawsze niechętnie się bili i woleli uciekać przed nieprzyjacielem, jak mężkie stawić mu czoło. Podniesiono więc o północy obóz, opuszczono z żalem i niechęcią żołnierzy wybraną pozycją i ruszono w pochód na północny zachód.

Tymczasem od kilku dni zbierająca się nad stracenicami polskimi burza, miała właśnie spaść teraz na ich głowy. Szli oni bardzo zniechęceni i przygnębieni, a gwałtowne marsze, od paru dni odbywane przy niedostatecznej żywności, przy nieustannem naprężeniu nerwowem, tak ich wycieńczyły, że wielu padało na drodze prosto z braku sił. A Wałujew na chwilę straciwszy z oczu powstańców, znów wpadł na ich ślad. Udało mu się schwycić kilka furmanek z ich taboru, ugrzęzłych w przepaścistych piaskach mazurskich i tym sposobem dowiedział się o marszu kolumn polskich¹⁾. Wzmocniony znacznie przez Karcewa, wiedząc od schwytanych z furmankami jeńców, o wycieńczeniu powstańców, postanowił teraz, zwyczajem wszystkich komendantów rosyjskich, działać na własną rękę i tym sposobem dla siebie wyłącznie uszczknąć wieniec sławy. Kozak z rodu, niewątpliwie odważny osobiście, rębacz zawołany, całe swe życie przepędził na Kaukazie i z prostego żołnierza dosłużył się wysokiego stosunkowo stopnia pułkownika, wprowadzie w dość późnym wieku, gdyż w dobie obecnej liczył około 60 lat. Powstanie zastało go do-

¹⁾ To, co *N. Berg* I. c. III, 259, opowiada, jest nadzwyczaj bałamutne, a nawet kłamliwe. Twierdzenie, jakoby d. 14 lipca, Wałujew ujrzał się odciętym od Karcewa, jakoby uskoczył ku Poniknie, jakoby spotykał drogi zawałone ściętymi drzewami, które podpalano, jest fałszem.

wódcą pułku kozaków Dońskich, kwaterującego w Płońsku. Ale stanowisko pułkownika nie mogło temu kozakowi prostemu i zdziaczemu w występiających walkach kaukaskich, nadać przyzwoitych form towarzyskich. Był to prostak, krzykała, okrutnik nieraz, bez żadnej kultury, a mimo to żywiący ambitne zamiary wybicia się jeszcze wyżej kosztem krwi polskiej. Znalazłszy się więc teraz na czele dość poważnych sił, odesobniony od reszty kolumn rosyjskich, zamierzył sam rozprawić się z powstańcami, śladem których postępował. Na nieszczęście dla niego, uszedłszy około pięciu wiorst rankiem d. 14 lipca, natknął się zgoła niespodziewanie na kolumnę generała Ralla, który naniec wyruszył w pole, a nie chcąc łączyć się z Karcewem, szedł pojedynkiem i szukał powstańców. Rall ucieszył się bardzo otrzymawszy wiadomość od Wałujewa, że ten ściga „buntowników“, objął nad jego oddziałem dowództwo i ponieważ kierunek pochodu Wawra i innych naczelników polskich, wskazywał, że dążą oni ku Narwi, więc rozkazał Wałujewowi, ażeby pospieszył forsownym marszem ku tej rzece, przeprawił się przez nią i starał się przeszkodzić przeprawie powstańców. Wałujewowi nie w smak poszedł ten rozkaz i gdy Rall ruszył dalej śladem Wawra, nieposłuszny kozak zatrzymał się na miejscu i rozłożył w lesie biwakiem.

Wśród tego, Rall mając pod swą komendą trzy kompanie piechoty, dwa działa i 30 kozaków, maszerował dalej za powstańcami. W drodze spotkał kolumnę pułkownika Emmanuela, liczącą półtorej kompanii piechoty i szwadron huzarów, którą przyłączył do siebie i tym sposobem miał przeszło 700 bagnietów i szabel, któremi mógł łatwy odnieść tryumf nad znużonymi, zgłodniałymi i upadłymi na duchu powstańcami. Rall dognał ich nad wieczorem d. 14 lipca pod wsią Rząśnikiem. Dalsze cofanie się wobec zmęczenia żołnierza, było niemożliwem i Wawer zdecydował się na przyjęcie boju, licząc zapewne na to, że bliska noc pozwoli mu szczęśliwie odskoczyć ku Narwi. Uszykowano się w ten sposób, że Wawer ze swymi stanął na prawem,

Tyszka w środku, a Jasiński na lewem skrzydle. Ale atak nieprzyjaciela był tak gwałtowny, że pierwszy oddział Tyszki poszedł w rozsypkę, i Rall wdarłszy się między Wawra i Jasińskiego, uderzył na nich z boku i po krótkim oporze rozbił doszczętnie. Rozpoczęła się formalna rzeź; piechota, kozacy i huzary rozwinęli się w łańcuch, i kogo tylko napotkali, mordowali bez litości. Wielu poległo, bo jeńców wcale nie brano, wielu korzystając z zapadającej nocy, ratowało się ucieczką. Wawer i inni dowódcy z garstką pozostałą, która na drodze urosła do 200 zbrojnych, przeprawili się przez Narew w Dzbędzu, przeszli przez szosę w pobliżu Rożana i rozłożyli się obozem między wsiami Ponikiew Wielka i Sygi, w lesie należącym do dóbr Glinki, licząc na to, że wyprawa rosyjska odniósłszy zwycięstwo pod Rząśnikiem, praktykowanym stale obyczajem, powróci na swe leże, głosząc, że „bandy wytepiione zostały do nogi“.

Jakoż zanosilo się na to. Rall nazajutrz po swem zwycięstwie, przekonany, że zrobił wszystko co do niego należało, pomaszerował wraz z Emmanuelem do Pułtuska, gdzie ten ostatni pozostał, jako na miejscu swej stałej konsystencji, a Rall poszedł do Warszawy, wezwany jakoby rozkazem swej zwierzchności, a za nim to samo uczynił Karcew, o co bardzo się gniewał hr. Berg, występujący coraz wyraźniej w roli Namiestnika. Nie omylił się więc Wawer licząc, że po Rząśnickiej klęsce może jakiś czas spokojnie odpoczywać w lasach Glińskich, ale zapomniał o Wałujewie.

Kozak ten wytechnawszy sobie po odejściu Ralla, ruszył nakoniec ku Narwi. Szedł krokiem leniwym, bo ciągle mu się zdawało, że Wawer ścigany przez Ralla, lękając się zapędzenia w kąt między Bug i Narew, z konieczności zawróci i wtedy jemu, t. j. Wałujewowi wpadnie w ręce. Doszedłszy jednak do Narwi, dowiedział się, że Wawer jeszcze wczoraj, t. j. w nocy z 14 na 15 lipca przeprawił się za tę rzekę. Nic mu więc nie pozostawało, jak to samo zrobić, co też skutecznie pod Rożanem, i niebawem d. 16 lipca natknął się na spoczywającego pod Sygami Trąbczyn-

skiego. Dowódca ten, wyparty z kępy Drażdżewskiej, siedł teraz ku Rożanowi w celu połączenia się z Wawrem, i właśnie pod Sygami spotkał się przypadkiem z Wałujewem, który wcale nie spodziewał się, że będzie miał do czynienia z nowym oddziałem polskim. Sądził zrazu, że to jest Wawer, o którego sile, jak wiemy, miał wygórowane mniemanie, dlatego wiedząc już o odwrocie Ralla, Emmanuela i Karcewa, że został sam jeden, trochę zawahał się co ma robić, ale było już zapóźno. gdyż Trąbczyński wysunawszy się nieco z lasu rozpoczął żwawy ogień. Wałujew rozsypał swą piechotę w tyraliery w gęstem i bujnym zbożu, która powoli posuwając się naprzód, starała się dotrzeć do brzegu lasu. Strzelanina taka trwała około godziny i nieprzyjaciel w rzeczy samej począł przedostawać się do lasu. Dopomogła mu do tego niezwykle silna wichura, która tego dnia panowała, która więcej wprost w oczy powstańców, podnosiła taką olbrzymią kurzawę w wyciętym piaszczystym lesie, że nie widziano nie na kilka kroków przed sobą, a piekielny szum i wycie wichru zagłuszało wszystko. Mimo to Trąbczyński zdołał dostrzedz ruch rosyjski i wysłał kolumnę kosynierów, by uderzywszy z boku na wroga, wyparła go z lasu. Widząc to Wałujew kazał puścić kilka rac z rakietnic na kosynierów, poczem rzucił się na nich z huzarami. Ci jednak niedość chętnie poszli naprzód, tak że Wałujew znalazł się sam wśród kosynierów. Złamano mu pałasz i cięto silnie kosą w głowę, i upadającego już z konia podchwycili nadbiegający huzarzy. Na tym epizodzie skończyła się nierówna walka. Powstańcy poszli w rozsypkę zupełną, sam Trąbczyński ciężko ranny, zawieszony został na plebanią do wsi Sygi, gdzie gdy mu doniesiono, że kozacy się zbliżają, wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie¹⁾. Wałujew, za swój

¹⁾ O śmierci Trąbczyńskiego opowiada W. Szcz. W. w swych «Wspominaniach» («Istoricz. Wiestnik» z r. 1899, p. 720) co następuje: «Trąbczyński, kiedy służąca wbiegłszy do pokoju, w którym leżał wódz polski, z doniesieniem, że we wsi są kozacy i że za nimi

niezaprzeczenie waleczny czyn, otrzymał krzyż wojskowy św. Jerzego, jedyny, jaki udzielono oficerowi za walki z powstańcami.

Wawer przez cały czas tego boju, ukryty niedaleko w lesie pod Glinkami, usiłował pospieszyć na pomoc Trąbczyńskiemu, którego strzały słyszał, ale znużonych, sennych swych żołnierzy poruszyć nie mógł. Ściągnął do siebie nieco rozbitków i puścił się na Kurpie, potem znów w Augustowskie, ale wkrótce potem rozpuścił oddział i wyjechał do Paryża, nie biorąc już więcej udziału w powstaniu. Taki miała koniec nieszczęśliwa jego wyprawa w Łomżyńskie. Krwawe walki pod Rzaśnikiem i Sygami, ostatecznie rozstrzygnęły losami powstania Płockiego i Augustowskiego. Stoczono jeszcze nie jeden bój, krew się jeszcze obficie lała, tworzyły się i umierały liczne jeszcze oddziały, ale nie mogły już one ożywić widocznie konającego na niemoc powstania Mazurskiego. Ale jeżeli ruch zbrojny doszedłszy w czerwcu i lipcu swego punktu kulminacyjnego, wiał z dniem każdym, to dla kogoś stojącego zdala od tych scen krwawych i strasznych, te liczne boje, staczane na całym obszarze Królestwa, te tryumfy pod Piekłem, Nową wsią, Janowem, Kobylanką, Ossą, Kadyszem i t. d., te rzezie krwawe Komorowa, Ignacewa, Rzaśnika i tylu innych miejsc, świadczyły, że walka wre dalej, walka uparta i nieubłagana, że przeszło stutysięczna armia rosyjska nie może sobie dać rady, że nakoniec wieści słane z Warszawy do Petersburga o blizkiem stłumieniu powstania są fałszem. Wszakże jeżeli dotąd na pół im wierzono, na pół liczono na to, że nie dziś, to jutro po-


drogą z Pultuska idzie wojsko, kazał będącemu przy nim felczerowi wyjść na podwórze dla przekonania się, czy tak jest istotnie, i nie doczekawszy się wysłańca, wystrzelił sobie z rewolweru w głowę. Felczer zastał Trąbczyńskiego już w drgawkach śmiertelnych». Pamiętnikarz dodaje: «Trąbczyński domyśliwszy się, że do wsi Sygi zbliża się pułk Niżgorodzki, konsystujący w Pultusku, zapewne nie chciał przeżyć hańby (!?) jakaby nań spadła, gdyby go poznali dawni koledzy pułkowi i zakończył swe rachunki z życiem samobójstwem».

wstańcy broń złożą, to teraz rozległ się tak potężny grom i taką wrzawą napelnił Europę, że ostatecznie w stolicy Caratu przekonać się miano o bardzo groźnym stanie rzeczy w Królestwie i o konieczności szybkiego i stanowczego położenia temu końca. Gromem tym, mającym wywrzeć nieobliczony wpływ na losy polskie, było krwawe starcie Żyżyńskie, którego dzieje przychodzi nam teraz poszczegóło opowiedzieć.

ROZDZIAŁ XVI.

Żyżyn. Upadek Margrabiego i W. Księcia.

Borelowski-Lelewel i jego porażka pod Różą. Jankowski i Krysiński. Napad na Domaczew i starcie pod Sławatyczami. Porażka pod Czystoborowicami. Michał Heidenreich Kruk. Wierzbicki i zasadzka pod Strużą-Polichną. Rucki i starcie pod Kaniową i Chrusliną. Marsz Kruka do Opola. Poczty wojenne. Zasadzka Żyżyńska. Straty obustronne. Zdobyte pieniądze. Wrażenie i rezultat tego boju. Potyczka pod Chelmem. Koncentracja oddziałów i klęska Fajslawicka. Taczanowski i jego zamiary. «Ciągła rejterada» i rokosz w Sulisławicach. Wyprawa Kłodta. Rozbicie Parczewskiego. Walka w Sędziejowicach. Marsz Taczanowskiego i rozbicie pod Kruszyną. Zabór z poczty 46.000 rubli. Oskarżenia przeciw Wielopolskiemu. Jego wyjazd i pertraktacje z K. Majewskim. Jego życie w Dreźnie i śmierć. W. ks. Konstanty. Namawianie szlachty i rokowania z Rządem Narodowym. Przyjazd Lidtkego i jego namowy. Podróż Cesarza po Rosyi. Pobyt w Moskwie i Filaret. Wyjazd W. Księcia do Petersburga. Narady w Carskim Siole. Misja Bontempsa do hr. Zamoyskiego. Jego odmowa. Wyjazd W. Księcia i misja w Wiedniu. Ryskrypt Cesarski z Liwadii. Zakończenie.

a Podlasiu i w Lubelskiem, po rozbiciu i wzięciu do niewoli wojewody Lewandowskiego, z wiosną kręcić się poczęło kilku dowódców, walczących z różnem szczęściem. Naczelne kierownictwo wojną w tej części kraju, oddano Borelowskiemu-Lelewelowi. Mówiliśmy już o tym partyzancie, który pozbawiony wszelkich wiadomości z za-

kresu sztuki wojennej, niewykształcony pod każdym względem, został dzięki temu, że był rzemieślnikiem (studniarzem) wysoko wyniesiony i przechwalony przez stronnictwo rewolucyjne i ultraczerwone, usiłujące pokazać światu, że nie szlachta, ale prosty rzemieślnik, człowiek z ludu, jak mówiono, Polskę na swych plecach podnosi i cudów waleczności dokazuje. Oczywiście inaczej się stało, i Lelewel na każdym kroku bity haniebnie¹⁾, właśnie teraz, w miesiącu czerwcu swą karierę wojskową zakończył zupełną porażką i na jakiś czas z widowni powstania usunąć się musiał.

Albowiem w końcu czerwca, Lelewel wśród nieustannych swych włóczęg po kraju, znalazł się na czele dość

¹⁾ O jednej z takich przegranych potyczek musimy tu wspomnieć, ze względu, że nabyła ona dużego rozgłosu, wskutek śmierci na polu bitwy poety Mieczysława Romanowskiego i jednego z inicjatorów powstania Gustawa Wasilewskiego. Rzecz tak się miała: w końcu kwietnia, Lelewel otrzymał rozkaz od Rządu Narodowego, ażeby ze swym oddziałem zbliżył się do granicy galicyjskiej dla ułatwienia wkroczenia partyi Jeziorańskiego. Uczynił on temu zadość i stanął obozem w lesie między Józefowem Ordynackim a wsią Osuchy. Liczył ogółem według jednych («Wiadomości z pola bitwy» No 10), 250, według innych (*N. Berg*, III, 130), 350 ludzi. Tutaj, w miejscowości leśnej, zwanej Piskle, został on nad wieczorem d. 24 kwietnia napadnięty zniemacka przez kolumnę nieprzyjacielską pod wodzą majora Ogolina, (tego samego, który w kilka dni później dość niefortunnie miał się bić z Jeziorańskim) Lelewel, jak zwykle począł się cofać, zawoławszy, by garść najodważniejszych zasłaniała odwrót. Takich ochotników — straceńców znalazło się około 70, między nimi poeta Romanowski i Gustaw Wasilewski. Podczas kiedy Lelewel z głównym oddziałem zmykał szczęśliwie, garść tej bohaterskiej młodzieży wepchnięta w bagna, otoczona dokola, heroiczny stawiała opór. Padło z nich na placu 38 («Wiad. z pola bitwy» utrzymują, że 27), w ich liczbie Romanowski, Wasilewski, Aleks. Kossakowski i w. in. Zachowanie się Lelewela w tej potyczce nie mówi na jego korzyść, a poświęcenie wyborowej młodzieży dla ocalenia siebie i reszty liczej zbieraniny (podobno około 120 ludzi), nie świadczy ani o jego sercu, ani o rozumie. Szczegóły o śmierci Romanowskiego można znaleźć w «Pamiętnice dla rodzin polskich». *Z. Kolumny* (dodatek p. 51), oraz w książce: «W 40 rocznicę powstania» p. 401.

znacznego oddziału, pozostałego z połączenia trzech partyi, t. j. jego własnej, oraz Jankowskiego i Zielińskiego, liczących ogółem około tysiąca ludzi, i obozował w okolicach Kałuszyna, w pobliżu drogi bitej, prowadzącej z Warszawy do Siedlec. Dnia 22 czerwca jeden z jego podjazdów napadł na 30 kozaków; jadących z Kałuszyna z korespondencją, i tym sposobem dowódzca garnizonu rosyjskiego w Kałuszynie, dowiedział się o pobycie w tych stronach powstańców. Ruszył więc natychmiast z jedną kompanią piechoty i kilkudziesięciu kozakami na rekonesans, i natknął się na powstańców pod Żeliszewem i po zamianie kilku strzałów, śpiesznie cofnął się do Siedlec, gdzie znaczniejsze znajdowały się siły rosyjskie pod komendą generała-majora Dreyera. Ten w nocy z d. 22 na 23 czerwca sformował kolumnę, złożoną z 4-ch kompanii piechoty (trzy kompanie grenadyerów żmudzkich i jedna pułku Kostromskiego) pół szwadronu ułanów, 70 kozaków i paru dział żłobkowanych, ogółem około tysiąca ludzi. Wobec tak poważnej siły, o stawieniu czoła nieprzyjacielowi nie można było myśleć i Lelewel rozpoczął szybki odwrót ku południowi, niszcząc za sobą mosty na błotnistej rzeczce Kostrzyniu. Mimoto d. 23 czerwca koło południa dopadnięty został przez Dreyera pod wsią Różą, niedaleko miasta Stoczek i pomimo dość walecznego oporu, rozбитo doszczętnie. Gwałtowny pościg jazdy nieprzyjacielskiej na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst do reszty rozproszył oddział, któremu zabrano cały tabor z bronią zapasową, amunicją i żywnością. Lelewel zaraz potem wyjechał do Galicyi i nie pojawił się w Lubelskiem aż we wrześniu.

Po jego usunięciu się, nabywają w tej części kraju głośniejszego imienia: Józef Jankowski (zwał się także Szydłowski), Karol Krysiński, Józef Władysław Rucki, Wagner i Ćwiek (Kajetan Cieszkowski). Pierwszy z nich, podobnie jak Lelewel, bez fachowego wykształcenia wojskowego, rolnik z powołania, rządcą dóbr Tarchomińskich pod Warszawą, będących podówczas własnością b. Dyrektora Komisji Spraw wewnętrznych, Muchanowa, posiadał

wiele energii i niezmęczonej wytrwałości¹⁾, dzięki czemu, począwszy od lutego 1863 r. przez cały rok ubijał się z nieprzyjacielem, rzadko co prawda zwycięzko, ale też nigdy nie rozbity zupełnie. Należał on do rzędu tych dowódców powstańczych, tak licznych niestety! którzy bez litości wieszali chłopów za najlżejszem podejrzeniem zdrady, a w stosunkach do swych podwładnych, dawał wielokrotnie dowody okrutnej srogości²⁾. Przebywał on stale w okolicach Radzimina, Nieporętu i Mińska mazowieckiego, a ścigany uparcie przeszedł w maju Wisłę i z Konowiczem bił się pod Rożniszewem, poczem znowu wrócił za Wisłę i tutaj parę utarczek bez znaczenia stoczył. Ale w tej porze, w początkach lipca zaszła potyczka, która niemałego nabyła rozgłosu.

Dążąc do jakiejś większej wspólnej akcji, zwłaszcza

¹⁾ O jego wyjściu do powstania opowiada *Pułkownik Struś* («Ludzie i wypadki», 1, 195) charakterystyczną anegdotę: «...najpierwszą jego czynnością było ściągnięcie podatku z majątku, którym zarządzał. W tym celu wystosował od siebie rozporządzenie i z niem razem pojechał do plenipotenty muchanowskiego, aby zażądać od niego asygnaty, opowiedziawszy mu najprzód bajkę o 3-ch panach, przybyłych z Warszawy powozem, którzy zagroziwszy jemu i plenipotentowi karą śmierci, jeżeli na oznaczony termin nie przysposobią żądanej sumy, odjechali napowrót. Pan plenipotent zdal naturalnie o tem raport naczelnikowi żandarmów, który przesłuchawszy Jankowskiego jeszcze raz, posłał cichaczem na czas oznaczony do Tarchomina w celu ujęcia nmiemanych trzech jegomościów, 15 kozaków, którzy wyczekawszy trzy dni daremnie, powrócili do Warszawy z niczem. Podatek zaś z dóbr Tarchomina zapłacił Jankowski sam, a idąc do powstania zostawił w rachunkach kwit Komitetu Centralnego opiewający, że tyle a tyle zapłacono podatku narodowego. Oprócz tego pokwitował z dwu koni najlepszych i bryczki na rzecz powstania i zostawiwszy wszystkie rachunki w porządku, poszedł do formującego się pod wsią Krobki(?) oddziału».

²⁾ *Święski*, członek Rządu Kwietniowego, w relacji swej, dyktowanej autorowi niniejszego, opowiada o Jankowskim, że pod koniec powstania, gdy żołnierze w jego oddziale poczęli szemrać, a jeden z nich, służący oddawna, dał się słyszeć, że najlepiej będzie gdy się rozejdą, dowódca kazał go powiesić. Ponieważ w pobliżu nie było drzewa, powieszono go więc na płocie a raczej prosto uduszono.

po rozbiciu Lelewela pod Różą, Jankowski pomaszerował w powiat Bialski, gdzie pod Romanowem, niedaleko Sławatycz nad Bugiem, połączył się z partiami Krysińskiego i Zielińskiego¹⁾. O Krysińskim wspominaliśmy już, że miał niekiedy osobliwsze zachcianki, jak np. ta, że przysłał do powstańczego naczelnika powiatu w Lublinie, groźny rozkaz, ażeby mu dostawił do obozu kilka kobiet, jakoby potrzebnych dla zdrowia tak wodza samego, jak i jego podkomendnych. Pozatem był to człowiek acz niewojсковy, niepozbawiony jednak naturalnego gieniuszu wojkowego, i niektóre jego marsze mogą służyć za wzór szybkości, energii, stanowczości i inwencji. Leśnik z zawodu (według innych prosty rzemieślnik, czeladnik ślusarski z Międzyrzecza), nabył w życiu z naturą pewności oka, przebiegłości, a nadewszystko wybornej znajomości tej części kraju, w której operował. Nie był on wolny od małostkowej zawiści i ambicji chorobliwej; zazdrościł Krukowi, człowiekowi nowemu, że mu dano naczelnictwo wojenne w Lubelskiem i ciężkie przegrane Kruka pod Kaniową i Fajslawicami, przypisać należy w części Krysińskiemu. W tej porze liczył on zaledwie 25 lat, i współcześni opisują go jako uprzejmego, łagodnego młodzieńca, z dużą, jasną

¹⁾ Do historii kampanii Jankowskiego, Krysińskiego i Zielińskiego, posiadaliśmy materiały następujące: 1) *J. hr. Roztworowski*: Pamiętniki (korzystaliśmy z własnoręcznego rękopisu pamiętnikarza). 2) *Święski*: Relacja, dyktowana autorowi niniejszego. 3) *Karol Majewski*: podobnie relacja dyktowana autorowi. 4) «Doniesienia z placu boju», bez numerów z d. 8 i 12 sierpnia. 5) *Z. Kolumna*: «Pamiętka dla rodzin polskich» I, 62 i nast. 6) «Niepodległość» No 4 i nast. 7) *J. Fr. von Erlach*: «Die Kriegführung der Polen im Jahr 1863» p. 13 i następne. 8) *N. Berg*, «Polskoje wozstanie» III, 184 i nast. 9) «Żurnal wojennych dziejstw». 10) *Pawłiszczew*, «Siedmicy» II pod właściwymi datami. 11) Raporta urzędowe w «Dzienniku powszechnym». 12) Luźne notatki w zbiorach autora, spisywane z opowiadań świadków naocznych. 13) *A. Giller*, «Historja» II, 218 i następ. 14) Dzienniki ówczesne, a głównie «Czas» krakowski. Co się tyczy map, to korzystaliśmy z mapy topograficznej sztabu generalnego rosyjskiego.

brodą i żywymi kolorami na twarzy. Początkowo był adjutantem przy pierwszym wojewodzie podlaskim Walentym Lewandowskim, później jako samodzielny dowódca, zebrałszy sobie partyę, przebywał głównie w głębi Podlasia, między Radzyniem, Sawinem i Sławatyczami, gdyż z tych okolic pochodził i znał je dobrze. Trzymał on się przez instynkt raczej, jak przez wyrozumowanie innej, jak ogromna większość dowódców powstańczych, taktyki, to jest nie czekał, aż go nieprzyjaciel zaatakuje, by przed nim sromotnie uciekać, ale sam go szukał, zaczepiał, niepokoił, a choć w większości wypadków, wskutek niższości broni i niewyrobienia swych żołnierzy, w tem działaniu zaczepnem szwank ponosił, jednakże dawał przez to dowód, że rozumie warunki małej wojny, co mu nadaje cechę wybitną i wyróżniającą go jaskrawo od tego tłumu nieudolnych i lichych „naczelników“, których tylu ostatnie powstanie wydało.

W ostatnich dniach czerwca, Krysiński znalazł się w wielkich lasach Parczewskich, w okolicy poprzeżynanej mnóstwem rozległych stawów, nieraz dosiegających 1200 morgów rozległości, w miejscowości głuchej i nieprzystępnej, zwanej „Altana“. W obozie jego był wielki porządek, wielka czujność i gotowość do boju. Codzień rano śpiewano starą pieśń Karpińskiego: „Kiedy ranne wstają zorze“, a wieczorem: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“. Pod swoją komendą miał zaledwie 200 ludzi, ubranych jednostajnie, w sukmanki szare, zielone kołnierze i takież barwy czapki rogate, ale niebawem siła ta zwiększyła się przez ściągnięcie rozbitków Lelewelowskich z pod Róży, którzy w liczbie 200 pieszych (150 strzelców i 50 kosynierów), oraz 30 jeźdźców, pod wodzą Bardeta, brata ogrodników warszawskich, przyciągnęli do Krysińskiego. Z tą siłą kręcił się jakiś czas po okolicy, atakował Parczew, ruszył ku Włodawie, stoczył parę utarczek i znalazł się koło połowy lipca pod Sławatyczami nad Bugiem. Właśnie w tej porze, na rozkaz Murawiewa Wieszatela, tworzone wszędzie na Litwie t. zw. „straże włościańskie“, rodzaj po-

spolitego ruszenia, które obowiązane było dopomagać wojsku w ściganiu i łapaniu powstańców. Rząd Narodowy postanowił dać surowy przykład, ażeby tę straż raz na zawsze zniechęcić do walki z powstaniem. Ponieważ dowiedziano się, że w miasteczku Domaczewie, leżącym z prawej strony Bugu, nawprost Sławatycz, zebrało się koło 200 takich, jak ich zwano „opołczeńców“, przy jakichś kilkudziesięciu żołnierzach, więc nakazano Krysińskiemu, żeby przeszedł Bug, znienacka napadł na Domaczew, „opołczenie“ rozpędził, a jego przywódców surowo ukarał. Krysiński rozkaz ten wykonał szybko i energicznie. Przeprawiwszy się potajemnie nocą wpływ przez Bug, obkoczył miasteczko jazdą, zdobył je szturmem, „opołczenie“ z kretesem rozpędził, a 50 żołnierzy, uparcie się broniących w domach pokonał i rozkaz Rządu Narodowego spełnił. Z pomiędzy przywódców „opołczenia“, kilku ukarał cielesnie, jednego powiesił, kilkadziesiąt karabinów i strzelb zdobył i ze stratą 18 swoich zabitych i rannych, powrócił w tryumfie do Sławatycz. Przy szturmie spaliło się w miasteczku kilkanaście domów i Rząd narodowy dla okazania swej wszechmocy i zamożności, polecił poszkodowanym właścicielom wypłacić tytułem wynagrodzenia 10.000 złp. co niewątpliwie wywrzeć musiało na te umysły proste, bardzo silne wrażenie¹⁾.

Tutaj to w Sławatyczach наконец, w celu jakiejś szerszej akcji, połączył się z Krysińskim, Jankowski i Zieliński. Obaj oni liczyli przeszło 700 ludzi, (350 strzelców i 400 kosynierów), a że Krysiński posiadał około 400 ludzi wszystkich trzech broni, siła więc powstańcza, zebrana w Sławatyczach, wynosiła przeszło tysiąc zbrojnych. Napad na Domaczew, zgromadzenie się tak znacznej ilości powstańców, nie mogło ujść baczności komendantów rosyj-

¹⁾ W Nrze 4 „Niepodległości“ z d. 28 sierpnia, ogłoszono o tem w słowach następujących: „Mieszkańcy miasta Domaczewa nad Bugiem, poszkodowani wskutek działań wojskowych majora Krysińskiego, otrzymali od Rządu Narodowego tytułem wynagrodzenia 10.000 złp.“.

skich, i Chruszczew, naczelnik wojenny Lubelski, wysłał ku Sławatyczom batalion piechoty pod wodzą pułkownika Schelkinga, z którym jednocześnie miała działać kolumna z Włodawy, złożona także z kilku kompanii piechoty, setki kozaków i dwu dział artylerii polowej. Wodzowie polscy, dowiedziawszy się w d. 11 lipca o zbliżaniu się nieprzyjaciela, ułożyli plan następujący: Jankowski i Zieliński mają stanąć wzdłuż drogi, prowadzącej ze wsi Sajówki do Romanowa i Janówki i przyjąć atak rosyjski od czoła; Krysiński zaś ma tak manewrować, ażeby w chwili, gdy nieprzyjaciół pasować się będzie z czołem powstańców, okrążyć go i uderzyć nań od lewego i tyłu. Zwycięstwo zdawało się być pewnem, tem więcej, że skombinowana akcja rosyjska, jak zwykle, nie powiodła się. Schelking przyszedł pierwszy i rozpoczął walkę; kolumna zaś z Włodawy, zabłąkawszy się gdzieś w drodze, wcale nie zjawiała się na placu boju. Szczęście więc sprzyjało powstańcom, coż kiedy oddziały Jankowskiego i Zielińskiego nie wytrzymały dosiebnego ataku rosyjskiego i poczęły się cofać wprzód, nim Krysiński mógł swój ruch okolny wykonać. Spieszył on jednak co miał sił i nadbiegł dość wcześnie, by zagrożony tyłom rosyjskim przez wysyłkę tamże całej swej jazdy, śmiałym atakiem kosynierki pod wodzą Bardeta na lewe skrzydło nieprzyjaciela zmusił go do nagłego odwrotu. Straty obustronne były dość znaczne, ale plac boju został przy powstańcach, i słusznie też do pewnego stopnia, spotkanie to nazwali zwycięstwem.

Po starciu tem, obawiając się zapewne ściągnięcia na siebie większych sił nieprzyjacielskich, dowódcy polscy rozdzielili się. Krysiński puścił się w kierunku północno-zachodnim do Wisznia, a Jankowski z Zielińskim na południe, ku granicy galicyjskiej, gdzie mieli odebrać obiecany im transport broni. Liczyli oni ciągle przeszło 700 ludzi, ale między tymi było około stu bezbronnnych. Konsystujący w Krasnymstawie pułkownik rosyjski Baumgarten, dowiedział się o marszu powstańców i wyruszył na czele trzech kompanii piechoty, szwadronu ułanów, setki

kozaków i dwu dział, i dopędził Jankowskiego d. 30 lipca we wsi Częstoborowicach. Oddział przyszedłszy do tej wsi, rozłożył się poza nią na łące, zamiast iść do pobliskiego lasu, do którego biegła droga przez ową łąkę, podnosząc się nieco pod górę, a na lewo od niej był głęboki parów. Powstańcy byli tak znużeni wytężonymi pochodami, że rozbiwszy obóz wszystko padło i spało; pikiet nie rozstawiono wcale, litując się zmęczenia ludzi. Baumgarten o świcie d. 30 lipca wszedłszy do Częstoborowic, ujrzał cały oddział jak na dłoni, pogrążony w głębokim śnie, z którego dopiero obudziły go kule rosyjskie. Wszystko w szalonym popłochu poczęło uciekać do lasu i naturalnie ściągnęło na siebie główną uwagę nieprzyjaciela, z czego skorzystali owi stu bezbronni ochotnicy, rzucili się w bok i ukryli się we wzmiankowanym parowie. Dostrzegli ich ułani i kozacy, otoczyli i poddającym kazali rozebrać się do naga, żeby ubrania nie podziurawić, i nie poplamieć, poczem do nogi jak najhaniebniej wymordowali. Napróżno oficerowie usiłowali tej ohydnej rzezi zapobiedz; niekarne i niedowierzające swym przełożonym żołdactwo, nie usłuchało ich wcale¹⁾. Jankowski z resztkami ocalałych zawrócił ku północy i ukrył się w dawnych swych siedzibach w okolicy Mińska mazowieckiego.

W tym czasie, w początkach lipca, wskutek usunięcia się Lelewela do Zaboru austriackiego, nie było naczelnego wodza w Lubelskiem. Rząd narodowy powierzył to trudne i odpowiedzialne stanowisko Michałowi Janowi Heidenreichowi, znanemu w historii powstania pod przezwiskiem Kruka²⁾. Był to w tej porze młody, zaledwie trzydziesto-

¹⁾ Raport urzędowy, wydrukowany w «Dzienniku powszechnym» No 174 z r. 1863, straty polskie ocenia na 350 zabitych i rannych, i że zabrano do niewoli tylko 20, co dowodzi najoczywiście, że była to formalna rzeź bezbronnnych.

²⁾ Do kampanii Kruka posilkowaliśmy się materialem następującym: 1) *Jan hr. Roztworowski*, Pamiętnik (rękopism oryginalny). 2) «Doniesienia z placu boju». 3) «Niepodległość» No 3 do 7. 4) «W 40 rocznicę powstania» p. 258 (dość pobieżny opis starcia Fajslawickiego,

kilkoletni człowiek (ur. w Warszawie d. 19 września 1831 r.), z rodu cudzoziemskiego, bo ojciec, zdaje się, był spolonizowanym Niemcem, matka Francuską (z domu Chaignon). We wczesnej młodości wstąpił do wojska rosyjskiego, do pułku dragonów i dosłużywszy się stopnia kapitana, powołany został do szkoły sztabu w Petersburgu, którą ukończył, podobnie jak Sierakowski i wielu innych z tej doby Polaków, bardzo chlubnie w stopniu rotmistrza. O ile przypuszczać można, należał on do koła oficerskiego w Petersburgu, które pod kierunkiem Sierakowskiego, budziło patriotyczne uczucia w młodzieży polskiej, żyjącej w stolicy Caratu, i jeżeli wierzyć niektórym doniesieniom, miał być z tego powodu aresztowany w listopadzie 1862 r., ale zaraz potem wypuszczony został. Po wybuchu powstania zgłosił się sam, czy też wezwał go Wydział petersburski, a ponieważ oświadczył, że chce walczyć na Litwie, więc Ohryzko (stojący, jak wiadomo, na czele Wydziału petersburskiego) wysłał go do Wilna. Ale tam nie mogąc się doczekać, by go odpowiednio zużytkowano (tak znaczny był napływ oficerów na Litwę), udał się do Warszawy, i został najprzód po Lewandowskim wojewodą podlaskim, a po ustąpieniu Lelewela, także naczelnikiem sił zbrojnych województwa Lubelskiego. W Rządzie narodowym pokładano

i p. 175 (napad Ruckiego pod Chelmem). 5) Relacya rękopiśmienna Wł. Kornela Zielińskiego. 6) Relacya o oddziałach Ruckiego i Kruka, rękopis p. H. W. spisany dla autora. 7) Relacya p. Jasińskiego z Nałęczowa. 8) *J. Fr. v. Erlach*, «Die Kriegführung der Polen. 9) *A. Giller*, «Historya» II, 251 (opis porażki Fajslawickiej). 10) *B. Deskur*, «Pamiętniki» (Wydaw. mater. do historyi pow. II, 173 i nast.) 11) *Pawliszczew*, «Siedmiu», II, pod właściwymi datami. 12) *N. Berg*, «Polskoje wozstanie» III, 284 i n. (opis zasadzki Żyżyńskiej). 13) «Żurnal wojennych dziejstw». 14) *Katkov*, 1863 god. I, 606, 615, 623, 660, II, 876, 950 (szczegóły o zasadzce Żyżyńskiej). 15) «Dziennik powszechny» z r. 1863, oraz inne ówczesne czasopisma. 16) Liczne notatki rękopiśmienne. Parę szczegółów do życiorysu Kruka, znaleźliśmy w ohydym pamflecie *N. W. Gogola*, Jozafat Ohryzko p. 151. O zasadzce Żyżyńskiej wspomina także *Drążkiewicz*, Wspomnienia Czachowczyka p. 423.

wielkie na nim nadzieje, które w części zawiódł jako wódz, choć jako organizator okazał pewne zdolności. Mały, szczupły, ciemnowłosy, osobiście niewiele posiadał w sobie ducha wojskowego. Wszystkie relacye o nim mówią, że był tchórzem, co może przypisać należy chorobliwej nerwowości jego natury. Przed i w czasie boju bladł, trząsł się jak w febrze i całkowicie tracił przytomność. Przyczyniało się w części do tego cierpienie, jakiemu stale ulegał; miewał bowiem krwotoki, które odbierały mu siłę i energię, a nawet samowiedzę. „Sam nieraz widziałem (opowiada Deskur) po dłuższym marszu, całe siodło krwią zbroczone“. Jako człowiek był uczciwym i choć miliony przeszły przez jego ręce, umarł w ubóstwie, a oskarżenia o zdradę po porażce Fajslawickiej, niczem nie są uzasadnione. Z przekonania demokrata i czerwieniec, nie lubił szlachty, z ukorą na nią patrzył, niechętnie się o niej odzywał, acz żadnych nadużyć względem niej nigdy się nie dopuścił. W ogólności był to człowiek dobry, ale jako wódz nieudolny, drażliwy, słaby, i jak wszyscy ludzie miękkiego charakteru uparty, i ze znacznego rozwoju powstania w Lubelskiem należytych korzyści nietylko wyciągnąć nie umiał, ale owszem przyczynił się do jego upadku¹⁾.

Pierwotnie kręcił on się w okolicach Warszawy (za Wisłą) i w Podlaskiem, gdzie nawet stoczył parę drobnych utarczek (pod Mińskiem Mazowieckim, Żelechovem i Janowem), następnie w drugiej połowie lipca udał się w Lubelskie i nakazał koncentracją w okolicach Łęczny, trzem większym oddziałom, mianowicie: Krysińskiego, Ruckiego i Wierzbickiego, który niedawno wkroczył z Galicyi na

¹⁾ Nekrologi Kruka, pomieszczone po jego śmierci w gazetach lwowskich i krakowskich, siły powstańcze w Lubelskiem i na Podlasiu, w m. lipcu i sierpniu, t. j. przed klęską Fajslawicką, oceniają przesadnie na 6500 ludzi. Postarany się zrobić przybliżony, bo o dokładnym nie może być mowy, obrachunek tych sił. W owej chwili w obu rzeczonych województwach znajdowały się oddziały następujące:

czele przeszło 500 dobrze uzbrojonych i umundurowanych ludzi, i po forsownych marszach, dla odsadzenia się od granicy, spoczywał znużony w lasach należących do wsi Nadrybia, niedaleko Łęczny. Po drodze, znajdując się między Janowem Ordynackim a Kraśnikiem, uczynił on zasadzkę d. 18 lipca w lesie, należącym do wsi Struża-Polichna, na oddział rosyjski, złożony z 4-ch kompanii piechoty i stu kozaków, prowadzący ze sobą znaczną sumę pieniędzy skarbowych, pod komendą majora Władyczki. Na nieszczęście psy, towarzyszące kozakom, zwierzyły ukrytych powstańców, tak, że nieprzyjaciół ostrzeżony, miał czas przygotować się do obrony. Rezultatem półtorgodzinnej walki było to, że Władyczko cofnął się pospiesznie do Kraśnika, kozacy zaś odcięci od swej piechoty, pogalopowali do Janowa, skąd wyruszyła pomoc Władyczce, ale oczywiście Wierzbicki nie czekał na to, lecz natychmiast po starciu rzucił się na prawo, mając zamiar prze-dostać się w Krasnostawskie, i właśnie teraz, koło 20 lipca,

1) Jankowski i Zieliński, po porażce pod Cze- stoborowicami, mógł liczyć zaledwie . . .	300 ludzi
2) Wierzbicki według obliczenia Deskura (Pam. II, 172) sam zaś Wierzbicki w raporcie swym do Rz. Nar. o potyczce pod Strużą- Polichną («Niepodległość» No 3) ocenia swe siły na 350 ludzi. Później jednak mógł przez napływ ochotników wzmocnić się, i dlatego poszliśmy za podaniem Deskura	536 >
3) Straż przyboczna Kruka	130 >
4) Rucki, Lutyński, Jaroeki	1.200 >
5) Krysiński	około 400 >
6) Grzymala	150 >
7) Inne drobne oddziały (między niemi Ćwieka (Cieszkowskiego) w przybliżeniu . . .	500 do 600 ludzi
Razem więc	3.216 do 3.316 ludzi

Zatem z pewnością ogół sił powstańczych na Podlasiu i w Lu-belskiem, w lipcu i sierpniu nie przenosił 4.000 ludzi, wszystkich trzech broni (strzelców, kosynierów i jazdy).

znajdujemy go, znużonego mocno, odpoczywającego w lesie Nadrybskim¹⁾.

Kruk udał się najprzód do Krysińskiego, z którym spotkał się w Kaniowie we Włodawskiem, i z nim już po-dążył ku lasom Łęczyńskim. Dążył tam także Rucki, tak że ogółem zebrało się w tych stronach przeszło 1.500 zbroj-nych. Ten ostatni dowódzca powstańczy, był z pomiędzy tu zebranych, może najlepiej wykształconym wojskowo oficerem, widział wojnę i rozumiał ją dobrze, tylko że tego wykształcenia nie popierał talentem, którego nauka i do-świadczenie nie da, który jest darem Bożym, łaską jego, a nie rzeczą nabyć się mogącą. Brał on udział w kampanii węgierskiej i napisał nawet dzieło: „Bem w Banacie i Sie-dmiogrodzie“, pod którego komendą służył, dość cenione przez znawców, ale tej świętej iskry Bożej, która tworzy wielkich wodzów, w nim nie było. Niemłody już, z twarzą pomarszczoną, zgryźliwą, wątrobianą, pospolitą, ubrany w szarą kapotę, z wyglądem podstarościego wiejskiego, nie budził w żołnierzu ani ufności, ani zapału. Z natury leniwy i apatyczny, lubiał dobrze jeść, do zamożnych dwo-rów szlacheckich wstępować i tam niepomierne się obja-dać, co go czyniło ciężkim i gnuśnym. Nie było w nim energii i tego wszystko porywającego entuzjazmu, ko-niecznego w takich rozpaczliwych sprawach, jak powstanie; znać było, że chwycił za broń z poczucia obowiązku oby-

¹⁾ Kasy pod Polichną, która była głównym celem zasadzki Wierzbickiego, nie zdobyto wcale. Jeden z uczestników tego starcia, Ignacy Krauss, opowiada w książce: «W 40 rocznicę powstania» p. 210, że w chwili gdy walczone zawzięcie koło taboru rosyjskiego «nad-ciągnął pusty wóz wiozący rannego sierżanta moskiewskiego z obwią-zaną głową i twarzą i jęczącego żałośnic. Rzucono się do wozu. Mo-skale zamiast bronić go, zaczęli tylko wolać: «pomilujcie, to bolno-j czelowiek!» Spojrzawszy pobieżnie na wóz, zlitowano się i przepu-szczono go; o dalsze wozy wrzała znów walka. Kasy nigdzie nie było. Gdy jednak «bolno-j czelowiek» był dość daleko, zatrąbili Mo-skale do odwrotu i spieszenie ustąpili. Ten «bolno-j czelowiek», miał całą kasę przy sobie». Anegdotę tę przytaczamy na odpowiedzialność p. Ignacego Kraussa.

watelskiego, a nie z nagłego porywu serca. Z tem wszystkim, dzięki znajomości rzemiosła wojennego, był to jeden z lepszych dowódców powstania, a niektóre jego marsze i ruchy, wykonane były wzorowo¹⁾. Z początku był adjutantem Czechowskiego, potem sformowawszy oddział, oddać go musiał Lelewelowi. Teraz po raz drugi sformował partycję, którą już samoistnie, w stopniu majora komendował. Trzymał on się zasady unikania bitew, a natomiast nieustannego niepokojenia nieprzyjaciela, przez ciągle wysyłanie podjazdów; bić się zaś tylko wtedy, gdy zwycięstwo było pewnem. Natomiast przywiązywał wielką wagę do ćwiczeń wojskowych, które w jego oddziale ciągle się odbywały. Wobec jednak jego apatyczności i braku energii, służba w partyi szła ospale, organizacja była licha, brak karności zupełny, w skutek czego nie miał on ani dzielności nazewnątrz, ani spójni wewnątrz, tak koniecznej w wojsku.

Zebranie się w okolicach Łęczny, tak znacznej ilości powstańców, wywołało ruch w załogach rosyjskich. Zdaje się jednak, że wiedziały one tylko o partyi Wierzbickiego, który, jakśmy rzekli, odpoczywał po forsownych swych marszach od granicy galicyjskiej, w lesie Nadrybskim. Przeciw to niemu więc głównie wyruszyła z Radzyna na Parczew, w kierunku Łęczny, kolumna, złożona z 4-ech kompanii piechoty, szwadronu ułanów, odpowiedniej ilości kozaków i nieznanej nam bliżej liczby dział, pod wodzą majora Zawadzkiego. Kruk ze swoją jazdą, połączył się z Ruckim i Krysińskim w smolarni, zwanej Skarbina, leżącej na kilkunastu morgach karczunku w głębi lasów Łęczyńskich, i uwiadomiony przez władze cywilne o marszu nieprzyjaciela, postanowił go wspólnymi siłami wszystkich czterech oddziałów zaatakować. Wybrano na ten cel pozycję w pobliżu wsi Kaniowoli, w przesmyku między lasem a jeziorem Dratowskim. Ułożono się, że podczas gdy

¹⁾ Czytaj opis jego marszu i kontramarszu w lasach Puchaczewskich u *Brlacha*: «Die Kriegerführung der Polen», p. 79.

Rucki, Krysiński i Kruk zaczepi nieprzyjaciela od czoła, Wierzbicki zajmie mu tył i w ciasnym onym przesmyku zgniecie zupełnie. Plan był dość zręcznie pomyślany, ale wykonanie jego było słabe i wahające się. O świcie bowiem d. 23 lipca¹⁾, gdy głośna w Lubelskim kurierka, pani Piotrowiczowa (zwana w oddziałach z powodu swej tuszy „Grubopiotrowiczowa“), doniosła o zbliżaniu się nieprzyjaciela, Kruk zapadł na swą zwykłą chorobę, był prawie nieprzytomny, nie wychodził ze swego baraku i nie dawał żadnych rozkazów. Wierzbicki stosownie do umowy, czy też nie mogąc się doczekać rozkazów, wyruszył wcześniej z lasów Nadrybskich za folwarkiem Bogdanką i zgodnie z planem przeszedł trakt z Włodawy do Łęczny i pomaszerował ku wsi Kaniowoli. Tu natknął się na kolumnę nieprzyjacielską, a pewny poparcia śmiało jej stawiał czoło. Powitany jednak w opłotkach wsi kartaczami i rżęsistym ogniem piechoty, mając w popłochu ugrzęźnięty w bagnach tabor, usiłuje go ratować, sam ranny ciężko w nogę, straciwszy około stu ludzi, zmuszony jest w zupełnym nieładzie ustąpić ku wsi Załucze, gdzie jeden z jego podkomendnych oficerów, Wagner, napróżno stara się uciekających zatrzymać i jaki taki ład zaprowadzić, zwłaszcza, że nie jest ścigany i słyhać gęstą palbę znowu. To bił się Rucki, który usłyszawszy ogień w Kaniowoli, ruszył na koniec na pomoc Wierzbickiemu. Ale przyszedł zapóźno; gdy się zjawił pod Kaniowolą już tamtego nie było. Krótka ale żwawa obustronna strzelanina, uprawia oddział w pewien nieład. Krysiński, stojący na czele swej partyi, odmawia pomocy, tłumacząc się brakiem rozkazu i dodaje złośliwy komentarz: „zobaczmy jak się popisie Heidenreich“. Na usilne nalegania wysła wreszcie Bardeta z je-

¹⁾ Data tego starcia jest niepewna. Według relacji rosyjskich (*Pawłyszczew* II, 144) miało się ono odbyć d. 8/20 lipca. Podania polskie (relacja rękopiśmienna p. H. W.) mówią o 23 lipca. «Niepodległość» No 3 naznacza je na 24 lipca. *Chołodecki* (Księga pamiątkowa, 61) na 26 lipca. Najprawdopodobniejszą jest data 23 lipca.

dną czy dwoma kompaniami, co ułatwia Ruckiemu odwrót, odbywający się w nieładzie i widocznym popłochu. Nieprzyjaciel, spostrzegłszy zapewne, że nie z jednym Wierzbickim ma do czynienia, nie ściga ustępujących wcale, lecz przezornie rusza w swą drogę. Kruk owego dnia chory na swe zwykłe krwotoki, tchórzem podszyty, w samym początku starcia, jak się zdaje, uciekł ze swym sztabem w kierunku Sosnowicy, i blady, drżący pytał przyjeżdżających od strony Kaniowoli: „czy strzelają jeszcze? czy zabitych dużo“ i t. p. Później winę zwał na kuryerkę Piotrowiczową, aresztował ją nawet i chciał powiesić, ale krokiem tym świadomych rzeczy nie oszukał. Rucki, zapewne zniechęcony, a może też żywiący właściwą wszystkim dowódczom, chęć działania pojedynkiem i samoistnie, odłączył się od Kruka i puścił w lasy Parczewskie, skąd niebawem zwrócił się ku południowi w okolice Chelma.

Kruk zaś z oddziałem Krysińskiego, eskortą swych ułanów, zwanych „krukami“, z partią Wierzbickiego, pozostającą z powodu rany naczelnika, otrzymanej pod Kaniowolą, pod dowództwem majora Wagnera, wreszcie z drobniejszymi oddziałami Lutyńskiego, Jarockiego i Grzymały, ściągniętymi po drodze, puścił się w okolice Janowa Ordynackiego w celu zbliżenia się do granicy galicyjskiej, skąd miano mu przysłać znaczną ilość broni. W pierwszych dniach sierpnia, stanął obozem we wsi Chruślinie, leżącej na zachód miasteczka Urzędowa, przy drodze do Józefowa nad Wisłą. Siły, jakimi rozporządzał, wynosiły około 1.600 ludzi wszelkiej broni (600 strzelców t. j. uzbrojonych w karabiny; 200 t. zw. „ptaszników“ t. j. posiadających strzelby myśliwskie; 600 koszyńców, i około 200 koni jazdy). Pułkownik rosyjski, znany nam już Miednikow, zwycięzca Zdąnowicza, Jeziorańskiego i Czechowskiego, czy miał jakie wiadomości o pobycie Kruka w Chruślinie, czy też wprost, jak utrzymują relacje rosyjskie, wyszedł w celu „poszukiwania band buntowniczych“, dość, że d. 3 sierpnia wyruszył z Janowa Ordynackiego na czele sześciu kompanii

piechoty i zapewne odpowiedniej ilości kozaków¹⁾. Kruk o marszu Miednikowa dowiedział się d. 4 sierpnia o godz. 8-ej rano i zdecydował się na przyjęcie walki. Pozycja była wyborna i w tej miejscowości parokrotnie już zachodziły utarczki. Pierwszą linię bojową tworzył oddział Krysińskiego; inne ustawione były za nim w rezerwie. Miednikow przenocowawszy w Urzędowie, i jak się zdaje, mając bardzo niepewne wiadomości o pobycie w tych stronach powstańców, natknął się na nich około południa w lesie Chruślińskim. Pierwszy jego atak Krysiński wytrzymał dzielnie, a gdy Miednikow wszystkie swe siły w ogień wprowadził, to samo zrobił i Kruk. Nieprzyjaciel potrzykroć odparty, począł ustępować w popłochu, ścigany zawzięcie przez powstańców na przestrzeni 12 wiorst, oparł się dopiero w Urzędowie, poniosłszy dość dotkliwe straty. Zaalarmowany nazajutrz w miasteczku o świcie, wylał z kotłów gotujące się śniadanie, spieszenie cofnął się do Kraśnika, gdzie Kruk nie myślał go zaczepiać, gdyż brakowało mu zupełnie amunicji. Jak wielkim musiał być Miednikow przejęty strachem, dowodzi to, że gdy tegoż 5 sierpnia nadeiagnął do Kraśnika pułkownik Ćwieciński z sześciu kompaniami piechoty, Miednikow licząc teraz przeszło 2.000 bagnatów nie chciał ponownie atakować Kruka, ale oddawszy Ćwiecińskiemu trzy kompanie swoje w tym celu, by siedł za śladem powstańców, sam z resztą zawrócił do Janowa.

Kruk także, pozbawiony nabojów, pomaszzerował ku Opolowi lękając się, by Ćwieciński wzmocniony teraz znacznie, nie zechciał go atakować. Broni miał podostatkiem, gdyż w Chruślinie przyszła ona w skrzyniach z Galicyi, ale brakowało, powtarzamy ładunków, a nadewszystko kapi-

¹⁾ Kruk w raporcie swym („Niepodległość“ No 5) powiada, że Miednikow miał 9 kompanii piechoty, 300 kozaków i 3 armaty, t. j. przeszło 2.000 ludzi. Jest to oczywista i zupełnie niepotrzebna przesada, gdyż Miednikow ze swemi 6 kompaniami (minimalnie 1.200 ludzi nie licząc kozaków) wyrównywał prawie siłom powstańczym, że nie bierzemy już w obrachunek lepszego uzbrojenia i wyćwiczenia wojskowego.

szonów. O stawieniu więc czoła Ówiecińskiemu, który zresztą siedł za powstańcami bardzo ostrożnie i w przyzwoitej odległości, nie można było myśleć, i Kruk, maszerując spieszenie ku Opolowi, był w rozpacz i zamierzał nawet rozpuścić piechotę, a z jazdą przerznąć się do Galicyi, ale niektórzy z dowódców, mianowicie Grzymała, i jak się zdaje, Krysiński¹⁾, opierali się temu i prosili Kruka, by wstrzymał się z rozpuszczeniem piechoty, dopóki wszelkie środki dla zaopatrzenia oddziału w amunicję nie będą wyczerpane, zwłaszcza, że liczono na to, iż bogaty właściciel Opola, Kazimierz Wydrychiewicz, mający obszerne stosunki a nadewszystko pieniądze, zdoła jakim

¹⁾ N. Berg, «Polskoje wozstanie» III, 289, utrzymuje, że odwiedził Kruka od zgubnego zamiaru rozpuszczenia piechoty Grzymała i Jankowski, który jakoby ze swym oddziałem, gdzieś na drodze, między Chruśliną a Opolem, miał się z Krukiem połączyć. Za tem podaniem poszli prawie wszyscy autorzy rosyjscy i polscy, piszący o powstaniu i twierdzą stanowczo, że w zasadzce Żyżyńskiej wziął także udział Jankowski i Zieliński. Pawłiszczew, «Siedmicy», II, 160, zapewnia nawet, że przepadł gdzieś ze zdobyczy Żyżyńskiej 60.000 rubli, zabrał Jankowski. Podanie to o udziale partyi Jankowskiego w boju Żyżyńskim, oparte jest głównie na raporcie samego Kruka, wydrukowanym w Nrze 5 «Niepodległości», w którym parokrotnie powtarza o majorach Jankowskim i Zielińskim, oraz zapewnia, że miał pod Żyżynem 1.400 strzelców, kiedy wiemy, że w Chruślinie liczył ich wraz z «ptasznikami», zaledwie 800. Jednakże mimo tak, zdawałoby się, kategorycznego twierdzenia samego wodza naczelnego boju Żyżyńskiego, stanowczo zaprzeczyć musimy, jakoby Jankowski był pod Żyżynem, a to nasze zaprzeczenie opieramy na danych następujących:

1) Przedewszystkiem raport Kruka jest niezwykle bałamutny i niejasny, pisany w pośpiechu i bez zastanowienia. Widocznie, jedno z tych zaćmień umysłu, o które Kruka oskarżają współcześni polscy pamiętnikarze, będące wynikiem jego choroby, wzięło tym razem górę i mając na myśli Krysińskiego, pisał o Jankowskim. Tak dalece np. myli się, że pisze stale: «Życzyn», zamiast «Żyżyn».

2) Wiemy skądinąd (Z. Kolumna, «Pamiętka» I, 63), że d. 5 sierpnia, a zatem na trzy dni przed bojem Żyżyńskim, Jankowski znajdował się w okolicach Kaluszyzna, gdzie poniósł dotkliwą porażkę. Niepodobna przypuścić zatem, ażeby w ciągu 48 co najwyżej godzin,

sposobem wystarać się o naboje i kapiszony¹⁾. Stanawszy w Opolu, Kruk niezwłocznie wysłał oficera na czele kilkunastu koni do Niezdowa, gdzie mieszkał Wydrychiewicz, ażeby go aresztował i przywiózł do Opola. Oczywiście rzecz, że to aresztowanie było pozorne, umyślnie z wielkim hałasem dokonane, ażeby Wydrychiewicza osłonić od odpowiedzialności przed władzami rosyjskimi²⁾. Tu właściciel Opola nazajutrz na skutek próśb żydów i obywateli miejscowych uwolniony, niezwłocznie udał się do Lublina i tam

mógł łączyć się z Krukiem, gdzieś między Chruśliną a Opolem, czyli żeby w tak krótkim czasie, po świeżej klęsce, przebiegł bez odetchnienia kilkadziesiąt mil, a przeszedłszy je stanął znowu do boju.

3) W bardzo wiarogodnych pamiętnikach hr. Jana Roztworowskiego, który był naocznym świadkiem walki pod Żyżynem, niema wzmianki o Jankowskim. Pamiętnikarz wyraźnie powiada: «tu zastałem z półtora tysiąca ludzi różnej broni, strzelców, kosynierów, jazdy, należących do oddziału Krysińskiego, Wagnera, Lutyńskiego, Grzymale». O Jankowskim ani słowa.

4) W «Wiadomościach z pola bitwy» z d. 11 sierpnia, donoszących o tryumfie Żyżyńskim, czytamy, że udział w tym boju brały partye: «pulkownika Grzymale, majorów Krysińskiego i Lutyńskiego». O Jankowskim niema wzmianki.

Z tych wszystkich powodów zaprzeczyć musimy dość rozpowszechnionej opinii, jakoby pod Żyżynem znajdował się także Jankowski i Zieliński.

¹⁾ Berg l. c. III, 289 utrzymuje, że Wydrychiewicz był w tym czasie w «bandzie Kruka», z czego pulk. Struś («Ludzie i wypadki» I, 200), przepisujący Berga, zrobił «jednego z żołnierzy oddziału». Wydrychiewicz należał wprawdzie do organizacji cywilnej, ale nie był nigdy w oddziale i mieszkał w tej porze w Niezdowie, majątku swym pod Opolem. Drobny to szczegół, ale starcie Żyżyńskie opłcone jest takim mnóstwem fałszów, że chcąc je rozplątać musimy najdrobniejsze podanie ściślej poddawać krytyce.

²⁾ Bezimienny, ale dobrze poinformowany autor w «Warszawskim Dniewniku» (No 171 z r. 1866) opowiada, że Wydrychiewicz jadąc pod strażą z Niezdowa przez Opole, stał w bryczce i głośno błagał o łaskę, przyczem wyrzucał w słowach ostrych mieszkańcom, że go przed Krukiem oskarżyli niewinnie; że Kruk nakoniec na prośbę żydów opolskich i obywateli okolicznych uwolnił Wydrychiewicza, dawszy mu wprzód publicznie surowe napomnienie (strogij wygovor).

przy pomocy żydów nabył od wojska garnizonu lubelskiego znaczną ilość naboju i pistonów (tych ostatnich podobno 15.000 sztuk), i z nimi, w towarzystwie jakiejś damy, prawdopodobnie kuryerki Piotrowiczowej, przybył do obozu Kruka¹⁾, który tymczasem spędziwszy podwody, ruszył z Opola na Kazimierz do Puław, a stąd miał zamiar, o ile sądzić można z niepewnych podań, przerzucić się pod Baranowem za Wieprz i tym sposobem uwolnić się od pościgu Cwiścińskiego.

Tutaj zaszła okoliczność niespodziewana, która zupełnie zmieniła zamiary Kruka i dała mu sposobność do osiągnięcia jednego z największych tryumfów powstania z jednej strony, z drugiej przyczynić się do oplakanych dla kraju całego następstw.

Zdarzyło się bowiem, że czy sam Kruk, czy też jego podjazd znajdując się we wsi Żyżynie, leżącej przy go-

¹⁾ Tak opowiada *Berg* III, 290 i wspomniany bezimienny autor w «Warsz. Dniwniku». *Berg* dodaje, że Wydrychiewicz pociągnięty do odpowiedzialności (uwięziony został w cytadeli warszawskiej), «przy pomocy jakichś sił» został uwolniony. Temi «siłami» były pieniądze, bo wiemy skądinąd, że grubo musiał się opłacić Tucholce i innym członkom komisji śledczej. *Berg* opowiada, że generał Chruszczew, naczelnik wojenny Lubelski, zapewniał go, jakoby używał Wydrychiewicza w charakterze szpiega wojennego, i że wątpli, by mógł dopuścić się zdrady. Tucholka znowu miał mówić, że jakkolwiek Wydrychiewicz zdołał się wywinąć, jednakże niewątpliwie był winnym.

Dodać musimy od siebie, że jakkolwiek Wydrychiewicz, pochodzący z drobnych mieszczan miasteczka Secemina w Krakowskim, był dorobkiewiczem, człowiekiem lichym, ciemnyścieniem chłopów, aferzystą i rozpustnikiem, to jednakże wątplimy, by był prostym i wstrętnym zdrajcą, jakim go za Chruszczewem czyni *Berg*. Nie ulega wątpliwości, że był to człowiek lichy. *Wł. K. Zieliński* w relacji rękopiśmiennej, skreślonej dla autora niniejszego, zapewnia, że Wydrychiewicz z początku powstania wezwał ku swej obronie wojsko z Lublina i sam uciekł do tego miasta. Jako osobistość małej wartości moralnej, nosił zapewne płaszcz na dwu ramionach, Bogu i dyabłu świeczkę stawiał, ale to jeszcze nie dowodzi, by człowiek bogaty i niezależny służył Chruszczewowi za szpiega.

ścińcu, prowadzącym z Lublina do Warszawy, schwycił na miejscowej stacyi pocztowej sztafetę, która wiozła rozkaz cyfrowany rosyjskiego naczelnika wojennego Lubelskiego, generała Chruszczewa, do komendanta twierdzy Demblińskiej (Iwangrodzkiej), ażeby wysyłka t. z. poczty wojennej była wstrzymana z powodu pojawienia się w tamtych okolicach znacznych „band“¹⁾. Poczta wojenną nazywano przesyłanie pieniędzy i wogóle przedmiotów wartościowych pod odpowiednią eskortą wojskową, co się praktykowało już od paru miesięcy. Po wybuchu powstania takie przesyłki wpadały bardzo często w ręce powstańców, tak że z początku urzędy pocztowe nigdzie nie chciały przyjmować listów pieniężnych, których zabór narażałby pocztę, zgodnie z przepisami, na wynagrodzenie straty z własnej kieszeni. Już d. 28 stycznia zarząd pocztowy wydał rozporządzenie wstrzymujące przyjmowanie rzeczonych posyłek, które to rozporządzenie zmodyfikowano w d. 28 kwietnia o tyle, że polecono przyjmować przesyłki, o ile nie będzie im groziło niebezpieczeństwo zabrania. Mimo to dość często przytrafiał się zabór listów pieniężnych przez powstańców, zwłaszcza, jeżeli to były sumy skarbowe, niekiedy nawet dość znaczne²⁾. Następstwem takiego stanu

¹⁾ Kruk w swym raporcie («Niepodległość» No 5) wyraźnie powiada, że «przechodząc przez szosę warszawsko-lubelską koło Życzyna (powinno być: Żyżyna) z korespondencyi, zabranej na stacyi pocztowej, pomimo, że była hieroglifami (sic) pisana, dowiedziałem się» i t. d. *Berg* l. c. krótko pisze, że «depeszę tę (t. j. Chruszczewa) przejęto». Cytowany przez nas parokrotnie anonim w «Dniwniku Warsz.» powiada, że jeszcze w Opolu Wydrychiewicz uwiadomił Kruka, że wkrótce będzie szła poczta pieniężna z Demblina do Lublina; że następnie po powrocie swym z tego miasta z zakupioną amunicją, wiadomość tę potwierdził. Może jest w tem nieco prawdy, którą Kruk w swym raporcie ukrył, nie chcąc narażać Wydrychiewicza na ciężką odpowiedzialność.

²⁾ I tak: d. 22 maja na trakcie między Zambrowem a Łomżą zabrano rs. 700, należących do magistratu m. Ciechanowca. Między Biłgorajem a Zwierzyńcem zabrano rs. 602 kop. 46; w Biłgoraju samym wzięto kopert i marek za rub. 28. Między Stepankowicami

rzeczy było to, że ważniejsze korespondencje rządowe i przesyłki pieniężne, leżały nieraz po kilka dni, a nawet tygodni, nim przy jakiejś okazji, z zapewnieniem bezpieczeństwa, mogły być dokąd należy wysłane. Doszło do tego, że w ciągu stycznia i lutego liczba korespondencji rządowej i przesyłek pieniężnych, które leżały w urzędzie pocztowym warszawskim w oczekiwaniu bezpiecznej okazji, doszła do niebywalej cyfry 55.000 sztuk. Prócz tego władze rosyjskie dość wcześnie się spostrzegły, że większość rozkazów, odezw i rozporządzeń Rządu powstańczego, bywa wysyłana przez pocztę, zwykle w kopertach zapieczętowanych odciskiem herbu państwowego, znajdującego się na monecie kopiejkowej, i tym sposobem uchodziły one za korespondencją rządową rosyjską. Powstańcy przejmowali nie tylko listy pieniężne, ale w ogóle wszelkie korespondencje (w ciągu 5 dni np. od d. 23 do 28 lipca, takich wypadków było 28). Taki stan rzeczy nie mógł trwać dalej i należało coś na to poradzić. Stronnictwo wojskowe, pragnące zniszczyć autonomię Królestwa, domagało się, aby zarząd pocztowy był oddany w ręce miejscowych naczelników wojennych, którzy, jak mówiono, „potrafią zmusić urzędników pocztowych do należytego pełnienia ich obowiązków“. Na szczęście W. ks. Konstanty nie posłuchał tych interesowanych rad i postanowił w pierwszych miesiącach powstania, ażeby co jakiś czas, gdy się nagromadzi pewna liczba listów i pakietów pieniężnych, przesyłano je pod eskortą wojskową do miejsca przeznaczenia. Ścisłych przepisów co do liczebności takiej eskorty wojskowej nie było. Zwykle poczta, idąca z Warszawy do Lublina i Radomia (bo w tej chwili o to nam głównie idzie), otrzymywała konwój z załogi warszawskiej, który winien był rzezoną pocztę odprowadzić do Garwolina. Tutaj oczekiwała

a Lublinem wzięto rub. 4.343. Po raz trzeci w Biłgoraju rub. 2.581 kp. 86 $\frac{1}{2}$. Między Rokicunami a Łodzią rub. 30.949 kp. 27 i t. d. Wszystkie wiadomości o pocście, zaczerpnęliśmy z akt b. Komisji Skarbu; z *Berga* l. c. III, 285 i z *Katkowa* 1863 god., II, 596, 606, 623 i t. d.

już eskorta z okręgu wojennego Lubelskiego, która towarzyszyła przesyłkom do Demblina (Iwangrodu), skąd znowu pod świeżą osłoną szły one albo do Radomia, albo do Lublina. Sprawę liczebności takich eskort uregulowano dopiero w połowie lipca. Kancelarya namiestnika wydała odpowiednie rozporządzenia tak co do liczby wojska, mającego konwojować pocztę, t. j. najmniej dwie kompanie piechoty i setka kozaków; wymieniła punkta, w których mają być te eskorty luzowane, oraz dni, na cały rok z góry, w których poczta pieniężna winna była wychodzić z Warszawy. Z powodu jednak niedbalstwa i nieładu, panującego w sztabie warszawskim, komendanci załóg w Demblinie i Lublinie, których właśnie miała dotknąć katastrofa Żyżyńska, przepisów tych wcale nie otrzymali i rzeczy za- leżały od widzimisię lub chwilowej liczebności załóg w dwu rzeczonych miejscowościach.

Taki był stan rzeczy co do posyłek pocztowych, gdy d. 4 sierpnia wyruszyła z Warszawy eskorta, wioząca ze sobą znaczną ilość pieniędzy, a mianowicie: 125 tysięcy rubli, które przesyłała intendtura wojskowa warszawska do Lublina, i 72.920 rubli, jak się zdaje, sum prywatnych, i 3.080 rubli różnych wartościowych pakietów, ogółem 201.000 rubli ¹⁾, o czem naturalnie uwiadomiono generała Chruszczewa w Lublinie, a ten komendanta Demblińskiego, ażeby we właściwym czasie, pod odpowiednią osłoną pocztę tę przyjął i odesłał następnie do Lublina. Jakoż d. 7 sierpnia poczta rzeczona przybyła szczęśliwie do twierdzy Demblińskiej i stosownie do rozkazu w nocy z d. 8 na 9 sierpnia wysłaną została dalej traktem Lubelskim. Eskortowały ją dwie kompanie piechoty (jedna saperów, druga załogi fortecznej), dwa działa i 15 kozaków (było ich w twier-

¹⁾ Taką cyfrę podaje *Pawliszczew* „Siedmicy“ II, 154. Kruk w swym raporcie nie wymienia sumy zabranej. Skarb Królestwa musiał osobom prywatnym zwrócić stratę w sumie 75.067 rub. 45 kop. (Archiwum Komisji Skarbu). Suma ta różni się od wykazu Pawliszczewa tylko o 67 rub. 45 kop. jest więc prawdziwą.

dzy zaledwie 35-ciu), pod dowództwem porucznika saperów Laudańskiego (źródła rosyjskie zwą go Lawdańskim¹⁾). Był to młody człowiek, Polak, a raczej, jak się zdaje, Litwin, a choć jako Polak zapewne małej wartości, odznaczał się jednak odwagą i zdolnością, ale mało miał doświadczenia. Oddano mu dowództwo dlatego, że w tej chwili w twierdzy nie było starszego nadeń oficera²⁾. Wśród tego, gdy się ta eskorta wybiera w pochód, generał Chruszczew w Lublinie otrzymuje od pułkownika Cwiecińskiego doniesienie, że „idzie śladem wielkich band“, i że te bandy maszerują ku Puławom. Chruszczew w słusznej obawie, by poczta z Laudańskim nie była zagrożona od tych „wielkich band“, natychmiast wysyła do Demblina sztafetę z rozkazem cyfrowanym do komendanta, ażeby „wstrzymał wysyłkę poczty“. Depesza ta niedoszła nigdy do rąk komendanta Demblińskiego, gdyż Kruk przejął ją w Żyżynie i eskorta Laudańskiego spokojnie wyruszyła w drogę. Jak zwykle w takich razach, korzystając z bezpieczeństwa podróży, wyprawie towarzyszyły w powozie dwie kobiety rosyjskie, jedna z nich z mężem, podobno pułkownikiem i jakiś żyd z towarami.

Tymczasem Kruk odczytawszy „pisaną hieroglifami“ depeszę Chruszczewa, postanowił uczynić na Laudańskiego zasadzkę i „odebrać od Moskwy pieniądze“, które mu były „bardzo na broń potrzebne“, jak się wyraża w swym raporcie. Rzecz mogła się udać tylko przy energii i szybkości działania, gdyż Cwieciński, idący „śladem wielkich band“,

¹⁾ Kruk w swym raporcie ocenia eskortę na 2 kompanie piechoty, 3 partye(?) urlopowanych, przeznaczonych na instruktorów do fortce(?) i 79 garnizonowych(?) żołnierzy z 2-ma działami i 40 kozakami, razem 1.000 ludzi. *Pułkownik Struś* (l. c. I, 201) przeznacza tę wygórowaną cyfrę do 800 ludzi. Źródła rosyjskie jednomyślnie podają 2 kompanie piechoty i 15 kozaków, co razem ze służbą artyleryjską mogło wynosić około 500 ludzi.

²⁾ *Berg III*, 288 powiada, że mogący objąć komendę młodszy oficer sztabu forttecznego, był wtedy wysłany do Kozienic, skąd wrócił dopiero d. 10 sierpnia.

znajdował się już d. 8 sierpnia w Opolu, skąd tegoż dnia wyruszył do Kazimierza, gdzie znalazł się nazajutrz i po południu na Puławy dotarł do Żyżyna. Gdyby więc walka z Laudańskim przeciągnęła się dłużej, Kruk mógł mieć na karku Cwiecińskiego. Całe szczęście, że ten pułkownik rosyjski, mający pod sobą przeszło półtora tysiąca bagnetów, szedł „śladem wielkich band“, bardzo wolno, ostrożnie, z widoczną obawą i wszędzie zapóźno przychodził. Ale nie tylko od tej strony zagrażało Krukowi niebezpieczeństwo. W miasteczku Kurowie, odległym od Żyżyna zaledwie o 14 wiorst (dwie mile polskie), stał major Lebedyński z dwoma kompaniami piechoty i odpowiednią ilością kozaków. Kruk więc słusznie mógł się obawiać, że w chwili gdy walczyć będzie z Laudańskim, może nadbiec Lebedyński i wziąć go od tyłu w uścisk duszący. Na dobitkę posiadał on tylko po 7 ładunków na strzelca, i wobec tych wszystkich warunków zasadzka wtedy mogła się powieść, jeżeli będzie wykonana energicznie, nieprzyjaciela za jednym ciosem powalony i tak szybko, by nie mieli czasu doskoczyć mu z pomocą ani Lebedyński z Kurowa, ani Cwieciński z Puław. Z tem wszystkiem wódz powstańczy urządzając zasadzkę w nocy z 8 na 9 sierpnia, postanowił nie dłużej czekać na pojawienie się Laudańskiego z pocztą, jak do godz. 5-ej rano d. 9 sierpnia; gdyby do tej pory nieprzyjaciela nie nadszedł, miał zamiar ruszyć przez Baranów za Wieprz.

Kruk zająwszy wieczorem d. 8 sierpnia Żyżyn, zostawił tu większą część swych żołnierzy, a do wykonania zasadzki wybrał ze wszystkich oddziałów najlepszych i najdzielniejszych ludzi, samą „śmietankę“, jak się wyraża pamiętnikarz współczesny, oddał im wszystkie prawie, jakie posiadał ładunki, i uszykował ich w lesie wzdłuż szosy, między wsią Moszczanką a Żyżynem, w odległości czterech wiorst od tej ostatniej osady. Pozostałym zaś w Żyżynie polecił czekać na koniec walki, w razie ukazania się nieprzyjaciela cofać się pospiesznie, gdyż poprostu nie było amunicji. Zasadzkę samą w ten sposób urządził: Lutyński

ze swoimi ma stanąć w poprzek gościńca, czołem do zbliżającego się nieprzyjaciela i w odległości wiorsty od samej zasadzki, którą, jakśmy rzekli, rozciągnął wzdłuż szosy. Plan był taki, ażeby przepuścić obok siebie nieprzyjaciela i gdy ten zawikła się w bój z Lutyńskim, z ukrytymi w zasadzce zająć lewem i prawem ramieniem naprzód, zając skrzydła i tyły wroga i dosiebnym, potężnym ciosem zgnieść wszystko na krwawe błoto. Noc była cicha i ciepła; ustawiono się w gęstym, sosnowym lesie i czekano w dręczącym niepokoju mającej się rozpocząć śmiertelnej tragedii.

Tymczasem Laudański maszerował ze swymi leniwo i niedbale. Większość jego żołnierzy była pijana; kolumna rozciągnęła się w długą kioskę, posuwała się bezładnie ze śpiewami i krzykami. Na 18-ej wiorście od Demblina, niedaleko wioski Kośmina, kozacy schwytali wózek, na którym jechało pospiesznie dwu powstańców uzbrojonych. Przyprawieni do Laudańskiego zeznali, że jadą do oddziału Jankowskiego, który jakoby znajdować się ma w miasteczku Baranowie, w rzeczy zaś samej jechali do Kruka. Laudańskiemu zeznanie to wydało się kłamliwym, podejrzewał, że ów oddział powstańczy w Baranowie, według zeznań schwytanych liczący 250 zbrojnych, zostaje zapewne pod dowództwem nie Jankowskiego, ale kogo innego. Zrazu w usprawiedliwionej obawie narażenia siebie i powierzonych mu pieniędzy na niebezpieczeństwo, zamierzał wstrzymać marsz swej kolumny, wysłać ku Baranowu kozaków dla zasięgnięcia bliższych wiadomości o znajdujących się tam powstańcach, wreszcie dać znać o wszystkim do Demblina. Ale z drugiej strony przyszło mu na myśl, że jest Polakiem, że gdy powstrzyma marsz w obliczu nieprzyjaciela, żołnierze podejrzewać go będą o zdradę, odmówią posłuszeństwa, spowoduje to nieporządek i nieład; że bądź co bądź, wobec tego lepiej iść naprzód. Mściło się tu na tym nieszczęśliwym poruczniku jego położenie fałszywe, że jako Polak, w chwili strasznych konwulsji narodowych, znajdował się w szeregach nieprzyjacielskich; mściła się, zaszczipiona w tej porze w żołnierzach rosyjskich, nie-

ufność do swych zwierzchników, których stale posądzali o zdradę, zwłaszcza jeżeli tymi zwierzchnikami byli Polacy; mściła, konieczne następstwo tej nieufności, krzyżująca niekarność armii rosyjskiej. Jakkolwiek bądź, Laudański ścieśnił swą rozwleczoną kolumnę, uformował ją w szyk bojowy ze strażą przednią i tylną, z flankierami kozackimi po bokach; dwa furgony pocztowe umieścił we środku pod osłoną rekrutów batalionu iwangrodzkiego; podchorążemu Nikolskiemu kazał działa nabić kartaczami i ruszył naprzód.

Była już godz. 5-ta rano, dzień się robił chłodny i wietrzny, gdy Laudański zbliżył się do zasadzki. Powstańcy znużeni oczekiwaniem, dygoczący od chłodu i rosy porannej, w nerwowym nastroju¹⁾, nie wykonali zamierzonego planu. Żołnierze z oddziału Jarockiego, stojący na przedzie, szpicę kozacką wprowadzić przepuścili koło siebie, ale nie czekali na to, aż Laudański zetknie się z Lutyńskim, tylko przesuając się obok nich kolumnę nieprzyjacielską, odrazu powitali morderczym, na blizki dystans, bo zaledwie na 30 kroków, wymierzonym ogniem. Kule polskie w jednej chwili powaliły prawie wszystkie konie przy działach i furgonach, w szeregach rosyjskich wszczął się rwący zamęt. Laudański wstrzymał kolumnę, działa kazał odprzodkować i sypać kartaczami w stronę, skąd najgęstszy szedł ogień; poczem część saperów i kompanii fortecznej rozsypał w tyraliery na prawo szosy; podporucznik Toll z tyralierami stawiał czoło od lewego skrzydła. Pozostałym żołnierzom, przeważnie rekrutom pod wodzą majora Semenowa nakazano strzedz furgonów i dział. Ale popłoch był tak wielki, że większość żołnierzy pokryła się w rowach przydrożnych, skąd żadną siłą nie można ich

¹⁾ N, Berg l. c. III, 292, nie wiemy na jakiej podstawie utrzymuje, że «w bandach, czekających na nasz (t. j. rosyjski) oddział tylko do godz. 5, okazał się niepokój. Chciały już uchodzić i naczelnicy nie mało mieli pracy, żeby utrzymać ludzi na miejscu w jakim takim porządku, jeszcze na godzinę lub półtorej». W znanych nam źródłach polskich, niema o tem żadnej wzmianki.

było wypędzić. Napróżno Semenow rąbał ich szablą, jeden z kozaków okładał batogiem, Laudański groził bagnetem, ruszyć się nie chcieli. Mała tylko ich garstka broniła się uparcie, ale i ci tak dalece stracili przytomność, że wielu naboje kładło do luf kulą naprzód. Kozacy, przepuszczeni przez zasadzkę, w części uciekli, w części natknęli się na Lutyńskiego, który ich schwycił i odrazu powywieszał.

Tymczasem walka zacięta i krwawa wrzała dalej. Strzały kartaczowe zmusiły Wagnera, który stał z prawego boku nieprzyjaciela, do cofnięcia się nieco w tył, i Laudański zamierzał na czele swych saperów uderzyć bagnetem, gdy rozpaczliwe położenie jego lewego skrzydła pod Tollem, który poległ, pojawienie się na placu boju Lutyńskiego, wreszcie zajęcie tyłu przez Krysińskiego, zmusiło go do zaniechania wszelkiej myśli o ataku i skupienia się koło dział i furgonów. Tu bronił się dzielnie i uparcie; wytrzymał ośm gwałtownych ataków, zwłaszcza Krysińskiego. Mogła być godzina 9-a rano, gdy Kruk zaniepokojony zbyt przeciągającą się walką, albowiem lada chwila mógł nadciągnąć z Kurowa Lebedyński a Cwieciński z Puław z pomocą swoim, rozesłał adjutantów, ażeby dowódcy polscy zaniechali walki i ruszyli do Żyżyna. Ale walka już ustała. Żołnierzom rosyjskim zabrakło ładunków (mieli ich po 60 na karabin); armaty dawszy 140 strzałów, nie miały już naboju, a obsługa ich padła od kul. Laudański wobec tego kazał działa zagwoździć i zebrawszy koło siebie 80 najwaleczniejszych, wyrzekłszy do nich kilka słów zachęcających, rzucił się z bagnetem naprzód i szczęśliwie się przebił. Reszta pozostałych poddała się zwycięzcom.

Gdy Kruk w otoczeniu swych sztabowców przybył na pobojuwisko, oczy ich straszny zaprawdę widok uderzył. Naoczny świadek¹⁾, tak opowiada swe wrażenia: „garść piechoty rosyjskiej, czarna od dymu, stała ponuro,

¹⁾ J. hr. Roztworowski

z bronią opuszczoną na dół. Otaczał ich dosłownie wysoki wał trupów ludzkich, które leżały warstwami jedne na drugich. Konie artyleryjskie pobite, tarzały się w posoce własnej z porwanymi zaprzęgami; jaszczyki wywrócone w rowie obok powozu z pobitymi końmi, w którym dwie nieprzytomne i przerażone kobiety, jedna w wieku, druga młoda; na stopniach powozu z szablą w rękę i rozplataną głową mąż tej młodszej; dalej żyd nieżywy ze strachu, leżał na bryczce kupieckiej, a konie spokojnie skubały trawę w rowie. Wokoło zamęt, warta przy kasie, broniąca jej od rozdrapania, rozrywanie listów z pieniędzmi i mnóstwo strojów damskich, widocznie z Warszawy na Demblin do Lublina przesyłanych upominków. Piękne szale, palto-ciki, kapelusze, kołnierzyki, pantofelki zalegały całą szerokość szosy. Owe nieprzytomne dwie nieszczęśliwe kobiety, otrzymały od Kruka pozwolenie wybrania sobie dwu z pomiędzy jeńców, aby je odwieźli do Kurowa, lub gdzie zechcą, w powozie zaprzężonym w cztery ocalałe przy jaszczkach konie. Długo wahały się kogo wybrać, sądząc, że pozostali będą na śmierć skazani, lecz Kruk potrafił je przekonać, że nie złego im się nie stanie“.

Straty polskie w tym krwawym boju, wynosiły około 50 zabitych i ranionych; zato straty rosyjskie były bardzo znaczne. Kruk zapewniał publicznie, że do Demblina wróciło wszystkiego 43-ch i drugie tyle do Kurowa, z czem zresztą zgadzają się doniesienia rosyjskie¹⁾. Poledz miało 194 (w tem, według raportów rządowych, zginęło na miejscu 84, a 108 „przepadło bez wieści“ (!)) Do niewoli wzięto 150, z jeńcami tymi Kruk obszedł się bardzo łaskawie; powstańcy żartowali sobie z nich, ale dzielili się z nimi po

¹⁾ Pawliszczew, «Siedmicy» II, 153 zapewnia, że do Kurowa przybyło 85 żołnierzy (55 ranionych i 30 zdrowych), oraz 2 ranni oficerowie (zapewne Laudański i Nikolski). *Katow*, 1863 god. I, 615, w korespondencji z Warszawy tak samo podaje 85 ocalałych. Byli to ci, którzy przerzuceni się z Laudańskim.

koleżeńsku żywnością i wódką¹⁾; wreszcie Kruk obdarzyłszy każdego rublem, puścił ich na wolność. Kilkunastu wstąpiło do szeregów powstańczych. Przez uwolnionych Kruk przesłał do naczelnika wojennego w Lublinie, generała Chruszczewa, list, w którym uwiadamiając go, że kazał wziętych do niewoli żołnierzy, dwu oficerów i jednego lekarza, natychmiast uwolnić, że wszystkich rannych polecił umieścić po szpitalach i opatrzyć, pyta się: jak Chruszczew oceni ten postępek wobec ciągłego pastwienia się Rosyan nad rannymi i jeńcami polskimi? że mógłby w zamian żądać uwolnienia tych ostatnich, znajdujących się w Lublinie, ale zostawia to do uznania generała rosyjskiego²⁾. Oprócz jeńców zdobyto około 400 karabinów, dwie armaty zagwożdżone, które zrazu, jak się zdaje, zatopiono gdzieś w wodzie, ale potem wydobyto, gdyż w tych stronach, w okolicach Ryk, w gęstym lesie, urządzony był piec do lania armat, i usiłowano je naprawić, gdy się to jednak nie udało, zakopane zostały w ziemi, gdzie w pięć miesięcy później odnalazł je, zapewne przez zdradę, major rosyjski Władyczko³⁾. Ale najważniejszą zdobyczą były

¹⁾ N. Berg III, 295 opowiada, że jeden z oficerów powstańczych zbliżył się do wózka, na którym siedział wzięty do niewoli porucznik Konstantynowicz, i zapytał: «coż, będziesz pan teraz krzychał: wtoraja rota w piered!»

²⁾ List ten wydrukował «Czas» krakowski No 205 z 1863 r. Można go czytać także w przekładzie francuskim w «Ephémérides polonaises» (Juillet, Aout et Septembre) p. 124 i u Katkova II, 876 w przekładzie rosyjskim.

³⁾ O tej tajnej ludwisarni wiemy tylko tyle, że zostawała ona pod kierownictwem mechanika Francuza. Armatki robiono z rur wodociągowych, przygotowywanych w fabrykach na Solcu w Warszawie, oraz ze słupów wiorstowych i okręcano podwójnym drutem telegraficznym. Wylot i panewka były mosiężne. Armatki tych zrobiono ośm, a były tak lekkie, że jeden koń mógł je uciągnąć. Część ich zakopano w lesie między Żyżynem a Rykami, część w puszczy Kozienieckiej. Berg (l. c. III, 295) przytacza urzędową wiadomość o odszukaniu ich pod Rykami: «d. 9 stycznia 1864 r. oddział majora Władyczki ze wsi Ryk, znalazł zakopane na polanie w gęstym lesie pod kolonią Mejeszyn (sic) zabrane pod Żyżynem działa; okazało się 50

dwa furgony, zawierające pieniądze. Gdy Kruk przybył do tych furgonów, Krysiński, którego oddział pierwszy do nich dopadł, oświadczyć miał, że „pieniądze są u niego, że ogółem wynoszą one 140.000 rubli“. Gdzie się podziało 60.000 rubli, trudno dziś dociec; prawdopodobnie rozdrapali je żołnierze, którzy z oddziału Krysińskiego pierwsi się przy furgonach znaleźli¹⁾. W marszu z Żyżyna do Baranowa, cała droga, którą wyruszono po zwycięstwie, zasypała była kopertami o pięciu pieczęciach lakowych i listami z nich wydobytymi. Dość, że przepadły²⁾. Część 140.000 rubli

sztuk stopionego metalu i 30 porąbanych kawalków, pół jednoroga i armatka w rodzaju jednoroga górskiego, odlane tamże przez ludwisarnię Rusławicza(?) Piec znaleziono w tymże lesie».

¹⁾ Jan hr. Roztworowski w swych pamiętnikach powiada, że widział na własne oczy, jak warta przy furgonach z pieniędzmi (postawiona zapewne przez Krysińskiego) bronila je od rozdrapania, jak koperty rozrywano. Bezimienny, ale jak ze wszystkiego widać, dobrze poinformowany autor relacji o Żyżynie w «Dzienniku Warszawskim» (No 171 z 1866 r.) powiada: «pieniądze zabrał oddział Krysińskiego, który (oddział) za przykładem oficerów zrabował furgony», i tak samo jak Kruk w swym raporcie («Czas» krakowski No 186) zapewnia, że Krysiński oddał Krukowi: 140.000 rubli. (Kruk pisze: «dostało nam się co najmniej 140.000 rub. a 60.000 uważam za przepadłe»). Dalej, tenże autor opowiada, że «później Kruk dowiedział się, że u Krysińskiego zostało nieco pieniędzy i zażądał wyjaśnień. Krysiński przyznał się, że miał 5.000 rub. na potrzeby oddziału, że nie powiedział o tem Krukowi, bo bał się, że mu je odbierze. Wogóle posądzać Krysińskiego o ukrycie całej sumy 60.000 nie można. Zagranicą żył on prawie w nędzy, tak że zmęczony nią skorzystał z jakiejś amnestyi i wrócił do Królestwa. Jest podanie, za którego autentyczność nie ręczymy, że go rozstrzelano w cytadeli warszawskiej d. 12 maja 1877 r. Powodem takiej surowości miała być jego ucieczka z cytadeli, gdzie pierwotnie skazano go na wygnanie na Sybir. Złapano go w Skierniewicach, gdzie po ucieczce podobno dla braku pieniędzy, przez trzy dni przebywał. Ile w tem wszystkim jest prawdy, nie wiemy.

²⁾ Pisarze rosyjscy (Pawłiszczew II, 160 i korespondent z Warszawy do «Moskiewskich Wiedomości» twierdzą, że te 60.000 rs. zabrał Zieliński i Jankowski i uciekli z nimi za granicę. Jest to fałsz najoczywistszy, bo Zieliński i Jankowski nie byli pod Żyżynem i nie uciekali, ale walczyli w kraju do ostatka.

przesłana do Galicji, użyta została na formowanie oddziałów, część rozlała się niewiedomo na co i jak¹⁾.

Po krótkim odpoczynku na krwawym pobojuwisku Żyżyńskim, Kruk ze swymi pociągnął ku miasteczku Baranowowi. Trzeba się było spieszyć, bo Lebedyński z Kurawa, jeżeli dotąd nie nadszedł, to mógł lada chwila się zjawić z jednej strony, a Œwieciński z drugiej. Ten ostatni noc z d. 8 na 9 sierpnia przepędził w Kazimierzu i na

¹⁾ Ze 140.000 rub., które Krysiński wręczył Krukowi, ten 30.000 rub. dał w Wilczykach pod Łęczną, Bronisławowi Deskurowi z rozkazem, ażeby udał się do Galicji i za te pieniądze sformował oddział. Papierki były tak mokre, że woda z nich ciekła, gdyż ukryte były dla bezpieczeństwa w sadzawce. Deskur musiał je suszyć ostrożnie, w obawie by się nie porozlazily. (Obiegała wówczas pogłoska, że zbiegli z boju Żyżyńskiego oficerowie rosyjscy unieśli ze sobą z furgonu jeden kuferek z pieniędzmi, a Œigani rzucili je w wodę. Stąd «bumaŒki» były mokre). Resztę pieniędzy t. j. 110.000 rub. oddał Kruk, Gustawowi Zakrzewskiemu, ażeby je także przewiózł do Lwowa i tam trzymał w depozycie, gdyż Rząd narodowy zupełną mu (t. j. Krukowi) zostawił swobodę rozporządzania tym funduszem. Przywiezione przez Zakrzewskiego do Lwowa papierki składały się z kilku paczek, wszystkie były mokre i mocno pomięte, tak że trzeba je było suszyć i wygładzać. Operacji tej dokonywano przez dwie doby w mieszkaniu kupca Szwarca na placu Kapitułnym. Najgorzej z tej operacji wyszły asygnaty dziesięciorublowe i kupcy lwowscy brać ich nie chcieli, tak że, jak zapewnia jeden z trudniących się porządkowaniem «bumaŒek» (Sawa-Rudnicki) «trzeba było całego wpływu Kruka, ażeby puścić w kurs pewną część tych papierków». *Pułkownik Struś* (Ludzie i wypadki I, 203) powiada, że między zabranymi asygnatami były także fałszywe, »ale i te Œydzili kupowali najchętniej z małym odpustem«. Ruble wówczas stały dobrze, bo 1 zł. austr. 57 centów. Z tych pieniędzy Kruk dał RóŒyckiemu i Waligórskiemu na formacyę oddziałów 30.000 rub. — 30.000 rub. wręcone poprzednio Deskurowi (jak tenŒe zapewnia w swym pamiętniku (Wydaw. Materyałów do hist. pow. II, 183). Kruk odebrał od niego i pojechawszy do Wiednia wręczyć miał agentowi powstańczemu Józefowi Kwiatkowskiemu (Kupcowi z Warszawy, znanemu z wypadków w 1861 r.) na zakupno broni. Resztę zaś pieniędzy miał oddać komisarzowi Rządu Nar. w Krakowie Władysław Majewskiemu w depozyt do swego rozporządzenia. Tak twierdzi Deskur w cytowanym pamiętniku («powiedział [Kruk], że dał pieniądze *wszystkie* komisarzowi Rząd. Majew-

odgłos strzałów, który w czystem porannem powietrzu, aż tu dochodził, zerwał się i ruszył do Puław, bo sądził, że tam walka się toczy. Nie zastawszy tu jednak nikogo, pomaszerował do Œyżyna, gdzie około południa d. 9 sierpnia, t. j. w dzień boju, stanął, uszedłszy w ciągu jakichś siedmiu do ośmiu godzin przeszło trzy mile polskie. Spieszył więc jak mógł i jeżeli po potyczce Chruślińskiej zbyt ospale

skiemu w Krakowie») a slyszal to od samego Kruka, na którego naleŒał w r. 1883, aby starał się wyjaŒnić los zdobytych pod Œyżynem sum. Tymczasem *N. Berg* (l. c. III, 294) na podstawie relacji Rudnickiego utrzymuje, że Kruk dał Majewskiemu tylko 36.000 rub. na zakupno broni, a 32.000 zatrzymał na wydatki, o których «nikomu Œczegółowo nie mówił». Z tejŒe relacji Rudnickiego wiemy, że RóŒycki i Waligórski otrzymali na formowanie oddziału 30.000 rubli. W ogólnoŒci rachunek tak się przedstawia:

J. Kwiatkowski w Wiedniu otrzymał rub.	30.000
Wł. Majewski w Krakowie	36.000
RóŒycki i Waligórski we Lwowie	30.000
Razem	96.000

Brakuje więc 44.000 rub. o których niewiedomo gdzie się podziały, nie licząc 60.000 rub. przepadłych zaraz po boju Œyżyńskim. Powtarzamy, nie posądzamy Kruka, ale szkoda wielka, że na Œądanie Deskura nie wygotował relacji o obrocie sum tak powaŒnych. Od Majewskiego (jak zapewnia Deskur), Œądał Kruk rachunku, a w nim postawiono dziwnie oryginalne pozycye«. Jednem słowem Majewski się nie wyrachował. Redakcyja «Wydawnictwa materyałów do hist. powstania», w przypisku do relacji Deskura, mówi, że «nie ma danych do twierdzenia, że z pieniędzmi, które Kruk do Galicji przysłał, popelniono jakieś naduŒycia, używano ich jednak na inne, niŒ były przeznaczone, cele, a prawdopodobnie czyniono to z pewną lekkomyślnością». Niewątpliwie tak było, a lekkomyślnoŒć ta spada głównie na samego Kruka. Œe z tych pieniędzy oŒobiŒcie nie nie skorzystał, to jest pewnem. We Lwowie był tak ubogim, że na chleb nieraz brakowało, jak zapewnia pułkownik Struś (Ludzie i wypadki I, 203), a Œona jego sama bieleŒnę prała, bo na najęcie poŒługi nie stać ich było. Warsztat poŒczoszniczy załoŒył Kruk za pieniądze, których mu udzielił Wydział krajowy, chcąc ten przemysł podnieŒć, i umarł w zupełnym niedostatku. Nie wziął więc nic, ale wina zawsze na nim cięŒy, że tak znaczna, tak krwawo zdobyta suma, na marne poszła.

i z widoczną obawą ścigał Kruka, to teraz na odgłos armat, grzmiących pod Żyżynem, działał energicznie i obowiązek swój żołnierski spełnił należycie. Nie można tego w żadnym razie powiedzieć o majorze Lebedyńskim, który, jak wiemy, stał w Kurowie, w odległości dwu mil polskich od Żyżyna, na czele 2 kompanii piechoty i kozaków. Tutaj od samego świtu d. 9 sierpnia słychać było najwyraźniej huk dział pod Żyżynem, i żołnierze prosili swego komendanta, żeby ich poprowadził na pomoc walczącym (na podmoгу towarzysze). Lecz Lebedyński dla nieznanых nam powodów, a najprędzej z tchórzostwa, zwlekał dopóki mógł i zamiast najpóźniej o 7-ej rano wyruszyć, wyruszył dopiero koło 10-ej i tym sposobem pozwolił Krukowi zupełny tryumf odnieść. Wiemy jak ten ostatni obawiał się nagłego pojawienia się wśród boju kolumny Lebedyńskiego, która wzięwszy tyły walczącym powstańcom, mogła nie tylko ocalić pieniądze, co mniejsza, ale i kolumnę Laudańskiego, a Kruka na klęskę stanowczą narazić. Bądź co bądź pod Żyżynem nie było czego czekać i Kruk do brze zrobił, że natychmiast pomaszerował do Baranowa przeszedł tu Wieprz, most za sobą spalił i przenocował we wsi Dzwórcy. Tutaj dla utrudnienia pościgu, rozdzielono się: Kruk ze swą strażą udał się do Łysobyk, potem pod Łęczną; Krysiński i Lutyński ruszyli na północ. Kruk po kilku dniach potem wyjechał do Lwowa¹⁾, ale niebawem wrócił w Lubelskie.

Wiadomość o boju Żyżyńskim wywarła tak na Polaków, jak i na Rosyan piorunujące, rzecz można, wrażenie. Warszawa, a jak się zdaje i władze rosyjskie, dowiedziały się o tych strasznych wypadkach dopiero d. 11 sierpnia, z dodatku do „Wiadomości z pola bitwy“, odbitego w 70.000 egzemplarzy i rozrzuconego po całym mieście i kraju. Dodatek ten brzmi radosnym tryumfem. „Bóg pobłogosławił orężowi walczących za ojczyznę!“ woła z uniesieniem ode-

¹⁾ Wyjechał z Opola, gdzie ogolił się i razem z Wydrychiewiczem puścił się ku granicy. *N. Berg*, I. c. III, 290).

zwa. „Dziennik powszechny“ dopiero nazajutrz, d. 12 sierpnia, pomieścił krótką wzmiankę o klęsce rosyjskiej. To opóźnienie tłumaczy się tem, że prawdopodobnie chciano rzecz całą ukryć, a przynajmniej jej rozmiary zmniejszyć, ale ogłoszenie powstańcze zmusiło rząd do przyznania się, że porażka istotnie była. W twierdzy Demblińskiej tegoż jeszcze d. 9 sierpnia, dowiedziano się o wszystkim od porucznika artylerii Nikolskiego, który po wybieciu kanonierów, sam dał ostatni wystrzał z armaty, poczem z kilku żołnierzami zdołał się wymknąć i do Demblina z konduktorem pocztowym przybiegł. Wrażenie, powtarzamy, było bardzo silne i rzeczy tej nawet przed Petersburgiem ukryć nie można było. Cały kraj brzmiał rozgłosem zwycięstwa, wszystkie gazety europejskie rozpisywały się o niem szeroko. Rząd narodowy mianował Kruka generałem i nie dopytywał się weale o zatracone 60.000 rub., bo zwycięstwo, tryumf tak zupełny, jakiego jeszcze powstanie nie widziało, osłonił sobą wszystko. Owszem w parę tygodni potem, d. 22 sierpnia, Wydział wojny Rządu nar. w rozkazie dziennym do „wojsk narodowych“, dziękował wszystkim naczelnikom, oficerom i żołnierzom, którzy brali udział w boju Żyżyńskim, za ich waleczność. Władze rosyjskie oddały Laudańskiego pod sąd, z pod którego wyszedł ten nieśczęśliwy oficer cało, ale jego karyera wojskowa na zawsze złamana została. Na miejscu klęski postawiono krzyż żelazny, prawosławny, otoczony kratą, na pamiątkę tego boju¹⁾.

W takim stanie rzeczy i umysłów, koniecznem było, dla zatarcia wrażenia klęski, pobicie Kruka i wogóle zgniecenie powstania Lubelskiego. Naczelnicy wojenni w tej części kraju, otrzymali jak najsurowsze pod tym względem rozkazy, a niestety! przyznać należy, że nieudolność Kruka

¹⁾ Krzyż ten, zniszczony przez czas, w r. 1888, t. j. w 25 rocznicę katastrofy Żyżyńskiej, kosztem garnizonu fortecznego został odnowiony i nanowo uroczyscie poświęcony. Były przytem mowy, spędzono chłopów okolicznych, odbyto paradę wojskową, a naczelnik powiatu, Kiryłowicz, wyprawił ucztę.

ułatwiła im to, pod inną ręką niezawodnie bardzo trudne zadanie. Zdarzyło się właśnie, mniej więcej w czasie tryumfu Żyżyńskiego, że znany nam szef sztabu Czachowskiego, Władysław Eminowicz, który po wyjściu „srogięgo starca“ do Galicyi, zebrał rozpierzechłych powstańców i utworzywszy z nich niewielki oddziałek, uwijał się w okolicach Radomia, nie mogąc jako sam jeden w tych stronach, przytem pozbawiony broni i pieniędzy, wytrzymać nacisku nieprzyjaciela, przeszedł Wisłę pod Puławami i wkroczył w Lubelskie, w tej nadziei, że liczne tutaj partye osłonę mu dadzą i spoczynek chwilowy zapewnią. Jakoż połączywszy się w okolicach Wąwolnicy z Ćwiekiem, ruszyli już razem ratując się zabranymi z magazynów solnych pieniędzmi, w okolicę Łęczny, gdzie kręcił się Rucki, który właśnie miał zamiar maszerować na południe dla podania ręki mającemu wkroczyć z Galicyi generałowi Waligórskiemu. Ogółem liczono ich na tysiąc do tysiąca dwustu ludzi; sam Eminowicz miał mieć pod swą komendą pięciuset zbrojnych i wiódł ze sobą armatkę, zapewne jedną z tych, które na Solcu w Warszawie z rur wodociagowych robiono. Już w Wąwolnicy w ciągu nocy ustawiono ją na lawecie, a była tak lekka, że ją jeden koń mógł ciągnąć¹⁾. Posuwając się na południe, w d. 5 sierpnia rano zajęto Chełm. Ale tutaj niepodobna było pozostać; władze cywilne powstańcze donosiły o wystąpieniu kolumn rosyjskich z dośrodkowym ruchem ku Chełmowi, z Krasnegostawu, Włodawy, Uściługa i Dubienki. Niebawem też nadeszła wiadomość, że po drodze od Krasnegostawu maszeruje ku Chełmowi oddział rosyjski, złożony z dwu kompanii piechoty i setki kozaków pod wodzą majora Büchnera. Wyruszono więc natychmiast naprzeciwko niego do wsi Pokrowki i naczelną komendę objął Rucki. Wobec przewagi liczebnej ze strony powstańców, rezultat powinien być stanowczy; jednakże skutek dość niefortunnych

¹⁾ Relacya rękopiśmienna jednego z mieszczan Wąwolnickich, spisana dla autora niniejszego.

rozporządzeń Ruckiego (jego tyralierzy np. razili tyralierów Ćwieka), skończyło się na tem, że wyparto nieprzyjaciela z karczmy między Pokrowką a Depułtaczami¹⁾, wyparto go z samych Depułtacz, ze Zdżannego i ścigano na przestrzeni 12-tu wiorst. Obustronne znużenie z powodu skwaru letniego, oraz utrudniony pościg przez pola, zasiane grochem i wyką, po pięciogodzinnej walce, kończy tę utarczkę bez znaczenia pod względem historycznym, ale będącą jednym z ogniw tego łańcucha niepowodzeń, jakie w tej porze spotykają Rosyan i jakie rozdrażniają ich coraz bardziej. Po tej utarczce, Rucki ruszył na północ w ulubione lasy Puchaczewskie, a Ćwiek z Eminowiczem przeprawiając się przez Wisłę pod Kazimierzem, wrócili w Radomskie, gdzie wkrótce zniesieni zupełnie zostali²⁾.

¹⁾ Opowiadano, że w karczmie tej nieprzyjacieli ustępując spalili 50 swoich raniionych i zabitych («W 40 rocznicę powst.» 475) Wspomina o tem także autor rękopiśmiennej relacyi p. H. W. (w naszych zbiorach) jako o rzeczy słyszanej («czy rzeczywiście w palącej się karczmie trupy pościągane były, ja nie wiem, tak inni mówili»). W broszurce p. t. «Un Anglais en Pologne» p. 19 jest potwierdzenie tej wiadomości, ale z takim dodatkiem, który odejmuje jej cechę wiarygodności. «Po potyczce pod Chełmem (czytamy tam) wojsko rosyjskie widząc, że nie zdola unieść swych rannych, umieściło ich w stajni, którą zapalilo. Generał Kruk mówił do osoby, od której te szczegóły posiadam, że krzyki nieszczęśliwych, których Polacy nie mogli uratować, rozdzierały duszę». Relacyę tę powtarzają także «Ephémérides polonaises» (Juillet, Août, Septembre) p. 39. Kruk, jak wiadomo, nie był pod Chełmem, krzyków więc tych słyszeć nie mógł. Raport o starciu pod Chełmem w «Niepodległości» No 5 nic o tem nie wspomina.

²⁾ Eminowicz z Ćwiekiem przeszedłszy w Radomskie, stoczył tu dwie nieszczęśliwe potyczki, jedną pod Kowalą, niedaleko miasteczka Jastrzębia, d. 21 sierpnia, drugą pod Wirem w okolicach Przytyka w dwa dni potem d. 23 sierpnia i został rozbity na głowę przez majora Protopopowa z Radomia (miał on ze sobą 3 kompanie pułku Mohilewskiego piechoty, szwadron dragonów Ekaterynosławskich i parę dział żłobkowanych). Powstańcy bronili się walecznie, garść ich nawet sformowałszy czworobok obok swej armatki, odparła parę ataków kawaleryjskich, ale wreszcie złamana, uległa. Eminowicz w raportach swoich oskarżał o tę klęskę Ćwieka i Rudowskiego, dwu niewątpliwie walecznych ludzi, którzy jakoby nie chcieli

dzów, tu zebranych, najlepsze pojęcie o wojnie, zasłabił tak, że dowództwo swej partii zmuszony był oddać w ręce swego szefa sztabu Białobłockiego, sam zaś na wózku włożył się za kolumną.

Nieprzyjacieli umieścił się z lewej strony Wieprza, na obu szosach, które wychodząc z Piasków, rozdzielają się pod kątem ostrym; jedna z nich dąży do Chełma, druga do Krasnegostawu; Wieprz zaś stanowi podstawę tego trójkąta. W trójkącie tym, jedynym osłoniętym punktem, był niewielki las, jak się zdaje, należący do wsi Fajslawie, kilkanaście mórg rozległości mający. Rucki, dążąc do Siedliszcz dla połączenia się z Krysińskim, przeszedł pod Dorohuczą na prawy brzeg Wieprza, i dla przecięcia komunikacji z nieprzyjacielem, stojącym na lewym brzegu, spalił za sobą most. Złączywszy się koło Chojna z Krysińskim, domagał się od Kruka, ażeby pozwolił jego żołnierzom spocząć, ale Kruk nie zgadza się na to, nagli do marszu i zamiast puścić się wylotem na wschód, gdzie nieprzyjaciela nie było, gdzie droga była wolna, i tym sposobem uniknąć walki nierównej z przeważnymi siłami, zawraca ku południowi i staje w nocy z 23 na 24 sierpnia we wsi Kańskiej Wólce. Tutaj w chałupie chłopskiej, w której pomieściła się kwatera główna, schodzą się wszyscy naczelnicy i mnóstwo oficerów, i widząc w marszu na Kanie, że Kruk nie zamierza uniknąć bitwy, ale owszem niejako wyzywa nieprzyjaciela, domagają się usilnie w słowach jak najbardziej stanowczych, żeby boju nie przyjmowano, żeby marszem na wschód lub północ usunięto się z pod groźnej przemocy rosyjskiej. Ale Kruk ani słuchać nie chce tego, wreszcie zgniewany naleganiami, oświadcza tonem rozkazującym, że on „tak chce i tak być musi“.

O świcie d. 24 sierpnia wyruszono z Kaniego i marszerując na Liszno, dotarto do Wieprza, przez który przeprawiono się na lewy brzeg pod Gęsią Karczmą, a wódz naczelny nakazuje most za sobą spalić. W rzeczy samej trudno jest pojąć zaślepienie Kruka, czy też jego złą wolę,

o którą go wyraźnie podania ustne oskarżają¹⁾. Jakiś rzekli, nieprzyjacieli stał okrakiem na dwóch drogach bitych, rozchodzących się z Piasków pod kątem ostrym, jedna do Chełma, druga do Krasnegostawu, czołem do Wieprza, na którym po spaleniu mostu w Dorohuczy, jedna tylko była przeprawa pod Gęsią Karczmą. Koniec linii nieprzyjacielskich na szosie Krasnostawskiej dotykał Fajslawie, a na Chełmskiej, Dorohuczy, Gęsia Karczma zaś, pod którą Kruk przechodził na lewy brzeg Wieprza, znajduje się między temi dwoma wioskami, tak że kolumny powstańcze wchodziły w sam środek pozycji nieprzyjacielskiej i z obu skrzydeł były zagrożone. Spalenie zaś mostu pod Gęsią Karczmą, groziło zniszczeniem jedynej linii odwrotu, to też Rucki oparł się temu stanowczo, ale przynaglony wyraźnym rozkazem piśmiennym, wykonał to nierozumne polecenie. Dość, że przeszedłszy na lewy brzeg Wieprza, miano od czoła i od obu skrzydeł przeważnego nieprzyjaciela, z tyłu zaś za sobą rzekę, na której nie było ani jednego nawet mostu. Równiej matni, w którąby dowódca naczelny dobrowolnie i ze świadomością wprowadził swe wojsko, trudno znaleźć w rocznikach wojennych.

Czoło kolumny powstańczej tworzyła jazda Kruka i oddział Krysińskiego, za nim Wagner i na końcu Rucki, który zostawił garść swoich pod Gęsią Karczmą, by most

¹⁾ Ten to nieczem nie wytłumaczony Kruka opór, to przyjęcie boju z silniejszym nieprzyjacielem, dało zapewne powód do oskarżania go przez wielu, że pod Fajslawicami zdradził. Do dzisiaj pogłoski takie obiegają i autor niniejszego sam je słyszał z ust uczestników klęski Fajslawickiej. Ś. p. Jasiński z Nałęczowa, którego notatki mieliśmy w ręku, który ciężko był ranny w tym nieszczęsnym boju, twierdzi, że już na tydzień przedtem Rosyanie w Lublinie głośno odzywali się, że wkrótce zajdzie walka w okolicach Fajslawie. O ile to wszystko prawda, trudno dziś dociec, zwłaszcza, że pogłoski te na nieczem nie są ugruntowane, a wiadomo, że u nas każde niepowodzenie przypisują zawsze zdradzie. Zawinił tu głównie upór Kruka, który jak każdy słaby charakter, podrażniony był okazywanym mu w Kańskiej Wólce oporem podwładnych, chęć postawienia na swoim, wreszcie nieudolność zupełna i tchórzostwo.

zapałali. Powstańcy dochodzą do wsi Oleśniki, leżącej tuż za Wieprzem, a już dym wzbijający się w obłoki, świadczy, że most ów goreje. W Oleśnikach Rucki chce zatrzymać się na chwilę, ale Kruk nagli, by maszerowano dalej, obiecując całodzienny odpoczynek w lasku kilkunastomorgowym, leżącym w środku obu dróg bitych, między Fajslawicami i Dorohuczem, czyli wśród kolumn nieprzyjacielskich. Od strony Fajslawic już ukazują się kozacy i ciemne kolumny piechoty rosyjskiej. Powstańcy, zgodnie z rozkazem Kruka, wyruszają ku owemu laskowi, a w czasie tego pochodu, widzą już kozaków po swem prawem, między sobą i Wieprzem, tak że od niego są odcięci. Kruk z Krysińskim przechodzą las, a Wagner i Rucki jeszcze do niego nie doszli, gdy już z obu boków szarpie ich kozactwo i jazda rosyjska, a część kolumny wlokąca się za nimi z taborem, wstrząśnięta ogniem działowym z tyłu i boków, zaatakowana przez kozaków, pada skłuta. Ogień daje się słyszeć ze wszystkich stron; od czoła Krysiński bije się już, ale udaje mu się przedrzeć szczęśliwie do Biskupic, gdzie się zatrzymuje i nie bierze już udziału w dalszej walce, niemyym będąc widzem rzezi w lasku. Kruk gdzieś znika z częścią swej eskorty i tak dobrze umyka, że nie oparł się aż w Kłodnicy dolnej w okolicach Bychawy. W lasku tymczasem Rucki rozsypuje tyralierów na jego skraju i usiłuje powstrzymać nacisk nieprzyjaciela, ale gdy ten ze wszech stron się ukazuje, gdy pociski padają od czoła, z tyłu i boków, popłoch się wszeczyna w szeregach powstańczych, mieszają się wszystkie bronie, zamęt i nieład jest zupełny. Ogień się wzmacnia, garstka kawalerii polskiej usiłuje szarżować, ale z chwilą gdy wysuwa się z lasu na pole, wita ją tak straszliwy pomiot kartaczy i kul karabinowych, że cofa się w nieładzie. Udaje się tylko przerznąć porucznikowi huzarów austriackich, Wincentemu Wisłockiemu, który na kilka dni przedtem, z kilku swymi żołnierzami przyłączył się do oddziału Ruckiego. Zebrał on swych huzarów i kilkunastu ułanów powstańczych, i na ich czele rzucił się naprzód, stratował zastę-

pujących mu drogę, przeszedł wpław Wieprz i szczęśliwie przedostał się do Galicyi, gdzie dzięki dwulicowej polityce rządu austriackiego, nie pociągnięto go nawet do odpowiedzialności za zbiegostwo z szeregow.

Wśród tego w lasku rzeź dalej trwała. Powstańcy pomieszani w bezładne kupki, bronili się jak mogli, ale koło bagnietów, lanc i ognia, otaczające ich, ścieśniało się coraz bardziej. Krysiński przysłał konnego z rozkazem, ażeby ku Biskupicom na niego się cofano, więc Rucki po naradzie z Wagnerem postanawia sformować ściśniętą kolumnę i bagnietem utorować sobie drogę ku Krysińskiemu. Z wielkim trudem udaje im się zebrać około 200 ludzi i na ich czele wysuwają się z lasu na pole. Tutaj wita ich istna ulewa pocisków armatnich i karabinowych, tak że część cofa się z pośpiechem do lasu, reszta, około 150 ludzi z Wagnerem, który zatknął chustkę białą na bagniet, poddaje się i broń składa. Z zapadającym zmrokiem nieprzyjacieli przypuszcza wszechstronny atak do lasu, gdzie znuczeni, okryci ranami powstańcy, oporu już nie stawiają. Rzecz niesłychana, około 600 ludzi dostało się do niewoli, 200 poległo, tyluż leżało rannych, reszta zdołała się wyknać, a z tych niewielu przedarło się do Krysińskiego do Biskupic. Przeszło 500 sztuk krwawo nabytej broni wpadło w ręce nieprzyjaciela.

Taką była ta straszna klęska Fajslawicka, która, rzecz można, pogrzebała powstanie w Lubelskiem. Będą tu jeszcze kręciły się różne oddziały, Krysiński i Rucki będą staczali liczne utarczki, z Galicyi będą robione usiłowania wzmocnienia walki przez wysyłkę nowych partyi, ale to wszystko nie zdoła już ożywić wyraźnie konającego na Fajslawicki upust krwi powstania Lubelskiego. I komuż należy winę tej klęski przypisać? Nikomu innemu, tylko Krukowi. On, nie kto inny, przez swój upór, bo nie chcemy powiedzieć przez złą wolę, wbrew oczywistości, wbrew oporowi podkomendnych, wprowadził wszystkie siły powstania Lubelskiego w taką matnię, że z niej prócz śmierci lub poddania się, innego wyjścia nie było. Wszystkie re-

lacye jednogłośnie utrzymują, że zaraz z początku zniknął on haniebnie z placu walki i tak uciekał szybko, że w nocy znalazł się już w Kłodnicy, o dziesięć blisko mil od pojowiska, sromotnie opuszczając swych żołnierzy, których na rzeź wydał. Później usiłował się usprawiedliwić, zwał winę na Ruckiego, że spalił most pod Gęsią Karczmą i tym sposobem zniszczył jedyną linię odwrotu; ale Rucki piśmieniem rozkazem naczelnego wodza dowiódł, że to jest kłamstwo. Wreszcie, gdyby nawet ten most istniał, czyż odwrót przez niego był możliwy, kiedy nieprzyjacieli już w chwili, gdy zatrzymano się w Oleśnikach, ukazywał się od Fajslawic, a gdy maszerowano do lasu, kozacy wcisnęli się między Wieprz a powstańców i wszelki odwrót do Gęsiej Karczmy odcięli? Niewątpliwie do klęski przyczynił się także w znacznej części i Krysiński, który idąc na czele całej kolumny, zdołał ze swym oddziałem szczęśliwie przedostać się do Biskupic, wyjść poza żelazne koło nieprzyjaciela i stanawszy tutaj, beczynnym być widzem rzezi w lasu Fajslawickim, poprzestając na wezwaniu bijących się, by do niego się przedzierał. Gdyby był ze swym oddziałem uderzył z tyłu na wroga otaczającego las, byłby nie zwyciężył, bo to było niemożliwem, ale byłby dał możność osaczonym wycofania się choć w części ze straszliwej, śmiertelnej matni. Tę nieczynność Krysińskiego przypisać należy najprzód zwykłej u dowódców powstańczych dbałości tylko o siebie, a następnie jego niechęci do Kruka, jego zawiedzionym aspiracyom do naczelnej komendy w Lubelskiem. Wszak już pod Chruśliną głośno się odzywał, gdy go proszono, by szedł na pomoc swoim: „zobaczmy jak się Kruk popisie“; tak samo i teraz stał pod Biskupicami z bronią u nogi, patrząc jak jego braci mordują haniebnie. Na nim więc i na Kruku ciąży wina tej krwi polskiej, którą tak marnie przelano pod Fajslawicami i z tej krwi nie ich w historii i przed potomnością obmyć nie zdoła.

Kiedy tak klęska Fajslawicka zadała niepowetowany cios powstaniu Lubelskiemu, jednocześnie, bo w kilka za-

ledwie dni po niej, w zachodniej części kraju zaszły podobne wypadki i wojnę o niepodległość w Kaliskiem i Wieluńskiem na zawsze sparaliżowały. Naczelnikiem sił zbrojnych województwa Kaliskiego był zawsze jeszcze Edmund Taczanowski, który po heroicznej walce w okopach Ignacewa wyjechał do Księstwa i osiadł w Kosmowie, tuż nad granicą Królestwa, i zajął się czynnie organizacją nowych oddziałów¹⁾. Mianowany przez Rząd narodowy Lipcowy, generałem, podobno, jak utrzymują niektóre relacye, drogą fartuszkową, bo żona jego w tym celu miała jeździć do Warszawy, wydawał rozporządzenia i energicznie zabiegał, by formacya oddziałów jak najprędzej przysłała do skutku. Tym razem chciał wyłącznie wysztyftować silny stosunkowo korpusik jazdy, na czele którego mógłby szybko przebiegać województwo, przedłużać wojnę, unikać starć, i z jednej strony doczekać się interwencji zbrojnej, w którą wierzył, z drugiej osłaniać pospolite ruszenie, które powołać postanowił. W tym celu z Kosmowa pod d. 14 maja wydał odezwę do mieszkańców województwa Kaliskiego, nakazując, ażeby wszyscy mężczyźni bez różnicy stanu i wyznania od 18 do 35 lat liczący, chwycili za broń, bo „wtenczas (pisał) nie obozy nasze wśród moskiewskich, ale moskiewskie wśród mas zbrojnego narodu zbezwładnić i zniknąć muszą“. Nie wątpił, że lud wiejski da się porwać

¹⁾ Do kampanii Taczanowskiego korzystaliśmy z materyałów następujących: 1) *Teodor Żychliński*: Wspomnienia z r. 1863 p. 61 i nast. 2) *A. Giller*. Historia II, 233 i 249. 3) *Wyssogota Zakrzewski*, Wyprawa Taczanowskiego (w dziele: «W rocznicę powstania» p. 520. 4) *Bronisław Puciorkowski*, Pamiętnik (rękopism w zbiorach autora). 5) Historia niektórych oddziałów powstańczych w r. 1863 (rękopism w zbiorach autora). 6) Luźne notatki rękopiśmienne. 7) «Niepodległość» No 4. 8) Ówczesne czasopisma polskie, rosyjskie i niemieckie. 9) Raport komisarza Rządowego Woj. Kaliskiego, A. Biernawskiego z d. 8 września 1863 r. (rękopism w zbiorach autora). 10) *Zet. Taczanowski* pod Borowną i Kruszyną (Dziennik Warsz. No 284 z r. 1865 i No 191 z r. 1866). 11) *Pawliszczew*, Siedmicy II, 164 i 169. 12) *Kat-kow*, 1863 god, II, 883. 13) *I. Jelec* Istoria lejbgwardii gusarskawo polka I, 323—343. 13) «Żurnal wojennych dziejstw».

ta odezwą, naostrzy Raławickie kosy i wielką czarniawą rzuci się na wroga, a przekonanie to opierał na tym złudnym niestety! objawie, że „gdzie tylko (jak mówił) obóz nasz przechodził, wszędzie przez włościan gościnnie był przyjęty“, że tu i owdzie dawały się słyszeć głosy: „niech panowie i księża staną na naszym czele, to my wszyscy pójdziemy na Moskali“. Wzywał więc szlachtę, by chwyciwszy za broń stanęła na czele „drużyn włościańskich“, by „patriotyczne duchowieństwo z krzyżem w ręku duchowo je krzepiło“. W instrukcyi dołączonej do tej odezwy, polecał komendantom wojskowym, aby starali się przygotować jak największą ilość broni, grożąc nieposłusznym lub opieszałym „najsurowszą odpowiedzialnością przed doraźnym sądem wojennym“; nakazywał tymże komendantom, żeby sformowali listy spisowych od lat 18 do 35, którzy mają być powołani na punkta zborne; wójtom gmin i naczelnikom miast, aby na rozkaz wydany, tych spisowych dostawili do rzeczonych punktów zbórnych, a jeżeliby który ze spisowych nie stawił się, ma być oddany pod sąd wojenny; ciż wójci gmin i naczelnicy miast, niezajętych przez załogi rosyjskie, mają całą ludność męską uzbroić w kosy, piki, lub „cepy husyckie“. W razie, gdyby w pobliżu jakiego miasta, lub wsi toczyła się bitwa, „cała tak uzbrojona ludność męska, z właścicielami ziemskimi, wójtami gmin i księżmi na czele, winna śpieszyć na plac boju, ażeby wykonać dywersyą na tyły nieprzyjaciela“.

Jak wiadomo, Rząd Kwietniowy myślał o powołaniu pospolitego ruszenia i nawet w tym celu ułożono projekt zaciągnięcia wielkiej pożyczki, ale rzecz szła oporem i odkładano ją na później. Zamach w Zielone Świątki, utworzenie się nowego rządu Kobyłańskiego, akcyę tę przerwało, i w tej chwili, gdy Taczanowski wydawał swą odezwę i rozkazy, nikt na seryo nie myślał o powołaniu całego pod broń narodu. Rzecz ta przytem, szczerze mówiąc, nie była możliwą. Chłop, mimo złudzeń naczelnika Kalińskiego, nie byłby się ruszył; zawsze on z podełba patrzył na powstanie, a podbudzany przez agentów rosyjskich,

przez różnych drobnych kacyków powiatowych, nihilistów i demagogów na sposób specyficznie rosyjski, był wogóle niechętny ruchowi, który w wielu miejscach uważał za walkę o przywrócenie pańszczyzny. Zapewne tu i owdzie mogło nastąpić sporadyczne porwanie za kosy i „cepy husyckie“, ale to nie mogło mieć znaczenia, i łatwo zostałoby stłumione przez wojsko najezdnicze. To też myśl Taczanowskiego nie weszła nigdy i nigdzie w wykonanie i została jednym z tych poronionych zamiarów, których tyle historia naszej porozbiorowej niedoli zapisała.

Taczanowski ze swej strony przewidywał, że napotka opór tak w organizacyi cywilnej, jak i w samym rządzie, dlatego to wybierając się do Królestwa, żywił zamiar ogłoszenia się dyktatorem. Jednakże był zanadto uczciwym człowiekiem, by miał samoistnie nowego dopuszczać się zamachu stanu. Zdaje się więc, bo zamysły ludzkie nieobleczone w ciało czynu zawsze prawie pokryte są mgłą tajemniczości, że w tym względzie porozumiewał się z Rządem Czerwcowym, i że ten Rząd szarpany anarchią wewnętrzną, niepewny jutra, skłaniał się ku temu, czemu wreszcie zapobiedz nie był w stanie. Chciał też Taczanowski, aby Rząd narodowy przeniósł się do jego obozu i tam się ujawnił. Szło mu zapewne o łatwiejsze opanowanie władzy najwyższej, gdyż mając rząd wśród posłusznych sobie zbrojnych szeregów, mógł nim kierować jakby chciał. Szybki jednak upadek efemerycznego Rządu Czerwcowego, objęcie władzy przez Majewskiego, za plecami którego wiedziano, że stoją najwybitniejsi ludzie narodu, nadzieja szybkiej i do tego zbrojnej interwencji zagranicznej, wstrzymały Taczanowskiego od dalszych pokuszeń o władzę, a rychły upadek wszystkich nadziei i ostateczna sromotna jego porażka, na zawsze widmo dyktatury wojskowej z powstania usunęła.

Bądź co bądź w tej chwili, w początkach czerwca, Taczanowski stanął na czele 200 koni jazdy, zebranej w okolicach Warty i ściągając ku sobie począł drobne oddziały kawaleryjskie, formowane z jego rozkazu w Ka-

liskiem, Sieradzkim, Szadkowskim i Wieluńskim. Rósł powoli w liczbę, tak że po miesiącu liczył już 480 koni, względnie doskonałej jazdy. Ubrał ją w granatowe mundury z amarantowymi wypustkami i białe czapki. Konie miał wyborne, uzbrojenie dostateczne, w części w lance, szable i pistolety, w części w karabinki. Przez cały ten miesiąc unikał spotkań, przerzucając się szybko z miejsca na miejsce. „Pędzę tu teraz życie à la Rinaldo, pisał do swej żony, z tym wyjątkiem, że nie rabuję. Ciężkie to życie, ale i ono ma swoją uroczą stronę“. Szefem jego sztabu był pułkownik Pini, podobno umysł bystry i lotny, ale dzielniejszy w języku niż w czynie, a nadewszystko pijak i tełórz¹⁾. Taczanowski w początkach lipca zatrzymał się na dni parę w Chocz, tuż nad granicą pruską, gdzie miały doń z Księstwa Poznańskiego znaczne ochotników nadejść posiłki, przybyło jednakże ledwie 140 koni, resztę Prusacy zabrali lub rozpędzili. W połowie sierpnia znowu zbliżył się ku granicy pruskiej, skąd z okolicy Pleszewa miały pod wodzą Chełchowskiego przyciągnąć dwa zbrojne oddziały, ale i tym razem nadzieje zawiodły, bo obie te partye Prusacy po większej części wyłapali. Mimo to, już w tym czasie Taczanowski liczył przeszło 800 koni jazdy, doskonale umontowanej i uzbrojonej, podzielonej na dwa pułki, po dwa szwadrony w każdym. Pułkami tymi dowodzili: pierwszym Aleksander Matuszewicz, wytrawny oficer francuskiej legii zagranicznej w czasie kampanii krymskiej, znający zatem wojnę; drugim Słupski. Jazdę tę składali ułani, strzelcy konni i krakusy. Wyglądała ona wyborne, postawę miała marsową, ale jak każda niewyrobiona jazda, była płochliwa. Z tą siłą włóczył on się po kraju, unikając starć, nalegając na Rząd narodowy, by ogłosił pospolite ruszenie. Sam pisał do żony: „błędzimy ciągle po tym Bożym świecie. Ciekawy jestem, jak długo

¹⁾ *Br. Paciorewski*, w swym rękopiśmiennym pamiętniku, utrzymuje, że Pini nazywał się właściwie Szenic i był kelnerem z Wrocławia. O ile to prawda, nie wiemy.

to jeszcze potrwa“, co dowodzi, że przekonany był o smutnym końcu swej wyprawy. W tym czasie stoczył on parę drobnych, nie znaczących utarczek i stale z miejsca na miejsce szybkimi, nieraz forsownymi marszami się przemieszczał, za nic nie chcąc się bić, marząc o przybyciu Francuzów i chcąc do tego czasu zachować swoje dwa pułki jazdy, któreby stanowiły zawiązek przyszłej armii polskiej. Cieszył się z właściwą mu próżnością, że tu i owdzie, w tych bezcelowych wędrówkach po kraju, przyjmowano go bardzo uroczyście, jak np. w Turku, gdzie Niemcy i Żydzi witali go z udaną radością, zapalili iluminacyę, wyprawili ucztę na rynku i wychodzących powstańców z muzyką za miasto odprowadzili; że „Polki Izraelitki z Kalisza“ przysłały mu wyszyty przez siebie sztandar i odpowiednią odezwę; że szlachta z okolic Warty ofiarowała mu konia, za którego zapłaciła 4.000 złp. To wszystko jednak nie mogło zaćmić uderzającego w oczy faktu, że Taczanowski wojnę prowadzi w sposób osobliwszy, że ogranicza się ona na przechadzkach z miejsca na miejsce i na forsownych rejteradach w razie wieści o zbliżającym się nieprzyjacielu. To też Rząd narodowy nieustannie doń wysyłał rozkazy i komisarzy, aby nie oglądał się na pospolite ruszenie, ale bił się z nieprzyjacielem; nieraz w kwaterze „spacerującego“ jenerała przychodziło z tego powodu do burzliwych z komisarzami rządowymi starć i narad. Wieści o tem dochodziły do szeregów, w których ta „ciągła rejterada“, jak ją nazywano, budziła niechęć przeciw dowódcy, szerzyła demoralizacyę. Napróżno Taczanowski nieomal co wieczór zbierał koło siebie sztab i oficerów, przedstawiał im swoje zamiary i wyjaśniał „sarkającym na bezczynność, że nie może wybornego i z takim mozołem sformowanego oddziału, narażać lekkomyślnie na rozbitcie, ale że nadzieje chwila, w której wzmocniony piechotą, poprowadzi ich na tak zacięte boje, że będą mogli nasycić się krwią nieprzyjacielską“. Te obietnice, ta frazeologia o „zaciętych bojach“ i „nasyceciu się krwią nieprzyjacielską“, nie zadowolniła nikogo. Głuche wrzenie w szeregach trwało dalej,

aż nakoniec wybuchło formalnym w Sulisławicach rokoszem. Pierwszy szwadron mianowicie, pod wodzą podoficera Kowalskiego siadł na koń i z dobytą bronią ruszył do kwatery jenerała z żądaniem, „by nie rejterował, ale się bił“. Wprawdzie Taczanowski energiczną swą postawą (jednym cięciem szabli zwałił Kowalskiego z konia, a szwadronowi kazał wrócić do kwater, co ten pokornie wykonał) ale przez to zarzewia niechęci, podsycanej przez jednego z oficerów, majora Miśkiewicza, nie utłumił. W sierpniu Taczanowski przyłączył do siebie niewielki oddziałek piechoty, sformowany w Kaliskiem (okręg Szadkowski i Wieluński) pod wodzą podpułkownika Franciszka Kopernickiego, byłego wojskowego rosyjskiego. Oddziałek ten składał się, według jednych z 400 (260 strzelców i 142 kossynierów), według innych z 560 ludzi, i tym sposobem uzupełniał sprawność bojową całej partyi, ale i teraz, gdy już miał piechotę, gdy nic nie przeszkadzało by poprowadził swych bojowników na obiecane „zacięte boje“, dla „nasylenia się krwią nieprzyjacielską“, podawnemu spacerował po kraju, a zniechęcony rokoszem Sulisławickim, naleganiami wszystkich, postanowił usunąć się i posłał podanie do Rządu narodowego, domagając się uwolnienia ze służby. Tymczasem zaszedł wypadek nagły i zgoła niespodziewany, który go wytrącił z systemu dotychczasowego i całkiem niezasłużenie otoczył auerolą zwycięstwa.

W d. 19 sierpnia z Łodzi wyruszyła kolumna rosyjska dla „poszukiwania band“, jak się to wtedy urzędownie mówiło, w kierunku Lutomska pod wodzą pułkownika huzarów grodzieńskich gwardyi, fligiel-adjutanta barona Kłodta, złożona z trzech szwadronów huzarów grodzieńskich gwardyi, kompanii pułku Biełozierskiego piechoty, półtorasta kozaków (w tem setka dońskich, t. z. „czerkiesów“) i bateria kozłów raketniczych. W kolumnie tej znajdowała się partya ochotników, samych paniczów rosyjskich, przybyłych dobrowolnie do Królestwa dla walczenia z powstańcami, na których oburzeni byli za ich jakoby okrucieństwa. W Rosyi bowiem w tej porze, pod wpły-

wem sztucznie przez rząd rozbudzonych namiętności przeciw spodziewanemu nowemu najściu „dwudziestu narodów“, a którego to najścia powodem byli Polacy, namiętności podsycanej przez Katkowskie „Moskiewskie Wiedomości“, przez inne pisma i piśmidła, opowiadano sobie najwstrętniejsze bajki o okrucieństwach powstańców. Liczne, dla ludu przeznaczone broszury, zapewniały, że powstańcy, to bandy łotrów, rozbójników i rabusiów, grabiących mienie spokojnych mieszkańców, dopuszczających się licznych zbrodni i okrucieństw, jak np. że ciężarnym kobietom brzuchy rozpruwają. Oburzenie na powstańców było wielkie i właśnie dla pomszczenia tych okrucieństw, ruszyli na ochotnika do Polski tacy panicze, jak książę Urusow, Grotus, Jermołow i inni. Powitani owacyjnie przez W. ks. Konstantową na Zamku warszawskim, wstąpili do huzarów grodzieńskich i oto teraz w wyprawie Kłodta wzięli udział.

Uwijał się wtedy po Łęczyckiem stukonny oddziałek żandarmeryi narodowej, pod wodzą niejakiego Walentego Parczewskiego (brat Franciszka, który także dowodził oddziałem, ziemianin z ks. Poznańskiego), osobistości dość lichej, w najwyższym stopniu niesympatycznej dla podkomendnych, zajętej więcej sobą, swymi szwarcowanymi wąsikami i peruczką na głowie, jak oddziałem. Napadnięty przez kozaków Kłodta pod Golicami, niedaleko Poddembic, wymknął się szczęśliwie, ale ścigany uparcie rozbity został w Czepowie, między Dąbiem i Uniejowem, zawrócił z ocalonymi, w liczbie jakichś 60 koni zaledwie, ku Sieradzowi, i po całonocnym forsownym marszu dotarł do wsi Sędziejowic, leżącej przy drodze bitej z Łaską do Widawy, i tu połączył się z Taczanowskim. Kłodt dowiedziawszy się, że oddziałek Parczewskiego został rozbity przez kozaków i że ucieka zmniejszony do połowy, nie uważając za stosowne ścigania tej spłoszonej garstki całym swym oddziałem, postanowił dla dobicia jej wysłać wymienionych ochotników w liczbie pięciu (rotmistrz huzarów grodzieńskich Grabbe, porucznicy: Wittmer i książę Urusow, podchorąży Jermołow, wszyscy z pułku huzarów i major kozacki Manockow),

dodawszy im 37 kozaków, a komendę naczelną powierzywszy Grabbemu, który już raz bił się z Taczanowskim pod Ignacewem. Klodt dał instrukcją Grabbemu, że ma ścigać uciekającego Parczewskiego najdalej na przestrzeni dzieściu wiorst, poczem zawrócić i ruszyć do Łodzi, dokąd także Klodt, odpocząwszy w Turku, miał pomaszerować z powrotem. Grabbe d. 26 sierpnia puścił się w drogę, ale był niespokojny, gdyż chodziły wieści, że w tych stronach znajduje się Taczanowski z całą swoją partią. Po drodze zasięgano u chłopów języka, ale ci niewiele wiedzieli; mówili wprawdzie, że powstańcy w rzeczy samej przechodzili, ale obliczali ich na 60 do 100 koni. Prawdopodobnie mówili oni o Parczewskim; o Taczanowskim zaś nic nie wiedzieli. Dopiero we wsi Kołomostki, Grabbe dokładniejszych zasięgnął wiadomości o Taczanowskim i zamierzał zawrócić, ale już było zapóźno. Witmer, prowadzący straż przednią, wpadł do wsi, zrąbał pikietę, i powitany został gęstą palbą, która mu zsadziła z koni trzech kozaków. Stało się to wczesnym rankiem d. 27 sierpnia.

Wieś Sędziejowice, w której z całą swą jazdą i piechotą Kopernickiego, obozował Taczanowski, leży w kotlinie, otoczonej płaskowzgórzami. Droga bita z Łaska do Widawy, biegnie przez wieś, z obu stron mając chałupy i opłotki. Od strony Łaska, t. j. stąd, skąd Grabbe wpadł z kozakami, na końcu wsi, był cmentarz, otoczony niskim parkanem drewnianym; w samym zaś środku osady wznosił się kościół i plebania. Od strony przeciwnej, ku Widawie, w pewnym oddaleniu od ostatnich chałup chłopskich, wznosił się dwór i zabudowania gospodarskie. Tutaj to, koło dworu i poza nim, rozłożył się ze swą jazdą Taczanowski, piechota Kopernickiego zaś, jeszcze dalej biwakowała na polu. W samej zaś wsi koło plebanii, odpoczywał ciężkim snem ujęty, świeżo przybyły oddziałek Parczewskiego, i on to wytrzymał pierwszy atak Witmera, stracił kilku ludzi i ze swej strony śmiertelnie postrzelił trzech kozaków, którzy leżeli jęcząc na ziemi, a obok nich stały nieruchomo ze spuszczoneymi łbami ich konie. Taczanowski

uwiadomiony we dworze o pojawieniu się Czerkiesów, niebardzo chciał temu wierzyć, jednakże zaniepokojony strzałami, kazał się na koń szwadronowi służbowemu, okrążyć wieś i na wzgórzach rozejrzeć się w położeniu.

Tymczasem wśród ochotników rosyjskich zapanował niepokój. „Cóż teraz, według ciebie, robić?” pytał Grabbe Witmera, który jak wartogłów wpadł do Sędziejowic i innych za sobą pociągnął. Ten radził, ażeby śmiało uderzyć na powstańców, uciec do lasu i potem cofać się wolno. Sądził on, że powstańcy nie mogą przypuszczać, by podjazd rosyjski był tak słaby, że go raczej uważają za awangardę większych sił, że zatem nie ośmielą się ich ścigać. Rada była dobra a nawet jedyna, ale żołnierze słysząc ją, poczęli prosić, żeby rannych kolegów nie zostawiać w rękę powstańców; cofać się zaś z nimi było niepodobieństwem. Grabbe wobec tego powziął heroiczny, acz zgoła bezcelowy zamiar bronić się do upadłego. „Niech nikt nie waży się uciekać!” wołał, i nikt też uciekać nie myślał, zwłaszcza, że było to teraz niemożliwem, bo wysłany przez Taczanowskiego szwadron jazdy, zagroził drogę. Nie pozostawało więc nic innego, jak poddać się lub bronić uparcie. Wybrano to ostatnie, co niewątpliwie zaszczyt przynosi tej dzielnej młodzieży, ale jest bohaterstwem jałowem. Nie śmierć heroiczna, ale śmierć pożyteczna jest zasługą; tutaj zaś, jakąż korzyść i komu, przyniosła ta krew tak bezowocnie przelana?

W miejscu gdzie stano, znajdowały się dwie stodoły, tuż obok siebie, tak że tworzyły kąt rozwarty. Ponieważ w nich nie było okien, ani żadnych otworów, z którychby można było strzelać, więc ich nie zajęto, ale umieszczono się między niemi tak, że osłaniały one boki i tyły, i tutaj uparcie się broniono, odpierając wszelkie ataki płochliwej jazdy powstańczej. Kozacy zeszli z koni, i z poza nich, jak z poza wału strzelali. Broniono się tutaj koło dwóch godzin, gdy nakoniec udało się powstańcom stodoły podpalić, co zmusiło kozaków do odstąpienia od nich; w liczbie 25 ludzi, jeszcze żyjących, bo reszta poległa, ruszono na

cmentarz za wsią leżący. Koni zdrowych było zaledwie cztery, reszta padła, lub wyrwawszy się z rąk jeźdźców, uciekła. Na cmentarzu broniono się dalej uparcie, czem Taczanowski podrażniony posłał po piechotę Kopernickiego. Nadeszli kosynierzy i ruszyli do ataku. W chwili, gdy się zbliżali do cmentarza, zdolnych do walki Rosyan było zaledwie siedmiu; Grabbe już był ranny śmiertelnie, i dowództwo objął porucznik Witmer. Ten widząc niemożność dalszej obrony, wywiesił białą chustkę na znak poddania się, i w szeregach powstańczych rozległ się rozkaz: „nie strzelać!“. Ale nieznający zwyczajów europejskich Czerkiesi, zdradziecko powitali kulami spokojnie maszerujących kosynierów. To spowodowało, że ci ostatni rzucili się naprzód, wpadli na cmentarz i rąbać wszystko, co spotkali, zaczęli. Z trudnością udało się starszyźnie powstańczej wyrwać z rąk rozwścieżonej kosynierki, Witmera i kniazia Urusowa, który nieraniony wcale, ukrył się pod zabitym koniem. Dopatrzony tam przez kosynierów, byłby niewątpliwie rozsiekany, gdyby go oficer polski nie ocalił. W ogólności z 40 Rosyan, zginęło 20, rannych było 15, a 3-ch wzięto do niewoli (Witmera, Urusowa i jednego kozaka). Uratowało się tylko trzech kozaków, którzy uciekli na początku walki, żeby uwiadomić pułkownika Kłodta. Ciężko poraniony Grabbe, żył jeszcze pięć dni, umieszczony w domu obywatela, Belgijczyka, Newalda, zachowując do ostatniej chwili przytomność. Witmera i Urusowa, Taczanowski wypuścił na wolność, wzięwszy od nich słowo, że nie będą więcej walczyć z powstańcami¹⁾. Ze strony polskiej zginęło także kilkunastu ludzi, a przyznać należy, że ta trzygodzinna przeszła walka, zaszczytu powstańcom nie przynosi. Ataki ich były słabe i pierzehlliwe, i nawet wtedy, gdy kozacy z pod stodół maszerowali na cmentarz, odda-

¹⁾ Ciała Grabbego i Jermołowa, sprowadzono do Warszawy z możliwą okazałością, wioząc je na lawecie od armaty, a potem do Petersburga. W Sędziejowicach w r. 1870 postawiono na pamiątkę „boju bohaterskiego“, wspaniały pomnik.

lony o 200 kroków, jazda powstańcza nie zdołała ich rozbić. Słusznie też Taczanowski głośno przyznawał, że Rosyanie walczyli jak Spartanie, a przechodząc koło pobojo-wiska, mówił do swoich: „czyliż nam, walczącym za wolność i ojczyznę, nie wstyd wobec tych barbarzyńców, którzy umieli tak bohatersko zginąć tylko za Cara?“

Taczanowski tegoż dnia 27 sierpnia wyruszył z Sędziejowic w kierunku południowo-wschodnim w zamiarze przejścia Warty pod Skrzydlowem i przeniesienia się w okolice Koniecpola, dokąd Wydział Wojny Rządu narodowego nakazał mu maszerować dla poparcia tamtejszego powstania, oraz żeby obecnością swoją ułatwił wkroczenie z Galicyi nowo-sformowanych oddziałów. Przytem nie było czego czekać, gdyż spodziewać się należało, że wiadomość o katastrofie Sędziejowickiej poruszy wszystkie załogi rosyjskie w Łęczyckiem, Sieradzkim i Piotrkowskim. Jakoż nie inaczej było. Gdy Czerkiesi, zbiegli z pod Sędziejowic, przypadli do Łodzi, właśnie nadszedł tam i Kłódz, wracający ze swej bezowocnej wyprawy. Wiadomość, przyniesiona przez Czerkiesów, mówiła tylko, że Grabbe znajduje się w Sędziejowicach i potrzebuje gwałtownie pomocy. Natychmiast więc wysłano podporucznika Baumgartena na czele setki kozaków, którzy ruszyli kłusem, a zaraz za nimi kapitana Kalińskiego z dwoma kompaniami piechoty i jedną armatą. Kłódz odpocząwszy sobie nieco pomaszerował także, mając pod swą komendą trzy kompanie piechoty, dywizyon huzarów grodzieńskich, sekcję konnych rakietników gwardyi i dwie setki t. zw. Czerkiesów, tak, że w połączeniu z Baumgartenem i Kalińskim liczył około 1.800 szabel i bagnatów. We wsi Brodno, Baumgarten, powracający od Sędziejowic, przyniósł pierwszy wiadomość o katastrofie. Ruszono do Sędziejowic, gdzie już nie zastano powstańców, ale zato pobojo-wisko, przedstawiające straszny widok. Cmentarz miał parkan podziurawiony od kul, jak rzeszoto. Śród mogił i krzyży, leżało około 20 trupów, w części obnażonych, porąbanych kosami i pły-

wających we krwi. Wywarło to silne wrażenie na żołnierzach rosyjskich i rozbudziło w nich żądzę pomsty.

Tymczasem Taczanowski wsadziwszy swą piechotę na podwody, szybko maszerował na Zalesie, gdzie noc przepędził i ominąwszy Szczerców, zatrzymał się w Rzęśni, skąd o godz. 11-ej rano, d. 28 sierpnia ruszył dalej i tegoż dnia forsownym marszem dotarł do wsi Kruszyny, gdzie stanął w starożytnym pałacu książąt Lubomirskich. Kłodt, który, jeżeli wierzyć niektórym podaniom, miał wydaną sobie przez Piniego marszrutę Taczanowskiego, szedł jego śladem, jeszcze z Rzęśni rozesłał gońców do Wielunia i Radomska wzywając, ażeby garnizony rosyjskie z obu tych miast, oraz z Częstochowy i Piotrkowa wyruszyły do Pajęczna, i tam się z nim, t. j. z Kłodtem, połączyły, dla wspólnej akcji przeciw powstańcom. Na całej drodze ku Warcie spotykano podwody chłopskie, wracające do domów, oraz wielu obywateli okolicznych, którzy odwiedzali obóz Taczanowskiego. Wszyscy oni jednogłośnie twierdzili, że powstańcy stoją w Kruszynie i że d. 28 sierpnia bili się w tamtych stronach z kozakami i z kompanią piechoty, strzegącą stacyi kolejowej Kłomnice.

W rzeczy samej, Taczanowski przybywszy do Kruszyny, dowiedział się, że 40 kozaków, pod wodzą „starszyny“ Kirsanowa, odprowadza z Częstochowy do Piotrkowa, inspektora dróg żelaznych, kapitana gwardyi De Witte. Postanowiono napaść na nich i w tym celu z pułkiem jazdy Słupskiego, w 400 blisko koni, ruszono wieczorem ku wsi Borownej i tam uderzono na kozaków. Ci, otoczeni przeważną siłą, zrazu bronili się dzielnie, cofając się ku Kłomnicom, ale naciśnięci mocniej, szukali ratunku w ucieczce; pod samemi Kłomnicami dopiero wybiegła im na pomoc stojąca tam kompania Białozierskiego pułku piechoty i rzęsiwym ogniem powstrzymując pościg powstańców, osłoniła kozactwo od zupełnej zagłady. Taczanowski ze swej strony, wiedząc, iż Kłodt idzie za nim, że od skrzydła zagrażał mu garnizon Częstochowski, zamierzał jeszcze tej nocy ruszyć dalej, gdy tymczasem zaszły wypadki, które

nie tylko zamiarowi temu przeszkodziły, ale owszem narażyły go na klęskę stanowczą.

De Witte dostawszy się szczęśliwie do Kłomnic, aczkolwiek ze stratą („starszyna“ kozacki Kirsanow był ciężko ranny), obawiając się o siebie i swoich, korzystając z tego, że telegraf kolejowy nie był przzerwany, posłał depeszę do Częstochowy, donosząc, że powstańcy nocują w Borownej, i błagając o pomoc. W pośpiechu jednak i zdenerwowaniu, w jakie go wprowadził poprzedni napad jazdy polskiej, zamiast napisać, że w Borownej jest 2.000 powstańców, napisał, że jest ich tylko 200. Wobec tak małej cyfry, uznano w Częstochowie, że dość będzie gdy wyruszy na pomoc Wittemu jedna kompania piesza i 25 kozaków. Kompania ta, siadłszy w drodze na podwody, około godz. 3-ej rano, d. 29 sierpnia, wśród mroków nocy mglistej dotarła do wsi Witkowic, gdzie natknęła się niespodzianie na cały oddział Taczanowskiego, który wyruszył z Borownej w nocy, by jak najprędzej wydobyć się z tych okolic, grożących mu ze wszech stron niebezpieczeństwem. Dowódca rosyjski dostrzegłszy wśród mgły nocnej, cztery kolumny jazdy, posuwające się jedna za drugą, rozlegającą się głośnie komendę polską, domyślił się odrazu, że ma przed sobą Taczanowskiego. Położenie Rosyan było bardzo krytyczne; mimo to postanowiono nadrobić brawurą, w której jedyne było ocalenie. Komendant ich wysławszy gońców do Częstochowy i do Kłomnic z prośbą o pomoc, całą swą kompanią rozsypał w tyraliery, co naturalnie w przeciwniku musiało wzbudzić podejrzenie, że za nimi kryje się mocna rezerwa. Taczanowski ze swej strony widząc śmiałą postawę nieprzyjaciela, sądził, że ma do czynienia z Kłodtem, choć bliższe zastanowienie powinno mu było przypomnieć, że Kłodt szedł za nim, a więc był z tyłu, nie zaś przed nim z przodu. Ta to obawa kazała mu się cofać; zamiast jednym taranowem uderzeniem całej swej jazdy obalić kolumnę nieprzyjacielską i ruszyć potem tam, dokąd zamierzał, on rejteradę rozpoczął.

Bądź co bądź, rozsypawszy flankierów, ustawił pierw-

szy pułk swej jazdy w szyku bojowym wraz z nadbiegłą piechotą Kopernickiego, która także wysłała tyralierów. Ciemność nocy nie pozwalała rozpatrzyć się w położeniu, gdy zaś po godz. 4-ej rano rozwidniło się nieco, najprzód jazda, a za nią piechota ruszyła wolnym krokiem wstecz do Nieznanic. Flankierów kawaleryjskich ściągnięto i tylko tyralierzy piesi odpowiadali na gęsty ogień nieprzyjaciela. Kopernicki ze swą piechotą trzymał się we wsi Nieznanice do godz. 7-ej rano, gdy nagle od lewego polskiego skrzydła, ukazała się nowa kolumna rosyjska. Był to De Witte, który usłyszawszy strzały biegł na pomoc swoim z Kłomnic. Cała jazda powstańcza, prócz jednego szwadronu pod Słupskim, cofnęła się już za wieś Zdrową, co wobec pojawienia się nowych sił nieprzyjaciela, demoralizująco wpływać na piechotę polską poczęło. Mimo to cofała się ona w porządku; opuściła Nieznanice i w Zdrowej uparty opór na ciskającemu coraz gwałtowniej nieprzyjacielowi stawiała, ale wobec odwrotu jazdy, wobec popłochu między kosynierami, Kopernicki opuścił Zdrową, przeszedł folwark Baby i ku Jackowu się cofał¹⁾. W tem nagle po lewej polskiej od strony Kruszyny, z szumem wyleciała ku niebu rakietka i niebawem ujrzano nadeciągające kłusem gęste kolumny jazdy nieprzyjacielskiej.

Był to Klodt, który stanąwszy na nocleg we wsi Prusiskach i dowiedziawszy się o pobycie Taczanowskiego w Borownej, porwał całą jazdę, a więc dywizyon huzarów, 120 kozaków i pluton rakietników, puścił się kłusem ku Kruszynie. Podpułkownik Bremsen zaś z piechotą i artylerią miał za nim zaraz postępować. Klodt zbliżywszy się

¹⁾ W Zdrowej kozacy, po cofnięciu się powstańców, dopuścili się zwykłych gwałtów i rozbojów. Wpadli oni do dworu i zamordowali panią Gaszyniską, staruszkę przeszło siedemdziesięcioletnią, matkę poety Konstantego Gaszyńskiego, który będąc na emigracji od 1831 r. z dzienników dowiedział się o tej bolesnej dla siebie stracie. Zamordowali tam także kilka innych osób, dwór i zabudowania dworskie spalili. Podobny los spotkał folwark Jacków, pod którym nastąpiło ostateczne rozbięcie Taczanowskiego.

do Kruszyny usłyszał gęsty ogień i zobaczył powstańców cofających się w porządku ku Jackowu. Wysunął więc swe kozły rakietnicze na wzgórze w asekuracji jednego szwadronu huzarów i kozaków, drugi zaś szwadron uszykował do ataku. Kilka rakiet puszczonych w gęste masy jazdy powstańczej, stojącej na lewym skrzydle piechoty, ustępującej ku Jackowu, sprawiły zamieszanie. Trzeci szwadron polski, będący pod komendą Matuszewicza, rażony syczącymi i rozpryskującymi się racami, pierwszy się zbił w gromadę bezładną. Konie poczęły się spinać, zrzucać jeźdźców, brać na kiel, deptać strzelców i kosynierów, wszędzie szerząc spustoszenie. Skorzystał z tego Klodt i rzucił jeden szwadron huzarów do ataku. Kawalerya powstańcza pierzchliwa z natury, zachwiała się i tył podała. Wszystko uciekało w popłochu szalonym. Przez jakiś czas część strzelców Kopernickiego rzuciwszy się do Jackowa, usiłowała stawić opór, ale gdy wieś się zapaliła, cofnęli się w zupełnem rozprzężeniu, pojedynczemi kupkami ku wsi Widzowu, leżącej tuż przy kolei. Wtedy wszystka jazda nieprzyjacielska wzięła udział w ataku. Cała przestrzeń między Borowną, Kruszyną, Lgotą i linią kolei żelaznej, pełna była trupów, a żołnierze rosyjscy z powodu amarantowych rabatów kawaleryi powstańczej, mówili, że pole wygląda jakby makiem było zasiane. Wszystko to nie trwało nawet godziny i cała ta piękna jazda, z takim trudem i kosztem zebrana, zniszczoną została zupełnie¹⁾. Samych rannych

¹⁾ B. Paciorkowski, w swym rękopiśmiennym pamiętniku, w raporcie swym do Rządu Nar. jako naczelnik powiatu wieluńskiego, oblicza koszt oddziału Taczanowskiego w ten sposób:

600 karabinów piechoty . . .	rub. 10.000
800 koni jazdy	» 80.000
uzbrojenie jazdy	» 16.000
umontowanie koni	» 24.000
umundurowanie	» 12.000
amunicja i rekwizyta	» 8.000

Razem rub. 150.000! Wszystko

to w ciągu jednej godziny zmarnowano!

zniesiono 140 do Kruszyny, wielu rozebrali obywatele okoliczni. Straty rosyjskie były prawie nie znaczące¹⁾. Zabrano tabór Taczanowskiego w liczbie 20 wozów, 60 koni, mnóstwo broni i tylko 65 jeńców. Część rozproszonej jazdy powstańczej zebrał Matuszewicz i Słupski i puścili się z nią w Łęczyckie, część z Taczanowskim znalazła się w Prusiecku, gdzie ten ją rozpuścił, broń kazał zakopać, która dostała się później w ręce pułkownika Ernrotha z Częstochowy. Sam Taczanowski w Pajęcznie przebrał się w mundur straży leśnej, oczy zakrył ciemnymi okularami, i w towarzystwie żony nadleśnego z Pajęczna, pojechał bryczką ku granicy pruskiej. W Żytniowie, wiosce leżącej o półtorej wiorsty od tejże granicy, spotkał się z naczelnikiem powiatowym powiatu wieluńskiego, i tak był zmieszany, że nie umiał powiedzieć, gdzie go rozproszono, nie wiedział co się stało z piechotą, mówił: „zdaje się, że wybita”. Zaprężono mu bryczkę i wywieziono za granicę; najprzód udał się do Wrocławia, a potem do Paryża, skąd obiecywał wrócić za tydzień, ale wcale nie wrócił i więcej udziału w powstaniu nie brał. Umarł w Choryni w ks. Poznańskim w r. 1879.

Haniebna ta porażka²⁾, wywarła na wszystkich wielkie wrażenie i wywołała jeszcze większe rozgoryczenie. W Częstochowie, gdy się dowiedziano o pojawieniu się

¹⁾ Pawliszczew, II, 170, a za nim *Jelec*, l. c. 338 powiada, że poległ jeden historyczny, tym razem nie kozak, ale huzar, rannych 11, koni zabito 6, ranionych było 7. „Dziennik Poznański” No 209 z r. 1863 na podstawie raportu Kopernickiego, donosi, że powstańców poległo 66, rannych było 100, a do niewoli wzięto 52. Zdaje się jednak, że cyfry te nie są dokładne. Giller II, 233 zapewnia, że padło stu kilkudziesięciu „najokropniej porąbanych i pokaleczonych”, i dodaje, że lekarze polscy zewsząd spieszyli im z pomocą, że nawet jeden przybył nazajutrz rano z punktu o piętnaście mil odległego.

²⁾ To co opowiada p. *Wysogota Zakrzewski* („W 40 rocznicę powstania”, 520) jakoby pod Kruszywą „dwa razy atakował nas (t. j. powstańców) pułk(?) huzarów Olgi(?) na prawem skrzydle”, jakoby „jeden atak został świetnie odparty, drugi szwadron, który szarżował, został do szczytu zniesiony”, jakoby „całe wojsko nasze drżało tylko,

w tych stronach Taczanowskiego, wielkie na nim pokładano nadzieje, a gdy kompania wyznaczona na pomoc Wittemu, przysłała kozaka. żądając posiłków, radość była wielka. Jakiż natomiast upadek ducha ogarnął patryotów, gdy się dowiedziano o doszczętnem rozbiciu tak pięknej i tak licznej jazdy. „Wszystko przepadło” wołano, i słusznie, gdyż klęska Kruszyńska w Piotrkowskiem i klęska Fajslawicka w Lubelskiem, prawie jednocześnie (Fajslawice d. 23 sierpnia; Kruszyna d. 29 sierpnia), zachwiały zupełnie powstaniem. Odtąd, mimo wszelkich wysiłków, chylić się ono będzie od upadku. To też Rząd narodowy ówczesny był oburzony na Taczanowskiego, surowo ganił jego wyjazd za granicę i opuszczenie sromotne oddziału¹⁾; powstańczego naczelnika powiatu wieluńskiego, Paciorkowskiego, za to, że w Żytniowie nie aresztował generała i wypuścił

aby uderzyć na Moskali, taka panowała ochota, jakoby Taczanowski się wahał: „a może nie damy im rady”, i tym podobne przechwałki, są poprostu kłamstwem. Czemuż, skoro „wojsko drżało tylko, aby uderzyć na Moskali”, nie uderzyło w Witkowicach na jedną zaledwie kompanię piechoty i nie rozniosło jej, ale bezwstydnie przed nią ustępowało i czekało się przybycia Wittego i Kłodta? Co warte było to „drżące wojsko”, skoro jak sam p. Zakrzewski (także fałszywie) zapewnia, że pod parzącymi pociskami Kłodta w „dwóch minutach poszło w rozsypkę”? Nie! bito często, bito ciągle powstańców w r. 1863, ale nigdzie tak haniebnie jak pod Kruszywą.

¹⁾ Komisarz rządowy wojew. Kaliskiego, Aleksander Biernawski, nie mógł sobie wytłumaczyć możliwości porażki, o której „z największem zdziwieniem”, dowiedział się we Wrocławiu. „Nie mógł pojąć nagannego wyjazdu generała (Taczanowskiego) do Paryża”, gdyż „wyjazd ten wpłynął więcej demoralizująco, niż sama przegrana”. Biernawski w raporcie swym do Rządu Narod. (z d. 8 września — rękopisu) donosi: „z Wrocławia przesłałem natychmiast telegraficzną depezę do Paryża, aby powracał (Taczanowski), gdyż tego wymaga dobro sprawy, jak również i honor jego; dotychczas jednak nie otrzymałem żadnej odpowiedzi”. I nie miał jej otrzymać, gdyż Taczanowski mimo obietnicy powrotu, wracać nie myślał. Słusznie też komisarz kończy swój raport melancholijną uwagą: „ze smutkiem należy wyznać, iż od czasu przykładu Langiewiczza, wszyscy nasi wodzowie w ten sposób postępują, t. j. uciekają w bezpieczne kąty galicyjskie lub w kapuańskie rozkosze Paryża.

z kraju, oddał pod sąd wojenny, kazał i samego Taczanowskiego sądzić, ale wszystka ta groza, jak zwykle u nas, na niczem się skończyła. Zato wśród zwycięzców naszych była wielka radość, że tak krwawo pomszczono katastrofę Sędziejowicką. Klodt i rotmistrz huzarów Stahl von Holstein, który na czele swego szwadronu dopiersną szarżą wszął się w zachwiane szeregi ułanów polskich, otrzymali złote szable z napisem: „za waleczność“ (za chrabrost'), a dzienniki rosyjskie piałły pean tryumfalny i zapowiadały blizki koniec powstania.

Jednakże te spóźnione tryumfy Fajslawickie i Krużyńskie, nie mogły już zmienić kolei rzeczy, ani też za-trzeć skutków katastrof: Żyżyńskiej i Sędziejowickiej. Pierwsza z nich wywarła silne wrażenie w Petersburgu. Była tą przysłowiową kroplą wody, która przepełniła, na-czynie, dała straszną broń do ręki stronnictwa, dążącego do zdeptania Polski i oddania jej na łaskę i niełaskę różnych, nihilistycznie usposobionych „diejatieli“. Całe gro-mady zgłodniałych wyrzutków, ostatnich mętów rosyjskich, znalazły już żer na Litwie, a na Polskę ostrzyły zęby. Dopieroż to tam możnaby się obłowić, okazać całą bujność „szerokiej natury słowiańskiej“, napęlić swe kieszenie i w dodatku uchodzić za patryotów rosyjskich, stojących na wyłomie państwowości rosyjskiej, broniących jakoby jej interesów, gdyby nakoniec w Petersburgu zdecydowano się na porzucenie polityki „sentymentów“, a wzięto się do rzeczy jak należy, po moskiewsku. Stronnictwo to, od-niosłszy niedawno na Litwie tryumf, przez wysłanie tam Murawiewa-Wieszatiela, odniosło i w Polsce zwycięstwo pierwsze i bardzo ważne przez obalenie Wielopolskiego.

Jak wiemy, oddawna czuł on, że stanowisko jego jest zachwiane, że pracowali nad tem wszyscy z rozczulającą zgodą i jednomyślnością, tak Samobytnicy, tak jeneralcya rosyjska w Warszawie, dążąca do chwycenia w swe dra-pieżne ręce władzy w Polsce, jak i biała szlachta polska i czerwoni rewolucyoniści powstańcy. Kilkakrotnie też podawał się do dymisji, ale W. Ks. Konstanty, zawsze

jeszcze łudzący się nadzieją utrzymania się na wice-kró-lewskim tronie polskim, stale ją odrzucał i ciągle zachęcał margrabiego, by nie opuszczał kraju i nie oddawał go na łup nihilizmu, przybranego w maskę rzekomej miłości ro-syjskiej ojczyzny. Ale zabór Kasy głównej Królestwa, dał tak potężną dłoń w ręce wszystkich naszych i Wielopol-skiego nieprzyjaciół, że dalsze utrzymanie się na urzędzie było wprost niepodobnem. Czuł on to doskonale, jego nie-zwykle bystry umysł widział podnoszącą się przeciw niemu ze wszech stron burzę i d. 24 czerwca ponownie podał się do uwolnienia. W piśmie, wystosowanem do W. księcia, tłumaczył się tem, że wyczerpująca dwuletnia praca, kło-poty trudnego stanowiska, tak zaszkodziły jego zdrowiu, że potrzebował koniecznie spoczynku, że mu lekarze za-lecili kąpiele morskie, że zatem błaga Cesarza, ażeby mu udzielił dwumiesięcznego urlopu; że jeżeli zdrowie pozwoli mu potem pracować, gotów będzie dalej służyć, jeżeli Ce-sarz uzna to za stosowne. Nim jednak co do tego osta-teczna zapadła decyzja, jeden jeszcze cios w Wielopol-skiego uderzył, a ciosem tym był nowy zabór znacznej sumy pieniężnej, bo wynoszącej 46.000 rubli. Rzecz tak się miała:

Dnia 1 lipca we środę, w biurze urzędu pocztowego warszawskiego, zauważono, że nie przyszedł wcale pisarz, wyprawiający pocztę na drogę warszawsko-petersburską, niejaki Teodor Rostkowski¹⁾. Ponieważ dowiedziano się, że nocy poprzedniej nie przepędził on w domu, więc nie-obecność jego wzbudziła podejrzenie. Otworzono skrzynię, w której przesyłki były zamknięte, i znaleziono w niej kartkę tej treści: „No 369. Rząd narodowy Kasę pocztamtu warszawskiego niniejszem kwituje z sumy złp. 306.666 gr. 20, jaka w dniu dzisiejszym do Kasy głównej Rządu narodowego przelaną została. Warszawa d. 30 czerwca 1863 r.“ Pieniądze te wyjęto z przesyłki, złożonej na

¹⁾ Pawłiszczew, Siedmicy II, 131 nazywa go mylnie Jabłońskim. Relacją naszą opieramy na aktach b. Komisji Skarbu.

poczcie w d. 29 czerwca przez dom handlowy S. A. Fraenkel pod adresem Wyncken et Comp. w Petersburgu. Prócz tego Rostkowski zabrał z listu prywatnego rub. 60 i na pisał, że przekazuje tę kwotę do odbioru ze swej kaucyi, sam zaś zbiegł. Nowy ten zabór był wodą na młyn partyi wojkowej, pragnącej obalić Wielopolskiego i W. księcia, by samej rozporządzać się po swojemu losem Polski. Nakazano surowe śledztwo, którego prowadzenie poruczono oficerowi sztabu warszawskiego, baronowi Morgenstierna. Ponieważ pieniądze oddano na pocztę we wtorek d. 29 czerwca i tegoż dnia one zostały zabrane, podejrzewano, że maczali w tem ręce także urzędnicy banku Fraenkla i aresztowano ich wszystkich. Okazało się w końcu, że nikt tu nie był winien, tylko sam Rostkowski, którego wreszcie schwytano, oddano pod sąd wojenny i zesłano na Sybir. Sumę 46.000 rubli musiał zwrócić Fraenklowi skarb Królestwa, ale ponieważ Rostkowskiego rodzina posiadała majątek Rutkiszkii w powiecie Kalwaryjskim, więc Komisyja Skarbu zapisała na hipotece tych dóbr ostrzeżenie. Czy jednak odebrała swą należność, nie wiemy.

Oczywiście cała zgraja przeciwników Wielopolskiego nie omieszkła z tak pomyślnej dla siebie sposobności skorzystać. Korespondent z Warszawy do „Moskiewskich Wiadomości“, żandarm Rotkirch, pisał z uczuciem zadowolenia wewnętrznego: „i oto rząd prawy poraz wtóry okradziony został w sposób najzuchwalszy przez własnych agentów! Czyż nie jest widocznem, że Polacy wcale nie cenią tej łaskawości W. księcia, który wszelkimi sposobami stara się złagodzić ciężar stanu wojennego, i tej dobrej woli, z jaką książę Namiestnik broni autonomii kraju w osobach jego urzędników?“ Zaraz też potem sam Katkow w gazecie swej (No 141 z d. 27 czerwca [9 lipca]) pomieścił gwałtowny artykuł wstępny, domagający się zmiany w zarządzie cywilnym Królestwa. „Z tego wszystkiego widać (pisał), że same tylko środki wojenne zgoła nie są wystarczające, że należy szczególną zwrócić baczość na administracyą cywilną, która niestety! z każdym dniem coraz

bardziej wysuwa się z rąk rządu i kompromituje go przed publicznością europejską w takich wypadkach, jak zabór pieniędzy z banku (miało być z Kasy Głównej Królestwa), lub jak niedawna kradzież 46.000 rubli z pocztamtu“. Żądał więc, ażeby wszystkie władze cywilne były poddane naczelnikom wojskowym, by policya zależała od władz cywilnych. „Ale na nieszczęście Rosyi i Polski, wołał, ta prawda nie jest uznaną w zupełności; policya pozostaje zależną od władz cywilnych, co pozwoliło buntowi rozwinąć się do rozmiarów olbrzymich“. „Wiemy dobrze, że jeszcze w początkach kwietnia naczelnicy oddziałów wojennych robili przedstawienia, dotyczące przeszkód, jakie napotykają ze strony gubernatorów cywilnych; bez zgody tychże nie mogli usuwać urzędników. Żeby zaś publiczność rosyjska wiedziała, co to są gubernatorzy Polacy, przytoczymy tu ze źródła autentycznego co następuje: wójci gmin o wiele staranniej donoszą o najmniejszym nawet nadużyciu żołnierzy i wyliczają pretensye, które natychmiast gubernatorowie komunikują władzy wyższej w formie skargi na okrucieństwa i samowolę naszych wojsk. Niekiedy gubernatorzy dodają do tych skarg swoje uwagi. I tak np. gubernator warszawski z powodu, że oficerowie pruscy odwiedzili pograniczne miasto Słupcę, utrzymuje, że jest to naruszeniem kartelu. Na podstawie takiej odezwę gubernatorskiej, nic nie pozostaje rządowi, jak rozpocząć wymianę not z Prusami o obrazę Królestwa Polskiego, zadaną mu przez oficerów pruskich. Czyż można polegać na takich urzędnikach w sprawie stłumienia buntu?“

Ileż w tem wszystkiem jest kłamstw, ile żmijowatego syczenia, ile zjadliwej nienawiści, ile prawdziwie bizantyjskiej perfidy! Jasna rzecz, że tym panom chodziło o to tylko, by mogli bezkarnie kraść, rabować, rozbijać, gnębić i dlatego tak się oburzali na doniesienia gubernatorów Polaków, które bądź co bądź stanowiły dla ich zbójceckich natur pewien hamulec. Ale nie poprzestali oni na powyższym artykule. W chwili, gdy już wiedziano na pewno, że Margrabia opuści Warszawę, Katkow wymierzył nową na-

paść, zapewne w tym celu, żeby raz na zawsze położyć nieprzebytą tamę możliwości powrotu Wielopolskiego i wogóle utrzymania w Polsce stanowiska Naczelnika Rządu Cywilnego. „Nie ulega wątpliwości, pisał (No 144 z d. 2/14 lipca), że główna przeszkoda, jaką spotykamy w Królestwie Polskiem, nie leży w bandach powstańców, ani nawet w t. z. Rządzie narodowym, ale w administracyi cywilnej Królestwa. Nigdzie na świecie, oprócz Polski, niema osobnego Naczelnika Rządu cywilnego. Nie jest to pierwszy minister, bo do niego nie należy wydział wojskowy, ale to także nie zwyczajny minister, gdyż podlegają mu wszystkie wydziały, oprócz wojskowego. Stanowisko to nadaje zajmującemu je ogromne i anormalne znaczenie, wnosi do zarządu krajem nie jedność, ale rozdzielenie między władzą wojskową a administracją cywilną. Gdyby dygnitarz taki wybrany był z pomiędzy ludzi w rzeczy samej doświadczonych w sprawach administracyi, łączący w sobie wierność tronowi i zaufanie narodu, to nienormalność jego stanowiska okupywałaby ta okoliczność, że byłby on pośrednikiem między narodem i władzą najwyższą. Ale na czele zarządu cywilnego w Królestwie stoi margrabia Wielopolski, którego słusznie czy niesłusznie nienawidzą w Warszawie i Rosyanie i Polacy“. W dalszym ciągu dziennikarz rosyjski oskarża Wielopolskiego o brankę styczniową, o to, że wydalil urzędników rosyjskich, i „tym sposobem sam oddal władzę w ręce ludzi, którzy uważają go za pierwszego wroga ojczyzny“. Utrzymuje, że „nawet przy najpomyślniejszem połączeniu warunków osobistych, specyalny urząd naczelnika rządu cywilnego, tworząc instancję zbyteczną, jest tylko przeszkodą w takich burzliwych czasach, w jakich znajduje się teraz Polska“. Twierdzi, że „zabór Kasy Głównej Królestwa nie mógłby nastąpić, gdyby Naczelnik rządu cywilnego nie miał prawa czy też pretensyi przeglądania jeszcze raz wszystkich interesów, o których już zaraportowano Namiestnikowi Królestwa. Skądinąd dochodzą nas wieści, że nawet śledztwu w sprawie tego zaboru robiono trudności ze strony tegoż zarządu. Dlatego

też, bez żadnej wątpliwości, wyjazd mar. Wielopolskiego na urlop, przypada w samą porę“. Później jeszcze raz powraca do tego samego przedmiotu i woła: „cieszyć się trzeba, że urlop udzielony margr. Wielopolskiemu, da całej administracyi Królestwa, tak wojskowej jak i cywilnej, możność działania w pewnym kierunku, że zależeć będzie ona zupełnie i niepodzielnie od Namiestnika Królestwa bez żadnej instancyi pośredniej“.

W tem wszystkim nie chodziło o to, że Wielopolski wyjeżdża na urlop, ale o to, żeby więcej nie wrócił i o to, żeby urząd naczelnika administracyi kraju znieść i żeby żadna nowa osoba go nie zajęła. O to tylko szło różnym prokonsulom rosyjskim w Polsce, by nie już ich nie krępowało, by mogli rozporządzać się samowolnie i w tym celu złego i przebiegłego dziennikarza moskiewskiego nastrajali do podobnych jak powyższy artykułów. Wielopolski doskonale to rozumiał i wiedział o tem, że dzieło jego z takim mozołem, z takim natężeniem wszystkich sił jego potężnej inteligencyi wzniesione, zagrożone jest nieuniknioną ruiną. Był teraz mroczny i mileczący, nawet wobec najbliższych zamknął się w sobie, łamał się w duszy i gryzł straszliwie. Jednakże, jeżeli prawdziwe są niektóre relacye, nie tracił zupełnie nadziei i pieścił myśl tajną, że kiedyś może znowu wróci do Warszawy. Dowodzi to tylko jak się łudził, jak nie znał przeciwnika, z którym walczył, jak nie znał Rosyi i jej tatarsko-bizantyńskiego rządu. Czyż, gdyby był czytał wyżej przytoczony artykuł „Moskiewskich Wiedomości“, a zapewne go czytał, bo był on głośny w Warszawie i komentowany przez wszystkich, mógł się jeszcze łudzić? czyż mógł przypuszczać, że kiedyś znowu w stolicy polskiej zajaśnieją czasy autonomii narodowej?

Zaraz też miał się przekonać, z jaką nienawiścią rzucano się teraz na zachwianego olbrzyma, jak bezwzględnie i brzydko kopano konającego lwa. W Petersburgu wytoczono mu formalny akt oskarżenia i domagano się, by usprawiedliwił się z całego szeregu zarzutów. Pytano się

mianowicie: dlaczego biskup kujawsko-kaliski, X. Marszewski, nie został członkiem Rady stanu pomimo zasług swoich i uczuć lojalnych względem rządu? Wiadomo, że biskup ten, Mazur pruski rodem, obojętny na sprawy narodowościowe polskie, padł ofiarą brutalnej napaści przy swym wjeździe do Łęczycy w sierpniu 1861 r. Posądzano więc w Petersburgu Wielopolskiego, że właśnie dlatego, iż X. Marszewski okazywał „uczucia lojalne“ względem rządu, nie wprowadził go do Rady stanu, że zatem margrabia był w gruncie rzeczy takim samym czerwieńcem i nieprzyjacielem Rosyi, jak i stronnictwo powstańcze. Oskarżenie było podstępne i wszelkie za sobą miało pozory prawdy. W dalszym ciągu pytano Margrabiego, z jakich powodów stawiał przeszkody nominacji X. Zwolińskiego, proboszcza praskiego, na biskupa Sejneńskiego? X. Zwoliński należał do rządu bardzo lichych księży, sam arcybiskup Feliński nazywał go „człowiekiem zszarzanym“. W Petersburgu jednak uchodził za człowieka prawomyślnego, dlatego, że on jeden ze wszystkich proboszczów warszawskich nie zamknął kościoła na Pradze po wypadkach październikowych 1861 r. Pytanie więc zawierało tę samą perfidyę jak i poprzednie.

Trzecim zarzutem, stawianym Wielopolskiemu, było to, jakoby okazywał niechęć X. Naruszewiczowi, proboszczowi parafii św. Aleksandra w Warszawie, niegdyś członkowi Wydziału wyznań, a który we wrześniu 1862 r. powiesił się w swem mieszkaniu. Oskarżano więc w Petersburgu Margrabiego, że pośrednio przyczyną tej śmierci X. Naruszewicza, był on, nie kto inny. Ponieważ prócz tego wiadano, że ksiądz ten z kazalnicy potępiał śpiewanie po kościołach hymnów patriotycznych, że w następstwie tego otrzymywał mnóstwo bezimiennych listów z groźbami, więc wynik oczywisty dla polityków petersburskich, że Wielopolski dlatego, a nie dlatego innego, okazywał mu niechęć i prześladował podobnie jak X. Marszewskiego i Zwolińskiego. Był więc ten Naczelnik Rządu cywilnego nową edycją Konrada Wallenroda i Almanzora.

Czwarte pytanie brzmiało tak: „czy prawdą jest, że gubernatorzy, mianowani na przedstawienie Wielopolskiego, popierali potajemnie powstanie i że ono jest najsilniejszym właśnie w tych guberniach?“ Pytanie to było powtórzeniem tych oskarżeń, jakie na gubernatorów cywilnych Polaków rzucał Katkow i cała zgraja generałów rosyjskich, a zarazem rzucało podejrzenie na Wielopolskiego, że on właśnie takich gubernatorów wybierał, którzy skrycie powstanie popierali. Perfidyja i podstęp leżał w tem, że rzeczywiście w gubernii Radomskiej, gdzie rządził Ostrowski a potem Piątkowski, i w Lubelskiej, gdzie był Boduszyński, — wszyscy trzej nominowani na zalecenie Wielopolskiego, — powstanie było najsilniejsze, ale przyczyną tego nie byli gubernatorowie, ludzie należący do przeciwników powstania, choć niezaprzeczenie jak najlepsi Polacy i stronnicy autonomii polskiej, ale bezpośrednia styczność tych gubernii z Galicyą. O tem doskonale wiadano w Petersburgu, a jednak ośmielano się rzucać na Margrabiego takie podstępne oskarżenia.

Pytano się dalej, jakimi względami powodował się Margrabia, ogłaszając w r. 1862 w urzędowym „Dzienniku Powszechnym“, statuta organizacji rewolucyjnej? Dlaczego nie przeszkodził przyjmowaniu po kościołach i domach prywatnych przysięg rewolucyjnych? Dlaczego nie oczyścił urzędów z osób podejrzanych politycznie, a natomiast usunął „dla dobra służby“ wielu Rosyan i ludzi oddanych rządowi? Domagano się by przedstawił spis takich urzędników z wyjaśnieniem powodów ich uwolnienia. Podejrzowano więc i tu Wielopolskiego, że usuwał owych urzędników, zwłaszcza Rosyan, dlatego, że byli wierni rządowi, jednym słowem widziano w nim ukrytego, tem przeto niebezpieczniejszego powstańca, a zatem zdrajcę.

Wielopolski w odpowiedzi na te wszystkie pytania, świadczące o wyraźnej złej woli jego oskarżycieli, pisał, że X. Marszewski nie został powołany do zasiadania w Radzie stanu dla swego podeszłego wieku i niedołęztwa, oraz dlatego, że pędził życie w zupełnem odosobnieniu i wzy-

wany, nie chciał nawet przyjechać do Warszawy; że ustawa o Radzie stanu wcale nie wymaga, ażeby do niej byli powoływani wszyscy biskupi, że wreszcie przedstawienie na członków tej magistratury, nie zależało wyłącznie od Naczelnika rządu cywilnego, ale także i od Namiestnika. Ten więc, gdyby chciał, mógł powołać do Rady stanu X. Marszewskiego. Co się tyczy nominacji X. Zwolińskiego na biskupstwo Sejneńskie, to w Rzymie nie chciano nawet słyszeć o tem i dlatego W. ks. Konstanty zaproponował ks. Łubieńskiego; zaś X. Zwoliński sam odmówił ofiarowanej mu godności sufragana. X. Naruszewicz powiesił się nie z powodu niechęci, jakoby mu okazywanej, ale z przyczyny choroby umysłowej. Rząd nawet ofiarował mu fundusz na leczenie się zagranicą. W sprawie opublikowania statutow organizacyi rewolucyjnej, odpowiedział Wielopolski, że uczynił to za wyraźnem zezwoleniem Monarchy, w celu objaśnienia kraju o zamiarach i dążnościach „stronnictwa bezrządu“. W kwestyi rozwoju powstania w niektórych guberniach, oraz w sprawie przysięgi rewolucyjnej, należy się odnieść do władz wojskowych, od których zależną jest policya i żandarmerya. Wielopolski dodawał, że od chwili wstąpienia swego do rządu, przeświadczony był o nieudolności tych dwu narzędzi, że stale domagał się nowej ich organizacyi, ale żądań jego nie popierano i nie słuchano. Że co się dotyczy oczyszczenia urzędów administracyjnych, to rzecz ta uznaną została za konieczną jeszcze za czasów namiestnictwa księcia Gorczakowa; że dwa razy jej dokonywano, raz w chwili zwoływania rad powiatowych, a poraz ostatni w kwietniu 1863 r. po porozumieniu się z władzami wojskowymi. Oskarżenie gubernatorów jest ogólnikowem, obrażającym i na niczem nieopartem; o to należy pytać naczelników wojennych, jak również niech oni wymienia, którzy to urzędnicy, z powodu ich wierności rządowi, byli uwolnieni ze służby.

Taką była odpowiedź Wielopolskiego, spokojna i chłodna, a podobno kiedy się już miał usunąć, lepiej żeby nie

odpowiadał na te złośliwe i podstępne zarzuty¹⁾. Podanie jego o urlop zostało skwapliwie przyjęte; zrobił je d. 24 czerwca, a już nazajutrz żądane uwolnienie otrzymał i jednocześnie hr. Berg, „z powodu uwolnienia Naczelnika Rządu cywilnego na urlop“ (jak się wyraża reskrypt Cezarski), został mianowany członkiem czasowym Rady Administracyjnej Królestwa i w razie nieobecności Namiestnika miał prawo prezydowania w Radzie stanu. W parę tygodni później, d. 16 lipca, Margrabia wraz z żoną wyjechał z Warszawy, do której już nie miał wrócić i której już nigdy więcej nie oglądał. Opuszczał on kraj z pewną obawą o życie swoje. Przez rektora Szkoły głównej, Mianowskiego i przez Dra Januszkiewicza, kilkakrotnie domagał się od ówczesnego Rządu narodowego, a zwłaszcza od Karola Majewskiego, o którym jednym zdaje się wiedział, że ma bezpośrednie stosunki z partją ruchu, ażeby go zabezpieczył od możliwego zamachu na kolei żelaznej. Miał bowiem wiadomość, że partya ultraczerwona, z Ignacem Chmielińskim na czele, który w tej porze przebywał w Warszawie, zamierza nań dokonać koniecznie zamachu, czyli poprostu zamordować, jako wyjętego z pod prawa. Temu zamiarowi Majewski stanowczo się oparł i polecił zapewnić Margrabiego, że nikt na kolei na jego życie na-

¹⁾ Syn Margrabiego, Zygmunt Wielopolski w liście otwartym do Stanisława hr. Tarnowskiego (Kraków 1879 r. p. 17), wspomina mimochodem, że ten akt oskarżenia był owocem intrygi, zawiązanej przez Polaków i w Warszawie, przeciw Margrabiemu: „W czasach spokojniejszych (pisze Z. Wielopolski) podobna intryga wielką mogłaby wyrządzić szkodę, lecz w ówczesnych okolicznościach odbiła się ona na położeniu Margrabiego o tyle tylko, że dostarczyła materiału do memoryału, a raczej aktu oskarżenia, jakim osłodzone zostały ostatnie dni jego urzędowania“. Ktoby tę intrygę zawiązał i w jaki sposób, objaśnić nie umiemy; wiemy, że sądzili niektórzy, iż obalając Wielopolskiego, sami będą mogli zająć stanowisko Naczelnika Rządu cywilnego. W szeregu tego rodzaju krótkowidzących aspirantów, był Węgłowski. Bądź co bądź taka intryga nie świadczy o dobrem obywatelstwie i szlachetności uczuć tych, którzy ją knuli, ani nawet o ich rozumie.

stawać nie będzie, że co większa, może wydać rozkaz Taczanowskiemu, który właśnie w tym czasie przebywał ze swemi partjami między koleją Wiedeńską a Bydgoską, ażeby na pociąg, wiozący Margrabiego nie napadł; ale z drugiej strony oświadczył, że nie może za to zaręczyć, czy jaki oddziałek tego nie zrobi i Margrabiego nie powiesi. Wielopolski w odpowiedzi na to prosił, aby Majewski odprowadził go do granicy, ale ten tłumaczył się, że to na nie się nie przyda, bo choć on jest członkiem Rządu narodowego, to jednak pierwszy lepszy dowódca żandarmeryi narodowej schwytawszy ich, niewątpliwie obu powiesi. Obiecał tylko, że tym samym pociągiem, którym Margrabia pojedzie, pojedzie także brat Majewskiego, mecenas Wincenty z rodziną. Innej gwarancyi dać nie może i na tem rzecz się skończyła ¹⁾.

Wobec tego Wielopolski w gorączkowej obawie o swe życie, nie mogąc uzyskać zapewnienia bezpieczeństwa ze strony ówczesnego Rządu narodowego, zażądał od W. księcia eskorty wojskowej. Dano mu ją, złożoną z żandarmów i oddziału piechoty, którą pomieszczono w osobnym wagonie. Margrabia przyjechał na stacyą późno, przed samym trzecim dzwonkiem. Jechał koleją warszawsko-bydgoską, w zamiarze udania się na wyspę Rugią, i nigdzie nietylko zamachu, ale nawet najmniejszej przykrości nie doznał. Przeciwnie na stacyi pogranicznej w Aleksandrowie, zebranych tam widzów i urzędników kolejowych ogarnął na widok upadłej wielkości nieoczekiwany smutek. Wszyscy stali w milczeniu z odkrytymi głowami. Zdawało się, że smutek ten był przeczuciem, iż z wyjazdem Margrabiego, runie i autonomia kraju. I niestety! nie mylono się wcale. Już zaraz po jego wyjeździe „Moskiewskie Wiedomości“ pisały, że „trudno przewidzieć, jaki wpływ będzie miał ten fakt na stronnictwo rewolucyjne; ale kółko rosyjskie jest zadowolone z tego kroku rządu, gdyż stłumienie buntu przy mieszanii się Margrabiego we wszystko, wlokło się

¹⁾ Relacya K. Majewskiego (rękopism w zbiorach autora).

niepomyślnie. Nie chcemy wygłaszać przepowiedni z powodu jego odjazdu; powiemy tylko, że lepiejby było, gdyby ten odjazd nie był koniecznością, to jest, żeby nie było przyjazdu“.

W Toruniu, do pociągu, którym jechał Margrabia, eskortę rosyjską zmieniła eskorta pruska, a w Książu zastąpiło ją czterech policyantów, uzbrojonych w rewolwery, i ci odprowadzili go do Szczecina, dokąd szczęśliwie przybył, a stąd puścił się na wyspę Rugią do Putbus, gdzie go ciągle policya pruska strzegła. Później zamieszkał w Berlinie, a wreszcie osiadł w Dreźnie ¹⁾, tem schronieniu sta-

¹⁾ Mieszkał przy Lüttichau-Strasse No 17. Żył tu w odosobnieniu z żoną, mając przy sobie synową, hr. Józefową Wielopolską z dziećmi, a w ostatnich latach przebywała przy nim i druga synowa, margrabina Zygmuntowa. Całe to grono zbierało się codziennie u rodziców. Margrabia punktualnie o godz. 10-ej wieczorem udawał się na spoczynek, dzieci wracały do siebie. Dzienników polskich nie czytywał wcale, nie chcąc zapewne drażnić się tem, co się w kraju działo. Nie wychodził nigdzie, tylko codziennie rano o godz. 11-ej udawał się do kościoła zamkowego, gdzie siadał zawsze na jednej i tej samej ławce, z wielką książką do nabożeństwa. Niekiedy odwiedzał słynną Drezdeńską galerję obrazów w Zwingerze; wieczorem czasem bywał w teatrze i tylko wtedy, gdy grano jaką sztukę klasyczną. Odwiedzał go dość często, znany mu z Warszawy pewien dyplomata pruski (bodaj czy nie ówczesny konsul pruski w Warszawie), który w r. 1893/4 wydrukował w „Deutsche Revue“ swe wspomnienia (Die polnische Revolution vom Jahre 1863), i opowiada (p. 361), że «margrabia z jego wizyty był bardzo ucieszony i że od-tąd często i serdecznie (herzlich) ze sobą się komunikowali». Twierdzi on, że Wielopolski «nie zaprzeczał temu, że miał zamiar wy-zwolić (emanzipiren) Polskę od Rosyi, ale nie przez rewolucyę, tylko na drodze cywilizacyjnej»; że «zawsze z goryczą mówił o swoich ro-dakach, którzy w swych błędach i wadach, przez które już ich ojco-wie upadek państwa spowodowali, pozostali niepoprawnymi»; że z «bó-lem przyznać musiał, że omylił się i Polska nigdy i w żadnej for-mie przywróconą nie będzie». Jeżeli to jest prawdą, to nie należy słów tych uważać, jako wyraz wewnętrznego przekonania, ale raczej za wykrzyk bóleści chwilowej ciężko doświadczonego serca. W maju 1866 r. Wielopolski z powodu zamachu na Bismarcka, napisał do niego list, w którym «prosił Boga, żeby mu (Bismarekowi) dopomógł do spełnienia wielkiego dzieła, które oby się stało schroniskiem praw-

łem wszelkiego rodzaju emigracyi polskiej, i tu żył a raczej wegetował jeszcze kilkanaście lat, zapomniany od wszystkich, męczony wspomnieniami swej wielkiej i burzliwej przeszłości, rozpamiętujący swe błędy i kający się ich w ciszy wewnętrznej ducha. Gdy młody rzeźbiarz Ireneusz Żaluski chciał wykonać jego popiersie, odrzekł słowami pełnemi głębokiej goryczy: „wodzowie, którzy przegrali bitwę, nie mają prawa przechodzić do potomności“. Nie

dziwej cywilizacyi i szansem porządku społecznego, który podkopuje działalność anarchistów». (*Łisicki, Le marquis II, 424*). Dziwnie te słowa brznią, słowa wypowiedziane do największego wroga polskości, do najniebezpieczniejszego wroga samego Wicłopolskiego. Wszak nikt pilniej i systematyczniej nie podkopywał jego dzieła w Polsce, jak Bismarck, podmawiając rząd rosyjski, aby na ustępstwa nie zezwalał, a natomiast chwycił się «zbawiennej surowości». Wojna rosyjsko-turecka ożywiła nieco Margrabiego; ludził się nadzieją, że zachowanie się kraju, odrzucenie wszelkich pokus zagranicznych, krew przelewana przez Polaków na wojnie, są to tytuły, które możnaby podnieść i położyć koniec straszliwemu systemowi wynaradawiania, jaki Rosya stosowała względem Królestwa. «Gdybym był zdrów, mówił, jest to chwila do działania, do zrobienia czegoś». Jakże się ludził, jak nie znał Rosyi i rządzącego nią podówczas stronnictwa mongolskiego Samolytników!

Całe dnie w Dreźnie schodziły na czytaniu. Ułubionemi lekturkami była żona i synowa Józefowa. Wieczorami bywał u Margrabiego b. Dyrektor Komisji Oświecenia Krzywicki, który niebawem miał napisać haniebną broszurę, zalceającą Polakom politykę samobójstwa. Z nim wdawał się Margrabia w dyskusye filozoficzne. Hr. Andrzej Zamoyski przejeżdżając w r. 1867 przez Dreźnie, chciał mu złożyć wizytę, ale odmówiono mu pod pozorem słabości zdrowia. Spotkali się tylko w kościele i powitali ukłonami.

W przeddzień zgonu czytano mu Mickiewicza, którego całe ustępy powtarzał na pamięć; w dzień zaś śmierci synowa czytała mu nową powieść Kraszewskiego «Jesienią». Umarł prawie nagle, kolo północy, na aneurysm serca, licząc lat 74. Cesarz Aleksander II przesłał synowi Zygmunutowi depeszę kondolencyjną, wyrażając «swoją żal i szczere zmartwienie z powodu śmierci Margrabiego», jak również W. Ks. Konstanty do żony, że «on (W. Książę) i jego żona wyrażają najżywszą boleść i że zachowali najkrośszą pamięć o nim», że «współcześni nie potrafili ani zrozumieć, ani uznać jego wielkich przymiotów», i że «mają nadzieję, iż historia odda mu sprawiedliwość».

było już dlań żadnej pociechy; widział kraj, który tak kochał, oddany na łaskę strasznego, dzikiego, bezwzględniego zwycięzcy. W lipcu 1864 r. widział się z Cesarzem Aleksandrem II-im w Poczdamie, a ten mu tyle tylko umiał powiedzieć: „zwyciężono nas Margrabio, zwyciężono!“ (*nous avons été vaincu marquis, nous avons été vaincu!*) Umarł w Dreźnie d. 30 grudnia 1877 r. Ciało przewiezione do kraju, pochowane zostało w grobach rodzinnych w Młodzowy. Ostateczną dymisyą, z chwilą stanowczego zwrotu w polityce rosyjskiej, otrzymał d. 12 września 1863 r.

Tak zeszedł z tragicznej sceny historycznej mąż, jakich Polska niewielu miała. W narodzie, w którym wielkie charaktery są rzadkością, był on zjawiskiem fenomenalnym. Los, który go spotkał, był losem prawdziwie wielkich, a tak nielicznych mężów politycznych polskich. Oszkalowano go, obrzucono błotem, nazwano zdrajcą, wyjęto z pod prawa, usiłowano zamordować. Ileż ten człowiek, to serce kochające gorąco ojczyznę, przecierpieć musiało. Czyż bowiem jest większa boleść na świecie, kiedy własni rodacy od siebie odpychają i mianem Koryolana przezwiał? Że popełnił błędy, któż o tem wątpi? Że błędy te były wielkie i straszne za sobą pociągające następstwa, o to nikt spierać się nie będzie. Ale z drugiej strony, pewną jest rzeczą, że gdyby był znalazł poparcie w narodzie, to błędy te nie miałyby znaczenia, losy Polski i Rosyi zgoła inną potoczyłyby się koleją. Przymiotów jego, jego usiłowań odbudowania tego w Królestwie, co zostało zrujnowane, współcześni nie uznawali, stronnictwo czerwone nie przestało go długo szkalować, a i dziś jeszcze nie potrafią mu oddać należytej sprawiedliwości. Dzieje jego działania są wysoce tragiczne i smutne. Był dumny, opryskliwy, nieprzystępny, mściwy; wszystko to prawda, ale miał rozum wielki, charakter silny, inteligencyą lotną i niepospolitą, gorącą miłość kraju i wolę niezłomną. Stosunek z nim był przykry, ale współcześni, gdyby nie byli zaślepieni, gdyby nie wrzały w nich namiętności, a częstokroć zakozreniona historycznem życiem prywatą, winni byli dla do-

bra ogólnego i tę dumę, i tę opryskliwość, i tę mściwość znosić, popierać go, pomagać mu, bo to przecie szło o Polskę, Polskę nieszczęśliwą, Polskę tak kochaną!.. Nie uczyniono tego; margrabia podkopany z zachwycającą jednomyślnością przez Polaków i Rosyan, upadł, a z nim upadła autonomia polska, swobodny rozwój kraju, zagrożone zostało nieomal jego życie narodowe, spaczony duch polski... o! któż zliczy te ciosy, jakie przez lat kilkadziesiąt z rządu, kraj musiał ponosić z rąk różnych Bergów, Murawiewów, Kaufmanów, Baranowów, Hurków, Kochanowów, któż ich tam zresztą zdoła wymienić, kto spisać listę tych katów, rozbójników i złodziei?..

Do ostatecznego upadku Wielopolskiego, oprócz powodów wyżej wymienionych, przyczynił się także bardzo wiele sam W. ks. Konstanty, przez osobliwsze swoje postępowanie w tej właśnie porze, postępowanie, którego celem było bądź co bądź utrzymanie się na tronie wicekrólewskim polskim. A to utrzymanie się teraz, wskutek zaboru Kasy Głównej, wskutek porażki Żyżyńskiej i Sędziejowickiej, wskutek nieustannych napaści „Moskiewskich Wiedomości“, było bardzo wątpliwem i stanowisko W. księcia w Warszawie mocno zachwianem. Zwłaszcza zabór Kasy Głównej wywarł przygnębiające wrażenie na parę Wielkoksiążęcą. Wieczorem tego dnia, w którym wypadek ten doszedł do wiadomości władz rządowych, zwykle codzienne zebranie wieczorne w Zamku przeciągnęło się aż do godz. 1-ej w nocy, z czego W. ks. Aleksandra Józefówna tłumacząc się, mówiła do obecnych: „muszę panów dłużej u siebie dziś zatrzymać, bo jestem zbyt wzruszona, bym spać mogła“¹⁾. Była mocno podrażniona i przed Rosyanami, przez politykę, czy też z charakteru Niemki, okazywała przy każdej sposobności nienawiść i pogardę dla Polaków. Gdy d. 9 czerwca matka nieszczęśliwego Leona Frankowskiego, schwytanego jeszcze w lutym w Sando-

¹⁾ *J. von Verny du Vernois*. Im Hauptquartier der russischen Armee in Polen. (Deutsche Rundschau, December, 1903, p. 404).

mierz i skazanego na szubienicę, przedostała się jakimś sposobem, jakimś cudem serca macierzyńskiego, do parku w Łazienkach, po którym oboje Wielcyksięstwo w otoczeniu swego dworu przechadzkę odbywali, i upadła do nóg Aleksandry Józefówny, obejmując je nerwowo i błagając o życie syna, to ta ostatnia tę prośbę zrozpaczonej matki chłodno przyjęła i ani jednego kroku nie zrobiła. By nieszczęśliwemu młodzieńcowi życie uratować. Nie wzruszyły ją nawet tragiczne słowa tej biednej matki. Gdy bowiem towarzyszący W. księżnie, lekarz Haurowitz, chciał włóczącą się u nóg Frankowską podnieść i odciągnąć, ta zawołała: „pchnij mię pan lepiej tym sztyletem, który masz u boku“ (Haurowitz był w mundurze marynarskim). Więc ta piękno-oka Wielka księżna nie okazała ani serca, ani podniosłości umysłu. Gdy w d. 24 lipca obchodzono w Łazienkach święto pułkowe huzarów grodzieńskich gwardyi, to W. księżna pisała do szefa tegoż pułku, Następcy tronu Mikołaja: „była iluminacya, Twoja cyfra była umieszczona naumyślnie na moście Sobieskiego, żeby zakryć nią posąg“. Ani to mądre, ani szlachetne.

Wszystko to jednak nie przeszkadzało, że chciała ona pozostać w Warszawie, grać tu pierwszą rolę wicekrólowej polskiej i tej myśli chwytala się rozpaczliwie i niewątpliwie zachęcała męża, by wszystkich środków używał dla osiągnięcia tego celu. Pod jej to wpływem zapewne, W. książę w czerwcu i lipcu, polecił wszystkim, jak się zdaje, naczelnikom wojennym, ażeby drogą poufną starali się namówić wybitniejszą szlachtę do oświadczenia się przeciw powstaniu. Nie wszyscy oczywiście wykonali to polecenie; większość, jak wiemy, przeciwną była uspokojeniu kraju, a co zatem idzie, utrzymaniu się autonomii polskiej, bo ich to pozbawiało władzy prokonsularnej, jaką teraz posiadali, i możliwości rabowania Polski; wielu niezrozumiało intencji W. księcia, bo byli na to za zbyt ograniczeni umysłowo i stąd niezdatni do tak delikatnej misji, wymagającej wielkiego taktu, rozumu i zręczności; wielu nakoniec, spełniając przez posłuszeństwo wolę swego wo-

dza naczelnego, wzięli się do tego w sposób iście rosyjski, z gwałtem, wymysłami i pogrozkami. Naczelnik wojenny powiatu Radomskiego np. pułkownik dragonów Senger, zwołał cyrkularzem wszystkich wójtów gmin (jak wiadomo wójtami byli jeszcze wtedy właściciele ziemscy) do Jedlińskiej, Wolanowa, Brońska i Skaryszewa, dla wydania im, jak pisał, swych rozkazów. Przybywszy na takie zgromadzenie, wezwał ziemian, ażeby użyli wszystkich sił dla położenia końca powstaniu, żeby pomagali wojskom rosyjskim do tępienia powstańców, których nazywał „bandami rozbójników neapolitańskich“. Oświadczył przytem, że jeżeli tego nie uczynią, to rząd cesarski dla przywrócenia porządku i uległości, będzie zmuszony wytepić cały naród polski, a jego kraj zamienić w pustynię. W słowach nacechowanych prostackim zuchwalstwem, chwalił postępowanie Murawiewa na Litwie, wymyślał na szlachtę i duchowieństwo, i zapewniał, że mocarstwa europejskie, na które powstanie tyle liczy, nie myślą wcale o przywróceniu Polski, ale pragną tylko osłabienia Rosyi. Jenerał Raden znowu, naczelnik wojenny Piotrkowski, w formie przyzwoitej namawiał szlachtę, nawet tych, których trzymał w więzieniu, ażeby stanęła w obronie „upadającej swej ojczyzny“, jak się wyrażał. Proponował więc, ażeby potworzyła tak nazwane przez siebie „drużyny“, które on obowiązuje się uzbroić należycie, i żeby one razem z wojskiem walczyły z powstańcami w imię prawowitego rządu polskiego. Przedstawiał w czarnych, niestety! prawdziwych barwach skutki powstania, groził tysiącem nieszczęść i zniesieniem samorządu polskiego. Inni naczelnicy wygłaszali mniej więcej podobne mowy, ale na zaszczyt szlachty polskiej, jak wiemy w gruncie niechętniej powstaniu, nikt się nie znalazł, żeby tych propozycji, dążących do wywołania najstraszliwszej, haniebnej wojny domowej, usłuchał.

Gdy się ta akcja, z góry skazana na niepowodzenie nie udała, W. Ks. Konstanty uciekł się jeszcze do jednego, prawdziwie rozpaczliwego środka, do tajnych pertraktacji z Rządem narodowym, z rządem powstańczym i spiskują-

cym. Taką była z jednej strony dziwaczność i fantastyczność sytuacji, taką z drugiej gorąca, namiętna żądza panowania W. Księcia, że ten brat cesarski nie wahał się podać ręki temu Rządowi podziemnemu, którego otwarcie ścigał i w razie schwytania niewątpliwie jego członków powywieszałby do nogi. Użyto do tej akcji, jakby wyrwanej z kart romantycznej i niewiarogodnej powieści, zacnego Rektora Szkoły Głównej, dra Józefa Mianowskiego. Przez niego W. Książę domagał się od Rządu Lipcowego (Majewskiego), aby powstańcy przedewszystkiem broń złożyli. W zamian za to obiecywał utworzenie w zasadniczych ry-
sach, takiego Królestwa polskiego, jakie ustanowił kongres wiedeński, a więc z reprezentacją narodową, zmienioną odpowiednio do wymagań czasu, z wojskiem trzydziestotysięcznem, mającem nosić miano „milicyi krajowej“, z wycofaniem z Królestwa wojska rosyjskiego, które miało zajmować tylko twierdze, a więc cytadelę warszawską, Modlin, Demblin i Zamość. Są pewne ślady, że z propozycjami temi trafiano do niektórych wybitniejszych dowódców powstańczych, jak do Taczanowskiego, Chmieleńskiego, może Kruka i innych, że oni podobno w zasadzie zgadzali się na to, ale domagali się pewnych gwarancyi, których oczywiście W. Książę dać nie mógł. Rząd narodowy ze swej strony nie odrzucając tych propozycji, które jeżeli wierzyć można niektórym relacyom, stawiane były z wiedzą i upoważnieniem cesarza, domagał się, ażeby najprzód mógł się porozumiewać z W. Księciem wprost, za pośrednictwem swego delegata, a potem, żeby tenże W. Książę przedstawił pewne gwarancye, że w razie gdy powstańcy broń złożą, rząd rosyjski wypełni sumiennie przyrzeczone obietnice. Na przyjęcie delegatów Konstanty zgodzić się nie chciał i nie mógł, gdyż otaczało go tysiące podejrzliwych oczu, a byli i tacy, co posądzali go o zdradę i gotowi byli dopuścić się Bóg wie czego, żeby go obalić. A przytem jakież on mógł dać gwarancye prócz słowa swojego? Czyż wreszcie pewnym był, że to, na co się dziś jego brat cesarski zgadza, może pod obawą mogącej lada

chwila nastąpić zbrojnej interwencji zagranicznej, jutro, gdy ta obawa zniknie, nie cofnie się i wszystkiego nie będzie uważać za niebyłe. W każdym razie, cokolwiek-bądź by było, winą, ciężką jest winą Rządu narodowego, że nie chwycił się oburącz tej sposobności, by kraj z rozpaczliwego i zgubnego położenia wydobyć. Ale jemu jeszcze świeciła gwiazda nadziei, gwiazda obcej pomocy, która mogła stworzyć Polskę silną i niepodległą zupełnie, a następnie czyż mógł być pewnym, że rozmaici dowódcy go usłuchają i broń złożą, lub czy nurtujące pod nim stronnictwa jutro go nie obalą i nowej wojny nie ogłaszają? Bądź co bądź, pertraktacje te ciągnęły się jakiś czas, aż szybko bieżące wypadki zmieniając położenie polityczne Polski, Rosyi i Europy, zerwały je zupełnie¹⁾. Jedyne i nieszczęśliwy ich skutek był ten, że Wielopolski, któremu nie były obce, acz w formie niedokładnej, najprzód polecenia dane naczelnikom wojennym, a następnie to i owo dochodziło do niego o pertraktacjach, prowadzonych z Rządem powstańczym, wiedział, że się to dzieje bez niego, poza jego plecami, i jeśli rzecz ta będzie miała powodzenie, to on okaże się zbitecznym i zostanie usuniętym, więc z tego powodu, obok innych, wyżej wymienionych, wolał tego uniknąć i sam się podał do uwolnienia, pod pozorem leczenia swego nadwątlonego zdrowia u wód morskich.

Jednocześnie prawie z wyjazdem margrabiego, zjawił się w Warszawie, niby w przejeździe do wód Karlsbadzkich, generał-adjutant cesarski, Teodor Liedtke, admirał floty, stąd znany dobrze W. Księciu. Przywioził on propozycje równie drażliwe jak te, z którymi w końcu lutego przybył do Warszawy hr. Aleksander Adlerberg, tylko w tonie bardziej nalegającym, w formie o wiele silniejszej. Bawił on w Warszawie do d. 28 lipca, a więc prawie przez

¹⁾ Wiadomość o tych pertraktacjach opieramy na relacji Karola Majewskiego, ks. kanonika Ignacego Domagalskiego i paru innych wiarygodnych osób.

dwa tygodnie; domagał się w imieniu cesarza, aby W. Książę opuścił stolec namiestnikowski sam i dobrowolnie, żeby oddał władzę generałowi, domyślać się należało Bergowi, któryby wziął się do stłumienia powstania szeregiem takich środków, do których książę krwi uciec się nie może. Chodziło głównie o to, żeby sam W. Książę się usunął, boć przecie bratu cesarskiemu nie można było dać dymisji, jak pierwszemu lepszemu generałowi, zwłaszcza, że cesarz kochał swego brata, nie chciał mu zrobić przykrości, gotów był dla niego porobić wszystkie ustępstwa, byle te nie były w sprzeczności z interesami państwa, którym przecież wszyscy ulegać powinni.

Ale wszelkie przedstawienia były grochem, rzucanym na ścianę. W. Książę uwagi Liedkiego zbywał milczeniem, W. Księżna zamknęła się w oddalonych pokojach, płakała i mówiła do swych blizkich: „Chcą nas zmusić do wyjazdu stąd, ale to jest niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe!“ powtarzając trzykrotnie ten wyraz, kładąc nań nacisk rozpaczliwy, a łzy płynęły strumieniem z jej pięknych oczów, którymi się tak zachwycił rezydent wojskowy pruski w Warszawie Verny du Vernois. Do innych znowu odzywała się: „Raczej umrzeć, jak stąd wyjechać. Wiem, że wiele osób pragnie, abyśmy stąd wyjechali, ale to nie nastąpi nigdy!“ W swej niewieściej naturze, przepełnionej marzeniami ambitnymi, rękami i nogami chwytiała się widma królewskość polskiej, które przed nią uciekało i drżała na myśl, że z pierwszorzędnego stanowiska w Warszawie, znów zejdzie w stolicy caratu do szarego tłumu W. Książąt i W. Księżen bez wybitnego znaczenia, bez pierwszego miejsca. Rezultatem tych wszystkich niepokojów, tych zawodów, targających duszę pary kniaziowskiej, było to, że na kilka dni przed uroczystością imienin cesarzowej (w d. 4 sierpnia), W. Książę zachorował na febrę i położył się do łóżka, głośno mówiąc, że zapewne zaziębił się wśród stawów Łazienkowskich, gdzie zwykł był z rodziną do późna wieczorem przebywać, napawając się poetycznym urokiem polskich noczy letnich. Sama więc W. Księżna

przyjmowała życzenia, ale zauważono, że była bardzo smutna, a w czasie nabożeństwa klęczała i gorąco się modliła. Na balu, który wydano tego dnia dla Rosyan w Łazienkach, ukazała się sama, z oczami czerwonymi, opuchłymi i zapłakanymi. Gdy jedna z żon jeneralskich zapytała, czy ją oczy nie bołą, odparła, że nie, ale że musiała przepisywać dla męża liczne korespondencye sekretne i stąd ma oczy czerwone¹⁾. Na balu bawiła tylko godzinę, tłumacząc się słabością męża i że sama nie czuje się zdrową. Liedke nie więc nie wskórał i pojechał do Karlsbadu.

O tem wszystkiem donoszono cesarzowi, a „Moskiewskie Wiadomości“ nie przestawały pod różnemi formami domagać się usunięcia W. Księcia z Warszawy. Ale Aleksander II zachowywał spokój, może jeszcze marzył o pomyslnym rozwoju nadanych Królestwu polskiemu instytucyi, gdy przyszła wieść o katastrofie Żyżyńskiej i Sędziejowickiej. Oddziaływały one na niego silnie, przechylał się już teraz stanowczo na stronę tych, którzy domagali się rządów wojskowych w Polsce. W Warszawie jednak W. Książę liczył na to, że grozę tych dwóch porażek zdoła zatrzeć wiadomościami o wielkich tryumfach nad powstaniem. Wyszły więc surowe rozkazy ze sztabu warszawskiego, by raz skończono z Krukiem i Taczanowskim. Wiemy już jaki był rezultat tych rozkazów. Fajslawice i Kruszyna nie tylko krwawo zapisały się w dziejach powstania, ale zachwiały jego istnieniem. Ale przyszły one zapóźno. W. Książę d. 24 sierpnia rano, a więc w sam dzień boju Fajslawickiego, a na pięć dni przed tryumfem Kruszyńskim, otrzymał wezwanie telegraficzne od cesarza, ażeby natychmiast dla porozumienia się ustnego do Petersburga przybywał. Przyczyną tego nagłego i stanowczego zwrotu, kładącego koniec wahaniom się cesarza, była okoliczność następująca:

Aleksander II w d. 14 sierpnia wybrał się w podróż

¹⁾ Dziennik pułkownika Kriwonosowa, cytowany u Berga, Polsk. wozstanie III, 310.

do gubernii wewnętrznych cesarstwa, dla podniesienia ducha wobec grożącej jeszcze ciągle wojny z „20 narodami“ Europy zachodniej, dla uspokojenia wreszcie niezadowolonych, wogóle dla okazania światu jaki entuzjazm, jakie uwielbienie ma Rosya dla swego monarchy. Towarzyszyła mu w tej podróży politycznej żona, oraz dzieci: Aleksy, Paweł i córka Marya. Wyjeżdżając z Petersburga ostentacyjnie wstąpił do soboru Kazańskiego, by się pomodlić na szczęście „Rusi świętej“. Był w Niższym Nowogrodzie we Włodzimierz, Kazaniu, w wielu drobniejszych po drodze miastach, przyjmowany wszędzie z ogromnym, hucznym, krzykliwym, acz potrochu sztucznie wywoływanym entuzjazmem, z mowami, że „Ruś (bo tak teraz urzędownie poczęto nazywać dawną Rosyę) gotowa jest do wszelkich ofiar, gdy ich car od niej zażąda“. O tych mowach, przyjęciach, okrzykach, gazety szeroko się rozpisywały, telegraf wieści o nich po świecie całym rozniósł, by grożący Rosyi nowy najazd „20 narodów“, wiedział z kim będzie miał do czynienia. Ale najważniejsze, najdonioślejsze znaczenie miało przyjęcie monarchy w Moskwie, w tem sercu Rosyi, w tej „białokamiennej“ stolicy „pierwsiotronowej“ (pierwoprestolnoj). Cesarz miał tam przybyć d. 19 sierpnia zabawić przez 20-ty, następnego dnia wyjechać. Otóż stronnictwo Samobytników z Katkowem na czele, postanowiło z tego skorzystać i podać cesarzowi adres w imieniu jakoby całego miasta, domagając się radykalnej zmiany w sposobie rządzenia Królestwem Polskiem, ukończenia dzieła zaczętego uwolnieniem Wielopolskiego. Ale kto miał napisać i kto podać taki adres? Wiadomo, że w Rosyi nie wolno podawać żadnych adresów, chyba, że rząd sam tego zażąda; adres wiernopoddańczy, z wynurzeniem swych uczuć wobec „zuchwałych pretensyi Zachodu“, Moskwa już w swoim czasie podała; wystąpienie więc z nowym było występkiem, mogło skończyć się i dla autora i dla podających ten „dziwny i straszny papier“, jak go nazwał historyograf rosyjski, bardzo źle. Nikt więc nie chciał podjąć się napisania tego rodzaju napomnienia dla rządu, na-

wet Katkow, któremu przecież talentu pisarskiego zaprzeczyć nie można, tym razem oświadczył z rozczulającą skromnością, że on do tego nie jest zdolnym. W takim stanie rzeczy zdecydowano się użyć do tego metropolity Filareta, tego samego, który pierwszy wystąpił był na początku dyktatury Murawiewa Wieszatela, z listem błogosławiącym tego kata Litwy i przysłał mu poświęcaną „ikonę archistratega Michaiła“. Był to człowiek już stary, mnich-asceta, przejęty na wskrós duchem bizantyńsko-tatarskiej Moskwy, człowiek, „który mógł napisać wszystko co trzeba było szybko, jasno i wymownie“, jak powiada cytowany przez nas historyograf rosyjski (N. Berg, III, 301), wreszcie jako starzec, nie pragnący już żadnych tego świata zaszczytów, nie potrzebował się lękać nikogo i niczego, nawet Sybiru. Zresztą, czyż taki dygnitarz kościelny, wcielony wyraz ówczesnego usposobienia Rosyi, mógł być karany za to, że wypowiedział to, co czuł jakoby cały naród? Dość, że na tydzień przed zapowiedzianem przybyciem cesarza, owa grupa Samobytników udała się do Filareta, do pałacu Troickiego przy ulicy Nikolskiej i przedstawiła swój zamiar. Filaret wysłuchał ich chętnem uchem i przyrzekł zrobić co tylko się da i okaże możliwem.

Cesarz przybył do Moskwy nad wieczorem d. 19 sierpnia, a więc w 10 dni po bitwie Żyżyńskiej, i nazajutrz w południe, w uroczystym pochodzie, przy odgłosie dzwonów wszystkich cerkwi moskiewskich, przy entuzjastycznych okrzykach tłumnie zebranej ludności, przeszedł z Wielkiego pałacu (Bolszoi Dworzei), do soboru Uspaiskiego. Tutaj w przedsionku, u drzwi głównych powitał go Filaret, mając obok siebie dwu episkopów Leonida i Sawę, i wygłosił mowę, w której, między innemi, do Polski odnosiły się słowa następujące: „Znieważono twoją sprawiedliwość i twoją łaskę; znieważono godność Rosyi. Czyż mogą być obojętni na to ci, którzy miłują ojczyznę i wierni są tronowi? I oto duch synów Rosyi powstaje i woła do ciebie, oznajmując gotowość całego narodu do obrony prawdy“. Adresu jednak żadnego nie podano, bo

jak się zdaje, cesarz był o wszystkim uprzedzony i dał poznać, że go sobie nie życzy. W każdym razie, mowa Filareta zrobiła swoje, przeważyla szalę i położyła koniec wahaniu się cesarza. Wezwał on do siebie metropolitę i rozmawiał z nim o sprawie tej szczegółowo i szczerze. Mówiono później, że Filaret napisał rodzaj memoriału i miał go wręczyć monarsze żegnając się z nim d. 21 sierpnia rano, ale rzecz ta nie jest pewną. Rezultatem tych wszechstronnych nalegań, tego nacisku wrogiej nam partyi, nie cofającej się przed żadnym środkiem, by osiągnąć swe zamysły względem nas, było to, że cesarz powróciwszy wieczorem d. 22 sierpnia do Carskiego Siola, przeczekał jeszcze parę dni i zapewne naradziwszy się ostatecznie z najbliższymi sobie, d. 24 t. m. wezwał telegrafem W. Księcia, by osobiście przybył do Petersburga dla rozmowy ustnej.

Wezwanie to w Zamku warszawskim wywarło wrażenie przygnębiające. Wśród otoczenia dworskiego W. Księcia, zapanowało smutne usposobienie; wszyscy chodzili mroczni i pełni niepokoju. Mówiono powszechnie, że W. Książę został wezwany po to, by osobiście zażądać od swego brata uwolnienia z ciężkiego brzemienia rządów Namiestnikowskich w Królestwie. To i owo w rzeczy samej o zamiarach cesarskich przeniknęło do Warszawy, i jakkolwiek mówiono, iż terażniejszy pobyt W. Księcia w Petersburgu potrwa tylko 10 dni do dwóch tygodni, jednakże gdy powróci, nieodzownie opuści z rodziną Warszawę jakoby na urlop sześciotygodniowy, a w rzeczy samej na zawsze. Pogłoski te znalazły potwierdzenie w słowach W. Księżny, wyrzeczonych do agentów wojskowych pruskich, Verny du Vernois i Treskowa, którzy należeli stale do najbliższego otoczenia pary książęcej. W. Księżna mówiła, że wyjedzie z mężem dla poratowania zdrowia na sześć tygodni do Krymu, ale pół żartem, pół seryo dodała, że po powrocie do Warszawy zobaczy się z agentami pruskimi znowu. Próżne złudzenie! Przekonać się

niebawem miała, że wszystkie jej słodkie marzenia tym razem stanowczo się rozchwiały.

W. Książe wyjechał z Warszawy d. 25 sierpnia w towarzystwie lekarza nadwornego Haurowitza, ochmistrza swego dworu Nabokowa, inżyniera Kierbedzia, Polaka, twórcy mostu Mikołajewskiego na Newie i żelaznego na Wiśle, generała Stürlera i adjutantów Arseniewa i Komorowskiego. Kraj dość obojętnie patrzył na ten wyjazd. Umysły były zanadto zajęte toczącą się krwawą walką z najazdem, by się miały zajmować wyjazdem lub przyjazdem Namiestnika; ale ci wszyscy, którzy głębiej zwykli rozważać bieg wypadków, spostrzegli pewne oznaki, świadczące o nagłym i szkodliwym dla losów polskich zwrocie polityki wewnętrznej rządu rosyjskiego względem Polski. Jedną z takich oznak, było usunięcie reskryptem cesarskim, datowanym d. 28 sierpnia z Carskiego Sioła, a więc już w obecności bawiącego tam W. Ks. Konstantego, gubernatora Lubelskiego, Boduszyńskiego, Polaka, a mianowanie na jego miejsce, pierwszego, po reformie margrabiego, Rosyanina, p. Bućkowskiego, dotychczasowego wicegubernatora Mohylewskiego. Była to zapowiedź, że wkrótce wszystkie urzędy w Polsce zajmą Rosyanie, że czasy ustępstw się skończyły, a rozpocznie epoka ucisku i gwałtu.

Tymczasem w Carskim Siole toczyły się długie narady w gabinecie cesarza z W. Księciem i licznymi dostojnikami państwa, co robić z Polską? Większość była za usunięciem Ks. Konstantego, za powstrzymaniem wszelkich ustępstw, za wprowadzeniem rządów wojskowych, któreby zgłuszyły powstanie. Ale W. Książe i część umysłów lepszych, serc uczciwszych, usilnie opierało się tym Tamerlanowym zachciankom, zwłaszcza, że interwencja zagraniczna jeszcze była w toku i nikt nie mógł przewidzieć, jak ostatecznie się skończy. Wreszcie po długich naradach, nieraz goryczą zaprawionych, postanowiono zrobić jeszcze jedną próbę, czy nie udałoby się uspokoić Polski, nie uciekając się do gwałtu i do niszczenia jej autonomii. Zamierzono mianowicie zwrócić się do wygna-

nego w roku zeszłym z kraju, p. Andrzeja Zamoyskiego, przebywającego teraz w Paryżu, z zapytaniem: czyby nie podjął się uspokojenia Polski i na jakich warunkach? Pytanie takie miał przedłożyć Zamoyskiemu, książe Orłów, ambasador rosyjski w Brukselli. Zadecydowano, że jeżeli p. Andrzej podejmie się tej trudnej roli, tem trudniejszej teraz, gdy margrabiemu Wielopolskiemu ona się nie powiedziała, ks. Konstanty pozostanie nadal namiestnikiem cesarskim w Warszawie. Gdyby jednak i ta ostatnia próba zawiodła, gdyby hr. Zamoyski odmówił, albo przyjąwszy nie potrafił uczynić tego, do czego został powołany, ks. Konstanty stanowczo opuści Warszawę, a Polska oddaną będzie na łup różnych Bergów, Wittgensteinów, Radenów, Bellegardów i całej tej zgrai niemieckich rabusiów i głupców, którzy niby prawowici Rosyanie mieli zbawić Rosyę i raz na zawsze położyć koniec wszelkim marzeniom i pretensjom polskim. Nie ulega wątpliwości, że w uchwaleniu tej decyzji, w postanowieniu zrobienia jeszcze jednego kroku dla ocalenia idei kompromisu z Polską, główna zasługa spada na W. Ks. Konstantego. Nie wchodząc w to, jakie pobudki nim kierowały, czy osobiste pragnienie być raczej pierwszym w Warszawie, jak drugim w Petersburgu, czy też patriotyzm rosyjski, widzący szczęście i potęgę Rosyi w kompromisie z Polską, musimy jednak przyznać, że Polska mimo wszystko winna wdzięczne wspomnienie zachować w swem sercu dla tego W. Kniazia rosyjskiego.

Powrócił on do Warszawy d. 4 września nad wieczorem. Jeszcze z Petersburga polecił telegraficznie, przebywającemu w Warszawie adjutantowi swemu, pułkownikowi Bontemps, synowi generała polskiego, ażeby niezwłocznie udał się do Brukselli i tam wprost z dworca kolei pojechał do ks. Orłowa i wykonał rozkazy „wielkiej wagi“, jakich mu tenże udzieli¹⁾. Wybrano do tej misji Bontem-

¹⁾ Piszący o tej misji *Antoni Wrotnowski*, Porozbiorowe aspiracje polityczne (p. 298 edycja trzecia) a za nim *N. Berg* l. c. III, 303 utrzymują, że W. Książe wysłał Bontempsa po swym powrocie

psa, najprzód dlatego zapewne, że był na pół Polakiem, a potem, że łączyło go podobno jakieś kuzynostwo z p. Andrzejem Zamoyskim i że temu był znany osobiście; ks. Orłowa zaś dlatego, że był zwolennikiem kompromisu z Polką, że jako syn ambasadora rosyjskiego, który na kongresie paryskim przyrzekał ustępstwa dla niej i później stale ich się domagał, miał niejako w tradycji przekazaną sobie pewną sympatyę dla nieszczęśliwej Polski. To też zawsze okazywał najprzyjaźniejsze dla niej usposobienie. Przypominamy, że przed branką styczniową przyjeżdżał do Warszawy, żądając by zamiaru tego, który za zgubny uważał, zaniechano. Te to względy zapewne sprawiły, że powierzono mu wykonanie owej drażliwej bardzo misji. Bontemps, spełniając zlecenie W. Księcia, udał się natychmiast do Brukselli i tam otrzymał od ks. Orłowa rozkaz, ażeby nie tracąc chwili czasu, jechał do Paryża, do p. Andrzeja Zamoyskiego z zapytaniem w imieniu W. Księcia Konstantego, czy zechce objąć wakujący po Wielopolskim urząd naczelnika rządu cywilnego w Królestwie, iść ręką w rękę z W. Księciem i uspokoić kraj ostatecznie. Bontemps miał prócz tego uwiadomić p. Andrzeja, że ks. Orłow jest przez cesarza upoważniony do podpisania warunków, na podstawie których p. Zamoyski objąłby stanowisko naczelnika rządu cywilnego, oraz wszelkich reform dodatkowych, jakieby za konieczne dla tego celu uznał; że więc czeka na przybycie p. Andrzeja do Brukselli, gdzie spisie z nim owe warunki, na zasadzie których p. Zamoyski podejmie się uspokojenia kraju i urzędu pryncypała jęgo administracyi; i że „w tem określeniu ks. Orłow ma

do Warszawy, a więc najwcześniej d. 4 września. Z uwagi jednak, że W. Książę wskutek nieudania się rzeczonej misji, wyjechał ostatecznie z Warszawy d. 8 września, niepodobna przypuszczać, ażeby Bontemps w ciągu niespełna czterech dni, zdołał dojechać do Brukselli, stąd do Paryża, konferować dwukrotnie z Zamoyskim przez kilka godzin i o rezultacie donieść. Prawdopodobnie więc otrzymał rozkaz udania się do Brukselli, jeszcze przed przybyciem do Warszawy W. Księcia.

moc pójść dalej poza to, co było danem margrabiemu; nie wątpi przeto, iż warunki, jakie wedle instrukcyi, otrzymanej z Petersburga, może przyjąć, będą uznane przez samego Zamoyskiego za *maximum* tego, czego Polacy w ówczesnem położeniu oczekiwać mogą; że wreszcie, jeżeli hrabia na propozycję się nie zgodzi i dla rozpatrzenia owych warunków niezwłocznie do Brukselli nie przyjedzie, lub jeżeli tego układu nie przyjmie, w takim razie W. Książę Warszawę opuści, a kraj wydany będzie na łup najsroźszego terroryzmu wojskowego“. W końcu ks. Orłow polecił pułkownikowi Bontemps, że najwyżej 24 godzin ma bawić w Paryżu i po tym czasie z Zamoyskim lub bez niego wracać do Brukselli. Bontemps pojechał do Paryża, miał z p. Zamoyskim dwie kilkugodzinne rozmowy i zawiadomił telegrafem ks. Orłowa, że p. Andrzej propozycję tę... stanowczo odrzucił!

Hr. Zamoyski nie posiadał nigdy tęgiej głowy, nie był inteligencyą pierwszorzędną, ale był człowiekiem uczciwym i gorącym miłośnikiem nieszczęśliwej ojczyzny polskiej. Jeżeli więc tak powabne, tak świetne propozycje, stawiane przez Orłowa, odrzucił, to musiał mieć powody niezmierniej wagi i niezmiernego dla narodu znaczenia. Jakie były te powody, nie wiemy i nie dowiemy się dopóty, dopóki relacya o całym przebiegu tej sprawy, spisana przez samego Zamoyskiego i złożona w pewne ręce w Krakowie, nie ukaże się na widok publiczny. Nie ulega jednak wątpliwości, że najgłówniejszym motywem, kierującym duszą hrabiego, była obawa, że przez przyjęcie warunków, stawianych przez Rosyę, skompromitowanym być może przyszedł los narodu. Zamoyski całem swem życiem dał dowód, że jego dążeniem nie jest taki lub inny kompromis z Rosyą, ale niepodległość Polski; sądził więc, że przyjmując układ, proponowany mu przez Orłowa, uzna przynależność Polski do Rosyi, wejdzie na drogę kompromisu i tym sposobem wobec świata głośno przyzna, że Polska nie pragnie niezależności politycznej. Zapomniał jednak, że polityka nie jest sentymentem, że niema takiego

układu na świecie, któryby jutro wobec zmiany okoliczności, nie mógł być zerwany, choćby najuroczyściej był zawarty i najuroczystszymi nawet przysięgami związany; zapomniał, że Bóg biblijny karzący grzechy ojców w czwartym pokoleniu, nie jest Bogiem historii. Zasad stałych w życiu i polityce niema, i ludzie t. zw. zasad, są ludźmi ciasnego umysłu i ciasnej głowy. Wszystko się zmienia, zmieniają się i teorie; Katonowie są i będą zawsze przeszkodą postępu i rozwoju. W ówczesnem położeniu Polski i Europy, nie tylko już błędem, ale nawet zbrodnią było poświęcenie kraju, oddanie go na łup rozwydrzonych prokonsulów rosyjskich, dla jakiejś obawy kompromisu z Rosją. Historia nie może i nie przebaczy Zamoyskiemu długich męczarni narodu, podkopania jego bytu, cierpień nieobliczonych, spaczenia jego charakteru, które mógł jednym zażegnaniem słowem. Inna jest rzecz, czy przyjmując ofiarowane mu stanowisko, byłby kraj uspokoił, jak to stawiano mu za warunek. Niewątpliwie musiałby toczyć przykrą walkę, naraziłby może całem życiem zarobioną popularność i dobre imię, ale prawdziwy obywatel kraju, powinien wszystko, nawet imię swoje poświęcić dla ojczyzny, gdy tego potrzeba się okaże. Wszakże sądząc z tego, że powstanie w tej porze zachwiane było mocno klęskami Fajslawicką i Kruszyńską, że interwencja zagraniczna widocznie miała się ku końcowi, że niektórzy dowódcy jak Taczanowski, Chmieliński, może nawet Kruk przychylali się już w lipcu do tajnych propozycji, przez Mianowskiego przynoszonych do Rządu narodowego, mamy podstawę mniemać, że walka ta nie byłaby ani długą, ani upartą, i że prawdopodobnie Zamoyski zrobiłby to, czego odeń żądano. Nie chciał jednak; dusza jego do tego stopnia była rozgoryczona, że miał powiedzieć pułkownikowi Bontemps, iż „nigdy nie wdzieje munduru moskiewskiego“. Może to być piękne, ale nie mądre. Zdaje się, że nie działał tu sam, że z kimś musiał się radzić, bo rozmowa z wysłańcem rosyjskim dwukrotnie się ponawiała, a więc między jedną a drugą namyślał się zapewne i radził.

Kogo się radził? nie wiemy, to tylko pewna, że nie ks. Władysław Czartoryski, ajenta Rządu narodowego, gdyż ten dowiedział się o wszystkim, gdy już rzecz była skończona, i próbował, niestety! zapóźno zawiązać nanowo rokovania, przypuszczając, że rzecz da się jeszcze odrobić. W tym celu wysłał do Kolonii znanego ekonomistę Ludwika Wołowskiego, aby zabiegł drogę wracającemu do Warszawy pułkownikowi Bontemps i starał się go wybadać jak daleko sięgają ustępstwa rosyjskie, i żeby namówił wysłańca, aby jeszcze raz zawrócił do Paryża i propozycje swe Zamoyskiemu w obecności ks. Wł. Czartoryskiego ponowił. Ale Bontemps nie miał już do tego upoważnienia, zabraniały mu tego wyraźnie jego instrukcje, zresztą W. Ks. Konstanty już wtedy bezpowrotnie opuścił Wąsawę¹⁾.

Wyjechał on d. 8 września, zaraz po otrzymaniu depeszy od Orłowa, że misja Bontempsa nie miała powodzenia. Wyjechał z żoną i dziećmi, ze zwykłą świtą, do której tym razem należał także, znany nam ze swej kiepskiej łaciny, szef kancelarii dyplomatycznej namiestnika, pan Tęgoborski, oraz komendant kwatery W. Księcia, sztab-kapitan Wrześniowski, Polak, który odegrał pewną rolę w wypadkach warszawskich, nosił płaszcz na dwóch ramionach, i przez pyszałkowatość i brak rozumu, wszystkim dawał poznać, że W. Księżna Konstantowa w nim się kocha. Rodzina W. Księcia i on sam jechał do Krymu, ale obrócił drogę na Berlin i Wiedeń, gdzie miał z polecenia cesarza spełnić misję polityczną, oczywiście sprawę

¹⁾ Zamoyski, jak się zdaje, patrząc później na to, co się dzieje w kraju, uczuł, że źle zrobił, i dlatego o całej tej sprawie, do końca życia głębokie milczenie zachował. W ostatnich latach swego życia nagabywany przez parę wybitniejszych osób, które wskutek relacji umieszczonej w książce Wrotnowskiego (Aspiracje polityczne) dowiedziawszy się o misji Bontempsa, czy i o ile w tem wszystkim jest prawdy, oświadczył, że rzecz tę opisał, złożył w pewnych rękach w Krakowie i że kiedyś opublikowaną ona będzie, wreszcie naciskany silniej, odpowiadał z goryczą «nie mówmy o tem».

polskiej dotyczącą¹⁾. W przeddzień wyjazdu zebrał koło siebie naczelników wojskowych, dziękował im za „wierną służbę i trudy, jakie znosili w obecnych burzliwych czasach“. Wyjeżdżając najprzód wstąpił z całą rodziną i orszakiem do soboru prawosławnego, gdzie wysłuchał krótkiego nabożeństwa, odprawionego przez archiepiskopa Joannikia, z przyklękaniem (kolienoprekłonieniem) za pomyślność podróży, a potem ruszył przez całe miasto na dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej z eskortą czerkiesów i oficerów, wśród których kłusował heroicznie stary Berg, cieszący się w duszy, że nakoniec i w jego parafii będzie święto. W czasie tego przejazdu przez miasto, tłumy publiczności napelniały ulice, do czego przyczyniła się zapewne ta okoliczność, że było to uroczyste święto Narodzenia Najśw. Maryi Panny i właśnie z kościołów nabożni wracali. Z okien wyglądało mnóstwo ciekawych; mężczyźni kłaniali się przejeżdżającej parze wielkoksiążęcej, ale żaden okrzyk się nie odezwał; poważna, ponura cisza leżała na ulicach, jakby w przecieczciu, że z tym odjazdem kończy się jedna epoka historii, pełna blasków i nadziei, a ma się zacząć nowa, ciemna, posępna i krwawa.

Na dworcu kolei zebrała się cała jeneralicja, wyżsi urzędnicy cywilni, konsulowie zagraniczni, przybrani w swe mundury paradne. Stała tam warta honorowa, złożona z żołnierzy, ozdobionych krzyżami wojskowymi za walki z powstańcami. W salonach dworca znalazło się wiele dam rosyjskich. Wszyscy byli silnie wzruszeni. W. księżna co chwila zalewała się łzami. Weszła już ona do sali, gdy nagle zawróciła, by pożegnać się z wartą honorową. Żołnierze obaczywszy ją, poczęli wołać: „Bądź zdrowa ma-

¹⁾ O tym wyjeździe, agent pruski w Warszawie Verny du Vernois, uprzedził swe władze taką depeszą: «zapłać pau z łaski swej d. 8 b. m. 1030 talarów mej matce, która prawdopodobnie po to przyjedzie do Berlina»; co według umowy znaczyło: «W. Księżę wyjeżdża d. 8 b. m. o godz. 10 minut 30 rano przez Toruń i uda się prawdopodobnie przez Berlin» (Deutsche Rundschau, December 1903 p. 417).

tuszka! z Bogiem! wracaj prędko!“ Łzy strumieniem ciekły po twarzy tej ambitnej kobiety, której wszystkie pragnienia i wszystkie nadzieje rozwiały się jak dym, jak miraż pustynny. „Była to raczej rozczulająca scena familijna, jak demonstracya urzędowa“, opowiada świadek naoczny.

W Wiedniu W. Księżę zatrzymał się z polecenia swego monarszego brata w celu przedstawienia cesarzowi Franciszkowi Józefowi, szczerego jakoby pragnienia Rosyi do odnowienia dawnych stosunków przyjacielskich z Austryą; miał zarazem wskazać na niebezpieczne zamysły, jakie żywi względem świata europejskiego Napoleon III. Prócz tego polecono mu domagać się usilnie, ażeby rząd austriacki popierał moralnie Rosyę i żeby pilnie nakazał strzedz granicy galicyjskiej, oraz żeby ostentacyjnie objawił swe zadowolenie z ostatniej odpowiedzi rosyjskiej na noty mocarstw. Rosyi szło głównie o to, żeby stłumić powstanie przez zimę i wobec grożącej Europy stanąć na wiosnę z faktem spełnionym. Misja ta dość drażliwa, postanowiona była za wiedzą rządu pruskiego, bo Bismarck w tym czasie pisał do jednego ze swych agentów dyplomatycznych: „Jeżeli negocjacye te powiodą się W. Księżciu, to kwestya polska zostanie rozstrzygniętą“. Nie powiodły się one jednak. Cesarz Franciszek Józef odrzekł, że zawsze spełniał jak należy swój obowiązek międzynarodowy względem Rosyi, i że teraz, jak i zawsze użyje całego swego wpływu by uregulować sprawę polską. Rechberg zaś, minister austriacki, otwarcie się przyznał, że dla Austrii jest „stanowczą niemożliwością“ uważać ostatnią odpowiedź rosyjską za zadawalniającą, że zanadto się zaangażował z Anglią i Francją i nie może się kompromitować i polityki swej czynić „podejrzaną“.

W. Ks. Konstanty doniósł do Petersburga o swem niepowodzeniu, Wiedeń opuścił i udał się do Krymu. Ta osobliwsza, okolna podróż przez Europę do Krymu, oprócz misji politycznej, miała zapewne na celu uniknięcie nieprzyjemności, jakieby go spotkać mogły, gdyby jechał przez Rosyę. Wskutek podżegań prasy, a głównie Katkowa,

takie ogólne było przeciw W. Księciu rozdrażnienie, że lękał się narażać na jego skutki. Opowiadają nawet, że w Krymie, gdy W. Książę chciał odwiedzić swego sąsiada, ks. Woroncowa w Ałupce, to ten dowiedziawszy się o tem uciekł poprostu z domu, by brata cesarskiego nie widzieć i nie przyjmować.

Ostateczne uwolnienie W. Ks. Konstantego z namiestnictwa w Królestwie, nastąpiło dopiero d. 31 października przez reskrypt cesarski z Liwadii. Widocznie przez całe dwa miesiące wahano się jeszcze, niewątpliwie ze względu na stan interwencji zachodniej, z zerwaniem nici kompromisu z Polską. Ale i w samym reskrypcie zaznaczone jest wyraźnie, że cesarz nici tej zupełnie nie zrywa. Uskarża się najprzód, że „naród polski nie chciał zrozumieć, ani ocenić myśli wyznaczenia Waszej Ces. Wysokości, na namiestnika mego“ i kończy: „gdy zaś przy pomocy Bożej, powstanie w Polsce uśmierzone zostanie, kiedy nakoniec usłuchawszy głosu prawa i obowiązku, poddani moi w Królestwie odrzucą gwałty jawnych popleczników zdrady i zwrócą się ku memu miłosierdziu, gdy ustalony porządek dozwoli znowu przystąpić do rozpoczętego przez Was dzieła, gdy okoliczności pozwolą na wprowadzenie instytucji, które nadałem Królestwu, a wprowadzenie których w czyn, jest jednym z najwyższych i najszczerzych życzeń moich, wówczas spodziewać się będę, że znowu będziecie w możności przyjąć udział w wykonaniu moich zamysłów...“

Niestety! „Ustalony porządek“ w Królestwie, senna cisza, jaka zaległa kraj przez długie lata potem, zatarła w pamięci monarchy te uroczyste przyrzeczenia, to „najwyższe i najszczerze życzenie“, by instytucje nadane Królestwu, były znów w życie wprowadzone. Owszem rozpocząć się miało zupełne i bezwzględne ich tępienie, podeptanie wszystkich zobowiązań i wszystkich przyrzeczeń.

Tak się skończyła próba kompromisu Polski z Rosją, próba ostatnia i nastały czasy przypominające rządy

Dyoklecjana w Rzymie i jego prześladowanie chrześcijan. Walka jednak jeszcze trwała. Polska wśród konwulsyjnych drgań, a zwłaszcza jej partya ruchu wyteża wszystkie siły, by zrzucić gniotące ją jarzmo. W następnej części tej księgi, przypatrzymy się bliżej tym strasznym, śmiertelnym, zabójczym usiłowaniom.

Karolowe Wary. W 295 rocznicę obrania Władysława IV carem moskiewskim.



KONIEC TOMU IV.

2016

4277

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Radomiu

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU IV.

Rozdział XIII. Intrzygi wojskowe przeciw Wielopolskiemu. Okólnik Kellera i tegoż usunięcie. Nominacya hr. Ostrowskiego na Dyrektora Komisji spraw wewnętrznych. Fedor Fedorowicz Berg, jego przeszłość i jego zachowanie się w Warszawie. W. Ks. Konstanty i walka przeciw niemu Samobytników. Ostrożności wojenne w Warszawie. Obawa o Pragę. Rozporządzenia Wittgensteina. Rząd Czerwcowy. Charakterystyka Kobylańskiego i Malinowskiego. Powieszenie Michała Bobrowskiego. Trybunały rewolucyjne. Chaos w organizacyi. Rozkaz Naczelnika miasta. Malinowski się usuwa. Komitet oczenia publicznego i jego spór z Rądem narodowym. Karol Majewski i Aleksander Waszkowski. Narada Białych. Projekt zaboru Kasy Głównej Królestwa. Obawa władz rosyjskich. Zabór Kasy i wrażenie tego faktu. Upadek Rządu Czerwcowego. Realizacya kuponów. Sąd wojenny. Powieszenie Abichta i ks. Konarskiego. Arcybiskup i projekt listu pasterskiego. Procesya w Boże Ciało. Nawrócenie dwu Rosyanek. Odezwa arcybiskupa do Krzywickiego. Rozkaz Cesarski, Arcybiskup назнача на wikaryusza ks. Rzewuskiego. Wyjazd ks. Felińskiego do Petersburga. Przybycie do Gieczyny. Rozmowa z Platonowem. List do Cesarza. Wygnanie do Jarosławia. Uwagi Str. 1—104.

Rozdział XIV. Dyonizy Czachowski i jego oddział. Starcie w Grabowcu. List do Uszakowa. Potyczka pod Stefankowem. Powieszenie kapitana Nikiforowa i pięciu żołnierzy. Opowiadanie Turlina. Śmierć Klewцова i potyczka w lesie pod Jeziorkami. Rozbicie Czachowskiego pod Rieczniowem. Dalsze dzieje jego oddziału. Kononowicz i starcie pod Rożnieszewem. Porażka

Ernrotha. Wyprawa Meller-Zakomelskiego: schwytanie i śmierć Kononowicza. Powstanie w Kaliskiem. Działanie Komitetu Poznańskiego. Oficerowie zagraniczni. Edmund Callier i Miełcki. Wyprawa ks. Sayn-Wittgenstein. Potyczka pod Olszową i Slesinem. Edmund Taczanowski. Alonzo Seyfried. Starcie pod Nową wsią i wyrzucenie Nclidowa za granicę pruską. Raport pruski. Wyprawa Kostandy. Starcie pod Brdowem i śmierć Younga. Ucieczka Seyfrieda. Taczanowski w Pyzdrach. Starcie pod tem miastem i pod Kolem. Marsz do Ignacewa. Plan rosyjski. Taczanowski się barykaduje. Bój pod Ignacewem. Wyprawa Leona Czechowskiego w Lubelskie. Jego marsz powolny. Miednikow występuje z Janowa. Potyczka w lesie Potockim, oraz starcie z Miednikowem pod Jedlinkami i w lesie Ciosmińskim. Czechowski przechodzi do Galicyi. Jeziorański i jego wyprawa. Starcie pod Kobylanką, Ucieczka do Galicyi. Wyprawa Zapalowicza. Wypadki w Krakowskiem. Chmieliński i jego napad na Janów. Zakończenie Str. 105—212.

Rozdział XV. Grekowicz i potyczka pod Szklarami. Wyprawa Mosakowskiego. Potyczki pod Goleczewicami i Jaworznikiem. Wyprawa Rumockiego i starcie pod Szcami. Oksiński i bój pod Koniecpolem. Straż narodowa. Kazimierz Wiśniewski. Bogdan Bończa i jego śmierć w Górach. Oksiński pod Przedborzem i rozpuszczenie oddziału w Dobromierzu. Wyprawa Jordana i zamysły do niej przywiązane. Bój Dunajewskiego pod Guczkiem i Jordana pod Komorowem. Chmieliński i jego napad na Janów. Żychliński i potyczki pod Ossą i Krynicą. Oddział Mystkowskiego. Napad pod Komorowem i Malkinią. Rozbicie i śmierć Fryczego. Trąbczyński pod Drażdżewem. Oddział Wawra i marsz jego w Augustowskie. Andruszkiewicz i jego kompania. Werner w Kozim Rynku. Potyczka pod Kadyszem. Wittgenstein w Suwałkach. Wyprawa na Wawra. Bój pod Gruszkami i porażka w Kozim Rynku. Tryumf w Suwałkach. Marsz Wenera w Łomżyńskie. Przeprowadzenie przez Narę. Połączenie z partyą Trąbczyńskiego i innych. Narada wojenna. Zasadzka pod Zbrzeźnicą. Wielka wyprawa rosyjska. Klęska pod Sygami. Werner dzieli swój oddział. Ogólne uwagi Str. 213—316.

Rozdział XVI. Borclowski-Lelewel i jego porażka pod Różą. Jankowski i Krysiński. Napad na Domaczew i starcie pod Sławatyczami. Porażka pod Częstoborowicami. Michał Heidenreich Kruk. Wierzbicki i zasadzka pod Strużą-Polichną. Rucki i starcie pod Kaniową i Chruśliną. Marsz Kruka do Opola. Początek wojenne.

Zasadzka Żyżyńska. Straty obustronne. Zdobyte pieniądze. Wrażenie i rezultat tego boju. Potyczka pod Chelmem. Koncentracja oddziałów i klęska Fajslawicka. Taczanowski i jego zamiary. «Ciągła rejterada» i rokosz w Sulisławicach. Wyprawa Kłodta. Rozbicie Parczewskiego. Walka w Sędziejowicach. Marsz Taczanowskiego i rozbicie pod Kruszyną. Zabór z poczty 46.000 rubli. Oskarżenia przeciw Wielopolskiemu. Jego wyjazd i pertraktacje z K. Majewskim. Jego życie w Dreźnie i śmierć. W. ks. Konstanty. Namawianie szlachty i rokowania z Rządem Narodowym. Przyjazd Lidtkego i jego namowy. Podróż Cesarza po Rosyi. Pobyt w Moskwie i Filaret. Wyjazd W. Księcia do Petersburga. Narady w Carskim Siole. Misya Bontempa do hr. Zamoyskiego. Jego odmowa. Wyjazd W. Księcia i misya w Wiedniu. Reskrypt Cesarski z Liwadyi. Zakończenie Str. 317—412.

8616-IV
MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
u. adomi

4277

